

Пол/п
Н-754





TOPOLA NA TAMTYM BRZEGU

Sawa Hołowaniwski



**TOPOLA
NA
TAMTYM
BRZEGU**

przełożyła
STANISŁAWA KUŹMIŃSKA

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Tytuł oryginału ukraińskiego

TOPOLA NA TOMU BEREZI

Radianskýj Pyśmennyk,
Kijów — 1965

Tytuł oryginału rosyjskiego

ТОПОЛ НА ТОМ БЕРЕГУ

Wojennoje izdatielstwo Ministerstwa Oborony SSSR
Moskwa — 1967

Obwolutę i stronę tytułową
projektował

STANISŁAW PORADA

Redaktor

KAZIMIERZ CIS

Redaktor techniczny

JOLANTA MICHAŁOWSKA

Część pierwsza

OBOOK RODZINNEGO DOMU

1

Ostry zapach siarki jeszcze się nie rozwiął. Nieprzyjemnie kręcił w nosie i gryźł w oczy, chociaż Kuźma Iwanowicz dawno już skończył dzisiejszą porcję zapalek i pół godziny temu poniósł je na bazar. Zapach ten niepokoił Lubow Stepaniwnę szczególnie wtedy, gdy mąż wracał z bazaru zupełnie wyczerpany i wyrób zapalek trzeba było odłożyć do rana. W takich wypadkach woń siarki unosiła się w powietrzu niemal przez cały dzień, a przecież w każdej chwili mógł wejść ktoś obcy. Wprawdzie od czasu, kiedy wojska radzieckie zaczęły się zbliżać do Dniepru, Niemcy nie kwaterowali już w mieście. Przenieśli się do okopów i schronów, zamierzając przekształcić zaporę Dnieproges w twierdzę. Mimo to wielu z nich kręciło się po ulicach, a i ktoś z sąsiadów mógł jeszcze przyjść...

Gdyby tak można było od razu przygotować większą ilość zapalek, a potem sprzedawać je w miarę potrzeby, nie musiałyby tak codziennie drzeć ze strachu. Myronenko jednak przynosił zawsze tylko garstkę siarki — widocznie nie mógł więcej wynieść z warsztatu. Zresztą nie wiadomo, jak się o nią starał, ale jedno było jasne: nie kupował. Lecz i za tę garstkę należała mu się wdzięczność, gdyż stary ślusarz i tak co dnia ryzykował życiem.

Zapach siarki wciąż wisiał w powietrzu. Lubow Stepaniwna siedziała przy stole, otulona wytartą wełnianą chustką, jak gdyby szukała w niej schronienia nie przed zimnem, lecz przed tym gryzącym, dokuczliwym smrodem. Nagle na dole rozległo się stukanie i z tego, jak zareagowała Sołomija, jasno wynikało, że ktoś stuka do drzwi. Sołomija długo nie podchodziła do drzwi, być może zdradliwy zapach przeniknął nie tylko na strych, ale i na parter, a więc się bała.

Zapukano ponownie, teraz już głośniej. Wydawało się, że cały dom nastroszył się i nasłuchuje, tak jak Lubow Stepaniwna i Sołomija. Martwa cisza przeciągała się zbyt długo. Wreszcie ze swojej izdebki, mieszczącej się również na mansardzie, wyszła Kławdija Charytoniwna i powoli zaczęła schodzić drewnianymi schodami na dół. Gdy była już prawie przy drzwiach, zastukano po raz trzeci, i Lubow Stepaniwna usłyszała: „Nie stukajcie tam, już idę!” Kławdija Charytoniwna umiała panować nad sobą w każdej sytuacji, teraz także głos jej brzmiał spokojnie.

Lubow Stepaniwna nie przysłuchiwała się dalszej rozmowie, czuła tylko nienawistny zapach palonej siarki. Kiedyś przecież to męzowskie „laboratorium” musiało zostać wykryte, nie mogło pozostawać wieczną tajemnicą. Dobrze, że chociaż Kuźma Iwanowicz jest na bazarze i zamiast niego ją tylko zabiorą. Ale za co mają odpowiadać Kławdija Charytoniwna i Sołomija? Po cóż one tak długo i tak cierpliwie znosiły ten obrzydliwy, siarczany odór, wiedząc, że za wyrabianie zapalek grozi odpowiedzialność przewidziana prawem czasu wojny?

Wkrótce znowu zatrzeszczały schody — nietrudno było poznać zdeptane chodaki Kławdii Charytoniwny. Na ostatnim stopniu zatrzymała się, powoli odsunęła z czoła siwe

pasmo włosów, jak to zwykle robiła, kiedy najgorsze było już poza nią, i powiedziała:

— To do was.

Lubow Stepaniwna zamarła. Zdawało się jej, że Kławdija Charytoniwna powiedziała: „To po was”. Chwała Bogu, że tylko po nią, a nie po wszystkie trzy...

Do izby wszedł mężczyzna w starszym wieku, w zniszczonym waciaku. Tasiemki od szarej uszanki zaplątały mu się w ciemnej brodzie. Przez ramię miał przewieszoną torbę, w ręku sękaty kij, jak u pasterza, na nogach кирзове, chyba żołnierskie buty.

— Ja do profesora Storożenki, tego z Kijowa — dał się słyszeć zachrypły głos.

Lubow Stepaniwna milczała. Słowa uwięzły jej w gardle. Jak głuchoniema wpatrywała się w nieznanego. Skąd on zna adres? Biur informacyjnych nie ma, wojna przecież, a ze starego mieszkania w pobliżu zapory tak dawno już się przeprowadzili. I skąd on wie, że jej mąż jest profesorem Kijowskiego Uniwersytetu? O tym nie wie nikt w Nowym Zaporozżu, to jeszcze większa tajemnica niż wyrób zapalek.

Nieznanomy jakoś dziwnie uśmiechał się pod wąsem, jak gdyby wszystkiego już się domyślał i chciał jeszcze tylko zmusić Lubow Stepaniwnę, aby sama przyznała się do tego, kim jest. Z wyrazem zdziwienia na twarzy zwrócił się więc do Kławdii Charytoniwny:

— A może to nie tu, może źle trafiłem?

Kławdija Charytoniwna podeszła do sąsiadki i lekko ścisnęła jej ramię.

— Słyszysz pani? To do was.

Tymczasem przybysz rozpiął waciak zeszytwniałymi od zimna palcami i wy dobył spod niego złożoną we czworo karteczkę.

— To od Kseni, od pani córki.

Lubow Stepaniwna otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale tylko gwałtownie podniosła się z krzesła. Usłyszała wyraźnie: „od Kseni”, on tak powiedział. Taka niespodziewana wiadomość może człowieka zabić — jako lekarz wiedziała o tym doskonale. I raptem pociemniało jej w oczach, serce gwałtownie załomotało. Chwytając się ręką za piersi, straciła przytomność.

Kiedy się ocknęła, zobaczyła, że leży na łóżku, a obok niej siedzi Kławdija Charytoniwna i wykręca mokry ręcznik. W drzwiach stała Sołomija. W jej surowych, szarych oczach malował się niepokój i współczucie. Lubow Stepaniwna jak szalona zerwała się z łóżka. Kławdija Charytoniwna przestraszyła się i ledwie zdążyła ją pochwycić.

— Gdzie on jest?

— Proszę się uspokoić. Jutro o dwunastej przyjdzie po odpowiedź. — Kławdija Charytoniwna podała jej leżącą na stole kartkę. — Niech pani przeczyta. Same dobre wieści. Ksenia żyje.

Lubow Stepaniwna czytała z wielkim trudem, ręce jej drżały, litery skakały przed oczyma — te dwa rządki napisane naprędce niebieskim ołówkiem: „U mnie wszystko w porządku. Człowiek, który doręczy wam tę kartkę, opowie, gdzie jestem i co się ze mną dzieje”. Tak, to pismo Kseni, jej krótkie, zwarte zdania. Ale dlaczego tak mało? Nie ma nawet podpisu i pozdrowień dla rodziców.

— Dlaczego on już wyszedł?

— Nie mógł czekać ani chwili dłużej. Nie ma co się martwić, jutro na pewno przyjdzie. Lepiej usiąść i zacząć pisać list.

Dopiero teraz Lubow Stepaniwna uświadomiła sobie całą głębię swej bezsilności, poczuła, jak ściska jej się serce, i rozplakała się, ogarnięta jakimś trwożnym przecuciem, jakby w tej właśnie chwili traciła Ksenię na zawsze. Dotychczas nigdy tak nie myślała. Ani jesienią czterdziestego pierwszego roku, kiedy córka odeszła wraz z cofającymi się wojskami, ani nawet wtedy, gdy dotarły do niej wieści o gwałtownym niemieckim natarciu i okrażeniu radzieckich oddziałów, chociaż wiedziała, że w tym piekle znalazła się również Ksenia. I dopiero dziś, kiedy otrzymała wiadomość, że Ksenia żyje, przygniotły ją swym ciężarem te dwa nie kończące się lata rozpacz i beznadziejnego oczekiwania. Zdawała sobie sprawę, że teraz nie ma sensu wspominać tego wszystkiego, ale pamięć uparcie wracała do zdarzeń z przeszłości. Przed oczyma stanęła jej Ksenia w swojej niebieskiej sukni, którą uszyła sobie przed samą wojną, i Pietia Sławczuk i Ołeh Charkewicz...

Samolot wylądował na polu w pobliżu ogromnego stogu zeszlórcznej słomy. Ołeh Iwanowicz Charkewicz sięgnął po swoją małą walizeczkę i wyskoczył na ścierńisko. W samolocie śmierdziało gumą i spalinami, był więc osłabiony i kręciło mu się w głowie.

Po kilkugodzinnym kołysaniu się w czasie lotu przyjemnie było znów stanąć na twardym gruncie. Odetchnął głęboko chłodnym grudniowym powietrzem, zdawało mu się, że wprost czuje, jak krew roznosi po żyłach rzeźwiący chłodek.

Z drugiej strony samolotu podniesiono już okapotowanie i ktoś grzebał się przy silniku. Charkewicz obszedł samolot dokoła, chciał podziękować pilotowi za to, że wybawił go od przykrej konieczności kilkudniowego podróŜowania w przepełnionych ciepłuszkach.

Okazało się jednak, że to nie pilot sprawdza silnik, ale jakiś podoficer z miejscowego batalionu lotniczo-technicznego. Spod zatłuszczonej uszanki spadała mu na czoło niesforna, ruda czupryna, a z wszystkich kieszeni wyświechtanego kombinezonu wyzierały klucze, śrubokręty i obcegi.

— Dobrze wykołysało, co? — spytał, nie przerywając swej pracy. I zaraz dodał: — Tu w stogu jest nasze stanowisko dowodzenia, można tam odpocząć.

— Nie jestem aż tak zmęczony — uśmiechnął się Charkewicz. — A i nie mam czasu na odpoczynek.

Podoficer dopiero teraz się odwrócił. Na jego nienaturalnie długiej twarzy i w malutkich złośliwych oczkach malował się wyraz niezmiernego zdumienia. Wyglądał tak zabawnie, że Charkewicz z trudem powstrzymał się od śmiechu.

Mechanik długo i nieufnie przyglądał się dziwnemu cywilowi w szarym, sukienym płaszczu z paskiem i w takiej samej jak płaszcz czapce. Tu w strefie przyfrontowej postać Charkewicza mogła rzeczywiście wywołać zdziwienie. Nie wyglądał on ani na stołecznego dostojnika, którzy przylatywali czasem na front, ani też na prowincjonalnego funkcjonariusza partyjnego, który przyjechał do pracy na wyzwolonym terenie. Wysoki, ale szeroki w barach, z podniesioną do góry niedużą, kształtną głową

o szlachetnym obliczu, wesoło się uśmiechał i sprawiał wrażenie, że lot wcale go nie zmęczył. Jasne brwi zrosnięte nad cienkim, zgrabnym orlim nosem nadawały jego twarzy wyraz spokoju i skupienia.

Łagodnie, ale wnikliwe spojrzenie przybysza speszyło czupurnego mechanika. Spuścił wzrok i odwrócił się. Po chwili jednak zapytał:

— Dokąd pan chce iść?

— Do sztabu siedemdziesiątej ósmej — odpowiedział Charkewicz.

— A-a-a — mruknął podoficer i znowu zaczął grzebać coś w silniku.

— Obywatelu plutonowy, nie wiecie przypadkiem, czy sztab dywizji stoi jeszcze w Morgunach?

— Nie wiem — odburknął. Był wyraźnie z siebie niezadowolony.

Ołeh Iwanowicz stał i zastanawiał się, czy rzeczywiście nie należałoby wstąpić na stanowisko dowodzenia. Plutonowy zeskoczył tymczasem ze skrzydła samolotu i powłókł się w stronę stogu, stawiając powoli swoje krzywe nogi i bawiąc się narzędziami. Podrzucił do góry obcęgi i łapał je jedną ręką. W połowie drogi zatrzymał się i krzyknął do Charkewicza:

— Przetnie pan lotnisko na ukos i dojdzie do drogi. Tam jeżdżą samochody. Któryś z kierowców podrzuci pana.

— Dziękuję, jakoś sobie poradzę.

Nie orane już dwa lata pole podobne było do wydeptanego przez bydło wygonu, na którym nic prócz trawy nigdy nie rosło. Jesienne ulewy i działania wojenne prawie wyrównały zagony i bruzdy.

Do szosy było niedaleko, około trzystu metrów. Po ogłuszającym huku motorów i szalonym migotaniu ziemi, która w zawrotnym tempie unykała spod skrzydeł samolotów, cichy, przedwieczorny step robił wrażenie bezludnej pustyni na jednej z dalekich planet, na której dopiero co wylądował pierwszy przybysz z Ziemi.

Kiedys trzeba będzie napisać o tym wiersz. Charkewicz czasem w tajemnicy płodził utwory poetyckie, o czym wiedzieli tylko Petia Sławczuk i Ksenia. Później dowiedzieli się o tym również inni i, jak sam Charkewicz mawiał żartobliwie, uczczono jego skromną muzę „dźwiękiem fanfar i biciem w bębny”. Ale o tym nie chciał teraz

myśleć. Sławczuk już nie żyje, a Ksenia gdzieś tam, za Dnieprem. Dziwne, że ona tak blisko i tak daleko zarażem.

Ołeh Iwanowicz zatrzymał się na szosie obok poczerniałego słupa z pogiętą blaszaną strzałką. Dawniej widniała na niej nazwa jakiejś pobliskiej wsi. Oparłszy się plecami o słup, poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Wydarzenia ubiegłego dnia — bieżanina i kłopoty związane z niespodziewanym, natychmiastowym wyjazdem — dawały o sobie znać właśnie teraz, na tym cichym, pustym stepie.

Na polu był jeszcze dzień, do zmierzchu pozostawała jakaś godzina, a może półtorej, ale barwy nieba mówiły o tym, że zbliża się wieczór. Powietrze powoli szarzało, jak gdyby nabierało gęstości, i opuszczało się w dół, wydawało się, że wszystko dokoła przybiera jakieś nierealne, rozplywające się kształty, powoli nasiąkając coraz ciemniejszymi barwami, zupełnie jak w Wyszeńkach nad Worskłą, gdzie mieszkał dziadek i gdzie obaj z nieżyjącym już ojcem jeździli na urlop, i tam codziennie o zmroku siedzieli nad ciemną rzeką z wędkami w rękach, łowiąc ryby. Wokół nich rozciągał się taki sam cichy step, zmrok był tak samo szary i chłodny jak dziś, chociaż był to kwiecień, a nie grudzień. Ojciec, znany nad Siwaszem rębacz z wąsami jak u Budionnego, mógł całą noc przesiedzieć nad wędką, chociaż ryba słabo brała i prócz piskorzy i uklei nic mu się nie udawało złowić.

Nagle zaterkotało coś w oddali, i Charkewicz odsunął się od słupa. Nadjeżdżała ciężarówka.

Charkewicz wybiegł na drogę i zaczął wymachiwać wielką, drewnianą gruszką, na której dyndał klucz. Zapomniał go oddać administratorowi moskiewskiego hotelu.

Zgrzytnęły hamulce i ciężarówka, z dostojeństwem podając się do przodu, stanęła.

— Co się stało? — spytał niezbyt uprzejmym tonem lejtenant, otwierając drzwiczki. Jego czerwona, dziobata twarz nie wróżyła nic dobrego.

— Chciałbym się dostać do sztabu siedemdziesiątej ósmej...

— Lejtenant zmierzył Charkewicza nieprzyjaznym spojrzeniem i powiedział:

— A co mnie to obchodzi?

— Jedziecie w tamtym kierunku — powiedział Ołeh Iwanowicz.

— Jedziemy, ale wieziemy dobro wojskowe. Widać przecież. — I lejtenant chciał już zamknąć drzwiczki.

Gburowaty ton, pyszałkowata pewność siebie i pogardliwe spojrzenie, jakim lejtenant obrzucił jego cywilny płaszcz, oburzyły Charkewicza. Znikła gdzieś właściwa mu zawsze uprzejmość i krzyknął ze złością:

— Do diabła z waszym dobrem! A ja co, może mam tu na drodze nocować?

— Co za człowiek — denerwował się lejtenant. — Wdzi pan chyba, że wiozę żywność.

— Przecież ja nie zjem tej waszej żywności — Charke-wicz trzymał się drzwiczek, bojąc się, że lejtenant je zno-wu zamknie.

Lejtenant zamilkł.

— A z kim pan chce się widzieć w sztabie? — zapytał po chwili wahania. Widocznie wpłynęła na tę zmianę tonu zdecydowana postawa Charkewicza.

— Z pułkownikiem Szumakowem. — Charkewicz myślał, że nazwisko dowódcy dywizji wywrze odpowiednie wrażenie na pyszałkowatym lejtenancie i zmusi go do ustępstw.

Nazwisko to rzeczywiście wywarło wrażenie, ale zupełnie nie takie, jakiego Ołeh Iwanowicz się spodziewał.

— Ach tak... Do pułkownika... A pułkownik zobaczy, że razem z żywnością wożę ludzi, i obedrze mnie ze skóry.

W tej chwili ze skrzyni ciężarówki wychyliła się czyjaś głowa w czarnej marynarskiej czapce z ogromną, złotą „kapustą” nad daszkiem.

— A może pan pokaże nam swoją kancelarię? — zwrócił się do Charkewicza marynarz.

— O co chodzi? — Ołeh Iwanowicz nie zrozumiał jego słów.

— Rozkaz wyjazdu pan ma?

— Oczywiście. Proszę.

Marynarz spojrział na blankiet z czerwoną pieczęcią Sztabu Generalnego i powiedział:

— Niech pan wsiada! A ty — zwrócił się do lejtenantanta — nie bój się tak o swoją skórę. Masz skórę jak podeszwa, nic ci się nie stanie.

Obrażony lejtenant umilkł i zatrzasnął drzwiczki. Może

nie miał odwagi przeciwstawić się starszemu rangą oficerowi? Charkewicz nie znał się na marynarskich stopniach i nie wiedział, kim jest ten współtowarzysz podróży.

Samochód pędził szybko po zamarzniętym stepie, podskakując i kołysząc się lekko. Wyładowany był skrzyniami konserw, między którymi leżały ośliże mrożone ryby. Pod samą kabiną stały żółte worki, wyglądało na to, że to worki z cukrem.

Marynarz leżał na workach i obojętnie żuł słodkie sucharki. Z kwadratowego suchara odłamywał małe kawałki i powoli wkładał je do ust, tak jak wiejski chłopiec nasiona słonecznika. Na Charkewicza w ogóle nie zwracał uwagi. Aż dziwne, że właśnie ten człowiek okazał mu tyle współczucia i zrozumienia w sprzeczce z lejtenantem i, można powiedzieć, zdecydował o jego dalszym losie. Teraz marynarz spokojnie żuł sobie sucharki i tak był pochłonięty tą czynnością, że nawet nie zaproponował mu, żeby usiadł obok niego, gdzie wiatr mniej dmuchał i było trochę cieplej.

Ołeh Iwanowicz siedział na skrzynce z konserwami i przytrzymywał czapkę, którą wzmagający się wiatr wciąż mu zrywał z głowy. Wiatr ten kłuł i szczypał, nie był podobny do wiatru na początku jesieni, kiedy to jego cieniutkie igielki niezdolne są jeszcze przeniknąć na wskroś. Teraz trzeba było szczelnie otulić się płaszczem, żeby nie złapać grypy, a może nawet zapalenia płuc.

Charkewicz od czasu do czasu odrywał wzrok od ubitej nawierzchni drogi, spod oka spoglądał na swego sąsiada: marynarz miał taką samą okrągłą, puciołowatą twarz, jak i siedzący w kabinie lejtenant. Żywe mocne rumieńce na policzkach czyniły go podobnym do małego chłopca, który do upadłego nabiegał się za piłką, a teraz zmęczony położył się i odpoczywa.

Niebo szybko pociemniało, rzucając na step mieszaninę szarych i fioletowych barw. Na horyzoncie ukazały się zarysy jakichś dziwacznych budowli — na razie trudno było się zorientować, co to jest. Ale już za chwilę wyłonił się z mroku wypalony szkielec piętrowego budynku bez drzwi i okien. Później minęli przerażające ruiny zniszczonej doszczętnie wsi, z której pozostały tylko kominy i piece. Dokoła nie widać było żywej duszy. Zbliżali się do linii frontu. I chociaż nie słyszało się tu jeszcze huku wystrza-

łów, to już na każdym kroku spotykało się tragiczne następstwa działań wojennych: tych milczących, znieruchomiałych świadków.

Marynarz usiadł na workach, nachylił się do Charkewicza i usiłując przekrzywić szum wiatru i stukot kół, huknął mu w samo ucho:

— Może tu gdzieś przenocujemy?

— A co, jesteśmy już na miejscu? — odkrzyknął Charkewicz.

Marynarz zajrzał do mapnika i powiedział:

— Nie. Do Morgun jeszcze dwadzieścia pięć kilometrów. Ale tam na pewno straszny tłok. Trudno będzie znaleźć nocleg. Lepiej gdzieś tutaj się zatrzymać.

— Mnie wszystko jedno — rzekł Charkewicz, wzruszając ramionami.

Marynarz zwrócił twarz ku przodowi samochodu. Stał, rozstawiwszy szeroko nogi, i uważnie wpatrywał się w mroczną przestrzeń, jakby chciał coś dostrzec w granatowym zmierzchu.

W oddali zamigotało światelko. Marynarz nachylił się, wziął dwie mrożone ryby i bez pośpiechu wyrzucił je na drogę. Potem, tak samo sprawnie, wyjął ze skrzynki dwie puszki konserw i wepchnął do kieszeni swego czarnego płaszcza. Charkewicz z uśmiechem przyglądał się jego poczynaniom, ale marynarz tego nie zauważył. Jak tylko uporał się z konserwami, zastukał pięścią w żelazny daszek kabiny.

Samochód zahamował.

— Co się tam dzieje? — zapytał niezadowolonym głosem lejtenant, wyglądając z kabiny.

— Wysiadamy. Idziemy szukać noclegu.

— Tu, na tym polu? — zdziwił się lejtenant.

— Nie. Wrócimy się trochę. Tam widać światło w oknach.

Marynarz ciężko zeskokczył na ziemię i zwrócił się do Charkewicza.

— Niech pan wyrzuci moje łachy.

Charkewicz podał mu walizkę i również wyskokczył na drogę.

— Nie wspominaj nas źle, lejtenancie! — zawołał marynarz na pożegnanie. — Spotkamy się na tamtym świecie!

Lejtenant może nie dosłyszał już tych słów, a może

znów poczuł się urażony. Nie odpowiadając marynarzowi, zatrzasnął drzwiczki kabiny i wkrótce samochód zniknął w gęstniejącym mroku.

W godzinę później siedzieli już obaj w na pół zburzonej chacie i z apetytem zajadali rybę, którą gospodyni upiekła im w piecu.

— Czy nie czas już, abyśmy się bliżej poznali? — zwrócił się marynarz do Charkewicza. — Ja jestem nurek, „morski krab”, jak mówią o nas niektórzy. Nazywam się Chochoł. Lejtenant Chochoł.

— Miło mi poznać — uśmiechnął się Charkewicz.

— A pan?

— Charkewicz. Inżynier energetyk. Pracuję w Moskwie w Ministerstwie do Spraw Elektrowni.

— A, to takie buty! — zawołał Chochoł, jakby nareszcie zrozumiał coś, czego wprawdzie zupełnie nie mógł pojąć. — Jedźcie pan do pułkownika Szumakowa, tak?

— Skąd pan o tym wie? — zdziwił się Ołeh Iwanowicz.

— Słyszałem przecież rozmowę z lejtenantem — roześmiał się Chochoł, obgryzając ości ryby. — Jestem wojskowy i wszystko dobrze zapamiętuję.

Ołeh Iwanowicz przypomniał sobie, że rzeczywiście powiedział to lejtenantowi. Powiedział i zapomniał. A ten jednak pamięta.

— Jeżeli się nie mylę, to my obaj na jednym wozie jedziemy! — Chochoł wytarł usta kawałkiem gazety. — To nieprawdopodobne, co? Ale mimo wszystko na jednym! — śmiał się głośno i zagadkowo.

Charkewicz milczał. Słowa marynarza były zbyt zawiłe i niejasne i Ołeh Iwanowicz nic z tego nie zrozumiał. Sprawa, dla której on tu przyjechał, była ściśle tajna, i nie chciał dyskutować o niej nawet z oficerem.

Marynarz zresztą nie domagał się odpowiedzi. Smaczna i obfita kolacja przywróciła mu dobry humor. Wstał, chrząknął i podszedł do gospodyni, która wraz z dzieckiem przycupnęła na zapiecku.

— Dlaczego nie jecie kolacji razem z nami?

— Jedźcie sami, na zdrowie. My mamy jeszcze trochę chlebka, zjemy sobie później.

— E tam, później! — zawołał Chochoł. Ze skrzyni, któ-

ra zastępowała stół, wziął z talerza drugą, całą rybę, co została po kolacji, i podał ją kobiecie.

— Sam złapałem! — pochwalił się, mrugając ukradkiem do Charkewicza.

— Boże ty mój! — zawołała śpiewnie kobieta. — Zostawcie sobie na śniadanie. Raniutko przecież musicie wyjść. My mamy jeszcze chleb.

— My wojskowi jakoś sobie poradzimy. Da Bozia dzień, da i rybkę — żartował marynarz. — Po jednej konserwie na głowę już nam dobry Bóg wydał. — Chwycił ze stołu puszkę byczków w pomidorach i podrzucił ją do sufitu. — O, widzicie — i śmiejąc się na cały głos, zwrócił się do Charkewicza: — Nic, nic! My sobie pojeździmy jeszcze razem na tym naszym wozie.

Nieco później, leżąc na słomie rozesłanej w kącie izby, okryty płaszczem, Ołeh Iwanowicz długo nie mógł zasnąć, rozmyślał wciąż o tym obcym i nie znanym mu żywiole wojny i frontowym życiu, do którego teraz będzie się musiał przyzwyczaić i dostosować. Na wojnie fińskiej nie zdołał tego życia poznać, gdyż za krótko w niej uczestniczył. Na samym początku walczył trzy dni w batalionie saperów, a potem niewola, aż do końca wojny. Wprawdzie w obozie pod Murmańskiem stykał się z wojskowymi, ale to nie byli żołnierze, lecz strażnicy...

Marynarz urządził sobie posłanie na ławie; na słomie nie chciał się kłaść. Uśmiechał się pod nosem, dogadując, że spanie na słomie jest rozkoszą i on, stary żołnierz, zrzeka się tej przyjemności ze względu na swego przyjaciela, cywila. Nad ranem Charkewicz obudził się i poczuł, że swędzi go całe ciało. W słomie buszowało całe rojowisko pcheł, i teraz zrozumiał nareszcie obłudną wielkoduszność tego chytrusa, który na pewno niejedno w życiu przeszedł i dlatego wie, jak postępować. Na ławie było znośniej niż na słomie. Chochoł leżał na wznak z podłożonymi pod głowę rękami, i spał snem sprawiedliwego, mącąc nocną ciszę prawdziwie bohaterskim chrapaniem.

Chrapanie urywało się czasem i Charkewicz słyszał wtedy dalekie, głuche dudnienie — to front dawał znać o sobie. Patrząc w ciemność, wyczuwał nawet lekkie drżenie ziemi, którą tam, nad Dnieprem, przeorywały niemieckie pociski.

Kiedy Ołeh Iwanowicz otworzył zaspane oczy, w chacie

nie było nikogo. Przez wybite okienko wdzierają się do izby smuga bladego światła, zarysowując w panującym wokół półmroku kontury skrzyni i ogromnego pieca, wypełniającego mroczną przestrzeń chałupy.

Ława, na której spał marynarz, stała pod ścianą tak jak i wczoraj, ale Chochoła nie było. Ołeh Iwanowicz zerwał się z posłania i zajrzał za piec. Tam też nie było nikogo — ani gospodyni, ani chłopca.

Skierował wzrok na skrzynię i od razu zobaczył papierek wystający spod puszki konserw. Przeczuwając w tym jakiś podstęp, wziął do ręki karteczkę, na której widniały słowa: „Do widzenia u Szumakowa”.

Ogarnął go gniew. Nie miał jednak pretensji do tego przewrotnego marynarza, który nie wiadomo dlaczego uciekł, był zły na samego siebie. Teraz nie ulegało już wątpliwości, że u Szumakowa rzeczywiście spotka się z Chochołem. Spotka go i uśmiechnie się zażenowany, jak chłopczyk do dużo starszego od siebie kolegi, który wykrył od razu jakąś tajemnicę malucha i teraz kpi sobie z niego.

Denerwowała go zresztą nie tylko myśl o przyszłym spotkaniu z marynarzem, ale przede wszystkim to, że znów będzie musiał stanąć na drodze, zatrzymywać wojskowe samochody i prosić zarozumiałych lejtenantów, aby go zabrali. Z Chochołem prędzej i łatwiej dostałby się do Morgun.

Charkewicz zgniótł karteczkę i ze złością cisnął ją na ziemię, chwycił swój płaszcz i walizkę i wybiegł na podwórze. Z rozpędu omal nie przewrócił gospodyni, która z naręczem chrustu wracała do chaty.

— Boże ty mój! Dokąd pan tak leci? — zapytała zdziwiona jego wyglądem.

— Muszę się spieszyć — powiedział Charkewicz.

— Może zjadłby pan śniadanie?

— Nie mam czasu. Zjem później.

— Ale palto to trzeba ze słomy otrzepać!

Charkewicz zmieszał się i zaczął czyścić płaszcz. — Zaśpałem, a teraz muszę się spieszyć — usprawiedliwiał się nieśmiało.

Kiedy był już na drodze, odwrócił się i pomachał kobiecie ręką.

— Dziękuję za nocleg!

Wczoraj rano, jak tylko Ołeh Iwanowicz przyszedł do pracy, sekretarka oznajmiła mu, że ma się natychmiast zgłosić do wiceministra Odyncowa. Zaskoczyła go ta wiadomość. Już dwa i pół roku pracował w ministerstwie, ale Odyncow nigdy go jeszcze nie wzywał.

Teraz, kiedy znaczna część przedsiębiorstw znalazła się w rękach nieprzyjaciela, ministerstwo miało mniejszy zakres działania niż przed wojną. Ale praca była trudniejsza: ocalałe elektrownie musiały wytwarzać dużo więcej energii, niż wytwarzały dawniej. Wymagało to od wszystkich pracowników ministerstwa, także i od Charkewicza, zwielokrotnionych wysiłków. Bardzo często trzeba było wyjeżdżać do poszczególnych zakładów, przeprowadzać rozmowy, kontrolować, żądać. Wracając wieczorem do swego ciemnego pokoiku w starym hotelu za Moskwo-reckim mostem, Charkewicz był tak wyczerpany, że od razu padał na łóżko. I bał się, że jutro zabraknie mu sił, aby wstać. Z każdego wyjazdu w teren przywoził wiele ciekawych spostrzeżeń, z których rodziły się później nowe koncepcje i idee. Swoje propozycje starał się natychmiast przedstawiać kierownictwu, aby nie opóźniać podejmowania koniecznych decyzji.

Oczywiście byłoby najlepiej, gdyby Ołeh Iwanowicz mógł sam rozmawiać z ludźmi, od których te decyzje zależały. Ale niestety. Sprawozdania składał zawsze tylko swemu bezpośredniemu przełożonemu, naczelnikowi wydziału Kozłowowi, który wysłuchawszy go, wdrapywał się na czwarte piętro i tam przedstawiał wnioski kierownictwu resortu. Charkewicz nie miał pojęcia o tym, jak on interpretuje jego myśli, jak naświetla zaobserwowane przez niego fakty i jaką treść wkłada w opracowane przez niego koncepcje. Niepokoiło go to, a nieraz nawet oburzało.

I oto — wzywa go wiceminister!

Charkewicz bił się z myślami, usiłował odgadnąć przyczynę tego niespodziewanego wezwania.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy Ołeh Iwanowicz doznał wielu głębokich wzruszeń. Przeżycia jego związane były przede wszystkim z rozwijającą się sytuacją na froncie. Wojska radzieckie ruszyły właśnie do ofensywy w kierunku Dniepropietrowska i Zaporozża i niepowstrzymanie

parły wprost na wielką elektrownię na Dnieprze, gdzie wraz z rodzicami została Ksenia. Rodzice przyjechali do niej tuż przed wojną i już nie zdążyli wrócić do Kijowa.

Ksenię Charkewicz wciąż jeszcze kochał. W ciągu ostatnich dwóch lat nie było dnia, aby o niej nie myślał. Wszystko, co między nimi zaszło, nie miało teraz żadnego znaczenia, rozplynęło się w potoku dramatycznych wydarzeń, wydawało się niegodnym uwagi drobiazgiem.

Teraz Armia Radziecka stała już na lewym brzegu Dniepru, u wrót rodzinnego domu Kseni, a Ołeh Iwanowicz niecierpliwie oczekiwał chwili, kiedy te drzwi się otworzą i znów ją zobaczy.

A może to właśnie o niej chcą mu przekazać wiadomość albo o jej rodzicach — o matce, Lubowii Stepaniwnie, i o ojcu, profesorze Storożence?

Zmieszany i zaniepokojony wszedł do gabinetu Odyncowa. Charkewicz widział go już kilka razy na różnych konferencjach, wiedział nawet, że nazywa się Fedor Stepanowicz i że jest to człowiek surowy i wymagający. Nie podnosząc się z za biurka, Odyncow skinął głową w odpowiedzi na powitanie, zdjął słuchawkę i nakreślił numer.

— Charkewicz jest już u mnie — mówił do kogoś przez telefon. — Może i wy, towarzyszu, chcecie z nim porozmawiać? Przyjeżdżajcie, czekam. — Odyncow odłożył słuchawkę i dopiero teraz, ledwo dostrzegalnym ruchem ręki, poprosił Charkewicza, aby usiadł.

— Długo pan pracował na Dnieprogesie? — zapytał. Głos miał niski i zachrypnięty, jak człowiek, który za dużo pali. Jego masywna postać wyglądała zbyt potężnie nawet za ogromnym ministerialnym biurkiem, zaś szare niemal bezbarwne oczy uważnie wpatrywały się w Charkewicza.

— Trzy lata — odpowiedział Ołeh Iwanowicz. Zaczął się już domyślać, po co został tutaj wezwany.

— Trzy lata — powtórzył Odyncow. — Trzydziesty dziewiąty, czterdziesty i czterdziesty pierwszy...

— Nie, trzy lata przed wojną fińską.

— Tak, tak, zupełnie zapomniałem! — Odyncow wziął do ręki jakiś papier, który leżał na brzegu stołu, przejrzał go pobieżnie i z powrotem położył na dawnym miejscu. — No cóż, na to się nic nie poradzi — podsumował

jakieś własne myśli i zaczął zwięźle, ale bardzo jasno, wyklądać Charkewiczowi sedno sprawy.

Ołeh Iwanowicz słuchał go z bijącym sercem i z wypiekami na twarzy. A więc nie omylił się. Jeszcze dziś będzie nad Dnieprem. Przyszło mu to na myśl od razu, po pierwszym pytaniu Odyncowa. Wojska radzieckie zbliżyły się do zapory i Niemcy mogą ją wysadzić w powietrze. Należy im za wszelką cenę w tym przeszkodzić. Potrzebni są do tego ludzie, którzy tam pracowali, którzy ją budowali i znają wszystkie jej zakamarki jak własną kieszeń. Wielu pracowników ministerstwa zna Dnieproges, ale żaden z nich nie przebywał tam tak długo jak on.

Odyncow zauważył zmianę w nastroju Charkewicza. Spozstrzegł nawet to, że Charkewicz z wyraźnym entuzjazmem przyjął jego propozycję. I chociaż wiceminister uważał się za człowieka opanowanego i rzeczowego, radosne podniecenie rozmówcy udzieliło się i jemu.

— Cieszymy się, że wyrzucamy najeźdźców z naszej ziemi. Ale jeśli dotyczy to naszych stron rodzinnych, to radość ta jest wprost niewypowiedziana.

Odyncow mówił właściwie ogólnie o uczuciach całego radzieckiego narodu, ale Ołeh Iwanowicz wiedział, że słowa te przeznaczone są przede wszystkim dla niego. Wzruszony tym, że Odyncow tak dobrze go zrozumiał, a próbując pokiwał głową.

— Wiele moich wspomnień wiąże się z tymi miejscami.

— To dobrze — zakończył krótko Odyncow i na twarzy jego pojawił się wyraz skupienia i powagi, charakteryzujący ludzi o silnej woli.

Charkewicz mógłby już być wolny, ale, jak wynikało z telefonicznej rozmowy, Odyncow jeszcze na kogoś czekał. Wstał zza biurka i podszedł do ogromnej mapy, wiszącej na ścianie tuż za jego fotelem. Kiedy stał, wydawał się o wiele wyższy niż wówczas, kiedy siedział. W kurtce na pół wojskowego kroju podobny był do Kotowskiiego, którego Charkewicz znał z licznych portretów. Podobieństwo to stało się wprost uderzające, kiedy Odyncow stanął przy mapie i nie zaostrzonym końcem ołówka zaczął wskazywać linię frontu w rejonie dnieprzańskiej zapory.

Ołeh Iwanowicz starał się pilnie słuchać, ale przeszkadzała mu wciąż jedna niepokojąca myśl: czy Odyncow wie,

co szczególnego wiąże go z tym skrawkiem ziemi nad Dnieprem oprócz uczuć wspólnych dla wszystkich mieszkańców tej ziemi? Czy wie coś o Kseni, o profesorze Storozence? I czy nie mówiąc nic o tym, nie okłamuje ludzi, którzy bez względu na jego przeszłość powierzają mu tak ważne zadanie?

A może nie ufaliby mu tak, gdyby wiedzieli, że na prawym brzegu została Ksenia? Może entuzjazm, z jakim podjął się tego zadania, wytłumaczono by sobie tym, że chce się jak najszybciej spotkać ze swoją ukochaną? Charkewicz oczywiście nie wątpił w swoją obywatelską uczciwość. Ale czy jego milczenie nie wyda się podejrzane, jeżeli zastępca ministra dowie się o tym wszystkim nie od niego samego, ale od kogoś postronnego? Czy nie pomyśli, że Charkewicz świadomie milczał, aby zataić przed nim to, co najważniejsze?

Ołeh Iwanowicz denerwował się i nie mógł odpędzić tej uporczywej myśli. Lepiej powiedzieć Odyncowowi, koniecznie powiedzieć, aby nie było żadnych niejasności, i aby ten, który zmuszony jest mu zaufać, wszystko wiedział. Powstrzymywało go tylko to, że Odyncow cały czas mówił i Charkewicz nie miał odwagi mu przerwać. Czekał na odpowiednią chwilę, kiedy zastępca ministra skończy i on będzie mógł się odezwać.

Weszła sekretarka i szepnęła coś Odyncowowi do ucha.

— Czekamy na niego, prosić.

Charkewicz domyślił się, że zaraz ktoś tu wejdzie. Sekretarka skierowała się do drzwi i Charkewicz zrozumiał, że kiedy ona wyjdzie, pozostanie już tylko jedna chwila, kiedy można będzie powiedzieć coś zastępcy ministra.

Sekretarka jednak nie wyszła. Otworzyła drzwi i poprosiła tego, na kogo Odyncow czekał. Był to generał. Na zielonych naramiennikach błyszczały złote gwiazdki, po jednej na każdym. Odyncow wstał i pochylając się lekko nad biurkiem, podał rękę generałowi.

— Proszę, siadajcie, towarzyszu generale.

— Dziękuję, nie mam czasu — generał również wyciągnął rękę. — Wszystko w porządku?

— W porządku! — Odyncow skinął w stronę Charkewicza, który również wstał i mimo woli wyprężył się przy swoim krześle. — Przekazuję wam towarzysza Charkewicza. To, co mi było wiadomo, powiedziałem mu już.

— Porozmawiamy o tym jeszcze u nas. — Generał po-
dał rękę Ołehowi Iwanowiczowi i nie puszczając jego dło-
ni bacznie mu się przyglądał swoimi przenikliwymi oczy-
ma. — Jedziemy, towarzyszu Charkewicz. Na pół godziny
do Sztabu Generalnego — i na lotnisko. Musicie wstąpić
do domu?

— Nie, w Moskwie nie mam nikogo.

— No cóż, tym lepiej.

Odyncow wyszedł zza biurka i odprowadził ich przez
cały gabinet aż do samych drzwi.

4

Ołeh Iwanowicz podszedł do chaty, w której uloko-
wał się dowódca dywizji. Wartownik spojrzął na jego
dowód z pieczętką Sztabu Generalnego i przepuścił go do
skrzypiącej furtki, wcale tym nie zdziwiony, że cywil po-
siada wojskowe zaświadczenie. Wartownik był mało po-
dobny do tych nieprzystępnych posągów w pełnej gali,
jakich Charkewicz widywał nieraz w różnych instytucjach
wojskowych na zapleczu, a nawet i w przyfrontowych
sztabach podczas wojny fińskiej. Wytarty kożuszek, prze-
wieszony przez piersi automat i uszanka, którą ten żoł-
nierz prawdopodobnie nie pierwszy nosił. Wartownik nie
trzasnął obcasami na powitanie i to Charkewicza uspo-
koilo, bo chociaż dobrze rozumiał, że tutaj toczy się długa,
wyczerpująca wojna, a nie błyskotliwe garnizonowe ma-
newry, to mimo wszystko tylko w przybliżeniu potrafił
wyobrazić sobie ludzi, którzy tę wojnę prowadzą.

Zaniepokojenie znikło zupełnie, jak wszedł do chaty
i ujrzał lejtenanta Hołoborodkę. Ołeh Iwanowicz raczej
był pewien, że spotka od razu Szumakowa, i kiedy zoba-
czył przed sobą adiutanta, ucieszył się, że będzie miał
choćby jakiś wstępny etap przed spotkaniem z dowódcą
dywizji.

Poza tym i sam Hołoborodko, i atmosfera zacisza oraz
gospodarskiego porządku wieśniaczej kuchni, w której
urzędował adiutant, rozwiały całkowicie niedawny niepo-
kój. Była to zwyczajna wiejska kuchnia, od pieca pły-
nęło przyjemne, łagodne ciepło, czysto zamieciona polepa

pachniała gliną i kiziakiem*; brakowało tylko schludnej gospodyni z pogrzebaczem w rękę, a zapomnieliby się zupełnie, że kilka kilometrów dalej przyczał się front.

Kiedy Hołoborodko sprawdzał dokumenty, Ołeh Iwanowicz z zainteresowaniem mu się przyglądał. To również nie był ten dziarski, wymusztrowany młodzieniec, jak wyobrażał sobie tego typu wojskowych. Wyblakła od słońca i częstego prania bluza, pas bez koalicyjki, kirzowe buty... Twarz dobroduszną, odrobinę przebiegłą, zadarty nos, pełne, prawie grube wargi... Człowiek o takiej twarzy nie przypominał kadrowego służbisty, jakim powinien być klasyczny adiutant. I to też uspokajało i dodawało pewności, gdyż konkretyzowało, a nawet czyniło przedmiotową i bez tego oczywistą prawdę, że na wojnie, w której uczestniczą dziesiątki milionów ludzi, większość z nich to właśnie tacy jak ten sympatyczny chłopiec.

Adiutant skończył czytanie dokumentów i podniósł na Charkewicza okrągłe, trochę kpiarskie oczy.

— Rozumie pan, pułkownika teraz nie ma, wyjechał na pierwszą linię.

— Trudno. Będę musiał poczekać.

— A może chciałby pan najpierw porozmawiać z podpułkownikiem Sztukarenką, zastępcą dowódcy do spraw politycznych? — Hołoborodko odwrócił się jak na sprężynie i wyjrzał przez okienko. — Zdaje się, że jest u siebie.

— Oczywiście, chętnie. — Charkewicz wstał, zadowolony, że przejdzie jeszcze jedną próbę, zanim stanie przed obliczem dowódcy dywizji.

— Tymczasem szef sztabu znajdzie dla pana jakieś schronienie — dodał adiutant i wyszedł z za swego stolika. — O kwaterę w Morgunach trudno, ale gdzieś pana utka.

Adiutant wyszedł na podwórze bez płaszcza i bez czapki. Charkewicz ruszył za nim. Okazało się, że trzeba przejść tylko do sąsiedniej chaty. Hołoborodko zapukał do drzwi i usłyszawszy basową odpowiedź, wszedł do izby.

— Przyjechał towarzysz z Moskwy, z Ministerstwa do Spraw Elektrowni. — Charkewicz przez drzwi wiodące do sieni usłyszał jego słowa. Dobrze, że został nieco w tyle,

* Sprasowany w kostki nawóz służący za opał

bo nieprzyjemnie byłoby czekać w sieni, aż Hołoborodko go zamelduje.

— Aha! Dawaj go tu, dawaj! — rozległ się ten sam niski basowy głos.

Hołoborodko wpuścił Charkewicza do izby i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Na wilgotnej ziemi słychać było tupot jego szybkich kroków, kiedy biegiem wracał do swojej chaty.

— Czekamy, czekamy! — Sztukarenko stał prawie tuż przy progu, z wyciągniętą na powitanie ręką. — Witajcie, towarzyszu Charkewicz. Cieszę się, żeście szczęśliwie do nas dotarli.

Ołeh Iwanowicz przerzucił walizkę do lewej ręki i od razu poczuł mocny uścisk kościstej dłoni Sztukarenki. Był to mężczyzna wysoki, wyraźnie przygarbiony. Naramienniki zsuwały mu się z pochyłych ramion, jakby specjalnie po to, aby łatwiej było zobaczyć na nich złote gwiazdki. Sztukarenko uśmiechał się życzliwie cienkimi wargami. Ciemne, lekko przymrużone oczy wpatrywały się w Charkewicza uważnie i przenikliwie, ale też z życzliwością.

Zdawało się, że wzrok ten usiłuje na wskroś przeniknąć nowego człowieka i jakby mówić: „Ty, człowieku, nie próbuj nic przede mną ukrywać, otwieraj od razu serce, bo ja i tak cię rozgryzę, mój drogi”.

— Rozbierzcie się, towarzyszu — powiedział Sztukarenko i wypuścił dłoń Charkewicza. — Siadajcie.

Ołeh Iwanowicz schylił się, aby postawić w kącie swoją walizkę, i stanął jak wryty. Przy stole siedział jego wczorajszy towarzysz podróży — lejtenant Chochoł w czarnym marynarskim płaszczu. Siedział i uśmiechał się.

— No, jak się spało? — Chochoł wstał i podał Charkewiczowi rękę. — Pchły nie gryzły?

Ołeh Iwanowicz uśmiechnął się:

— Ale pan chytry!

— Starzy znajomi? — zapytał Sztukarenko.

— Nie bardzo starzy, ale dosyć bliscy — roześmiał się na głos Chochoł i znów zwrócił się do Charkewicza: — No i co, jedziemy jednak na jednym wozie? — Zabawnie mrugnął na niego i wybuchnął gromkim śmiechem.

— Nie wiem, być może. — Charkewicz też się uśmiechnął, ale unikał konkretnej odpowiedzi, teraz już nie dla-

tego, że się z nią krył; obecna była tu trzecia osoba, która mogła ich nie zrozumieć.

Okazało się, że tak jak napomykał Chochoł, rzeczywiście będą obaj ściśle ze sobą współdziałać, choć jeden będzie pracował pod wodą, a drugi na powierzchni.

Ponieważ Szumakow jeszcze nie wrócił, Sztukarenko wprowadzał ich w tok sprawy. W pierwszych dniach września Niemcy zgromadzili w pobliżu zapory dwanaście wagonów materiałów wybuchowych i pięćset bomb lotniczych. Cały ten niszczycielski ładunek zamurowano w zaporze, w specjalnie wykutych pomieszczeniach. Gdzie one się znajdują, nie wiadomo. Prawdopodobnie rozrzucone są w kilku miejscach. Jednym ładunkiem, nawet o bardzo dużej sile wybuchu, można zburzyć jedynie część, a nie całą zaporę, a Niemcy chyba do tego właśnie zmierzają. Trzeba za wszelką cenę unieszkodliwić ładunek, uczynić wybuch absolutnie niemożliwym, a więc szukać nie samego ładunku, ale odnaleźć i przeciąć kabel, który do niego prowadzi. Istnieje tylko jedna pewna gwarancja — kabel należy przeciąć nie w którymkolwiek miejscu, lecz tam, gdzie wchodzi on w korpus zapory, czyli na terytorium opanowanym przez wroga. I najważniejsze: przeciąć go tak, aby Niemcom się nawet nie śniło, że coś podobnego się stało.

Ani Sztukarenko, ani Chochoł nie mogli w pełni uświadomić sobie, z jakimi ogromnymi trudnościami wiąże się wykonanie tego zadania.

Sztukarenko rozumiał wprawdzie, że jest ono niełatwe, gdyż wróg bacznie obserwuje zaporę, i to nie tylko z prawego brzegu, ale i z Chortycy — wysepki położonej akurat naprzeciw zapory. Trzeba więc będzie działać na oczach uważnych obserwatorów.

Chochoł też zdawał sobie sprawę, że zadanie nie jest proste i lekkie, i że to nie będzie zwykłe podwodne rozpoznanie, jakich miał już setki za sobą. Po pierwsze, Dniepr to nie morze z nieograniczonym przestworem dla podwodnych działań. Po drugie, jak się domyślał, zarówno z czasów budowy, jak i z okresu pierwszych zniszczeń na dnie rzeki zostało sporo wszelkiego rodzaju rupieci, które będą utrudniać pracę nurka. Mimo to wierzył, że wszystkie te przeszkody uda się jakoś pokonać i wypełnić zadanie.

I tylko Charkewicz nie miał złudzeń. Doskonale wiedział, co ich czeka.

Jeszcze w jesieni czterdziestego pierwszego roku czytał raport minerów, którym powierzono zdeorganizowanie pracy na zaporze, aby Niemcy nie mogli z niej korzystać. Działali oni bardzo ostrożnie, wysadzali tylko to, co po zwycięstwie można było łatwo odbudować. A mimo wszystko były to zniszczenia, które miały stworzyć na zaporze straszliwy chaos. Zburzono mosty i potężne dźwigi, zerwano tory kolejowe i ogromne stalowe zasuw... Wszystko to na ogół runęło do wody i zostało na dnie, zawalając je tak, że nurek albo się wycofa, albo zapłacić się i zginie. Jeśli chodzi o samą zaporę, to ludzie, którym wypadnie na niej pracować, będą musieli pokonać więcej niż trzydzieści ogołoconych przez wybuchy, ocalałych betonowych filarów — każdy z nich to prawie dwudziestometrowa ściana, na której nie ma się o co zaczepić. Ten, kto nigdy nie widział ich z bliska, nie potrafi sobie nawet wyobrazić, co to takiego. Charkewicz wyobrażał sobie — kto jak kto, ale on nałaził się kiedyś obok nich.

Ołeh Iwanowicz nie wypowiadał jednak na głos swoich zastrzeżeń, bo nie widział jeszcze na własne oczy, jak zaporą teraz wygląda. Zawodowy nawyk inżyniera nie pozwalał mu podejmować pochopnych decyzji. Musi najpierw przedostać się do tych ruin, obejrzeć wszystko na miejscu i dopiero później wyciągać wnioski.

I jakby odgadując myśli Charkewicza, Sztukarenko powiedział:

— Chętnie porozmawiałoby się o Moskwie, co tam i jak tam. Ale cóż, teraz nie czas na to. Trzeba chyba rzucić okiem na zaporę. Prawda?

— Trzeba — zgodził się Charkewicz.

— Pierwsza linia przebiega po samym brzegu, a więc można się blisko podczołgać — wyjaśnił Sztukarenko. — Niemal do śluzy.

— Ach tak! A więc dzieli nas tylko rzeka — wymówił cicho Charkewicz, do nikogo się nie zwracając.

— Niestety, nie tylko — uśmiechnął się Sztukarenko. Zrozumiał on dosłownie wypowiedź Charkewicza, myśląc o dwóch wrogich siłach, które zaległy na brzegach wielkiej rzeki i uważnie śledzą się nawzajem: dwie siły,

gotowe zalać jedna drugą ogniem i rozpalonym żelazem, jeżeli któraś z nich się poruszy i nieostroźnie się zdradzi.

Ołeh Iwanowicz zawarł w swoim pytaniu jeszcze i inną, dla niego tylko zrozumiałą treść. Pomyślał o sobie i o Kseni, która, jak się spodziewał, w tej chwili przycałała się gdzieś tam, za Dnieprem. Prawdopodobnie nie podejrzewa nawet, że dzieli ich wprawdzie wzburzona i niepokonana, ale tylko ta sina wstęga dnieprzańskiej wody.

5

W towarzystwie lejtenanta Hołoborodki dotarli samochodem prawie do przedmieścia Nowego Zaporozża. Dalej niebezpiecznie już było jechać, musieli więc dojść pieszo do pierwszego batalionu, który zajmował pozycje przy samej służbie. Chochoł przez cały czas gadał, nie uciszając się ani na chwilę: opowiadał przeróżne historie. Kończył jedną i natychmiast zaczynał drugą, jakby miał je nagrane na płycie, która się cały czas kręci.

Ołeh Iwanowicz nie miał ochoty do rozmów. Całym swoim jestestwem wyczuwał, że z każdym krokiem zbliża się do granicy, która tak lub inaczej zmieni cały kierunek jego przyszłego życia, jeżeli oczywiście sążone mu jest żyć, a nie zginąć. Nigdy jeszcze nie uświadamiał sobie tego tak jasno — ani wtedy, gdy dwaj krzepcy narciarze fińscy wyskoczyli z zasadzki, rzucili się na niego, skrepowali mu ręce i wzięli go do niewoli, ani w czasie wymiany jeńców, kiedy to żołnierze straży granicznej przywitali go uroczyście i pogratulowali mu szczęśliwego powrotu do ojczyzny, ani też później, kiedy wywieziono go gdzieś pod Murmańsk, a nie, jak się spodziewał, do domu. Wtedy również bieg jego życia gwałtownie się zmieniał, ale w tamtych wszystkich wypadkach jego wola i rozum nie miały żadnego znaczenia. Teraz czuł, że sam swoimi czynami i zachowaniem zadecyduje o swojej przyszłości, która zależy tylko od tego, czy znajdzie w sobie dość sił, aby podołać zadaniu, które z taką ufnością mu powierzono. Pierwszy raz w życiu trzymał swoją przyszłość we własnych rękach i czuł cały ciężar odpowiedzialności przed samym sobą.

Chochół opowiadał różne wesołe przygody. Drażniły one Charkewicza swoją krzyżącą niedorzecznością. Ale Ołeh Iwanowicz rozumiał, że gadatliwy nurek nie ma żadnego pojęcia o dręczących go niepokojach, opanowywał więc złość i nie przeszkadzał mu w opowiadaniu. Naraz przyszła mu do głowy zabawna myśl: może Chochół tak bez troski papie dlatego, że dużo czasu spędza na morskim dnie w swoim ciężkim nurkowym skafandrze i na ogół nie ma z kim zamienić słowa, jeśli nie brać pod uwagę krabów i ryb, które Pan Bóg skrzywdził przy podziale przeklętego daru mowy.

Przed nimi coraz częściej wybuchała strzelanina. Nad ich głowami z wibrującym, melodyjnym świstem przelatywały pociski i miny. Wyczuwało się jednak, że strzelają na oślep, że na tym odcinku ogromnego frontu wojna zmęczyła się czy też opanowała ją senna obojętność. Świst pocisków wydawał się nienaturalny, trudno było sobie wyobrazić, że nad głową przelatuje rozpalony metal. Wyglądało raczej na to, że zerwało gdzieś z dachu kawał zardzewiałej blachy, która leci i bezsilnie wiruje w powietrzu.

Hołoborodko pobiegł naprzód do widniejących w pobliżu budynków, a oni usiedli na kamieniu, czekając na jego powrót. Chochół znów opowiadał jedną po drugiej swoje historie.

Nareszcie i on zamilkł. Wyczuł na pewno, że Charkewicz w ogóle go nie słucha, zajęty zgoła innymi myślami. Przez chwilę obaj milczeli, a potem nurek zapytał:

- A więc pan jest tutejszy?
- Nie, ja jestem z Charkowa, a tutaj tylko pracowałem.
- Jak pan pracował, to chyba i mieszkał?
- Owszem, mieszkałem...
- A gdzie pana rodzina?
- Nie wiem.

Chochół zachmurzył się.

- Teraz nikt z nas nie wie nic o swojej rodzinie.

Charkewicz spojrział na niego z ukosa, w jego słowach wyczuwało się jakąś osobliwą treść, jakąś niespodziewaną gorycz albo tęsknotę.

- Ja też miałem rodzinę, a teraz nie mam...

Ołeh Iwanowicz milczał i patrzył przed siebie — na drogę. Nie odważył się pytać, ale Chochół sam się odezwał.

— Kiedyś, jeszcze w Archangielsku, dostałem list. Miałem sąsiada, był profesorem zoologii czy coś w tym rodzaju. Wieczorami grywaliśmy z nim w warcaby, wspinały człowiek. Zawiadomił mnie, że ona wyjechała z Leningradu. Ewakuowano ją do Ufy. — Przez chwilę milczał, jakby się wahał, a potem westchnął. — Między nami jeszcze przed wojną zerwała się nitka. Rozumie pan, pewne okoliczności... — I znowu umilkł.

Ta niespodziewana szczerość wydała się tak niepodobna do Chochoła, że Charkewicz, przejęty współczuciem, od razu poczuł do niego zaufanie.

Aha! Wiem już, co znaczy ta beztroska gadatliwość, pomyślał. Dymna zasłona.

— Teraz ona jest w Ufie?

— W Ufie. Ze szpitalem.

— Lekarka? — Ołeh Iwanowicz koniecznie chciał go pocieszyć. — Wojna się skończy, znów się spotkacie.

— Ale skądże, to nie w tym rzecz. — Chochoł rzucił na ziemię niedopałek, iskry rozsypały się na wszystkie strony, podchwycił je wiaterek i zgasił. — To wszystko dosyć skomplikowane. Może po wojnie się zrozumiemy. Tylko czy dożyjemy?

Zza wzgórza wyłonił się Hołoborodko, biegł do nich i dawał im rękami jakieś znaki.

— Chodźcie tutaj! — Adiutant zatrzymał się na drodze, i przekonawszy się, że go usłyszeli, zawrócił.

Chochoł i Charkewicz raźnie się poderwali i ruszyli za nim. Było już prawie ciemno. Chmury kłębiły się nad głowami i zdawało się, że lada chwila zaczną się deszcz. Z półmroku, jakby z jakiejś bezdennej próżni, wyłaniały się niewyraźne kontury zabudowań. A więc doszli już do Szóstego Osiedla — tak dawniej nazywano Nowe Zaporoże. Charkewicz w żaden sposób nie mógł się przyzwyczać do nowej nazwy, może dlatego, że miasto wyrastało na jego oczach i dobrze jeszcze pamiętał te czasy, kiedy większa jego część była rzeczywiście robotniczym osiedlem.

Ołeh Iwanowicz znał tu każdą ulicę i każdy dom. Najlepiej byłoby iść przez śródmieście, ale Hołoborodko nie wiadomo czemu skręcił w boczną ulicę. Dopiero teraz Charkewicz zauważył, że adiutant nie jest sam, że ktoś jeszcze idzie z nim i pokazuje drogę.

Tutaj już wszystko wskazywało na to, że są na froncie.

W zaułkach, którymi przedzierali się do zapory, oprócz nich nikogo nie było widać, ale odgadywało się obecność wielu ludzi. Nad Dnieprem od czasu do czasu odzywały się karabiny maszynowe. Ściany budynków stały blisko siebie i osłaniały ich swoimi poszarpanymi plecami. Ale czasem jakiejś chytrej kulce udało się aż tu prześliznąć przez zwarty front zabudowań i wówczas gdzieś w górze rozlegał się bolesny brzęk cudem jeszcze ocalałej szyby i na chodnik sypały się drobne kawałki rozbitego szkła.

Znaleźli się teraz u wylotu głównej ulicy, która wychodziła wprost na zaporę, jakby stanowiła jej bezpośrednie przedłużenie. Dalej trzeba się było ostrożnie przemykać, a nie iść, gdyż ulica znajdowała się pod ostrzałem karabinów maszynowych, które były z prawego brzegu. Charkewicz zobaczył, jak idący na przodzie nieznajomy żołnierz pochylił się i jednym susem przeskoczył ulicę. Hołoborodko pobiegł za nim, ale w tej chwili wzdłuż ulicy chłasnęła salwa karabinu maszynowego. Hołoborodko upadł na bruk i zamarł. Chochoł przystanął na rogu i przywarł do ściany. Charkewicz zrobił to samo. Przez chwilę stali z zatajonym oddechem. Trudno było powiedzieć, czy Hołoborodko żyje. Naraz jednak adiutant się poderwał i przebiegł na drugą stronę.

Wkrótce był tam już i Chochoł. Zatrzymał się na drugiej stronie i krzyknął do Charkewicza, który wciąż jeszcze stał na rogu.

— Prędzej! Prędzej!

Ołeh Iwanowicz pobiegł, ale nad głową znów zagwiżdżało. Naśladując adiutanta, upadł na środku jezdni. Serce kołatało, jakby usiłowało wyrwać się przez gardło. W końcu poderwał się na nogi, jednym tchem przeskoczył ulicę i znalazł się obok na wpół zrujnowanego budynku.

— No, wszystko w porządku — stwierdził Hołoborodko. — Poczekaście tu, a my przesuniemy się trochę do przodu.

Charkewicz i Chochoł siedzieli znów razem na kamiennym występie i obaj milczeli. Oddech powoli się uspokoił, i serce zaczęło bić niemal równym rytmem.

— Znajome miejsca? — zapytał Chochoł.

— Znajome. Tylko trudno je poznać.

— A co to za budynek? — Chochoł obejrzał się na ciemną ścianę wznoszącą się za ich plecami.

— Komitet Dzielnicowy.

— Można się zarejestrować! — Chochoł roześmiał się cicho. — Legitymację partyjną ma pan przy sobie?

— Nie, nie mam.

— Ach tak — powiedział Chochoł, i nie było wiadomo, jak on zrozumiał odpowiedź Charkewicza: nie ma legitymacji przy sobie czy też w ogóle jej nie ma.

Ołeh Iwanowicz nadśłuchiwał zdziwiony. Pośród odgłosów, które tu dobiegały, brakowało jeszcze jakiegoś, i usiłował przypomnieć sobie jakiego. Siedział na najdalej wysuniętych pozycjach, ale nie słyszał bojowego zgiełku — nawet takiego, jaki bez przerwy słyszało się na wojnie fińskiej. Nie to go jednak zastanawiało. Niepokoił go brak dźwięku, bez którego niepełny stawał się obraz tego miejsca w ogóle — i ten widok, i ta ulica, chociaż opustoszała i zniszczona, ale znajoma do najmniejszego szczegółu. Przysłuchiwał się temu, co mówił Chochoł, obawiając się palnąć jakieś głupstwo w rozmowie, gdyż nurek mógłby pomyśleć, że na pierwszej linii strach go cbleciał i że czuje się tu nie w swoim sosie. A mimo wszystko nic nie mógł poradzić — niepokoił się i usiłował zrozumieć, co się tu teraz zmieniło, jakiego dźwięku mu tutaj brakuje?

Nareszcie przypomniał sobie: nie słychać szumu wody, która późną jesienią przelewała się zawsze przez betonowy stok zapory z górnego poziomu. „Że też od razu na to nie wpadł”. Charkewicz był zadowolony, jak to bywa z człowiekiem, który długo czegoś szukał i raptem to znalazł. Ale odnaleziona zguba nie cieszyła go, napełniała serce nową trwogą i ciężkimi przecuciami.

Z lewej strony zagwizdał Hołoborodko. Podnieśli się i zobaczyli go niedaleko w dole. Znów machał ręką, wzywał ich do siebie.

Pochyleni, przebiegając ostrożnie z miejsca na miejsce, zbliżyli się do adiutanta. Czekał na nich ukryty w głębokiej jamie, gdzie pociski nie mogły dolecieć.

— Pan pójdzie z nim — wskazał Charkewiczowi żołnierza siedzącego na dnie dołu. — A was, lejtenancie — zwrócił się do Chochoła — interesuje pewnie Jezioro Lenina, chcecie zobaczyć, co tam?

— Rybę interesuje, gdzie głębiej — odpowiedział Chochoł. — Pewnie powyżej zapory.

— Pójdziecie ze mną — oznajmił Hołoborodko i wyszedł. Nurek rzucił Charkewiczowi:

— Powodzenia!

I zniknął w mroku za Hołoborodką.

Wkrótce Charkewicz stał już za ogromną kamienną bryłą poniżej zapory. W dole czerniała betonowa otchłań śluzy — ściemniło się i trudno ją było zobaczyć, ale Ołeh Iwanowicz i tak wiedział, że tam jest śluza. W gęstym mroku z rzadka rozbłyskiwała rakietą, oświetlając widnokrąg migotliwym, nienaturalnym blaskiem. Zapora wznosiła się przed nim, jej ciemna ściana zlewała się prawie z nocą. Trudno było nawet powiedzieć, czy widzi na pewno jej zarys, czy tylko tak mu się zdaje, gdyż zbyt głęboko wryła się w pamięć i mogło się zdarzyć, że wyobrażenie przyjmuje za to, czego teraz nie może dojrzeć.

Zaczął już wątpić w celowość tej nocnej wyprawy. On przecież musi wiedzieć, jak zapora teraz wygląda, aby zdecydować, z której strony należy podejść, aby lepiej wykonać swoje zadanie. Ale Charkewicz prawie nic nie mógł zobaczyć, i to go bardzo martwiło.

Nagle cienki promień reflektora przeciął mrok i wyrwał z ciemności kawał przelewu i dwa betonowe filary. Charkewicz spojrział w lewo i zrozumiał, skąd bije światło. Po prostu Niemcy z Chortycy od czasu do czasu oświetlają zaporę reflektorem, aby się przekonać, czy nikt się na nią nie dostał. Strumień promieni przesunął się w prawo, obmacywał każdy filar, to zatrzymując się na moment, to wolno pełznąć dalej. Niemcy pokazują mu zaporę, aby przekonał się, jak znikome są jego szanse, pokazują dokładnie i wszechstronnie, aby zdążył wszystko dobrze obejrzeć i utwierdzić się w przeświadczeniu, że tędy nikt nie przejdzie na prawy brzeg. W blasku reflektora wyraźnie zarysowywały się potworne szczątki stalowych konstrukcji, sterczące pod ciemnym, jesiennym niebem, i dwie ogromne wyrwy w masywnym korpusie zapory — pozostałości po wybuchach z czterdziestego pierwszego roku. Potem promień popęzł w dół, aż do samej wody i Charkewicz zobaczył, że prawie spokojnie rozlewa się ona pod zaporą. Jakżeż było to niepodobne do zwykłego obrazu wody dolnej, gdzie zawsze kłębiły się olbrzymie, spienione bałwany, które najpierw powolnymi strugami ściekały z betonowego grzbietu, a potem, przewaliwszy się przezeń,

z rykiem spadały w dół, burząc się i rozpryskując na miliardy bryzgów! Teraz panowała tu cisza. Niespodziewane serie i pojedyncze strzały odbijały się długim, przeciągłym echem, jakby wokół rozciągał się las lub głucho pustkowie. I to zdumiewało, było tak niezwykle w tym miejscu zalanym niegdyś potokami wesołych świateł i wypełnionym radosnym gwarem, że trudno było przywyknąć do myśli, że tego wszystkiego już nie ma.

Reflektor znów zatrzymał się gdzieś na środku zapory. Przez jakiś czas oświetlał tylko jeden punkt, jakby ktoś, kto kierował promieniem, zmęczył się i wypuścił ster z rąk. Nagle w głębi ciemnej wyspy rozległ się armatni wystrzał, i za moment pocisk rozerwał się właśnie w tym miejscu, które dopiero co wskazywał reflektor. Charkewicz był pewien, że tam nie ma nikogo, strzelali na chybił trafił, bez żadnego konkretnego celu. Pocisk odłupał kawał betonu, który z głuchym dudnieniem potoczył się w dół i zanurzył się w spokojnej wodzie.

Reflektor poświecił jeszcze przez chwilę i raptem zgasł. Promień zniknął tak samo nieoczekiwanie, jak przedtem się zapalił. Wydawało się, że to jakiś tajemniczy kinooperator wyłączył swój magiczny aparat i przerwał dlaczegoś projekcję tego dziwnego filmu, którego akcja zaczęła się dopiero rozwijać przed zdumionymi oczyma Charkewicza. Może film się skończył, a może tylko zerwała się taśma i trzeba trochę poczekać, dopóki ktoś jej nie sklei i aparat znów nie zacznie działać? Charkewicz czekał. Dokoła była cisza i nieprzenikniona ciemność. Stał jeszcze przez kilka minut, ale reflektor nie ożył.

Wówczas odwrócił się twarzą do zabudowań i wyszedł spoza kamiennej bryły. Usłyszawszy jego kroki, wstał też i żołnierz, który go tu przyprowadził. W martwej ciszy słyhać było, jak osuwają mu się spod nóg kamienie, kiedy wychodził na górę.

6

Kiedy Charkewicz wrócił do Morgun, zastał już tam Chochoła. Okazało się, że nurek dawno czeka na niego, gdyż obaj mają natychmiast iść do Sztukarenki na pilną naradę.

Była pierwsza godzina w nocy. Na dworze się oziębiło, wiatr zmienił kierunek i dał z północy — niedawna mżawka zmieniła się w kłującą lodową krupe.

Stojący przy furtce wartownik okazał się bardziej wymagający niż ten, z którym Ołeh Iwanowicz zetknął się przed kwaterą dowódcy dywizji. Niespodziewanie, jak zjawa, wyłonił się z mroku i głosem nie znoszącym sprzeciwu ostro zawołał:

— Stać! Przepustka!

Chochół szepnął mu coś do ucha i wartownik ich przepuścił. W izbie zebrało się sporo osób. Za stołem, oprócz Sztukarenki, siedział okrągłolicy pułkownik, i Charkewicz domyślił się, że to właśnie Szumakow — dowódca dywizji.

— No, nareszcie! — mruknął Sztukarenko, jak tylko zjawili się w drzwiach. — Siadajcie. Czekamy.

Sztukarenko wydawał się teraz bardziej oficjalny i surowy niż w dzień, kiedy Charkewicz zobaczył go pierwszy raz. Może był zmęczony, a może wpływała na to i sama atmosfera tego szczególnego zebrania, które przecież wymagało jasności myśli i skupienia. Szumakow natomiast robił wrażenie wypoczętego i uprzejmego, jego okrągła, starannie wygolona twarz tryskała zdrowiem i męstwem. Średniego wzrostu, dobrze zbudowany, wyglądał na nieco starszego, niż był w rzeczywistości. Można było przypuszczać, że ma już około czterdziestki, chociaż niedawno skończył trzydzieści pięć lat.

Podczas kiedy Sztukarenko wyjaśniał sprawę nieobecności jednego z wezwanych na naradę, Charkewicz ukradkiem zerkał na Szumakowa. Pułkownik nie wyglądał wcale na typowego zawodowca, chociaż Ołeh Iwanowicz wiedział, że dowódca dywizji powinien być oficerem kadrowym. Zachowywał się swobodnie, nie dawał odczuć, że jego obecność w jakiś sposób wszystkich zobowiązuje, dlatego też nikt nie czuł się przy nim zażenowany i skrupowany. Charkewicz zauważył, że Szumakow, siedząc w kątku, przez cały czas wykonuje jakieś szybkie ruchy prawą nogą, wyciągając to znów wsuwając do buta piętę, jakby mu zmarzła i chciał ją rozgrzać. Zaczepiał przy tym czubkiem lewego buta o obcas prawego i ściągał go tak zręcznie i szybko, jak człowiek, który przyzwyczai się do jakiegoś ruchu i wykonuje go już podświadomie. Pułkownik rozmawiał po cichu z siedzącym obok

niego lejtnantem, przeszkadzało to Sztukarence w skupieniu myśli, a więc czasem z ukosa na nich spoglądał, ale nie zwrócił Szumakowowi uwagi.

— No i co pan zobaczył na miejscu? — Sztukarenko zwrócił się do Charkewicza. — Proszę meldować.

Pytanie padło zupełnie niespodziewanie, Ołeh Iwanowicz oderwał wzrok od Szumakowa i natychmiast się opanował.

— Żałosne widowisko — powiedział.

— Zabawnych scen teraz mało. Zresztą nie na rozrywkę przyjechaliśmy tutaj, ale na wojnę — zauważył gniewnie Sztukarenko.

Zabrzmiało to jak upomnienie czy też próba przywołania człowieka do porządku.

Charkewicz wstał.

— Może pan usiąść.

Ołeh Iwanowicz nie usiadł jednak. Oczywiście było to nieodpowiednie słowo, wyrwało mu się niechcący, gdyż zmienacka go zagadnięto. Szkoda, że tak zaczęła, ale nie zbiło go to z tropu i nie stracił wątku.

— W nocy trudno coś dokładnie ustalić — zaczął, usiłując uważać na słowa i wypowiadać się jak najściślej — ale jestem pewny, że przez zaporę niełatwo się będzie przeprawić. Szczególnie że trzeba to chyba robić potajemnie, prawdopodobnie w nocy.

— To zasadniczy warunek — przerwał mu Sztukarenko.

— Mostu dla pieszych nie ma, trzeba sforsować ponad trzydzieści ocalałych filarów, a każdy z nich ma dwadzieścia metrów wysokości.

— Czy pan przyszedł nam udowodniać, że to niemożliwe?

— Nie, dlaczego... — zmieszał się Charkewicz. — Ja tego nie powiedziałem. Potrzebni mi są ludzie znający się na wspinaczce. — Ołeh Iwanowicz zrozumiał, że oczekuje się tu od niego konkretnych propozycji, a nie wykładu o trudnościach i obawach.

— Ludzie tacy się znajdują. Nawet cyrkowi akrobaci — wtrącił się raptem Szumakow, a jego uwaga zabrzmiała życzliwie, chociaż z lekkim odcieniem ironii. — Jak myślisz, Amiradze, znajdują się?

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku, znajdują się! — pod-

skoczył i zameldował ten, do którego Szumakow się zwracał. — Łaziliśmy na Zaporozstali, poleziemy i tutaj.

Dopiero teraz Charkewicz spostrzegł, że Amiradze siedział obok niego, czerniawy i drobny jak żuczek.

— Potrzebni mi są nie akrobaci, ale ludzie, którzy potrafią wspinać się po gładkich ścianach — zauważył Charkewicz, nie rozumiejąc, dlaczego pułkownik ironizuje.

— A ty, Kowalczuk, jak tam ze ścianami? — zwrócił się Szumakow do jefrejtora, który siedział obok Amiradzego. Krępy jefrejtor podskoczył, jakby siedział na sprężynie, która się raptem pod nim wyprostowała. Trzasnął obcasami i szybko wyskandował:

— Służę Związkowi Radzieckiemu!

— Wszyscy mu służymy — uśmiechnął się Szumakow — tylko, że nie umiemy łązić po ścianach!

— Dajemy panu do dyspozycji Kowalczuka i Amiradzego — odezwał się znów Sztukarenko. — Obaj są stąd rodem, dobrze znają okolicę. A łażenie po ścianach to też dla nich nie pierwszozna.

— Otrzymał pan dwóch wspaniałych zwiadowców. Można powiedzieć, że spod serca ich wyrywamy — dodał Szumakow.

Charkewicz nie wiedział, co odpowiedzieć na taką uprzejmość, i skinął tylko głową, jakby mówić: dziękuję.

— Dlaczego pan stoi? Proszę usiąść — kontynuował Sztukarenko.

— A wracając do sprawy — wtrącił się znów Szumakow, zwracając się do Charkewicza — przedtem pan nigdy nie zetknął się z nimi?

Charkewicz przyjrzał się Amiradzemu i silnemu barczystemu Kowalczukowi.

— Chyba nie.

— W ogóle wszyscy, prócz nurków, to ludzie tutejsi. Ściągnęliśmy ich z całej armii jak złoty piasek. Może dawniej i nie spotkaliście się, ale jesteście krajanami.

Była to dla Charkewicza miła nowina. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że tak właśnie należało zrobić. Do wykonania zamierzonej akcji najlepiej nadawali się ludzie znający dobrze zaporę.

Oleń Iwanowicz zaczął przyglądać się tym, którzy siedzieli dalej. Dwóch już poznał, a dwaj inni, obok Cho-

choła, to na pewno nurkowie. Domyślił się tego, kiedy zobaczył, jak stale szepczą coś między sobą. Charkewicz zatrzymał wzrok na postaci lejtenanta siedzącego w kącie obok dowódcy dywizji i raptem przemknęła mu myśl: Serhij Rud'! Tak, to był on. Tylko jego spośród wszystkich obecnych znał od dawna i właśnie z nim najmniej chciałby się tu spotkać.

Ale na rozpamiętywanie wspomnień nie było czasu. Sztukarenko znów zaczął mówić i Charkewicz musiał się skupić na czym innym.

— Wy znacie już swoje zadanie, towarzyszu Charkewicz. Za wszelką cenę trzeba przeprawić się przez zapórę i odnaleźć przewód. Taki sam cel ma również grupa nurków, która także spróbuje wyjść na prawy brzeg. Meldujcie, towarzyszu Chochoł, co tam u was?

Chochoł wstał. Trzymał przed sobą plan zapory, który wziął od Charkewicza podczas spotkania u Sztukarenki. Potężna betonowa ściana wyginała się jak ogromna podkowa i, nakreślona cienkim ołówkiem, nawet na papierze sprawiała imponujące wrażenie. Długi szereg filarów — podpór, podtrzymywał ją od środka olbrzymiego półkola. Korpus zapory przecinały dwa ciągle wewnętrzne tunele, biegnące przez całą długość betonowego masywu, od brzegu do brzegu. Górny był większy, swobodnie mógł się w nim zmieścić nawet wagon kolejowy; pod nim był znacznie węższy i nie taki wysoki. Oba, jak widać z rysunku, znajdowały się poniżej poziomu wody w Jeziorze Lenina, i Chochoł rozumiał, że po zburzeniach w czterdziestym pierwszym roku powinny być zatopione.

Milcząc spoglądał na plan, wreszcie się odezwał:

— Przez Jezioro Lenina nie uda się, to zupełnie odkryte miejsce.

— Widzę, lejtenancie, że jesteście w takim samym nastroju jak Charkewicz — roześmiał się głośno Sztukarenko.

Chochoł zerknął na Ołeha Iwanowicza, który zaczął się już denerwować i gotów był wstać i odpowiedzieć na ten uszczypliwy żart.

— Charkewicz nie mówił, że zadania nie można wykonać — odpowiedział zamiast niego Chochoł.

— A jakie są wasze propozycje? — zapytał pojednawczo Sztukarenko.

— W korpusie zapory są dwa tunele... Zdaje się, że

nazywają się sztolnie? — Chochół spojrział na Charkewicza, czekając na potwierdzenie, i kiedy ten skinął, przedstawiał dalej swój plan. — Korytarze te są zatopione i myślę, że nurkowie powinni spróbować tamtędy się właśnie przeprawić.

— A czy to możliwe? — Sztukarenko spojrział na Charkewicza.

— Jeżeli wejścia są zawałone, to jest kilka otworów w filarach. Można się przez nie dostać do sztolni, chociaż w ubraniu nurka będzie to prawdopodobnie za trudne...

— To już jest sprawa samych nurków, co i jak — rzucił znów ostro Sztukarenko. — Są otwory, to przejdą.

Projekt Chochóła, aby spróbować szczęścia w sztolniach, ucieszył Charkewicza. Chociaż pod naciskiem Sztukarenki zmuszony był zgodzić się z tym, że po zaporze też można przejść, to jednak sam nie miał co do tego żadnej pewności. Teraz zaczynał wierzyć, że zadanie mimo wszystko uda się wykonać, i jeżeli nie on, to Chochół wyjdzie na prawy brzeg.

Starał się myśleć tylko o zadaniu, ale niezupełnie mu się to udawało. Mimo woli zerkał wciąż na siedzącego w kącie lejtenanta Rudia i czuł, że to nieoczekiwane spotkanie coraz bardziej go niepokoi. Łączyły ich skomplikowane stosunki, o których nie chciało mu się teraz wspominać. Wszystko minęło, dawno już mchem porosło, i oto znów powracało i znów dręczyło.

Nieprzyjemne było i to, że Rud' ani razu na niego nie spojrział, jakby go nie dostrzegł. Tymczasem Charkewicz siedział twarzą do zebranych, i Serhij nie mógł go nie zauważyć. A może go nie poznaje? Przecież tyle czasu się nie widzieli. Kiedy Ołeh Iwanowicz tuż przed wojną wrócił z niewoli, z Serhijem jakoś się nie zetknął — może był on już w armii, a może po prostu nie nawinął mu się na oczy? Sam Charkewicz ani razu o nim nie wspominał.

Co prawda Ołeh Iwanowicz po powrocie wpadł w takie tarapaty, w takie niespodziewane nieszczęście, że Rud' go nic nie obchodził.

Szumakow wciąż jeszcze rozmawiał z lejtenantem. Na jego twarzy błąkał się niefrasobliwy uśmieszek. Rud' niby od niechcienia napomknął dowódcy dywizji, że zna

Charkewicza od dawna — pracował z nim razem i w ogóle dobrze go zna.

— Jaki to człowiek? — zapytał z cicha pułkownik.

— Na ogół pozytywny — odpowiedział Rud'. — Dobry inżynier. Tylko jego życiorys... Był w niewoli fińskiej, a oprócz tego również...

Szumakow raptem spochmurniał. Nerwowo zacisnął szczęki. Odsunął się od Rudia i wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Potarł jedną zapałkę, drugą... Zapałki łamały się i w żaden sposób nie mógł zapalić. Rud' sięgnął do kieszeni po zapalniczkę i podał pułkownikowi ogień. Szumakow zapalił i nie dziękując odsunął się jeszcze dalej.

Nareszcie narada się zakończyła i wszyscy wstali. Tylko Ołeh Iwanowicz nadal siedział bez ruchu. Zastanawiał się, czy powinien podejść do Rudia, a zarazem obawiał się, że on sam do niego podejdzie.

I Rud' podszedł.

— Czołem, towarzyszu Charkewicz — wyciągnął rękę.

— Spotkaliśmy się. Ziemia jest okrągła.

Charkewicz podał mu rękę, ale nic nie odpowiedział.

— Będziemy razem wojować. Cieszę się z tego. — Serhij uściśnął chłodną dłoń Ołeha Iwanowicza i chciał coś jeszcze dodać, ale w tej samej chwili Sztukarenko zawołał:

— Towarzyszu Charkewicz, zatrzymajcie się chwilę.

Wszyscy wyszli i Charkewicz został sam ze Sztukarenką.

— Mamy podobną budowę — mówił Sztukarenko, wychodząc zza stołu. — Na razie pożyczę panu swój płaszcz. Mam dwa, a cywilny nie bardzo tu pasuje. Mogą jeszcze wziąć pana za szpiega — uśmiechnął się, i zdjąwszy z gwoźdźca wojskowy płaszcz, podał go Charkewiczowi.

— Dziękuję. — Ołeh Iwanowicz był zaskoczony. Po tylu ostrych uwagach, których niedawno wysłuchał od Sztukarenki, nie spodziewał się po nim takiej troskliwości.

— W tych dniach przywiozą umundurowanie, otrzyma pan wszystko, co trzeba, a płaszcz mi pan zwróci.

— Tak jest!

Charkewicz wyszedł na ulicę i poprzez chłodny mrok grudniowej nocy powlókł się do swojej chaty. Długi dzień pełen wydarzeń i wzruszeń bardzo go zmęczył, ale nieoczekiwane spotkanie z Rudiem napełniało nowym

niepokojem, podniecało i martwiło. Budziło przeszłość, wywoływało wspomnienia, które lepiej, aby nigdy nie ożywały — szczególnie tutaj i w takiej chwili.

7

Lubow Stepaniwna postanowiła nie mówić mężowi na razie o kartce od Kseni. Jeżeli ona zemdlała z radości, to co będzie z nim, przy jego chorym sercu? Lepiej go przygotować, przyzwyczaić do myśli, że Ksenia żyje, zmusić, aby uwierzył w cud. Dopiero potem pokazać karteczkę i opowiedzieć o posłańcu. Swoją lekarską torbę położyła na stole, aby na wszelki wypadek mieć ją pod ręką — lekarstw zostało niewiele, ale waleriana jeszcze była.

List rozrastał się, na stole leżało już dwanaście stroniczek wypełnionych małymi, okrągłymi literami. Przeczytawszy je, Lubow Stepaniwna doszła do przekonania, że o najistotniejszych sprawach właściwie nic jeszcze nie powiedziała. Dotychczas władały nią tylko uczucia, trzeba więc jak najszybciej uwolnić się od nich i przejść do rzeczy. Czas ucieka. Kuźma Iwanowicz powinien już wkrótce wrócić i jeżeli chce go przygotować, musi skończyć list, dopóki mąż na bazarze.

Stało się jednak zupełnie inaczej, niż przypuszczała. Zaledwie zdążyła się skupić na głównych wydarzeniach z ostatnich dwóch lat, gdy nad budynkiem przeraźliwie coś zagwizdało i gdzieś w pobliżu rozległ się wybuch. Lubow Stepaniwna zerwała się i zbiegła na dół. W tej właśnie chwili otworzyły się drzwi i na progu ukazał się Kuźma Iwanowicz. Wybuch nie przeraził go wcale — na odwrót, twarz miał rozpromienioną.

— Nasze wojska po drugiej stronie zapory! — krzyknął i zaczął obejmować żonę.

Na razie nie słysząc było dalszych wystrzałów i Kuźma Iwanowicz szybko pobiegł na górę. Oczywiście od razu zobaczył na stole zapisane stroniczki i kartkę od Kseni.

Nie było wyjścia, Lubow Stepaniwna musiała mu wszystko opowiedzieć.

Kuźma Iwanowicz zamarł oszołomiony. Twarz mu pobladła, policzki drżały.

— Co za nędznik ze mnie — wymówił cicho, ale wyraż-

nie. — Kiedy inni walczyli, ja handlowałem śmierdzącymi zapawkami.

Lubow Stepaniwna nie zdążyła nic odpowiedzieć, gdy on zerwał się z miejsca, jak szalony wybiegł z pokoju i szybko polazł na strych. Dobiegł stamtąd brzęk szkła i głucho uderzenia — w napadzie gniewu gruchotał swoje laboratorium.

Wreszcie zszedł ze strychu wyczerpany, bezradny i usiadł na swoim starym fotelu. Łzy spływały mu po policzkach — płakał zapatrzonej w przestrzeń nic nie widzącymi oczyma. Lubow Stepaniwna nigdy nie widziała, aby ktoś tak płakał — zupełnie bezgłośnie.

W końcu uspokoił się i zaczął rozmawiać. Okazało się, że on domyślił się z notatki od Kseni tego, czego nie rozumiała Lubow Stepaniwna. I sama treść, która wydawała mu się wieloznaczna, i tajemniczy sposób, w jaki Ksenia przekazała wiadomość rodzicom, utwierdzały go w przekonaniu, że córka przez te dwa lata zajęta była ważniejszą sprawą niż handel zapawkami...

— A ja, jej ojciec, profesor Uniwersytetu Kijowskiego, myślałem tylko o tym, aby jakoś przeżyć... Niegodziwiec! — Głos mu drżał i urywał się, w słowach brzmiał żal i pogarda dla siebie samego.

Lubow Stepaniwna usiłowała przypomnieć sobie, jak wyglądał i jak się zachowywał ów nieznajomy, który przyniósł list, porównywała to z tym, co mówił Kuźma Iwanowicz, i zaczęło jej się wydawać, że z kartką przyszedł rzeczywiście jakiś niezwykły człowiek. Nie mógł poczekać, aż ona odzyska przytomność, śpieszył się gdzieś... Widocznie przybył w nagłej sprawie... A jakie to mogą być sprawy, kiedy front w pobliżu? I dlaczego nie przyniósł wiadomości, kiedy tutaj było spokojnie, a zjawił się dopiero dziś, w przededniu zbliżania się naszych wojsk? Teraz już i jej wszystko to wydawało się tajemnicze.

Wniosek, jaki Lubow Stepaniwna wyciągnęła w związku z Ksenią, niepokoił ją, lecz i cieszył zarazem. Ale zupełnie nie skłaniał jej do złorzeczenia sobie, tak jak złorzeczył Kuźma Iwanowicz. Jeżeli rodzice mają szlachetne dziecko, myślała, to znaczy, że i sami są też szlachetni. Przecież to oni je wychowywali, a przede wszystkim — ojciec. Ale Kuźma Iwanowicz nie zgadzał się z takim usprawiedliwianiem tego, czego nie można usprawiedliwić.

— Jeśliby Ksenia okazała się podłą — krzyczał — ja nie

wziąłbym jej hańby na siebie. Dlaczego więc mam osłaniać się jej sumieniem, jeżeli własne zdeptałem?

Były to bolesne, ale prawdziwe słowa, i Lubow Stepaniwna nie mogła im zaprzeczyć. Ale jakie jest wyjście? Wyrzuty sumienia, w dodatku spóźnione, czyż mogą coś pomóc?

Usiadła, aby dokończyć list, ale teraz już nie wiedziała, o czym pisać. Kuźma Iwanowicz wcisnął się w kącik, twarz jego była skupiona i chmurna. Zerkając na niego ukradkiem, Lubow Stepaniwna czuła żal i do niego, i do siebie, i nie mogła pisać Kseni o tym, co jeszcze tak niedawno wydawało się jej istotne. Teraz już wstyd było wspominać o wyrobie zapalek, opowiadać o przeżyciach związanych z handlem na bazarze... Pierwszy raz w ciągu dwóch lat przyszło jej na myśl, że prawdopodobnie byłoby lepiej, gdyby w czterdziestym pierwszym roku nie zostali na Dnieprogesie, lecz wrócili do Kijowa — wtedy nie byłoby ani bazaru, ani zapalek, ani tego poczucia winy za sponiewieraną ludzką godność... Ale napisać o tym, skarżyć się? Ksenia mogłaby pomyśleć, że robi jej wyrzuty. Przecież oni wtedy zostali tu dla niej, nie mogli jej opuścić, kiedy życie tak niespodziewanie okrutnie się z nią obeszło.

Lubow Stepaniwna siedziała nad czystym arkuszem, nie wiedziała, od czego zacząć. I nagle nad budynkiem znowu coś zaszumiało, zaświstało przeciągle, i gdzieś daleko, na drugim końcu miasta, rozległ się wybuch. Spokojnie odłożyła ołówek i wstała.

— Zejdźmy na dół.

Kuźma Iwanowicz przez chwilę milczał, a potem odezwał się głosem, od którego robiło się strasznie:

— Idź sama. Ja chcę umrzeć.

8

Na początku września 1943 roku Hitler opuścił swoją Główną Kwaterę w Kętrzynie i wyleciał na front wschodni. Samolot jego wylądował na przedmieściu ukraińskiego miasta Zaporozża, gdzie mieścił się sztab i gdzie przebywał sam głównodowodzący Grupą Armii „Południe” feldmarszałek Manstein.

Niewysokiego wzrostu, ale reprezentacyjny i mimo wieku wyciągnięty jak struna, feldmarszałek spotkał swego führera przy samolocie. Ściskając wilgotną dłoń dostojnego gościa uśmiechał się z szacunkiem, ale po starczemu uważne i przenikliwe oczy śledziły przybyłego, i feldmarszałek zanotował sobie w pamięci, że twarz Hitlera straciła tak charakterystyczną dla niego pewność siebie i wygląda on nieco melancholijnie, a nawet jest trochę zmieszany.

Feldmarszałek nie był wnikliwym psychologiem, chociaż przeżył na świecie prawie sześćdziesiąt lat. Większość swojego życia spędził na służbie w armii i nauczył się szybko i bezbłędnie odgadywać nastroje wyższego dowództwa. Wiedział, że ludzie, którzy lubią się puszyć, kiedy mocno stoją na obu nogach, złością się i wściekają w chwilach bezpośredniego zagrożenia, zaś popadają w czułościową melancholię, kiedy niebezpieczeństwo jest wprawdzie dalekie, ale nieuchronnie się zbliża i podwładni już o tym wiedzą. Teraz był właśnie taki czas — krach jeszcze nie nastąpił, ale sukcesy już się skończyły. I Hitler, uśmiechając się zdawkowo zmęczonymi, podkrążonymi oczyma, wydawał się szukać we wzroku feldmarszałka milczącego współczucia.

Po upływie pół godziny stali już obaj pochyleni nad ogromnym stołem, na którym leżała mapa. Cztery nabrzmiałe dłonie ze sklerotycznymi, żyłastymi i lekko rozcapierzonymi palcami wspierały się na niej, jakby ci, do których te ręce należały, szykowali się do skoku. Jednakże postawy ich nie były ani sprężyste, ani bojowe. Ziemia, wyobrażona na rozłożonej przed nimi mapie, płonęła: nie porozumiewając się, w milczeniu szukali wyjścia, a nie sposobu, który mógłby umożliwić jak najdalszy skok w ogień.

Kilka godzin temu, przed startem w Kętrzynie, Hitler miał nieprzyjemną rozmowę z szefem sztabu Naczelnego Dowództwa — Keitlem. Keitel nalegał, aby führer — jeżeli już zdecydował się opuścić na dwa dni Główną Kwaterę i ma lecieć do swoich wojsk — nie zatrzymywał się na kierunku kijowskim, gdzie wojska radzieckie najsilniej wygięły niemiecki front i wdarły się klinem daleko na zachód, a pobyl właśnie w Zaporozżu, mimo że na tym kierunku Niemcy znajdują się jeszcze około trzystu kilometrów

na wschód od kijowskiego wybrzuszenia. Początkowo Hitler zrozumiał tę propozycję jako troskę o bezpieczeństwo kanc-lerza Rzeszy i z oburzeniem ją odrzucił, uważając, że wódz powinien być tam, gdzie wróg najbardziej zagraża. Później przyszło mu na myśl, że Keitel poczytuje go za tchó-rza, skoro radzi mu udać się do spokojnego Zaporozża, podejrzewając, że on będzie się źle czuł tam, gdzie roz-grywają się główne wydarzenia i toczą najzacieklejsze walki. Ale stary wojak znał nie tylko geografię, lecz i to, co za nią się kryje, rozumiał, że napierające spod Ki-jowa wojska radzieckie zagrażają właśnie południowemu odcinkowi frontu i sławne natchnienie führera najbar-dziej potrzebne jest tam, gdzie jeszcze jest co ratować. Razem z innymi uporczywie nalegał, i Hitler w końcu ustąpił.

Teraz, wpijając się oczyma w rozpostartą na stole mapę, zrozumiał, że Keitel miał rację; tu rozstrzygną się losy — zguba czy ocalenie. Gruba, czerwona krecha frontu wiła się z północy i prawie zbiegała się z Dnieprem na ogromnej przestrzeni, poczynając od białoruskich lasów, a kończąc na Dniepropietrowsku. Tylko w tym miejscu zatrzymywał się jej bieg na zachód i front ledwo do-strzegalnie, jakby niechętnie, zawracał na wschód, aby od razu pionowo opaść na południe i oprzeć się wyraźnie o wąski przesmyk łączący Krym z lądem.

Hitler nieraz już widział taką samą mapę — i przed-wczoraj, i wczoraj, i nawet dzisiaj rano, ale dopiero teraz ogarnęło go przerażenie. Długi język obsadzony przez grupę armii Mansteina wrzynał się głęboko w ogro-mne obszary zajęte przez Armię Czerwoną, i budynek, w którym on w tej chwili pochylał się nad mapą, tkwił prawie na samym końcu tego języka. Nie, Keitel nie uwa-żał go za tchórze, kiedy nalegał, żeby przyleciał do tego budynku! Jeżeli czerwoni zajmą Kijów i przeprawią się na prawy brzeg Dniepru, to piekło ze swoich odwiecznych posad tutaj się właśnie przeniesie.

Hitler milczał, ale umysł jego ogarniało już szaleńcze podniecenie. Wyobraźnia smagała go i popędzała jak dzikie-go konia, któremu jeździec dał pełną swobodę, i koń ten wściekle cwałuje, niosąc go nie wiadomo dokąd.

— Tu! — krzyknął ochrypłym głosem, dotykając palcem kropki Dniepropietrowska. — Tędy! — zachrypiął jeszcze

raz i przesunął palec w kierunku Charkowa, który został już daleko na zapleczu radzieckich wojsk.

Feldmarszałek rozumiał, o co mu chodzi. Ale to, co Hitler proponował, uważał za szaleństwo. Uderzyć na Charków, to znaczy jeszcze bardziej wydłużyć język wcinający się w utracone tereny, ogołocić skrzydła swych armii na przestrzeni kilkuset kilometrów. Takim wąskim językiem nie uda się zlizać całego Prawobrzeża, nieprzyjaciel natychmiast go przetnie u samej nasady — Manstein dobrze to rozumiał.

— Mój führerze — zaczął — pozwól, że się nie zgodzę...

— Nie! — krzyknął Hitler i z całej siły uderzył pięścią w stół. Ból oparzył mu rękę, jakby dotknął się nią do gorącego żelaza. Nie zamroczył jednak myśli, przeciwnie, otrzeźwił go. Hitler odszedł od stołu, postąpił chwilę przy oknie, wpatrując się w opustoszałą ulicę, potem wrócił i cicho powiedział:

— Proszę mówić.

Było to to samo, co radzili mu wszyscy w Berlinie. Umocnić front na zachodnim brzegu Dniepru, na wschodnim utrzymać tylko dogodne pojedyncze przyczółki i tak przezimować. Do wiosny przygotowywać się, a następnie z tych właśnie przyczółków zacząć nowy ofensywny rok.

— A co pomyśli mój naród? — zapytał cicho, jakby zwracając się do samego siebie. — A co świat na to powie? — Przez moment tylko w jego podkrążonych oczach mignął cień sentymentalnej melancholii, potem znów zapłonęły one chorobliwym blaskiem, i Hitler krzyknął: — Nie!

Czarny frencz zapięty na wszystkie cztery guziki przypominał zarówno surdut sklepikarza, jak i mundur esesmana. Nogi, którymi szybko przemierzał podłogę, wydawały się zbyt krótkie pod jego przysadzistym tułowiem. Feldmarszałek stał na baczność i milczał.

Tak, to, czego domagał się Hitler, było majaczeniem szaleńca. Ale i to, co proponował Manstein i wszyscy, od których Hitler słyszał to wcześniej, mogło okazać się słuszne jedynie wtedy, gdyby nieprzyjaciel nie myślał samodzielnie, nie opracowywał własnych planów i nie podejmował działań. Tymczasem radzieckie dowództwo miało swoje plany i narzucało je wrogowi z pomocą ognia i żelaza, i nie mogła już w tym przeszkodzić ani egzal-

tacja Führera, ani przezorna ostrożność Mansteina, bo czterdziesty trzeci rok był zupełnie niepodobny do czterdziestego pierwszego dla żadnej z wojujących stron.

W połowie września, kiedy Hitler, najpierw przed feldmarszałkiem Mansteinem, a później przed całym sztabem w Berlinie, z nieprzytomnym uporem wykrzykiwał swoje „nie”, przybrało na sile radzieckie natarcie na prawym skrzydle Frontu Woroneskiego. Dwudziestego drugiego września w pobliżu Perejesławia jego czołowe oddziały dotarły do Dniepru. Pod naporem czerwonych pułków niemieckie dywizje toczyły się na południowy zachód.

Do końca miesiąca armie Woroneskiego, Centralnego i Stepowego Frontu wyszły nad Dniepr na sześciusetkilometrowym odcinku i zajęły całe Lewobrzeże — od Łojewa do Dniepropietrowska. W tym samym czasie armie Południowo-Zachodniego i Południowego Frontu rozpoczęły walki na linii Nowomoskowsk—Zaporoże i osiągnęły swoim lewym skrzydłem rzekę Mołoczna, na której umocnili się Niemcy, aby osłaniać Krym.

Wojska radzieckie, stanąwszy nad Dnieprem na kilkusetkilometrowym froncie, nie miały zamiaru się zatrzymać, tak jak wyobrażał to sobie feldmarszałek Manstein. Jeszcze na początku września Kwatery Główna Naczelnego Dowództwa wydała rozkaz, że Dniepr należy sforsować z marszu i utworzyć na prawym brzegu przyczółki, na których można będzie gromadzić siły do nowej ofensywy. I już dwudziestego drugiego września powstał przyczółek bukryński, a później niemal co dnia pojawiały się inne: do końca września na prawym brzegu było ich już dwadzieścia trzy. Były to przyczółki niewielkie i trzeba je było poszerzać w walkach. Ale żadnego z nich nieprzyjaciel nie zniszczył, choć atakował je zaciekle wiele razy w ciągu każdej doby.

Na początku października niemieckie dywizje zostały na Lewobrzeżu tylko na południu. Jesienne deszcze rozmyły stepowe drogi i zatrzymały radzieckie natarcie. Niemieckie dywizje przerzucone tutaj z zachodu broniły się zawzięcie, ale musiały się powoli wycofywać. Mimo to niemiecki przyczółek na lewym brzegu wciąż jeszcze był znaczny. Dziesiątego października o świcie wojska radzieckie ruszyły i tutaj do decydującego natarcia i zaczęły szturmować nieprzyjacielski przyczółek. W ciągu trzech

dni zostało wyzwolone Zaporozie. Resztki rozbitych niemieckich dywizji ustępowały na południe z zamiarem przeprowadzenia się przez Dniepr poniżej Chortycy. Ale czołgi ugrzęzły i zatrzymały się w lewobrzeżnych bagnach, artylerię próbowano wyciągać na rękach. Nie było wyjścia — nieprzyjaciel zakopał więc czołgi w bagnistym gruncie, tworząc z nich nieruchome punkty ogniowe.

Za taką cenę udało się Niemcom utrzymać jeszcze skrawek lewego brzegu. Później okazało się jednak, że był to wątpliwy sukces.

Wkrótce Armia Radziecka zbliżyła się i do Nowego Zaporozża. Na horyzoncie widać już było Chortycę i Dnieproges. Pierwsza linia radzieckich wojsk przebiegała po samym brzegu ogromnej rzeki. Wśród nich była dywizja siedemdziesiąta ósma, którą w rozmowach nazywano po prostu — szumakowowską.

9

Pułkownik Szumakow nie był ani trochę wojskowym rutyniarzem, ale w kwestiach prowadzenia wojny przestrzegał poglądów charakterystycznych dla człowieka wychowanego w atmosferze sztabów wojskowych i wydziałów operacyjnych. Niewysokiego wzrostu, lecz dobrze zbudowany, z łagodnymi szarymi oczyma, które jasno patrzyły na otaczający świat, przypominał raczej przebranego w wojskowy mundur wielbiciela muz aniżeli dowódcę tysięcy zbrojnych żołnierzy, podporządkowujących się jego ludzkiej i dowódczej woli. Siadając do obiadu, Szumakow lubił mieć kogoś obok siebie, z kim mógłby po przyjacielsku pogawędzić i pożartować, wychylić mały kryształowy kieliszek wódki, który przywiózł ze sobą jeszcze z Hiszpanii i od tego czasu zawsze miał przy sobie. W dywizji go lubili i wiedzieli, że nie podejmie on krzywdzącej decyzji nawet wtedy, jeśli go coś wyprowadzi z równowagi, nie zdegraduje i nie wyśle do karnego batalionu, nie ubliży ludzkiej godności, a nawet nie odprawi do rezerwy, jeżeli ten, do kogo się to odnosi, nie popełnił wyraźnego przestępstwa. Nie, on najpierw pobiegnie do domu, przejdzie się kilka razy z kąta w kąt, dopóki nie ochłonie, potem każe Hołoborodce wezwać winnego, i to, aby stawił się nie od razu, lecz w ciągu godziny, kiedy

krw już zupełnie przestanie się burzyć i wejdzie w spokojne brzegi.

Przyzwyczajenie do opanowywania się nie było jego cechą wrodzoną. Ale życie z nim samym kilka razy obeszło się niezupełnie sprawiedliwie i poprzysiągł sobie w duchu, że nigdy nie postąpi tak z ludźmi, którzy mu podlegają. Z czasem stało się to jego ciałem i krwią, przekształcając się stopniowo w zasadniczą cechę charakteru, i ludzie, którzy go otaczali, zaczęli uważać Szumakowa za ustępliwego, a czasem nawet za miękkiego.

Tym bardziej dziwiły jego poglądy na prowadzenie wojny i na pryncypia, które według niego powinny leżeć u jej podstaw. Twierdził on na przykład, że wszystkie dobra materialne, które miały swoją wartość kiedyś przed wojną i mogą z czasem, po wojnie, znów nabrać wartości, należy w razie potrzeby bez wahania poświęcić na rzecz aktualnych wymagań strategicznych, bez zastanawiania się nad zasięgiem strat, bo ważniejsze jest zwycięstwo nad wrogiem niż ocalenie jakiegoś tam budynku czy nawet, powiedzmy, fabryki. W jego ustach nie brzmiało to nigdy jak patriotyczna demagogia, którą mógłby się osłaniać gorliwy służbista, aby ułatwić sobie sprawę i równocześnie okazać się prawomyślnym żołnierzem. Nie, Szumakow był głęboko przekonany, że jak się prowadzi wojnę, to trzeba myśleć tylko o zwycięstwie, a nie o tym, aby mieć z tego jakiś materialny zysk. „Najpierw rób to, co najważniejsze — mówił — straty na wojnie są nieuniknione i nie trzeba żałować jakiegoś spróchniałego wiatraka, na jego miejscu można kiedyś zbudować prawdziwie nowoczesny młyn, który będzie lepiej mełł zboże niż ten skrzydlaty wariat”.

Dopóki to wszystko było bezprzedmiotową gadaniną, bardziej praktyczni towarzysze prowadzili z nim długie spory. Były komisarz dywizji Sztukarenko, a po zlikwidowaniu tego stanowiska zastępca dowódcy do spraw politycznych, nazywał Szumakowa idealistą, dowodząc, że o przyszłości trzeba myśleć konkretnie i wcielać te myśli w fakty lub w rzeczy. Szumakow nie obrażał się, uważał swoje stanowisko za bardzo konkretne, bo czymże jak nie idealizmem była z jego punktu widzenia troska Sztukarenki o przyszłość, którą przede wszystkim trzeba zabezpieczyć, a więc wywalczyć. Sprzeczkę toczyły się bez końca,

miały zawsze charakter wesoły albo żartobliwy, i nigdy nie przybierały formy ostrych nieporozumień.

W dyskusjach na podobne tematy mijał cały wolny czas. Dowódca dywizji i jego były komisarz zamieszkiwali często w jednej chacie albo w jednym schronie. Kiedy nadszedł czas pędzić wroga na zachód, na szlaku zostawało mało budynków, a posuwali się czasem tak szybko, że saperzy nie zdążyli budować dla nich oddzielnych schronów. Podczas krótkotrwałych zaciśy na odcinku frontu dywizji albo w dni, kiedy z tych czy innych powodów dywizja przechodziła do drugiego rzutu, było dużo czasu na pogawędkę. Na wojnie ludzie w ogóle lubią rozmyślać na głos, bo gorący okres walk rzadko trwa długo i z momentami zażartych bojów, kiedy ludzie zakopują się w ziemię, chroniąc się przed bezlitosnymi nalotami lotnictwa i ogniem artylerii, graniczą chwile, kiedy wszystko ucicha i niebo świeci nad głową, przywodząc na myśl spokojne, pokojowe życie.

Szutkarenko wydawał się całkowitym przeciwieństwem Szumakowa. Był prawie o głowę wyższy od dowódcy dywizji, do tego bardzo kościsty i szczupły. Szumakow mówił nieraz żartem, że przydzielono ich do tej samej jednostki dla równowagi wzrostu. Standartowe rozmiary wojskowej odzieży nie pasowały na niego, i jeśli udało mu się otrzymać bluzę odpowiedniej długości, to z reguły okazywała się za szeroka i wisiała jak worek na jego chuderlawych, pochyłych ramionach. Pociągła twarz Szutkarenki sprawiała wrażenie surowej, w rzeczywistości jednak był on skłonny do żartów tak jak Szumakow, i dlatego ich ciągle spory prawie zawsze brzmiały życzliwie i spokojnie.

Ale w końcu bezprzedmiotowe sprzeczki uzyskały realne podstawy. Stało się to pod Wedmediwką, w pobliżu wzgórza 449, które za wszelką cenę należało zdobyć. Wzniesienie to górowało nad okolicą i Niemcy z pomocą kilku karabinów maszynowych nie pozwalali całej dywizji podnieść głowy. Główne ich siły uchodziły za Dniepr, a kompania zostawiona na wzgórzu przeszkadzała Szumakowowi w pościgu za wrogiem, który na oczach wszystkich wyslizgiwał się z rąk niemal bez żadnych strat.

Wedmediwka istniała tylko na mapie u Szumakowa, gdyż Niemcy całkowicie ją spalili. Mizerne resztki wsi, której mieszkańcy rozbiegli się po okolicznych lasach

i głębokich wąwozach, rozbiła doszczętnie artyleria Szumakowa, wyrzucając z nich nieprzyjacielskie ariergardy, czepiające się każdego kamienia.

Kiedy oddziały czołowe siedemdziesiątej ósmej dywizji podeszły do Wedmediwki, nie było tam już o co się zaczepić. Ze wzgórza 449 Niemcy na wylot przestrzeliwali zburzoną wieś. Jedyne jako tako bezpiecznym miejscem, gdzie można było ustawić artylerię i prowadzić ostrzał wzniesienia, była na pół zrujnowana cukrownia, znajdująca się około półtora kilometra od Wedmediwki.

Szumakow rozkazał dowódcy dywizjonu artylerii, kapitanowi Hołobuwiczowi, zająć w nocy cukrownię i ulokować tam swoje działa. Dowiedziawszy się o tym, Sztukarenko zaprotestował.

Prawdę mówiąc, nie miał on formalnego prawa na protest od czasu, jak przestał być komisarzem, i Szumakow przejął w swoje ręce wszystkie obowiązki jednoosobowego dowodzenia, Sztukarenko obowiązany był, tak jak i inni podwładni, bezwzględnie podporządkować się jego rozkazom. Ale dowódca dywizji nigdy nie wymagał tego od swojego byłego komisarza i czy to ze zwykłego taktu, czy też z szacunku, jaki osobiście żywił dla Sztukarenki, nie przestał nazywać go komisarzem, cierpliwie i życzliwie znosząc jego wtrącanie się do spraw dowodzenia.

Zapadał już zmrok, gdy u wylotu rowu łączącego ukazała się przygarbiona postać. Szumakow właśnie patrzył przez lornetę, obserwując złowrogie wzgórze, na którym siedzieli niemieccy cekaemiści. Usłyszawszy kroki, oderwał oczy od okularów lornety i obejrzał się. Znał dobrze swego dawnego komisarza i wystarczył mu pobieżny rzut oka, aby się zorientować, że jest on z czegoś bardzo niezadowolony i że nie bez powodu tu przyszedł.

Sztukarenko spuścił się po glinianych schodkach do okopu i milcząc zatrzymał się za dowódcą.

Poczekał chwilę, aż odejdzie on od lornety, i jak tylko Szumakow to zrobił, skierował ją w stronę cukrowni, przypadając sam do okularów. Musiał się przy tym mocno pochylić i jego szczupła sylwetka wygięła się jak składany nóż. Szumakow uśmiechnął się, patrząc na jego szeroko rozstawione nogi w chromowych butach i nisko opuszczoną głowę. Zresztą nie tylko to go rozśmieszyło. Stanowczy gest, z jakim Sztukarenko skierował lornetę

na cukrownię, mówił sam za siebie, i Szumakow natychmiast domyślił się, co go zdenerwowało i po co się tu zjawiał.

Sztukarenko niedługo patrzył w lornetę, po chwili wyprostował się, co jeszcze bardziej przypominało Szumakowowi składany nóż, gotowy do cięcia, i wycedził przez cienkie wargi:

— Jadę do sztabu armii.

— Po co? — zapytał Szumakow, choć dobrze wiedział, w czym rzecz.

— Cukrownia prawie cała — wycedził znów Sztukarenko.

— I co z tego?

— Jak to co? — Sztukarenko odwrócił się do dowódcy swoją surową twarz. — A to, że rano Niemcy zdruzgocą ją do szczytu.

— Wojna, nic na to nie poradzisz.

— No wiecie! — oburzył się Sztukarenko. Zawsze, kiedy byli sami, zwracał się do Szumakowa per „ty” i tylko w wypadku zdecydowanej różnicy zdań przechodził na „wy”.

Szumakow uśmiechnął się i mruknął niby sam do siebie:

— Stara śpiewka...

— Oczywiście, że stara.

Był to wyraźny przytyk do ich poprzednich sporów, i Szumakow stracił cierpliwość.

— Czort bierz, ale czy ja jestem dowódcą dywizji czy buchalterem urzędu statystycznego?

— Myślę, że przede wszystkim komunistą.

— I dlatego muszę wystawić pod ogień ludzi i sprzęt, aby uratować jakąś kupę cegły?

— Nie kupę cegły, ale fabrykę, która jutro powinna dać cukier.

— Komu? Żołnierzom, co ich Niemcy jak kaczkę wystrzelają z tego przekłętą wzgórze?

— Jesteście dowódcą dywizji, zadbajcie, aby ich nie wystrzelano.

Szumakow obrzucił Sztukarenkę długim spojrzeniem i ledwie powstrzymał się, aby mu nie powiedzieć tego, co już gotowe było się wyrwać: „Ja jestem dowódcą dywizji i ja decyduję, co robić”. Zdołał jednak opanować

chwilową złość. Nie takie przecież były między nimi stosunki, aby ustawiać Sztukarenkę na właściwe miejsce.

— To nic, Stepan — odezwał się pojednawczo Szumakow, pochylając się znów do okularów lornety. — Kutuzow nie pożałował Moskwy, a tu jakaś mizerna fabryczka...

— Niedorzeczny żart! — odciął się Sztukarenko.

— Dlaczego niedorzeczny? Jeżeli koniecznie trzeba już coś poświęcić, to lepiej kamienie niż ludzi.

— Nie rozumiem ani podobnych dylematów, ani takich analogii — rzucił ostro Sztukarenko i zaczął poprawiać bluzę szykując się do odejścia.

— Jedź sobie do sztabu armii, choćby i do samego diabła! Ja muszę wojować i zdobyć wzgórze! — Szumakow gwałtownie odwrócił lornetę. Przyłgął znów do okularów, ale był tak wściekły, że nic nie mógł zobaczyć.

Słyszał, jak Sztukarenko po glinianych stopniach wspiął się do rowu łączącego, a jego kroki przycichały stopniowo, aż umilkły w oddali.

10

Sztukarenko był z zawodu ekonomistą i przed wojną wykładał ekonomię polityczną na obwodowych kursach dla pracowników aparatu partyjnego. Przyzwyczał się mieć do czynienia z wykazami statystycznymi i przeglądami ekonomicznymi ilustrującymi zmiany zachodzące w życiu różnych narodów, stąd o faktach w życiu jednostek i społeczeństw wyrabiał sobie zawsze pogląd przede wszystkim na podstawie ich materialnego znaczenia.

Dnieproges zajmował w jego świadomości specyficzne miejsce.

Znał dobrze historię Ukrainy — jej poetów i filozofów z minionych czasów. Oceniając bardzo wysoko ich kulturowo-historyczne znaczenie, mimo to skłonny był twierdzić, że żaden filozof, pisarz czy działacz społeczny nie potrafił przy pomocy swego geniuszu tak wyraźnie i zdecydowanie zmienić biegu myśli i wyobrażeń całego narodu jak ta gigantyczna betonowa bryła, co przegrodziła Dniepr i nadała myślom milionów ludzi zupełnie nowy kierunek.

Była to pierwsza tego typu budowla na bezkresnych

ukraińskich stepach, gdzie w ciągu tysiącleci swobodnie hulały wiatry, a ludzie żyli, upajając się pieśnią i legendą o dawnych czasach. I to właśnie, że była pierwsza, miało w oczach Sztukarenki osobliwe znaczenie. Wiedział, że w niedalekiej przyszłości na tym samym Dnieprze zjawią się znacznie większe budowle, wiedział, że przewyższą ją swoją pięknnością i ilością produkowanej energii. Ale tak jak wielkie i doskonałe współczesne parowozy nie zdołały zatrzeć w ludzkiej pamięci śmiesznego, małego samowarka Jamesa Watta, który pierwszy ukazał ludzkości siłę i możliwości parowego kotła, tak i te przyszłe olbrzymy, które powstaną po Dnieprogesie, nie przyćmią nigdy jego sławy, gdyż on był pierwszy i niesłychanie otworzył ludziom oczy, nauczył ich po nowemu patrzeć na siebie, ukazał nowe drogi wielkiemu stepowemu narodowi.

Kiedy zaczęła się budowa zapory, Sztukarenko zaczął siedemnasty rok, był to śmieszny wyrostek, niesłychanie wysoki i chudy. Jak tylko zjawiał się na podwórzu, matka wyglądała przez okno i śmiała się głośno:

— Słyszę, że ktoś dzwoni zebrami: Stepanczyk!

Ręce miał niezmiernie długie, lecz bardzo silne. Słynał jako wspaniały kosiarz, ale ojcowska kosa nie nadawała się dla niego. W jesieni stary wycinał na brzegu odpowiednią wierzbinę, która schła całą zimę na strychu. Na wiosnę robił z niej specjalne kosisko dla syna i nasadzał na nie swoją kosę: skoszenie łąki należało do syna, tak już się przyjęło.

Tego lata przybyli do Oleszek przedstawiciele spółdzielni z Kiczkasu werbować kopaczy. Wszyscy mieszkańcy z tego zakątka, gdzie stała chata starego Sztukarenki, w jesieni i w zimie wynajmowali się do prac ziemnych. Czasem trafiała się praca przy kolejowym nasypie, a jeśli większych robót nie było, wykonywali i mniejsze. Dopóki Stepan chodził do czteroklasówki, ojciec go nie ruszał, ale jak skończył szkołę, zaczął zabierać z sobą na zarobki. Prawie każdej jesieni Stepan wyjeżdżał w dalekie okolice, doglądał koni, pomagał ojcu ładować ziemię na furmankę.

Na zawsze utkwily mu w pamięci noce w chersońskich stepach, kiedy po całodziennej pracy kopacze zbierali się przy ognisku i gotowali kaszę. Po kolacji starsi przez jakiś czas jeszcze rozprawiali o gospodarskich sprawach

i wspominali dawne czasy, a młodszy śpiewali pieśni albo marzyli o przyszłości. Marzenia ich nie wybiegały daleko, a mimo to przyjemnie było spoglądać w nieznane, jakby odchyłać ostrożnie zasłonę ponętnej tajemnicy. Potem wszyscy rozchodzili się do swoich furmanek, podrzucali koniom paszę na noc i kładli się pod wozami na odpoczynek. Zmęczony i szczęśliwy Stepan spał mocno, ale od czasu do czasu budził się w nocy, aby spojrzeć, czy przypadkiem konie się nie zaplątały.

Jeszcze w domu, w Oleszkach, Stepan czytał w gazecie, że w górze gdzieś pod Kiczkasem zaczęto budować zapórę, która ma przegrodzić Dniepr. Ale Stepan nie mógł w to ani uwierzyć, ani wyobrazić sobie takiej zapory: tu pod Chersoniem Dniepru człowiek nie przepływie, a rozlewska ciągną się wokół na kilka wiorst, i żadna zapora ich nie przegrodzi.

Kiedy na małym miejscowym stateczku wypływał z rodzinnej Konki i minawszy jej nieszerokie ujście, zatrzymywał się na Dnieprze, przed oczyma rozciągała się taka niezmiernie szeroka przestrzeń zalana słońcem i srebrem, że wiadomości z gazety wydawały mu się nierozsądnym i nieprawdopodobnym wymysłem. Głupstwa! myślał. To niemożliwe!

To, co zobaczył na miejscu, oszołomiło chłopca. Dniepr był tu węższy niż pod Chersoniem, ale wysokie, skaliste brzegi czyniły go jeszcze wspanialszym i potężniejszym niż w jego okolicach. Ale bez względu na ten ogrom i potęgę rzeki, trzecia część jej koryta była już przegrodzona, zamknięta ze wszystkich stron drewnem i kamieniami, wody w niej już nie było, nie wiadomo, gdzie się podziała, odsłoniwszy urwisko o granitowym dnie, po którym jak mrówki krzątają i uwijają się ludzie. Z wysokości lewego brzegu miało się wrażenie, że rzeka z rozpędu uderzyła o jakąś przeszkodę, wygięła jej bok, a potem zawróciła. Ale bok się nie wyprostował, pozostał dotychczas wygięty i zionie jak wyrwa swoją głębią. Stepan nie rozumiał, jak się to stało, i dlaczego ludzie się nie boją i nie uciekają spod drewnianych ścian, które wysoko oblewa woda, grożąc zawaleniem.

Rano i on schodził już z ojcem obok swojej furmanki po stromej, uterowanej drodze do tej ogromnej wyrwy, a za nimi i przed nimi spuszczały się setki takich samych wo-

zów, które zjechały się tutaj z dziesiątków i setek wiosek. Konie potykały się na nierównym stromym zboczu, ludzie powstrzymywali je sznurkowymi konopnymi lejcami. Na twarzach malowało się nieme zdumienie, podobne do lęku, wydawało się, że schodzą oni tylko dlatego, że dokoła jest dużo ludzi, wstyd tak porzucić swe konie i uciekać, gdzie oczy poniosą. Nawet ojciec, który niejednemu już w życiu widział, dziwił się i wciąż przygadywał:

— Czy to nie wariaci? Wnętrznosci z ziemi wypruli. — Uśmiechał się nerwowo pod ciemnym wąsem, ale w jego słowach wyczuwało się niemal dziecięcy zachwyt. — A to smarkacze! Tacy to i do raju się dostukają...

W ciągu pierwszych dni Stepan przeważnie milczał. Nie był w stanie ocenić ani nawet pojąć tego, co się na jego oczach działo. Dopiero po pewnym czasie, za kilka lat, studiując na uniwersytecie robotniczym, zaczął powoli uświadamiać sobie, jak wielkie zmiany wniosła ta budowa do ludzkich dusz, już przez to samo, że istniała. W tym ogromnym wykopie, który zdumiewał swoimi rozmiarami i śmiałością zamysłu, w jakiś przedziwny sposób przetapiały się ludzkie wyobrażenia i poglądy. A więc to nie były czcze słowa — te, które czytał w gazecie! A więc nie ma nic niemożliwego dla człowieka, dla jego rozumu i siły... Oto co może zdziałać zamach ludzkiego rozumu na potęgę i siłę przyrody. Na razie przegrodzono trzecią część Dniepru, a z czasem przetną i cały.

Sztukarenko zaczął dostrzegać nie tylko u siebie, ale nawet u ojca i u innych mieszkańców Oleszek jakieś nowe, nie spotykane dawniej cechy. Na twarzach ich pojawiło się poczucie własnej godności, powaga i gospodarska troskliwość o wszystko, co się wokół dzieje. Przyglądając się tym ludziom, można było pomyśleć, że przybyli tu nie na krótki czas, lecz osiedlili się tutaj na zawsze. Jakby wszystko, co się tutaj robiło, było ich własnym dobrem, i dlatego obchodziło ich nie tylko to, co działo się na tym odcinku, gdzie sami pracowali i gdzie otrzymywali swój zarobek, ale i inne sprawy, z którymi żadnego z nich nic nie wiązało. Zaczęli interesować się ludźmi, którzy najlepiej pracują, wiedzieli, która brygada wykonuje normę, a która nie. Było to tym bardziej dziwne, gdyż wszyscy oni z dziada pradziada żyli odgrodzeni ścianami własnego domostwa, nie ciekawili się do-

mem i mieniem sąsiada, dbali jedynie o własny skrawek ziemi i swoje konie.

I dziwne — przy pomocy swoich stepowych koników i zwyczajnych łopat tworzyli nie tylko niezwykle, ale i niesłychane dzieło. Wydawało się, że ich wózki wjechały w zadziwiające przestrzenie innego czasu, przypadkowo wdarły się w takie królestwo, gdzie dla drewnianych kół nie ma i nie może być miejsca. Ale wraz z tym tworzone przez nich dzieło przeorywało ich umysły, zmieniało dawne wyobrażenia, nawyki, i dlatego wznosili je nawet z pomocą starych furmanek i łopat, gdyż sami stali się już inni, nie byli już tacy jak wtedy, gdy tu przyjechali. Prawdopodobnie nie przypuszczali nawet, że to ostatnia budowa na naszej ziemi, gdzie konna furmanka wywozi na górę ziemię z głębokich wykopów, i że wkrótce zastąpi ją spychacz i dźwig, ciężki traktor i wywrotka. Włączając się aktywnie do wielkich wspólnych zadań, ludzie ci przygotowywali się stopniowo do zajęcia miejsca w kabinach samochodów i do pożegnania się na zawsze ze swoimi wiśniowymi biczyskami i sznurkowymi lejcami.

Robotnicy ziemni pracowali na Dnieprogesie przez jesień i zimę, a na wiosnę wrócili do wsi. Na budowę zaczęły przybywać koparki z wielkimi żelaznymi czerpakami, które szybko wgryzały się w skaliste łóżysko rzeki, gdzie łopata nie mogła już nic zdziałać. A i matka przez cały czas biadoliła — wiosna za pasem, nie upora się sama z kawałkiem pola, z ogrodem i sadem. Kopacze wyszli na górę z głębokiego wykopu, ostatni raz popatrzyli z wysokiego brzegu na dziwne dzieło swych rąk i ruszyli na południe, wioząc z sobą w rodzinne stopy coś nowego i nieuświadomionego, ale władczego i nieodwracalnego.

A młodzież została. Niektórzy zatrzymali się na budowie, inni udali się do Jekaterynosławia na uniwersytet robotniczy. Stepan również pojechał do Jekaterynosławia, zwrócił się do Obwodowego Komitetu Komsomołu, dostał skierowanie na uniwersytet i zaczął nowe życie. Może nie zdobyłby wykształcenia i nie byłby podpułkownikiem, gdyby w młodości nie trafił tutaj, gdyby nie dotarło do niego to wielkie i nowe, co radykalnie zmieniło nie tylko jego samego, lecz i tysiące takich jak on, nadając nowy kierunek myślom i nadziejom całego stepowego narodu.

Na szlaku od Wedmediwki do Dniepru ani Szumakow, ani Sztukarenko nie wspominali o wypadku z cukrownią. Wydawało się, że między dowódcą dywizji i jego zastępcą do spraw politycznych istniało jakieś wewnętrzne porozumienie i że rozmawiają o wszystkim, tylko nie o tym.

Ale sam temat nie stracił swego znaczenia i nie wyczerpywał się na tym wypadku, przeciwnie, w miarę jak dywizja zbliżała się do Dniepru, nabierał wielkiej wagi i nurtował ich obu, chociaż starali się rozwiązywać go bez dyskusji, każdy na swój sposób.

Szumakow pochodził ze Smoleńszczyzny, jego rodzinna wieś Rozgulaż leżała również w pobliżu Dniepru — około siedmiu kilometrów od jego brzegów. Często biegał on z chłopcami kąpać się w rzeczce i łowić ryby w jej cichych zatokach. Dniepr przypominał tu raczej strumień.

W tych czasach również Szumakow nieraz czytał o wielkiej budowie pod Zaporozem, ale przyjmował te wiadomości zupełnie inaczej niż jego przyszły towarzysz. Szumakow podobnie jak i Sztukarenko uważał dziennikarzy za zuchwałych samochwałów, ale dochodził do tego wniosku na podstawie zupełnie innych przesłanek.

Gdyby w tych czasach wiedział, że gdzieś pod Cherso-niem jest chłopiec, który nie wyobraża sobie zapory mogącej przegrodzić Dniepr, uśmiełby się chyba z niego serdecznie. Wydawało mu się, że dziennikarze niepotrzebnie robią tyle szumu, pisząc o jakiejś wielkiej budowie, gdyż rzeka jest zupełnie płytka i wąska, i nie ma sensu stawiać na niej jakichś olbrzymów, żeby, jak się to wówczas mówiło, ujarzmić ją. Chodził wtedy do siódmej klasy miejscowej siedmiolatki i kiedyś na lekcji geografii zapytał nauczyciela, jak szeroka jest rzeka Wołchow, na której zapora była już dawno zbudowana. Okazało się, że tam, gdzie stanęła elektrownia wodna, Wołchow jest nawet szerszy od Dniepru pod jego wioską, i lekceważenie, z jakim traktował w latach chłopięcych, kiedy był uczniem, dziennikarskie opisy, stało się jego głębokim przekonaniem.

Tak, w tamtych odległych czasach obaj chłopcy zupełnie inaczej patrzyli na rzekę i na wszystko, co się z nią

więzało. A rzeka toczyła swoje kryształowe wody, stawała się coraz szersza i potężniejsza i w tajemnicy przed nimi, a nawet sama o tym nie wiedząc, jak niewidzialna cudotwórcza wstęga, choć niekonsekwentnie i kapryśnie, skupiała ich młodzieńcze myśli, aby kiedyś, już w późniejszym okresie, połączyć też ich ludzkie losy.

Kiedy pierwsze pododdziały dywizji stanęły na brzegu, Szumakow udał się na pierwszą linię. Teraz na własne oczy zobaczył zaporę, o której niegdyś czytał w gazetach, i wywarła ona na nim głębokie wrażenie. Na pół zrujnowana, wydawała się jeszcze większa, niż była w rzeczywistości. Wielkie nagromadzenie poskręcanych przez wybuchy stalowych kratownic, poprzewracane dźwigi i stojące na sztorc mosty tworzyły wstrząsający, ale potężny obraz. Ponieważ teraz w zaporze było kilka wyrw, poziom wody znacznie się obniżył i nadwodna jej część wydawała się wyższa niż wówczas, gdy pracowała siłownia. A i sam Dniepr był tu zupełnie inny, niż Szumakow go sobie kiedyś wyobrażał — wspaniała, wielka rzeka, niepodobna do zarośniętego turzycą strumienia płynącego pod Rozgulażem!

Jeszcze na długo przed Wedmediwką Szumakow i Sztukarenko zaznajomili się z zasadniczym kierunkiem natarcia dywizji. Nikt jednak nie wiedział na pewno, czy drogi wojny wyprowadzą ich wprost na Dnieproges. Mogli przecież dojść do Dniepru powyżej lub poniżej zapory, dowództwo mogło też z jakichś powodów odwołać ich lub przeformować, albo przerzucić w ogóle na inny front. Ale były to tylko przypuszczenia, a tymczasem dywizja szła w walce na zachód, zdobywała osiedla i stepowe wzgórza jedno po drugim i posuwała się akurat w tym kierunku. Ludzie w rozmowach coraz częściej wspominali Chortycę, Nowe Zaporoże, Dnieproges, trafiali się i tacy, co kiedyś tam byli, wszystkich ogarniało stopniowo jakieś niezwykle podniecenie, wywoływane romantyczną historią tych miejsc. Wydawało się, że naddnieprzańskie fludy są już wszędzie naokoło w powietrzu i skierowują wszystkie myśli w jednym kierunku.

W miarę zbliżania się do Dniepru Sztukarenko zaczynał się niepokoić.

Z doniesień wojskowego wywiadu wiedział, że podczas odwrotu Dnieproges został uszkodzony przez nasze wojska.

Wiadomo było, że w swoim czasie Niemcy próbowali go odbudować, a nawet uruchomili jedną turbinę dla swoich potrzeb. Oznaczało to, że zapora zniszczona jest tylko w niektórych miejscach, a w ogóle jest cała, i nie ulegało wątpliwości, że wróg jej tak nie zostawi, lecz przy pierwszej naszej próbie zawładnięcia nią doszczętnie wszystko zburzy. Nie darmo zwiad donosił, że Niemcy podwożą do Nowego Zaporozża dziesiątki wagonów bomb lotniczych i materiałów wybuchowych.

W końcu stało się oczywiste, że w rejon Dnieprogesu wychodzi właśnie siedemdziesiąta ósma.

Niemcy wycofywali się w pośpiechu, czasem tak szybko odrywali się od oddziałów czołowych, że trzeba ich było doganiać. Zamiary ich były jasne: chcieli przepłynąć się przez Dniepr sami, rozumiejąc, że straty ich będą znacznie większe, jeżeli zostaną do Dniepru zepchnięci.

I Sztukarenko jednego się obawiał: wiedział, że wierny swym poglądom na wojnę Szumakow na pewno spróbuje sforsować Dniepr z marszu, na plecach niemieckich wojsk, i nieprzyjaciel zmuszony będzie wysadzić zaporę, aby nie dopuścić do wykorzystania jej jako gotowej przeprawy.

Kiedys, jeszcze przed zajęciem Morgun, zaczął rozmowę o tym z dowódcą dywizji. Siedzieli na stopniu starej emki, w pobliżu spalonego wiatraka, i jedli jaglaną kaszę, którą Hołoborodko przyniósł im z polowej kuchni artylerzystów.

— Wysadzą, podlece, zaporę — mruknął Sztukarenko, jakby kończył jakąś nurtującą go myśl.

— A po co im to potrzebne? — zdziwił się Szumakow. Sztukarenko aż łyżkę opuścił.

— Jak to, po co?

— Za nic w świecie nie wysadzą — powiedział Szumakow, który nie przerywał jedzenia; był on absolutnie spokojny.

— Mówisz tak, jakbyś grał w szachy z Hołoborodką i naprzód już znał każdy jego ruch.

— Bo wojna to jest gra w szachy — obojętnie odpowiedział Szumakow. — A ty jedz, bo nie nadążysz za mną.

Sztukarenko nabrał na łyżkę kaszy, ale nie doniósł jej do ust.

— Ależ ty masz charakter, Iwanie Siemionowiczu! Patrzę czasem i zazdrość mnie bierze.

— Charakter nie ma z tym nic wspólnego. Chociaż ja, prawdę mówiąc, nie skarzę się...

— Skromność zdobi bolszewika — zaśmiał się Sztukarenko i zaczął jeść, gdyż w misce rzeczywiście przeświecało już dno.

Szumakow oddał mu miskę i wstał.

— Nie wysadzą zapory — powiedział poważnie i z przekonaniem.

— Żal im będzie? Czy może zrobią nam taki prezencik?

— Ani jedno, ani drugie.

— A więc trzecie?

— Tak, trzecie. I za to ręczę.

Sztukarenko skończył jedzenie i postawił miskę na stopniu samochodu. Wstał, podszedł do chłodnicy i przekonał się, że ani kierowca Pokotyło, ani adiutant Hołoborodko nie słyszą ich — obaj siedzieli dosyć daleko, przy samym wiatraku.

— To nie cukrownia w Wedmediwce — oburzył się Sztukarenko. — To Dnieproges, duma całego narodu.

— Ach, to o to ci chodzi! — westchnął Szumakow.

— Ja ci nie robię wyrzutów, Iwanie Siemionowiczu, ja cię ostrzegam. To miliardowa stawka. I nie tylko to...

Szumakow uchylił drzwiczek emki, wziął z siedzenia swój mapnik i otworzył go.

— Popatrz na linię frontu, niedowiarku! — krzyknął. — Jeżeli wysadzą zaporę, to zatopią swoje wojska znajdujące się w dole. Co oni, idioci, aby to robić?

Sztukarenko wziął mapę, rozłożył ją na masce samochodu i w milczeniu zaczął studiować powyginaną linię, nakreśloną grubym czerwonym ołówkiem. Szumakow tymczasem wyjął kawałek sukna, który ordynans Prychodko specjalnie chował pod siedzenie, i oparłszy nogę na stopniu emki, zaczął czyścić buty. Prychodko, wiejski szewc, troszczył się bardzo o połysk jego butów.

Mapa mówiła sama za siebie i nic nie trzeba było wyjaśniać. Błękitna wstęga Dniepru w dolnym swym biegu wyginała się w prawo, pozostawiając na lewym brzegu szeroki pas rozlewisk, dobrze znanych Sztukarence jeszcze z młodych lat. W tym miejscu mapa była prawie niebieska od licznych znaczków Szumakowa, jakimi zaznaczał on numery i pozycje nieprzyjacielskich oddziałów. Tu w dole linia niemieckich wojsk przechodziła właśnie

po lewym brzegu, Niemcy zajmowali pozycje w naddnieprzańskich bagnach i trzcinach i niewątpliwie mogliby zastać zatopieni, gdyby Dnieproges całkowicie zburzono i woda, którą tama powstrzymywała jeszcze na swoich plecach, runęła w dół.

— No i co, jasne? — zapytał nie bez ironii Szumakow. Złożył starannie sukno i wsunął je znów pod siedzenie, gdzie zawsze leżało.

— Nie! — Sztukarenko rozprostował swoje szczupłe plecy. Gwałtownym ruchem zdjął mapę z maski samochodu i papier wesoło zaszeleścił na wietrze, usiłując wyrwać mu się z rąk.

Szumakow pochwycił mapę i zaczął ją składać, starając się dokładnie trafiać na stare poźółkłe zagięcia, aby nie niszczyć jej nowymi.

— Czego nie rozumiesz? — zaczynał się złościć, ale jeszcze się powstrzymywał.

— Nie rozumiem jednego: co dla Niemców ważniejsze? Kilka własnych obdartych dywizji, czy kilka naszych miliardów włożonych w Dnieproges, które mogą wrócić do naszych rąk, jeżeli oni ulitują się nad zaporą?

— Et, głupstwa... — Szumakow czuł, że traci cierpliwość, ale nie chciał się kłócić. — Siadaj, Pokotyło, jedziemy! — przywołał kierowcę.

Nie zaczęli już więcej tej rozmowy. Dowódca dywizji usiadł na przednim siedzeniu, a Sztukarenko z tyłu, obok Hołoborodki. Samochód pędził szybko po ubitej, jesiennej drodze, obaj milczeli, zajęci własnymi myślami.

Sztukarenko tutaj właśnie podjął decyzję, którą natychmiast zaczął realizować. Na drugi dzień Szumakow otrzymał rozkaz dowódcy armii, aby przerwał natarcie, jak tylko czołowe oddziały podejną do zapory, zaś z armijnego węzła łączności wysłano depeszę do Ministerstwa do Spraw Elektrowni, w związku z czym wyleciał na front inżynier Charkewicz, który znał dobrze dnieprzańską zaporę i mógł pomóc w jej rozpoznaniu.

12

Po naradzie u Sztukarenki tylko Charkewicz i Chochoł położyli się spać. Wszyscy, którzy mieli z nimi współpracować, wraz ze specjalnym plutonem zabezpieczenia

bojowego, którego dowódcą został wyznaczony lejtenant Rud', udali się na zaporę.

Dowódca dywizji jeszcze w czasie narady wydał Rudio-
wi odpowiednie wytyczne. Pluton zabezpieczenia bojowego
należało rozlokować jak najbliżej miejsca przyszłych wy-
darzeń: na dnie śluzy, a może nawet, jeśli uda się tam nie-
sposprzeżenie przedostać, w nie zatopionej części sztolni.

Zwiadowcy kompanii czołowych donosili, że sztolnia
nie jest cała zalana. Okazało się, że przegrodzona jest beto-
nową ścianą, której nie ma na żadnym planie, zbudowali
ją Niemcy, aby nie uchodziła stąd woda, jeśli obniży się po-
ziom Dniepru. Przed tą ścianą została dosyć obszerna be-
tonowa komora, w której można umieścić żołnierzy plutonu
zabezpieczenia bojowego.

Do świtu pozostało jeszcze kilka godzin i Serhij Rud'
przystąpił do działania. Trzeba było przenieść na nowe
miejsce cały majątek plutonu, poczynając od skrzyń z na-
bojami i granatami, a kończąc na kotle do gotowania poży-
wienia.

Z powodu kotła wywiązała się cała dyskusja. Rud' uwa-
żał, że lepiej przynosić jedzenie z brzegu w termosach,
gdyż podczas gotowania w sztolni dym będzie gryzł ludzi
w oczy, a co najważniejsze, będzie się wydostawał przez
otwór i Niemcy z Chortycy mogą go zauważyć. Ale i do-
noszenie w termosach stwarzało przy zaporze niepotrzeb-
ne zamieszanie. Sztukarenko polecił zabrać ze sobą kocioł
oraz kilka prymusów lub lamp lutowniczych i gotować
pożywienie przy pomocy tych prostych urządzeń. Taki
zupełnie cywilny sprzęt kuchenny trudno było znaleźć
w Morgunach i przywieziono go z Zaporozża.

Szumakow wyznaczył lejtenanta Rudia dowódcą plu-
tonu zabezpieczenia bojowego, gdyż od niedawna Rud'
był szefem rozpoznania dywizji. Któż więc, jeśli nie on,
powinien dowodzić plutonem, który też w pewnej mierze
będzie rozpoznawał zaporę? Ale główną przyczyną tego
wyboru było jednak to, że Rud' stąd pochodzi i dobrze
zna Dnieproges.

Rud' poznał Szumakowa jeszcze przedtem, nim został
szefem rozpoznania dywizji. Któregoś dnia, kiedy było
już oczywiste, że dywizja posuwa się wprost na Dnie-
proges, wyraził on myśl, że powyżej zapory, chociaż Dniepr
jest tam znacznie szerszy niż w dole, można by się z mar-

szu przeprowić na prawy brzeg. Mówił, że dobrze zna te miejsca i jest pewien, że nie byłoby to takie trudne. — Zwróć się z tym do dowódcy dywizji — poradzili towarzysze. — Może jak raz potrzebny mu człowiek, który zna brzeg.

Lejtenant daleki był od myśli o osobistej sławie, nie kierowała nim wcale chęć przysłużenia się. Był szczerze przekonany, że jako człowiek miejscowy może naprawdę pomóc, i nie zwlekając, poszedł do Szumakowa.

Ale dowódca dywizji nie ucieszył się jakoś, wysłuchawszy tego, co mówił lejtenant. Rud' zaproponował właśnie to samo, co i Szumakow miał zamiar zrobić, tylko że przedstawiał swój projekt bardzo zawile i przez cały czas sam sobie przeczył. Mimo doświadczenia bojowego przeprowadzenie przez Dniepr traktował Rud' niemal jak wesołą wycieczkę, i słuchając go, miało się wrażenie, że Niemcy na ten czas naumyślnie zamkną oczy i bez żadnych sprzeciwów przepuszczą nasze oddziały na prawy brzeg.

Najłatwiej dostrzega się własne omyłki, jeśli usłyszysz swoje twierdzenia w interpretacji niekompetentnych ludzi. Prymitywny dowód bezwzględnie obnaża słabe punkty rozumowania i czasem sprowadza je do absurdu. Niedostrzegalny dotychczas błąd ukazuje się w całej pełni.

Szumakow milczał, twarz jego stawała się coraz surowsza i pochmurniejsza. Rud' oczywiście nie wiedział, że dowódca dywizji przez cały czas sam delektował się ideą przeprowadzenia z marszu, mimo że operacja ta nie wydawała mu się taka prosta. Przypuszczał, że coś nie tak powiedział lub nie tak się zachował i że to mogło zdenerwować dowódcę. Zmieszany i stropiony jeszcze bardziej płatał się w swoich wywodach.

Tego dnia Szumakow wyrzekł się swego planu, chociaż otwarcie się do tego nie przyznał, a zdziwiony tą milczącą rezygnacją Sztukarenko nie domyślał się nawet, że to nie on dobił się tego, ale lejtenant Rud'.

Szumakow zapamiętał jednak, że w jego dywizji jest ktoś miejscowy. I kiedy powstał plan uratowania zapory, wezwał Rudia i wyznaczył go na dowódcę plutonu zabezpieczenia bojowego.

W nie zatopionej sztolni było dużo zimniej niż na dworze. Z betonowej ścianki zbudowanej przez Niemców wystawała gruba rura i przez nią z hukiem wyrывała

się woda, spadając ciężko na betonową posadzkę. Nie zatrzymywała się tutaj — odpływała przez jakąś niewidoczną dziurę. W sztolni panował jednak taki ogłuszający szum, że nie można go było przekrzyczeć i ludzie musieli porozumiewać się na migi jak głuchoniemi. Ściany pociemniały od wilgoci. W dusznym powietrzu unosił się zapach stęchlizny i pleśni. Trudno było tu znaleźć suchsze miejsce, aby ustawić sprzęt bojowy bez obawy, że zwilgotnieje i stanie się niezdatny do użytku.

Miejsce to, chociaż dobrze ukryte przed okiem nieprzyjaciela, wywierało przygnębiające wrażenie. Najgorzej, że nie wiadomo, jak długo wypadnie siedzieć w tej mokrej jamie. Gdyby zaporą nie była zaminowana, można by pocierpieć, ale tak wszyscy czuli się, jak gdyby położyli się spać na polu minowym, które wróg może wysadzić każdej chwili w powietrze.

Lejtenant Rud' postanowił przede wszystkim zatkać rurę, aby choć trochę osuszyć wnękę i przytłumić szum wody. Dokoła walały się kawałki desek, belki podobne do podkładów kolejowych i grube żerdzie. Z wody wyłaniały się zwoje zardzewiałego drutu i żelazne pręty używane jako zbrojenie przy betonowych konstrukcjach. Były to zapewne pozostałości z tych czasów, kiedy Niemcy budowali ścianę.

— Dawaj siekierę! — krzyknął jefrejtór Kowalczuk do nurka Bogatyriowa. Nurek rzucił mu siekierę, którą Kowalczuk sprytnie chwycił w locie za toporzysko.

Wybrał on kilka grubych desek i obciosywał je z boku, dopasowywał jedną do drugiej. W przyćmionym świetle latarni twarze były ledwo widoczne. Żołnierze w milczeniu przyglądali się pracy jefrejtora.

Wkrótce na wilgotnej podłodze leżało już kilka przygotowanych desek. Żołnierze zaczęli majstrować zastawkę.

Był to pomysł lejtenanta Rudia — spróbować w ten sposób zatkać gardziel rury. Kowalczuk wykonywał tylko jego rozkaz, chociaż nie bardzo wierzył w skuteczność tego sposobu.

Zastawka była gotowa. Kilku ludzi podniosło ją i skierowało na rurę. Sam lejtenant stanął nieco z tyłu i przytrzymywał z kilkoma żołnierzami prostą grubą żerdź, podobną do nie ociosanego słupa, aby podeprzeć nią zastawkę, jak tylko otwór zostanie zamknięty.

— Zaczynać! — rzucił komendę lejtenant, i ci, co trzymali zastawkę w górze, razem przycisnęli ją z całych sił do wylotu rury. Woda jednak była silniejsza. Na chwilę się uspokoiła, szum wypełniający komorę przycichł. Ale nagle, jakby się naraz ocknęła, runęła z nową siłą i wyrwawszy zastawkę z rąk żołnierzy, cisnęła ją daleko, prawie na środek komory. Zastawka wpadła w głęboką kałużę, zaczepiwszy lekko o ramię lejtenanta Rudia, który nie zdążył odskoczyć. Lejtenant krzyknął i upadł.

Wszyscy podbiegli do Rudia. Poprzez szum wody, która znowu swobodnie biła z otwartej żelaznej gardzieli, nic nie można było usłyszeć. Lejtenant stanowczo odsunął sanitariusza, który chciał go obejrzeć, i z trudem się podniósł. Nie był ranny, po prostu został uderzony, i teraz bolało go ramię.

Zdjął mokry płaszcz, obmacał bolące miejsce. Poruszał ręką, lecz nie mógł jej podnieść.

— Zostawcie to! — huknął do ucha Kowalczukowi.
— Rano zadecydujemy, co robić.

Rozkazał ściągnąć kilka belek na suchsze miejsce, jako tako ulokować się na nich i na siedząco odpocząć. Żołnierze zaczęli siadać, wykręcać mokre onuce, wylewać wodę z butów. Po pewnym czasie wszyscy się ucisz yli, przytuleni jeden do drugiego.

Rud' usiadł w kącie, ogrzał się trochę, ale nie mógł zasnąć. Niespodziewane spotkanie z Charkewiczem nie dawało mu spokoju. Na naradzie u Sztukarenki starał się trzymać zupełnie swobodnie, nawet podszedł do Charkewicza i uśmiechnął się, jakby się nic nie stało, i zachowywał się tak, jakby ucieszył się z tego spotkania. Ale ta jego swoboda, z jaką usiłował się trzymać, i niewinny uśmiech towarzyszący jego słowom były nienaturalne. Rud' doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Chciał po prostu ukryć wewnętrzny niepokój, jaki go ogarnął, gdy wszedł Charkewicz, człowiek, z którym łączyły go skomplikowane stosunki.

Nie żałował wprawdzie swego dawnego czynu, za który Ołeh Iwanowicz tak drogo zapłacił. Przeciwnie, i teraz był przekonany, że postąpił słusznie. Ale to, że obaj z Charkewiczem znaleźli się w jednym szeregu, wносиło jakiś trwożliwy nieład w jego myśli, szczególnie teraz, kiedy był tak zmęczony.

Czasem zdawało mu się, że zasnął i dalej myśli przez sen, z trudem pokonując otępiałą świadomość.

Próbował poruszyć się na twardej kłodzie, przy czym mimo woli potracał żołnierzy, którzy, siedząc, spali obok niego. Żołnierze niewyraźnie coś mamrotali, układali się wygodniej, a głowy ich znów pochylały się na piersi w niespokojnym uśpieniu.

Rud' słyszał te niewyraźne pomruki sennego niezadowolonia, widział, jak ludzie gwałtownie zrywają się ze snu i od razu znów zasypiają, i dochodził do wniosku, że trwożna myśl o Charkewiczu nie znika i nie słabnie od tego, że on stara się ją odpędzić.

Prawie przed samym świtaniem zasnął na godzinę, znużony tym, co go tak niespodziewanie zmartwiło, a jeszcze bardziej tym, że na pół przez sen usiłował przemyśleć i zrozumieć wszystko do końca.

13

Rud' obudził się i początkowo nie wiedział, gdzie się znajduje. Szum wody rozpraszał jego myśli. Dokoła nie było nic widać, tylko przez otwór, przez który wleźli żołnierze, kiedy przyszli tu pierwszy raz, przedzierało się nieprzyjemne, chłodne światło.

Chciał wstać, ale poczuł, że z obu stron przyciskają go żołnierze, którzy tak jak on spali, siedząc na kłodach. Poruszywszy się zobaczył, jak pochylają się w jego stronę i zrozumiał, że zupełnie pospadają, jeżeli on zdecyduje się wstać.

A zresztą po co wstawać? Jeszcze raz próbować zatkać rurę zastawką? Nie uda się. Nie warto tak rano budzić ludzi: są zmęczeni, nie wiadomo, czy byliby zdolni zaczynać wszystko od nowa.

Lejtenant postanowił czekać. Chciał tylko zmienić pozycję, ale ciało ciążyło mu jak ołów, a nogi zdrętwiały i ścierpły.

Pierwsza myśl dotyczyła tego samego, z czym zasnął: Charkewicz! Do serca podpłynął znowu niezrozumiały lęk, podświadomy, zagadkowy. Po prostu przypomniał mu się Charkewicz i to wystarczyło, aby serce ścisnęło się trwogą.

Nieprzyjemnie jest spotkać na wojnie człowieka, którego się kiedyś skrzywdziło. Duch koleżeństwa, który jednoczy i brata żołnierzy, opiera się na tym, że między wszystkimi istnieją jasne i zrozumiałe stosunki. W ogromnym zbiorowisku ludzi, których wojna przypadkowo złączyła, rzadko spotyka się takich, co znają się już od dawna. Na ogół wywodzą się oni z różnych miast i wsi i przedtem nigdy się ze sobą nie spotykali. Ale już od pierwszej chwili zjawia się między nimi poczucie braterstwa, rodzące się z tego, że wiąże ich ten sam cel i grozi im to samo śmiertelne niebezpieczeństwo, wobec którego wszyscy są równi i z którym łatwiej jest walczyć, jeżeli się tworzy zgodną, zwartą rodzinę.

Jeżeli natomiast spotkają się ludzie, którzy znali się dawniej i w dodatku czują do siebie urazę, to obaj nie wiedzą, jak postępować. Wspólny cel, jaki przed nimi stoi, w takim wypadku jeszcze bardziej zbija ich z tropu, bo jakże to można zrozumieć: kiedyś byli wrogami, a tu okazuje się, że realizują to samo dzieło.

Rud' nie obawiał się, że pojawienie się takiego człowieka zagraża w czymś jego osobistej pozycji. Ołeh Charkewicz nie będzie się mścił, nie będzie pamiętał krzywdy. A gdyby nawet próbował uciec się do zemsty, to znajdują się jakieś podstawy prawne, aby mu w tym przeszkodzić. Czyż wystąpienie na komsomolskim zebraniu to coś niezgodnego z prawem? A krytyka błędów też chyba nie jest zabroniona.

A mimo wszystko były to tylko formalne rozważania, i chociaż Rud' mógłby się nimi posłużyć, gdyby zaszła tego potrzeba, wiedział, że Charkewicz nie zmusi go do obrony. I to było najgorsze, gdyż formalne prawo pozostawało nie wykorzystane, a czyn i jego konsekwencje istniały i nie można ich było przekreślić.

W pewnej mierze Rud' odczuł to jeszcze wtedy, na drugi dzień po owym komsomolskim zebraniu, kiedy jakiś niejasny wewnętrzny odruch kazał mu iść do mieszkania Charkewicza, aby się z nim porozumieć. Lejtenant żałował teraz bardzo, że wówczas nie zastał go w domu. Może gdyby go zastał, załagodziłoby to albo i zupełnie usunęło te wszystkie komplikacje w ich wzajemnych stosunkach.

Ale wówczas Charkewicza nie było już w starym miesz-

kaniu. I kiedy na drugi dzień Rud' objął jego stanowisko w nastawni, mogło się wydawać, że swoim wystąpieniem na zebraniu do tego właśnie zmierzał. Takiego czynu nie mógł pochwalić nie tylko Charkewicz, ale i w ogóle nikt. Rud' to rozumiał, ale co zrobić, jeżeli tak się jakoś złożyło!

Otwór, który świecił jak zawieszony nad głową ekran, powoli jaśniał i z brudnoszarego stawał się ciemnoniebieski. Przelatywały w nim strzępy niemal czarnych chmur, nabrzmiałych wilgocią i chłodem. Zbliżał się ranek, ale jego nadejście nie wróżyło ani ciepła, ani słońca i dlatego sprzyjało rodzeniu się posępnych, uciążliwych myśli.

Nagle w otworze ukazała się czyjaś głowa i Rud' domyślił się od razu, że to Charkewicz. Ołeh Iwanowicz wyjął z kieszeni elektryczną latarkę i wąski strumień światła przemknął po mokrej ścianie sztolni. Z góry na pewno nie było nic widać, bo promień ześliznął się ze ściany na twarze żołnierzy i popłynął dalej — do kąta, gdzie przyczaił się lejtenant Rud'. Lejtenant postanowił nie zdradzać się przed Charkewiczem, że nie może zasnąć; szybko zamknął oczy i udawał, że śpi, ale przez uchylone nieco powieki bacznie obserwował Charkewicza, zdając sobie sprawę, że Ołeh Iwanowicz z góry i tak tego nie zauważy.

Latarka zgasła. Rud' widział, jak Charkewicz odwrócił się plecami do otworu, spuścił w dół jedną nogę i zaczął nią szukać żelaznego haka, których wiele wmurowano tu w ścianę zamiast stopni. W końcu oparł się na pierwszym z nich i wsunął do wewnątrz drugą nogę. Teraz już stawał pewniej, nie szukał na oślep. W swoim czasie nieraz musiał schodzić do sztolni przez ten otwór.

Za chwilę zeskoczył na posadzkę. Spod jego lekkich butów na wszystkie strony trysnęła woda, ale jej plusk utonął w ogólnym szumie.

Charkewicz znów nacisnął palcem guziczek latarki i poprowadził jaskrawy promień wzdłuż ściany, pod którą spali żołnierze.

Przesuwały się przed nim pochylone na piersi i przechylone na bok nieruchome twarze i wreszcie promień padł na twarz lejtenant Rudia i zatrzymał się na niej.

Lejtenant podskoczył, zamrugnął zaspanymi oczyma i usiłując przekrzyczeć szum wody, zawołał:

— Stać! Kto to?

— To ja, Charkewicz.

— Tfu! — uśmiechnął się Rud' i uważnie spojrzął na Charkewicza, jak gdyby chciał się upewnić, że to naprawdę on. — A ja, widzisz, przestraszyłem się.

Bogatyriow i Kowalczuk, którzy spali obok lejtenanta, przeciągając się, również podnieśli się z belek. Obudzili się, kiedy Rud' gwałtownie podskoczył i między nimi powstała próżnia, w którą pospadali.

— No, co tu u was? — zapytał Charkewicz, ale Rud' nie usłyszał.

— Co? — nadstawił ucho do Charkewicza.

— Przegrodzili, łajdaki! — krzyknął Ołeh Iwanowicz do ucha lejtenantowi, wskazując ścianę, z której sterczała rura. — To znaczy, że z tamtej strony woda?

— Do samego sufitu! — krzyknął Rud' w odpowiedzi. — Próbowaliśmy zatkać, ale... — wzruszył ramionami i skrzywił się z bólu.

— Obudź swoich chłopaków — zaproponował Charkewicz. — Trzeba coś zrobić.

— Pobudka! — podał komendę lejtenant, ale jego słów nikt nie usłyszał. Podszedł więc do pierwszego z brzegu żołnierza i szarpnął go za ramię.

Kowalczuk i Bogatyriow obudzili resztę. Za chwilę żołnierze pozwlekali się z belek i przeciągając się sennie otoczyli Charkewicza i Rudia.

Niski, przysadzisty sanitariusz Bojko zapalił wielką latarnię i sztolnia wypełniła się bladym światłem. Była to dziwaczna latarnia — czworokątna, wysoka, podobna do tych, jakie noszą ze sobą kolejarze przy szlabanach i na zwrotnicach. Charkewicz wziął latarnię za druciany kabłąk i podniósł ją nad głowę. Chciał się zorientować, co się tu wokół dzieje. Dobrze pamiętał to miejsce, ale zbudowana przez Niemców ścianka zmieniała je nie do poznania i sztolnia przypominała teraz jakąś ponurą kaza-matę. Charkewicz zbliżył się do rury na taką odległość, na jaką pozwolił mu bijący z niej strumień, na oko obliczył jej przekrój i podszedł do ściany, pod którą pływały drewniane kłody. Odpychając nogą jedną od drugiej, wybrał odpowiednią, podobną do słupa telegraficznego, i huknął:

— Jest tu siekiera?

Lejtenant Rud' obserwował go w milczeniu.

— Siekierę! — krzyknął, zwracając się do żołnierzy.

Charkewicz wziął siekiere z rąk Bogatyriowa i oddał mu latarnię. Pochyliwszy się nad kłodą, silnym uderzeniem wbił stalowe ostrze w na wskroś przemokłe drewno. Ciągnąc za toporzysko, wywlókł belkę na suchsze miejsce i zdjął płaszcz.

Teraz już wszyscy zrozumieli, co Charkewicz zamierza zrobić. Zrozumiał to także Rud' i zdziwił się, dlaczego on sam wcześniej nie wpadł na taki pomysł. Szkoda. Przykro. Milcząc, śledził każdy ruch Charkewicza.

Tymczasem Ołeh Iwanowicz popluł w dłonie, jak to robią cieśle, zanim zabiorą się do pracy. Wysoko podrzucając siekiere, zaczął sciosywać koniec wilgotnej kłody. Wkrótce przypominała ona ogromny zaostrzony ołówek. Drzazgi rozlatywały się na wszystkie strony, krążyły w wirującym strumieniu, który wciągał je w lej.

Kłoda była długa, mogło ją uchwycić kilku ludzi. Najpierw próbowali zwyczajnie zatkać rurę ostrym końcem, ale woda wypchnęła belkę z taką siłą, że o mało nie wypuścili jej z rąk. Trzeba było działać inaczej, i Charkewicz poradził, aby uderzyć w rurę z rozpędu, to może uda się pokonać napór wody.

— R-r-raz! — zakomenderował na cały głos Ołeh Iwanowicz.

Żołnierze z rozpędu popchnęli belkę do przodu, starając się trafić w rozszalały krater.

Ale nie udało im się wcelować i belka uderzyła ostrym końcem w ścianę, a ludzi oblała zimna woda.

— Jeszcze raz! — zakomenderował powtórnie Charkewicz i żołnierze powtórzyli manewr, skierowując znów zaostrzony słup w wylot rury jak długi pocisk w lufę armaty.

Walili tak i walili ostrzem o ścianę, aż w końcu udało im się trafić w otwór. Uderzenie naprężonych ramion było tak silne, że prawie trzecia część kłody weszła do rury.

Zaległa martwa cisza. Słyszało się ciężkie oddechy zasapanych ludzi.

— Nie puszczaj! — krzyknął Charkewicz. W ciszy, jaka raptem zapadła, kiedy uspokoiła się woda, okrzyk ten wydawał się przeraźliwie głośny i wszystkich to rozbawiło.

Kilku żołnierzy podniosło drugą belkę, zaczęli nią jeszcze głębiej wbijać drewniany czop. Kłoda posuwała się powoli, widocznie mocno utkwiła w rurze. Tylko ze szpary, jaka została między drewnem i rurą, cienką strużką spływała wciąż woda.

Charkewicz był mokry tak jak i wszyscy. Zdjął marynarkę, wyżał ją i rozpostarł na belkach. Potem włożył suchy płaszcz Sztukarenki i wytarł chusteczką twarz i ręce.

Rud' odpiął od pasa flaszkę, nalał do blaszanego kubka zdobycznego rumu i podał Charkewiczowi.

— Wypij. Przeziębisz się.

Charkewicz, milcząc, wychylił napój. Rum okazał się lichi, ale mocny, złudnym ogniem rozplynął się po zmęczonym ciele, uderzając do głowy jak drewniany młotek.

14

W nocy za Dnieprem toczył się bój, niemieckie baterie były z podmiejskich sadów. Sołomija z Iwasykiem zeszli do piwnicy, obok nich przytuliła się Kławdija Charytoniwna. Tylko Kuźma Iwanowicz nie chciał zejść na dół, nie zważał na rozlegający się wokół łoskot i siedział tak jak przedtem zaszyty w kącie izdebki, jakby to wszystko nic go nie obchodziło. Lubow Stepaniwna oczywiście nie mogła go opuścić — chociaż było tu strasznie, została przy nim.

Przed świtem wszystko ucichło. Widocznie wyparto Niemców z lewego brzegu. Obok budynku przechodziły resztki niemieckich jednostek — zmęczeni, brudni żołnierze, którym udało się uratować, ledwie powłóczyli nogami i milcząc wycofywali się z miasta na zimny step.

List leżał na stole. Lubow Stepaniwna zakończyła go w pośpiechu, w przerwach między strzelaniną, kiedy tynk przestawał się sypać z sufitu i wydawało się, że niebezpieczeństwo minęło. Było to bezładne kwilenie matki do jedyne go, dalekiego dziecka.

O dwunastej posłaniec nie przyszedł, nie zjawił się też i później. Teraz była już piąta, na dworze zmierzchało. Lubow Stepaniwna nie mogła sobie znaleźć miejsca, podchodziła do stołu, brała list i znowu go kładła na stole,

jak gdyby parzył ją w ręce. Wiedziała, że dłużej nie ma sensu czekać — w mieście wytworzyła się taka sytuacja, że człowiek ów, chociaż obiecał, nie mógł przyjść. A mimo to wciąż się niepokoiła, nie mogła uporać się ze swym smutkiem, przez cały czas zerkając ukradkiem na Kuźmę Iwanowicza, szukając u niego współczucia. Ale mąż siedział w kącie jak nieobecny: na nic nie zwracał uwagi.

Na schodach rozległy się kroki — Lubow Stepaniwna poznała: Myronenko. Karpo Sydorowicz wszedł, zdjął poplamioną smarem skórzaną uszankę, bez słowa usiadł przy drzwiach i rozpiął wyświechtany aż do metalicznego połysku waciak.

— Trzeba uciekać z miasta — odezwał się głucho. — Rano zacznie się przymusowa ewakuacja ludności. Transporty stoją już na stacji.

Tego tylko brakowało. Poślaniec przyjdzie po list, a tu drzwi zamknięte, nie ma nikogo w domu.

— Jak to uciekać? — wyszeptwała Lubow Stepaniwna i nagle nogi się pod nią ugięły. Na osłep namacała ręką krzesło. — Dokąd uciekać?

— Bezpieczne miejsce jest. Przepustki, aby wyjść z domu, także gotowe. — Myronenko wyciągnął z kieszeni małą paczuszkę dokładnie owiniętą w gazetę. — Proszę, dla was obojga i dla mojej Sołomii z Iwasykiem.

Lubow Stepaniwna rozwinęła gazetę i uważnie przyjrzała się zielonkawym papierkom z poprzecznymi czarnymi pasami, jakby się chciała przekonać, czy przepustki nie są fałszywe. Na każdej z nich okrągła pieczętka ze swastyką i podpis komendanta. U góry wydrukowany napis: „Ważne przez całą dobę”.

Nie zapytała Myronenki, w jaki sposób je zdobył, tak jak nie pytała nigdy, skąd bierze dla nich siarkę. Już od października czterdziestego pierwszego roku, kiedy to Kławdija Charytoniwna poprosiła go, aby naprawił jej kran kuchenny w dawnym mieszkaniu obok zapory, a on nie chciał naprawić i zmusił ich do natychmiastowej przeprowadzki z tego niebezpiecznego miejsca do domu, w którym teraz mieszkali, Lubow Stepaniwna uważała go za swego zbawcę i bezgranicznie mu ufała. Na drugi dzień nastąpił w siłowni straszliwy wybuch i kawał ogromnej kratownicy zerwał dach z ich mieszkania, z którego

zaledwie zdążyli się wynieść. Co by było, gdyby nie posłuchali Myronenki?

A mimo to nie godziła się:

— Jakżeż my pójdziemy z domu? Przecież ja czekam...

Myronenko wiedział, co ona chce powiedzieć.

— A jak nie pójdziecie i pogonią was siłą? — zapytał.

Lubow Stepaniwna siedziała trzymając rękę na sercu. Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale nie miała już sił.

— Do nocy jest sporo czasu. Zastanówcie się. A moje miejsce bezpieczne. Z przepustkami zaprowadzę was tam.

Myronenko wyszedł na schody, poprzez drzwi słyhać było, jak ostrożnie szuka w mroku pierwszego stopnia.

Kuźma Iwanowicz i teraz się nie odezwał. Lubow Stepaniwna także milczała. Chciała zapytać męża, co będzie, ale bała się, że jej nie odpowie.

Nie słyszała nawet, jak weszła Kławdija Charytoniwna i położyła rękę na jej ramieniu.

— Idźcie z Myronenką. Innego wyjścia nie ma. A o list się nie martwcie. Jeśli ten człowiek przyjdzie, ja mu oddam.

Lubow Stepaniwna dopiero teraz podniosła na nią zdumione oczy.

— To pani zostaje?

— Ze mną to inna sprawa. A wy idźcie. — I zwracając się do Kuźmy Iwanowicza: — Ja u nich pracuję, mnie nie ruszą. A wy powinniście się ratować.

Kławdija Charytoniwna mówiła cicho, ale w głosie jej zabrzmiała nagle taka stanowczość, że Kuźma Iwanowicz zadrżał.

— Pogonią nas znowu nie wiadomo gdzie — odezwał się, jakby rozmyślając na głos — a potem front i tam przyjdzie i znowu pogonią. — Raptem poderwał się z miejsca i krzyknął, jakby wołał na cały świat: — Gdzie my się w końcu zatrzymamy?

Lubow Stepaniwna długo milczała, a słowa męża huczały jej w głowie, jakby odbijały się w próżni, i wciąż wracały i wracały, aby lepiej utrwalić się w pamięci. Ona też wstała z krzesła, wzięła ze stołu list do Kseni i bezsilnymi ramionami objęła Kławdiję Charytoniwnę.

— Proszę to zabrać.

Była już godzina dziesiąta, ale dzień jeszcze naprawdę nie wstał. Jakby wcale się nie śpieszył, bo nic go nie czekało prócz nudnej chłodnej mżawki, która padając zamieniała się w nietrwałą śnieżną krupę. Nad zaporą kłębiły się niespokojne ołowiane chmury — zimny, północny wiatr pędził je szybko przed sobą, zaś z betonowej kazamaty sztolni wydawało się, że stąd właśnie się wyrwywają i przez kwadratowy otwór płyną w przestworza, jak dym z ogniska.

Charkewicz już trochę odpoczął i ogrzał się. Dobrze, że zdjął płaszcz, zanim zaczęli zabijać tę diabelną dziurę — przemokła tylko marynarka i buty nasiąkły wodą. Chromowe i stare — tutaj nie takie potrzebne.

— Masz lornetę? — zapytał Rudia.

— Mam.

— Bądź łaskaw i daj mi ją na chwilę.

Rud' podał mu lornetę i uśmiechnął się zdziwiony:

— Na niebo chcesz popatrzeć przez tę dziurę?

— Wyjdę na górę, może coś zobaczę.

— Nie warto. Z Chortycy mogą cię zauważyć.

— Myślisz?

— Tu nie ma co myśleć. Na dworze już dzień.

— Co zrobić? W nocy nic nie widać.

Charkewicz stał niezdecydowany z lornetą w rękach, schował ją znów do skórzanego futerału i oddał lejtenantowi.

— Może wysunąć lornetę nożycową? — zaproponował Rud'. — Słońca nie ma, szkło nie będzie się błyszczeć.

— Dobrze. Spróbujemy.

Rud' kazał umieścić lornetę na żelaznych hakach, po których schodzili do sztolni. Nie było jej na czym postawić, drewniany trójnóg przymocowali drutem, a obiektywy wysunęli na świat Boży jak rogi ślimaka.

Charkewicz wdrapał się na górę po ścianie i przywarł do okularów. Postawił obie nogi na jednym haku, a trzymał się drugiego lewą ręką, gdyż prawą musiał mieć wolną, aby manipulować lornetą.

Deszcz monotonnie siąpił nad ziemią, zalewając cały widokrąg rzadką mgiełką. W okularach szarzały cętki kropel i przeszkadzały w rozróżnianiu przedmiotów, i tak

ledwo widocznych w oddali. Z przodu ciemniała wyspa, na której jakby wszystko wymarło — ani jednego człowieka. Charkewicz stopniowo przesuwał lornetę, powoli przepływały mu przed oczyma kontury opustoszałej wyspy. Potem zjawiła się przepaść — zwisały nad nią bezradnie resztki kratownic mostu kolejowego, wysadzonego już dawno, w czasie odwrotu. Obiektywy lornety przesuwały się wciąż dalej i dalej, wreszcie wyłoniły się kontury prawego brzegu, spowite niebieskawą mgiełką. Przepływały wagony kolejek dojazdowych, stosy jakichś kamiennych brył, szczątki żelaznych konstrukcji. Mgła wywołana odległością i drobniutkim deszczem zacierała zarysy rzeczy, zmieniając wszystko w szare, niewyraźne plamy. W końcu w szklach okularów wyrosła szara ściana i Charkewicz domyślił się od razu, że to hala turbin.

Raptem poczuł, jak jęknęło i ścisnęło mu się serce. Z tym pomieszczeniem, które stało prawie zupełnie całe, czy też tylko wydawało się całe z takiej odległości i w takim nieprzeniknionym mroku — z tym szarym szklanym pomieszczeniem tak wiele łączyło Charkewicza.

W dole, zadzierając głowę do góry, stał Rud', który mógłby poświadczyć, co przeżył tu kiedyś Ołeh Iwanowicz i ile zaznał radości i smutków. Ale Charkewicza wzruszało nie to, co wiedział i o czym mógł pomyśleć teraz Rud'. Tam za szklaną ścianą tej wspaniałej budowli był inny budynek — zupełnie mały, a w nim mieszkanie Kławdii Charytoniwny, u której została Ksenia ze swoimi rodzicami. Czy oni i teraz są tam, za tą jesienną mgłą i spokojną rzeką, która oddziela go od nich?

Trudno w to uwierzyć. Trudno to sobie nawet wyobrazić. Jak długa jest zapora? Jak szeroki jest w tym miejscu Dniepr? Ile metrów ich dzieli? Znał doskonale szerokość rzeki i długość zapory, ale teraz w żaden sposób nie mógł sobie tego przypomnieć. Wzruszenie przyćmiło umysł, o mało nie spadł i ledwie zdążył się złapać za jakiś hak zdrewniałą ręką.

Należało natychmiast opanować swoje uczucia. Lepiej przerwać obserwację i zejść na dół. Ale i tego nie można zrobić. Rud' na pewno zauważy, w jakim on jest nastroju, i w najlepszym razie zacznie się wypytywać, co widział na górze. Trzeba będzie odpowiadać, a Charkewicz

nie był w stanie rozmawiać teraz o tym. Lewa ręka zupełnie mu ścierpła i nie miał pewności, czy potrafi się jeszcze na niej utrzymać. Aby wisieć dalej na ścianie, powinien uchwycić się prawą, a lewej pozwolić odpocząć. Spróbował to zrobić, trzymał się haka prawą, ale musiał stać bokiem do okularów lornety. Trzeba było odwracać głowę, aby przyłgnąć do nich oczyma.

Wisiał teraz w bardzo niewygodnej pozycji, ale fizyczny wysiłek odwracał myśli od najważniejszego, i znów mógł obserwować. Lewą, zdrętwiąłą, ręką obrócił lornetę i wpił się oczyma w na pół zrujnowaną ścianę komory wstępnej, która bezpośrednio stykała się z zaporą.

Więcej nic nie można było zobaczyć — dalej zasłaniała wszystko zapora, wygięta od środka w ogromny kabłąk. Za jej plecami tuliło się całe prawobrzeżne miasto, jakby naumyślnie kryjąc się przed jego wzrokiem. Stąd można było obejrzeć zaporę tylko do połowy. Fragmenty położone bliżej lornety przybierały takie rozmiary, że nie mieściły się w okularach. Przed oczyma Charkewicza wyrósł szmat betonowej powierzchni powiększonej przez soczewki jak przez laboratoryjny mikroskop.

Charkewicz niepokoił się, że nie może zobaczyć tej części zapory, która bezpośrednio przylega do miejsca, gdzie on się znajduje. A przecież stąd trzeba będzie zacząć szturm na jej ruiny i zwaliska. Dalszy odcinek wydaje się być mało zburzony. Ocalał tam nawet spory kawałek mostu poddźwigowego, który być może, okaże się zupełnie bezużyteczny, gdyż nie ma do niego dojścia. Ale tu bliżej, aż do samego środka, sterczały dwudziestometrowe filary jak połamane zęby w paszczy potwora. Charkewicz wiedział, że nie można ich obejść, na każdy z osobna wypadnie się wspinać. Bez drabinek, bez schodków — nie budowano ich po to, aby na nich wojować.

Oderwał wzrok od lornety i zaczął schodzić na dół.

— No i co tam? — zapytał Rud', kiedy Charkewicz zeskoczył z ostatniego haka.

— Wleź sam i zobacz — odburknął Charkewicz niezbyt uprzejmie.

— Ramię, rozumiesz... Boję się, że spadnę. — Rud' poczuł się dotknięty, chociaż Ołeh Iwanowicz nie miał zamiaru go obrazić. Po prostu poradził mu, aby sam popatrzył, a o tym, że boli go ramię, nawet nie wiedział.

— Ciężko nam będzie... to wszystko, co stąd zobaczysz.

— A ty co myślałeś, że lekko? — Rud' spojrział na niego swoimi złośliwymi oczkami.

Dopiero teraz Charkewicz zrozumiał, że Rud' się obraził. Gdyby od razu to zauważył, mógłby jakoś naprawić swoją przypadkową omyłkę. Ale usprawiedliwiać się i przeproszać go nie mógł. Lepiej udawać, że nie dosłyszał uszczypliwego słowa.

— A jak tu z telefonem? Można zadzwonić? — Ołeh Iwanowicz zmienił temat.

— Proszę bardzo, dzwoń. — Rud' wskazał ręką stojący na belkach aparat telefoniczny i po jego twarzy przemknął bolesny grymas: zabolalo go ramię.

Charkewiczowi żal się zrobiło Rudia i dotknął lekko jego płaszcz.

— Jak myślisz, nikt nas nie podsłuchuje?

— Po tej stronie Dniepru Niemców już przecież nie ma — Rud' uśmiechnął się ironicznie.

Charkewicz również uśmiechnął się blado: — Oczywiście, kto tu może podsłuchiwać.

Podszedł do telefonu i poprosił łącznościowca o połączenie z dowódcą dywizji. Za chwilę w słuchawce rozległ się głos Szumakowa. Charkewicz zameldował o swoich spostrzeżeniach, ale mówił, stojąc przez cały czas twarzą do Rudia, jakby właśnie jemu opowiadał o wszystkim, co widział na górze.

16

Petro Sławczuk był całkowitym przeciwieństwem Ołeha Charkewicza. W instytucie nazywano ich Pat i Patachon, bo Ołeh był prawie o całą głowę wyższy od przyjaciela, który z kolei wydawał się obok szczupłego Charkewicza niemal grubasem. Różnił się także od milczącego i skupionego Ołeha swoim wesołym, towarzyskim usposobieniem i żartobliwie określał ich przyjaźń jako „dialektyczną jedność przeciwieństw dwóch współczesnych istot”.

— My, energetycy, wiemy, co to jest dodatni i ujemny prąd! — mówił zawsze przy tej okazji. — Jeden bez drugiego nic nie znaczy. Siła — w zetknięciu!

— A który z nas jest dodatni? — dopytywał się Ołeh.

— W prądzie zmiennym, jak wiadomo, bieguny się uzupełniają — odpowiadał Petro.

— Chyba że tak — zgadzał się Ołeh. Wiedział, że jego przyjaciel potrafi wybrnąć z każdej sytuacji.

Razem z nimi, tylko na innym wydziale, studiowały siostry Olchowskie — bliźniaczki, które trudno było odróżnić. Petrowi spodobała się Majka, uchodząca za młodszą. Nie wiadomo, czemu właśnie ona przypadła mu do serca, chociaż obie były zupełnie jednakowe. Wesole, wygadane, skłonne do żartów, lubiły wykorzystywać swoje niezwykle podobieństwo i często nabierały zalotników, wychodząc jedna zamiast drugiej na umówione spotkanie.

Petro doszedł do wniosku, że przestaną go oszukiwać, jeżeli i starsza będzie miała swojego chłopca. Zaczął namawiać Ołeha, aby zainteresował się drugą siostrą, Walerią. Ale Ołeh nie miał ochoty pomagać mu w tej sprawie. Teraz już on żartował:

— One są takie podobne, że mają chyba jednakowe gusty. A my przecież się różnimy: ty chłop jak tur, ja chłop jak tyka.

Okazało się jednak, że te same gusty zdarzają się nie tylko u bliźniąt. Upłynęło kilka miesięcy od czasu, jak przybyli na Dnieproges i obaj potajemnie zakochali się w jednej dziewczynie: w Kseni Storożenko, córce kijowskiego profesora, która ukończyła instytut ekonomii i planowania i pracowała w zarządzie Dnieprogesu w wydziale planowania.

Ksenia była szczuplutka, z jasnym grubym warkoczem, który nosiła przerzucony przez lewe ramię. Po ulicy chodziła z dumnie podniesioną twarzą: zdawało się, że warkocz przeważa i ciągnie jej piękną głowę do tyłu. Ale w rzeczywistości Ksenia nie była zarozumiała, po prostu zachowywała się trochę nieufnie i unikała przypadkowych znajomości, gdyż matka wciąż ją przestrzegała przed takimi spotkaniami, mówiąc, że dziewczyna powinna się ich wystrzegać, szczególnie gdy znajdzie się sama w obcym mieście, daleko od swojej rodziny.

Matka Kseni — Lubow Stepaniwna — marzyła zawsze o tym, że jedyna jej córka po ukończeniu studiów zostanie w Kijowie i nadal będzie z nią mieszkać. Nie należała ona do kategorii mieszczkańskich kwoczek, które grzeją pod

swoimi ciepłymi skrzydłami własne kurczęta nawet wówczas, kiedy te wysiedzą już swoje potomstwo. Wydawało się jej jednak, że dziewczyna ma specjalne prawo do matczynej miłości, i nie chciała Kseni tego uczucia pozbawiać, wysyłając ją do innego miasta między obcych ludzi.

Profesor Storożenko mógł to bez trudu załatwić. Ale on nie wtrącał się wcale do spraw przydziału pracy, i Ksenia otrzymała skierowanie na Dnieproges. Robił to nie dlatego, że chciał się okazać bezstronnym lub uniknąć zarzutów i oskarżeń. Nie, on miał własne poglądy na to, co dla młodego człowieka korzystne, a co szkodliwe, i uważał, że lepiej będzie, jak Ksenia wyjedzie z domu i sama ułoży sobie życie.

— Ptaki wylatują z gniazd: to prawo przyrody — mówił zawsze swojej żonie.

— To tylko szumne słowa — gniewała się Lubow Stepaniwna. — Całe nieszczęście w tym, że zbyt dużo naczytałeś się w swoim życiu różnych powieści.

— Czytanie to mój zawód — odpowiadał z uśmiechem. — Zresztą trafiają się powieści nie tak znów zupełnie pozbawione sensu.

— Przestań! Tu chodzi przecież o twoją jedyną córkę!

— Oczywiście. Dlatego właśnie tak się upieram.

Nie uległ ani namowom, ani żądaniom żony i postawił na swoim.

Lubow Stepaniwna wiedziała, że mąż dopnie swego, gdyż rozmowy te toczyły się między nimi stale, jeszcze kiedy Ksenia była na szóstym, a później na ósmym semestrze i do jej wyjazdu z domu zostawał rok czy nawet dwa. Wojując z Kuźmą Iwanowiczem, przygotowywała się w duchu na porażkę — coraz częściej i częściej pouczała córkę, jak powinna się zachowywać dziewczyna między obcymi ludźmi.

Ksenia nie była maminią córeczką, miała własne poglądy i ukształtowany już, dosyć swoisty charakter, ale matczyne ostrzeżenia też nie były daremne; nawet nie myśląc o nich, wciąż zachowywała ostrożność i nie zawierała przypadkowych znajomości. Lecz jak to na ogół bywa w takich okolicznościach, z młodymi inżynierami zapoznała się zupełnie przypadkowo.

Był dzień wypłaty i młodzi inżynierowie przyszedli do wydziału finansowego, gdzie mieściła się kasa. W kolejce sta-

ło dużo ludzi i oni stanęli tuż za dziewczyną z jasnym warkoczem. Kiedy podeszła do okienka i powiodła palcem po liście, szukając siebie, Sławczuk zajrzał jej przez ramię i przeczytał nazwisko.

— Ile dostaje u nas inżynier Storożenko? — zapytał Charkewicza. — Zdaje się, że półtora tysiąca.

Porozumiewawczo mrugnął do Oleha. Nie znał on żadnego inżyniera Storożenki i wszystko to wymyślił tutaj przed kasą.

Na dźwięk swego nazwiska Ksenia obejrzała się. Zrozumiawszy jednak, że to są zwykle umizgi, odwróciła się znów do okienka i podpisała się na liście.

— Czy to nie pani mąż? — Sławczuk już bezpośrednio zwrócił się do niej.

Ksenia nie odpowiedziała. Wzięła z rąk kasjera to, co się jej należało, i odeszła od kasy.

Teraz była kolejka Sławczuka, ale on sprytnie przepuścił przed siebie Charkewicza, a sam znalazł się obok Kseni.

— Dobrze, kiedy i mąż, i żona pracują! — westchnął nienaturalnie, jakby się do nikogo nie zwracał. — On dostanie półtora i ona tysiąc z kawałkiem...

Ksenia uśmiechnęła się:

— A pańska żona mniej otrzymuje?

— Moja kobieta zuch, codziennie pięćsetkę przyniesie.

Mówiąc to Sławczuk tak zabawnie wzdychał i przewracał oczyma, że Ksenia mimo woli wybuchnęła śmiechem i skierowała się ku drzwiom.

Teraz już i Charkewicz odebrał pensję, do kasy powinien był podejść Sławczuk. Lecz zamiast tego wziął on szybko pod rękę swego towarzysza i ruszył za Ksenią do drzwi. Po pieniądze mógł się zgłosić i później, a nie chciał stracić doskonałej okazji.

Dopędzili ją w końcu korytarza. Idąc za nią po szerokich schodach, Sławczuk odezwał się już zupełnie poważnie:

— Żarty żartami, ale jak zaczęliśmy już dzisiaj razem się śmiać, to śmiejmy się dalej!

Ksenia nie oponowała, chociaż była to taka znajomość, przed jaką ciągle ją ostrzegała Lubow Stepaniwna. A jednak spośród tysiąca możliwych znajomości ta okazała się

tą właśnie, której nie można ominąć, bo jak się to mówi, zsyła ją los.

I tam przy kasie, i tu na schodach biura Charkewicz uśmiechał się wstydliwie i ukradkiem szarpał Petra za rękaw. Dziewczyna i jemu się podobała, i nie miał nic przeciwko temu, aby się z nią zapoznać nawet przy pomocy żartobliwych sposobów swojego przyjaciela, ale sam czuł się przy tym nieswojo i cały czas się rumienił. Niepokoiła go zbyt duża śmiałość Sławczuka, ale zarazem zazdrościł mu trochę, gdyż on nigdy nie potrafiłby tak po prostu zagadnąć nieznanym dziewczyny, szczególnie takiej jak Ksenia, która wydawała się zimna i nieprzystępna jak skała! A Petro jednak się odważył i dziewczyna uśmiechnęła się, widocznie Sławczuk lepiej niż on zna ludzi.

— Jak tobie się to udaje? — z zachwytem zapytał Sławczuka, kiedy Ksenia zniknęła za drzwiami wydziału planowania, pomachawszy im ręką na pożegnanie.

— O czym ty mówisz?

— O tym, że... podchodzisz... żartujesz... zaznajamiasz się. I nic!

— A ty myślałeś, że ona mnie w gębę trzaśnie czy co?

— Nie, nie... ale mimo wszystko...

— A jakby ona cię zagadnęła, tobyś ją trzasnął?

— Ja? — zachnął się Charkewicz.

— To czego się dziwisz, że ona tak nie zrobiła?

— Ja tobie się dziwię, a nie jej.

— Nie bądź taki dziki i bierz ze mnie przykład.

To wszystko nie rozwiązywało problemu. Ale kiedy spotkali się wieczorem, tak jak się umówili przy letnim kinie, Charkewicz był już mniej zażenowany wobec Kseni i nie szarpał Sławczuka za rękaw.

Ksenia zresztą okazała się zupełnie nie taka, na jaką wyglądała. Można było pomyśleć, że dwaj młodzi inżynierowie, których dzisiaj pierwszy raz spotkała, to jej dobrzy znajomi. Młodość w ogóle łatwo otwiera się przed drugą młodością, tak jak otwiera się kwiat, kiedy poczuje, że ogrzał go słoneczny promyczek. A Ksenia długo trzymała się z dala od ludzi, potajemnie czekała na takie spotkanie i wystarczyło jej, że wyczuła szczerą koleżeńską przyjaźń, aby odpowiedzieć na nie taką samą szczerością wobec swoich nowych towarzyszy.

Spotykali się we trójkę niemal przez całe lato. Wieczorami nie chcieli się siedzieć w domu, po długim, dusznym dniu nęcił spacer na świeżym powietrzu. Szli na zapórę, stawali przy żelaznych poręczach mostu dla pieszych i patrzyli w dół. Wokół słyhać było szum szalejącej wody, ciężkie strumienie wolno spełzały z przelewu i jak górska lawina rozbijały się na skałach, zmieniając się w pył. Ten wodny pył wisiał w powietrzu i oświetlony silnymi reflektorami migotał i lśnił tworząc wspaniałą obraz, od którego trudno się było oderwać.

Tutaj milczał nawet Sławczuk, który zawsze zabawiał ich i wnosił w ich stosunki jakąś osobliwą bezpośredniość. Stali w milczeniu nie tylko dlatego, że przeszkadzał szum wody, ale po prostu nie chcieli im się rozmawiać.

Wracali potem we trójkę na prawy brzeg, siadali na ławeczce na skwerku obok budynku administracji. Tutaj Sławczuk już czuł się swobodnie i zaczynał coś opowiadać. Miał zawsze w zapasie kilka wesołych anegdot, zdawało się, że posiada niewyczerpany zasób różnych ciekawych historii — gdzie on się ich nasłuchiwał i jak je zapamiętywał?

Podczas jednego z takich wieczorów Ksenia nagle zapytała:

— Ołeh, ja wiem, że pan pisze wiersze.

Było to tak niespodziewane, że Charkewicz mocno się zarumienił. Krew uderzyła mu do twarzy, zawstydził się, jakby Ksenia odkryła jakąś głęboką jego tajemnicę. O tym, że on potajmnie pisze, wiedział jedynie Sławczuk, i Ksenia mogła to tylko od niego usłyszeć.

— Niech pan coś zadeklamuje — prosiła i, zabawnie wydymając wargi, żartobliwie dodała: — Jestem córką profesora literatury i znam się na sztuce! — Jej zalotny uśmiech był taki szczerzy, że Charkewicz zmieszał się jeszcze bardziej i nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Nie pamiętam żadnego z moich wierszy — wymamrotał bezradnie.

— Ja mogę zadeklamować — oświadczył Sławczuk. — Jeden wiersz umiem na pamięć.

— To świetnie! — ucieszyła się Ksenia i pośpieszyła uspokoić Charkewicza: — Proszę się na nas nie gniewać. Jesteśmy przecież przyjaciółmi.

Usiedli na ławeczce i Sławczuk zaczął mówić:

*Jakże szczęśliwy ten, co druha
Wiernego ma
i może z nim*

*Podzielić rozpacz, razem wierzyć
W porywy serca,
Szczęście śnić.*

*Lecz kiedy nie ma powiernika
Dla cierpień duszy, uczuć burz,
To po co czuć i po co wierzyć,
I po co przepych żywych róż?*

*Uczucia nie chcą więdnąć skrycie,
Chcą pełniej kwitnąć niżli kwiat,
Wolności pragną i swobody,
Źródlanej wody,
a nie krat.*

*Pragną stopienia się w tym tyglu
Z namiętym ogniem,
co jak bunt
Od dawna wre już w czyjejs piersi,
Sięgając skrzydłem gwiazdnych dróg.*

*Ten drugi cierpi
i wciąż czeka
Wśród letnich nocy, mroźnych zim,
I tak jak ja w tę chwilę trudną
Dwóch słów zamienić nia ma z kim.**

Ksenia bardzo uważnie słuchała. Cienkie brwi wygięły się w niemym napięciu, twarz spoważniała i stała się niemal surowa. Kiedy Sławczuk skończył, przez jakiś czas siedziała jeszcze w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w ziemię. Charkewicz ogromnie się denerwował, jakby od tego, co ona powie, zależało coś bardzo ważnego. Wreszcie odezwała się cicho:

— Podoba mi się. A jaki ten wiersz ma tytuł?

— *Druh* — odpowiedział Sławczuk.

Próbował żartować mówiąc:

* Przełożył z ukraińskiego Kazimierz Cis—Halny

— Pani jeszcze nie zna naszego Ołeha, on potrafi nie takie pisać.

Ksenia jednak nie zareagowała na to, co powiedział Sławczuk, jakby go nie słyszała. Nie chciała po prostu sprowadzać do żartów całej powagi tego, co wyczuła w człowieku, którego znała niby nie pierwszy dzień, ale dopiero teraz naprawdę go zrozumiała.

— Jeżeli można, zapiszę sobie ten wiersz? — poprosiła.

Ołeh nie mógł jej odmówić. Zresztą tajemnicę stanowiły nie same wiersze, lecz to, że on je pisał. Teraz Ksenia wiedziała o tym, a on nie mógł i nie chciał nic przed nią ukrywać. Jego dusza wyrывała się naprzeciw jej pragnieniom. Pierwszy raz w życiu działo się z nim coś takiego i nie miał sił walczyć ze swymi uczuciami.

Ksenia zapisała wiersz i schowała go do kieszeni niebieskiego żakietu.

Spotykali się prawie całe lato we trójkę, ale dziewczyna ani razu więcej nie wspominała o wierszach. Może nie chciała być natarczywa, a może lękała się głębiej wnikać w uczucia Ołeha, których i tak się domyślała.

Któregoś wieczoru zaproponowała im przejść się we trójkę za miasto. Tuż za podmiejskimi zabudowaniami zaczynał się step. Po niebie snuły się chmury — obłoki pływające w promieniach zachodzącego słońca.

Step otulał się mgłą, powoli wypełniał się sinym zmrokiem, gotowy przycichnąć na noc. Nie spiesząc się, kroczyli drogą i coraz bardziej oddalali się od miasta. Sławczuk, jak zwykle, starał się ich bawić, ale rozmowa zbaczała wciąż na poważniejsze tematy. Ksenia wypytywała Ołeha o Charków, a on chętnie jej opowiadał. Czasem milczeli przez dłuższą chwilę, urzeczeni ciszą ciepłego, lipcowego wieczoru.

Noc spadła na step zupełnie niedostrzegalnie. Na horyzoncie pojawił się i konwulsyjnie migotał jaskrawy płomyk — może to pasterze rozpalali ognisko, a może zapalił się stóg zeszłorocznej słomy lub nie omłócony stóg zboża.

Naraz na tle dalekiego ognia ukazał się ciemny kształt — coś niewysokiego i jakby żywego stało przy samej drodze. Ksenia podbiegła i krzyknęła radośnie:

— Topolka!

Wkrótce już wszyscy troje stali dokoła młodego drzew-

ka, które nie wiadomo skąd zawędrowało na zaporoskie stopy i samotnie zakorzeniło się w polu.

— Chodźcie, przesadzimy ją bliżej nas! — zaproponowała Ksenia.

— W lecie się nie przyjmie — zauważył Sławczuk.

— Przeniesiemy ją z ziemią, z całą bryłą! — Blask dalekiego ognia blado oświetlał jej twarz i Charkewicz widział, jak promieniała ona szczerym zachwytem.

— Możemy spróbować — zgodził się Charkewicz.

W niedzielę przyszli z łopatami i ostrożnie wykopali drzewko. Potem ułożyli je na wózku, który przyciągnęli ze sobą na step. Obok domu Kławdii Charytoniwny zawsze już przygotowano jamę i topolka w niej się osiedliła. Twarz Kseni płonęła, oczy błyszczały. Zgarnawszy ziemię wokół pieńka w zgrabny kopczyk, wyprostowała się, opaloną ręką starła pot z zarumienionego czoła, pomilczała chwilę i powiedziała.

— Patrzcie, nas jest troje, a ona jedna. Nie będziemy nigdy dążyć do tego, aby stała się czyjąś wyłączną własnością.

Było to powiedziane bez specjalnego akcentu, jakby Ksenia nie nadawała swym słowom żadnego osobliwego sensu. A zarazem było w nich coś wieloznacznego i niepokojącego. I Sławczuk, i Charkewicz równocześnie na nią spojrzeli, i obu im wydała się nadzwyczaj podobna do tego drzewka, obok którego stała. Ksenia lekko się uśmiechała i wpatrywała się w swych towarzyszy wielkimi błękitnymi oczyma, a wzrok jej pytał: Czy mnie rozumiecie?

Rozumieli. Rozumieli, ale nie mogli i nie chcieli się zgodzić. Ksenia była jedna, jak ta topolka, i raptem stało się dla nich jasne, że dalej nie może ona należeć do nich obu, jak to drzewko, i że dłużej już żaden z nich nie jest w stanie ukrywać się ze swoją miłością.

Wieczorem, kiedy wrócili do domu, Sławczuk odważył się otwarcie porozmawiać z Ołhem.

— Powinniśmy wyjaśnić niektóre sprawy — odezwał się zniecka, rozbierając się przy swoim łóżku. — Myślę, że już czas na to.

— Niech ona sama zadecyduje — powiedział cicho Charkewicz.

Petro na moment zamarł. Mówił to człowiek, który wie,

o co chodzi, i który nie ma żadnych wątpliwości co do tego, jak ona zadecyduje.

Charkewicz zgasił światło i położył się. Wiedział, że Sławczuk wciąż jeszcze siedzi na łóżku. Potem Petro rozebrał się powoli i też się położył. W ciszy słychać było jego równy oddech. Zdawało się, że obaj zasnęli, ale oni prawie do rana wpatrywali się w mrok otwartymi oczyma; sen nie przychodził.

17

Niespodziewane spotkanie z Serhijem Rudiem ożywiło w pamięci Ołeha Iwanowicza przykry wypadek z jego życia. Związane z nim wydarzenia i niechlubna rola, jaką odegrał w nich Serhij Rud', przyczyniły się w swoim czasie do bolesnego przełomu w duszy Charkewicza, i chociaż nie uważał się za zawziętego i mściwego. Łatwiej mógłby w ogóle zapomnieć o samym istnieniu Rudia niż mu wybaczyć.

Stało się to w rok po tym, jak Ołeh Iwanowicz zaczął pracować w nastawni na Dnieprogesie. Wrósł już w nowe środowisko tutejszych ludzi, zapuścił mocne korzenie w życiodajny grunt, na którym szybko mężniał i stawał się samodzielnym człowiekiem.

Wciąż jeszcze mieszkał w jednym pokoju z Petrem Sławczukiem. Bez względu na to, że między nimi stanęła Ksenia, stosunki ich nie uległy zmianie, po prostu nigdy więcej nie poruszali niebezpiecznego tematu — Petro z poczucia osobistej dumy, a Ołeh dlatego, że nie chciał mu sprawiać przykrości i bał się urazić i tak już urażonego przyjaciela. Co prawda nie było żadnych widocznych powodów do obrazy — na zewnątrz Ksenia do obu odnosiła się jednakowo, jakby nie zamierzała wybierać żadnego z nich.

Tego dnia o ósmej miało się odbyć komsomolskie zebranie. Sławczuk pracował na drugą zmianę i Ołeh poszedł sam. Po drodze zatrzymał się przed mieszkaniem Kseni i nie wchodząc do środka, zawołał ją z ulicy. Za chwilę wychyliła się przez otwarte okno na pierwszym piętrze.

— Zaraz idę — krzyknęła — zaczekaj!

Ołeh usiadł na ławeczce przy skwerku, naprzeciw jej okien. Zaczynało już zmierzchać, pierwsze gwiazdy odbi-

jały się w spokojnej wodzie Dniepru. W sercu czuł taki sam spokój i ciszę, jaki panował we wszystkim, co go teraz otaczało. Myślał o niedalekim urlopie — gdzie lepiej pojechać, do Charkowa do matki czy nad morze, na Krym? A może zostać tutaj i codziennie chodzić na plażę w towarzystwie Sławczuka i Kseni?

Wkrótce z bramy wybiegła Ksenia — wysmukła, ładna. Było jej bardzo do twarzy w lekkiej błękitnej sukience, od której nawet w wieczornym półmroku wyraźnie odbijał ciężki warkocz.

Ksenia wzięła go pod rękę i szybko poszli na lewy brzeg. Na zaporze jak zwykle zatrzymali się i popatrzyli w dół. Zbliżała się jesień, wody w Dnieprze przybyło — z głuchym hukiem przewalała się przez śluzy, z ogromnej wysokości spadała w dół i rozбивała się o skały.

Nieduża sala klubu pracowników inżynieryjno-technicznych szumiała jak ul. Nie udało się znaleźć dwóch miejsc obok siebie, a więc Charkewicz i Ksenia musieli się przytulić w przeciwnych końcach sali. Kilka razy pomachali sobie ręką, a Ksenia nawet coś do niego wołała, ale hałas był taki, że Charkewicz nic nie usłyszał.

Za parę minut zdarzył się wypadek, który zostawił ślad na jego całym dalszym życiu, wypadek, którego nie mógł przewidzieć ani mu zapobiec.

Sekretarz Zakładowego Komitetu Komsomołu, Ananij Hawryluk, otworzył zebranie. Następnie powimien by proponować obecnym kandydatury członków prezydium, lecz zamiast tego niespodziewanie powiedział:

— Towarzysze, nie dziwcie się: przeczytam wam teraz wiersz.

Sala wesoło zaszumiała, ale zaciekawiona natychmiast przycichła. Charkewicz usłyszał pierwsze linijki i zamarł. To był jego wiersz *Druh*, którego nie znał nikt prócz Sławczuka i Kseni. Czuł, jak coś mu się w piersi urywa i opada, potem znów podnosi się do gardła, jakby usiłując go zdławić. Nie rozumiał jeszcze, dlaczego czytają jego wiersz i co to w ogóle znaczy, ale to, że wiersz czytają publicznie, chociaż on sam nigdy by się nie odważył tego zrobić, gdyż nie uważał swych wierszy za godne publikowania, że czytają nie zapytawszy go o zgodę, której on za nic w świecie by nie dał — to wszystko oszołomiło go na tyle, że zaniemówił i siedział zgnębiony.

Kiedy sekretarz skończył czytanie, sala znów zaszumiała i rozległy się niezbyt huczne, ale przyjazne oklaski. Byłyby one prawdopodobnie huczniejsze i bardziej liczne, gdyby uczestnicy zebrania wysłuchali wiersza podczas koncertu lub w jakichś innych warunkach. Teraz nikt nie rozumiał, po co tu wiersz, kiedy nawet nie wybrano prezydium zebrania i nie ogłoszono punktów, które należy rozpatrzyć. Zbici z tropu słuchacze klaskali niezdecydowanie, oglądając się jeden na drugiego.

Hawryluk podniósł rękę i niemal wesoło zapytał:

— A wiecie, dlaczego przeczytałem wam ten wiersz? Dlatego, abyście wiedzieli, że wśród nas jest poeta. I to jaki poeta!

— Kto to? Kto to? — pytano.

— A, tego to i ja sam nie wiem — rozłożył ręce. — Najważniejsze, że jest poeta, choć się wydaje to dziwne w naszym kolektywie. Co prawda nie spotykamy go na łamach radzieckiej prasy, bo tam drukuje się utwory o bohaterach pięciolatki — dodał Hawryluk zjadliwie.

— A cóż to, o przyjaźni nie wolno pisać? — zapytał ktoś z sali.

— Jaka tu przyjaźń? To mędrkowanie, a w dodatku dosyć wątpliwe.

Teraz już wszystko stało się jasne.

Charkewicz nie mógł zrozumieć tylko jednego — w jaki sposób jego wiersz trafił do rąk sekretarza komitetu. Spojrzał tam, gdzie siedziała Ksenia; patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, pełnymi przerażenia, i chwyciła się za głowę, jakby się bała, że ktoś ją uderzy.

Oleń nie wiedział, co o tym sądzić. Czyżby to ona zrobiła? I czego się zlekła — własnego czynu czy następstw, jakie to może mieć dla niego? Było to dziwne i straszne zarazem, bo w wierszu nie było przecież nic złego, a mimo to na oczach wszystkich przekształcono go w powód do podejrzeń, oskarżeń i strachu... A może wiersz od Sławczuka dotarł do komitetu? Ale subtelny i szczery przyjaciel nie mógł tak postąpić, szczególnie teraz, kiedy między nimi stanęła Ksenia.

— Kto jest autorem? — pytał czupryniasty chłopiec, siedzący nie opodal Charkewicza. Chłopiec dlaczegoś bardzo się denerwował, jakby on sam był autorem.

— Mówiłem już, że tego nie wiem — odpowiedział

Ananij Hawryluk. Twarz miał skupioną. W swojej bluzie wojskowego kroju, chociaż bez koalicyjki, która wychodziła już z mody, wyglądał na prawdziwego dowódcę armii zapewnijającej salę. — Ale zaraz się dowiemy. Powinna tu być wielbicielka i popularyzatorka tego wiersza. — Powiódł oczyma po rzędach, szukając kogoś. — Nie widzę Kseni Storożenko...

Ksenia wstała.

— Jestem tutaj.

— Może ty odpowiesz nam na pytanie, kto jest autorem?

— Ja przeczytałam ten wiersz swoim współpracownikom nie dlatego... — zaczęła niepewnie Ksenia. Twarz jej płonęła.

Charkewicz wstał.

— To ja napisałem ten wiersz.

W sali zapanowała niepokojąca cisza.

— Usiądźcie, towarzyszeko Storożenko, z wami porozmawiamy później — powiedział Hawryluk. — A ty — zwrócił się do Charkewicza — wyjaśnisz nam może, co chciałeś powiedzieć w tym wierszu?

— Nie wiem, jak to wyjaśnić, wiersze trudno wyjaśniać — spokojnie odpowiedział Ołeh. — Chciałem powiedzieć, że przyjaźń wzbogaca uczucia, że życie bez przyjaźni jest blade i puste.

— Ciekawe — uśmiechnął się Hawryluk. — A ja sobie bojową komsomolską przyjaźń zupełnie inaczej wyobrażałem.

Charkewicz rozszłościł się.

— To napisz inny wiersz, opowiedz o swoich wyobrażeniach.

Na sali wybuchnął śmiech. Hawryluk zmieszał się i nie od razu się opanował. W końcu podniósł rękę i kiedy sala ucichła, zauważył niezadowolony:

— Ty niewłaściwie ustosunkowujesz się do krytyki, towarzyszu Charkewicz! Komsomolec powinien jej wysłuchać, choćby w krytyce takiej było tylko pięć procent racjonalnego ziarna.

— Pięć procent — mruknął Charkewicz. — Trochę za mało. Co komu przyjdzie z parszywej owcy, chociaż i na niej jest garstka wełny?

— Kto to ta parszywa owca? — zapytał Hawryluk z pogroźką w głosie. — Kogo ty masz na myśli?

— Tego, kto ośmiela się krytykować, mając w zapasie tylko pięć procent prawdy — oburzył się Ołeh. — To znaczy, że reszta, te dziewięćdziesiąt pięć procent, to kłamstwo?

Nad salą zawisła przygniatająca cisza. Hawryluk też milczał.

— Dobrze, dobrze. Porozmawiamy na egzekutywie — powiedział cicho. — I o twoim wierszu, i o twoim stosunku do krytyki.

Charkewicz usiadł. Dobrze, porozmawiamy. I o wierszu, i o procencie prawdy w krytyce.

Hawryluk miał już przejść do wyboru prezydium, gdy niespodziewanie poprosił o głos Serhij Rud'. Hawryluk uważał, że teraz właściwie to nie ma sensu. Egzekutywa rozpatrzy sprawę, a wtedy inna rzecz. Ale problem wydawał mu się taki, że nie odważył się odmówić Rudiowi. A nuż wytłumaczą to sobie po swojemu, lepiej nie dawać powodu.

To, co powiedział Rud', było zadziwiające. Sens wiersza, według niego, leży zupełnie nie w tym, czego dopatrzył się w nim Hawryluk. Charkewicz, mówił, nosi się z czymś takim, z czego nie chce się przed nikim zwierzyć. A więc ma tajemnicę i strzeże jej przed wszystkimi. A cóż to za tajemnica, której nie można wyjawić nam wszystkim — komsomolcom? I kto mu każe ukrywać ją przed nami?

Niewysokiego wzrostu, z twarzą o wystających kościach policzkowych, z przenikliwymi, złośliwymi oczkami, Rud' pewnie trzymał się na trybunie, zręcznie żonglował szumnymi sloganami, ale znał tajemną ścieżkę do ludzkich serc. Mówił o niebezpieczeństwie, jakie może wyniknąć z uśpienia czujności, o tym, że trzeba bezwzględnie postępować z ludźmi, którzy czyhają na nasze ideały. To, że wiersz nie był drukowany, wytłumaczył także jako usiłowanie autora zatajenia swoich prawdziwych myśli.

Ale wiersz, według Rudia, to tylko przyśpiewka, a pieśń była już dawniej. Czy przypomina sobie Charkewicz swoją wypowiedź o tym, że „wszystkie turbiny pracują bez zarzutu, a tylko dziesiąta jakoś nawala?” A właśnie ta turbina była wyprodukowana w radzieckiej fabryce! Co Charkewicz chciał przez to powiedzieć? Zagraniczne, mówił, są doskonałe, a krajowe — szmelc. Nie ma co mówić, patriotyczna postawa! Rud' podkreślił, że między

treścią wiersza i lekceważącym stosunkiem do krajowego przemysłu istnieje ścisły związek. I dlatego zaproponowałem, aby nie czekać aż egzekutywa rozpatrzy sprawę, ale natychmiast usunąć Charkewicza z Komsomołu.

Oskarżenia Rudia były nie tylko niesprawiedliwe: zdumiewała krzycząca rozbieżność między tym, co Charkewicz miał na myśli, a znaczeniem, jakie Rud' przypisywał jego słowom. Dziesiąta turbina rzeczywiście przez pewien czas pracowała z przestojami i kiedyś na naradzie u głównego inżyniera wyraził on swoje niezadowolenie z tego powodu. Ale czyż nie było ono rzeczowe i nie miało konkretnych podstaw? Jak można to uogólniać i dopatrywać się w tym próby przeciwstawiania zagranicznych wyrobów krajowym!

A tymczasem przemówienie Rudia wywarło nieoczekiwane wrażenie i całkowicie zmieniło przebieg zebrania. Charkewicz na własne oczy widział, jak ci, którzy oklaskiwali wiersz, podnosili ręce, aby usunąć autora z Komsomołu. I straszne było nie to, że niesprawiedliwie go usuwano — ta gwałtowna metamorfoza wydawała mu się jeszcze straszniejsza.

Kiedy głosowanie się skończyło, Charkewicz wstał i wyszedł. Zatrzymał się na moment przed drzwiami, potem powoli ruszył ulicą. Przypomniawszy sobie swoje wystąpienie u głównego inżyniera, zastanawiał się nad wierszem.... Przerażała bezwzględność samej logiki tego, co zaszło. „Ja inaczej wyobrażam sobie przyjaźń”... Wobec tego każde inne pojęcie jest błędne. Dlaczego? Dlatego tylko, że ty jesteś sekretarzem? A gdybym ja był sekretarzem, to moje wyobrażenie byłoby słuszne? I wtedy ja wyrzuciłbym ciebie z Komsomołu? Myśli plątały się, w tym, co się stało, trudno było doszukać się jakiejś konsekwencji. Do czego może doprowadzić taka logika, jeżeli zechce do końca wyczerpać swoją bezmyślność?

Z tyłu błysnęło jaskrawe światło i Charkewicz obejrzał się. Trzasnęły ciężkie dębowe drzwi klubu i na schody wybiegła samotna postać. Była to Ksenia i Ołeh od razu ją poznał. Dziewczyna wyteęzała wzrok w ciemności i miotła się to w prawo, to w lewo. Charkewicz przystanął przy drzewie, serce szalało, jakby usiłowało wyrwać się z piersi.

Ksenia niezdecydowana pozostała jeszcze przez chwilę,

zbiegła na dół i zniknęła za rogiem. W ciszy słyhać było jej szybkie kroki — biegła.

Gdzie ona się tak śpieszy? Przed czym ucieka? Czy wymieniłaby jego nazwisko, gdyby on sam nie wstał i nie przyznał się do autorstwa? Ołeh stawiał sobie pytania, na które nie mógł znaleźć odpowiedzi. I raptem zrozumiał, że nie śmie obwinać Kseni. Przecież on ją kocha i straszne jest nie to, że ona z jakiegoś powodu tak postąpiła, lecz to, że postępek ten nagle rozdzielił ich, i teraz, kiedy jemu tak ciężko, nie ma jej przy nim.

Powoli powlókł się dalej, przybity swoją samotnością. Pierwszy raz w życiu zwałił mu się na duszę ciężar rozpaczy i beznadziejności. Na egzekutywie potrafi dowieść swojej słuszności, to pewne, nie pozwoli nikomu przekreślać swych myśli, wypaczać ich niegodziwymi domysłami i podejrzeniami, jeśli nie czuje się winny. Ale Sławczuk... Ksenia... Przyjaciele, z którymi zrósł się, jak się zdawało, na zawsze. Coś stanęło między Ołehem i nimi. Ale właściwie co? Teraz nie mógł tego dociec.

Sławczuk już dawno wrócił ze zmiany i mocno spał, kiedy Ołeh wszedł do pokoju. W ubraniu położył się na swoim łóżku, okrył się z głową i natychmiast zasnął. Jakby przez cały wieczór taszczył ciężkie wory i wyczerpany zupełnie zapadł się w przepaść nocy.

18

Charkewicz obudził się i zobaczył, że Sławczuk jest już ubrany, stoi przed lustrem i poprawia kołnierzyk przy swojej niebieskiej koszuli, szykując się do wyjścia. Odrzucił kołdrę, aby też wstać, ale spostrzegł, że leży w łóżku ubrany, i od razu wszystko mu się przypomniało.

Sławczuk oczywiście jeszcze nic nie wie. Wyjdzie zaraz na ulicę i ktoś mu o tym opowie. To dobrze, że nie musi sam opowiadać, wyjaśniać, jak to się stało, i przeżywać na nowo wczorajszego wstrząsu.

Ołeh zamknął oczy i udawał, że śpi. Tak będzie lepiej.

Jak tylko Sławczuk wyszedł, Charkewicz wyskoczył z łóżka. Owładnęło nim niezwykle podniecenie. Pobiegnie zaraz do komitetu rejonowego, odnajdzie Hawryłuka, wygarnie mu wszystko, co ma na sercu. Niech natychmiast zwołuje egzekutywę.

Ołeh złapał ręcznik i pobiegł się umyć. Naraz przypomniał sobie, że dzisiaj niedziela, a więc — nic nie uda się zrobić, w komitecie nikogo nie ma.

Zawiedziony wrócił do pokoju. Ożywienie minęło, zjawilo się natomiast uczucie bezradnego przygnębienia, i Ołeh usiadł na nie pościelonym łóżku, nie wiedząc, co robić.

Przesiedział tak chyba dość długo, bo kiedy zapukano do drzwi i Ołeh spróbował wstać, poczuł, że ma zupełnie ścierpnięte nogi i z trudem nimi porusza. Pukanie się powtórzyło. Nie zdążył się jeszcze podnieść, gdy drzwi się już otworzyły.

Na progu stała Ksenia.

Zjawienie się jej nie zdziwiło Ołeha — raczej zaszokowało go. Nie dlatego, że było to niemożliwe — przeciwnie, cały czas czekał, cały czas podświadomie nasłuchiwał i potajemnie wierzył, że w końcu otworzą się drzwi i zobaczy w nich Ksenię. Nie przypuszczał tylko, że stanie się to o ósmej rano, kiedy jeszcze i Sławczuk mógł być w domu. Przecież to tylko przypadek, że Petro wyszedł tak wcześnie!

A może Ksenia chciała właśnie porozumieć się przy Sławczuku? Ołeh patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma i nie mógł się tego domyślić ani po jej skupionej twarzy, ani po pośpiechu, z jakim tu weszła, nie czekając, aż ktoś odpowie na jej pukanie.

Charkewicz wciąż jeszcze siedział z ręcznikiem w jednej ręce i z tubką pasty do zębów w drugiej. Nie próbował drugi raz wstawać — siedział, jakby teraz nie tylko nogi mu ścierpły — zdrętwiał cały i nie mógł złapać tchu.

Ksenia postąpa chwilę, potem powoli zamknęła drzwi. Podeszła bliżej i nie witając się, cicho spytała:

— Ołeh, czy ty mnie bardzo nienawidzisz?

— Coś ty... coś ty...

— Nie miej do mnie żalu, ja nie chciałam ci zrobić nic złego.

Ołeh jej wierzył. Wierzył od samego początku. Był szczęśliwy, że przyszła. A więc nie jest sam. Wczorajsza rozpacz — głupstwo. Wierzył, że ona przyjdzie. I przyszła.

— Ja nie myślałem nawet, że ty chciałaś zrobić coś złego. Zresztą nic złego nie zrobiłaś.

— Zrobiłam, Ołeh. Nie pocieszaj się. — Ksenia powiedziała to prawie szeptem, ale słysząc było, jak głos jej zadźwięczał. Nagle podbiegła do Ołeha, objęła go obiema rękami i przylgnęła do niego całym ciałem. Czuł, jak drżą jej ramiona od płaczu, którego nie mogła powstrzymać.

— Coś ty... coś ty — chciał powiedzieć: kochana, ale się powstrzymał. Gładził tylko jej jasną głowę, wzruszony i zupełnie zmieszany.

Wreszcie Ksenia uspokoiła się i spojrzała na niego. Wielkie błękitne oczy były jeszcze pełne łez. Ale głos już nie drżał, jakby przed chwilą nie płakała.

— To niesprawiedliwe — mówiła cicho, lecz z przekonaniem. — W twoim wierszu nie ma nic złego. I ty im to udowodnisz, ja wierzę. A ja zdecydowałam się, oczywiście, jeżeli mnie kochasz...

Ołeh nie rozumiał, co ona ma na myśli, ale ujął jej twarz w swe dłonie i wyznał:

— Kocham cię.

— Przeprowadzaj się do mnie. Zaraz. Natychmiast!

Ołeh patrzył na nią, jakby i tego nie rozumiał.

— Ja się zdecydowałam od razu — szeptała gorąco w upojeniu — zdecydowałam się, jak tylko odbyło się głosowanie. Wybiegłam za tobą, ale nie mogłam cię znaleźć. Prawie do rana szukałam cię po mieście. I tutaj też przyszłam. W oknach było ciemno, czekałam na ulicy, myślałam, że się doczekam. Teraz siedziałam na skwerze, czekałam, aż Petro pójdzie z domu, albo ty wyjdiesz. — Uśmiechnęła się nagle i w oczach jej błysnął wesoły ogień, jak gdyby umawiała się z Ołehem na randkę, a nie wiązała z nim na zawsze swe życie! — Jak Petro wyszedł, czekałam jeszcze ze dwadzieścia minut, obawiałam się, że może się wrócić....

Teraz Ołeh o mało się nie rozplakał. Wzruszony i przejęty, nie mógł powiedzieć ani słowa! Było to niespodziewane i niemożliwe, a jednak było, słyszał, jak Ksenia oznajmiła, że podjęła decyzję, a potem wyjaśniła mu, jaką.

Charkewicz chwycił Ksenię w ramiona i zaczął całować, ogarnięty gorącym uczuciem, które tak długo ukrywał. Słodkie zamroczenie przyćmiło świadomość, nie my-

ślał i nie chciał myśleć o tym, co robi, wiedział tylko, że Ksenia się zdecydowała i sama mu to oznajmiła.

— Gdzie twoje rzeczy? Chodźmy! — powtarzała przez cały czas, jakby obawiała się, że ktoś wejdzie i wszystko zniknie wraz z jej decyzją. — Chodźmy... Chodźmy...

Wreszcie Ołeh opamiętał się i usiadł na łóżku. Ksenia przyglądała mu się w milczeniu — zauważyła na jego twarzy ledwo dostrzegalny cień smutku. Potem znów wyszeptała:

— Chodźmy... chodźmy!

Charkewicz przez chwilę jeszcze siedział zamyślony, naraz gwałtownie się zerwał i podbiegł do szafy. Otworzył ją i zaczął wrzucać swoje rzeczy do walizki. Ksenia tymczasem krzątała się przy stole — wybierała książki. Wiedziała dobrze, które z nich są Sławczuka, a które Ołeha. Spieszyli się oboje, jakby szykowali się do ucieczki, jakby się bali, że coś utracą, jeżeli zmarnują choć jedną minutę.

Ołeh ciskał do walizki koszule, skarpety, krawaty... Ksenia zdecydowała się. Należy tylko do niego. Ale czy on potrafi zapewnić jej szczęście, kiedy na progu życia odtrącono go od wszystkiego, co stanowiło sens jego istnienia? Tak, będzie żądał sprawiedliwości i dopnie swego, choćby go to miało drogo kosztować. Ale czy przez to nie zamieni i jej życia w pole walki, zamiast zapewnić jej spokój i szczęście?

Na wahania jednak nie było czasu. Nie było czasu i nie było sił opierać się własnym uczuciom i na zimno rozważać okoliczności. Ksenia przyszła, jest tutaj, zdecydowała się! Wszystko inne nie miało teraz żadnego znaczenia.

Na drugi dzień do starego mieszkania Charkewicza przyszedł Serhij Rud'. Sławczuk był w domu i zdziwiła go wizyta Serhija.

— A Charkewicza nie ma? — zapytał Rud'.

— Teraz jego zmiana — odpowiedział Petro. — Jest w nastawni.

— Aha! — mruknął niepewnie Serhij i przysiadł na nie posłanym żelaznym łóżku, na którym dawniej spał Charkewicz.

— Poza tym on już tutaj nie mieszka.

— Nie mieszka? — wiadomość ta wywarła na Serhiju

tak silne wrażenie, że aż wstał z łóżka. — Jak to nie mieszka?

— Nie bój się. — Sławczuk uśmiechnął się ironicznie, domyślił się, jak Rud' mógł sobie wytłumaczyć podobną nowinę.

— A gdzie on się podział?

— Przeprowadził się do nowego mieszkania.

— Bardzo szlachetnie postąpił.

— Co to znaczy?

— Nie chciał rzucać podejrzeń na swego koleżkę?

Sławczuk oburzył się.

— No, ty, uważaj!

Serhij usiadł znów na łóżku Ołeha. Wyjął z kieszeni paczkę kazbeków, postukał w nią cygarniczką i zapalił. Przez pewien czas obaj milczeli.

— To dobrze, że go bronisz — zaczął Rud' i wypuścił z ust chmurkę białego dymu, który skręcał się w dziwaczne, zwiewne kółka. — Ty myślisz, że ja go nie żałowałem, kiedy wystąpiłem na zebraniu? Ale to oczywiście nie znaczy... — Rud' wstał. — Wiesz co, Sławczuk, u was w nastawni Charkewicza na pewno nie zostawią. Nastawnia, jak ci wiadomo, serce całej siłowni. A czas taki...

— Skąd ty wiesz, że nie zostawią?

— A ty byś zostawił?

Sławczuk nie odpowiedział.

— A mimo wszystko to niezły chłopak — ciągnął dalej Rud'. — I jako inżynier też... Kwalifikacje, i w ogóle... wszystko w porządku.

— Nie rozumiem, do czego zmierzasz? — zapytał Sławczuk niezbyt uprzejmie, ale Rud' tego nie zauważył, albo udawał, że nie zauważył.

— Myślę, że lepiej wziąć Charkewicza do nas, na zaporę. Nastawnia to serce siłowni.

Sławczuk wybuchnął:

— Rzeczywiście! W nastawni decydujesz i przejawiasz inicjatywę. A na zaporze — pobierasz próbki do filtracji i objasz się cały dzień. — Uśmiechnął się ironicznie.

— A ty się nie boisz, że Charkewicz podłoży bombę i wysadzi zaporę?

Rud' i na to nie zwrócił uwagi.

— Po prostu szkoda mi chłopca. Na zaporze mniejsza odpowiedzialność, tam go zostawią. — Posiedział jeszcze chwilę i wstał. — Gdzie on się przeprowadził?

— Do swojej żony.

Rud' osłupiał.

— Do jakiej żony? Kiedyż on zdążył?

— Wyprowadzić się?

— Nie, ożenić!

— Wczoraj.

— Wczoraj? — Rud' był po prostu wstrząśnięty tą wiadomością. — Wesele w czasie żałoby?

— Jakiej znów żałoby? Masz na myśli wczorajsze zebranie?

Sławczuk zaczął się przebierać, dając tym gościowi do zrozumienia, że powinien już wyjść.

— A kogo on poderwał? — cicho zapytał Rud'.

— Idź już, do stu diabłów! — Sławczuk zamachnął się, gotów uderzyć Rudia, gdyby stał bliżej.

Teraz Rud' się roześmiał: domyślił się, w czym rzecz.

— Aha, to tak sprawa wygląda. Przeżywasz?

Sławczuk nie odpowiedział. Zniknął za drzwiami szafy i wkładał tam czystą koszulę — w górze ukazały się jego silne, opalone ręce, które wsuwał w rękawy.

— Nie gniewaj się — rzucił Rud' pojednawczo, stojąc przy drzwiach. — To z mojej strony rzeczywiście... Do widzenia! — Ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

Sławczuk ubrał się i wyszedł zza szafy. Miał wielką chęć pójść do Charkewicza i uprzedzić go. Ale teraz nie mógł tego zrobić: wiedział, że Charkewicza nie ma w nastawni. Słyszał, jak dzwonił do kierownika zmiany i prosił, aby go na dziś zwolnił. A iść do domu... do Kseni? Nie, na to zabrakło mu odwagi.

Na drugi dzień w nastawni zjawił się Rud' w towarzystwie kierownika zmiany. Okazało się, że Charkewicza przeniesiono na zaporę, a Rudia tutaj.

Teraz Sławczuk zrozumiał, po co Rud' przyszedł do niego. Chciał prawdopodobnie namówić Charkewicza, aby zamienił się z nim z własnej woli. Nie wiadomo, czy doszło do tego spotkania, ale Rud' i tak osiągnął swój cel.

Noc, która zaczęła się naradą u pułkownika Szumakowa, a zakończyła trudnym, niebezpiecznym przemarzeniem przez ciemne miasto na zaporę i obserwacją przez lornetę nożycową, była dla Charkewicza ciężką próbą wytrzymałości fizycznej. Teraz w sztolni, meldując dowódcy dywizji o swoich spostrzeżeniach, jakie poczynił, czuł się bardzo zmęczony, ale wiedział, że to przede wszystkim brak snu daje mu się we znaki, a nie zbyt wielki wysiłek fizyczny.

Charkewicz był silny i zahartowany. Właściwie dopiero w ciągu ostatnich dwóch lat odpoczął od ciężkiej pracy i sportowych treningów. Kiedyś entuzjazmował się siatkówką, po pracy oboje z Ksenią chodzili na boisko i zawsze stawali po przeciwnych stronach, zmieniając się na gruncie sportowym w nieprzejednanych wrogów. Siatkówka była ich ulubioną rozrywką i Ołeh cieszył się z tego, że nie grają w jednej drużynie, gdyż mógł ukradkiem z daleka podziwiać Ksenię, a żartobliwe sprzeczki przy każdym nieprawidłowym podaniu albo niewłaściwie strzelonym голу bawiły ich i sprawiały im wiele radości.

Później, w niewoli fińskiej, Charkewicz nieraz z wdzięcznością wspominał te rozgrywki i sportowe treningi, które były dobrą zaprawą przed ciężką pracą na fińskiej wsi. Farmer, u którego pracował prawie przez trzy miesiące, traktował go nieźle, ale był bardzo wymagający i wykorzystywał swego jeńca, ile tylko się dało. Żywił jednak dobrze i w nocy pozwalał się wyspać, dlatego też ciężki wysiłek nie męczył, lecz jeszcze więcej hartował.

Najbardziej dokuczał mu zawsze brak snu. Noce, jakie raz po raz przesiadywał w ministerstwie, pochylony nad różnymi tabelami i schematami, które trzeba było natychmiast sporządzić i rano obowiązkowo oddać, te długie, bezsenne noce były cięższe niż praca fizyczna. Po nich czuł się zawsze znużony i rozbity, i następnego dnia nie mógł już tak wydajnie pracować, jak w inne dni.

Ta noc, w ciągu której Charkewiczowi udało się przespać tylko godzinę, a może półtorej, wyczerpała go całkowicie. Odłożywszy słuchawkę poczuł, że zaraz upadnie, jeżeli nie odpocznie.

Pierwszą wspinačkę można było zacząć dopiero w no-

cy, mieli więc sporo czasu na odpoczynek. Ale chciał najpierw zapoznać się z tymi, którzy pod jego kierownictwem będą szukać nieprzyjacielskiego kabła, gdyż powodzenie operacji zależało nie tylko od niego, ale przede wszystkim od nich. On może im wskazać łatwiejsze przejścia i dogodniejsze miejsca wspinaczki, ale przechodzić i wspiąć się będą właściwie oni.

Charkewicz postanowił więc zmusić się i porozmawiać z nimi teraz, opracować chociaż w przybliżeniu plan działania, gdyż później, jak się obudzi, będzie na to za mało czasu.

Wezwał Amiradzego i Kowalczuka do kąta, gdzie posadzka już prawie zupełnie wyschła, razem z nimi przyciągnął grubą sosnową belkę i usiadł. Obok usiedli jego przyszli towarzysze.

Obaj byli od niego znacznie młodsi — mogli mieć po dwadzieścia pięć lat. Kowalczuk sprawiał wrażenie człowieka zbyt otyłego na swój wiek, ale widać było że jest bardzo silny. Smągła, ładna twarz o zadziwiająco subtelnym rysach nie pasowała do przysadzistej sylwetki i potężnych barów. Cienki orli nos, wyraźnie zarysowane, niemal dziewczęce usta, lekki rumieniec na ciemnych policzkach — wszystko to sprawiało przyjemne wrażenie i przyciągało do niego. Podłużna blizna na lewej skroni wydawała się czymś niedorzecznym i obcym na jego twarzy promieniującej spokojem i równowagą wewnętrzną.

Amiradze wyglądał przy Kowalczuku jak słabowity chłopczyk. Niski, kościsty, ruchliwy, o szczupłej twarzy z wydatnym nosem, podobny był do dziobatego ptaka — Charkewicz nie mógł sobie przypomnieć, do jakiego. Wielkie, błyszczące, wciąż rozbiegane oczy nie mogły się na niczym zatrzymać, i to budziło nieufność — po takim człowieku można się wszystkiego spodziewać.

Amiradze niepokoił go, gdyż swoje trudne i odpowiedzialne zadanie mieli wykonywać tylko we trzech, a jeżeli wśród takiej ilości ludzi na jednego nie można liczyć, to sprawa się komplikuje, bo faktycznie spada na barki dwóch, którzy w dodatku muszą przez cały czas mieć na oku i śledzić trzeciego.

Charkewicz uspokoił się trochę, jak się dowiedział, że Amiradze jest dobrym sportowcem. Właściwie sportem w normalnym tego słowa znaczeniu nigdy się nie zajmo-

wał; występował w amatorskim zespole pieśni i tańca jako tancerz solista. W połączeniu z jego zewnętrznymi cechami stanowiło to walor dodatkowy, można było mieć nadzieję, że jest to chłopak zwinny i zręczny, i w dziele, jakie im powierzono, może się okazać bardzo przydatny.

— Służycie w tej samej jednostce? — zapytał.

— Nie, w różnych — odpowiedział Kowalczuk. — Ja w dywizji desantowej, a Sandro u Cygankowa. Słyszał pan coś o starszym sierżancie Cygankowie? Amiradze z nim wojował.

Nie, o Cygankowie nie słyszał. Widocznie znakomity zwiadowca. Kowalczuk mówi o nim z podziwem, jak o „orle”.

— Zebrano nas w sztabie armii, wszystkich tutejszych — ciągnął dalej Kowalczuk. — Zjawilo się pięćdziesięciu chłopów. Jedni z Nowego Zaporozża, inni z pobliskich wiosek. Spotkaliśmy się i my z Sandrem. Przyjechał podpułkownik Sztukarenko i nas obu wybrał.

A więc to tak! Możliwe, że nieprzypadkowo się tutaj znaleźli w takim zestawieniu. Spryt Amiradzego i fizyczna siła Kowalczuka na zaporze mogą się bardzo przydać. Czyżby Sztukarenko i o tym pomyślał? Aby uzupełniali się nawzajem, jak w swego rodzaju dobranym zespole.

— Znaliście się już dawniej?

— O, jeszcze jak! — zawołał znowu Kowalczuk. — Mieszkaliśmy w jednym hotelu robotniczym na osiedlu Zaporoztali. Widzi pan tę bliźnę? — pokazał na skroń. — To Sandro mnie tak urządził. — Kowalczuk mówił to bez złości, a nawet jakoś wstydliwie się uśmiechał.

Charkewicz zaniepokoił się. Brakowało tylko zastarzałej wrogości między jego pomocnikami. Mało mu własnych zastarzałych uraz z Serhijem Rudiem! A tu jeszcze musi się liczyć z osobistymi porachunkami swych porocników, chociaż kłopotów i bez tego wystarczy. Szkoda, że Sztukarenko nie zainteresował się tym i ich właśnie wybrał. Gdyby jednak brać pod uwagę, jakie kogo z kim łączą stosunki, to i mnie nie należało tu wysyłać, bo tu jest Rud'. Bzdura. Tu jest front i wojna, a nie miejsce na subtelne psychologizowanie i sentymenty. Zresztą czy można tego uniknąć, jeśli wybiera się wśród ludzi, którzy

mieszkali w jednym mieście, a więc mogli być powiązani tysiącami nitek?

— Wiecie co, chłopcy — odezwał się Charkewicz — trzeba teraz zapomnieć o tym, co było. — Mówił to rzekomo do swoich współtowarzyszy, ale w rzeczywistości, i przede wszystkim, do siebie.

Tak, wszystko trzeba zapomnieć. Ale jak to zrobić, kiedy istnieje pamięć? Można się zmusić i przebaczyć, ale jak się zmusić do zapomnienia? Przyjrzał się Amirademu i Kowalczukowi. Więc oni zapomnieli. A może też tylko sobie wybaczyli i uważają, że nic między nimi nie było?

— A co my mamy pamiętać? — odezwał się Amiradze. Dotychczas przez cały czas milczał, i były to jego pierwsze słowa. — Dziewczyna, za którą go uderzyłem, spadła z dźwigu. Byliśmy obaj z Kowalczukiem na jej pogrzebie. To, co minęło, porosło trawą. — W słowach Amiradzego brzmiała dziwna, tęskna nuta. To, co mówił, nie pasowało do jego cwaniackiego wyglądu i mogło zdumiewać.

Taka sama historia. Dla niego i dla Kseni też wiele minęło i też trawą porosło.

To, co początkowo zaniepokoiło Charkewicza, raptem niespodziewanie zbratało go z Amiradzem i Kowalczukiem. Tak samo jak nieszczęście, które rozdzieliło go kiedyś z Ksenią, z czasem jeszcze bardziej go do niej zbliżyło. Uwierzył w ich uczucia szczególnie mocno, gdyż i oni przeżyli kiedyś prawie to samo co on.

I Kowalczuk, i Admiradze spostrzegli, że Charkewicz się nad czymś zamyślił, ale nie rozumieli, nad czym. Wiedzieli, że on też jest tutejszy i że tak jak i oni znalazł się na progu rodzinnego miasta. Oni nie mieli tutaj nikogo. Rodzice Sandra mieszkali aż pod Kutaisi, a matka Kowalczuka na Połtawszczyźnie; wczoraj właśnie otrzymał od niej list.

Charkewicz czuł, że jego milczenie zbyt się przeciąga.

— Znacie zadanie? — zapytał cicho.

— Znamy — odpowiedział znowu Kowalczuk.

— No i co? — Charkewicz przyjrzał się mu z zainteresowaniem.

— No i nic! — uśmiechnął się. — Trzeba wykonywać.

Charkewicza uradowała ta bezwarunkowa gotowość,

będąca raczej objawem poczucia dyscypliny wojskowej niż świadomym przekonaniem, że zadanie rzeczywiście jest proste. Ale i takie zdyscyplinowanie cieszyło, gdyż właśnie teraz było ono bardzo potrzebne.

— No cóż, wypocznijcie dobrze, a jak się ściemni, ruszamy na zaporę — powiedział Charkewicz, i obaj żołnierze wstali.

Charkewicz wsunął sobie pod głowę marynarkę i położył się na belce. Okrył się płaszczem Sztukarenki, próbował zasnąć. W sztolni panowała martwa cisza. Nawet wybuchy pocisków, które od czasu do czasu na oślep posyłał Niemcy z Chortycy, odzywały się głucho i wydawały się zupełnie niegroźne. Uderzały o betonowy masyw zapory, rozbiły się jak puste orzechy, a tutaj czuło się tylko lekkie drżenie betonu, który jak olbrzymia żywa istota strząsał je z siebie i stał niewzruszony, obojętny wobec śmiesznych i bezskutecznych prób zadania mu ciosu.

20

Profesor Storożenko uspokoił się i odzyskał pewność siebie, jak tylko wraz ze wszystkimi wyszedł na ciemną ulicę. Jeszcze kilka minut temu był bezradny i zdezorientowany, chociaż już sam zdecydował i oświadczył żonie, że ucieknie z Myronenką z domu i nie pozwoli się ewakuować. Widocznie sama decyzja nie wystarczy, aby przywrócić człowiekowi wewnętrzną równowagę — należy zrobić także pierwszy krok.

Mężczyźni we dwóch szli z przodu, Lubow Stepaniwna z Sołomiją i Iwasykiem pośpieszali za nimi. Dokoła było cicho i nie chciało się wierzyć, że front tak blisko. Nocna mżawka szeleściła w bezlistnych drzewach, za którymi sterczały działka przeciwlotnicze wycelowane w ciemne jesienne niebo.

Myronenko wiedział, że wartownicy nie będą dziś do nich strzelać bez specjalnej potrzeby: front blisko i każdy wystrzał może skierować na nich ogień. A mimo to lepiej nie kusić losu, mężczyźni głośno rozmawiali, aby uprzedzić wartowników, że idą ludzie, którzy się nie ukrywają, lecz mają przepustki i nikogo się nie obawiają.

Zielone papierki przekreślone czarnym pasem wywie-

rały należyte wrażenie. Prawie na każdym rogu wyłaniał się zza parkanu żołnierz, zatrzymywał ich niegłośnym „halt” i wysuwał w ich stronę broń. Potem oświetlał tartak zielonkawy papierek i pytał, gdzie idą. Myronenko odpowiadał, że ewakuują się na wieś do rodziców — dla posiadaczy magicznego papierka taka odpowiedź wystarczała. Raz tylko, już prawie przed wyjściem z miasta, zrewidowano ich worki i skonfiskowano kawałek słoniny, którą Sołomija niosła ze sobą.

Za miastem było zupełnie spokojnie. Myronenko prowadził ich gdzieś na północ, wzdłuż Dniepru. Lubow Stepaniwna milczała. Ostrożnie stawiała nogi w gumowych butach, które włożyła na zdecydowane żądanie Myronenki. Nie przysłuchiwała się ani ożywionej rozmowie mężczyzn, ani urywanym odpowiedziom Sołomii na sensne pytania dziesięcioletniego chłopczyka. Wydarzenia ostatnich dwóch dni, które wniosły do jej niespokojnego życia tyle osobliwej trwogi, były już poza nią, ale nie dawały spokoju i wymagały przemyślenia. Rzuciły one nowe światło na wiele spraw.

Od czasu, gdy mąż zobaczywszy kartkę od Kseni domyślił się, co się z nią dzieje, Lubow Stepaniwna nie wątpiła już, że jej córka znalazła swe miejsce w tej walce, która toczyła się na ojczyznej ziemi.

Ale teraz zrozumiała, że i Myronenko, a nawet Kławdija Charytoniwna nie byli tylko tymi, za kogo ona ich miała, uważając jednego za zwyczajnego ślusarza, który pokornie pracuje w niemieckim warsztacie, a drugą — za potulną urzędniczkę, która też pokornie zarabia na swój okupacyjny chleb. Otrzymać pięć przepustek — i to na jedne ręce! Może one są podrobione? Ale w takim razie Myronenko nie jeden w mieście... Ktoś musiał je wydrukować, sfałszować pieczętkę i podpis... A dlaczego Kławdija Charytoniwna została w domu? Na pewno nie dlatego, że można było wydrukować tylko pięć przepustek, a nie sześć! Okazuje się, rozmyślała Lubow Stepaniwna, że w całym domu tylko ja i mój mąż byliśmy ślepi... W ciągu dwóch długich lat pływania po ciemnym morzu nieszczęścia i nędzy, które zalewało i zatapiało wszystkich, tylko my ani razu nie zastanowiliśmy się poważnie, dlaczego ono nie obryzgało nas swoimi krwawymi falami... Myronenko przynosił skądś siarkę, a Kławdija Charytoniwna

dodatkowe kartki na chleb. A myśmy brali i dziękowali, nikogo o nic nie pytając...

Lubow Stepaniwna słyszała, jak Kuźma Iwanowicz wesoło rozmawia, i była zadowolona, że wreszcie się uspokoił. Ale teraz ona ugięła się pod ciężarem wstydu i okrutnych wyrzutów sumienia. Mąż miał rację, mówiła sobie, oto jak otumania powszedniość, oto jak zaślepia egoizm.

Pocieszała się tylko tym, że chociaż tak późno, zrozumiała jednak, że żyła jak ślepa, i to, że kroczy teraz razem z Myronenką i jego żoną tą niebezpieczną drogą — też radowało. Poczucie wewnętrznej jedności z tymi ludźmi podnosiło ją we własnych oczach, a trwoga o niewiadomą przyszłość wydawała się zasłużoną pokutą.

Przeszli tak z dziesięć kilometrów i skręcili na prawo, w stronę Dniepru. Droga była trudna, a oni nie przyzwyczajeni do długich marszów. O północy ścisnął mróz, kałuże zamarzyły i gumowe buty wydawały się niepotrzebne — można było bez nich się obejść. Kiedy jednak znaleźli się w głębokim stepowym parowie, cienki lód zaczął się załamywać i nogi grzęzły w bajorze. Lubow Stepaniwna znów była wdzięczna Myronence, że tak upierał się przy tych butach i zmusił ją, aby je włożyła.

Jar stromo opadał w dół. Musieli iść ślad w ślad — jedno za drugim. Na czele szedł Myronenko, a z tyłu Sołomija. Małżonkowie prawdopodobnie już wcześniej podzieliли się między sobą miejscami, aby w ciemności ktoś przypadkiem się nie odłączył. Nareszcie po bokach zaszeleściły suche trzciny, im dalej, tym stawały się gęściejsze i trzeba się było przez nie przedzierać. Nogi grzęzły głęboko w przybrzeżnym mule, a przed oczyma błyskała stalowa toń zatoki.

Lubow Stepaniwna zdumiała się, gdy zobaczyła, że tu na nich czekają. Z gęstwiny wyłoniło się dwóch mężczyzn i z cicha zaczęli rozmawiać o czymś z Myronenką. We trzech zepchnęli tratwę na czystą wodę i zaczęli ładować na nią wiązki turzycy. Widocznie trzeba gdzieś jeszcze płynąć, domyśliła się Lubow Stepaniwna. Śmiertelnie zmęczona stała obok męża, trzymając w ręku tylko swoją lekarską torbę.

Popłynęli w piątkę — ci, co ich tu przyjęli, zostali

w trzcinach. Tratwa wysoko wyladowana turzycą podobna była do kopy siana, którą woda porwała i niesie. Gdyby ktoś nawet dostrzegł ją z brzegu, nie przyszłoby mu chyba na myśl, że tam są ludzie. Po Dnieprze teraz wciąż coś pływało; kiedyś Lubow Stepaniwna widziała nawet cały drewniany barak płynący po wodzie.

Posuwali się z prądem, bez wiosła. Myronenko stał przy sterze.

— Wszystko w porządku — szepnął do Lubowii Stepaniwny. Chciał po prostu podtrzymać ją na duchu, wiedział, że jej to potrzebne. — Do świtu jeszcze daleko, dopłyniemy.

Lubow Stepaniwna nie odpowiedziała; dotknęła tylko w dowód wdzięczności jego ręki.

Prąd niósł ich powoli. Dokoła czerniała woda, zlewając się w jedno z otchłanią niskiego nieba. Wokół panowała cisza, tylko od czasu do czasu bardzo daleko wzlatywała rakietą — gdzieś w dole, prawdopodobnie aż nad zaporą. Światło jej nie sięgało tutaj, ale wszystko w okrag zaczynało wydawać się nastroszone i ruchliwe.

Na wschodzie nie rozwidniało się jeszcze, kiedy tratwę nagle coś zakręciło i odrzuciło ją do tyłu. Myronenko wyciągnął ster z wody i zaczął wiosłować, Sołomija chwyciła wiosło i naciskała też z całej siły. Widocznie prąd niespodziewanie zmienił kierunek i znosił ich z powrotem. Słychać było, jak Karpo Sydorowicz i jego żona ciężko oddychają, walcząc z bystrym nurtem. Wkrótce tratwę znowu szarpnęło i jej belki uderzyły o coś twardego.

— To ty, Jaroszenko? — zapytał z cicha Karpo Sydorowicz, zwracając się w ciemność.

— Tak, to ja — odpowiedział ktoś niewidoczny.

— Przywiążuj!

Myronenko wziął na ręce sennego Iwasyka i stąpając ostrożnie, przeniósł go na drugą stronę tratwy. Począł, aż Jaroszenko się upora, i podał mu chłopca na górę. Potem po jednym, tak samo ostrożnie, wszystkich wyprowadził z tratwy.

Lubow Stepaniwna stała na jakimś twardym, kamiennym gruncie, przypominającym ścianę starożytnej fortecy. Dopiero rano zrozumiała, co to za forteca, do której Myronenko ich przywiózł...

Przed świtem do chaty, gdzie rozlokowali się Charkewicz i Chochoł, zapukał Hołoborodko. Po roku adiutantowania u Szumakowa uprzejma ostrożność stała się jego drugą naturą. Czekał chwilę przed drzwiami, ale nikt nie odpowiadał. Zapukał jeszcze raz, ale i teraz nikt się nie odezwał. Uchylił więc skrzypiące drzwi i zajrzał do izby.

Świt nie zdołał się jeszcze wdrzeć przez małe szybki poklejone na krzyż wąskimi paskami gazety. W mroku wypełniającym pokój z trudem można było rozróżnić dwa żelazne łóżka, na których spali Charkewicz i Chochoł.

Hołoborodko przyszedł obudzić Charkewicza, ale usiłował stąpać na palcach, jakby się obawiał, że przerwie mu sen.

Pochyliwszy się nisko nad łóżkiem, stojącym przy oknie, zorientował się, że to nie ten, który jest mu potrzebny. Przeszedł do drugiego łóżka i położył rękę na ramieniu Charkewicza. Ołeh Iwanowicz gwałtownie odwrócił głowę.

— Wzywa pana dowódca dywizji.

— Aha... zaraz...

Charkewicz spuścił nogi na glinianą polepę. Niezupełnie jeszcze otrząsnął się ze snu, mózg spał, oczy były jakby zasypane piaskiem, trudno mu je było otworzyć.

— Lecę dzisiaj do Moskwy, może wstąpić do pana bliższych?

Charkewicz nieprzytomnie spojrzął na Hołoborodkę, pomilczał, potem cicho powiedział:

— Nie mam tam nikogo.

Ołeh Iwanowicz wstał i zaczął wkładać koszulę.

— Pan na długo do Moskwy?

— Nie, na kilka godzin. Będę się przesiadał do Ufy, nie wiem, jak tam w Moskwie z samolotami.

Na drugim łóżku zaskrzypiała żelazna siatka i Chochoł szybko odwrócił się do nich twarzą.

— Do Ufy? — zapytał. — Może wrzucicie list?

— A po co wrzucać. Mogę doręczyć.

— Nie, wstępować nie warto, po prostu do skrzynki, o ile to nie sprawi kłopotu.

— Oczywiście, że nie sprawi. Dlaczego?!

Charkewicz wyszedł do sieni. Słysząc było, jak kubkiem zaczerpnął wody z wiadra i poszedł na podwórze.

— Kogo macie w Ufie, rodzinę?

— No tak — mruknął niepewnie Chochół i zaczął się też ubierać.

— Proszę pisać list, zabiore.

Hołoborodko wyszedł, a Chochół wstał, namacał w płaszczu pudełko kazbeków, powstał bez celu na środku izby, potem zapalił. Stał jeszcze przez jakiś czas, głęboko zaciągając się wonnym dymem, jakby nie wiedział, co robić, aż wrócił znowu do swego łóżka i usiadł.

Wymknęło mu się to jakoś zupełnie niespodziewanie. Nie zamierzał ani pisać listu, ani prosić o wstąpienie do Ani. W ogóle dawno do niej nie pisał i od niej też od dawna nic nie otrzymywał. Wiedział tylko, że Ania jest w Ufie, z tego nieoczekiwanego listu od sąsiada — profesora z Leningradu.

Od czasu gdy Ania odeszła, minęło trzy i pół roku, ale wspominając to, Chochół nigdy nie mógł się pozbyć palącego wstydu i upokarzającego poczucia własnej winy. To prawda, że Ania postąpiła z nim bezwzględnie, kochająca kobieta nie powinna żywić takiej głębokiej urazy, tym bardziej że właściwie nic złego nie zrobił — postąpił głupio, popełnił zwyczajne, mało znaczące wykroczenie. Ania wiedziała przecież, że mąż nie pije, że nurek nie może pić — nie pozwala mu na to wykonywany zawód. Ale wtedy, raz w życiu, Chochół spił się, spił się jak świnia i obraził ją — to prawda. I jeżeli domagał się od niej wyrozumiałości lub stawiał jej pewne zarzuty, to nie dlatego oczywiście, aby pomniejszyć swą winę. Przyczyną tego, że Ania odeszła, była mimo wszystko jego wina, a nie brak pobłażliwości z jej strony.

Tej soboty Chochół znalazł się na Wasiljewskim Ostrowie, musiał wstąpić do mechanika okrętowego Prokofiewa i załatwić z nim pewną sprawę. Okazało się, że u Prokofiewa są goście — mechanik wydawał za mąż jedyną córkę i Ołeksandr Mykytowicz trafił na kulminacyjny moment weselnej uczt.

Próbował wymówić się, tłumacząc, że ma na wieczór bilety do teatru, że żona na niego czeka i że wpadł tylko na chwilę w ważnej sprawie. Ale gospodarz obraził się nie na żarty, a ktoś z obecnych zawołał: „Porzucasz nas dla baby?” W tej chwili podeszła do niego panna młoda i podała mu srebrzysty kielich napełniony po brzegi...

Ocknął się nad ranem w domu — któryś z gości odprowadził go widocznie. Ania siedziała na łóżku w swojej liliowej wyjściowej sukni, jak gdyby wciąż jeszcze wybierała się do teatru. Widząc go w takim stanie, nie wierzyła własnym oczom. A kiedy zapytała, co mu się stało, on, nic nie wyjaśniając, nagle ryknął:

— A co ty byś chciała, abym ja przyjaciół dla baby porzucił?

Ania osłupiała. Niespodziewane grabiaństwo chlasnęło ją jak biczem. Odczuła je tym boleśniej, że mąż był zawsze uprzejmy i delikatny. Ania rzuciła się do drzwi i jak nieprzytomna wybiegła na ulicę, a Chochoł zwałił się na pościel i natychmiast zasnął.

Obudziło go mocne szarpnięcie za ramię. W pokoju tłoczyli się obcy ludzie. Wśród nich poznał Prokofiewa. Przyszli, aby zabrać ze sobą Ołeksandra Mykytowicza i jego żonę — wesele przeciągnęło się do niedzieli. Chochoł siedział na łóżku rozczochrany i wymiętoszony, jeszcze niezupełnie wrócił do przytomności. Naraz wszystko sobie przypomniał i wybiegł z pokoju w nadziei, że Ania jest w kuchni. Ale tam jej nie było.

Należało jak najprędzej pozbyć się gości, doprowadzić się do ładu i szukać żony. Ale nawet przez myśl mu nie przeszło, że taki zwyczajny wypadek może pociągnąć za sobą poważne konsekwencje.

— Widzicie, żony nie ma w domu — oznajmił nieproszonym gościom. — Jak tylko wróci, przyjdziemy do was.

— Poczekamy na nią — odpowiedział Prokofiew. — Nie wyrzucisz nas? — Postawił na stole butelkę.

Nie było innego wyjścia. Trzeba było znów pójść do kuchni, szperać po szafach. Po kilku minutach wszyscy już siedzieli za stołem i napełniali kieliszki.

I w tej właśnie chwili weszła Ania. Goście jej nie zauważyli — siedzieli plecami do drzwi. Ania przystanęła na progu i wzrokiem spotkała się z mężem, który siedział naprzeciw. Chochoł postawił kieliszek, wstał, ale nie zdążył nawet nic powiedzieć. Ania odeszła, tym razem zdecydowanie i niemal zupełnie spokojnie.

Rano otrzymał rozkaz i musiał natychmiast wyjechać do Archangielska. Wrócił dopiero za trzy tygodnie. Drzwi do mieszkania zastał zamknięte. Ani nie było w domu. Na stole leżała kartka: „Odchodzę od ciebie, nie szukaj mnie”.

Dotknęło go to do żywego: Ach tak, więc tak ty mnie kochasz, Aniu!

Wkrótce nadarzyła się okazja przeniesienia się do Archangielska, i Chochoł wyjechał. Napisał stamtąd list do Ani. Odpowiedziała powściągliwie i niemal oschle. Mieszkała w ich dawnym mieszkaniu, ale nie zapraszała go do domu.

Później, już w czasie wojny, przypadkowo znalazł się w Leningradzie i poszedł do szpitala, gdzie Ania dawniej pracowała.

Wyszła do niego, krzyknęła i objęła go. Ale nie był to uścisk, jakim żona zwykle wita kochanego męża. Ania otarła łzy, które jej raptem nabiegły do oczu, porozmawiali parę minut, dłużej nie mogła — czekali na nią chorzy. Spotkanie to nie zmieniło nic w ich wzajemnych stosunkach.

...Chochoł zdjął z gwoźdźca mapnik, wyjął zeszyt, wyrwał kilka kartek i zaczął pisać. Nie wiedział, dlaczego to robi. Ale tak samo jak wtedy, kiedy przyjechał z Archangielska, nie mógł przepuścić okazji i nie wstąpić do swego mieszkania, tak i teraz nie mógł jakoś nie skorzystać z wyjazdu Hołoborodki do Ufy.

22

Od chwili, gdy Chochoł zdecydował się przekazać list przez Hołoborodkę, życie jego bardzo się skomplikowało, a i on sam zmienił się również nie do poznania.

Ani tego rana, ani dzień przedtem nie myślał nawet o Ani, lecz oto zjawił się człowiek, który oznajmił, że za pół godziny leci do Ufy, i Chochołowi wyrwało się raptem dawno nabrzmiałe bólem słowo. Wymknąwszy się niechęcący, tak go zaniepokoiło, że stało się postanowieniem, którego nie mógł już zmienić.

Co by powiedział Charkewicz, gdyby Chochoł rozmyślił się nagle i oświadczył, że nie napisze listu? A Hołoborodko? Czy nie byłby zdziwiony, że ktoś nie chce skorzystać z rzadkiej okazji i otrzymać pozdrowień bezpośrednio od rodziny? W najlepszym razie musiałyby się tłumaczyć, wymyślać powody, wbrew własnej woli przed obcymi ludźmi poruszać to, czego nawet sam nie chciałby już dotykać. Ołeksandr Mykytowicz nic o Ani nie wiedział. Może jej dawno już nie ma w Ufie? A jeśli nawet tam jest, to czy nie wyszła drugi raz za mąż?

O tym wszystkim rozmyślał już później, jak Hołoborodko odleciał, i nie można było nic zmienić. I chociaż zdrowy rozsądek zdołał już opanować burzę, co skłoniła go do nieprzemyślanego, ale decydującego postępku, Ołeksandr Mykytowicz nie żałował, że wysłał list.

Nie ulegając chwilowemu nastrojowi, nie popełnił omyłki. Gdyby Ania nawet nie odpowiedziała, to on mimo wszystko postąpił tak, jak powinien postąpić. Obojętne, czy zechce go zrozumieć czy nie, czy odwróci się od niego jeszcze raz, czy też przyjmie jego poryw jako szczery i oczywisty, on nie żałuje i nie będzie żałował tego, co zrobił.

Dzień, w którym Hołoborodko wyleciał do Ufy, okazał się dla Ołeksandra Mykytowicza trudny i odpowiedzialny. Razem z dwoma swoimi pomocnikami — Warywodą i Bogatyriowem — musiał doprowadzić do odpowiedniego stanu cały sprzęt nurkowy i zapewnić należyte działanie każdej jego części. Trzeba było sprawdzić ciśnienie w zapasowych butlach, dopasować uszczelki w przewodach, a w niektórych wypadkach wyciąć i wstawić nowe. Chochoł zdawał sobie sprawę, że praca, która ich czeka, będzie bardzo się różnić od tej, jaką wykonywał dotychczas. W wąskiej i długiej sztolni nie ma ani możliwości manewrowania, ani połączenia się z ludźmi czekającymi na górze, ani możliwości wypłynięcia na powierzchnię, jeśliby się coś stało, ani nadziei na szybki powrót — żadnego

z tych sposobów ratunku nie będzie w tej wąskiej i długiej sztolni.

Bosmanmat Bogatyriow i plutonowy Warywoda od dawna już byli jego pomocnikami. Z Bogatyriowem pracował jeszcze w murmańskim porcie i nigdy się na nim nie zawiódł. Niewysoki, ale barczysty bosmanmat cieszył się wspaniałym zdrowiem, nawet jak na swoje trzydzieści dwa lata. Małomówny i z wyglądu niemrawy, jednakże nieraz już wykazał upór i wolę. Jasnowłosa, prawie bezbrowy słuchał uważnie i kiedy otrzymywał jakieś polecenie, wpatrywał się bacznie przezroczytymi, wodnistymi oczyma, jakby usiłował wychwycić każde słowo swym byстрыm wzrokiem, który nie słabnął nawet na morskim dnie.

Z Warywodą zaczął pracować później, już przed odwróceniem z Rygi, kiedy wypadło im remontować podwodną część uszkodzonego niszczyciela na ryskiej redzie. Plutonowy okazał się również roztropnym i pewnym pomocnikiem. Czarniawy, ze zmierzwioną szczeciniastą czupryną, wyglądał raczej na zadziornego studenta niż na człowieka, który główne swe dzieło wykonuje w martwej ciszy morskich głębin. Dobrze grał na gitarze, znał mnóstwo starych i nowych ludowych czastuszek, a kiedy w Domu Marynarza odbywał się wieczorek taneczny, wydarzenia takiego nie można było sobie wyobrazić bez szczupłej, ruchliwej sylwetki niezmordowanego Warywody, który w ciągu wieczora obowiązkowo musiał zatańczyć z każdą dziewczyną, każdą zabawić i rozśmieszyć.

Chochoł lubił Warywodę, gdyż sam miał podobne usposobienie. Dziś jednak nie bawiły go żarty i przyspiewki, jakie przez cały czas mruczał plutonowy.

Warywoda też nie poznawał Ołeksandra Mykytowicza. Przybrawszy zwykły ton w stosunkach ze swoim dowódcą, po pierwszym słowie już wyczuł, że nie udało mu się nawiązać kontaktu, i to go zadziwiło. Ale wypytywać się Warywoda mimo wszystko nie miał odwagi i tylko z ukosa spoglądał na lejtenanta. Kilka razy mrugnął nawet do Bogatyriowa, usiłując zwrócić jego uwagę, że z Ołeksandrem Mykytowiczem jakby coś nie w porządku.

Kiedy uporali się z nurkowym dobytkiem, na podwórze, gdzie pracowali, zajechała półtoratonówka.

— Machnijcie się, chłopcy, we dwóch! Ja jeszcze mam

sprawę w sztabie — powiedział Chochoł. — Dołączę później.

To jeszcze bardziej zdziwiło jego pomocników. Wiedzieli, jak niebezpiecznie jest jechać samochodem w biały dzień na pierwszą linię, i to, że Chochoł wysyłał ich samych, wydawało się niezwykle. Nieraz już zdarzało się im pracować na niebezpiecznym terenie, pod ostrzałem, na oczach nieprzyjacielskich obserwatorów, ale w takich wypadkach Chochoł nigdy nie puszczał ich samych, w dodatku ze sprzętem, od którego zależało ich życie, a nie tylko powodzenie akcji.

— Jedźcie ostrożnie. W skrzyni są butle z tlenem. Nie pchajcie się pod kule — ostrzegął Chochoł, ale w tonie tych rzeczowych uwag wyczuwało się niepokój o coś innego.

— Zrobi się! Nie pierwszyna — odpowiedział kierowca, wysuwając z kabiny czupurną twarz z czarnym chłopcym czubem.

— Bogatyriow, ty będziesz starszym — dorzucił Chochoł i nie czekając, aż samochód ruszy, odwrócił się i poszedł do domu.

Charkewicz był już na zaporze i Chochoł ucieszył się, że został sam w izbie. Położył się na łóżku w ubraniu, okrył się z głową swoim czarnym marynarskim płaszczem i zamknął oczy.

Tak, życie marnie mu się układało. Od samego dzieciństwa, odkąd siebie pamięta. Oczywiście gdy ojciec nie wrócił z wojny, a matka została z czworgiem drobiazgu na rękę, trudno było jeszcze zrozumieć, co do czego. Dopiero z czasem, pasając owce u Saływona Kuca, zaznał, co to bieda, ale w tym wieku skóra się łatwo goiła, chociaż Saływon, bywało, wysmagał biczyskiem po łydkach, aż krew tryskała. A jednak miewał i szczęśliwe chwile — szczególnie nad stawkiem, gdzie chłopcy ochrztili go „nurkiem”. Za te kąpiele obrywało mu się najwięcej od Saływona. Czort z nim!

Zresztą dzieciństwo jak dzieciństwo. Wielu nie miało lepszego. Najgorsze przyszło znacznie później, tej przekłetej niedzieli, kiedy Ania odeszła.

Chochoł wciąż i wciąż przebiegał w pamięci szczegóły tych ciężkich dni, myślał o Ani. Prawdopodobnie

nigdy go nie kochała. Kochające serce nie może ślepo obwiniać i długo pamiętać zła.

Ech, Aniu, Aniu! Można być surową, ale sprawiedliwości nie trzeba zatracać. Życie i tak nie pieści się z ludźmi, po cóż jeszcze samemu zadrećcać siebie i tych, którzy nas kochają? Nie warto wkładać kamienia do wyciągniętej dłoni, ktoś to słusznie powiedział.

W izbie już prawie całkiem się ściemniło. Na maleńkie okienka napierała dżdżysta, ciemna noc. Było zupełnie cicho. Tylko z rzadka gdzieś daleko na zachodzie coś głucho hurkotało i gliniana polepa ledwo wyczuwalnie drżała, a potem hurkot się zbliżał, ale wciąż był daleki — chyba z pięć kilometrów. Bogatyriow pewnie już dawno zadzwonił do sztabu dywizji i zawiadomił, że dojechali szczęśliwie. Gdyby się coś stało, ktoś by tu przybiegł i uprzedził, że z nimi krucho. Trzeba pójść do wydziału operacyjnego, dowiedzieć się, ale nie ma sił się podnieść. Dziwny, nienaturalny stan odrętwienia całego ciała, jakby w mięśniach przez całe życie gromadziło się zmęczenie i teraz właśnie daje się we znaki. Prawdopodobnie bywa tak zawsze z ludźmi, którzy ani chwili nie usiedzą na miejscu, krzątają się, śpieszą, tak jak on zawsze się śpieszył, sypią dowcipami, żartują. Przychodzi czas, kiedy zmęczenie i gorycz, dla których w życiu było dosyć powodów, ale które nigdy nie dawały o sobie znać, przeważają i chociaż na krótko siodłają i spinają cię ostrogami...

23

Gdyby pułkownik Szumakow wiedział, co robił i jak zachowywał się jego adiutant w Ufie, to prawdopodobnie nie tylko by się oburzył, lecz i bezwzględnie by się z nim rozprawił.

Po powrocie z Hiszpanii, a szczególnie po wyrwaniu się z okrażenia w czterdziestym pierwszym roku, Szumakow poprzysiągł sobie, że otrząśnie się z wszelkiej małostkowości, która mogła w nim zostać jeszcze z lat młodszych i kawalerskiej poniewierki. Tam w rodzinnych smoleńskich lasach zaszło takie wydarzenie, które mogło nie tylko zdumieć, ale wprost oszołomić

każdego. To, o czym dowiedział się przypadkowo Szumakow, wydawało się niemożliwe i nieprawdopodobne, trudno byłoby w to uwierzyć, gdyby nie dotyczyło go osobiście. Ktoś inny, dowiedziawszy się wszystkiego o tej okropności, załamałby się. Ale Szumakow nie zwątpił ani w swoje przekonania, ani w konieczność walczenia o nie. Co więcej, od tego czasu przekonania jego stały się jeszcze mocniejsze, jakby właśnie trzeba mu było zetknąć się z krzyczącą nieprawdą, aby mógł ostatecznie utwierdzić się w swojej prawości.

Szumakow zdawał sobie sprawę, że wojna nie skończy się prędko. Aby dobrze dowodzić dywizją, trzeba po ludzku żyć, nawet w tych wąskich i surowych granicach, jakie narzuca wojna. Przydałby się więc człowiek, który przejąłby na siebie wszystko, co drugorzędne, wszystko, co nie dotyczy bezpośrednich potrzeb wojskowego gospodarstwa, a obchodzi tylko jego osobiście.

Takim człowiekiem stał się dla niego Hołoborodko.

W bezbrevych, uśmiechniętych oczach lejtenanta Szumakow od razu dostrzegł przyczajoną przebiegłość, która wskazywała na nie byle jakie zdolności orientowania się w życiowych sprawach. Szumakow wiedział, że to jest właśnie to, czego jemu brakuje.

Hołoborodko ani razu nie zawiódł dowódcy dywizji. Rozporządzenia i rozkazy, które szły przez adiutanta, docierały do zainteresowanych sprawnie i na czas. Jeśli zaś chodzi o sprawy bytowe, to nierzadko trzeba go było hamować. Szczególnie wówczas, kiedy zjawiało się dużo zdobyczy i adiutant zaczynał zbyt energicznie starać się o to, aby wszystko, co najlepsze i najsmaczniejsze, znalazło się przede wszystkim na stole dowódcy dywizji. Tutaj Hołoborodko próbował rozwinąć swoje naprawdę nieprzeciętne zdolności i Szumakow nieraz musiał uciekać się nie tylko do spokojnych wymówek, lecz i do surowych pogroźek.

Wylądowawszy na centralnym lotnisku w Moskwie, Hołoborodko i tu nie stracił rezonu. Po kwadransie wiedział już, gdzie jaki samolot poleci w najbliższym czasie, a wśród nich znalazł się jeden przestarzały i śmieszny bombowiec, który za pół godziny wylatywał do Ufy.

Wieczorem tego samego dnia Hołoborodko był już na miejscu. Słabiutko oświetlone ulice wstrząsnęły go

i zdziwiły. Dawno już nie widział nie zamaskowanego elektrycznego światła w nocy, a tu migotało ono na słupach i wydawało się dużo jaskrawsze, niż było w rzeczywistości.

Przenocował w hotelu w centrum miasta i rano zabrał się do załatwiania powierzonych mu spraw. Przede wszystkim należało odwiedzić żonę Sztukarenki — Dokiję Lwiwnę, która leżała w miejskim szpitalu, i dowiedzieć się, w czym może jej pomóc. Okazało się, że chorych można odwiedzać dopiero od drugiej godziny... Ale Sztukarenko powiedział mu, że najważniejsze, to dostać dla niej bodaj malutki, cddzielny pokoik, gdyż mieszka ona z Wową w zimnym drewnianym baraku, wspólnie z dwoma innymi rodzinami, i dłużej już nie może tak cierpieć.

Aby nie tracić czasu na darmo, Hołoborodko wprost ze szpitala udał się do miejskiej rady. W poczekalni przewodniczącego tego przeludnionego i nabitego uciekinierami miasta tłoczyło się mnóstwo ludzi. Jednakże połowe naramienniki Hołoborodki, jego wyblakła od słońca bluza i kierzowe buty zrobiły swoje, i frontowca przyjęto poza kolejką, co wydało się normalne nawet tym, którzy godzinami tutaj czekali.

Przewodniczący miejskiej rady przyjął go nie tak, jak zwykłego interesanta. Był to jeszcze dość młody, energiczny Baszkir, o szerokiej twarzy z wystającymi kośćmi policzkowymi, w takiej samej jak Hołoborodko bluzie wojskowej, ale zupełnie nowej. Jego krępą, niezbyt otyłą sylwetkę przecinał też pas oficerski, lecz wydawało się, że dopiero co odebrany ze sklepu, nie używany, pachnący świeżą skórą, skrzypiący i mocny.

Przywitał on frontowca nie tylko życzliwie, ale nawet w jakiejś mierze uniżenie. Ludzie pracujący na zapleczu, chociaż wypełniali odpowiedzialne, a czasem i bardzo trudne zadania, czuli się zawsze jakby trochę winni wobec tych, co bezpośrednio walczyli. Coś podobnego czuł i przewodniczący rady miejskiej, kiedy do niego wchodził frontowiec. W zwykłych okolicznościach wojskowa bluza i pas oficerski były nie tylko najbardziej praktyczną odzieżą w wojennych czasach, ale i swego rodzaju usprawiedliwieniem tego, dlaczego on nie jest na froncie. Ta odzież zdawała się mówić interesantom zamiast niego: Tak, znajduję się na zapleczu, ale pracuję dla ogólnej sprawy i cho-

ciąż bezpośrednio nie strzelam do wroga, trwam jednak na posterunku wojskowym.

Kiedy przychodził frontowiec, przewodniczący zaczynał odczuwać, że nowiutka wojskowa odzież tylko go demaskuje. I teraz zdawało się, że obok wyblakłej bluzy Hołoborodki jego bluza nie tylko po prostu przegrywa, lecz wygląda na niedorzeczną dekorację, żenującą maskaradę. Czuł się nieswojo i dlatego jego życzliwa uprzejmość była przesadna i przypominała uniżoność.

A Hołoborodko przyjmował to jak należy sobie szacunek. Rozumiał wprawdzie, że i w czasie wojny potrzebny jest na zapleczu przewodniczący miejskiej rady, i nie miał mu za złe, że nie walczy na froncie. Ale to, że jemu, frontowcowi, okazują względy i przyjmują bez żadnej kolejki, uważał za oczywiste i całkiem normalne.

— No, opowiadajcie, opowiadajcie, co tam nowego na froncie? — zapytał przewodniczący, prowadząc Hołoborodkę pod rękę od samych drzwi do swego biurka.

— Sprawy się posuwają. Teraz już z frycami kaput! — odpowiedział pewnie Hołoborodko, jakby on osobiście decydował o losach wojny i naprzód dokładnie wiedział, jaką drogą potoczy się ona do końca.

— Tak, pognali ich zdrowo — zgodził się przewodniczący. — No, a co dalej?

— A cóż dalej? — Wydawało się, że przenikanie tajemnic przyszłości i zdolność odgadywania biegu następnych wydarzeń jest wrodzoną właściwością Hołoborodki. — Dalej, myślę, sprawa tak pójdzie. — Wstał z miękkiego fotela i podszedł do wiszącej na ścianie ogromnej mapy Europy i Azji. — Dalej, wydaje mi się, Niemcy znajdą się w takiej sytuacji...

Hołoborodko zaciął się na moment. Z mapami o takiej skali nie miał do czynienia w szkole, a na froncie na ogół posługiwał się tylko kilometrówką, która ukazywała niewielkie spłachetki ziemi, obsadzone przez pułk lub nawet przez batalion. Teraz rozpościerała się przed nim cała Europa i Azja, wraz ze skrawkami pozostałych kontynentów, i rozwijał się przed nim nie kończący się front, od Białego do Czarnego Morza...

Ale Hołoborodko nie zmieszał się i milczenie nie trwało długo. To, co latami pielęgnowały i opracowywały po-

teżne sztaby generalne, Hołoborodko rozstrzygnął w jednej chwili i zaczął wyklądać pewnie i twardo.

— Następnie nasi bezsprzecznie uderzą przez Skandynawię i prawym skrzydłem zawisną nad karkiem wroga. W tym czasie nasze fronty na południu ruszą przez Odessę na Bałkany. Nieprzyjaciel ujęty w te ogromne kleszcze znajdzie się w pułapce, no a stamtąd nie będzie już wyjścia, to oczywiste.

Hołoborodko mówił bez zająknięcia, jakby objaśniał ostatecznie przyjęty i zatwierdzony plan. W gabinecie siedział już nie tylko przewodniczący, lecz i kilku współpracowników, którzy mogli swobodnie wchodzić do jego gabinetu, jeżeli mieli jakieś pilne sprawy. Obstąpili Hołoborodkę zwartym półkolem, łowili i zapamiętywali każde jego słowo. A on zagłębiał się coraz bardziej i bardziej w strategiczne plany zwycięskiego zakończenia wojny, i sprawa wydawała się nie tylko z góry ustalona, ale i nie taka znów daleka i trudna.

Nikt z obecnych nie wątpił w jego słowa. Wszyscy pragnęli, aby tak było, jak on mówi, i dlatego łatwo przyjmowali marzenia za rzeczywistość. Zresztą mówił to człowiek, który dopiero wczoraj wyrwał się z ognia walki, a że na froncie wszystko wiedzą — to nie ulega wątpliwości.

Hołoborodko sam również przejmował się tym, co mówił, gdyż w rzeczywistości przedtem w ogóle o niczym takim nie myślał. Plan rozgromu wroga stworzył dopiero tutaj, na oczach wszystkich, i mimo woli przejął się nim i zaczynał wierzyć, że jest to jedyny możliwy plan. Oczywiście nie odważyłby się wyłożyć go, gdyby tutaj był Szumakow lub Sztukarenko, ponieważ wiedział, że dla nich byłoby to tylko zabawne widowisko. Ale teraz on był jedynym głównym aktorem tego spektaklu, coraz lepiej i lepiej wczuwał się w swoją rolę, wierząc w każde swe słowo, tak jak wierzyli wszyscy obecni.

O sprawie, z powodu której przyszedł do miejskiej rady, Hołoborodko wspominał tylko między innymi, kiedy wdzięczni słuchacze rozeszli się i został tylko przewodniczący. I chociaż w Ufie było trudno o samodzielne mieszkanie, on dostał przydział nie na jedną, lecz na dwie izby. Wydano mu także specjalne kartki żywnościowe dla rodziny Sztukarenki.

Zanim wstąpił do Dokii Lwiwny, Hołoborodko odszukał lekarza, który ją leczył, aby dowiedzieć się, jak ona się czuje. Lekarz oświadczył, że teraz już niebezpieczeństwo minęło. Początkowo obawiano się, że doznała poważniejszego urazu, podejrzewano nawet uszkodzenie kręgosłupa. Rentgen jednak nic nie wykazał, chora musi jeszcze z tydzień poleżeć w łóżku i wyjdzie zupełnie zdrowa.

Okazało się, że Dokija Lwiwna jeździła do lasu, aby przygotować sobie opał na zimę, i oboje z Wową ścinali drzewa... Hołoborodko był tym oburzony: czyż żona drugiego człowieka w dywizji powinna sama to robić?

Przy łóżku Dokii Lwiwny zastał jakąś kobietę, która też przyszła ją odwiedzić. Przekazał chorej list od męża i niewielką paczuszkę — kilka puszek konserw, kilogram cukru i trochę zwyczajnych cukierków dla Wowy. Zobaczywszy to wszystko, stojąca obok sąsiadka załamała ręce.

— Boże! Po co pan to ciągał? — wykrzyknęła i rozpięła futro, jakby się jej raptem zrobiło gorąco. — Do czego to ludzie nie potrafią się przystosować! Powiedziałyby mi pani, a przysłałabym drzewa, ile potrzeba, trochę cukru i trochę kaszy. — Wesoło i niemal z zachwytem zaczęła opowiadać, że w jednej z fabryk pracuje jej kum, i jak tylko do stołówki fabrycznej przywiezą produkty, on dzwoni do niej od razu, żeby zabierała worki i jak najszybciej przyjeżdżała. I wszystkiego ma dosyć, a nawet coś niecoś zostaje, można to wymienić na smakołyki lub sprzedąć.

Hołoborodko spojrział na Dokiję Lwiwnę i zrobiło mu się przykro. Chora wyglądała na wyczerpaną i chyba nie tylko dlatego, że spotkało ją w lesie nieszczęście. Na twarzy jej odbijały się męki i bóle zupełnie innego rodzaju, widział, jak usiłuje ukryć swe oburzenie na to, co opowiada ta gadatliwa sąsiadka — może nie chce obrażać jej przy nim, a może po prostu nie ma sił, by godnie jej odpowiedzieć.

Patrzył na Dokiję Lwiwnę i poczuł, że sam się rumieni. Nieustanne przechwałki na temat nieograniczonych możliwości, eleganckie futro i wulgarne wyrażenia pucułowatej baby wydawały się oburzającym świętokradztwem wobec tych frontowych konserw, które on tak daleko wiozł. Hołoborodko wstydził się i za tę zdemoralizowaną kobietę, i za swoje postępowanie w radzie miejskiej.

Kiedy sąsiadka nareszcie wyszła, Dokija Lwiwna przeczytała list od męża.

— Proszę mu nic nie mówić o mojej przygodzie w lesie. Nie trzeba go niepokoić. — Odebrawszy z rąk Hołoborodki kartki westchnęła: — To robotnicze, a ja przecież nauczycielka...

— To nic, ważne są tylko na miesiąc — usprawiedliwiał się Hołoborodko. — Po chorobie powinna się pani trochę lepiej odżywiać.

— No cóż — westchnęła. — Jeżeli tylko na miesiąc, niech tam.

24

Ania Chochoł pracowała w szpitalu ulokowanym tymczasowo w jednej ze szkół średnich. Ołeksandr Mykytowicz nie znał dokładnego adresu i zazaczył na kopercie tylko leningradzki numer tego szpitala. Hołoborodko musiał się zwrócić do komendy miasta, aby się dowiedzieć adresu szpitala. Zastępca komendanta, rudy wąsaty major, jakoś dziwnie zainteresował się tym:

— A kto jest wam potrzebny w szpitalu, obywatelu lejtenancie?

— Doktor Anna Chochoł.

— ...Chochoł... Chochoł — przypominał sobie major. — Taka szczuplutka, czarniawa?

— Nie wiem. Nigdy jej nie widziałem. Przywiozłem dla niej list.

— Od kogo?

— A dlaczego was to interesuje? — zdziwił się Hołoborodko.

— Ależ nie, ja tylko tak — zmieszał się major. — Po prostu ona już dwa razy przychodziła do mnie.

— List od męża.

— Aha... tak, tak — rozmyślał major na głos, szarpiąc koniec swego ognistorudego wąsa.

Hołoborodko był tym zdziwiony, ale major już więcej o nic nie pytał. Przerzucał kartki książki z adresami obiektów wojskowych w mieście. Okazało się, że szpital znajduje się tuż obok komendy.

Kiedy lejtenant podszedł do budynku, w którym mie-

ścił się szpital, Ania czekała na schodach. I to również zdumiało Hołoborodkę — nieznojoma kobieta w białym fartuchu podbiegła prosto do niego, jakby dawno na niego czekała, i zapytała, zatrzymawszy się na ostatnim stopniu:

— To pan jest lejtenant Hołoborodko?

— Tak, to ja.

— List od męża?

— Skąd pani wie?

— Dzwoniono do mnie z komendy miasta. Proszę mi go dać, prędeż!

Hołoborodko z zainteresowaniem wpatrywał się w ciemne, szeroko otwarte oczy drobnej kobiety i machinalnie odpinał kieszeń bluzy, aby wyjąć z niej list. Uderzyło go podniecenie i zniecierpliwienie oraz niemal wylęknione drżenie głosu Anny Semeniwny Chochoł, a to, że major z komendy miasta pośpieszył ją uprzedzić, jeszcze bardziej zaciekawiało.

Anna niemal wyrwała mu list z rąk, rozdarła kopertę i natychmiast zaczęła czytać. Hołoborodko widział, jak oczy jej pożądliwie chłoną treść pisma, opuszczając słowa, a nawet poszczególne linijki, aby szybciej dobiec do końca i dowiedzieć się, w czym rzecz.

Nareszcie opuściła rękę, w której trzymała list, ożywienie jej raptem zgasło i rozplakała się cicho.

— Co się z panią dzieje? Proszę się uspokoić — pocieszał ją zakłopotany lejtenant. Przerażony jej zachowaniem, nie wiedział, co mówić.

Kobieta usiadła na stopniu, posiedziała chwileczkę, ocierając brzegiem fartucha łzy, i wstała.

— Przepraszam. Jestem bardzo zmęczona. — I wyszeptowała cicho: — A więc... żyje...

— No chyba — ucieszył się Hołoborodko, że może powiedzieć jej coś przyjemnego — żyje i dobrze się czuje! Pani pewnie długo nie otrzymywała od niego listów?

Anna Semeniwna nie odpowiedziała.

— Nie będę teraz o nic więcej pytać. Czeka na mnie chory, muszę już iść. Może wstąpi pan do mnie wieczorem po pracy? Mieszkam tu w szpitalu: pokój czterdziesty pierwszy.

Hołoborodko obiecał, że przyjdzie, i na razie się pożegnali.

Spotkanie to zdziwiło go bardzo, aż jakoś raptem przy-
cichł. Nie wiedział nic o jej stosunkach z mężem i zachowa-
wanie Anny Semeniwny tłumaczył sobie jako zwykły
kobięcy niepokój o kochanego człowieka, który znajduje
się w ciągłym niebezpieczeństwie i długo nie pisze listów.
Hołoborodko dawniej spotykał się także z takimi wypad-
kami, widział i kobiety w podobnym stanie, i mężczyzn,
którzy na próżno oczekują listów z domu i nie mogą sobie
znaleźć miejsca, niepokojąc się o los swojej żony i dzieci.
W znanych mu przypadkach składały się na to różne przy-
czyny: on sam czekał kiedyś długo na listy z domu, aż do-
wiedział się, że jego wieś jest pod okupacją i że na listy
stamtąd nie ma co czekać. W tym wypadku zwałił on całą
winę na pocztę polową, chociaż najczęściej i do niej nie
można rościć pretensji, bo worki z frontowymi listami,
tak jak i ludzie na froncie, zawsze przebywają pod ogniem.

Lecz oto dokonał on świętego i szlachetnego dzieła, na-
wiązał między mężem i żoną zerwaną przez zewnętrzne
okoliczności łączność. Hołoborodce było przyjemnie, że
przypadkowo udało mu się to zrobić, uważał za swój obo-
wiązek doprowadzić tę sprawę do końca.

Wieczorem zjawił się po raz drugi przy wejściu do daw-
nej szkoły. Anna Semeniwna znów na niego czekała przed
drzwiami i wybiegła mu na spotkanie tak jak i w dzień.
Teraz również wydawała się tak samo podekscytowana
i wzburzona. Dlaczego? List przecież mogła już nie raz
przeczytać, wiedziała, że mąż żyje, miała czas uspokoić
się... Oczy jej płonęły, ogarnięte gorączką niepokoju,
szeroko otwarte patrzyły na niego z jakąś dziwną sta-
nowczością, charakterystyczną na ogół dla ludzi chorych.

Niepokój jej udzielił się także i jemu. Hołoborodko
złakł się: Anna Semeniwna będzie od niego żądać opo-
wiadania i szczegółów, a on prawie nic o Ołeksandrze
Mykytowiczu nie wie. Gdzie służył Chochoł, zanim go
przydzielono do siedemdziesiątej ósmej? Wiedział, że nur-
kowie badają morskie głębiny, ale nie miał żadnego poję-
cia, co robią na wojnie. Wykrywają nieprzyjacielskie
okręty podwodne? Remontują uszkodzone statki w nad-
morskich dokach? Kiedy Anna Semeniwna schwyciła go
za rękę i biegiem prowadziła po schodach, Hołoborodko
czuł, że serce ścisnęło się trwożnym, niejasnym przeczu-
ciem.

W końcu jednak zrozumiał, że nic strasznego się nie stanie. Najwyżej wymyśli jakąś przygodę, która rzekomo przytrafiła się jej mężowi, opowie o jakimś bohaterskim epizodzie... Ale czy ona w to uwierzy? Jeśli nawet będzie mieć wątpliwości, to i tak nie stwierdzi, czy on mówi prawdę czy nie. Usłyszy od towarzysza tego samego pułku, że mąż dobrze wojuje, że jest dzielnym człowiekiem, i zadowolony się jak wszystkie kobiety.

Weszli do małego, kwadratowego pokoiku, który kiedyś był chyba portiernią lub pomieszczeniem szkolnego stróża. Nad żelaznym stolikiem, pomalowanym białą emalią, wisiała przyćmiona elektryczna lampka. Anna Semeniwna podała Hołoborodce jedyny taboret, a sama kilka razy nerwowo przeszła się wzdłuż pokoju.

Zrobiło mu się nieswojo.

— Cóż to, ja siedzę, a pani... Jakoś nie wypada — kręcił się, speszony jej przenikliwym i trwożnym spojrzeniem, i wstał.

Anna nie odpowiedziała i raptem rzuciła pytanie:

— Kiedy pan wraca?

— Gdzie? — Pytanie padło tak nagle, a nawet niespodziewanie, że Hołoborodko nie od razu je zrozumiał. — Aha, kiedy wracam. Spróbuję jutro wylecieć, jak będzie samolot.

— Polecę razem z panem. — Kobieta oświadczyła to tonem nie cierpiącym sprzeciwu. Gwałtowny przeskok od nerwowego podniecenia, do którego Hołoborodko zdążył już prawie się przyzwycząić, do stanowczego zdecydowania, jakiego się nie spodziewał po Annie Semeniwnie, tak zbił go z tropu, że znów usiadł na taborecie, zupełnie zdezorientowany.

— To znaczy jak? — mamrotał. — Gdzie pani poleci?

— Na front — odpowiedziała Ania już całkiem spokojnie, ale nie mniej stanowczo.

— A co z pracą w szpitalu? — próbował się jej przeciwstawić. — Pani przecież pracuje, tak?

— Wszystko już załatwione.

— W jaki sposób?

— Ja już dawno się zdecydowałam. Dwa razy byłam w tej sprawie u komendanta i w komisji wojskowej. Ja nie chcę tu zostać i nie mogę. Major nic panu nie mówi?

— Jaki major?

— Ten, u którego pan dzisiaj był. Zastępca komendanta. Hołoborodko przypomniał sobie teraz wąsatego majora i domyślił się, że starając się o przeniesienie na front, Anna chyba nie ukrywała przed nim prawdziwych powodów, które ją do tego skłoniły. To, że spośród tysięcy interesantek zastępca komendanta miasta ją właśnie zapamiętał, świadczyło o tym, że przyczyny były bardzo poważne.

— Pani mówi, że wszystko załatwione... To znaczy, że komendant szpitala zwalnia panią? Ale pani potrzebne jest przeniesienie, a nie zwolnienie z pracy.

— Tak... Proszę bardzo. — Anna Semeniwna podbiegła do okna i podała mu papier, który leżał na parapecie.

Było to zaświadczenie wydane lekarzowi A.S. Chochoł, stwierdzające, że zostaje ona odkomenderowana do armii czynnej. Podpisał je zastępca komendanta miasta, ten sam rudy major.

Hołoborodko rozumiał, że decyzja jej jest poważna i ostateczna, ale wiedział również i to, że mąż nie wzywał Anny Semeniwny i że prawdopodobnie nie ma nawet pojęcia o zamierzeniach swej żony, gdyż sam dopiero kilka dni temu przybył do ich dywizji i nie mógł nikogo wzywać. Biorąc pod uwagę, że ona dawno nie otrzymywała listów od męża, widocznie prosiła o przeniesienie na front w ogóle, a niekoniecznie do ich dywizji. Zresztą i w zaświadczeniu nie było i nie mogło być powiedziane, że skierowuje się ją właśnie do siedemdziesiątej ósmej. A więc mąż na nią nie czekał i Hołoborodko nie wiedział, jak ustosunkuje się do jej niespodziewanego przyjazdu.

Próbował się jej przeciwstawić.

— Nie wiem... Może w naszym batalionie sanitarnym nie ma już miejsca. Skąd pani wie, czy panią przyjmą?

— Ja jestem lekarzem, towarzyszu lejtenancie. A tam, gdzie tyle strzelają, lekarze zawsze są potrzebni. — Uśmiechnęła się i Hołoborodko zrozumiał, że jego argumenty są słabe i że ona doskonale zdaje sobie sprawę, o ile silniejsza i bardziej przekonująca jest jej odpowiedź.

Nagle poczuł, że niepotrzebnie wplątał się w jakąś niedorzeczną sprawę, że jej mąż może mieć do niego uzasadnione pretensje, lecz żadnych argumentów nie mógł już wymyślić.

— No cóż... Kiedy pani tak bardzo chce — zgodził się niechętnie. — To pani sprawa...

Anna Semeniwna od razu zupełnie się zmieniła. Podbiegła do maleńkiej białej szafki, w jakich w instytucjach medycznych przechowuje się słoiki oraz pudełka z lekarskami, i wyjęła stamtąd butelkę spirytusu. Potem wyszła i za chwilę wróciła, niosąc dwa talerzyki i kubek wody. Szybko krzątała się koło żelaznego stolika, rozcieńczyła spirytus, nakrajała suchej kiełbasy i chleba. Hołoborodko ze zdziwieniem obserwował jej zręczne, sprawne ruchy i widział, że teraz jest już całkiem spokojna i że po niedawnym roztargnieniu i chorobliwym podnieceniu nie zostało ani śladu. Krzątała się koło stołu i bez trosko coś szczebiotała; był to zupełnie inny człowiek — nie ten, którego widział za pierwszym razem.

Ciężar spadł mu z serca, przekonywał się powoli, że to nie jest po prostu niezrównowazona i nerwowa kobieta, która nie potrafiła, czy nie mogła uporać się z jakimiś swoimi przeżyciami i dlatego doprowadziła się do chorobliwej egzaltacji, utraciwszy zdolność panowania nad sobą i ukrywania swych uczuć, lecz że jest to człowiek, u którego pasja i spokój egzystują niemal obok siebie i ustępują sobie nawzajem tylko w momentach, kiedy dla jednego lub drugiego uczucia zjawi się więcej przyczyn.

25

Lubow Stepaniwna gwałtownie się przebudziła i nie wiadomo dlaczego ogarnął ją lęk. Serce biło, jakby przyśniło się jej coś strasznego. Przed oczyma wznosiła się kamienna ściana pokryta wodorostami i mchem. Rozejrzawszy się, Lubow Stepaniwna domyśliła się, że przebywa w ruinach jakiejś starej budowli — dachu nad nią nie było, w górze kłębiło się chłodne, jesienne niebo.

Przeraziłaby się chyba jeszcze bardziej, gdyby nie zobaczyła Kuźmy Iwanowicza i Myronenki. Siedzieli oni pod wilgotną, zburzoną ścianą i dosyć bez trosko rozmawiali.

— No jak tam? — uśmiechnął się do niej mąż.

— Gdzie my jesteśmy? — zapytała Lubow Stepaniwna. Sprawiała wrażenie bardzo zakłopotanej.

— U mnie w gościnie — uśmiechnął się również My-

ronenko. Tam — wskazał ręką na wyrwę, w której siania rzeka — stała kiedyś chata, w której się urodziłem. A my jesteśmy w parowym młynie Hnata Trochymenki, dawnego bogacza.

Ruiny rzeczywiście przypominały resztki przemysłowych pomieszczeń. To jest na pewno pierwsze piętro. Stropy wsparte na kamiennych podporach — dotychczas jeszcze sterczą w nich grube zardzewiałe śruby, pozostałości po jakichś maszynach.

— Usiądź lepiej obok nas i posłuchaj, co opowiada Karpo Sydorowicz — odezwał się Kuźma Iwanowicz.

Okazało się, że młyn ten stał kiedyś na skraju wsi zalanej wodami Dniepru w czasie budowy zapory. Mieli go podobno wysadzić, ale koryto, gdzie kursowały parostalki, było daleko i młyn nie przeszkadzał. Górną część rozebrano, a to, co zostało, zatopiła woda. Ruiny przetrwały pod wodą prawie dziesięć lat. Teraz, kiedy Niemcy porobili w zaporze wyrwy i spuścili przez nie część wody, ruiny te wyłoniły się znowu na Boży świat.

Karpo Sydorowicz urodził się w tej wsi. Tu spędził swą młodość i opuścił wieś dopiero wtedy, jak zaczęto przesiedlać ludzi do nowych budynków na Chortycę.

Lubow Stepaniwna, słuchając tej fantastycznej historii, przez cały czas myślała, że w tym cudownym zmartwychwstaniu dawno zatopionej wsi jest coś nienaturalnego, a zarazem symbolicznego. Czyż nie tak samo usiłowali teraz wrogowie wskrzesić dawno zmartwiałą przeszłość, aby cofnąć ludzi o dziesiątki, a może i setki lat wstecz?

W tych ruinach znalazło schronienie osiemnaścioro ludzi — przeważnie żony komunistów z dziećmi. Było wśród nich też sześciu mężczyzn. Wszystkim w różnym czasie groziło aresztowanie, czyli śmierć, i Myronenko kolejno wyprawiał ich tutaj, przekonany, że Niemcy nigdy nie zajrzą do tych ruin.

— Dlaczego pan tak myśli? — zapytała Lubow Stepaniwna.

— Bo pies nigdy nie wraca tam, gdzie napaskudził — odpowiedział Myronenko.

Widocznie nieprzypadkowo wybrał on to miejsce, aby uratować od zguby i siebie, i wszystkich tych ludzi.

Prawie do południa Karpo Sydorowicz opowiadał o sobie i o swoim życiu, wspominał dzień przeprowadzki

na Chortycę. Ludzie zebrali się na placu przed młynem, aby uroczyście, ze sztandarami i z pieśniami, wyruszyć na spotkanie nowego życia. Wszyscy ustawili się w paradnym szyku i ostatni raz obejrzawszy się na swoją rodzinną wioskę, która przeżyła swój wiek i musiała na zawsze zniknąć pod wodą, zaczęli piąć się pod górę, na wysoki brzeg Dniepru.

Karpo Sydorowicz zauważył nagle, że nie ma jego starego ojca. Znów się obejrzał i zobaczył go stojącego samotnie, właśnie tu obok młyna. Zawrócił, przybiegł do niego, ale staruszek nie chciał iść z ludźmi i nie zwracał uwagi na prośby syna.

— Tu umarł mój ojciec, dziad i pradziad. Tu i ja umrę!
— mówił.

Kiedy Karpo Sydorowicz zrozumiał, że staruszek się uparł i nie da się teraz przekonać, uśmiechnął się sam do siebie i poszedł precz. Wyszedł, nie oglądając się, aż na samą górę. Kiedy spojrzął z góry, zobaczył, że wygrał. Stary postać, podumał i ruszył za synem.

Przesiedzieli we trójkę niemal do wieczora, słuchając opowiadań Myronenki o dawnych czasach. W dzień nie było tutaj co robić, nawet chodzić nie pozwalano. Musieli zachowywać ostrożność, chociaż do nieprzyjacielskiego brzegu było daleko.

O zmroku podszedł do nich Jaroszenko.

— Czas się już zbierać — przypomniał Myronence.

— Dokąd? — zapytała Lubow Stepaniwna.

— Mam sprawę.... O świcie wrócę — wyjaśnił Karpo Sydorowicz.

Lubow Stepaniwna myślała, że popłynie on znów do Nowego Zaporozża, i chciała go poprosić, aby przekazał pozdrowienia Kławdii Charytoniwnie.

— Wstąpi pan do domu? — spytała.

— Czekam inna droga. Do domu nie mamy na razie możliwości powrotu.

I poszedł wraz z Jaroszenką gdzieś w dół.

26

Ołeh Iwanowicz obudził się o szóstej. Czuł się wypanny i wypoczęty. Nikt go nie obudził, morowe chłopaki!

Wysoko pod samym sufitem, który wznosił się półokrą-

gło jak sklepienie starożytnych podziemi, wisiała lampa, blado oświetlała ponure pomieszczenie, podobne do tajemniczego lochu, niewyraźnie zarysowując ludzkie twarze. Ciekawe, zastanawiał się Charkewicz, jak oni zawiesili ją na tej wysokości?

W blasku łagodnego migotliwego światła sztolnia wydawała się przytulniejsza. Jakby ktoś zawieszając lampę pod samym sufitem dbał o przytulność i urządzał się na długo, czy też miał zamiar na zawsze się tu osiedlić.

Otwór zasłonięto płachtą namiotową i z dworu Niemcy nie mogli zobaczyć światła. Kłody poustawiano pod ścianami jak łóżka w koszarach; postawić tylko jeszcze nocne szafki w głowach — i żegnaj wojno!

Kowalczyk i Amiradze wiązali drabinki sznurowe. Obok nich leżał już cały stos — wszystkie starannie poukładane, aby się nie poplątały i aby wygodnie było je nieść na sobie.

— Źle wiążesz, ciamajdo — rozległ się wysoki głos Muchiddinowa. — Poprzeczki umacniaj marynarskim węzłem. Inaczej się zerwą.

— Popatrz, popatrz, damski krawiec, a i na tym się zna! — odpowiedział po cichu Amiradze.

Ktoś zaśmiał się z cicha.

— A to on krawiec?

— Jaki tam krawiec — zamruczał znów Amiradze. — Zmajstrował aż trzy córki. I tylko o nich mówi. Cygan-kow go tak przezwał.

— A ty nie powtarzałybyś głupstw — obruszył się Muchiddinow. Był prawie dwa razy starszy od Amiradzego i razem z nim służył w pułkowym zwiadzie. — Człowieka obudzisz! Nie widzisz, że śpi? — wskazał ręką na Charke-wicza.

Wszyscy umilkli. Ołeh Iwanowicz leżał z zamkniętymi oczyma. Muchiddinow pokazywał Amiradzemu, jak wiąże się marynarski węzeł. Gdzie on się tego nauczył, w Uzbekistanie? Morza przecież w pobliżu nie ma, a on sam też nie bardzo wygląda na marynarza — mały, ruchliwy, z rzadkimi wąsami, zwisającymi smutnie jak u zdjętego z krzyża Zbawiciela.

— A na czym będziecie to zawieszać? — zapytał ktoś, mając na myśli te właśnie sznurowe drabinki. — Znajdzie się tam jakie licho do przywiązania?

— Przywiążemy — uspokoił go Kowalczuk. — A jak nie będzie do czego, to poślینimy i przylepimy.

— A wy, jak myślicie, towarzyszu lejtenancie? — zwrócił się pierwszy głos do Rudia. — Jest się tam o co zaczepić?

— Pójdiesz, to sam zobaczysz — odburknął Rud'. W pustej sztolni odbijało się i powtarzało jego mamrotanie i dlatego Charkewicz zrozumiał je, chociaż Rud' stał odwrócony do niego plecami. — Może zachowały się tam jakieś resztki kratownic, nie wiem. Na wszelki wypadek zostawiajcie dłuższe końce.

Oczywiście Rud' znał zaporę nie gorzej od Charkewicza. Ze dwa lata też kiedyś po niej położył. Praca była dość nudna — doglądać tego, co i bez żadnego doglądania mogło przetrwać tysiąc lat. Budowali, dzięki Bogu, tak, że nie rozsypie się łatwo i wszystkich przetrzyma.

Charkewicz wstał i nie zauważony przez nikogo stanął za Rudiem i zajrzał mu przez ramię.

— Wyspał się pan? — zapytał Kowalczuk.

— A wy? — rzucił Charkewicz zamiast odpowiedzi.

— Cóż my! My damy sobie radę — odpowiedział Amira-dze.

— Petrenko, podaj obiad! — rozkazał Rud', nie spojrzawszy nawet na Charkewicza. — Podgrzej, jak wystygł.

— Tak jest! — Dryblasowaty, rudy kucharz zakrzętnął się koło swojego kotła.

— Nie trzeba podgrzewać — odezwał się Charkewicz. Podeszedł do kłody, na której spał, wziął płaszcz i zarzucił na ramiona.

Petrenko podał mu menażkę. Kasza była zupełnie zimna, ale Charkewicz jadł z apetytem. Co prawda kasza ugotowana z koncentratu, sypka i okraszona słoniną jeszcze w fabryce, zalatywała trochę łojem i stęchlizną, a może papierem z opakowania lub jeszcze czymś innym. Wszyscy milczeli. Przy nim czuli się jakoś dziwnie skrępowani, jak przy jakimś wyższym dowódcy, w obecności którego nie wypada rozmawiać. Wynikało to być może z tego, że nie nosił on żadnych odznak — kto wie, czy to tylko przydzielony do współpracy cywil czy też generał pułkownik.

Charkewicz nie dojadł kaszy do końca i oddał kucharzowi menażkę.

— Na nas już czas — zwrócił się do Kowalczuka i Ami-

radzego. — Szósta godzina, na dworze chyba już całkiem ciemno.

Kowalczuk wstał.

— Zabieramy ze sobą wszystkie? — wskazał na stos drabinek.

— Po co wszystkie? Żeby choć na jednym filarze udało się zaczepić — odpowiedział Amiradze.

— To co, weźmiemy po jednej?

— Wystarczy po jednej — mruknął cicho Charkewicz.

— A jak wam szczęście dopisze? To trzeba będzie wracać po resztę! — zawołał Rud', patrząc na Charkewicza. — Idziesz na dzień, bierz produktów na tydzień.

Co to — ironia? Czyż on nie wie, że muszą wdrapywać się na gołą dwudziestometrową ścianę? Ech, towarzyszu Rud', jak my tu będziemy razem pracować!

— Wystarczy po jednej — ponuro odpowiedział Charkewicz. — Chodźcie, wyłazimy.

Postawił nogę na najniższym haku, potem podciągnął się na rękach i pierwszy polazł na górę.

— Przykręćcie lampę! — krzyknął przez ramię, wisząc już na ścianie.

— Petrenko, stawaj! — zakomenderował Rud'.

Aha, to oni tak zawiesili ją u sufitu! Petrenko staje na ramiona Kowalczukowi, Amiradze drapie się jeszcze wyżej i staje na ramiona Petrence... Popis cyrkowy!

Światło prawie całkiem przygasło. Charkewicz jest już na górze: Odchyła płachtę namiotową i odsłania otwór. Za nim wspinają się Amiradze i Kowalczuk. Ciekawe, jak oni wykręcą knot bez Kowalczuka i Amiradzego. Prawdopodobnie będą siedzieć po ciemku, dopóki jego chłopcy nie wrócą. A może i u Rudia znajdują się spryciarze?

Na dworze było zupełnie ciemno. Jesienna noc sypała drobniutką krupą, lada dzień może spaść śnieg. Niedobrze: na białym tle wszystko będzie z Chortycy widać. Ale z Panem Bogiem się nie dogadasz — on najlepiej wie, kiedy sypnąć śniegiem. Trzeba będzie działać jeszcze ostrożniej, i kwita.

Pierwszy filar wznosił się tuż nad głową. Wystarczy wdrapać się po spadzistym stoku przelewu, a ściana wyrośnie przed tobą jak niedostępna góra. Charkewicz czołgał się pierwszy. Wiedział, że tutaj nie ma jeszcze stromizny i można nawet stanąć na nogi, ale mimo wszystko

bezpieczniej się czołgać: noga się obsunie i polecisz w przepaść.

Chłopcy czołgali się za nim, słyszał ich sapanie. Nagle zapłonął reflektor, promień myszkował gdzieś w dole zapory. Wszyscy trzej zamarli i przylgnęli do zimnego betonu. Na Chortycy huknęło, pocisk uderzył po lewej stronie i rozerwał się.

To chyba nie do nich. Chociaż reflektor oświetlał zaporę, z Chortycy nie można ich było zauważyć. Mimo to trzeba będzie poleżeć, dopóki Niemcom nie zbrzydnie świecenie — nie ma rady.

Reflektor zgasł tak samo niespodziewanie, jak się zapalił. Lepiej poczekać, może się znów obudzi? Po zniknięciu martwego światła reflektora ciemność wydawała się jeszcze czarniejsza. Poleżeli ze dwie minuty i Charkewicz poczołgał się dalej. Kowalczuk i Amiradze ruszyli za nim — słyszał znów oddech Kowalczuka blisko, prawie nad samym uchem.

Nareszcie stok się skończył, zaczęła się równa płaszczyna. Oczy powoli przywykły do mroku, dostrzegali już szarą ścianę filaru, a nawet spokojną toń wody górnej. Jaki tam niski poziom w porównaniu z tym, co było przed wojną! Czy nie tak właśnie wyglądał Dniepr w dawnych czasach — kiedy jeszcze nie było zapory i rzeka płynęła spokojnie między dwoma granitowymi skałami, które wznosiły się koło starożytnego Kiczkasu?

Charkewicz pogładził ręką chłodną, betonową ścianę filaru, tak jakby pogłaskał starego przyjaciela. Chłopcy również obmacywali jego powierzchnię, ale jakoś rzeczowo, inaczej niż on. Widocznie zapora nie wywoływała w nich takich uczuć, jakie zbudziły się w duszy Charkewicza, oni po prostu badali kolejną przeszkodę, zanim zaczną ją pokonywać. Z zaporą nie wiązało ich nic szczególnego, ani dwa lata pracy, ani rodzina na tamtym brzegu... Dobrze, kiedy cię nic podobnego nie wiąże — przynajmniej wiesz jedno: rób, co do ciebie należy. Na wojnie fińskiej wszystko wydawało mu się dużo prostsze — wspomnienia wprawdzie i tam niepokoiły, ale nie tak... nie tak...

— Co to, lina? — spytał Amiradze.

Rzeczywiście ze szczytu filara zwisała stalowa lina.

Dziwne, Charkewicz nie pamięta, żeby tu była jakaś lina.

— Diabli ją wiedzą — odpowiada sam sobie.

— Może to Niemiec nam spuścił, abym ja wylazł po niej na górę? — próbuje żartować Kowalczuk.

— A sam siedzi na górze i czeka na ciebie — odpowiada tym samym tonem Amiradze, ale w głosie jego dźwięczy niepokój.

— Ano, puśćcie! — Charkewicz obmacuje stalową linę jak ślepiec i bada skręconą powierzchnię. Skąd się tu wzięła?

— Mogę spróbować — proponuje Kowalczuk.

— Lepiej ja, ja jestem lżejszy — powstrzymuje go Amiradze.

— Ona i cięższego utrzyma.

— A czy ja o tym mówię? Mnie łatwiej się wspinać.

— Łatwiej, dlaczego? — Kowalczuk czuje się dotknięty, w głosie jego brzmi rozdrażnienie i złość.

— Amiradze, włącz! — rozkazuje Charkewicz. — Próbuje.

Kowalczuk nie upiera się więcej. Chwyta swoimi dużymi, mocnymi dłońmi za koniec liny, napręża ją, usiłuje odciągnąć od ściany. Amiradze oplata linę nogami i zawisa na rękach, potem odpycha się nogami i jest już nad głową Charkewicza. Jeszcze jeden konwulsyjny ruch, jeszcze...

Amiradze jest już dosyć wysoko, udało im się z tą liną. A na górze oczywiście nikogo nie ma, nikt na nich nie czeka. Niemcy nie głupi siedzieć tam na wydmuchu i czekać, aż znajdzie się taka mała jak Amiradze, która polezie po linie.

Po tym, jak Amiradze porusza się, jak gwałtownie podrzuca w górę swoje szczupłe, żylaste ciało, widać, że jest zdenerwowany, może on naprawdę podejrzewa, że na górze oczekuje go ktoś z automatem w rękach?

Nagle wykrzykuje coś głośno i zawisa na jednej ręce — druga bezwładnie opada.

— Co ci jest? — woła z dołu przerażony Kowalczuk. — Trzymaj się! — krzyczy, chociaż wie, że Amiradze go nie słyszy.

Charkewicz gwałtownie odwraca głowę po tym okrzyku, zamierzając przypomnieć Kowalczukowi, że nieprzyjaciel blisko i nie można tak hałasować. Ale uwaga ta oczywiście

nie ma żadnego sensu. Do Chortycy jest ponad kilometr, a woda tak huczy i szumi, że z góry nie słycać nawet głosu Amiradzego. Charkewicz na chwilę zostawia linę w rękach Kowalczuka, a sam odchodzi dalej od ściany i staje tak, aby lepiej widzieć. Sylwetka Amiradzego odbija się teraz wyraźnie na tle białego jak wata obłoku. Wisi on nieruchomo, oplótszy linę rękami i nogami, i zdaje się spoglądać w dół.

Ołeh Iwanowicz zaczyna gestykulować, usiłując odpowiedzieć mu na migi, aby się nie śpieszył, trzeba, mówi, lepiej trzymać się rękami, a nie miotać się i pchać na oślep. Amiradze nie rozumie jednak tych gestów, a być może nie widzi nawet dobrze Charkewicza, gdyż w dole jest ciemno, a on wisi zwrócony twarzą do ściany. Wyrzuca w górę rękę, chwyta się trochę wyżej za linę i próbuje się podciągnąć, lecz palce obsuwają się po stalowych skrętach, które stały się raptem śliskie i lepkie, jakby je ktoś naumyślnie posmarował.

Charkewicz podbiega do Kowalczuka.

— Odciągnij dalej linę! — Chce on zwiększyć odległość między liną a ścianą, aby Amiradze mógł się oprzeć nogami o ścianę.

Obaj zawisają na linie i naprężają ją jak strunę. I rzeczywiście Amiradze domyśla się, o co Charkewiczowi chodzi, próbuje przebierać nogami po ścianie odpychając się rękami od liny. Ale ręce zdążyły się już umazać i nie może się na nich utrzymać. Jeszcze moment i obsuwa się w dół jak cyrkowy akrobata po sznurze. U samego podnóża filara udaje mu się znowu uchwycić za linę i zatrzymać się.

Amiradze spuszcza się powoli na stok. Jest przerażony i wyczerpany, ledwie stoi na nogach.

— Jakimś paskudztwem wymazane — usprawiedliwia się.

— Co to za licho? Pokaż ręce — zwraca się do niego Charkewicz.

Amiradze ciężko oddycha. Dłoń ęła we krwi. Krew sączy się przez tłustą warstwę jakiejś śmierdzącej mazi. Charkewicz węża: towot.

— Widzicie, czym oni nas biją, sukinsyny, towotem! — Nie wiadomo, czy Kowalczuk ironizuje, czy naprawdę

jest przekonany, że Niemcy domyślili się i naumyślnie wymazali linę.

— Weź czapkę od Amiradzego i spróbuj jeszcze raz — rozkazuje Charkewicz Kowalczukowi. — Doleziesz do towotu, wycieraj linę czapką i włącz dalej.

— On też ma czapkę, niech swoją wyciera — odcina się niezadowolony Amiradze.

— Z gołą głową na górze przeziębisz się — rzuca ostro Charkewicz. Najchętniej zdjąłby swoją, ale jakoś śmieźnie posługiwać się na wojnie sukiennym kaszkietem.

Kowalczuk rzuca płaszcz i zdejmuje Amiradzemu czapkę z głowy. Amiradze jeszcze niezupełnie przyszedł do siebie, dyszy, jakby pokonał daleki dystans w maratońskim biegu.

— Tylko linę naciągajcie mocniej — mówi Kowalczuk. — No jak tam, Sandro, odsapnąłeś?

Amiradze milcząc wstaje, odchodzi od ściany, pod którą odpoczywał, i bierze się za linę. Biedaczysko taki jest zmęczony, że i pożytku z niego niewiele. Obaj z Charkewiczem wieszają się na stalowej strunie i z całej siły odciągają ją dalej. Kowalczuk wchodzi jak mucha — nogami opiera się o ścianę. Ale im wyżej, tym, jak widać, trudniej, gdyż przestrzeń między liną i ścianą coraz bardziej się zmniejsza i korpulentnemu Kowalczukowi ciasno. Musi przejść na sposób Amiradzego — opleść linę nogami jak akrobata cyrkowy.

Nareszcie Kowalczuk zatrzymuje się — trzeba wycierać towot. Odsapnął, wyciera linę i próbuje drapać się dalej.

Amiradze z lękiem obserwuje Kowalczuka.

— Poproszę w magazynie o nową czapkę dla ciebie, nie martw się — pociesza go Charkewicz.

— Kicham na czapkę. Na tamtym brzegu ściągnę z Niemca.

Naraz lina zadrżała. Obaj zadzierają wysoko głowy i z całej siły trzymają. Kowalczuk powoli zsuwa się na dół. Ręce mocne, a jednak i on nie dał rady. W końcu Kowalczuk się zatrzymuje i zamiera, uczepiwszy się znowu za suche.

Charkewicz puszcza linę, odchodzi od ściany i spogląda w górę.

— Co tam? — woła, i dla pewności podkreśla swoje pytanie gestem.

Kowalczyk wymachuje lewą ręką, jakby chciał powiedzieć — ślisko, odpocznę i zacznę od nowa.

— Złaż! — stanowczo podaje komendę Charkewicz.

Kowalczyk, jak widać, zrozumiał, ale się waha.

— Złaż, nic z tego nie wyjdzie!

— Jak to nie wyjdzie? — pyta Amiradze, i Charkewicz czuje się jakoś nieswojo.

Toś ty taki: sam o mało nie spadł, a jeszcze zgrywa bohatera!

— Trzeba pomyśleć i znaleźć jakiś chytry sposób na towot — mówi Charkewicz, jakby usprawiedliwiając się przed Amiradzem, i znów macha ręką na Kowalczyka: — Złaż!

Kowalczyk podporządkowuje się rozkazowi i powoli opuszcza się na stok.

— Tylko czapkę zapaskudził — mamrocze Amiradze. — Cała w mazi. — Amiradze zamachnął się, aby cisnąć ją w dół.

Kowalczyk chwyta go za rękę.

— Dureń! W benzynie wypłuczesz i jakby krowa językiem zlizwała!

Siadają we trzech pod ścianą, aby odpocząć.— W benzynie — zastanawia się Charkewicz. — Benzyna! Linę też można przecierać szmatą umoczoną w benzynie. Podciągnąć się, wytrzeć wymazane miejsce, i towotu jakby nie było. Potem wdrapać się wyżej i znów wycierać...

Na Chortycy zapala się reflektor, teraz już promień sięga prawie aż do nich. Wszyscy trzej przyciskają się do ściany i — ani pary z ust: jakby światło reflektora miało nie tylko oczy, ale i uszy i mogło ich usłyszeć. Reflektor przebiega filary jak klawisze ogromnego fortepianu. Charkewiczowi wydaje się nawet, że słyszy monotonną gamę, którą promień wydobywa z betonowych filarów. Kiedy dostał się do fińskiej niewoli i przydzielono go farmerowi do pracy, dziewczynka, córka farmera, przez cały dzień grała gamy na pianinie, a on z przyjemnością słuchał tej nieskomplikowanej muzyki. Dziwne, że niektórzy nie lubią, jak dzieci grają gamy — jemu się to podobało, może dlatego, że przypominało mu Szóste Osiedle i dom Kławdii Charytoniwny, gdzie mieszkali razem z Ksenią. Za ścianą ich pokoju córeczka sąsiadów też uczyła się grać na fortepianie. W domu draż-

niło go to monotonne wystukiwanie nut jednym palcem, a w Finlandii nie...

Reflektor obmacywał już środek zapory, zbliżając się do strun basowych, do klawiszów, na których gra się lewą ręką. I rzeczywiście — beknęło coś basem, a potem jeszcze raz i jeszcze raz. To Niemcy znów na oślep uderzyli z armaty. Wydawało się, że boją się zasnąć i dodają sobie ducha. Beknęło trzy razy i trzy razy rozprysły się olbrzymie orzechy. Potem reflektor zgasł i basowy ton nagle się urwał. Coś posypało się w dół, jakby z wysokiej góry toczyła się lawina drobnych kamieni.

— Będziemy wracać! — Charkewicz wstał.

— To znaczy z niczym? — w głosie Kowalczuka zabrzmiało rozczarowanie i wstyd.

— Z niczym i bez czapki — zgryźliwie wycedził przez zęby Amiradze.

— Sam ci ją wypiorę w benzynie, dziwaku!

Charkewicz czołgał się w dół po spadzistym stoku. Benzyna! Na świetny pomysł wpadł ten Kowalczuk. Benzyna. I jak najwięcej gałganów, aby często je zmieniać. Wtedy wytrze się do sucha na pewno.

Posuwali się w dół powoli, jak konie po schodach. Okazuje się, że pod górę łatwiej niż w dół.

— Jak tam twoje ręce, Amiradze?

— Do wesela się zagoją! — zażartował Kowalczuk i od razu zrozumiał, że to żart nie na miejscu. — Krwawią jeszcze? — zapytał ze współczuciem.

— Nie gadaj tyle, nie gadaj! — odburknął Amiradze.

Dalej było już łatwiej. Szczołgali się z pochyłego stoku i idąc ostrożnie po betonowym gzymsie, dotarli aż do otworu prowadzącego do ich schroniska. Tam jeszcze nikt nie spał.

— A co, nie mówiłem, że drabinek nie starczy! — ironicznie zawołał Rud', widząc, że sznury, które zabrali ze sobą, Amiradze przydzwigał z powrotem. — No i trzeba się było wracać po nowe!

Żaden z nich nie odpowiedział. Wszyscy trzej byli zgnębieni i ponurzy.

Charkewicz milcząc skierował się do telefonu.

— Połącz mnie z zastępcą dowódcy dywizji — powiedział cicho do telefonisty, który szybko zakreślił korbką induktora, wywołując sztab.

Telefon Charkewicza ze sztolni, a przede wszystkim jego głuchy, beznadziejny głos zmartwił Sztukarenkę, postanowił więc zaraz pojechać na zaporę i porozmawiać z nim. Można by wezwać Charkewicza do siebie, ale chciało się samemu побыć na miejscu. Poza tym przyszło mu coś jeszcze na myśl, dlatego też zdecydował się nie odkładać wyjazdu.

Sztukarenko posłał kierowcę, aby obudził Chochoła i przekazał mu rozkaz, że natychmiast ma się stawić u niego. Za dziesięć minut zjawił się Ołeksandr Mykytowicz i można było wyruszać.

Po pierwszym niepowodzeniu grupy Charkewicza Sztukarenko doszedł do wniosku, że nurkowie, których zamierzano później spuścić do dolnej sztolni, powinni zacząć natychmiast działać, równocześnie z grupą Charkewicza. Czas mijał, wyłącznik był w ręku wrogów, i kiedy zdecydują się zrobić z niego użytek, trudno zgadnąć. Trzeba się śpieszyć i wykorzystać wszystkie możliwe drogi, aby wygrać na czasie.

Niebo siąpiło mżawką zmieszaną pół na pół z topniejącym śniegiem. Ząbkowane opony roztrzęsionego gazika wyrwały spod siebie wilgotne grudy podmarzniętej ziemi, odrzucały je daleko do tyłu na mokrą drogę, jakby usiłując odgrodzić się od mroku sunącego tuż za samochodem. Daleko przed nimi, nad górną wodą Dniepru, z rzadka rozbłyskiwały niemieckie rakiety i noc na moment napełniała się tajemniczą, zielonkawą poświatą. Kiedy rakietka spadała do wody i gasła, dokoła robiło się jeszcze ciemniej i trzeba było jechać przez ścianę czarnej jak smoła nocy zupełnie na oślep, jak przez warstwę chłodnej morskiej wody.

Sztukarenko siedział obok kierowcy, Chochoł — z tyłu. Milczeli obaj, nie wiedząc o tym, że właśnie w tym czasie myśli ich przykute są do tego samego miasta na wschodzie, do którego poleciał lejtenant Hołoborodko. Łączyła ich teraz jakaś tajemnicza zależność od niego, gdyż Hołoborodko wiedział już to, czego oni jeszcze nie wiedzieli i co w tej chwili obu ich niepokoiło. Rano lejtenant na pewno wyruszy w powrotną drogę i nie wiadomo, co przyniesie każdemu z nich.

Nareszcie samochód wyskoczył z morguńskiej drogi na brukowaną szosę wiodącą do Nowego Zaporozża. Gazik podskakiwał wesoło, jakby chciał się otrząsnąć z oblepiającego go błota.

Sztukarenko nie dziwił się temu, że sam milczy. Kiedy człowiek pograży się w myślach, nie ma ochoty na rozmowę. Ale Chochoł, jak zdążył już przedtem zauważyć, był człowiekiem wygadany, a nawet wesołym. Może krępuje się odezwać pierwszy? A może niepokoi się przed rozpoczęciem niebezpiecznej podwodnej wędrówki na nieprzyjacielski brzeg?

— Zapalimy? — Sztukarenko wyciągnął w jego stronę pudełko kazbeków.

— Dziękuję. — Chochoł wziął papierosa.

— Podobno nurkowie na ogół nie palą?

— Na ogół nie.

— A w poszczególnych wypadkach?

— Ja mam mocne płuca, wytrzymają. — Chochoł unikał bezpośredniej odpowiedzi.

— Ciekawa praca, chociaż...

— Chociaż co?

— Dla stworzeń bez skrzeli, mimo wszystko, niezwykła.

— Praca bezpieczniejsza od innych, szczególnie na wojnie. Zanurzysz się w głębinach, i szukaj wiatru w polu.

Sztukarenko nie wiedział, co Chochoł miał na myśli: zanurzysz się — i jesteś bezpieczny, czy zanurzysz się — i nie wypłyniesz? Nie chciało mu się jednak dociekać tego, tym bardziej że gazik terkotał i podskakiwał i przeszkadzał rozmawiać.

Na wschodzie błysnęło i zadudniło, i natychmiast dał się słyszeć niski świst, potem jęk przetoczył się z łoskotem między dnierzańskimi skałami jak wiosenny grzmot. Pocisk wybuchnął niedaleko, na pustkowiu, obok narożnego budynku, oświetlając na moment martwą okolicę. Huknęło jeszcze trzy razy i odgłosy powtarzały się w tej samej kolejności, tylko znacznie głośniej i groźniej.

— Trzeba będzie zostawić nasz kabriolet i włączyć własne biegi — zawołał Chochoł, usiłując przekrzyczeć gwałtowny zgiełk.

— Trzeba będzie — zgodził się Sztukarenko i wyskoczył na szosę. — Zaczekaj, Krywenko, pod tą ścianą — zwrócił się do kierowcy, który siedział za kierownicą

blady jak płótno. Krywenko znał to swoje, niedorzeczne na wojnie, słabe miejsce i później sam z siebie żartował, ale pod ostrzałem bladł, bał się — i nie mógł nic na to poradzić.

Przy słuzie czekał na nich lejtenant Rud', aby, tak jak umówili się przez telefon, przeprowadzić ich do sztolni. Rud' przez cały czas był jakiś nieswój, myślał, że Sztukarenko przyjedzie sam i że można z nim będzie porozmawiać o sprawie, która go tak dręczyła. Chochoł przeszkadzał, musiał więc odłożyć swój zamiar na później. Niepokoiło go to i drażniło, dlatego też denerwował się i milczał ponuro.

Zza Dniepru prawie nie strzelano. Czasem tylko gwizdnęła ślepa seria jakiegoś sennego karabinu maszynowego z prawego brzegu. Sztukarenko i Chochoł pochylali się wtedy do ziemi, zdając sobie sprawę, że ślepa kula też gdzieś trafia i jak każde ślepe zło jest niebezpieczna właśnie przez swoją ślepotę. Rud' nie zważał na strzelaninę, ale już za pierwszym razem Sztukarenko surowo go upomniał:

— Ej ty... nie ucz mnie odwagi!

Potem i Rud' też musiał padać, ale robił to niechętnie, jak z musu.

W sztolni było zupełnie cicho. Nawet szum wody, która leniwie przelewała się przez poszczerbioną koronę zapory, nie dochodził tutaj. Pluskały tylko strumyczki wydostające się z rury, pomimo szczelnego czopa, ale i one cicho ściekały po ścianie.

Żołnierze spali, gdzie któremu wygodniej — jedni na belkach, inni wprost na posadzce. Lampa rzucała na nich przyćmiony blask i zdawało się, że to księżyc oświetla kamienną pieczarę, na której dnie leżą polegli wojownicy na świeżym pobojowisku. Tylko Charkewicz siedział w kątku. Nie podniósł się, kiedy do sztolni wszedł Sztukarenko, a za nim Chochoł z lejtenantem Rudiem.

Sztukarenko przystanął na środku niemal pod samą lampą, obrzucił pomieszczenie uważnym spojrzeniem i podszedł do Charkewicza.

— No jak tam?

Dopiero teraz Charkewicz wstał.

— Niedobrze.

Sztukarenko położył mu rękę na ramieniu, zmuszając go, aby usiadł, i sam przysiadł obok na belce.

— Beznadziejnie?

— Nie wiem. Ale że niedobrze, to pewne.

— Co będziemy robić?

— Trzeba jeszcze raz spróbować.

— Próbować można, jak jest czas.

— Wiem o tym.

— Wobec tego co robić?

Charkewicz przedstawił mu swój projekt z benzyną.

— A co będzie, jak dalej nie pozawieszano lin?

— To właśnie mnie niepokoi... Ale żeby zobaczyć, jak jest dalej, trzeba przede wszystkim pokonać pierwszy filar.

— Logiczne.

Sztukarenko zgadzał się z tym, ale logika mu nie wystarczała. Dalej oczywiście będą nowe przeszkody, i jeżeli na każdy z trzydziestu filarów straci się całą noc...

— Porozmawiajmy szczerze, towarzyszu Charkewicz — zaczął Sztukarenko. — Wierzy pan w to, że przejdziecie na prawy brzeg?

— Powinienem wierzyć.

— Wiara to nie powinność... To poryw serca.

— Nie mogę się okłamywać.

— To jest odpowiedź?

— A mimo wszystko trzeba tam przejść! — Charkewicz powiedział to niemal szeptem, ale w słowach jego wyczuwało się jakąś niezwykłą siłę — milczący krzyk.

Sztukarenko spojrział na niego i nawet się zdziwił. Nie spodziewał się takiej bolesnej pasji i tak serdecznego wybuchu uczuć po tym małomównym człowieku.

— Widzisz, przyjacielu — odezwał się Sztukarenko po chwili milczenia. Położył swoją kościstą rękę na kolanie Charkewicza, jakby chciał mu okazać swoje współczucie w sprawie, o której nie wiedział i której się nawet nie mógł domyślać. — Jeżeli nie ma pewności... kiedy wiadomo tylko, że trzeba... lepiej zameldować mi o tym, że sprawa niepewna.

— I co wtedy? — Charkewicz obrzucił go szybkim spojrzeniem.

— Dowództwo zadecyduje. Wojna jest wojną. Może znajdzie się jakieś rozwiązanie taktyczne, które zapobie-

gnie katastrofie na zaporze. Bo zmarnujemy czas, a potem i tak trzeba będzie...

Charkewicz go rozumiał. Czas upłył na bezowocnych próbach potajemnego sforsowania nieosiągalnej przeszkody, a potem i tak trzeba będzie rzucić do akcji pułki piechoty. A zaporę wysadzą i krew poleje się na darmo.

Spojrzał na Sztukarenkę tak, jakby dopiero teraz w pełni zdał sobie sprawę, jaka odpowiedzialność na nim ciąży. I rzeczywiście, dopiero w tej chwili jego chłodne rozważania nabrały jakiegoś głębszego, określonego sensu i przeraziły go nawet swymi rozmiarami i tragiczną treścią. Nie myślał teraz ani o Kseni, ani o tym wszystkim, co się z nią wiąże, ani nawet o tym, że jak będzie szedł do niej przez zaporę, to może w ogóle nie dojdzie żywy. Zapulsowało coś w skroni, z taką siłą załomotało w sercu, aż Charkewicz zląkł się, że Sztukarenko zaraz usłyszy ten stuk.

— Nie. Nie! — zawołał; głos jego zabrzmiał nienaturalnie, ale spokojnie. — Minęła dopiero pierwsza noc. I to jeszcze nie cała.

Szkoda i pierwszej, jeśli zmarnowana, chciał powiedzieć Sztukarenko, ale się powstrzymał. Wiedział, że ta pierwsza noc drogo Charkewicza kosztowała, i rozumiał, że taka uwaga sprawi mu przykrość.

Zdjął rękę z jego kolana i szybko podniósł się z belki. Przeszedł na drugi koniec betonowej kazamaty, gdzie stali Chochoł i Rud'. Chochoł wypytywał się o coś, ale Rud' był roztargniony i odpowiadał półsłówkami — interesowała go bardziej tocząca się pod przeciwległą ścianą rozmowa Sztukarenki z Charkewiczem, lecz nie odważył się podejść, aby wziąć w niej udział.

— Wezwaliście swoich orłów, towarzyszu lejtenancie? — zwrócił się Sztukarenko do Chochoła.

— Wezwałem. Zaraz tu będą.

Sztukarenko natychmiast się odwrócił i splatając mocno palce obu rąk za plecami, skierował się znów do Charkewicza.

— Chciałem pana o coś zapytać... Przepraszam, że tak obuchem w łeb. Nie ma pan żalu do radzieckiej władzy?

Charkewicz spojrzał mu w oczy i odpowiedział krótko i twardo, jakby dawno czekał na to pytanie:

— Nie.

Gdyby Charkewicz zdziwił się lub oburzył, że śmie go ktoś o coś takiego pytać, Sztukarenko prawdopodobnie usprawiedliwiłby się i wytłumaczył, że miał co innego na myśli. Ale Charkewicz odpowiedział krótko i prosto, tak jak krótkie i proste było pytanie, dlatego też Sztukarenko wnikliwie i poważnie spojrział na niego i rzekł:

— Ja panu wierzę. — I już zupełnie rzeczowo, niemal bez żadnego przejścia, ciągnął dalej: — Trzeba wykorzystać czas do świtu. Zejdźcie z nurkami do dolnej sztolni, niech spróbują się tam popluskać. W dzień odpoczywajcie, a jak się ściemni, znowu na górę.

— Dobrze — odpowiedział Charkewicz. Chciał powiedzieć „dziękuję”, ale się powstrzymał. Lecz serce jego przepełnione było wdzięcznością, jak gdyby Sztukarenko oddał mu wielką przysługę lub osobiście poniósł jakąś ofiarę, chociaż w rzeczywistości nie zrobił on ani jednego, ani drugiego i postąpił tylko tak, jak nakazywało mu sumienie i jego znajomość ludzi.

28

Pierwszego grudnia 1939 roku, na trzy dni przedtem, zanim Ołeh Charkewicz dostał wezwanie do komisji wojskowej, wypadał dzień urodzin Kseni — kończyła dwadzieścia pięć lat.

Ludzie w tym wieku czterdziestolatków uważają za beznadziejnych starców, a tych, którym minęła pięćdziesiątka, niemal za fragment osiwiąlej przeszłości. Ksenia nie podzielała podobnych przekonań, ale i jej wydawało się, że przekroczyła ważny rubikon, i na pytanie, ile to jej stuknęło, zabawnie wzdychała i oznajmiała z udanym żalem: ówieré wieku!

Tego dnia Ołeh nie powinszował Kseni — po prostu zapomniał. W innych okolicznościach prawdopodobnie obraziłaby się trochę na niego, ale teraz miała poważniejsze zmartwienia. W ostatnim czasie zaczęła zauważać nieprzyjemne zmiany zarówno w samopoczuciu Ołeha, jak też w jego stosunku do niej. Z goryczą i bólem stwierdzała, że na szczęśliwą miłość Ołeha padł chłodny cień.

Z początku próbowała odpędzić od siebie niepokój. Przekonywała siebie, że jej się tylko tak zdaje. Ale Ołeh

coraz bardziej zamykał się w sobie, jakby dręczyła go jakaś zgryzota. Był wciąż ponury i milczący. Kiedy zostawali we dwoje, Ksenia czuła, że między nią i Ołehem wyrasta niewidzialna ściana obcości...

Nie przyszło jej na myśl, aby szukać w sobie przyczyny. Dziwiło ją tylko jedno: czy nie przyniosłoby mu to ulgi, gdyby otworzył serce przed bliskim człowiekiem? Czyżby to, co dręczy Ołeha, dotyczyło tylko osobiście jego? Ale co może go dręczyć, z czym musi się ukrywać? Nieprzyjemności z wierszem dawno minęły, można już było o nich zapomnieć... On sam zresztą przez cały rok ani razu o tym nie wspomniał — ani w domu, ani na urlopie, kiedy zeszłego lata wyjechali oboje do Gurzufu... Cóż więc się stało, dlaczego tak się zmienił?

W tych dniach w gazetach pisano o wojnie fińskiej. Toczyła się ona daleko, na północy, i słabe jej echa tutaj prawie nie docierały. Gazety dyszały pewnością, a to, że taka mała Finlandia odważyła się zaatakować potężny Związek Radziecki, wywoływało raczej zdziwienie niż obawę. Wszyscy byli przekonani, że zwycięstwa można oczekiwać z dnia na dzień i nie ma się czym specjalnie niepokoić.

Ale bez względu na to, jaka jest wojna i jak daleko słyhać jej grzmoty, wszystko, co ona ze sobą niesie, dotyczy każdego obywatela. Mimo woli człowiek zaczyna określać swe miejsce w tej walce, nawet jeśli ma pewność, że osobiście nie będzie zmuszony wojować, bo sumienie obywatela wyprzedza rozumienie przez niego wydarzeń i nie daje spokoju, wymaga decyzji.

Charkewicz wierzył gazetom i nie przywiązywał wielkiej wagi do tej wojny. Ale właśnie w związku z nią ożyły w jego sercu niedawne bóle, które już prawie przycichły. Chodził jeszcze do pracy, wracał do domu, siadał z podkurczonymi nogami na kanapie i zagłębiał się w swoich książkach, ale jakaś jego częśćka biegła już śladem wydarzeń i biła na alarm. Niezupełnie uświadomione, ale niepokojące przeczucie stawiało mu pytanie, które jeszcze bardziej wzmagало jego niepokój. Co by było, gdyby dobrowolnie zgłosił się na wyjazd na front? Powierzono by mu broń, czy przypomniano by sobie ten wiersz i wszystko, co się z nim wiązało?

Z chorobliwym przewrażliwieniem zaczął się przysłuchi-

wać rozmowom, bacznie obserwować ludzi, którzy go otaczali, i z przykrością stwierdzał, że niektórzy od niego stronią.

Kiedyś wydawało mu się, że w laboratorium, gdzie wstąpił w jakiejś sprawie, laborantki nagle tajemniczo umilkły, a kiedy się od nich oddalił, szykując się do wyjścia, zaczęły coś między sobą szeptać. Podobne wrażenie odniósł w budynku administracji, kiedy spotkał na schodach Rudia w towarzystwie dwóch pracowników z nastawni, którzy, jak mu się zdawało, zobaczywszy go, także przerwali rozmowę i znacząco na siebie spojędali. Urażony tym Ołeh zaczął stronić od wszystkich, i jeszcze uparciej milczał przy ludziach. Nie zdawał sobie sprawy, że swoim zachowaniem sam zapędza się w ślepa uliczkę, a niektórym daje nawet powody, aby patrzyli na niego z ukosa.

Ksenię niepokoił jego stan, widziała, że z Ołehem coś jest nie w porządku, ale nie miała śmiałości pierwsza poruszać tych spraw. Milczy — a więc nie chce mówić, ona dopytywać się nie będzie, by nie sprawiać mu niepotrzebnego bólu. Ksenia nie chciała i nie mogła tego zrobić.

W końcu jednak zebrała się na odwagę. Wieczorem, kiedy wróciła z pracy, przysiadła się do męża i położyła mu rękę na ramieniu.

— Co się z tobą dzieje? Jesteś czymś zasmucony.

Ołeh milczał, potem ostrożnie zdjął jej rękę ze swego ramienia, wstał powoli i przeszedł się po pokoju.

— Zasmuci się człowiek — westchnął — kiedy patrzę na niego, jakby kamień nosił za pazuchą i czekał tylko okazji, aby go w kogoś rzucić.

— Czy stało się coś nowego? — zapytała zmartwiona Ksenia.

— Właściwie nie — odburknął Ołeh.

Ksenia milczała.

— Nic nie poradzisz, takie czasy — odezwała się. Miała ochotę zapytać: a ty nie przesadzasz przypadkiem, ale doszła do wniosku, że lepiej nie podawać w wątpliwość tego, czym on się tak bardzo przejmuje. Ksenia nawet ucieszyła się w duchu: Ołeha nęka jedynie przeszłość, która z jakichś powodów znów go niepokoi, lecz wkrótce na pewno o tym zapomni.

Jej wyjaśnienie nie wiadomo dlaczego strasznie roz-

gniewało Ołeha. Odwrócił się do niej gwałtownie i rozdrażniony krzyknął:

— Nie ma co zwałać winy na czasy. Czasy są takie, jacy jesteśmy my... ludzie.

Ksenia skuliła się, jakby ją Ołeh uderzył. „Zwałać winę” — komu on to mówi? I kogo ma na myśli, mówiąc „my”. Czyżby jej stawiał zarzut, uważając, że gdyby wtedy nie przeczytała wiersza kolegom, to nic by się nie stało? Zabolalo ją podobne przypuszczenie, chociaż Ołeh miał na myśli takich jak Rud' i byłby zdumiony, gdyby usłyszał, że ona to wzięła do siebie. Ale Ksenia nie mogła inaczej tego zrozumieć, gdyż w duszy czuła się wobec niego winna i teraz była pewna, że Ołeh też nie zapomniął i że to z jakiegoś powodu odżyło w nim znowu i nie daje spokoju.

Ksenia umilkła, gotowa zaszlochać, ale się powstrzymała. Zgnębiona posiedziała jeszcze z minutę, potem wyszła do kuchni i postawiła czajnik na płycie. Czas na kolację. Nie warto okazywać Ołehowi, że jest obrażona.

Stała nad prymusem i patrzyła na niebieskawy płomyczek oblizujący czajnik. A więc Ołeh po prostu nie kocha. Czy można zresztą kochać człowieka, który zadał ci ból? Choćby nienaumyślnie, choćby nawet przypadkowo. Ale przecież przyczynił się do tego, że ludzie zezem patrzą na ciebie. Nawet jeżeli on przesadza, nawet jeśli mu się tylko wydaje. Ksenia w wyobraźni stawiała siebie na miejscu Ołeha i dochodziła do wniosku, że on ma rację. Wtedy po zebraniu powiedział jej, że nie przywiązuje żadnego znaczenia do jej czynu. Była to młodzieńcza obłuda, samsuspokojenie, okłamywanie samego siebie. Czas mija, człowiek dorósł i chociaż usiłuje przebaczyć, czyny nabierają właściwego sensu i nie można o nich zapomnieć.

Im więcej o tym myślała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że sprawa tak właśnie wygląda. Opanowanie Ołeha wydawało się jej cierpliwością, milczeniem — niezadowolaniem i hamowanym gniewem.

W dzień urodzin Kseni Ołeh do późna zatrzymał się w biurze. Był na jakimś posiedzeniu i Ksenia przesiedziała cały wieczór sama. Kiedy wrócił, leżała już w łóżku. Widziała, jak podszedł do stołu, gdzie stał wazon z kwiatami, które dostała od kolegów z planowania, a obok kilka telegramów: od rodziców i od przyjaciółek.

Ołeh nie zwrócił uwagi ani na kwiaty, ani na telegramy. Milcząc zjadł kawałek kiełbasy z chlebem, którą Ksenia zostawiła mu na kolację, nalał z termosu filiżankę herbaty i wypił, usiłując nie brzęknąć, aby jej nie obudzić. Czy naprawdę nie interesuje go, co to za depesze? Czy też świadomie nie patrzy na nie, zdając sobie sprawę, że ona go obserwuje? Jeżeli tak, to podkreśla tym swoje lekceważenie.

Inna prawdopodobnie zapłakałaby cicho, ale Ksenia zacięła się. W nocy źle spała, ale i tak obudziła się wcześniej niż Ołeh. Cichutko przygotowała śniadanie, poprosiła Kławdiję Charytoniwnę, aby podała je Ołehowi, i wyszła. Po pracy specjalnie została w biurze na dwie, trzy godziny, siedziała nad papierami, nad którymi wcale nie musiała siedzieć. Postanowiła poddać swojego męża swego rodzaju egzaminowi: czy zwróci uwagę na to, że ona gdzieś zatrzymuje się dłużej niż zwykle, nie przychodzi z pracy wcześniej, jak zawsze bywało?

Kiedy drugiego dnia po swoich nieudanych urodzinach znów późno wróciła, Ołeh zapytał:

— Co, zatrzymałaś się w biurze?

— Tak.

I ani słowa więcej.

Potem spóźnienie znowu się powtórzyło, a Ołeh tylko powiedział:

— A ja miałem bilety do kina.

— Byłam zajęta.

— Trudno. Co zrobić.

Zabolało ją to. Okazuje się, że egzaminu nie zdał. Ale właściwie, czy to on miał zdać ten egzamin czy jego miłość? I czy ktoś, kto nie kocha, albo przestaje kochać, winien jest temu, że uczucie pobladło? Było to przykre, ale Ksenia nie czuła się urażona, gdyż obwiniała jedynie siebie.

A mimo wszystko postanowiła, że nigdy nie zacznie pierwsza rozmawiać o tym z Ołehem. Niech czas zadecyduje. Zadecyduje i za nią, i za niego. Tak będzie jaśniej i lżej im obojgu.

Ale czas gotował im niespodziewaną decyzję. W dzień Ołeh zadzwonił do Kseni do pracy i oznajmił:

— Dzwonię z komisji wojskowej.

Ksenia zdziwiła się:

— Z komisji wojskowej? Skąd się tam wzięłeś?
— Dziwna jesteś, Kseniu! Wezwali mnie i wziąłem się.
— Po co?
— Zabierają mnie do wojska.
— Ciebie?
— Co się tak dziwisz?
— Dlaczego raptem ciebie — zaniepokoiła się, chociaż nie bardzo jeszcze zdawała sobie sprawę, jakie to będzie miało dla nich następstwa.

— Czytaj gazety.

Ksenia na chwilę zamilkła. Ołeh słyszał jej szybki i głośny oddech w słuchawce.

— Wracasz stamtąd do domu?

— Nie. Muszę jeszcze wskoczyć na zaporę. Uporządkować i przekazać dokumenty. No i pożegnać się. O piątej mam rozkaz stawić się z rzeczami.

— Dzisiaj?

— Tak. Wieczorem wyjeżdżamy.

Ksenia znowu umilkła i naraz oświadczyła:

— Zaczekaj na mnie w komisji, zaraz tam przybiegnę.

Wieczorem odprowadzała go na dworzec. Było bardzo zimno. W bezwietrznym powietrzu wydech się zatrzymywał, jakby pływał w gęstej cieczy, i powoli osiadał. W mundurze wojskowym Ołeh wydawał się niezwykle wysoki i szczupły, jasne włosy zabawnie wymykały mu się spod nowiutkiej uszanki, a żołnierski płaszcz wydymał się z tyłu, ściągnięty skórzanym pasem z miedzianą sprzączką, podobnie jak u gimnazjalistów, których Ksenia widziała tylko na ilustracjach w książkach. Ksenia zmarzła, chociaż miała na sobie swoje szare królicze futerko, i z niepokojem spoglądała na kusy płaszczyk Ołeha. On jedzie na północ, a tam na pewno jest jeszcze zimniej... Mimo wszystko Ksenia wydawała się bardziej zaskoczona niż przerażona tym, co się stało. Na peronie zebrało się wielu zmobilizowanych, ich również odprowadzały rodziny i znajomi, niektóre kobiety płakały, ale większość nie przywiązywała wielkiego znaczenia do wyjazdu swoich mężów i synów, tak jak nie przywiązywano wagi do samej wojny. Iluż z tych, którzy mieli teraz wyjechać, brało udział w wyprawie na zachód kilka miesięcy temu i, aby nie zauroczyć, wrócili żywi. Takie rozmowy słyszało się wokół. Ksenia przysłuchiwała się im i jeżeli się nawet

niepokoila, to nie ze względu na sens samego wydarzenia, lecz przez to wszystko, co się na nią w ogóle w ostatnich dniach zważyło i co tak niespodziewanie i dziwnie rozwiązywał ten nagły wyjazd.

Oleń natomiast był ożywiony i wesoły. Tu na peronie, w gorączkowym dworcowym ruchu, stał się znowu taki, jakim kiedyś bywał i jakim Ksenia już dawno go nie widziała. Wydawało się jej, że on nawet cieszy się z tego, że nareszcie wyjeżdża z domu.

Ale jego wcale nie to radowało — on po prostu doznał ulgi, kiedy przekonał się, że nękające go przez cały czas obawy okazały się bezpodstawne. Wezwanie przed komisję wojskową i nagły wyjazd na front zdjęły mu kamień z serca, przywróciły wiarę w ludzi i wiarę w siebie. Oleń wiedział, że wyjeżdża nie na wycieczkę, lecz na wojnę, ale poczucie równości ze wszystkimi było silniejsze niż lęk przed przyszłością. Uśmiechał się więc szczerze i żartował, i obejmując Ksenię przy ludziach, nikogo się nie wstydził, tak jak nie wstydzili się ci wszyscy, którzy razem z nim wyjeżdżali i także obejmowali swe żony i kochanki.

Ksenia powoli wracała z dworca, myślała nawet, że może to lepiej, że tak się stało. Wojna ma się skończyć w najbliższych dniach, Oleń zdąży dojechać do Moskwy, a w najgorszym wypadku do Leningradu. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że wypadnie mu wziąć udział w walkach. Minie tydzień, najwyżej dwa — tak sobie wyobrażała. Zdarza się, że nawet gorąco kochający się ludzie muszą odpocząć jedno od drugiego, aby w samotności przemyśleć i przekonać się z dala, czym dusza żyje. Może właśnie te dwa tygodnie staną się takim czasem, który zadecyduje, jak oni mają żyć.

Ale dwa tygodnie okazały się długie i ciężkie, rozrosły się prawie do dwóch lat i znów zadecydowały o wszystkim po swojemu, tak jak nie przewidywał i nie mógł przewidywać ani on, ani ona.

29

Ksenia otrzymała od Oleńha tylko dwa listy — z Moskwy i z Leningradu. W pierwszym pisał, że był w Muzeum Puszkina i że przejechał się kilka stacji metrem,

a w drugim, zupełnie krótkim i bardziej niepokojącym, zawiadamiał, że za pół godziny wyjeżdżają „dalej” — ale dokąd, nie wspomniał.

Wiecej Ksenia nie dostała już żadnego listu.

Początkowo gniewała się: oto jak odpowiada czas na pytanie, które wydawało się jej takie skomplikowane. Gniew jednak szybko minął i ogarnęła ją rozpacz. Dopiero teraz, kiedy została sama, zrozumiała, jak kocha Ołeha i jakie to dla niej nieszczęście, że on nie pisze i nie daje o sobie znaku życia. Przez cały czas wracała pamięcią do szczęśliwych dni ubiegłego roku, kiedy razem z Ołehem wyjechała na wypoczynek do Gurzufu i do cichych wieczorów tu w domu, kiedy po powrocie z pracy siedzieli oboje na kanapie i czytając każde swoją książkę, ukradkiem spoglądali jedno na drugie. I jakież to było nierozsądne — podejrzewać, że miłość minęła, że Ołeh ukrywa coś przed nią i obwinia ją za wypadek z tym wierszem! On nie mógł jej obwiniać, bo ją kochał, a miłość nigdy nie myśli źle, szczególnie kiedy nic złego nie ma.

Stopniowo Ksenię ogarniała trwoga: przecież to mimo wszystko wojna. Uważnie czytała komunikaty w gazetach i słuchała, co mówią w radio. Nie dlatego, że wydarzenia na linii Mannerheima budziły niepokój i mogły być przyczyną braku listów: komunikaty tak jak dawniej były pomyślne, głosy spikerów twarde i pewne siebie. Ale coś podświadomego, coś zupełnie nieuchwytnego nie pozwalało spokojnie zasnąć i napełniało serce niezrozumiałym drżeniem, którego Ksenia nie mogła opanować.

Którejś nocy obudziła się przerażona, oblana potem. Przyśniło się jej, że na śniegu leży ludzkie serce, a jakiś żołnierz, cały w czerni i sam czarny, strzela do niego z pistoletu. Serce za każdym trafieniem trzepoce się i podskakuje jak blaszana zabawka na strzelnicy i pojękuje żałośnie i bezsilnie jak postrzelone zwierzątko lub niemowlę.

Ksenia wstała z łóżka i w samej koszuli, z rozpuszczonymi włosami, usiadła przy stole i napisała list do Charkowa do matki Ołeha. Za kilka dni przyszła odpowiedź; matka pisała, że ona także nie dostała od Ołeha ani słowa i bardzo się martwi, gdyż zna niejednego wypadek, kiedy ludzie otrzymali w Przesmyku Karelskiego zawiadomienie o śmierci swych bliskich.

Ksenia ogromnie się zatrwożyła. Wszystkie jej urazy rozwiały się i znikły. Rano pobiegła do komendy miasta, obiecano jej dowiedzieć się, gdzie jest Charkewicz i co się z nim dzieje.

Za kilka dni przyszedł do niej major, który pracował w komendzie. Kiedy zapukał do drzwi, Ksenia siedziała na łóżku, otulona w wełnianą chustkę. Zobaczywszy majora, od razu przeczuła, że zdarzyło się coś niedobrego — po jego posępnej twarzy, ostrożnych ruchach i nieśmiałym głosie poznała, że stało się nieszczęście. Przecież jeśliby z Ołehem było wszystko w porządku, major nie musiałby tu przychodzić, po prostu wezwałiby ją i zawiadomili!

— Co się z nim dzieje? — zapytała ledwie dosłyszalnie samymi tylko wargami, nie mając sił się podnieść.

— Niech pani uzbroi się w męstwo — powiedział major.

— Proszę mi powiedzieć! — krzyknęła Ksenia. — Proszę powiedzieć.

— Bardzo mi przykro, ale mam obowiązek powiedzieć prawdę — ciągnął major drżącym głosem.

Ksenia zakryła twarz rękami i zastygła bez ruchu. Major jeszcze coś mówił, ale ona już nic nie słyszała, ogłuszona straszliwym ciosem. Zginął, Ołeh zginął. Tylko ta myśl tłukła się w mózgu, jakby przez cały czas echem odbijały się w nim słowa, które nawet nie zostały wypowiedziane.

Parę dni później przyszedł list z batalionu saperów, w którym służył Ołeh. Charkewicz zginął, ale ciało zostało w strefie neutralnej. Jak tylko pułk posunie się naprzód, pochowają go razem z innymi poległymi tam żołnierzami.

Kilka dni po tej strasznej wieści Ksenia przeżyła jak w malignie. Siedziała jak kamienny posąg, ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt. Gospodyni mieszkania, Kławdija Charytoniwna, wysłała telegram do Kijowa i wezwała matkę. Pobiegła do biura i wystarała się dla Kseni o dwa tygodnie urlopu. Czekając na przyjazd Lubowii Stepaniwny, przyniosła swoje rozkładane łóżko do pokoju Kseni, gdyż nie chciała zostawiać jej samej. Ksenia zmizerniała, pobladła, w oczach jej zastygła ciemna pustka. Kławdija Charytoniwna nie próbowała jej pocieszać, rozerwać, milcząco stawiała przed nią jedzenie

na stole i ze współczuciem gładziła ją po jasnych włosach.

Ksenia oprzytomniała dopiero po trzech dniach, kiedy przyjechała matka. Już w pierwszej chwili rozplakała się gorzko. Kławdija Charytoniwna ucieszyła się: płacze, będzie jej lżej. I rzeczywiście, wyplakawszy się, Ksenia przysła do siebie, zakrzętała się, pobiegła do kuchni po talerze, aby ugościć matkę.

Lubow Stepaniwna tylko parę dni zatrzymała się u córki: w kijowskiej klinice czekali na swego lekarza chorzy, trzeba było jechać. Przez ten czas uspokoiła trochę córkę, przekonała ją, że życie toczy się dalej, i że bez względu na to, jak ciężką poniosłoby się ofiarę, człowiek powinien żyć. Nalegała na to, aby Ksenia jak najszybciej wróciła do pracy.

W kilka miesięcy po tym, jak Ksenia dowiedziała się, że Ołeh zginął, zatrzymał ją na ulicy Petro Sławczuk. Wracała z pracy zgnębiona i smutna. Szła powoli chodnikiem, niemal pod samymi ścianami budynków, z oczyma utkwionymi w ziemię.

Sławczuk dopędził ją i ostrożnie chwycił za rękę. Wzdrygnęła się.

— Dzień dobry — powiedział cicho. — Przepraszam, że cię zatrzymałem.

— Ach, to ty... Dzień dobry.

— Mogę cię odprowadzić do domu?

— Naturalnie.

Szli obok siebie i milczeli.

W ciągu ostatnich dwóch lat Ksenia często spotykała Sławczuka, to na ulicy, to w biurze. Przeszłość rozplynęła się, wydawało się, że oboje już o niej zapomnieli. Mimo to Sławczuk ani razu nie był u nich w domu, od czasu, gdy niespodziewana decyzja Kseni rozłączyła przyjaciół.

Ksenia jednak wiedziała, że chociaż zadała Sławczukowi kiedyś bolesny cios, to on odnosi się do niej i do Ołeha tak, jak odnosił się dawniej. Do Ołeha nie mógł mieć żalu o to, że Ksenia właśnie jego wybrała, a ona również nie była winna, że kocha Ołeha. Ale i Sławczuk ją kochał i przez dwa lata na nikogo jej nie zamienił.

Siedzieli w pokoju we dwójkę i rozmawiali o różnych drobnostkach. Sławczukowi starczyło taktu, aby nie wspomnieć o najważniejszym, Ksenia to doceniła i była mu

wdzięczna. Niedawno wrócił on z delegacji służbowej, był w Kijowie i w Moskwie, miał o czym opowiadać, a rozmowa ich, chociaż zupełnie błaża, była bezpośrednia i odwracała uwagę Kseni od ciężkich myśli.

Naraz ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę! — zawołała zdziwiona tym Ksenia. Kławdii Charytoniwny nie było w domu, a nikogo z obcych się nie spodziewała.

Na progu zjawił się Serhij Rud'. Zjawienie się Rudia było dla Kseni zupełną niespodzianką. Zakłopotana, nie wiedziała, co mówić, ale i Rud' był zmieszany — nie przypuszczał, że spotka tutaj Sławczuka — na chwilę zatrzymał się w drzwiach, także nie wiedząc, co robić.

— Przepraszam. Nie przeszkadzam wam? — wymamrotał.

Sławczukowi zdawało się, że w pytaniu Rudia zabrzmiała jakaś świadoma dwuznaczność, rzucił mu więc wyzywające pytanie:

— A ty uważasz, że mógłbyś przeszkodzić?

Ponieważ Rud' nie miał nic na myśli, dlatego znowu się zmieszał. Starając się ukryć swoje zakłopotanie, odsunął się kilka kroków od drzwi i nie odpowiadając na wyzwanie Sławczuka, zwrócił się do Kseni:

— Można usiąść?

— Oczywiście, proszę... — Ksenia podała mu krzesło.

Kłopotliwa sytuacja, wywołana jego przybyciem, stawała się uciążliwa, wszyscy troje to odczuwali. I Rud', i Sławczuk pamiętali dawną rozmowę, przeprowadzoną kiedyś w mieszkaniu Sławczuka i wiążącą się właśnie z wyborem dokonany przez Ksenię. Teraz wyczuwało się między nimi hamowaną wrogość. I tylko Ksenia nic o tym nie wiedziała, poruszyła więc jakiś błaży temat, aby od czegoś zacząć i rozładować napięcie. Rud' ucieszył się i zaczął opowiadać o nowym sekretarzu Komsomołu na Dnieprogesie i o tym, że Ananija Hawryluka przeniesiono do Komitetu Rejonowego, gdzie ma wspaniałe perspektywy na zdobywanie coraz wyższych stanowisk, bo chłopiec potrafi wspaniale trzymać się na trybunie, jest politycznie wyrobiony, a w ogóle to dobry organizator.

Ale kariera Hawryluka nie interesowała teraz ani Sławczuka, ani Kseni, i Rud' szybko to zrozumiał. Po raz drugi zapadło milczenie i Serhij znowu poczuł się nieswojo.

Wreszcie odezwał się:

— Tak, wszystko to przykre i bolesne... A najgorsza ta przekłeta niejasność. — Rud' niespokojnie wiercił się na swoim krześle.

Ksenia podniosła na niego zdziwiony wzrok, a Sławczuk zapytał ze złością:

— A co dla ciebie jeszcze niejasne?

— Jeśli człowiek zginie na wojnie, to chciałoby się być pewnym, że poległ z honorem — odpowiedział Rud'.

— A Ołeh, według ciebie, niechlubnie poległ? — W głosie Sławczuka zabrzmiała pogróżka.

— Ja tego nie powiedziałem — odciął się Rud'! — Ale nie wszystko jest jasne, i to mnie niepokoi.

Rud' spojrział na Sławczuka, który pochylił się do przodu, jakby był gotów rzucić się na niego z pięściami, i wstał.

— Znasz Iwana Kostiuka? Tego, co był ślusarzem w hali turbin... On służył z Ołehem w jednym pułku. I właśnie Kostiuk mówił — Rud' umilkł na chwilę. — Zginąć to zginął, ale jak, nic konkretnego nie wiadomo.

Sławczuk nie wytrzymał.

— Podłość!

— Ty uważasz, że to podłość, jeżeli chce się wiedzieć, jak człowiek zachowywał się na wojnie?

Sławczuk nie odpowiedział, trzasnął drzwiami i wybiegł z pokoju. Ksenia drżała ze wstydu i oburzenia.

Wyczuwało się, że Rud' chciałby już skończyć, ale nie może się powstrzymać.

— Wybacz, Kseniu, wiem, jak przykro ci o tym słuchać. Ale sama rozumiesz...

Ksenia zapłakała cicho. Dla niej było jasne, że Ołeh zginął. A czy to nie wszystko jedno, jak?

— Sławczuk niepotrzebnie się wścieka — odezwał się Rud' po chwili milczenia. — Kiedy człowieka już nie ma, chciałoby się myśleć o nim jak najlepiej. Ale życie nie zawsze układa się tak, jakbyśmy sobie życzyli, i trzeba się liczyć z faktami. Przecież my jesteśmy komsomolcy.

Ksenia otarła oczy chusteczką. Było jej nieprzyjemnie, że okazała swą słabość właśnie przy tym człowieku, i za wszelką cenę starała się uspokoić i zapanować nad swymi uczuciami.

— Wybacz, Kseniu — z cicha kontynuował Rud' po chwili milczenia. — Nie chciałem cię niepokoić... Wszystkiemu winien Sławczuk. — Stał jeszcze z minutę na środku pokoju, nerwowo miał w rękę swój kaszkiet i nie doczekawszy się od Kseni ani słowa, bezszelestnie wyszedł.

Zostało więc nie wyjaśnione, po co on nagle się zjawił i o co mu właściwie chodziło.

Po tym spotkaniu z Rudiem Sławczuk przez długi czas nie wstępował do Kseni. Nieraz się wybierał, wiedział, jak jej ciężko, chciał ją podnieść na duchu swoją przyjaźnią i szczerym słowem. A mimo wszystko nie odwiedzał jej, rozumiejąc, jak mogą wytłumaczyć sobie jego odwiedziny tacy jak Rud'.

Ależ to nie ma sensu! Ksenia mieszka prawie tuż obok. Przejść dwie ulice, skrócić za róg — i oto już jej dom. Jest zgnębiona i samotna, a on ją kocha i nie może stać na uboczu, zdając sobie sprawę, co dzieje się w jej sercu. I znów zaczął do niej przychodzić, nie kryjąc się i nie zwracając uwagi na to, co powiedzą sąsiedzi. Kławdija Charytoniwna знаła go od dawna, pamiętała ich dawną, jeszcze młodzieńczą przyjaźń. Rozumiała także, że nieszczęście może złamać człowieka, jeśli jest osamotniony. Widziała więc w Sławczuku wybawcę, zapraszała go z Ksenią do siebie, częstowała herbatą.

Ksenia stopniowo wracała do równowagi. Coraz częściej odpowiadała uśmiechem na żarty Sławczuka. Rozpacz uśmierzała się — młodość brała górę.

Minęło jeszcze pół roku i Ksenia wyszła za mąż za Sławczuka. Nie mogła żyć sama, nie mogła tonąć powoli w swojej rozpacz. Potrzebne jej było oparcie — ręka przyjaciela. Życie toczyło się swoim torem, i Ksenia żyła.

30

Schody prowadzące do dolnej sztolni stromo zbiegały w dół wąskim korytarzem, przypominającym kamienną studnię. Z góry wydawało się, że jest to wejście do ponurych podziemi starożytnego, zapomnianego zamku, gdzie kiedyś wzięci do niewoli rycerze, przykuci do ścian, opadali z sił w oczekiwaniu na śmierć.

Zanim dostali się tutaj, Warywoda i Bogatyriow pokonali w swoich skafandrach dla nurków długą i trudną drogę lądową.

Aby cały ich ekwipunek działał bez zarzutu pod wodą, trzeba było przynajmniej przed pierwszym zanurzeniem przygotować go, jak należy. Musieli włożyć gumowe skafandry jeszcze na brzegu — bez pośpiechu i przy świetle, a więc także włączyć od razu sprężone powietrze i iść tak w pełnym rynsztunku.

Ale skomplikowany i niezawodny ekwipunek, przystosowany do wędrówek pod wodą, na lądzie okazał się nadzwyczaj uciążliwy, szczególnie tutaj.

Trzeba było ostrożnie podczołgać się do śluzy, spuścić się do niej po ścianie, przejść po jej ogromnym betonowym dnie i wdrapać się znów na górę; musieli pełzać na brzuchu, kiedy ożywał nieprzyjacielski reflektor, i przeciskać się przez wąskie okienka do wewnętrznych kanałów zapory. Pot zalewał im oczy, oddychali obaj jak ryby wyrzucone na piasek i kiedy w końcu dotarli na miejsce, byli zupełnie wyczerpani i ledwo powłóczyli nogami.

Charkewicz szedł z przodu z elektryczną latarką w rękę. Tuż za nim posuwał się Chochoł, a Warywoda i Bogatyriow ciężko stąpali z tyłu. Strome, prawie pionowe betonowe schodki zbiegały wciąż niżej i niżej, wyczuwało się, że wody Dniepru stoją już wysoko nad nimi. Ściany dyszały chłodem i mrokiem rzecznoego dna, pełnego tajemnic i niespodzianek.

Nurkowie, chociaż zmęczeni, nie odczuwali jednak specjalnego lęku, jaki ogarnąłby niewątpliwie każdego, kto pierwszy raz zapuściłby się w to tajemnicze królestwo. Obaj dawno przywykli do swoich podwodnych wędrówek i jeżeli teraz niepokoili się czymś, to chyba jedynie tym, że w butlach zostało już prawdopodobnie mało tlenu. Jeśli zaś chodzi o Charkewicza, znał tutaj każdy stopień, każdy zakręt, gdyż swego czasu nieraz wchodził do tej ciemnej studni i teraz śmiało stawiał nogi, jak gdyby był tu dopiero wczoraj.

Nareszcie promień latarki błysnął na ciemnej, mętnej wodzie, jakby się wpił w chwiejną, ruchomą podłogę. Dalej nie można było iść — schody były zatopione.

Zaniepokoiło to nurków: okazuje się, że trzeba najpierw przebrnąć pod wodą część korytarza i dopiero potem za-

wrócić za róg, aby się dostać do sztolni. A więc droga nie będzie prosta, tak jak przypuszczali, i drut sygnalizacyjny w miarę ich oddalania się będzie się zaczepiał o róg ściany. Komplikuje to sytuację pod wodą, gdyż na sygnalizacji nie można w pełni polegać, i gdyby się coś zdarzyło, nurek może się znaleźć bez bezpiecznej łączności z towarzyszami, którzy zostali na górze.

Biorąc to pod uwagę, Chochół zdecydował, że nurkowie nie powinni zanurzać się od razu obaj, tak jak myślał poprzednio, lecz tylko jeden — i właśnie Warywoda — słabszy fizycznie. Bogatyriow powinien zostać na górze, aby natychmiast przyjść Warywodzie z pomocą, gdyby łączność z nim się przerwała.

Warywoda włożył brezentowy pas z ołowianymi ciężarkami i ruszył powoli, ostrożnie zstępując ze schodka na schodek. Wreszcie promyk latarki ostatni raz prześliznął się po jego hełmie i nurek zniknął. Tylko wielkie bańki wydychanego powietrza z głuchym pluskiem przedzierały się na powierzchnię. Za kilka chwil wszystko ucichło — Warywoda wszedł do sztolni i zawrócił za róg.

Linę sygnalizacyjną trzymał sam Chochół. Popuszczał ją coraz więcej i więcej i czuł, jak drut drży, ocierając się o betonowy róg sztolni, zupełnie jak żyłka rybackiego spinningu, kiedy na haczyku, trzepocząc się, zamiera duża ryba.

Wszyscy w milczeniu śledzili ruchy Chochóła, który powoli rozwijał linę, w miarę jak Warywoda posuwał się dalej. Korytarz oświetlała już teraz nie kieszonkowa latarka Charkewicza, lecz lampa naftowa, którą przezornie zabrali z sobą. Chochół rozwijał linę ostrożnie, nie dopuszczał, aby zwisała luźno, gdyż mogłaby się poplątać, i kiedy przypadkowo wymknęło mu się z rąk więcej, niż trzeba, natychmiast ją naciągał. Po tym kawałku, co był już w wodzie i znowu się wynurzył na powierzchnię, spływały duże krople i ciężko spadały do wody.

Linka kołysała się i drżała. I naraz — zamarła. Wyglądało na to, że Warywoda zatrzymał się. Chochół czekał przypuszczając, że nurek zaraz pociągnie ją dalej, ale drut był wciąż nieruchomy i martwy jak struna, którą przestał niepokoić smyczek muzyka.

Chochoł poczekał jeszcze z minutę, a potem spróbował lekko szarpnąć do siebie. Linka nie poddawała się. Gdyby nurek po prostu stał na miejscu, na pewno poczułby szarpnięcie Chochoła i albowiem się cofnął do tyłu, albo dał znak, że wszystko w porządku. Prawdopodobnie przewód zaczął się o coś, tak jak Chochoł przewidywał.

Charkewicz i Bogatyriow obserwowali każdy jego ruch. Nie pytali o nic, bo wszystko było i tak zrozumiałe. Bogatyriow posunął się naprzód, i czekał na rozkaz. Chochoł po chwili milczenia powiedział krótko:

— Ruszaj!

Bogatyriow rzucił Charkewiczowi swój drut sygnalizacyjny i zaczął szybko schodzić. Od razu złapał się za linkę, której koniec był w ręku Chochoła, gdyż wiedział, że tylko ona wskaże mu drogę do Warywody.

Okazało się, że sztolnia zawalona jest wszelkiego rodzaju rupieciami — kawałami desek, porozbijanymi skrzynkami i beczkami po cemencie, które pływały pod sufitem. Na dnie leżały pogięte szyny i zwoje grubego drutu, powrzucone naumyślnie do wody, aby utrudnić przejście. Linka sygnalizacyjna Warywody doprowadziła go do metalowych kozłów, o które się właśnie zaczepiła. Tutaj się urywała — może przetarła się na żelaznych hakach, a może Warywoda sam ją musiał przerwać, gdyż nie mógł jej szybko rozplątać, a zatrzymać się nie chciał.

Bogatyriow obmacywał wszystko wokół, ale Warywody nigdzie w pobliżu nie było. Walcząc z licznymi przeszkodami i potykając się o leżące żelastwo na dnie, ruszył dalej. Ale od razu i jego linka się zaplątała. Trzeba ją było przerwać i szybciej iść naprzód — szukać towarzysza. Zdawał sobie sprawę, że został teraz bez drogowskazu: wracając bez linki sygnalizacyjnej w nieprzeniknionych ciemnościach łatwo można ominąć wejście do korytarza, do którego należy zawrócić, aby trafić na schody.

I raptem Bogatyriow zrozumiał, że właśnie tak mogło się stać z Warywodą: wracając bez sygnału, Warywoda mógł minąć zakręt na schody, zabrnąć za daleko w drugi koniec i zostać bez tlenu!

Ale było to tylko przypuszczenie i Bogatyriow nie wiedział, czy ma iść dalej, czy wrócić się i szukać Warywody po przeciwległej stronie. Tlenu w butli zostało na dzie-

się minut. Zawrócić i szukać towarzysza przy wyjściu na górę — to wszystko, co mógł zrobić.

Zawsze spokojny i zrównoważony, Bogatyriow nie mógł się teraz opanować. Zimna woda przenikała go przedtem na wskroś, a teraz spocił się i serce zamarło w trwożnym omdleniu. Zrobił kilka kroków z powrotem i poczuł, że się o coś zaczepił. Musiał przysiąść i odsunąć długą szynę. Potem podniósł się i zaczął rozsuwać pływające i zagrazdające mu drogę deski i skrzynie. Wszystko to poszczebiało się jedno z drugim, tworząc zwartą pływającą masę, z której trzeba było odrywać oddzielne części, aby posunąć się chociaż na krok.

Kiedy Bogatyriow dotarł nareszcie do rogu, gdzie zaczynały się schodki, na górę iść nie miał już sił. W głowie mu szumiało, serce waliło jak młotem — tracił świadomość. Przez cały czas wstrzymywał oddech, aby zaoszczędzić tlenu, który może się przydać, kiedy trzeba będzie wynosić towarzysza. Pociemniało mu w oczach, mózg przesłoniła mgła i Bogatyriow spłynął bezwolnie pod sufit.

Trwało to niedługo, być może tylko przez moment. Odetchnąwszy głęboko, oprzytomniał. Czynił rozpaczliwe wysiłki, aby znów stanąć na nogach, machnął gwałtownie ręką i uchwycił się czegoś miękkiego. Był to Warywoda — on również pływał pod sufitem, prawie przy samym wyjściu, nie miał na sobie pasa z ciężarkami.

Bogatyriow złapał towarzysza za rękę i pociągnął na dno. Noga od razu natrafiła na pierwszy stopień, i zaczął się wspinać po schodach.

Kiedy nareszcie znalazł się na górze i światło naftowej lampy padło mu na twarz, przed oczyma znowu wszystko zawirowało i rozplynęło się. Bogatyriow upadł na wznak do wody i upuścił też Warywodę. Chochoł i Charkewicz podbiegli do nich. Aby wyciągnąć ich na suche miejsce, trzeba było prawie po szyję wejść w wodę.

Pierwszy przyszedł do siebie Warywoda, może dlatego, że on mniej przeżył, gdyż niepokoił się tylko o siebie i nie ratował towarzysza. Bogatyriow długo jeszcze leżał na schodkach, ale i on w końcu odzyskał przytomność.

Świtało już, kiedy wszyscy czterej wrócili do górnej sztolni. Wrócili, tak samo jak Charkewicz z zapory, z niczym...

Tej nocy Szumakow został w jednym ze swoich pułków. Późnym wieczorem zameldowano mu, że na odcinek tego pułku przyłynął człowiek z prawego brzegu, którego nie można przewieźć do sztabu dywizji, gdyż się przeziębził i ma wysoką temperaturę.

Z prawym brzegiem nie było łączności, żadne wiadomości stamtąd nie docierały, zwiad podawał tylko to, o czym udało się dowiedzieć dzięki wizualnym obserwacjom lub zdjęciom lotniczym. Powyżej zapory Dniepr jest szeroki, przepłynąć się na prawy brzeg zwiadowcy nie mogli, a poniżej jeszcze trudniej, gdyż nieprzyjaciel z Chortycy kontrolował całe koryto rzeki.

Uciekinier zainteresował bardzo dowódcę dywizji, dlatego też od razu pojechał na miejsce, aby osobiście z nim porozmawiać.

Siedząc w swojej dobrze wysłużonej emce, Szumakow usiłował odgadnąć, kim może być ów uciekinier. Przyzwyczajenie do sprawiedliwego traktowania ludzi nie oznaczało braku ostrożności dyktowanej przez warunki wojenne, nawet w stosunku do swoich podwładnych.

Uciekinierem mógł być nawet Niemiec, który zbiegł od swoich ze względu na własne przekonania. W Hiszpanii Szumakow spotykał wielu Niemców, którzy nienawidzili faszyzmu. Ale człowiek ten mógł też być szczurem, który ucieka z tonącego okrętu, albo, i to możliwe, byłym obywatelem radzieckim, nasłanym, aby dezinformować i wprowadzać w błąd. Szumakow zetknął się już z takimi rodakami, z którymi wolałby się nie spotykać. I teraz zastanawiał się i wspominał nie po to, aby się przygotować i specjalnie nastawić — nie, po prostu pewne sprawy martwiły go więcej niż we wszystkich poprzednich wypadkach.

Zaniepokojenie wywoływało to, że człowiek przepłynął Dniepr. Przepłynął nie w pierwszym lepszym miejscu, lecz przez wodę górną, gdzie nie tylko każdy metr jest pod ostrzałem, ale i szerokość rzeki jest taka, że nawet w spokojnych czasach trudno ją pokonać. Nie mógł chyba wsiąść w łódkę i na oczach Niemców wyruszyć na lewy brzeg! Kim on jest? Jak się to mogło stać?

Uciekinier okazał się człowiekiem w podeszłym wieku, lat około sześćdziesięciu. Leżał w schronie medyczno-sa-

nitarnym i oblewało go to zimno, to gorąco. Spojrzawszy na niego, Szumakow zrozumiał, że człowiek ten nie przyplynał ani na tratwie, ani na łódce, ale prawdopodobnie długo mókł w zimnej dnierprańskiej wodzie, zanim stanął na lewym brzegu. Nad szarym żołnierskim kocem widniała wymizerowana twarz — koniuszki posiwiiałych wąsów trzęsły się i poruszały jak żywe.

Nazywał się Myronenko. W przetartym i niemal rozerwanym na krzyż zaświadczeniu, wydanym jeszcze przed wojną przez dyrekcję Dnieprogesu, mówiło się, że pracuje on jako ślusarz w hali turbin. Myronenko nie ukrywał, że pracował tam także w czasie okupacji, ale, jak twierdził, robił to na polecenie Komitetu Rejonowego. Trudno to było sprawdzić. Ale kiedy Szumakow spojrzał na niego, nie miał już ochoty na sprawdzanie.

Wysłuchawszy pierwszych słów, zorientował się od razu, z kim ma do czynienia. Myronenko opowiadał o ruinach starego młyna, które znowu wyłoniły się spod wody, o kobietach i dzieciach, które przeprowiał tam potajemnie, aby uratować od pewnej śmierci... Słuchając opowiadania, Szumakow nie zauważył nawet, jak sama przez się zniknęła gdzieś jego ostrożność i zjawilo się całkowite zaufanie do wszystkiego, co Myronenko komunikował.

Myronenko nie powiedział Szumakowowi nic nowego. Z niezwykłym podnieceniem zawiadomił, że zaporą jest zaminowana, ale o tym Szumakow już dawno wiedział, obliczył dość dokładnie, ile Niemcy przewieźli na zaporę bomb lotniczych i wagonów z materiałami wybuchowymi, lecz i to już od dawna było wiadome. Myronenko nie wiedział o najważniejszym — gdzie założone są miny i którędy przebiega ten piekielny kabel, gdyż Niemcy, przygotowując swój niszczycielski system, rozstrzeliwali każdego, kto mógł coś zauważyć. A więc główna tajemnica była w ich ręku i nikt jej nie znał, nie znał jej też Myronenko.

Szumakow słuchał w milczeniu i z wdzięcznością kiwał głową nie chcąc mu sprawić zawodu. Patrzył na pomarszczoną twarz, na czoło, w które wżarł się ciemny smar zmieszany z metalowym pyłem, i było mu żal starego ślusarza. Szkoda, że nie mógł poinformować o niczym takim, co usprawiedliwiałoby jego czyn, który Szumakow nazwałby raczej wyczynem, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę

jego wiek. Szumakow wyrzekłby się chętnie danych rozpoznania i tego, do czego sam doszedł na podstawie zestawień i przewidywań, aby tylko ów starzec był pierwszym, który mu o tym mówi. I nie była to sentymentalna rozterka ani inteligenckie roztkliwianie się nad człowiekiem, który postawił na kartę swe życie, aby dokonać tego, czego można było nie robić; nie, Szumakow po prostu pragnął, aby wyczyn tego człowieka był usprawiedliwiony praktycznym znaczeniem uczynionego przez niego dobra, które ma rzeczywistą cenę jedynie wtedy, jeśli przynosi realne korzyści.

— Wysadzą, łajdaki! — powtarzał przez cały czas Myronenko jak w gorączkowych majakach. — Zrzuńną do szczytu...

— Teraz, kiedy już zawiadomiliście nas o tym, nie wysadzą — uspokajał go Szumakow. — Kiedy już wiemy, wszystko będzie w porządku.

Myronenko obrzucał Szumakowa niedowierzającym spojrzeniem i znów odwracał się do ściany.

— Wysadzą, łajdaki, szaleńcy...

— Wszystko będzie w porządku, zapewniam was.

Szumakow lekko położył rękę na jego ramieniu, uścisnął stwardniałą, szorstką dłoń i wyszedł ze schronu na górę. Żał mu było Myronenki. Żał tym bardziej, że on sam również nie mógł powiedzieć staruszkowi najważniejszego — tego głównego, co mogłoby go naprawdę uspokoić. Zapewnienia, że wszystko będzie w porządku, brzmiały niezbyt przekonywająco, bo nie były niczym poparte, a powiedzieć o tym, że na zaporze szukają już kabła, nie miał prawa. Na pewno ucieszyłby się ten stary człowiek, gdyby usłyszał o grupie Chochoła i Charkewicza.

Stopniowo jednak z uczuciem rozczulenia zaczęło walczyć inne uczucie, które ośwładnęło Szumakowem i skierowało jego myśli w inne łóżysko. Czy rzeczywiście ważne jest tylko to, co człowiekowi udało się wykonać? Czy nie ma żadnej wartości szlachetny zamiar i samo dążenie do uczynienia czegoś dobrego? Czy można wydawać sąd o człowieku tylko na podstawie tego, co poszczęściło mu się doprowadzić do końca, lekceważąc to, do czego dążył i czego gorąco pragnął dokonać? Jeżeli tak, to człowiek sam w sobie ze swoimi marzeniami i uczuciami nie ma żadnej

wartości, gdyż cenę posiada tylko jego dzieło, tylko to, co człowiek wcielił w życie, włączył do praktycznego ogólnego dobra.

Ech, nie ma w pobliżu Sztukarenki! On prawdopodobnie nazwałby takie rozważania idealistycznym bredzeniem albo może przypiąłby im jakąś inną etykietkę. Powiedziałby na przykład, że komunizm trzeba budować nie dobrymi chęciami, lecz konkretnymi czynami. Ale komunizm przecież będzie taki, jakimi my będziemy! A więc nasze uczucia i myśli, nasze osobiste wewnętrzne pobudki mają też swoją wagę.

Ze schronu, w którym leżał Myronenko, wybiegła sanitariuszka Frosia i dopędziła go.

— On chce wam jeszcze coś powiedzieć, towarzyszu dowódcu dywizji.

— Kto?

— Ten stary. — Sanitariuszka była krępa, perkatonosa, cholewy kirzowych butów musiała rozciąć prawie do połowy, gdyż jej krótkie, mocne nogi nie mieściły się w nich.

— Zaraz przyjdę, Frosiu.

Sanitariuszka szybko zatupotała swoimi kusymi nogami, i chociaż w ciemności trudno było coś dojrzeć, Szumakow miał wrażenie, że się zarumieniła. Niedawno dowódca pułku napomykał, że między nią i starszym sierżantem Cygan-kowem nawiązał się romans.

Szumakow stał jeszcze parę minut przed schronem, wdychając chłodne, wilgotne powietrze. Nie chciało mu się przerywać swoich rozważań, zdawał sobie sprawę, że nie przemyślał do końca wszystkiego. Ale trzeba iść — stary czekał.

Myronenko siedział na łóżku i usiłował włożyć swój wyszmelcowany waciak. Spieszył się i niecierpliwił, macał swoją starczą ręką po plecach, ale do rękawa nie trafiał.

— Dokąd to się wybieracie, towarzyszu? — Szumakow usiadł obok niego na skrzynce po granatach-cytrynkach, która zastępowała krzesło.

— Trzeba wracać. Tam czekają.

— Co wy! Z taką temperaturą? Jakżeż wy w takim stanie...

— A ja z prądem wpływ. Podwieźcie mnie tylko samochodem z piętnaście kilometrów w górę.

— Tak, tak, tak — Szumakow spokojnie, ale stanowczo zabrał mu z rąk waciak i położył na łóżku. — Gdzież wy z taką gorączką popłyniecie?

— Ale przecież wysadzą, łajdaki! — prawie krzyknął stary, oburzony, że Szumakow go nie rozumie. — Wysadzą, a ja tutaj...

— Mówiłem już wam, że nie wysadzą — powtórzył znowu Szumakow, akcentując wyraźnie słowa.

Myronenko spojrział na niego swoim nieufnym, surowym wzrokiem, jakby mu coś wyrzucał czy też milcząco karciał go za coś.

— Zresztą, co wy możecie zrobić? Sami nie przeszkadzicie.

— Przeszkadzimy. — Myronenko znów wziął swój zadębiały jak skóra waciak, zarzucił energicznie na plecy i od razu trafił obiema rękami do zatłuszczonych rękawów. — Automaty dacie?

— A jeżeli dam, to co?

— Wystrzelamy ich jak szczury. Napadniemy i wystrzelamy.

Myronenko spuścił nogi na glinianą polepę, zawinął szybko jedną onucę i wzuł but.

— Ilu was jest? — zapytał Szumakow po chwili namysłu.

— Osiemnaście dusz.

— Co to za ludzie?

— Jednym słowem ludzie — odburknął Myronenko. Nie powiedział nic o tym, że większość z nich to kobiety i dzieci. — Wszystkich by Niemcy powywieszali, jakbym ja ich w tych ruinach nie schował.

— Czy ktoś wam polecał ratować ich?

— A kto by miał polecać! Ja mam jednego dowódcę: sumienie.

Szumakowowi zrobiło się nieprzyjemnie. Czyż i bez takiego pytania nie wiadomo było, co mogło starego do tego skłonić?

— Mimo wszystko na siłownię nie próbujcie napadać.

Myronenko wyprostował się.

— To niech wysadzają, tak? — W głosie jego znów słyszano się zdziwienie i rozdrażnienie.

— Pokrzyżujecie nam wszystkie plany swoją napaścią. Zabraniam napadać.

Myronenko osłupiał.

— Zabraniacie — przeciągnął, usiłując uchwycić ukryty w słowach Szumakowa sens, i raptem znów się zakrzytnął. — A jak będzie z automatami, dacie?

— A po co wam one? — zapytał Szumakow.

— Jak to? Człowiek bez broni to nie żołnierz.

— Wy już nie musicie wojować. Ratujcie ludzi.

— Na naszej wyspie bezpiecznie.

— Nie. Trzeba ich tutaj przeprowadzić. A broń... Jeżeli już, to tylko po to, aby się pewnie czuć! — Szumakow umilkł, a potem zawołał: — Cygankow!

Sanitariuszka zerwała się i wybiegła ze schronu na górę. Na dworze rozległ się jej dziecinny głos:

— Cygankow do pułkownika! Cygankow!

Za chwilę wszedł dziarski starszy sierżant z małym, czarnym wąsikiem. Był on rzeczywiście podobny do Cygana — wielkie wilgotne oczy ciemniały na zuchowatej, smągłej twarzy. Cygankow stuknął obcasami i przepisowym ruchem podniósł rękę do czapki. Szumakow zauważył, że w trakcie tego krew uderzyła do policzków sanitariuszki, odwrócił jednak wzrok, aby jej nie peszyć.

— Wydadźcie pięć automatów. Magazynek dobrze owinąć, aby nie zamokły.

— Tak jest! Tylko że pięć to za dużo.

— Ależ z was sknera, Cygankow — uśmiechnął się pułkownik. — Powiedziałem pięć. Jasne?

— Tak jest, towarzyszu dowódco dywizji.

Szumakow jeszcze raz spojrzął na Cygankowa i uśmiechnął się. Sanitariuszka także się uśmiechała, widocznie podobała się jej niezależność i gospodarska stanowczość sierżanta, tak jak podobały się jej inne jego cechy, i w ogóle wszystko.

— A więc pięć — zwrócił się Szumakow do Myronenki.

— Jeżeli więcej nie można...

— Można, ale nie trzeba — łagodnie tłumaczył dowódca dywizji. — I ani jednego strzału, dopóki my nie uderzymy. Obiecujecie?

— Obiecuję.

Szumakow znów uściśnął spracowaną rękę starego i wyszedł.

Czyste nocne niebo tchnęło grudniowym chłodem i świeciło tysiącami wielkich, jaskrawych gwiazd. Dokoła była cisza, tylko z daleka, zza Dniepru, dobiegało niegłośnie terkotanie pojedynczego karabinu maszynowego.

Szumakow przeszedł kilka kroków, stąpając lekko, jakby nie dotykał ziemi butami. Za kaponierą, na której dnie stała bateria dział przeciwlotniczych, cicho podśmiewali się artylerzyści. Szumakow zatrzymał się i nadśluchiwał — rozmawiali o nim, od razu się tego domyślił.

Ochrypły, jakby naderwany głos jakiegoś niemłodego chyba żołnierza opowiadał dosyć wulgarną, a najważniejsze — zmyśloną historię, której rzekomo był naocznym świadkiem.

Kiedyś, mówił, Szumakow przyjechał do pułku i poszedł w krzaki, a kiedy wyszedł, to spodnie trzymał w ręce, bo guzik się urwał. Zaczął zatrzymywać żołnierzy, aby mu któryś dał igłę, ale okazało się, że nikt igły nie miał, i dowódca dywizji ustawiał przed sobą w szeregu wszystkich, do których się zwracał. Jak zebrano się już ze dwudziestu pięciu chłopów, wyjął z czapki własną igłę, przyszył guzik i spytał: „Jasne?”

To wszystko było nieprawdą, nic podobnego nigdy się nie zdarzyło, ale Szumakow z przyjemnością wysłuchał tej naiwnej bajeczki o sobie i życzliwego, dobrodusznego śmiechu, wywołanego tą żołnierską dykteryjką. Oddalił się bezszelestnie, aby go przypadkiem nie zauważono, i wolno szedł ścieżką. Mimo woli nasunęła mu się myśl: A czy wy wiecie, chłopcy, że ja się nie wszystkim podobam? Oczyma wyobraźni ujrzał w tym momencie podpułkownika Lemieszkę, szefa sztabu dywizji, którego Szumakow nie znosił, a potem mignęły jeszcze inne niewyraźne twarze, przypominające jego przedwojennych towarzyszy, z którymi pracował w Czycie.

— A niech was diabli porwą! — powiedział prawie na głos. — Oto moi sędziowie — skinął głową w kierunku artylerzystów, których śmiech słyszał jeszcze do tej pory i powoli szedł dalej.

Jak tylko Szumakow wyszedł ze schronu, Cygankow pochylił się do sanitariuszki i — aby Myronenko nie zauważył — uszczypnął ją lekko w policzek.

— Jak się masz, pampuszkul!

Frosia zarumieniła się, lękliwie obejrzała się na starego i szepnęła:

— Poczekaj, on zaraz pójdzie.

— Nie mogę czekać — odpowiedział sierżant. — Dowódca dywizji mnie wzywa, nie słyszałaś? — Cygankow znów się nachylił, cmoknął ją szybko w kark i wybiegł.

Frosia zaniepokoiła się. Wiedziała, że dowódca pułku, Tereszczenko, niezadowolony jest z jej romansu z Cygankowem, i obawiała się, że i Szumakow już o tym wie. Dowódca dywizji jest samotny, i jak wszyscy twierdzą, nikt nigdy nie takiego u niego nie zauważył. Czy nie dostanie się sierżantowi za nią, czy dowódca dywizji nie rozniewa się i gdzieś go nie odkomenderuje?

Frosia opiekowała się rannymi nie tylko sumiennie, ale i serdecznie. Miała miękkie, dobre serce i żałowała żołnierzy, chociaż już prawie dwa lata służyła w kompanii sanitarniej, napatrzyła się na rannych i miała czas przywyknąć do żołnierskich cierpień. W ostatnich dniach na odcinku zajmowanym przez pułk było zupełnie spokojnie, a więc i rannych mało — w ciągu tego czasu pod jej opiekę dostał się tylko Myronenko. Dlatego też całe swe dobre serce oddała w ten wieczór jemu i przejęła się bardzo, kiedy on z temperaturą zerwał się raptem i zaczął się ubierać.

Teraz jednak niepokoiła się i o niego, i o starszego sierżanta Cygankowa. Trzepotała się i rozrywała między chorym uciekinierem, który, już zupełnie ubrany, znowu usiadł na łóżku — widocznie zmęczył się wkładając waciak i buty — a sierżantem, którego bez pamięci kochała, a nad którym, jak jej się zdawało, zawisło nieszczęście. Jej okrągłe jak u dziecka oczy miotały się w popłochu między Myronenką a drzwiami schronu, pragnęła, aby stary jak najprędzej się podniósł, razem z nim dopędziłaby dowódcę i Cygankowa, pod pozorem, że chorego trzeba odprowadzić.

Myronenko posiedział jeszcze chwilę i wstał. Frosia za-

rzuciła na ramiona przykrótki wojskowy płaszcz i wzięła Myronenkę pod rękę, zamierzając go odprowadzić.

— Ja sam pójdę — powiedział Myronenko. — Teraz już mi lepiej.

— Nie, nie! Ja was odprowadzę.

— Nie trzeba odprowadzać. I tak za wszystko dziękuję.

— Nie ma za co, chodźmy! — omal nie pociągnęła starego do drzwi.

Na dworze było zupełnie ciemno, ale Frosia zobaczyła w oddali dowódcę dywizji i sierżanta. Stali przy schronie majora Tereszczenki.

Podtrzymując Myronenkę, Frosia zbliżyła się i usłyszała głos Szumakowa.

— Przyjdziecie jutro o siódmej.

Serce Frosi zastygło i zamarło. A jednak oni o tym właśnie mówili. Nie darmo przerwali od razu, jak tylko ją spostrzegli.

Zobaczywszy Myronenkę, Szumakow rozkazał sierżantowi:

— Podrzucicie towarzysza. On sam powie dokąd. I żeby wszystko było w porządku.

— Tak jest! — trzasnął obcasami Cygankow.

— No, życzę powodzenia! — Szumakow po raz trzeci uściśnął dłoń staremu ślusarzowi i zszedł do schronu dowódcy pułku.

— Pamiętaj, staruszkule, te pięć automatów to z krwią ci utoczę — zażartował sierżant, idący na samym przodzie.

— Nie przechwalaj się krwią, my też mamy krew w żyłach — odpowiedział Myronenko. — Przelejemy ją dla tej samej sprawy.

— Ależ nie, ja tylko tak. Czego jak czego, ale automatów teraz wystarczy.

— To po co mleć językiem — rzucił surowo Myronenko. Cygankow umilkł. Jak nie ma po co, to nie trzeba.

Frosia dreptała w swoich butach z tyłu, teraz wybiegła naprzód i ostrożnie szarpnęła Cygankowa za rękaw. Kiedy zostali parę kroków za ślusarzem, Frosia wyszeptała:

— Rugał?

— No chyba!

— Bardzo?

— Och, dotąd jeszcze skóra mi cierpnie. — Cygankow

żartował i przekomarzał się, ale głosem tego nie zdradzał i uśmiechu na twarzy Frosia też nie widziała.

— A na siódmą po co wezwał? — bełkotała wylękniona.

— Wiadomo po co, objeżdżać!

— Och ty moje nieszczęście!

— To chyba moje nieszczęście a nie twoje? — ciągnął swoje Cygankow.

— Jak to, Stepanczyk! — omal nie wykrzyknęła. — To nasze wspólne nieszczęście. A co będzie, jak cię przeniosą do innego pułku?

— Będę listy pisał — droczył się z nią dalej. — Codziennie dostaniesz, obiecuję.

— Oj, niedobrze — jęczała.

— To nic, pampuszku, nie martw się. Może jeszcze nie przeniosą, bo nie będzie kogo przenosić.

— Jak to nie będzie kogo? — przelekła się dziewczyna.

— Może mnie przedtem zabiją. Wybieramy się zaraz z tym dziadkiem wpław przez Dniepr. Słyszałaś, automaty będziemy przeprowadzać. No, cóż, może któregoś uda im się trafić, wojna to nie żarty.

Frosia przytuliła twarz do jego rękawa, poczuł, że głowa jej nagle zadrżała. Żal mu się zrobiło dziewczyny. Trzymała go mocno za rękę, jakby się bała, żeby nie uciekł. Cygankow objął ją za szyję — Frosia sięgała mu zaledwie do ramienia.

— No już, już, ja tylko żartowałem! Nie wierzysz?

— Jaki ty jesteś, Stepanczyk! — wyrzucała mu nieśmiało, a głos jej załamywał się od płaczu, którego nie miała siłą opanować.

— Wyprowadzę starego i przyjdę — mówił Cygankow, nachylając się do jej ucha. — Wracaj, tu niebezpiecznie stać. — Słowa jego brzmiały teraz łagodnie, chwytaly za serce.

Frosia przystanęła na ścieżce, a Cygankow pobiegł za Myronenką. Długo jeszcze stała i słuchała, jak głucho dudnią ich kroki na przemarzniętej, piaszczystej dróżce, potem odwróciła się i wciąż jeszcze wycierając szorstkim rękawem okrągłe oczy, poszła powoli do swego schronu.

Na powietrzu Myronence ulżyło i poczuł się prawie zupełnie zdrowy. Ale skrzynka z automatami i magazynkami okazała się za ciężka i Cygankow nie pozwolił, aby stary ją dźwigał. Oprócz tej skrzynki trzeba było zabrać jeszcze

jedną — z konserwami, a także worek z sucharami. Sierżant wziął ze sobą trzech żołnierzy i w pięciu wyruszyli ciężarówką, wzdłuż Dniepru, w górę rzeki.

Kłoda, na której przepłynął Myronenko, została w dole, teraz musieli podjechać dosyć daleko w górę, aby prąd wyniósł tratwę na odpowiednie miejsce. Tutaj za skały lewego brzegu ściągnęli w pięciu kilka pni, które kiedyś ścięły pociski, związali je sznurami i umocowali na nich skrzynie. Tratwa była dosyć bezpieczna, ale Myronenko nie zgodził się na niej usiąść. Gdyby spostrzeżono go na nieprzyjacielskim brzegu i zaczęto ostrzeliwać, to w wodzie będzie bezpieczniej niż na tratwie.

— Ośłonimy was w razie czego — szepnął mu Cyganow na ucho. — Będziemy wracać brzegiem i obserwować.

Myronenko wszedł po szyję do wody i odepchnął tratwę. Na wszelki wypadek przywiązał się do belek: nurt znał jeszcze z dzieciństwa, gdyby się nawet z nim coś stało, to woda i tak wyniesie go razem z tratwą, do której jest przywiązany, tam gdzie potrzeba. Stary odpłynął i po chwili zniknął z oczu, jakby go mrok połknął.

Woda była lodowata, ale Myronenko prawie nie odczuwał zimna, pochłonięty swoimi myślami. A może to gorączka, która znowu zaczęła w ciele buszować, wprowadzała w błąd, udając, że grzeje?

Teraz można już nie obawiać się o swoje życie — najważniejsze zrobione: dowództwo zawiadomił. I o minach, i o tym, ile materiałów wybuchowych podłożyli na zaprzeczek faszystów! — wszystko opowiedział. Wprawdzie ten młody pułkownik nie budował jej, tak jak my budowaliśmy ją za młodu, ale chyba jest ona dla wszystkich tak samo droga? Postarają się chłopcy, nie pozwolą wysadzić. Tacy, jak ten pułkownik, nie rzucają słów na wiatr.

Góry mroku jak nieprzebyte ściany otaczały go ze wszystkich stron. Nic przed sobą nie widział, ale też nie potrzebował widzieć. Każdy skrawek ziemi, który w trzydziestym drugim roku stał się dnem, znał jak własną kieszeń, zdeptał kiedyś bosymi nogami, schodził wzdłuż i wszerz. Tutaj pod nim był chutor Wysełok... Trochę dalej na prawo stał tartak. Jako mały chłopiec nieraz przybiegał tu z kolegami do swojego wujka, który był

maszynistą w tartaku. Tam, bliżej prawego brzegu, gdzie teraz siedzą Niemcy, wznosiła się wysoka skała — potem ją wysadzono w obawie, aby przypadkiem statek na nią nie wpadł i nie przebił dna... Z wierzchołka tej skały skakali do wody i, bywało, z rozpędu jak nie zaczęła pluskać jeden za drugim, tylko bryzgi odbijały się od ich smagłych, do cna spalonych słońcem ciał, twardych jak taran. Wszystko ma w pamięci, o niczym nie zapomniał, pół wieku przeżył od tamtych czasów, a wszystko pamięta...

Gdzieś daleko, od Chortycy, od czasu do czasu błyskał reflektor i niebo robiło się białe jak mleko. Zapłonnie, i na horyzoncie ukazuje się potężny zarys Wielkiej Zapory. Stoi niewzruszona, przecina drogę światłu, kryje Myronenkę przed oczyma wrogów. Ona broni jego, on jej broni. Nic dziwnego — zbratali się, ona go nie zdradzi, tak jak on jej.

W dali trzy razy uderzyła armata — także z Chortycy. I znów zapora przyjęła na siebie te uderzenia i osłoniła go. To nic, jego starcza pierś przyjmie na siebie inne uderzenia, uratuje zaporę. Jak to się nazywało na pierwszej wojnie światowej? Odsiecz podczas walki.

Zrobiło mu się gorąco, miał ochotę zdjąć waciak i rzucić go do wody. Tylko nie ma już sił — jeśliby puścił się belki, zachłysnąłby się i poszedł na dno. Tratwa ciągnie go za sobą jak na holu. Pot zalewał mu oczy. Potem głowa zaczęła ciążyć, wszystko zawirowało i rozplynęło się. Uchwycił się lepiej belki, z całych sił podciągnął się jeszcze bliżej mokrego pnia, mocniej okręcił sznur, którym był do niego przywiązany. Teraz nie utonie, nawet jak Niemiec dobrze wyceluje i trafi, niech go licha porwie!

O świcie tratwa przybiła do ściany, pod którą na nią czekano. Myronenko był martwy. Mocno przywiązany do belki, oparł na niej głowę i zastygł. Krwi nigdzie nie było widać: na wojnie umiera się nie tylko od kuli...

Część druga

DROGA NAD PRZEPAŚCIĄ

1

Pułkownik Szumakow zapoznał się ze Sztukarenką przypadkowo. Stało się to w czerwcu 1942 roku, kiedy Niemcy zaczęli swoje gwałtowne natarcie na Froncie Południowym, które zatrzymało się dopiero na prawobrzeżnych wożańskich stepach.

Na północy, jeszcze ubiegłej jesieni, podeszli oni prawie do samego Donu — Borysoglebsk i Woroneż uchodziły już za miasta przyfrontowe, a na południu wojna nie przekroczyła nawet Dońca, i w Starobielsku oraz Woroszyłowgradzie mieściły się urzędy centralne okupowanej już prawie w całości Ukrainy.

Dywizja, którą miał dowodzić Szumakow, była w trakcie przeformowywania i stała pod Rostowem. Z nominacją w kieszeni przyleciał on z Moskwy do Woroszyłowgradu,

a stąd rozklekotanym gazikiem wyruszył na miejsce rozlokowania dywizji, aby objąć stanowisko poprzedniego dowódcy, poległego w walce.

Gazik toczył się lekko po piaszczystej stepowej drodze, zostawiając za sobą olbrzymi ogon wzbitego kołami pyłu, który długo nie osiadał w ten cichy, bezwietrzny dzień i wisząc w powietrzu, czynił go dusznym i zabarwiał ciemnym, złowieszczym kolorem.

W przeddzień zaczęło się niemieckie natarcie. Lawina czołgów runęła na pozycje dziewiątej armii i zdezorganizowała jej szyki bojowe. Grupami i pojedynczo, najczęściej pieszo, po obu stronach drogi ciągnęli żołnierze z rozbitych oddziałów. Czasem na pełnym gazie w kierunku Donu mknęły nabite rzeczami i ludźmi samochody cywilne — nie zatrzymywały się, jeśli ktoś z pieszych prosił, aby go podwieźć, tylko jak oszalałe gnały na wschód.

Gazik Szumakowa wiozł cały frontowy dobytek przyszłego dowódcy dywizji. Na jakieś dziesięć kilometrów przed stacją Wieszenska zatrzymał go idący pieszo starszy komisarz batalionowy, który nie wiadomo dlaczego miał przewieszony przez ramię lotniczy mapnik. Wysokiego wzrostu, o szczupłej, pociągłej twarzy, pokrytej pyłem i potem, przypominał Don Kichota, co w pogoni za wieczną prawdą błąka się pieszo po wyblakłych kastylijskich polach. Słońce prażyło niemiłosiernie, i Szumakow, zobaczywszy z daleka tę nadmiernie wyrośniętą postać, pomyślał nie o Don Kichocie, lecz właśnie o wyschniętych kastylijskich stepach, które jeszcze zupełnie niedawno widział tak samo opustoszałe i wypalone słońcem.

— Podwieźcie do Kałacza! — zawołał piechur, przyłożywszy do ust dużą, ciemną dłoń.

— Ja... na Wieszenską — powiedział Szumakow.

Kierowca zahamował i samochód przystanął.

— Nie wiadomo, czy się tam przeprawicie — zauważył pieszy, podszedłszy bliżej.

— Myślicie, że zbombardowali przeprawę? — zapytał Szumakow.

— Nie wiem, czy zbombardowali, ale niedawno lecieli w tamtym kierunku.

Szumakow pojechał dalej, a starszy komisarz batalionowy zszedł z szosy na prawo i krocząc ubitą ścieżką skierował się w swoją drogę.

Był to Sztukarenko. Służył on w zarządzie politycznym Frontu i wracał teraz z dwutygodniowego wyjazdu służbowego. Wczoraj, kiedy zaczęło się niemieckie natarcie, był już w drodze i o wydarzeniach z ubiegłej nocy dowiedział się przypadkowo od jakiegoś oficera politycznego. Oficer ten obiecał mu, że o świcie zabierze go na swój samochód, który miał jechać po amunicję gdzieś nad Don. Sztukarenko obudził się o piątej, lecz okazało się, że oficer już wyjechał, zapomniawszy o swej obietnicy. Trzeba było wyruszyć pieszo, z nadzieją, że może ktoś inny podwiezie.

Słońce szalało, zawisnąwszy w zenicie. Zamarło na miejscu i wysokie, czerwone niebo buchało żarem, jakby zamierzało spalić wszystko dokoła. Sztukarenko, dotarłszy do skrzyżowania dwóch szerokich dróg, postanowił odpocząć. Pod wysoką ścianą cudem ocalałego żyta znalazł smugę cienia, usiadł ciężko na ziemi i odetchnął z ulgą.

Po kilku minutach na północnym trakcie ukazały się dwie ciężarówki i pomknęły na zachód — tam, skąd on dopiero co przyszedł. Zdziwiło go to, gdyż w tamtym kierunku nikt już prawie nie jechał. Sztukarenko domyślił się, że samochody wpadły na zbombardowaną przeprawę i teraz miotają się, nie wiedząc, gdzie się podział.

Za pięć minut na drodze, którą pojechał pułkownik gazikiem, zjawił się wielki, kryty wóz. Zatrzymał się na skrzyżowaniu.

Z kabiny wyszedł młodziutki, nad podziw schludny i szykowny lejtenant i skierował się do Sztukarenki. Z daleka jeszcze zasalutował.

— Nie macie przypadkiem mapy, towarzyszu starszy komisarzu batalionowy? — zapytał. — Dalej niż do Morozowskiej mapy nie wydrukowali, widocznie nie szykowali się wojować za Donem. — Lejtenant uśmiechnął się z żałowaniem, jakby to on osobiście był winien, że nie wydrukowano map.

— A gdzie wy jedziecie?

— Przeprawy szukamy. W Wieszenskiej już byliśmy,

zbombardowali, dranie. I w Serafimowiczu zbombardowali. A sztabowa mapa sięga tylko do Morozowskiej, a dalej nie ma nic.

A więc nie omylił się, informując przejeżdżającego pułkownika, że tu w pobliżu przeprawy nie znajdzie.

Sztukarenko szarpnął rzemień, na którym wisiał mapnik, i wyjął z niego złożoną w ośmioro szkolną dwudziestopięciokilometrówkę, którą podarował mu Wowa, jak ojciec wyjeżdżał na front. Ta mapa o wielkiej skali ukazywała całą europejską część Związku Radzieckiego i na wojnie praktycznie nie mogła być przydatna. Ale Sztukarenko strzegł jej i nosił przy sobie, po prostu jako pamiątkę od syna.

Rozłożył mapę na poźółkłej trawie i razem z lejtenantem zaczął ją studiować! Trudno było na niej coś dokładnie określić, ale miasta i wielkie stacje zaznaczono na mapie, i łatwo można było odnaleźć Starobielsk, Kantemyriwkę oraz stanicę Morozowską, leżące w pobliżu.

Zajęty studiowaniem swojej uczniowskiej mapy, Sztukarenko nie zauważył nawet, że na skrzyżowaniu zatrzymał się jeszcze jeden samochód, potem podjechało jeszcze kilka, potem jeszcze. Kiedy oderwał wzrok od mapy, wokół niego stał już tłum żołnierzy i oficerów różnych stopni. — Starszy komisarz batalionowy ma mapę — usłyszał pełne ufności i nadziei szept. Sztukarenko zrozumiał, że widocznie lejtenant miał rację — dalej niż do Morozowskiej Sztab Generalny rzeczywiście map polowych nie wydrukował.

Wszyscy w milczeniu czekali na decyzję Sztukarenki.

— Tylko na Kałacz — wyznaczył on najlepszy kierunek odwrotu. — Są też i bliżej przeprawy, ale zanim tam dojdziecie, Niemcy mogą je zniszczyć. Lepiej skierować się na południe.

Złożył swoją mapę i zaczął ją wpychać pod celuloidowy kwadrat mapnika. W tej chwili za plecami otaczających go ludzi rozległ się głos:

— Pozwólcie spojrzeć.

Sztukarenko obejrzał się na dźwięk tego głosu i zobaczył pułkownika, który dopiero co pojechał gazikiem na Wieszeńską i zdążył się już przekonać, że nie ma tam przeprawy.

— Nie mogę, towarzyszu pułkowniku — uśmiechnął się komisarz.

— Jak to nie możecie? — oburzył się tamten.

— A tak. Do rąk nie mogę dać.

— To mój rozkaz! — szarpnął Sztukarenkę za rękaw.

— To nie jest wojskowa mapa, to moja osobista własność.

Dokoła zaszemrano, popierając Sztukarenkę. Wszyscy obawiali się, że pułkownik, jako najstarszy spośród obecnych, zabierze mapę i pojedzie precz. I chociaż on zupełnie nie miał takiego zamiaru, nikt w takich okolicznościach nie był pewien, czy wzięwszy ją do ręki, postąpi uczciwie. A od mapy zależało teraz zbyt wiele, i nikt nie chciał ryzykować.

— Co za bezczelność! — mruknął Szumakow, ale nie upierał się dłużej i z miną obrażonego majestatu wrócił do swego samochodu. Usiadł obok kierowcy, ale nigdzie nie pojechał, postanowił czekać.

— Może pojedziecie z nami? — zwrócił się do Sztukarenki lejtenant, który podszedł pierwszy. — Mam w wozie radiostację, połączymy się ze sztabem Frontu, dowiemy się, jaka jest sytuacja, i w ogóle...

Ze sztabem nie można się było połączyć, gdyż nikt nie znał sygnałów wywoławczych. Mimo to Sztukarenko przyjął propozycję lejtenant: radiostacja w danych okolicznościach mogła się przydać.

Sztukarenko postanowił zjechać z głównej drogi i spróbować przeprowadzić się jarami, gdzie przebiegały międzywsiowe dróżki, nad którymi w najbliższym czasie niemieckie samoloty nie mogły się zjawić. Nieprzyjacielskie lotnictwo zajęte było głównymi szlakami, gdyż tamtędy wycofywały się zasadnicze siły armii. Szalały tam rozbestwione messerschmitty, ostrzeliwując każdy samochód z oddzielną i nurkując nawet na pojedynczych ludzi.

Ale jak przedostać się do tych jarów, z mapy trudno się było zorientować.

Na szczęście nawinał się jakiś starszy człowiek z tułtejszych kołchoźników. Wyjaśnił, że jak przejedzie się główną szosą ze trzy kilometry, na lewo będzie tylko co przebita droga — zupełnie nowiutka, po niej nikt jeszcze nie jeździł. Droga co prawda jest całkiem świeża,

ale przy takiej suszy bez trudu po niej przejadą. Pro-
wadzi ona prosto do Semeniwskiej, gdzie zaczynają się
właśnie te międzywsiowe dróżki, co idą przez jary.

— Kto z nami? Ruszamy! — krzyknął stanowczo Sztu-
karenko i wszedł do kabiny. Lejtenant kazał kierowcy
wejść do skrzyni wozu i sam usiadł za kierownicą.

Samochód ruszył, a za nim pociągnęli inni.

Słońce nie darmo przypiekało tak od samego rana. Na
rozgrzanym aż do białości, wysokim dońskim niebie
zjawiły się pojedyncze chmurki — niewielkie, ale ciężkie
i ciemne. Ludzie, zajęci wytyczaniem swojej przyszłej
marszruty, nie zauważyli, jak chmurki te, pędząc na
pożądliwy zew spragnionej ziemi, zbijały się razem
i ciężko kłębiły się nad odurzonym spiekotą stepem.

Kiedy pierwszy samochód, w którym jechał Sztuka-
renko, zbliżył się do szlabanu zamykającego wstęp na
potrzebną im drogę, w powietrzu czuło się już burzę,
a nad ziemią zawisnął ciężki, ciemny cień. Lejtenant
zatrzymał wóz, wyskoczył z kabiny i odsunął długą
żerdź zagrządzającą wjazd. Samochody znowu ruszyły,
zostawiając obok główną magistralę, i skrzyły na szlak
wybrany przez Sztukarenkę.

Teraz była to już cała kolumna. Sztukarenko nie
zauważył nawet, że rozrosła się ona do kilkudziesięciu
pojazdów. Kiedy wyrzwał z kabiny, zobaczył za sobą
długi ogon: ciągnęły za nimi już nie tylko ciężarówki
z wojskiem, ale i kilka dział, cystern z paliwem i jakieś
pokryte brezentem maszyny, których przeznaczenia nie
mógł się domyślić.

Kazał lejtenantowi jechać powoli, aby nie wzbijać
kurzawy na szlaku, bo pojazdy mogły zwracać uwagę
niemieckich lotników, uganiających się przez cały czas
nad stepem.

Droga okazała się zupełnie nowa, nie było na niej
widać żadnego śladu. Miękka nawierzchnia ugięła się
lekką pod kołami pojazdów, jakby kolumna pełzała po
szlaku zasłanym głębokim śniegiem.

Raptem niebo rozbiły oślepiającą smugą, otwierając
swe wnętrza. Z przodu uderzył piorun, od którego, zda-
wało się, ziemia rozpadnie się na pół. I od razu po nim
lunęły w dół ciężkie batogi wody, przesłaniając wszystko
dokoła ciemną, rozedrganą zasłoną. Woda zalewała przed-

nie szyby samochodu, uwijały się po nich skrętne wycieraczki, ale nie mogły się uporać z deszczem.

Trzeba się było zatrzymać, gdyż w nagłym półmroku łatwo się można obsunąć do rowu lub na stepową rolę, skąd później nie wydostaniesz się z powrotem na drogę.

Ulewa nie trwała długo — może z pięć minut. Urwała się tak samo niespodziewanie, jak się zaczęła. Raptem zabłysło słońce, wokół zaśniły deszczowe krople, które zawisły na wysokich burzanach, i do kabiny wionęło wonną świeżością mokrej ziemi i miodowymi zapachami stepowych kwiatów.

Lejtenant włączył biegi, ale koła zabuksowały i nie ruszyły z miejsca. Spróbował cofnąć wóz, ale i to się nie udało. Z kabiny wyskoczył Sztukarenko, a ze skrzyni kierowca; próbowali obaj popchnąć samochód: koła przeraźliwie zapiszczały, opryskały ich gęstym błotem i aż po same piasty zaryły się w podmokły grunt.

Sztukarenko obejrzał się i zobaczył, że nad kolumną wisi chmura siniego benzynowego dymu: nie tylko oni nie mogli ruszyć z miejsca. Z samochodów wyskakiwali żołnierze i grzęznąc po kolana na rozmięklej drodze, usiłowali pomóc silnikom swoich wozów. Koła obrzucały ich mokrą ziemią i zakopywały się coraz głębiej i głębiej w czarny, lepki czarnoziem. Niektórym z nich udało się ruszyć z miejsca, ale nie było jak przejechać, gdyż przed nimi buksowały inne, zagradzając im drogę. Skreślały więc z szosy, obawiając się zatrzymać, z ciężkim wyciem przetaczały się przez rowy i wypełzały na pole. Ale tam było jeszcze gorzej — silniki gasły i pojazdy stawały.

W raptownej ciszy, jaka zapadła po zamilknięciu ostatniego silnika, Sztukarenko usłyszał, jak ktoś z tyłu krzyknął:

— Wyprowadził, drań!

Oczywiście mogło to tylko jego dotyczyć.

— Ano, dawać go tutaj, łajdaka! — krzyknął ktoś znowu. — Gdzie on jest z tą swoją parszywą mapą?

Lejtenant wcześniej niż Sztukarenko zorientował się, czym to pachnie w takim momencie.

— Schowajcie się do wozu. Szybko!

Sztukarenko nie zdążył się nawet opamiętać, lejtenant otworzył drzwiczki i wepchnął go do kabiny radiowej.

Kiedy drzwiczki zamknęły się i szczęknął angielski zamek, lejtenant zobaczył, że od tyłu kolumny idzie ktoś do jego samochodu z pistoletem w rękę. Był to ten sam pułkownik Szumakow, który chciał zabrać mapę Sztukarenki. Bez słowa, lecz z groźną miną, zbliżał się do pierwszego wozu po grząskiej ścieżce i wreszcie podszedł.

— Gdzie on jest? — zapytał krótko Szumakow.

— Kto? — odpowiedział pytaniem lejtenant, udając, że nie rozumie.

— Jak to kto? — krzyknął pułkownik, a stanowczy ton jego głosu nie wróżył nic dobrego.

— Aha! Chodzi wam pewnie o tego starszego komisarza batalionowego? — zaczął z głupia frant lejtenant. — On wysiadł jeszcze przedtem, zanim skręciliśmy na tę szosę.

— Wysiadł? — zmieszał się pułkownik. — Jak to wysiadł?

— Mówił, że musi iść w inną stronę. Ruszył piechotą, jak my stanęliśmy przed szlabanem.

— Ach tak! — Szumakow obejrzał się na główną drogę, której nie było już stąd widać. Teraz nie miał żadnych wątpliwości, że na tę nową, nie ujeżdżoną drogę wprowadził ich świadomie jakiś dywersant przebrany za starszego komisarza batalionowego. — A wy też... kapuściana głowa... On ma mapę!... Pierwszego lepszego niegodziwca spotkali i rozmiękli jak szmata. Pewnie nawet i o dokumenty nie zapytaliście?

Lejtenant stał wyprężony jak struna i bełkotał:

— Jakoś nie wypadało... Był przecież w mundurze...

— Ja jeszcze z wami porozmawiam potem... Poczekaćcie. — Szumakow wsunął pistolet do kabury i poszedł z powrotem do swego gazika.

Nie można było ani jechać dalej, ani zawrócić. Trzeba było zaczekać, aż droga trochę podeschnie. Niebo lśniło i płonęło. Chmury rozwiały się, jakby ich nigdy nie było, step dokoła parował i można się było spodziewać, że droga szybko obeschnie.

Sztukarenko siedział w kabinie radiowej w zupełnych ciemnościach. Nigdy w życiu nie znalazł się jeszcze w takiej idiotycznej sytuacji. Jak diabeł w beczce, pomyślał, i omal nie wybuchnął śmiechem, przypomniaw-

szy sobie ten znany wodewil i to, jak wystawili go uczniowie w Oleszkach. On sam nie brał w nim udziału, ale grał rolę popa w innym, który był drugim numerem tego przedstawienia. Do zapadniętego brzucha przywiązano mu dwie poduszki, aby wyglądał bardziej przekonywająco, lecz podczas spektaklu sznurek się rozwiązał i poduszki wypadły spod sutanny. Widzowie wprost szaleli ze śmiechu, w szopie, gdzie odbywało się przedstawienie, powstał niesamowity rozgardiasz.

Wspomnienie to rozbawiło Sztukarenkę i teraz, ale trzeba je było odpędzić. To bezsens — siedzieć w tej skrzyni i chować się przed kimś. Podniósł rękę, aby zastukać w ściankę z dykty, ale przez szparę w drzwiczkach zobaczył ogoloną starannie twarz Szumakowa i żuchwy grające na jego policzkach. Z komunikatów wojennych Sztukarenko wiedział o pewnych tragicznych wypadkach samowolnych wyroków wykonywanych na podstawie mylnych podejrzeń, szczególnie podczas masowych odwrotów, kiedy niektórym wydawało się, że lepiej rozstrzelać niewinnego niż zostawić w swoich szeregach zdrajcę lub szpiega. Teraz okoliczności tak się składały, że nikt by go nie chciał wysłuchać: kolumna rzeczywiście znalazła się w trudnym położeniu, gdyż na niebie bez przerwy buszowały nieprzyjacielskie samoloty.

Sytuacja Sztukarenki była upokarzająca, ale nawijając się pod rękę nie znanemu pułkownikowi także nie było sensu.

Szumakow powstał jeszcze przez chwilę i wściekły poszedł z powrotem wzdłuż kolumny. Teraz lejtenant zastukał do pokrytej dyktą kabiny i szepnął: — Siedzieć i milczeć. — Trzeba było się z tym pogodzić — lejtenant miał rację.

Pojazdy powstały tak z godzinę, aż droga trochę podeschła. Do czoła kolumny znów podszedł Szumakow i kazał zapuścić silnik. Za nim przyszła spora grupa żołnierzy, wspólnymi siłami popychali samochód, aż nabrał szybkości i sam mógł się posuwać. Następnie zrobili to samo z drugim. Tak wspólnie uruchamiali każdy wóz, aż cała kolumna ruszyła z miejsca i potoczyła się naprzód.

Wkrótce dotarli do dońskich jarów. Tutaj deszcz wcale nie padał i wijąca się wąska, utorowana dróżka pobły-

skiwała metalicznymi koleinami. Nie opodał siniał Don, jechali na południe wzdłuż rzeki, która to ukazywała się, to znikwała za pobliskimi wzgórzami. Widzieli, jak niemieckie samoloty, grupami i pojedynczo, nurkują na staniczne przeprawy, rozlegały się ciężkie wybuchy zrzuconych przez nie bomb, ale kolumny sunącej nizinami stepowych jarów samoloty jednak ani razu nie wykryły.

Wieczorem, na pierwszym postoju, kiedy dla wszystkich było już oczywiste, że udało im się wymknąć tylko dzięki pomysłowo obranej marszrucie, Sztukarenko wygramolił się ze swojej kryjówki i poszedł prosto do Szumakowa.

— Czy nie wydaje się wam, żeście się za bardzo gorączkowali, towarzyszu pułkowniku? — uśmiechnął się.

Szumakow oszołomiony patrzył na niego, nie zdając sobie sprawy, kim on jest. Wówczas Sztukarenko otworzył swój lotniczy mapnik i wyjął mapę Wowy.

— Teraz, jak chcecie, możecie ją wziąć.

Szumakow nie wziął mapy i tylko wykrzyknął:

— Gdzie wyście byli, niech was diabli porwą?

— Schowałem się przed waszym sprawiedliwym gniewem — roześmiał się głośno starszy komisarz batalionowy. — Rozstrzelalibyście mnie, niewiele brakowało.

— A to spryciarz! — śmiał się zdumiony Szumakow. — Przechytrzył mnie. — Po przyjacielsku klepał Sztukarenkę po ramieniu, pełen szczerego podziwu.

...Później, kiedy Szumakow dowodził już dywizją, nie raz spotykał się ze Sztukarenką w zarządzie politycznym Frontu. A jeszcze później, kiedy zginął komisarz i na miejsce poległego potrzebny był godny zaufania człowiek, Szumakow postarał się, aby to był Sztukarenko.

Od tego czasu ani razu się nie rozdzielili i przeszli razem długi szlak.

2

Dwa razy życie próbowało złamać Iwana Szumakowa, ale w obu wypadkach uciekało się ono do takich podstępnych sposobów, że tylko rodziło w nim desperacki protest i zaciekły opór, które w rezultacie czyniły go silniejszym i pomagały nie ugiąć się i nie schylić czoła.

Pierwszy raz stało się to w barcelońskim porcie, kiedy do nabrzeża przycumował podziurawiony odłamkami zardzewiały statek, na którym miał on nadzieję uratować resztki swego batalionu.

Gdyby Sabina zgodziła się z nim wyjechać, może tragizm wojskowej porażki nie wydawałby się taki straszny, jak w tej chwili. Szumakow rozumiał, że wojna na hiszpańskiej ziemi to tylko próba sił, że klęska na krwawych ćwiczeniach nie przesądza wyników przyszłego, decydującego boju. Ale Sabina nie mogła z nim wyjechać, nie mogła opuścić swojej ojczyzny w najcięższym momencie. Zresztą on nie wymagał tego, gdyż sam po sobie wiedział, co może w takim czasie czuć uczciwy człowiek.

Sabina przyciskała do piersi swoją fotografię, którą, jak nakazuje narodowy zwyczaj, miała rzucić do morza, kiedy konwój podniesie kotwicę i odbije od hiszpańskich brzegów. Obraz tej, która na wieki rozłącza się z ukochanym, powinien popłynąć za jego statkiem, a jej miłość — na wieki i dla wszystkich — rozwiać się w morskiej mgle... Kiedy Szumakow dowiedział się, co ona chce zrobić i co ma oznaczać jej czyn, wyrwał zdjęcie z rąk kochanej dziewczyny i omal nie rozplakał się z oburzenia: on nie chciał, aby ich miłość rozwiała się i umarła na zawsze! I raptem uwierzył nie tylko w bliskie spotkanie, ale i w nieuchronną klęskę wszystkiego, co ich rozdzielało i usiłowało zabić ich miłość — miłość zrodzoną w ogniu walk, kiedy on, raniony pod Huescą, wracał do zdrowia w madryckim szpitalu.

Po raz drugi życie zamierzyło się na siły jego duszy w innych okolicznościach i w zupełnie innym czasie — późną jesienią 1941 roku. Przedzierał się z okrażenia po ciężkich walkach pod Smoleńskiem, w pobliżu rodzinnych stron — około trzydziestu kilometrów od wioski, gdzie dotychczas mieszkali jego rodzice. Wychodziło z nim ponad stu żołnierzy, pozostałych z dywizji, w której był szefem sztabu.

Jakoś nad ranem, kiedy po trudnym nocnym marszu oddział zaszył się w głębi lasu, aby trochę odpocząć, wartownicy usłyszeli podejrzaną trzask gałązek i po krótkich obserwacjach stwierdzili, że prawie tuż obok nich rozlokowała się inna grupa żołnierzy, którzy na

pewno też przedzierają się do swoich z nieprzyjacielskiego pierścienia. Okazało się, że są to resztki pułku, który walczył na ich lewym skrzydle. Szumakow zdziwił się bardzo, kiedy zobaczył, że zwiadowcy, wysłani dla nawiązania łączności, wrócili z dowódcą oddziału podpułkownikiem Kołomijcem, którego on dawniej dość dobrze znał.

Trudno go było poznać. Nie widzieli się tylko cztery lata, ale Kołomijec postarzał się o jakieś dwadzieścia pięć lat. Duże, głęboko osadzone czarne oczy wydawały się jeszcze większe ze względu na nienaturalnie kościstą twarz, a cała jego postać, zgarbiona i wychudła, nie przypominała w niczym dawnego Kołomijca. On jednak od razu poznał Szumakowa i serdecznie, lecz z pewnym zażenowaniem, uśmiechnął się swymi wąskimi, ruchliwymi wargami. I dopiero ten uśmiech — jedyne, co pozostało w nim z tych czasów, kiedy się spotykali — zmusił Szumakowa do okrzyku:

— Kołomijec!

— Tak, to ja.

— Skądęście się tu wzięli?

— Wydaje mi się, że mamy jeden azymut, towarzyszu pułkowniku. — Kołomijec wciąż jeszcze uśmiechał się, ale już bez zażenowania, radośnie, jakby spotkał nie przypadkowego znajomego, lecz bliskiego przyjaciela, którego od dawna szukał.

Do trzydziestego szóstego roku służyli obaj w Czycie. Szumakow w jednostce liniowej, a Kołomijec w komendzie miasta. Potem Szumakow wyjechał do Hiszpanii i nie wrócił już do Czyty, lecz do Moskwy, i nic więcej o Kołomijcu nie słyszał.

Postanowili połączyć oddziały i razem przebijać się do swoich.

Następnej nocy ruszyli dalej na wschód. Niemcy nie zapuszczali się jeszcze do tych głuszy — starcie mogło nastąpić na drugi dzień, dopiero jak wyjdą z lasu.

Szumakow i Kołomijec kroczyli na czele swojej połączonej kolumny. Buty zapadały głęboko w poźółkłe, zwiędnięte liście wojny. Pokaleczony pociskami las stracił swą szatę przedwcześnie i nie z własnej woli.

Nagle Kołomijec zapytał:

— A was kiedy zwolniono, przed rozpoczęciem wojny?

Szumakow aż przystanął z wrażenia, zdawało mu się, że się przesłyszał.

— O czym wy mówicie?

— Pytam, kiedy zwolniono was z więzienia?

— Mnie? — Szumakow osłupiał. Wciąż jeszcze stał bez ruchu.

Ścieżynka była wąska, żołnierze idący za nimi podeszli już zupełnie blisko. Kołomijec wziął Szumakowa za rękę i odprowadził go nieco w bok, aby pozwolić im przejść.

Szumakow zbliżył się do Kołomijca, stanął z nim oko w oko i ledwie dosłyszalnie wymamrotał:

— Zwariowaliście, czy co?

— Czyżby was nie znaleziono? — zdziwił się Kołomijec. I, domyśliwszy się, że tak właśnie się stało, dodał:

— Przecież na początku trzydziestego siódmego roku rozpoczęto przeciwko wam śledztwo, poszukiwano was. I do mnie, kiedy pracowałem jeszcze w Czycie w komendzie miasta, nieraz zwracano się o informacje o was. Okazuje się, że jednak was nie odnaleziono...

Żołnierze szli gęsiego, potykali się o krzaki i, rozgarniając rękami gałęzie, przechodzili dalej. Szumakow nie ruszał się z miejsca, nie pojął jeszcze do głębi tego, co z takim spokojem oznajmił mu Kołomijec, ale przeczuwał już, że nad całym jego życiem zawisło coś strasznego, czego się nie da odwrócić.

Obaj długo milczeli, przepuszczając obok siebie żołnierzy. W końcu Kołomijec zauważył przerwę w szeregu idących i znów wziął Szumakowa za rękę.

— Chodźmy.

Szumakow ruszył za nim, gwałtownie wstrząsnął ramionami, jak gdyby usiłował zrzucić z siebie przygniatający go ciężar, i wymamrotał:

— To przecież jakaś bzdura...

— Ładna bzdura! — niemal wesoło wykrzyknął Kołomijec. — Po prostu wam się udało.

— Co mi się udało? — Szumakow z gniewem spojrzał na Kołomijca.

— To, że z Hiszpanii nie wróciliście do Czyty.

— Nie rozumiem, o czym wy mówicie — oburzył się Szumakow. — Nie popełniłem żadnego przestępstwa i nikt nie mógł mnie poszukiwać.

Kołomijec na razie nic nie odpowiedział i dopiero po chwili rzekł posepnie:

— Dziwny z was człowiek, pułkowniku.

W słowach Kołomijca dźwięczała wyraźna przewaga człowieka, doświadczonego gorzkimi przeżyciami. Szumakow wyczuwał to i nie wiadomo dlaczego dopiero teraz właśnie zrozumiał całą powagę tego, co usłyszał.

— A o cóż mnie oskarżono? — spytał zachrypniętym głosem.

— Dlaczego mówicie „oskarżono?” — Kołomijec umilkł na chwilę. — Chcieliście chyba wiedzieć, o co was oskarżają? Szczegółami się nie interesowałem.

— Ale co ja mam z tym wspólnego, niech to diabli wezmą! — oburzył się znowu Szumakow.

— Dlaczego wy na mnie krzyczycie? — roześmiał się Kołomijec.

— Absolutnie nic z tego nie rozumiem! — gorączkował się Szumakow, jak gdyby to Kołomijec go oskarżał, a nie ktoś zupełnie mu nie znany.

Podpułkownik spochmurniał i nic nie odpowiedział. Pomilczawszy chwilę, znowu mruknął:

— Dziwny z was człowiek...

Szumakow nie myślał o tym, co mogło się stać, gdyby z Hiszpanii powrócił do Czyty lub gdyby te poszukiwania zakończyły się powodzeniem. Oburzało go samo nieporozumienie, sama możliwość tego, że o coś go oskarżano. A może chodzi o Hiszpanię? Zabroniono wycofywać się bez rozkazu, a coś takiego zdarzyło mu się kiedyś...

— To jakies wierutne głupstwo! — powiedział ledwie dosłyszalnie.

— Oczywiście, że głupstwo — westchnął Kołomijec. — Tylko że z takich głupstw zrodziło się wiele nieszczęścia, a jeszcze więcej zła.

— Co robić? — zapytał zdezorientowany Szumakow.

— A co wy możecie zrobić? — zdziwił się Kołomijec.

— Jak to co? Chyba nie milczeć... Powinienem zameldować, gdzie trzeba.

— Myślę, że najpierw musimy się przebić do swoich — odezwał się Kołomijec.

Tak, to nonsens pytać teraz, co robić. Całą noc brnęli przez błota i przedzierali się przez gęste zarośla, ludzie

zupełnie opadli z sił. Wielu jest rannych, niektórych niosą na rękach... Co można jeszcze zrobić — oprócz jednego: iść naprzód z nadzieją, że niektórym uda się przebić.

Przed nimi grzmiała niemiecka artyleria — do Dniepru został jeszcze jeden nocny przemarsz. Wypadnie przebijać się przez niemiecką pierwszą linię, i Szumakow rozumiał dobrze, co to znaczy.

Trzeba zdobyć żywność, choć trochę podtrzymać ludzi. Stąd już tylko krok do jego rodzinnej wioski: a gdyby tak zawrócić? Tam wszystkich zna, tam mu pomogą.

Kiedy powiedział o tym Kołomijcowi, ten błysnął na niego oczyma i gniewnie, niemal z pogroźką uprzedził:

— Nie próbujcie tylko...

— O co chodzi? — zdumiał się Szumakow. I naraz zrozumiał, o co Kołomijec go podejrzewał. I tak samo jak on, stanowczo i z pogroźką, zapytał:

— Nie próbować czego?

Kołomijec nie odważył się odpowiedzieć otwarcie. Po twarzy Szumakowa widział, że pułkownik domyślił się, przed czym on go przestrzega. Odwrócił się i cicho rzekł:

— Meldować o tym wszystkim nie próbujcie. Kiedy przedrzemy się do swoich, nie starajcie się usprawiedliwiać.

— Dlaczego?

— Niepotrzebnie tylko w biedę się wpakujecie.

Szumakow ponuro milczał. Nie, Kołomijec nie to chciał powiedzieć. Myślał zupełnie o czym innym — o czymś strasznym. Jakim prawem go podejrzewa?

Szumakow włókł się obok Kołomijca — głodny i zupełnie znużony. Ledwie poruszał nogami, ale wciąż myślał i myślał, bo to, co się tak niespodziewanie na niego zważyło, było straszniejsze od głodu, straszniejsze nawet od śmierci, która w tym lesie czaiła się za każdym krzakiem. Dlaczego on mu o tym tutaj, w okrażeniu, powiedział? Dlaczego nie poczekał, aż przebijemy się do swoich. Chciał sprawdzić, jak ja postąpię, kiedy będę miał możliwość wyboru?

— Przebijemy się do swoich, zamelduję — powiedział Szumakow, podsumowując na głos swoje myśli.

— I zrobicie głupstwo.

— Ja nie jestem nic winien i nikogo się nie boję.

— Ależ zrozumcie! Ten, co zaprowadził dla waszej sprawy grubą teczkę, za nic w świecie nie przyzna się, że się pomylił. Będzie się bał o swoją skórę. Gardło wam przegryzie, ale siebie nie wystawi pod nóż. A jak zginie jeszcze i pułkownik Szumakow, kto na tym skorzysta? Ojczyzna czy nieprzyjaciel?

Były to stanowcze słowa — uderzały swoją bezwzględną logiką i prostotą.

— Rozumiem — samymi tylko wargami wymamrotał Szumakow.

— O to właśnie chodzi — Kołomijec położył mu rękę na ramieniu. — Zmiażdżymy Hitlera, wtedy się rozpatrzmy. To dla nas najważniejsze.

Tak, najważniejsze. A to, że istnieje gdzieś oszczerca, to mniej ważne. Szumakow przedzierał się przez zarośla, rozgarniał przed sobą gałęzie i przez cały czas myślał, jakby chciał coś na gorąco rozstrzygnąć. Zdawał sobie sprawę, że Kołomijec ma rację: jest coś najważniejszego, o czym nie wolno zapominać. Ale i to mniej ważne nie dawało spokoju. Zmęczenie dawało się we znaki, myśli się plątały. Szumakow nie mógł nic ani zrozumieć, ani rozstrzygnąć.

Więcej nie rozmawiał o tym z Kołomijcem. Do nieprzyjacielskich pozycji został tylko jeden przemarsz. O świecie wyjdą nad Dniepr i zaczną się przebijać.

...Kołomijec zginął już na drugim brzegu Dniepru, ugodzony śmiertelnie odłamkiem niemieckiej miny. Szumakow leżał obok na przybrzeżnym piasku, ranny w nogę i w brzuch od tej samej miny, która zabiła Kołomijca. Trzeba się było jak najszybciej odczołgać, bo nikt nie mógł mu pomóc. Ale on leżał, jakby nie był w stanie oderwać się od ziemi, jakby wraz z Kołomijcem zostawiał na tym mokrym dnierzańskim piasku część samego siebie, i nie wiedział, co zrobić i jak żyć...

Prawie zawsze w chwilach samotności Szumakow wracał myślami do swego spotkania z Kołomijcem. Od tego czasu upłynęło już dwa lata, ale nikt mu nie tylko nie przypomniał, ale nawet nie napomknął o tym, że ciąży na nim jakieś przewinienie. Po wyjściu z okrążenia powierzono mu dywizję; będąc już dowódcą dywizji, otrzymał kilka bojowych nagród, w kołach wojskowych odnieszono się do niego z szacunkiem i nigdy w niczym nie krępowano. Wydawało się, że zapomniano o nim zupełnie. A może nieznanym oskarżyciel z Czyty tylko się przyznał — Kołomijec wiedział przecież, co mówi, gdy twierdził, że takich teczek nie oddaje się do archiwum przed czasem.

Wszystko to było naprawdę straszne. Dziesiątki razy Szumakow chwycił za pióro, aby zakomunikować o tym, komu należy. Nie dawała mu spokoju myśl, że istnieje gdzieś człowiek, który potrafi kłamliwie oskarżać, że ten człowiek ma władzę i może decydować o losach niewinnych ludzi. W całej tej sprawie najmniej może chodziło mu o siebie. Ale jeśli można było jego oszkalować bez powodu, to czyż jest jakaś gwarancja, że nie oczerni się innych, tak samo jak on uczciwych?

Szumakow pisał z gniewem i z oburzeniem, ale za każdym razem darł zapisane stronicie na drobne kawałeczki. Kto na tym skorzysta — Ojczyzna czy nieprzyjaciel? Słowa Kołomijca powstrzymywały go, nie pozwalały popełnić szaleństwa.

Czasem jednak miał nieprzepartą chęć popełnić takie szaleństwo — napisać, zgubić siebie, aby przynajmniej pozbyć się wątpliwości i splunąć w twarz oskarżycielowi, który być może uważa go za tchórza i zbiega. Ale za każdym razem z przerażeniem dochodził do tego samego wniosku: przecież oszczerca na to tylko czeka, a armia straci pułkownika, dowódcę dywizji, i nic na tym nie zyska.

Szumakow nie widział wyjścia z tej sytuacji. Ogarniała go apatia. Ale taki stan nie trwał zbyt długo. Wciągały go w swój wir codzienne troski, odwracały uwagę ważne wydarzenia i nie cierpiące zwłoki sprawy.

Często próbował pohamować swój gniew i spokojnie

rozważyć tę kwestię. Koniec końców — tłumaczył sobie — ja przecież pojęcia nie mam, o co oskarża mnie prokurator z Czyty. Wydawać o nim opinię na ślepo, to znaczy zniżyć się do jego poziomu i być może również oczerniać. On przecież opiera na czymś swoje oskarżenie! Niech będzie kłamliwe, niech będzie nieuzasadnione, ale jakieś oskarżenie jest... Powinienem dowiedzieć się, niech to diabli wezmą, jakie zarzuty mi stawiają, zanim będę mógł stwierdzić, że to oszczerstwo.

O cóż może go podejrzewać ów prokurator?

Szumakow przebiegał pamięcią całe swoje życie — dzień po dniu, godzinę po godzinie. Docierał do wszystkiego, co nie odpowiadało wymaganiom, jakie obecnie sobie stawiał, przesłuchiwał sam siebie bezwzględnie, jak niezyczliwy i uprzedzony sędzia śledczy... Zauważał w swoim życiu liczne błędy, których teraz by już nie powtórzył, ale przestępstwa w swoim postępowaniu nie mógł się doszukać.

Kiedyś przyszło mu na myśl — a może to Hiszpania?

Tak, na hiszpańskiej ziemi Szumakow poniósł porażkę. Ale czy za to można karać człowieka? Czyż ten, kto walczy, może nie pragnąć zwycięstwa, szczególnie jeśli walczy o święte sprawy? Nie, jego nie można oskarżać. Republika została zwyciężona, ale on nie jest temu winien.

Może chodzi o wypadek w Katalonii, podczas walk pod Teruelem? W jego batalionie było kilkudziesięciu anarchistów, lubowali się w wielkich słowach, ale męstwo ich ograniczało się tylko do słów. W żaden sposób nie można im było wytłumaczyć, że to nie szesnasty wiek i że walczyć tak, jak walczyli średniowieczni rycerze, jest w naszych czasach nonsensem. Mieli oni swego przywódcę, który prowadził ich na nieprzyjacielskie okopy wyprostowane na cały wzrost, ale wystarczyło, aby choć jeden z nich został ranny, a wszyscy zaczęli umykać jak zające. W czasie tej bitwy także rzucili się do ucieczki i swoim haniebnym tchórzostwem wpłynęli na cały batalion, ludzie zaczęli się wycofywać, chociaż nie było do tego powodów. Ale czy on, Szumakow, nie zachował się wtedy jak prawdziwy dowódca? Czy nie pobiegł do przodu i nie porwał batalionu za sobą? I czy to nie on właśnie był jedynym ciężko rannym w tym boju? I czy jego przykład

nie zmienił biegu wydarzeń na polu walki, czy batalion nie zepchnął faszystów z umocnionego wzgórza?

Nie, niewidzialny prokurator nie może go sądzić za ten wypadek. Nawet przywódca anarchistów przyszedł do niego do szpitala usprawiedliwić się. Zapłakał przy jego łóżku i powiedział: „Dopiero teraz widzę, że komuniści to nie tacy źli chłopcy i chociaż nie wyrzekam się swoich przekonań, to w walce będę brał zawsze przykład z takich jak Szurnakow”.

W tych dniach wytrącało go z równowagi i stale potem niepokoilo jeszcze i coś innego. Tu nad Dnieprem przy jego współdziale i na jego oczach postawiono na kartę ogromne społeczne wartości, i wygrana lub przegrana będzie zależała od tego, która ze stron okaże się bardziej pomysłowa, uparta i spostrzegawcza.

Szumakowowi wydawało się jednak, że niezależnie od tego, jak się to skończy, w tym, co się tu dzieje, jest w najlepszym razie — omyłka.

Zapora wywarła na nim wielkie wrażenie, kiedy ją pierwszy raz zobaczył. Szumakow zdawał sobie sprawę, co ona znaczy, jeśli przeliczyć jej wartość na ludzką pracę, a nie tylko na pieniądze, do których nie przywiązywał specjalnej wagi. Godził się z tym, że wcielona w nią treść, ten wspaniały poetycki obraz w świadomości całego narodu, jest ważna i wielka, i także do czegoś zobowiązuje, przede wszystkim jego jako dowódcę dywizji. Ale był przekonany, że ślepe podporządkowanie się idei, w dodatku sprzymierzonej z poezją, nieuchronnie zmienia się w dogmat, a praktyczny rozrachunek staje się bluźnierstwem, jeśli z jednej strony na szali leżą ludzkie przyzwyczajenia, a z drugiej — ludzka krew.

Te osiem niemieckich dywizji, które zakopały się w dolnym biegu Dniepru w niedostępnych łągach, uważał on za dużo ważniejsze od tej, chociaż bezcennej, ale martwej, betonowej bryły. O, gdyby udało się ją ocalić, któż by się nie cieszył? Ale jeśli się nie uda, ugrzęźłe nieprzyjacielskie dywizje trzeba będzie wypierać z rozlewisk. Aby zaś zniszczyć pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, którzy zakopali swe czołgi i kryją się pod osłoną ich broni, trzeba poświęcić dwa lub nawet trzy razy tyle własnych ludzi.

Nie, należy otwarcie wejść na zaporę, niech wróg ją wysadza. Tym samym zatopi te osiem przeklętych dywizji. A jeśli Niemcy nie odważą się na to, to mimo woli dadzą pułkom Szumakowa możliwość przejścia na prawy brzeg, gdzie razem z innymi dywizjami zawisną nad nieprzyjacielskim skrzydłem i zmuszą Niemców albo do porzucenia swoich zakopanych czołgów i wycofania się, albo znajdą się oni w okrążeniu, skąd są już tylko dwa wyjścia — śmierć lub niewola.

Szumakow był pewien, że dziesiątki tysięcy ludzi, których by to ocaliło, zbudują, zamiast zrujnowanego, nie jeden Dnieproges. A najważniejsze — zostaną przy życiu ludzie, którzy więcej znaczyli dla niego niż rzeczy.

Przede wszystkim dręczyło go to, że nie miał z kim podzielić się swymi myślami. Z dowódcami pułków czy też z oficerami swojego sztabu nie mógł o tym rozmawiać. Dyskutować z podwładnymi nad decyzjami tych, którym on sam podlegał — było to sprzeczne z jego pojęciem dyscypliny wojskowej. Pozostał tylko Sztukarenko, z którym mógł rozmawiać jak równy z równym, ale i przed nim nie miał ochoty się zwierzać: dowództwo zaaprobało punkt widzenia Sztukarenki, po cóż więc teraz na nowo zaczynać dyskusję.

Mimo woli Szumakow zaczął odczuwać, że niewidzialna ściana odgradza go od tego, co się wokoło dzieje. I to także wytrącało go z równowagi, gdyż bardzo cenił ludzkie otoczenie, ducha koleżeństwa i potrafił go podtrzymywać i szanować. Teraz jednak sam unikał ludzi, w obawie, aby przypadkiem nie zdradzić się z tym, co go niepokoi. Zresztą wszyscy w takich chwilach sami się odsuwali, widząc, że dowódca dywizji jest w złym nastroju.

Spraw było mało. Szef zaopatrzenia bojowego nie przychodził ze swoimi ciągłymi skargami na brak pocisków odpowiedniego kalibru i nie prosił o interwencję i telefon do sztabu zaplecza armii; na odcinku obsadzonym przez dywizję rzadko strzelano i pociski były prawie niepotrzebne; lekarze dywizyjni nie domagali się środków dla powiększenia pododdziałów sanitarnych, bo jeśli dookoła prawie się nie strzela, to skąd mogą być ranni? Nie zjawiał się nawet szef wydziału operacyjnego, gdyż żadnych operacji bojowych dywizja nie prowadziła, zajmowała

się przede wszystkim szkoleniem politycznym i słuchała wykładów oficerów politycznych.

Tutaj toczyła się dziwna wojna. Nieprzyjaciel stał naprzeciwko, ale ani jedna, ani druga strona nie podejmowała żadnych prób przesunięcia się naprzód, mogła nie obawiać się przeniknięcia wroga do swoich szeregów, nie dawała prawie żadnych oznak swego istnienia. W przeciągu dwu i pół roku wojny Szumakow nie pamiętał takiego wypadku. Zbliżywszy się do zapory, wojna raptem jakby się zmęczyła i usnęła.

Tego dnia, kiedy Szumakow wrócił z Morgun, po swoim wyjeździe do pułku, aby się spotkać z Myronenką, prawie nikt nie przychodził i nie telefonował. Sztukarenki również nie było — wrócił z zapory i od razu pojechał na prawe skrzydło, gdzie miał przeprowadzić jakąś naradę w związku ze szkoleniem politycznym kadry oficerskiej. Szumakow wyjął z walizki tomik Tołstoja i leżąc na łóżku czytał. Nie rozumiał prawie tego, co przeczytał, gdyż raz po raz odkładał książkę i wracał do myśli, które nie przestawały go niepokoić.

Nagle odezwał się brzęczyk telefonu polowego, który stał na stole. Szumakow zerwał się szybko i upuścił książkę na ziemię. Kiedy wrócił do łóżka i podniósł ją, zobaczył, że z książki wypadła fotografia, którą wszędzie ze sobą woził: portret Sabiny.

Szumakow usiadł na łóżku i długo siedział, trzymając zdjęcie w ręku. Nie patrzył na nie — twarz znana do najdrobniejszych szczegółów, i aby ją wyraźnie zobaczyć, jak żywą, wystarczy po prostu pomyśleć lub tylko wspomnieć.

Lepiej, aby ta fotografia teraz nie wypadła. Lepiej, aby leżała tam, gdzie stale leży jako ukryte w najgłębszych zakamarkach pamięci wspomnienie o Sabinie. To zdjęcie jest zawsze z nim, w tomie Tołstoja, w skórzanej walizie, na samym dnie. On wie, gdzie jest, ale stara się nie brać go do rąk. Sześć lat, trzy tysiące kilometrów oraz nieprzekraczalna żelazna ściana wykuta z okrucieństwa, krwi i przesądów, którymi nie wiadomo dlaczego szczył się współczesność, zamiast płonąć ze wstydu, dzieli go od tej twarzy.

Lepiej, aby fotografia nie wypadła z książki i nie budziła uczuć, które tylko wzmagają ból, odrywają od

tego, o czym należy myśleć. To, co on robi na wojnie, podtrzymuje nadzieję na spotkanie. A więc nie trzeba go odrywać. To się teraz na nic nie przyda.

Zapukano do drzwi. Szumakow pośpiesznie zamknął książkę i usiłował wsunąć zdjęcie między kartki. Na progu zjawił się Sztukarenko i kiedy już wszedł, zapytał:

— Można?

— A, witam! — Szumakow wstał. Zdjęcie znowu wysunęło się z książki i przewracając się powoli w powietrzu, upadło Sztukarence pod nogi.

Na pewno zaraz je podniesie i zapyta — kto to? A zresztą po co pytać — Sztukarenko wie, że Szumakow przeżywał w Hiszpanii coś takiego... Kiedyś w przypiływie szczerości sam wyrwał się z jakimś słowem i Sztukarenko nie mógł się nie domyślić. Wystarczy spojrzeć na tę pociągłą, szczupłą twarz z ogromnymi, szeroko otwartymi oczyma, na wspaniałe rozwiane wiatrem włosy, a wszystko stanie się jasne, nawet bez zbędnych słów. Należałoby wykonać szybki ruch, schylić się i podnieść zdjęcie, ale to sprawiłoby wrażenie, że usiłuje on ukryć przed przyjacielem tajemnicę, która dla niego i tak już nie była tajemnicą.

Sztukarenko powoli się schylił, podniósł fotografię i nie spojrzawszy na nią, oddał Szumakowowi.

Jak to dobrze, że tak. Bardzo ciężko byłoby coś wyjaśniać, usprawiedliwiać się albo nijako uśmiechać. Szumakow wziął zdjęcie z rąk Sztukarenki, schował znowu do książki i położył na stole.

— No, Iwanie Siemionowiczu, jak się masz! — zawołał Sztukarenko i uśmiechnął się, udając, że nie dostrzega zmieszania Szumakowa.

— A ty?

— Przed chwilą dzwonił generał Gołowko, dostałem kolejny awans.

— Czyżby? W takim razie witam pułkownika Sztukarenkę! — ucieszył się szczerze Szumakow.

— Dziękuję, dziękuję.

Szumakow objął Sztukarenkę i wesoło poklepał go po chudych ramionach.

— Musisz to oblać.

— No cóż, wódkę mam.

Szumakow milcząc podszedł do swojej walizy, otworzył ją i wyjął pękata butelkę z jaskrawą etykietką.

— To będzie lepsze! — postawił flaszkę na stole. — W sam raz na taką okazję!

— Skąd taki skarb?

— Znasz sierżanta Cygankowa? Taki diabeł, że spod ziemi wytrzaśnie.

— „Napoleon” — przeczytał Sztukarenko. — Wspaniała rzecz!

Wypili po kieliszku francuskiego koniaku. Koniak był stary, pachnący i mocny. Szumakow nalał drugi raz. Milcząc stuknęli się małymi, rżniętymi szklaneczkami.

Sztukarenko zacznie zaraz mówić o wydarzeniach na zaporze. Opowie o niepowodzeniu grupy Charkewicza, o którym zameldował mu już Rud'. Trzeba będzie znów dyskutować o tym, o czym nie chce się rozmawiać. Zapora czy te osiem niemieckich dywizji. Fetyszycacja rzeczy, usiłowanie uratowania świętych ruin za cenę życia kilkudziesięciu tysięcy ludzi i tym podobne. Nie przyszedł przecież chyba tylko po to, aby przymówić się o gratulacje.

— Doskonały koniak! — mówi Sztukarenko, pociągawszy odrobinę z graniastego kieliszka.

— Francuzi znajdują się na tych sprawach — dodaje Szumakow, a sam myśli o tym, że Sztukarenko zaraz przejdzie od francuskich win do hiszpańskich i nareszcie zacznie... Jak nie o tym, to o czym innym, prawdopodobnie nie uda się uniknąć...

Ale Sztukarenko zaczyna opowiadać, jak jego ojciec pędził kiedyś samogon sposobem przejętym jeszcze od świętej pamięci dziadka. Nie nazywał go samogonem ani nawet wódką, lecz okowitą, tak jak nazywali kiedyś zaporoscy Kozacy. Diabło mocny napitek. Trzeba mieć zdrowie jak koń i odwagę jak zaporoski Kozak, aby wypić kieliszek tej diabelskiej trucizny.

Wspaniały chłop z tego Sztukarenki. Taktowny i wyrozumiały dla ludzi — oto, za co go można szanować. Plecie koszałki opałki, gada, co mu ślina na język przyniesie, ale o tym, co go najbardziej interesuje, ani słowa. Milczy, kiedy się nawet nie zgadza, szanuje myśli i poglądy innych. A jeśli chodzi o Sabinę, rozumie widocznie, że to dla niego bolesne.

Szumakow chodzi po izbie. Nagle zatrzymuje się za

plecami teraz już pułkownika i jedną ręką obejmuje go za ramiona.

— Za twoje zdrowie! — mówi i podaje Sztukarence trzeci kieliszek.

— Jak mówią Gruzini, aławerdy!

I wypili po trzecim.

W tej chwili odezwał się brzęczyk. Sztukarenko wyciągnął rękę i zdjął słuchawkę telefonu polowego.

— Pozwólcie zameldować: ruszamy — słychać głos Charkewicza.

— Życzę powodzenia. Jak wrócić, zadzwonicie. Obudźcie mnie, jak będę spał.

Sztukarenko odkłada słuchawkę. Szumakow wie, kto dzwonił. Wie także i to, co Charkewicz ze swoimi chłopcami zamierza robić. Ale Sztukarenko nic mu nie mówi — Szumakowowi i to się podoba. Jako podwładny powinien by powiedzieć, ale jako człowiek uważa, że lepiej przemilczeć. Nie warto nikogo zmuszać, aby uczestniczył w czymś, z czym się w duchu nie zgadza. Dopniemy swego, wtedy zobaczymy, kto miał rację. Na razie, człowieku, polegaj na mnie i odpoczywaj. Oczywiście o ile rozmyślając o tym i w dzień, i w nocy, potrafisz odpoczywać.

— No cóż, czas się położyć. — Sztukarenko się podnosi.

— Ja jeszcze sobie trochę poczytam.

— Czytaj. — Sztukarenko ściska dłoń dowódcy dywizji i powoli wychodzi.

Szumakow robi kilka kroków wzdłuż pokoju i siada na łóżku. Tomik Tołstoja leży na stole. Tam między kartkami — fotografia Sabiny. Ta sama, którą kiedyś wyrwał jej z rąk.

Niech leży. Niech czeka. I ona, i ten nieznanany sędzia z Czyty.

Przyjdzie czas.

4

W dywizji był jeden człowiek, z którym Szumakowa wiązały osobliwe uczucia — właśnie uczucia, a nie stosunki. Nie lubił on ani nadskakujących służbistów, ani gorliwych pochlebców, gdyż uważał, że wojna to przede

wszystkim skomplikowana i odpowiedzialna sprawa, a ten, kto usiłuje zdobywać względy przy pomocy prymitywnych pochlebstw, szuka tylko własnej wygody.

Ale do jednego człowieka coś go po prostu ciągnęło, uważał go za swój osobisty „słaby punkt”, gdyż, jak mu się wydawało, los połączył ich wspólnotą takich głębokich i potajemnych przeżyć, o których tylko on wie, a ten drugi człowiek nie ma nawet pojęcia.

Był to major Tereszczenko, dowódca jednego z pułków dywizji. Właściwie Szumakow nie znał go nawet bliżej, gdyż major przyszedł z rezerwy i przejął pułk dopiero kilka miesięcy temu. Okazało się, że jest doświadczonym dowódcą, czego dowiódł i pod Wedmediwką, i pod Morgunami, ale spośród innych dowódców pułków niczym się nie wyróżniał i przychylność dowódcy dywizji nie tym sobie pozyskał.

Kiedyś, kiedy byli jeszcze daleko od Dniepru, Szumakow niespodziewanie przyjechał na stanowisko dowodzenia do Tereszczenki. Pułk już od pięciu dni toczył ciężkie ofensywne boje i podobnie jak inne jednostki dywizji wyczerpał się i wykrwawił. Natarcie faktycznie się załamało, pułk nie był już w stanie posuwać się dalej, ale też nie miał prawa zatrzymać się, gdyż odpoczynek pozwoliłby nieprzyjacielowi na przygotowanie linii obronnej, którą później trzeba by przełamywać kosztem wielkich strat i ludzkiej krwi.

W tym właśnie momencie na odcinku obsadzonym przez pułk ukazały się nieprzyjacielskie czołgi. Dotychczas na froncie szumakowowskiej dywizji Niemcy prawie nie mieli czołgów i nagłe pojawienie się ich oznaczało, że nieprzyjaciel przerzucił tu jakąś nową jednostkę.

Dowódca armii rozkazał za wszelką cenę rozpoznać numer tej jednostki i dowiedzieć się, skąd ona przybyła. Jednakże wszystkie próby przechwycenia wiadomości z rozmów radiowych i inne sposoby zdobycia danych do niczego nie prowadziły. Trzeba było dostać języka i zmusić go do zeznań.

W takich wypadkach prawie zawsze ratował sytuację starszy sierżant Cygankow — urodzony i niezastąpiony zwiadowca. I teraz też uratował. Przebrany w niemiecki mundur, sierżant przekradł się do nieprzyjacielskich okopów, wyszedł przy schronie jakiegoś oberleutnanta,

finką rozprawił się z wartownikiem, a oberleutnanta przyszczył na plecach wprost do Tereszczenki.

— Podobno wasz Cygankow znów odstawił jakiś ekstranumer? — zapytał Szumakow, wchodząc do na pół zrujnowanego schronu, w którym czuć było jeszcze obcy zapach, gdyż dopiero ubiegłej nocy zdobyli ten schron na Niemcach i zapach nie zdążył się jeszcze całkowicie ulotnić.

— Geniusz! — wykrzyknął zachwycony Tereszczenko.

— A gdzie jego trofeum?

— Każecie go przyprowadzić?

— Dawajcie go tu!

— Hej, kto tam jest? Przyprowadzić jeńca.

— Tak jest! — odpowiedział ktoś z góry.

Pociski przelatywały nad schronem i ciężko wybuchały za wzgórzem. Były tam pozycje baterii pułkowej, ale szczyt wzgórza osłaniał je, i Tereszczenko specjalnie się tym nie martwił. Bateria nie odpowiadała na ten ospały ogień, aby się nie zdradzać i uderzyć niespodziewanie, jak znów ukażą się nieprzyjacielskie czołgi.

W kącie siedział w kucki telefonista i monotonicznie wywoływał „Orchideę”, lecz egzotyczny kwiat nie odpowiadał, i kiedy się w końcu odezwał, zmęczony żołnierz, nie zmieniając prawie tonu, powiedział:

— Ależ ty świnią jesteś, Swyrydon, wołam cię i wołam, aż w gardle zaschło, a ty leżysz do góry brzuchem jak pop po obiedzie. — I usłyszawszy odpowiedź, widocznie w innym stylu, odgryzł się dobrodusznie: — Nie rzucaj się, dostaniesz swoje ogóreczki, Iwan już pojechał na grządkę, poczekaj.

Wszyscy byli w batalionach — i zastępca do spraw politycznych Kostiuł, i sekretarz partii Wolski, tylko szef sztabu, kapitan Surikow, pochylał się nad jakąś tablicą i kreślił znaczki czerwonym ołówkiem.

— Żeby choć ktoś gazetę przyniósł — odezwał się zmartwiony Tereszczenko. — Listonosza nam wczoraj zabiło.

— Proszę, świeża. — Szumakow rozpiął płaszcz i wyjął z wewnętrznej kieszeni nowy numer *Czerwonej Gwiazdy*.

— Dziękuję bardzo, towarzyszu pułkowniku! Pięć dni już nie widziałem gazety. Jak żył listonosz, nie było kiedy czytać, a teraz ucichło, to nie ma listonosza. — Wziął

gazetę do ręki, rozłożył ją powoli i dopiero teraz przypomniał sobie: — Przepraszam, towarzyszu dowódco dywizji. A może herbaty się napijecie? Mam tutaj termos.

— Nie, dziękuję. Za pół godziny muszę zameldować, skąd się wzięły te czołgi.

Tereszczenko złożył gazetę i spojrzął na pierwszą stronę, usiłując objąć ją wzrokiem w całości. Potem jeszcze raz rozłożył i zaczął przeglądać środkowe stronicę. Szumakow podszedł do kapitana Surikowa; otyły kołchozowy buchalter, o gładkim karku, wstał.

— Siedźcie, siedźcie. Czy w drugim batalionie są wielkie straty?

— Niemałe, towarzyszu pułkowniku. Tam już i przed pojawieniem się czołgów nie było za gęsto.

— Przetrząśnijcie tyły. Niektórzy na pewno wałęsają się tam jeszcze beczynnienie.

— Przetrząśnęliśmy, towarzyszu pułkowniku. Kogo się tylko dało, posłaliśmy na pierwszą linię.

— Ja wam nic nie podrzucę, wiedzcie o tym. Mogę, ale nie dam.

— Wy się lepiej orientujecie, towarzyszu dowódco dywizji.

Nagle za ich plecami rozległ się przejmujący jęk. Nie był to ani krzyk, ani płacz, lecz właśnie jęk. I Szumakow, i Surikow szybko spojrzeli na telefonistę i od razu zrozumieli, że to nie on krzyknął, lecz Tereszczenko, który stał z tyłu. W jednej chwili odwrócili się wszyscy w stronę dowódcy pułku.

Tereszczenko stał przyciskając zmiętą gazetę do twarzy, a ramiona jego drżały jak w febrze. Ani Szumakow, ani Surikow nic z tego nie rozumieli. Jeszcze przed paru minutami Tereszczenko był zupełnie spokojny, chociaż bardzo zmęczony, tak że tego niespodziewanego okrzyku i obecnego jego stanu niczym nie można było sobie wytłumaczyć.

— Co się stało? — Szumakow podszedł do niego.

Major nie odpowiadał jeszcze przez chwilę, potem odjął gazetę od twarzy. Była blada i mokra od łez, oczy szeroko otwarte, niemal wyrażające obłęd.

— Ołena — jęczał. — Ołena...

— Co wam jest?

— Ołena, Ołena — powtarzał nieprzytomnie Tereszczenko.

Wszyscy patrzyli na niego z lękiem, nie rozumiejąc ani jego zachowania, ani tego, co on mówił. I naraz Tereszczenko rzucił gazetę na podłogę i wybiegł ze schronu. Szumakow podniósł gazetę i przypadkowo spojrzął na zdjęcie wydrukowane na środku stronicy: trupy kobiet i dzieci pomordowanych, skatowanych... A na pierwszym planie zupełnie wyraźna twarz z krwawą plamką na skroni. I podpis: „Bestialstwa faszystów we wsi Homony, wyzwolonej przez naszą armię”.

— Homony... Major właśnie pochodzi z Homonów! — przypomniał sobie raptem telefonista.

— Ołena to jego żona — dorzucił cicho kapitan Surikow.

Teraz wszystko się wyjaśniło. Szumakow starannie złożył gazetę i wyszedł ze schronu za Tereszczenką. Opodal zobaczył sierżanta Cygankowa, który wraz z wartownikiem prowadził schwytanego oberleutnanta, i majora Tereszczenkę biegnącego naprzeciw tamtym z pistoletem w ręku.

— Zastrzeli go! — Szumakow usłyszał za plecami głos Surikowa.

— Stój! Stój! — krzyknął Szumakow.

Tereszczenko albo nie słyszał, albo nie był w stanie zrozumieć: nie oglądając się biegł na spotkanie jeńca.

Szumakow też pobiegł, ale nie zdążył zrobić nawet dziesięciu kroków, gdy rozległo się kilka strzałów pod rząd: Tereszczenko wpakował cały magazynek w jeńca.

Było to przerażające, nie mniej przerażające od tego, czego Szumakow był świadkiem w schronie kilka minut temu.

Kiedy podbiegł do Tereszczenki, major stał ze spuszczoną głową i nieprzytomnie patrzył na zabitego Niemca.

— Co wyście zrobili? — cicho, ale stanowczo zapytał Szumakow.

Tereszczenko milczał.

— Rozumiecie, coście zrobili? — powtórzył Szumakow, tracąc już panowanie nad sobą.

Tereszczenko wciąż jeszcze milczał, utkwivszy błędne oczy w zabitego.

— No, w porządku... Chodźmy. — Szumakow zamilkł

i pociągnął Tereszczkę za rękaw. Major szedł za nim posłusznie, prawdopodobnie i teraz jeszcze nie rozumiejąc, gdzie jest i co się z nim dzieje. — Tak tylko oni się mszczą, ale nie my. To nie ma sensu. — Głos Szumakowa był zachrypnięty i załamywał się po każdym słowie — od podniecenia i od tego, że dopiero co biegł.

Szli powoli do schronu. I czy to w odpowiedzi na strzały Tereszczki, czy z jakichś innych powodów Niemcy postali znów kilka granatów za wzgórze. Kiedy zagwizdały nad nimi, ani Szumakow, ani Tereszczko, ani idący z tyłu Cygankow się nie pochylił.

Przed samym schronem Szumakow przystanął.

— Starszy sierżant Cygankow!

— Słucham — odpowiedział cicho Cygankow, zdając sobie sprawę, że stało się coś, czego nie można naprawić.

— Dzisiaj o ósmej zameldujecie mi, skąd oni mają te czołgi.

— Tak jest!

— Za wszelką cenę! Jasne?

— Jasne, towarzyszu dowódco dywizji. Pozwólcie wykonywać.

— Wykonujcie.

Cygankow zniknął za drzewami.

Szumakow z cichym wyrzutem powiedział:

— Za wszelką cenę... Ech, wy! — Za chwilę współczująco położył rękę na ramieniu Tereszczki i spojrzał na jego bladą twarz, po której teraz znów toczyły się łzy i spadały na zdeptaną trawę.

5

Cygankow prawie nigdy nie chodził po języka w nocy. W ciągu trzech lat wojny poznał upodobania i zwyczaje Niemców i przekonał się niezbitnie, że najlepiej jest działać w południe, kiedy do nieprzyjacielskich okopów przywożą obiad. Punktualnie o dwunastej przyjeżdżała do nich kuchnia, żołnierze opuszczali pozycje i łapali się za menażki. Obok kuchni ustawiała się długa kolejka, a w okopach nie zostawał nikt oprócz pojedynczych obserwatorów. Ale i oni śledzili nieuważnie, gdyż drażnił ich zapach pieczonej wieprzowiny. Właśnie w tym czasie Cygankow wziął prawie wszystkich swoich języków.

Wykorzystując niemiecką punktualność w spożywaniu posiłków, Cygankow opracował także techniczną stronę swych operacji. Na ryzykowne wyprawy zawsze brał tylko Razina i Muchiddinowa. Obaj, razem z niemłodym już, ale sprytnym i zręcznym Uzbekiem, zakradali się do nieprzyjacielskiego okopu i wykonywali główną część zadania; olbrzymi i nadzwyczaj silny Razin spełniał rolę tragarza — czekał w pobliżu, aż Cygankow i Muchiddinow się uporają, i jak tylko ukazywali się z oszołomionym językiem, chwycił go na plecy i co tchu pędził do swoich okopów.

Tym razem Muchiddinowa nie było — lejtenant Rud' zabrał go od Cygankowa na zaporę. Trzeba było wziąć ze sobą innego zwiadowcę, plutonowego Woroncowa, ale on okazał się mniej zręczny i bystry niż Muchiddinow. Sam zginął i omal nie naraził Cygankowa. Było to właśnie to „za wszelką cenę”. Za szalony czyn Tereszczenki zapłacił Woroncowa.

Kiedy Cygankow i Razin wrócili z rozpoznania tylko we dwójkę, Tereszczenko zrozumiał, co zrobił. Każda śmierć wywołuje wstrząsające wrażenie, nawet w walce, ale jeśli samemu jest się winnym śmierci żołnierza, to nie można jej wytłumaczyć ani nieuchronnością strat na wojnie, ani brakiem ostrożności tego, który zginął. Tereszczenko dopiero teraz naprawdę oprzytomniał i pojął, że utraciwszy panowanie nad sobą, popełnił przestępstwo, którego nie można wybaczyć. I nastąpił w nim przełom, który raczej można by nazwać psychicznym przewrotem.

Żył on na wojnie tak jak i wszyscy — spodziewał się, że wróci z wojny do domu, i wierzył, że spotka się z kochanymi ludźmi. Niewiele ich miał, tych ludzi — rodzice dawno umarli, została siostra Luba i żona Ołena. Ożenił się z nią niedawno — przeżyli ze sobą niecały rok, i zaczęła się wojna. I oto jej nie ma, jest tego pewien, sam widział ją martwą, chociaż tylko na zdjęciu w prasie. Ale nie ulega wątpliwości — Ołeny nie ma. Zginęła jak męczennica, bestialsko zamordowana, być może po długich i okrutnych torturach.

Tereszczenko leżał na wilgotnej słomie w kącie ziemianki i myślał. Tam pod wzgórzem utracił kontrolę nad swoimi czynami, teraz myśli wymykały się spod

jego władzy i prowadziły w ciemny zaułek, z którego nie było wyjścia.

Szumakow wrócił na swoje stanowisko dowodzenia, zdając sobie sprawę, że Tereszczenko w takim stanie nie może dowodzić pułkiem. Najlepiej byłoby tymczasowo wyznaczyć zastępcę, ale tego Szumakow nie chciał robić, obawiając się, że Tereszczenko niewłaściwie wytłumaczy sobie takie pociągnięcie. Postanowił więc poprosić Sztukarenkę, aby pojechał do Tereszczenki i побыł z nim przez pewien czas.

Sztukarenko był na lewym skrzydle i usłyszawszy ochrypli głos dowódcy zdziwił się:

— Umówiliśmy się przecież, że ty tam zostaniesz!

— Pojedź, proszę cię.

— Nic nie rozumiem...

— Zobaczysz, zrozumiesz — zagadkowo zauważył dowódca dywizji.

Szumakow nie mógł i nie chciał wyjaśniać Sztukarence tego, co działo się z nim teraz w związku z postępkami Tereszczenki. Jako dowódca dywizji powinien był ukarać dowódcę pułku, ale równocześnie nikt tak Tereszczenki nie rozumiał jak on. Gazetowe zdjęcie, które tak wstrząsnęło Tereszczenką, ugodziło i jego w najboleśniejże miejsce. Przecież tę, którą on dotychczas kochał, ale zmuszony był zostawić w dalekim hiszpańskim mieście, mógł spotkać taki sam los jak żonę Tereszczenki. Może Sabina zginęła jeszcze wtedy, jak on odpłynął z Barcelony?... A jeżeli udało jej się nawet uratować w pierwszych godzinach katastrofy, to nie mogła uniknąć losu innych — męczyła się w faszystowskim więzieniu. Może jeszcze żyje, ale czyż nie cierpi beznadziejnie? Czyż los Ołeny różni się czymś od jej losu i od jej nieuniknionego końca?

Szumakow odczuwał wyraźną zbieżność tego, co sam przeżywał, z tym, co mógł przeżywać w tej chwili Tereszczenko. Strata ukochanej osoby na zawsze... Znikomość nadziei, że kiedykolwiek znowu ją spotka... Rozumiał Tereszczenkę i nie mógł go ukarać.

Sztukarenko nie wiedział, dlaczego Szumakow nalega, ale nie uważał za słuszne dociękać tego. Prosi, a więc jest powód, a że nie mówi jaki — to jego sprawa.

Idąc rowem łączącym na stanowisko dowodzenia pułku, Sztukarenko usłyszał rozmowę, na którą zwrócił baczną

uwagę. W niewielkim odgałęzieniu głównego rowu rozlegał się głos Cygankowa; instruował on nowych zwiadowców, przydzielonych mu na miejsce tych, których lejtnant Rud' zabrał na zapórę.

— Języka nie trzeba brać, trzeba go ukraść — mówił Cygankow. — Bierze tylko dureń, który nie dba o siebie. A mądry kradnie i nie wystawia siebie pod kule. A jak najlepiej kraść? Wyobraźcie sobie, że musicie z czyjejs kieszeni wyciągnąć portfel. Kiedy poleziecie do kieszeni? Wtedy, kiedy właściciel się zagapi! Powiedzmy, gapa wsiada do pociągu, postawił nogę na stopniu i wpycha walizkę na górę. Człowiek myśli o tym, jak by tu jak najprędzej zająć miejsce w przedziale. A ty nie rozglądaj się za wronami, wsadzaj rękę w kieszeń i łap za portfel! Tak samo i z językiem: o czym Niemiec myśli o dwunastej? O stu gramach sznapsa i pieczonym prosięciu...

Sztukarenko słuchał i uśmiechał się w duchu. Wiedział, że Cygankow trafił do pułku prosto z więzienia. Ale mimo wszystko w jego analogiach było coś obraźliwego. Jako pracownik polityczny Sztukarenko nie mógł przyrzucić oka na takie metody wychowania swoich żołnierzy.

Skręcił w tamtą stronę. Zwiadowcy od razu go zobaczyli i przepisowo stanęli na baczność. Cygankow trzasnął obcasami i zameldował:

— Towarzyszu starszy komisarzy batalionowy, pluton zwiadowców prowadzi zajęcia.

— Słyszałem, jak wy prowadzicie zajęcia. Interesująco. — Na twarzach żołnierzy pojawiły się ledwo dostrzegalne uśmieški. — Według was armia to zgraja kieszonkowców czy co?

— Pozwólcie zameldować, towarzyszu starszy komisarzy batalionowy, przy moich sposobach będą mniejsze straty.

— Cygankow patrzył na Sztukarenkę ładnymi, zuchwałymi oczyma, w których płonęło otwarte wyzwanie, ale żadnym drgnieniem swojej skamieniałej twarzy nie okazywał tego.

— Przerwać zajęcia. Wieczorem zgłosisz się do mnie.

— Tak jest, towarzyszu starszy komisarzy batalionowy. — I zwróciwszy się do swego plutonu krzyknął: — Rozejść się!

Sztukarenko poszedł dalej. Przygoda ta więcej go uba-

wiła, niż zaniepokoiła. Postanowił jednak porozmawiać z Cygankowem, tak aby raz na zawsze zapomniał o swojej przeszłości.

Otworzył drzwi do schronu i znów osłupiał ze zdumienia. Przy stole, odwrócony do niego plecami, stał major Tereszczenko i pił, przechyliwszy gliniany dzbanek, a w pomieszczeniu unosił się ciężki odór samogonu, jak w podrzędnej knajpie.

— Towarzyszu majorze! — zawołał Sztukarenko po chwili milczenia.

Tereszczenko nie odzywał się i nie przerywał picia, jakby nic nie słyszał.

— Towarzyszu majorze! — huknął tak, aż mu się głos załamał.

Tereszczenko wzdrygnął się, odjął dzbanek od ust i spojrział na drzwi osowiałym wzrokiem. Był zupełnie pijany, ale postawił dzbanek na stole i zaczął coś niewyraźnie mamrotać.

Sztukarenko zrozumiał, że nie ma z nim o czym mówić.

— Zawieszam was w czynnościach dowódcy pułku — powiedział dobitnie, ale i tak nie był pewny, czy do Tereszczenki w ogóle coś dotarło.

Wyszedł ze schronu i omal nie wpadł na Surikowa.

— Obejmijcie tymczasowo dowództwo — rozkazał Sztukarenko szefowi sztabu i odszedł.

Szumakowa znalazł na stanowisku dowodzenia i zameldował mu o wszystkim, co zastał w pułku. Dowódca dywizji wysłuchał w milczeniu i oświadczył, że pojedzie do Tereszczenki i sam się we wszystkim rozpatrzy.

A więc Sztukarenko nie zrozumiał jednak, po co on go tam posłał, i jeśli sam nie pojedzie od razu...

Od tego czasu minęło kilka miesięcy. Tereszczenko na zewnątrz uspokoił się i dawno już znów był dowódcą pułku. Ale to, co przeżył w ciągu tych kilku dni, kiedy pułkiem dowodził Surikow, pozostawiło ślad nawet na jego wyglądzie zewnętrznym: słomkowe wąsy jakby obwisły, a twarz mu się wyciągnęła i jeszcze bardziej posmutniała. Rozkazy i zarządzenia, które i wpięrw wydawał krótko i jasno, stały się jeszcze krótsze, a głos twardszy i zdania jeszcze bardziej zwięzłe.

W jego postawie także nastąpił przełom. Utraciwszy człowieka, dla którego żył na świecie, Tereszczenko, sam

o tym nie wiedząc, zaczął przenosić swą miłość na innych ludzi, stał się wrażliwszy na potrzeby i wymagania swoich podwładnych. Odnosiło się wrażenie, że uczucia, które starannie zbierał i gromadził w sercu podczas wojennych lat, aby w odpowiedniej chwili oddać je jednej osobie, rozdawał teraz pomiędzy wszystkich. Sam nic już nie potrzebował, jakby osobista tragedia, którą głęboko przeżył, oczyściła go i wyzwoliła, przygotowała do szerszych rozważań nad losem człowieka w wojennym piekle. I chociaż Tereszczenko sam nie zauważał w sobie tej zmiany, to zauważali ją wszyscy, którzy go otaczali.

Nikt jednak nie mógł tak głęboko zrozumieć tej zmiany, jak rozumiał Szumakow, który naraz na przykładzie Tereszczenki uświadomił sobie, że w ciągu tych wszystkich lat przeżywał to samo. Wypadek z majorem obnażył tylko i wyjaśnił mu jego własne uczucia i dlatego polubił Tereszczenkę i nigdy nie przepuścił okazji, gdy mógł posiedzieć z nim w wolnej chwili. Tereszczenko oczywiście nie wiedział, dlaczego dowódca dywizji jego właśnie polubił. Zresztą nie zdawał sobie sprawy, że Szumakow u niego bywa częściej niż u innych. Pułk jego zbliżał się razem ze wszystkimi pułkami do Dniepru, ofensywa wymaga stałej interwencji dowódcy dywizji w sprawy każdego pułku. A więc jeździ, dlatego też bywa codziennie na pierwszej linii.

Szumakow także starał się, jeżeli już nie ukrywać, to przynajmniej nie podkreślać swego osobliwego stosunku do Tereszczenki, chociaż był on osobliwy, i Szumakow wiedział, dlaczego.

6

Śmierć Myronenki poraziła wszystkich nie tylko dlatego, że siedemnaścioro ludzi, wśród których na miniaturowej wysepce większość stanowiły kobiety i dzieci, utraciło doświadczonego przywódcę, ale i sama przez się — swoim uderzającym dramatyзмом. Kiedy człowiek ma sześćdziesiąt lat i pęka mu serce nie dlatego, że słabe i stare, lecz dlatego, że przepełnione jest odwagą i szlachetnymi uczuciami, to śmierć taka jest tragiczniejsza od każdej innej i niejednego może ogłuszyć.

Wszyscy byli wstrząśnięci i zgnębieni, jakby zostali bez wiosła na wielkiej wodzie. Zresztą właściwie tak było. Myronenko znał wszystkie kaprysy dniewprowego nurtu, jak doświadczony marynarz, który potrafi prowadzić swój statek pod żaglami nawet pod wiatr. Dokładnie znał miejsca, gdzie woda natrafia na podwodne skały i cofa się na północ, aby potem znowu zawrócić i przybrać swój naturalny południowy kierunek; wiedział, gdzie należy spuścić tratwę na wodę, aby nurt wyniósł ją w odpowiednie miejsce. Poznał niezliczone dniewprowe zatoki i rozlewiska jeszcze przedtem, nim stały się zatokami i rozlewiskami, gdyż zdeptał bosymi nogami ziemię, która teraz stanowi ich dno.

Prawie cały dzień Sołomija przesiedziała nad ciałem swojego męża. Nie uroniła ani jednej łzy, i tylko w oczach jej zastygł niemy, beznadziejny smutek. Młodsza od męża o trzynaście lat, przeżyła z nim szczęśliwe życie, chroniona od wielu nieszczęść jego wrodzoną siłą i mądrością życiową. Surowa, milcząca kobieta mężnie i wielkodusznie znosiła swoją ciężką stratę.

Kiedy się ściemniło, Sołomija podeszła do Lubowii Stepaniwny.

— Gdzie go pochować? — zapytała prawie szeptem. Były to jej pierwsze słowa w ciągu całego dnia.

— Trzeba poczekać.

— Na co?

— To już tak długo nie potrwa. Nie dziś, to jutro zaczną się walki. Może się coś zmieni i przewieziemy ciało na brzeg.

— Wtedy będzie za późno — westchnęła Sołomija.

— Co pani ma na myśli?

— Jak zaczną się walki, trzeba będzie grzebać innych. Lubow Stepaniwnę wstrząsnęła jej tragiczna rozważa.

— Cóż można zrobić?

— Wyjście zawsze się znajdzie — odpowiedziała Sołomija. — A kiedy zaczną się walki, też nie wiadomo. Karpo pewnie wiedział.

— On już nam tego nie powie — westchnęła Lubow Stepaniwna. — To jego tajemnica.

— Przede mną nie miał nigdy tajemnic — odpowiedziała Sołomija, znów prawie szeptem.

Po pewnym czasie z dołu wyszedł Kuźma Iwanowicz i zbliżył się do nich.

— Zejdźmy na dół — zwrócił się do żony. — Jaroszenko kazał wszystkim się zebrać.

Lubow Stepaniwna wstała.

— Pani posiedzi tutaj, Sołomijo?

— Nie, nie, ja też pójdę — podniosła się gwałtownie.

— Może lepiej niech pani zaczeka — ostrożnie doradzał jej Storożenko. — My zaraz wrócimy.

— Nie, nie!

Zeszli nad wodę po desce zastępującej schody. Nad wodą było jeszcze chłodniej niż na górze pod ścianą. Ludzie siedzieli na grubych drewnianych belkach. W mroku ledwo, ledwo majaczyły ich twarze.

— Wszyscy? — zapytał Jaroszenko, zwracając się do Kuźmy Iwanowicza.

— Dorośli — wszyscy.

Jaroszenko przez chwilę milczał.

— Nasi wiedzą od Karpa Sydorowicza, że my tu jesteśmy — zaczęła. — Ale jaki jest ich rozkaz, nie wiadomo.

— Myronenko już tego nie przekaże — westchnął ktoś.

— Przysłali pięć automatów — kontynuował Jaroszenko, jakby rozmyślał na głos — a mężczyzn wśród nas jest też pięciu... Ja myślę, że to jest ich rozkaz. — Ostatnie zdanie powiedział głośno, z naciskiem na każdym słowie.

Kuźma Iwanowicz pomyślał: z Myronenką przecież było nas sześciu. Ale swoich wątpliwości nie wyraził na głos.

— Pięciu mężczyzn z automatami, i w dodatku z takimi przepustkami, jakie my mamy — ciągnął dalej Jaroszenko. — Do tego wszyscy miejscowi. A ja w ochronie siłowni przez trzy lata służyłem, wiem, gdzie uderzyć w odpowiedniej chwili.

To, co mówił, było dla wszystkich jasne. W pięciu przedostać się z powrotem do Nowego Zaporozża i czekać odpowiedniej okazji, a kiedy nadejdzie czas, zebrać zaufanych ludzi, napaść na Niemców z tyłu i nie pozwolić wysadzić zapory.

— A co z nami? — zaniepokoiła się Hanna Melnyczuk. — Mężczyźni odejdą, a kobiety z dziećmi co mają ze sobą zrobić?

Zamiast odpowiedzi Jaroszenko zapytał:

— Jak Myronenko wracał stąd na brzeg, kto wie?

— Prąd tutaj kręci jak diabeł ogonem — odezwał się dziadek Kowal. — Myronenko wiedział...

— Myronenki już nie ma! — przerwał Jaroszenko.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Raptem rozległ się głos Sołomii:

— Ja wiem!

Jaroszenko wpatrywał się w ciemność, usiłując rozpoznać, kto to powiedział.

Sołomija wyszła na przód:

— Tutaj ciągnie w górę aż do Diabelskiego Wiru. Dalej nurt się rozdwaja: na główne koryto i na zatokę, gdzie chowaliśmy tratwę.

Jaroszenko nie odpowiedział, widocznie wahał się. Może dlatego, że była to właśnie ona — żona Myronenki, a może dlatego, że w ogóle kobieta. Ale innego wyjścia nie było, podszedł więc do niej.

— Poprowadzisz? — zapytał.

— Poprowadzę — odpowiedziała Sołomija. — Wir zaczął się akurat naprzeciw naszego domu.

Znowu zapadła cisza. Wreszcie Jaroszenko oznajmił:

— Można się rozejść! — A ty — zwrócił się do Sołomii — zostań!

Lubow Stepaniwna podeszła do niej i szepnęła:

— O Iwasyka proszę się nie martwić, ja będę z nim.

Sołomija nie odpowiedziała. Wszyscy, oprócz niej i Jaroszenki, poszli na górę. Lubow Stepaniwna w ciemnościach odnalazła Iwasyka — chłopiec już spał. Okryła go swoim płaszczem i położyła się obok niego.

Gdzieś daleko, prawdopodobnie nad zaporą, wzleciała w górę niemiecka rakietka — oświetliła cichy przestwór Dniepru, jakby naumyślnie pokazując, jaki on ogromny. Lubow Stepaniwna przytuliła się do Iwasyka i przez cały czas z zazdrością myślała o Sołomii i o tym, że dziś widziała ją chyba ostatni raz, tak jak wczoraj jej męża. Zastanawiała się nad swoim losem i losem tych wszystkich ludzi i usiłowała odgadnąć, na kogo teraz kolej...

Podobnie jak i podczas wczorajszej wyprawy na zaporę Charkewicz pierwszy wydostał się przez betonowy otwór ze sztolni. Za sobą słyszał ciche pobrzękiwanie żelaznych haków zawieszonych u pasa Kowalczuka — obaj z Amiradzem przez cały dzień kuli i klepali żelazne pręty, wyginając je tak, aby można je było zaczepić na szczycie filara, jeżeli uda się do niego dotrzeć. Potem z otworu wygramolił się Amiradze. Zapytał o coś Kowalczuka, ale woda przedzierała się przez wyrwy w zaporze z taką siłą, że zagłuszała jego słowa i nic nie było słyhać. Przeszli po gzymsie, przywierając plecami do ściany, i zaczęli się czołgać po stoku przelewu.

Nic tak nie zdumiewało Charkewicza jak to, że najdroższe miejsce na kuli ziemskiej, do którego biegły wszystkie jego myśli i uczucia, było tak blisko, a zarazem tak nieosiągalnie daleko. Kiedyś nie było dla niego nic łatwiejszego i przyjemniejszego jak spacer przez zaporę, po moście dla pieszych, szczególnie po pracy, kiedy można się było zatrzymać na środku, przechylić przez żelazną balustradę i spojrzeć w dół — na bezustannie czynny krater wzburzonego Dniepru. Wraz z tym przystankiem droga nie trwała dłużej niż dziesięć minut. Przeszedł ten szlak tysiące razy, czasem po kilka razy w ciągu jednej zmiany, i nigdy nie uważał tych dziesięciu minut za stratę czasu — taka krótka i przyjemna była ta trasa.

Zapora nie wydłużyła się w czasie wojny, minuty były też takie same jak zawsze, ale przestrzeń, która dzieliła go od mieszkania Kławdii Charytoniwny, stała się dłuższa i trudniejsza niż lot do innych galaktyk, który, jak twierdzą uczeni, teoretycznie jest możliwy, ale praktycznie nieosiągalny — przynajmniej w najbliższym czasie.

A co najdziwniejsze — Charkewicz nie pierwszy raz w swoim życiu zauważył takie metamorfozy przestrzeni i czasu. Tam pod Teriokami, kiedy wraz z dwoma innymi saperami sprawdzał minowe pola, do własnych okopów było również nie dalej niż teraz do prawego brzegu. Tamtych dwóch fińscy snajperzy położyli trupem na miej-

cu, lecz on, nieporównanie lżej ranny, mógł się doczołgać do swoich. Zostało ze trzysta metrów, nie więcej. Ale ta niewielka odległość, którą, zdawało się, mógł łatwo pokonać, okazała się dłuższa od kosmicznej trasy, i szczęście, które mógł już prawie uchwycić w rękę, okazało się wprawdzie bliskie, ale zupełnie nieosiągalne.

Ale tam pod Teriokami toczyła się prawdziwa wojna! Tam snajperzy nie dawali podnieść głowy, a granaty wybuchały dokoła i tysiące odłamków mogło przygnieść człowieka do ziemi na każdym kroku. Tutaj prawie nie strzelano, raz albo dwa razy na godzinę zagrzmiało kilka wystrzałów z Chortycy — i to wszystko. Nasi nie odpowiadali. Pojedyncze nieprzyjacielskie wystrzały z niewielkich działek grzmiały nad Dnieprem jak uderzenia młota kotlarza, który wyklepuje żelazny zbiornik albo parowy kocioł. Tutaj dźwięk ten wydawał się Charkewiczowi pokojowy i zwykły, nie budził myśli o wojnie, wręcz odwrotnie — odwracał od niej uwagę. Chciało się po prostu wyjść ze sztolni, wyprostować na cały wzrost i ruszyć przez zaporę do domu. Dziesięć minut i już tam będzie. Musi pomówić z Ksenią, bo wtedy nie mógł jej nic wyjaśnić — po tym wszystkim, co się stało, Ksenia była w takim stanie, że nie można z nią było o niczym rozmawiać.

I po co teraz te myśli? Zawsze, kiedy wypadało mu robić coś decydującego i niebezpiecznego, do głowy przychodziło coś zupełnie innego — nie miało to nic wspólnego ani ze sprawą, ani z daną chwilą. Tam pod Teriokami także nie myślał o polu minowym, po którym się czołgał, i nie o tym, że mogą na niego napaść. Teraz już trudno przypomnieć sobie, o czym on myślał wtedy, ale że to było coś zupełnie innego, to Charkewicz dobrze pamięta.

Noc wisiała nad zaporą ciemniejsza jeszcze niż wczoraj. Tuż obok Charkewicza na spadzisty stok wdrapywał się Amiradze. Od jego czapki zalatywał nieprzyjemny zapach niskogatunkowej benzyny — zmył jednak niemiecki towot. Bóg wie, gdzie on tutaj dostał benzynę, ale jednak dostał, czapkę wyprał. Kowalczuk posuwał się z tyłu, podzwaniając żelaznymi hakami, które wisiały u jego pasa, niósł blaszaną bańkę z naftą do zmywania przekłętej liny.

Ta ich druga wyprawa była decydująca. Jeżeli i dzisiaj

nie uda im się pokonać pierwszego filara i zorientować się, co tam jest dalej, to cała nadzieja w nurkach, którzy też nie rokują wielkich nadziei. Charkewicz pamiętał wczorajszą rozmowę ze Sztukarenką i zdawał sobie sprawę, ile teraz właśnie od niego zależy.

Ale myślał nie wiadomo dlaczego nie o tym. Z głowy nie wychodził mu Rud'. Mógłby teraz mniej go interesować, mógłby nie odwracać jego uwagi... Rud' był dla niego uprzejmy, niemal nadskakujący. Och, to zły znak, kiedy zaczyna ci schlebiać taki człowiek jak Rud'.

Półtorej godziny przed tym, zanim wyruszyli na tę drugą wyprawę, Charkewicz obudził się na swojej kłodzie, ale wciąż jeszcze leżał z zamkniętymi oczyma, zaprzątnięty własnymi myślami.

Lejtenant prowadził pogadankę polityczną w najdalszym kącie sztolni. Rud' opowiadał żołnierzom swojego plutonu o dwunastym Zjeździe Partii. Dlaczego właśnie o dwunastym? Opowiedziałyby lepiej o zaporze, po której wypadnie im przedzierać się na prawy brzeg. Co prawda im będzie łatwiej niż Kowalczukowi i Amiradzemu — ci dwaj będą musieli wdrapywać się po gołych ścianach i zawieszać dla nich sznurowe drabinki. Ale mimo wszystko ludzie powinni wiedzieć, czego mają bronić. Dwunasty Zjazd — wspaniale, ale do czego się to teraz przyda?

— Dokąd wy będziecie tak łomotać, niech was diabli wezmą! Przeszkadzacie prowadzić zajęcia! — krzyknął ze złością Rud', poderwawszy się z miejsca.

Kowalczuk i Amiradze zmienili się dzisiaj w kowali: rozgrzewali nad lutownicą żelazne pręty i kuli z nich haki, które pobrzękują teraz Kowalczukowi u pasa. Mało prawdopodobne, aby się do czegoś przydały. Ale różnie się zdarza. Żelazne haki — idea Kowalczuka, niech kują, nie trzeba tłumić inicjatywy.

— Towarzyszu lejtenancie, my już za godzinę wychodzimy — próbował usprawiedliwić się Kowalczuk i zaczął ciszej bić młotkiem. Ale wkrótce walnął jednak znów z całej siły, bo żelazo nie reagowało na polityczne wywody: aby się mogło wygiąć, potrzebowało odpowiedniego uderzenia.

Niezadowolony Rud' pomamrotał coś pod nosem i wrócił na miejsce.

Czy on nie rozumie tego, że jego pluton spełnia tylko

pomocniczą rolę i sam nic nie zdziała, jeżeli Kowalczukowi i Amiradzemu nie uda się sforsować tych wszystkich trzydziestu filarów? Poczekalby ze swoją pogadanką polityczną, ich haki są teraz naprawdę ważniejsze od wszystkiego innego. Dziwny z ciebie człowiek, towarzyszu Rud'. Na zewnątrz niby taki sam jak inni, a ulepiony z jakiejś śmiesznej gliny...

Amiradze napompował powietrza do lutownicy i odkręcił kurek. Płomień z początku zasyczał, a później groźnie zahuczał, wysuwając niebieskawy język. Komu on go pokazuje, lejtenantowi Rudiowi? Niestety on nie rozumiał, że lutownica śmiała się właśnie z niego. Prawdopodobnie nie przychodzi mu nawet na myśl, że ktoś albo coś może się z niego wyśmiewać. A lutownica szumiała jak zwariowana, wysuwając swój siny język prawie na pół metra. Cha, cha, cha, towarzyszu Rud'!

Dziwne, dlaczego Rud' ani razu nie wspomniał o tym, że oni obaj stoją niemal na progu rodzinnego domu? Przecież te budynki, które Charkewicz oglądał przez lornetę, również i jemu są bliskie. Może jeszcze bliższe, gdyż Charkewicz przeżył na Dnieprogesie tylko kilka lat, a Rud' znacznie dłużej, urodził się nawet gdzieś niedaleko tych miejsc. Wstydzi się pewnie, myśląc, że świadczyłoby to o ograniczoności światopoglądu i słabym zrozumieniu zagadnień politycznych. A nuż Charkewicz pomyśli, że ojczyzna to dla niego tylko ten mały spłachetek ziemi. Sam prawdopodobnie oskarża o ten śmiertelny grzech Charkewicza. Wie, że gdzieś tam została Ksenia i że łączą go z nią skomplikowane i niejasne stosunki. Tacy jak Serhij Rud' wszystkim się interesują. Przypuszcza więc, że świat Charkewicza ogranicza się do własnego progu, poza który nie pozwala mu się wychylić mieszczańska świadomość.

Charkewicz leżał na swojej belce zwrócony twarzą do Kowalczuka i z ciekawością patrzył, jak on, siedząc w kucki, niesamowicie wali młotkiem. Naraz znów rozległ się rozdrażniony głos Rudia:

— Słuchajcie, czy nie można by jednak ciszej? — Jego ostre spojrzenie natknęło się na otwarte oczy Charkewicza i język się zaciął. — Prowadzimy tutaj pogadankę — omal nie zaczął się usprawiedliwiać. — A więc... jeśliby można...

— Wybacz — powiedział Charkewicz. — Postaramy się ciszej.

— I człowiek tu odpoczywa. — Rud' błysnął na Kowalczuka swoimi złośliwymi oczkami.

W tym, jak Rud' raptem się zaciął, kiedy spotkał się ze spojrzeniem Charkewicza, jak uśmiechnął się z musu i zmienił ton, wyczuwało się złość, którą na próżno usiłował ukryć. Dziwne, dlaczego człowiek, który wyrządził komuś zło, zawsze pamięta o tym dłużej niż ten, który padł tego ofiarą? Może dlatego, że ofiara marzy tylko o tym, aby otrząsnąć się z biedy i jak najszybciej zapomnieć, a ten, który wyrządził zło, zawsze się ma na baczości, gdyż obawia się zemsty. A może u istot zdolnych do czynienia zła mózg funkcjonuje inaczej i pamięć jest tak zbudowana, że chociaż dawno zapomną, jaka była przyczyna ich nienawiści, wiecznie tylko pamiętają o tym, że muszą nienawidzić?

Była już szósta godzina. Na dworze chyba się całkiem ściemniło: można wyruszać w drogę. Pozostało tylko jeszcze zjeść.

Charkewicz wstał. Amiradze szepnął, jakby odgadując, o czym pomyślał Ołeh Iwanowicz:

— Pan jeszcze nie jadł obiadu.

— Tak, trzeba przekąsić.

— Zaraz! — Amiradze skierował się do kąta, gdzie żołnierze z plutonu zabezpieczenia słuchali wykładu swego dowódcy, stanął na palcach, aby sięgnąć do ucha dryblasowatemu kucharzowi Petrence, i coś mu szepnął:

— O co chodzi? — Rud' niezadowolony przerwał swój wykład.

— Chodzi o to, towarzyszu lejtenancie, że trzeba dać jeść...

— A dlaczegoście przedtem nie jedli? — ze złością krzyczy na niego Rud'.

— Pozwólcie zameldować — trzaska swoimi kirzowymi obcasami Amiradze i z przesadną służbistością salutuje. — Zjeść musi Ołeh Iwanowicz, a nie ja.

— A-a-a... To inna sprawa! — Rud' głośno woła: — Zaraz podadzą ci jedzenie, towarzyszu Charkewicz! — I daje znak kucharzowi: — Petrenko, obiad!

Charkewicz siedział na swojej belce i jadł gryczaną kaszę z koncentratu. Chętnie wypiłby te pięćdziesiąt

gramów wódki, którą wraz z menażką przyniósł mu kucharz, ale pić nie wolno — wkrótce zaczął wspinaczkę i jego mechanizm równowagi powinien działać bez zarzutu. Prawdopodobnie Petrenko z przyjemnością sam wychylił potem te jego pięćdziesiąt gramów. I nie ma się czemu dziwić — w sztolni zimno jak w psiarni, a przede wszystkim wilgoć przenika do kości.

W najdalszym kącie Rud' rozplywa się nad dwunastym Zjazdem. Erudycja — można mu pozazdrościć. Cytaty wypisane na karteczkach, daty wykute na blachę. Pogadanka trwa już z godzinę, a może i dłużej...

O czym on myśli? O przeszłości — ani słowa. A zresztą o czym właściwie mówić, kiedy przeszłość minęła? Dla mnie minęła. A dla niego?

Wiatr ciężkimi falami uderza w twarz. Jest dzisiaj porywisty i ostry — uzbrojony w śnieżną krupę. Z Choroty cy uderza w zaporę reflektor, ale nie ma się czego obawiać — krupa wypełniła już przestwór i promień miota się w niej bezradnie, nie jest w stanie przebić rozedrganej zasłony. Wszystko ma swoją dobrą stronę — nawet ta krupa. Tysiącami lśniących igiełek wbija się w twarz, wicherzy się jak szalona, aż mąci się w głowie, a nieprzyjacielski reflektor jest ślepy i nie jest w stanie nic zdziałać.

Wszystko ma swoją dobrą stronę, wszystko...

8

Kowalczyk jest pewien, że on powinien się wspinać, a nie Amiradze. Wyciąga zatyczkę z blaszanej bańki i raptem wykrzykuje:

— A szmaty zapomniałem zabrać!

— No i co teraz? — pyta zaniepokojony Amiradze.

— Nie bój się. Mam swoją czapkę.

Rzeczywiście zapomniał o szmatach. Chociaż pamiętać o tym powinien był Amiradze — przecież to jego czapka ucierpiała zeszłym razem.

— Do diabła! — mamrocze Charkewicz.

Kowalczyk zdejmuje z głowy swoją czapkę i bez wahania oblewa ją naftą. Potem przywiązuje do niej koniec sznurka i rzuca wypačkaną czapkę na beton. Drugi

koniec przyczepia do pasa, obok haków, w których pokłada tyle nadziei.

Kowalczuk chwytą się swoimi wielkimi, silnymi rękami za linę, ale Charkewicz krzyczy:

— Poczekaj! Na górze przeziębisz się bez czapki. — Zdejmuje swój kaszkiet i podaje Kowalczukowi.

— Nie, jakże tak! — nie zgadza się Amiradze. Postępek Charkewicza rozumie on jako przytyk. Poza tym nieprzyjemnie mu jakoś, że starszy zostaje z gołą głową.

— Bierz moją! — Zrywa z głowy swoją czapkę i podaje Kowalczukowi.

Kowalczuk uśmiecha się ironicznie:

— To lilipuci rozmiar, na mnie nie pasuje!

Amiradze zostaje z czapką w rękę, a Kowalczuk wykonuje już pierwsze ruchy.

— No, do roboty! — Charkewicz zwraca się do Amiradzego. Obaj chwytają za linę i odciągają ją od ściany.

Teraz widać, że niepowodzenie ubiegłej nocy było dobrą zaprawą. Działają już sprawnie, nie porozumiewając się, jakby zapamiętali wczorajszą lekcję. Kowalczuk odpycha się rękami od naprężonej wzdłuż ściany liny, a nogami przebiera po ścianie, jakby szedł po niej, stojąc prostopadle niby mucha.

Kowalczuk jest już wysoko, okręca teraz nogę dokoła liny, jakby noga była z gumy, i zawisa, trzymając się tylko jedną ręką za nieruchomą linę. Drugą ciągnie sznurek, do którego przywiązany jest kwacz, w jaki zmieniła się obłana naftą czapka. Osiągnął już poziom, gdzie zaczyna się przekłety towot, i przygotowuje się do walki z nim metodą Charkewicza.

Czapka powoli pełźnie do góry. Kowalczukowi jest niewygodnie — dwudziestometrowy sznurek trzeba namotać na rękę, ale wolną ma tylko jedną rękę, i kręci nią, jakby rozprostowywał staw.

Czapka pełźnie, kołysze się, a tłuste krople nafty spadają Charkewiczowi prosto na głowę. Spojrzał w górę, aby zobaczyć, czy czapka już prędko dopełźnie, i jedna kropla trafiła go prosto w czoło — Charkewicz zamknął oko, obawiając się, że śmierdząca ciecz może go oślepić.

— Wytrzymaj mi czoło! — krzyczy Charkewicz do ucha Amiradzemu.

Amiradze przyciska linę nogą do ściany i uwalnia

jedną rękę. Charkewicz czuje dotyk szorstkiej dłoni, która wyciera mu czoło.

Lina zaczyna drgać i wrywa się Charkewiczowi z rąk. To Kowalczyk wdrapuje się wyżej. A więc nafta robi jednak swoje, zmywa towot! Potem lina zastyga w miejscu i na twarz znowu padają śmierdzące krople. Za chwilę lina znów się napręży i drży od napięcia — Kowalczyk posuwa się naprzód.

Powtarza się tak kilka razy. Na szarym tle ściany dobrze widać Kowalczyka — jest już wysoko, do szczytu zostało jeszcze ze dwa metry. Ależ siłacz z tego Kowalczyka! Jaką siłę trzeba mieć w rękach, aby tak długo utrzymywać się w górze i do tego jeszcze jedną ręką wycierać linę!

Ledwo Charkewicz zdążył o tym pomyśleć, dziwiąc się atletycznej sile Kowalczyka, gdy raptem sznurek zaczyna się rozwijać i brudna czapka spada pod nogi. Co to? Czyżby Kowalczyk ją rzucił? A może osłabł i zamierza spuścić się na dół?

— Trzymaj! — rozkazuje Charkewicz, i Amiradze wyteży wszystkie siły, aby utrzymać linę.

Charkewicz odchodzi od ściany i patrzy w górę, usiłując dojrzeć, co się dzieje z Kowalczykiem. Teraz można go lepiej rozróżnić — widnieje już ciemną plamą na tle prawie białego nieba, a nie na tle szarej ściany. Co on tam robi, nie wiadomo, ale widać, że zastygł na miejscu i nie rusza się, jakby postanowił odpocząć.

Nagle lina wzdryga się i wrywa się Amiradzemu z rąk. Charkewicz śpieszy na pomoc, ale lina kołysze się już swobodnie, jakby uwolniła się od Kowalczyka. Charkewicz po raz drugi odbiega od ściany i próbuje dojrzeć, co się tam znowu stało.

Widzi, że Kowalczyk nie wisi już na linie, tylko na samej ścianie, wpijając się końcami palców w wierzchołek filara.

Co on zamierza robić? Podciągnąć się na rękach i wdrapać na górę? Zwariował! Przecież na górze nie ma się za co mocno uchwycić, a ręce też prawdopodobnie tak osłabły, że wątpliwe, czy się na nich podciągnie.

Charkewicz zamiera, boi się krzyknąć, aby przypadkiem Kowalczyk się nie zląkł. Czuje, jak po czole spływają mu ciężkie, zimne krople potu.

Kowalczuk długo wisi — przynajmniej tak się Charkewiczowi wydaje. Wreszcie zaczyna przebierać nogami, usiłując oprzeć się butami o ścianę. Ale ściana jest gładka jak bęben, nie ma się na niej o co zaczepić. Jeszcze moment i Charkewicz widzi, że Kowalczuk już jest na szczycie.

Charkewicz wyjmuje chustkę z kieszeni i wyciera twarz. Tfu, jak to się wziął na sposób, diabelski syn ten Kowalczuk. Posłużyłby się chociaż swoim instrumentem — tymi żelaznymi hakami, które majstrował przez cały dzień. Widocznie zaaferowany zapomniał o ich istnieniu.

Kowalczuk krzyczy coś z góry, ale woda szumi w dole — nic nie słyhać. Domyślając się tego, zrzuca na dół sznurową drabinę i próbuje ją umocować. Ale nie ma do czego przywiązać. Wreszcie macha ręką — oznacza to, że mogą już wchodzić na filar.

Charkewicz wspina się po rozkołysanej sznurowej drabince. W innych okolicznościach za nic w świecie nie odważyłby się na to, ale przykład Kowalczuka, który wydrapał się tam po gołej ścianie, dodaje mu odwagi.

Wreszcie i on jest na górze. Wiatr hula tu swobodniej i sucha śnieżna krupa jeszcze mocniej siecze po twarzy. Kowalczuk leży na brzuchu i trzyma się rękami za przeciwległy brzeg płaskiej powierzchni filara. Okazuje się, że drabinę przywiązał do własnego pasa i Charkewicz włączając, wisiał tylko na Kowalczuku. Zuch chłopak, nie stracił głowy, w mig się zorientował.

Teraz już we dwóch trzymają sznury; Amiradze wchodzi na górę. Za kilka minut wszyscy trzej siedzą na wąskiej powierzchni filara, zmęczeni, ale szczęśliwi. Kowalczuk leży tak jak i przedtem. Widocznie nie może się nawet poruszyć.

A więc pierwszy filar zdobyty. Mimo wszystko to już coś znaczy! Przed nimi jeszcze ich dużo, ale jeśli poszczęściło się z pierwszym, to na świecie nie ma nic niemożliwego.

Na Chortycy zapala się reflektor i świat staje się biały jak mleko. Dobrze, że sieje się gęsta krupa, rozprasza promień i nieprzyjaciel z takiej odległości nie może ich zauważyć. Ale na wszelki wypadek przytulają się do betonu.

Charkewicz rozróżnia kontury najbliższego filara, a na nim resztki kratownic mostu podźwigowego. Ciekawe, czy dużo tych kratownic zostało, może leżą one i na innych filarach i można będzie po nich przejść na prawy brzeg? Przypomina sobie jednak, że na drugim końcu zapory nie ma żadnych kratownic, prawą stronę zapory jeszcze wczoraj obejrzał dokładnie przez lornetę. Ale część mostu mimo wszystko została, dobre i to.

Szum wody dociera tu mniej wyraźnie i można prawie normalnie rozmawiać. Poza tym wszyscy trzej siedzą teraz obok siebie i łatwiej im usłyszeć jeden drugiego.

— Jak się czujesz? — Charkewicz zwraca się do Kowalczuka.

Kowalczuk siada i uśmiecha się:

— Żyję!

— Ręce całe?

— Na dwóch palcach zdarłem paznokcie.

— Pokaż.

Kowalczuk wyciąga jedną rękę, jest cała we krwi.

— Oho, ho!

— Ja mam opatrunek. Dawaj, zawinę. — Amiradze sięga za pazuchę i wyjmuje bandaż. Owija Kowalczukowi jeden, a potem drugi palec. Szkoda, z takimi palcami Kowalczuk niewiele już zdoła.

— Mimo wszystko wspaniały chłop z ciebie, Kowalczuk! — Charkewicz nie może się powstrzymać. — A ja już się bałem, że spadniesz.

— Trzeba było mnie wysłać, ja jestem lżejszy — zauważył Amiradze.

— Jeszcze i ty sobie połazisz — uśmiecha się Charkewicz. — Filarów, dzięki Bogu, starczy dla wszystkich. — Ołeh Iwanowicz wstaje. — No co, będziemy schodzić na drugą stronę?

Kowalczuk też się podrywa, ale Charkewicz go powstrzymuje.

— Nie, nie, ty już trzymaj sznury. A my z Amiradzem pójdziemy sami.

Kowalczuk zgodził się bez słowa: wszystko jedno, drabinkę ktoś musi trzymać.

Teraz Amiradze spuszcza się pierwszy. Na brzegu kratownicy, co wystaje zza sąsiedniego filara, wisi wielka bryła betonu. Aż strach stanąć pod nią — zerwie się

nagle i polecą. Ale jeżeli nie spadła, jak wysadzano most, to pewnie trzyma się mocno.

Amiradze staje na stoku. Nad jego głową wisi nie mniej niż pięć ton.

Przywiązuje drabinę do żelaznego pręta zbrojenia, który sterczy spod podziobanego pociskiem betonu. Przychodzi mu na myśl, że gdyby związać drabinki na górze, a potem zejść na tamtą stronę, skąd przyszli, i umocować drugi koniec u podnóża filara, to Kowalczyk nie musiałby ich trzymać. Drabinki będą wisieć jak przerzucone przez filar.

Amiradze przedstawił swój projekt Charkewiczowi. Rzeczywiście, to jest wyjście.

— Wracaj, Amiradze. Powiedz Kowalczykowi, aby zszedł na tamtą stronę i przywiązał do czegoś nasz trap. A sam niech wraca do sztolni, podleczy palce i zamelduje.

Za kilka minut Amiradze jest już z powrotem. Trzeba się dostać na kratownicę. Betonowa bryła groźnie wisi nad ich głowami, ale innej drogi nie ma, nie można jej ominąć. Gdyby się im poszczęściło wdrapać na nią, to może udałoby się uchwycić za pogiętą kratownicę, na której zawisała. Ryzyko czasem popłaca, szczególnie kiedy nie ma innego wyjścia.

Amiradze wspina się po drabince, która wisi już na filarze, i próbuje zarzucić na bryłę żelazny hak. Niebezpieczna to sprawa, gdyż hak od razu się nie zaczepia, obsuwa się po betonie i spada w dół. Charkewicz przyciska się do ściany, aby przypadkiem go nie uderzył, i patrzy, jak Amiradze rzuca swoje żelazo, a ono spada znowu i znowu.

Nareszcie szczęście mu dopisuje, hak zaczepia się o coś i przywiązany do niego mocny sznurek zawisa pod bryłą. Amiradze schodzi na stok, kilka razy szarpie sznur i stwierdza, że mocno się trzyma: można spróbować wdrapać się po nim.

Za dziesięć minut Amiradze jest już na górze. Przywiązuje nową drabinę do żelaznej kratownicy i drugi jej koniec rzuca w dół.

...Kiedy Charkewicz był już na górze, z Chortycy padło kilka armatnich strzałów. Jeden pocisk wybuchnął między filarami — pod nimi. Betonowa bryła, po której wdarli

się na kratownicę, spadła z głuchym łoskotem, potoczyła się po spadzistym stoku przelewu i ciężko chlupnęła do wody. Pociągnęła za sobą sznurową drabinkę, która na niej wisiała.

Ale drabinka nikogo już nie obchodziła: Charkewicz i Amiradze stali na kratownicy.

9

Mieli wrócić do sztolni, aby zameldować Sztukarence o pierwszych sukcesach i odpocząć, ale zaraz powinno się było rozwidnić i z Chortycy mogli ich zauważyć. Poza tym miało się wielką ochotę spojrzeć z bliska na prawy brzeg — w dzień, chowając się za ogromnymi dwuteowymi dźwigarami mostu, można obserwować bez specjalnego ryzyka, że się zostanie wykrytym. A rozejrzeć bardzo się chciało, oj, jak się chciało!

Charkewicz postanowił nie wracać. O ich sukcesach Kowalczyk opowie Rudiowi — Serhij rad nawet będzie, że pierwszy o tym zamelduje. A odpocząć można i tutaj — mimo że chłodno, za to cały dzień prawie na środku zapory, stąd widać tyle rzeczy miłych sercu i żyjących w pamięci od dawna.

Przed nimi majaczył most. Teraz trudno jeszcze powiedzieć, czy daleko można po nim przejść. Ale choćby tam nie wiadomo co, to w ciągu następnej nocy z dziesięć filarów zostanie w tyle. Jak tam jest dalej, nie wiadomo, prawdopodobnie most zburzony i trzeba będzie znów zacząć wspinaczkę. Mimo wszystko brzeg coraz bliżej — i to szczęście.

Amiradze zszedł na stok i wyniósł na górę plecak z różnymi narzędziami, które mogły się przydać przy kolejnych przeprawach. W plecaku było z dziesięć naładowanych magazynków, kilka puszek z konserwami i bochenek chleba. Zjedli jakie takie śniadanie i ulokowali się, aby odpocząć.

Ale Charkewicz postanowił nie zasypiać — bał się przepuścić moment pierwszego brzasku, kiedy można będzie bodaj jednym okiem zerknąć tam; na prawy brzeg.

Leżąc do góry twarzą na długim, wąskim dźwigarze stalowej kratownicy, osłonięty z obu stron wysokimi dwu-

teowymi belkami niczym burtami jakiegoś dziwnego czółna, nie myślał już o bliskości geograficznego punktu, do którego wyrwały się jego myśli. Zdarte paznokcie i skrwawione palce Kowalczuka przeszkadzały mu o tym myśleć. Jak gdyby, zobaczywszy je, stanął na realnym gruncie i konkretnie wyobraził sobie wszystkie trudności, jakie go jeszcze czekają. Przepaść, nad którą wisiał, była głęboka i niebezpieczna, aby ją pokonać i wyjść na prawy brzeg, trzeba pozdzierać też własne paznokcie i pokrwawić własne ręce. Ale on nie żałował swoich rąk i nie bał się widoku krwi, gdyż nigdy nie zazdrościł tym, którzy łatwo osiąkali cel tylko dlatego, że tak im było sądzone.

„Było sądzone” — co to takiego? Zbieg sprzyjających okoliczności, w jakich stale obraca się człowiek, jakby przewidując z góry, co jest dla niego najkorzystniejsze? A może on sam, ten człowiek, potrafi stwarzać sobie sprzyjające okoliczności i świadomie unika wszystkiego, co mogłoby mu utrudniać życie?

Tam pod Teriokami mógł nie pójść na pola minowe, mógł posłać kogoś ze swoich podwładnych. Nie dostałby się wówczas do niewoli, a potem dłużej niż na rok — do obozu. Wróciliby do domu razem ze wszystkimi, kiedy skończyła się wojna, wszystko ułożyłoby się inaczej... Ksenia, nie dręczyłaby się wyrzutami sumienia i nie wstydziła swojego czynu, gdyż po prostu by go nie uczyniła. A nawet i teraz — mógłby w tej chwili siedzieć w zacisznym pokoiku Ministerstwa do Spraw Elektrowni, chodzić codziennie do stołówki z tymi samymi czerwonymi talonami, które zostały w marynarce, i nikt by mu nie robił żadnych wyrzutów. Czyż mógł go ktoś zmusić, aby przyleciał tutaj? A gdyby nawet ktoś próbował, miał możliwość łatwo odsunąć od siebie tę próbę. Wystarczyło powiedzieć: „Ja nie zasługuję na takie zaufanie, w moim życiorysie nie wszystko jest w porządku”. Może nawet przestraszyliby się tego i znaleźliby choć nie tak doświadczonego, ale kogoś innego, a on chodziłby sobie do stołówki i jadł obiady na czerwone talony, dopóki Lewitan nie ogłosiłby w radio, że prawy brzeg Dniepru już wyzwolony i Dnieproges jest w naszych rękach. Wówczas mógłby pójść do Odyncowa i poprosić o przeniesienie — nie dlatego, że tam jest Ksenia, ale

dlatego, że trzeba odbudowywać zburzoną elektrownię, i on zgłasza się jako ochotnik i entuzjasta, i jedzie tam pierwszy, aby innych zachęcić swoim przykładem...

Nie, on tak nie mógł. Pod Teriokami nikt lepiej od niego nie znał minowego pola, gdyż właśnie on, a nie kto inny, je zakładał. A w ministerstwie nikt lepiej od niego nie znał tej zapory, bo spośród wszystkich pracowników tylko on, Ołeh Charkewicz, pracował na niej i tysiące razy przeszedł ją wzdłuż i wszerz.

Wiatr się powoli uciszał, śnieżna krupa rzedła i nie zaczynała tak ostro w policzki. Niebo na wschodzie zupełnie zbladło i jego przyćmiony blask powoli pełzył na zachód, a mleczna biel rozpełzała się po nim jak po uczniowskiej bibule i zagarniała także prawobrzeżny widnokrąg. Zaczynało się rozwidniać. Świat zrzucał z siebie szaty gęstej mgły i jego zarysy stawały się wyraźniejsze, jak gdyby stalowe czołno, w którym leżał Charkewicz, nie stało w miejscu, lecz z wolna płynęło do prawobrzeżnych piasków.

Charkewicz leżał na brzuchu, podpierając głowę rękoma, tak jak lubił zawsze leżeć nad morzem, kiedy oboje z Ksenią wyjeżdżali na odpoczynek do Gurzufu. Wtedy jednak patrzył beztrosko w dal, zachwycony cudownym widokiem morza o świcie. Teraz leżał, wyęzając do ostateczności wzrok i mięśnie, jakby z bólem oglądał się na swą przeszłość i równocześnie usiłował dojrzeć zarysy niewiadomego — mętne kontury tajemniczego brzegu, na którym czeka jego los. Na razie nic nie było widać, brzeg jeszcze niezupełnie uwolnił się od przedświtowej zasłony, która wisiała i kołysała się nad nim. Ale Charkewiczowi wydawało się, że widzi już to, co chciał zobaczyć, chociaż obraz powstawał tylko w wyobraźni albo wypływał z głębi rozbudzonej pamięci.

Nagle coś głucho zadudniło, jakby we wnętrzu ziemi zabulgotała gotowa do wybuchnięcia rozżarzona lawa. Potem wyrwał się skądś bladym płomieniem, barwiąc mleczne niebo bladoróżowym kolorem, i rozległ się ciężki, przeciągły wybuch. W obie strony potoczyły się metaliczne fale, jak gdyby wybuch rozdzielił się na dwie części i jedna ruszyła po Dnieprze w górę, a druga w dół do Chortycy. Amiradze leżał z tyłu, prawdopodobnie zdążył się już zdrzemnąć. Poderwał się na łokcie, przysłuchiwał się

ze zdziwieniem i dopiero po tym, jak huk prawie ustał, zapytał:

— Co to?

Charkewicz nie odpowiedział. On sam jeszcze nie wiedział, co się stało, i jedynie po języku ognia, który wzbił się pod mleczone niebo, mógł się trochę domyślać.

— Czy to na zaporze? — usłyszał znów głos Amiradzego.

— Nie.

— Cóż to?

— Hala turbin.

Amiradze nie pytał więcej. Nie zdawał sobie dokładnie sprawy, co ten wybuch oznacza, i mruknął tylko w bezsilnej złości:

— Łajdaki...

Charkewicz i teraz się nie odezwał. Kurz i dym kłębiły się nad siłownią jak złowieszczą chmura. Poszczególne części tej chmury ciężko przewalały się, jak gdyby ulegały zręczniejszemu, i osiadały powoli. Prawdopodobnie trwało to dosyć długo — kilka minut. Nareszcie chmura zaczęła rzednąć i coraz bardziej upodabniała się do wielkiej plamy, która się rozplýwała i stawała przezroczysta. I w miarę tego, jak jaśniała i bladła, na prawym jej brzegu zarysowywał się coraz mocniej wysoki, szary słup, kontury jego stale ciemniały i stawały się coraz wyraźniejsze. Charkewicz nie mógł zrozumieć, co to takiego. Naraz domyślił się: topola! Ich topola, którą kiedyś posadzili we trójkę: on, Petia Sławczuk i Ksenia. Właśnie ta jedyna topola — innych w pobliżu nie było. Dlatego posadzili ją obok domu, że dokoła nie było innych...

Krew odpłynęła mu z serca. Czyżby i Ksenia tam była? Rozsądek powinien ją ostrzec, że obok zapory nie można zostawać. Przecież Ksenia nie dziecko, i Kławdija Charytoniwna również... Czyżby one zostały w najniebezpieczniejszym miejscu?

Było to nieprawdopodobne, ale dopiero teraz Charke-wicz czuł, że i to jest możliwe. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? W przeciągu dwóch długich lat był pewien, że Ksenia jest tam, i ani razu nie przyszło mu na myśl, że może jej już nie ma nie tylko w tym budynku obok siłowni, ale w ogóle nie ma, jak nie ma wielu, jak nie ma milionów ludzi, których pochłoneła wojna.

Charkewicz pożądliwie wpatrywał się w dal, gdzie mleczny świt dziwacznie pomieszał się z kurzem i z dymem. Burzliwa praca podnieconej świadomości paraliżowała ciało; ręce, na których się oparł, jakby szykując się do skoku, ścierpły i zdrętwiały. Czuł, jak przeniknął go nieznośny ból, jak gdyby w serce wbiło się coś ostrego. Wszystko mogło się zdarzyć, wszystko... O najgorszym nie myślało się, gdyż świadomość nie chciała tego dopuścić, bo byłoby to zbyt okrutne, gdyby się stało najgorsze. A jeżeli mimo wszystko się stało — co wtedy?

Nie zadawał sobie takich pytań — trudno byłoby na nie teraz odpowiedzieć. Na horyzoncie coraz dokładniej i wyraźniej rysowały się kontury samotnej topoli. Sens, jaki nadali jej we trójkę, kiedy sadzili malutkie drzewko, przerósł sam przez się wszystko, tak jak rozrosło się i górowało nad okolicznymi drzewami to wysmukłe, samotne drzewo. Charkewicz nie myślał teraz o sensie, jaki ono ucieleśniało — wdzierał się on do świadomości niedostrzegalnie, ale władczo. I tak samo niedostrzegalnie i uporczywie włączało się całe jestestwo Charkewicza w coś wielkiego i wzniosłego, co przepełniało go całkowicie, i czego teraz nie mógł i nie usiłował zrozumieć. Nitka, która wiązała go z tym samotnym drzewem, naciągnęła się nagle i przerodziła w siłę, która wabiła już nie tylko wyteżony wzrok; zarys ciemnego, bezlistnego pnia hipnotycznie rozkazywał, przykuwając do siebie całą wolę, żądał czegoś, i to „coś” było silniejsze od miłości do pojedynczych ludzi, potężniejsze od wszystkich uczuć, które nim dotychczas kierowały.

Charkewicz jak nieprzytomny zerwał się na nogi i nie zważając na to, że z Chortycy mogą go zauważyć, pobiegł po wąskiej krawędzi kratownicy. Amiradze zarzucił sobie plecak na ramiona i ruszył za nim. W dole ciemniała przepaść, na której dnie burzyła się dnierprańska woda, ale Charkewicza nie przerażała wysokość — nie odczuwał jej i nie bał się.

Przed oczyma widniała tylko jedna droga — naprzód, na tamten brzeg, gdzie być może uda się odnaleźć kabel. Przeciąć go lub przegryźć, nie dopuścić do nowego wybuchu, który jest w stanie wszystko zniszczyć.

Życie było już mało ważne — można je oddać za mniej-

szą lub większą cenę, nie miało już innego sensu, nie było dla niego już innego przeznaczenia.

Dobiegli do końca, dalej kratownica się urywała, przed nimi ciemniała nowa przepaść, przez którą trzeba za wszelką cenę przejść.

Charkewicz wyrwał sznury z rąk Amiradzego, odłączył od nich jedną drabinkę i przywiązawszy ją do końca kratownicy, spuścił do przepaści. Potem zszedł szybko i po pochyłym skłonie przelewu rzucił się do następnego filara. Amiradze biegł za nim, dźwigając plecak i dwa automaty.

Rozwidniło się już zupełnie. Nastał ranek nowego dnia.

10

Kiedy głuchy huk wybuchu dotarł do Morgun, Szumakow był pewien, że Niemcy wysadzili zaporę. Nie spał już, zerwał się z łóżka, podbiegł do okna, odsunął płachtę, którą było szczelnie zasłonięte, i spojrzął w stronę Dniepru. Nie było nic widać. Wrócił więc szybko do stołu, zakręcił korbką telefonu i wezwał trzynastkę — umowny numer majora Tereszczenki. Jego pułk stał na prawym skrzydle dywizji, oddziały czołowe zajmowały odcinek powyżej zapory, i skutki wybuchu najwcześniej tam mogli ocenić.

Tereszczenko podniósł słuchawkę.

— Co się tam stało? — zapytał dowódca dywizji, usiłując mówić spokojnie.

— Nie wiem. Jeszcze mi nic nie zameldowano.

— Natychmiast to wyjaśnić. Za pięć minut zadzwońcie.

Szumakow odłożył słuchawkę i zaczął się pośpiesznie ubierać. Okazało się, że butów nie było na miejscu. Rozzłościło go to wszystko. Diabelskie nasienie ten Prychodko! Swoją troskliwością o połysk jego butów zmusi kiedyś dowódcę dywizji do tego, że będzie w bamboszach przyjmował dowódcę armii!

Ale teraz nie Prychodko mu w głowie. Trzeba natychmiast zdecydować — jakie kroki podjąć w związku z niespodziewaną zmianą sytuacji, wyjaśnić, dlaczego Niemcy właśnie teraz wysadzili zaporę. Przecież na tym odcinku nic im nie zagrażało. Jeżeli nawet zauważyli na

zaporze grupę Charkewicza lub w jakiś inny sposób dowiedzieli się o tym, że ona tam działa, to łatwo mogli unieszkodliwić czy też zlikwidować tę grupę. Trzech zwiadowców nie mogło być przyczyną tak ważnej decyzji, tym bardziej że w rozlewiskach trzymało jeszcze front te osiem dywizji i nieprzyjaciel nie naraziłby ich na śmiertelne niebezpieczeństwo tylko dlatego, że ktoś pokazał się na zaporze.

A może tych ośmiu dywizji już tam nie ma?! Myśl ta zjawiała się niespodziewanie i oszołomiła Szumakowa. Oczywiście nie mogło być inaczej! Sprzęt porzucili w bagnach, zostawili niewielką osłonę, a całą żywą siłę potajemnie wyprowadzili i wystrychnęli nas na dudka. Teraz nie pozostaje im nic innego jak tylko na naszych oczach wysadzić zaporę i z rozkoszą topić w Dnieprze nasze odziały, jeśli spróbujemy się przeprawić...

Szumakow oblał się zimnym potem. Nerwowo zaczął biegać po pokoju w swoich sportowych pantoflach, nie panując nad sobą. To, co malowała wyobraźnia, wydawało mu się bezsprzeczne i oczywiste, i nie wątpił już, że nieprzyjaciel postawił cały Front w śmieszne, a zarazem tragiczne położenie.

Wydawało mu się teraz, że zawsze domyślał się, co może się stać, obawiał się tego. Chociaż w rzeczywistości takiego rozwiązania nigdy się nie spodziewał i nie wierzył, że nieprzyjacielowi może się udać coś takiego zrobić. Wyprowadzić cichaczem z rozlewisk taką ogromną ilość żywej siły można jedynie przy całkowitej utracie czujności naszych wojsk, a na to trudno liczyć. Szumakow dobrze wiedział, że i tam w łęgach, powiedzmy, tak jak na froncie jego dywizji, wróg jest bacznie obserwowany, że zaznacza się tam i notuje każdy nawet najmniejszy ruch. Dlatego też nigdy nie mógł tak myśleć, tym bardziej że chodziło o wyprowadzenie tysięcy ludzi, a może nawet o próbę uratowania jakiejś części sprzętu bojowego. Teraz jednak, zaniepokojony wybuchem, który wydawał mu się oczywistą oznaką takiego właśnie rozwiązania, Szumakow nie miał ani możliwości, ani czasu podawać w wątpliwość tego, co wydawało mu się bezsprzeczne.

Tak, myślał, tego należało się spodziewać. Nigdy nie trzeba liczyć na to, że nieprzyjaciel jest głupszy i nie potrafi cię ocyganić. Tylko ograniczeni i tępi ludzie

sądzą, że wojna to przede wszystkim karabin wycelowany w pierś wroga. Wojenny spryt i umiejętność wyprowadzania w pole — to najważniejsze. Niespodziewany manewr i pomysłowa taktyka — to najbardziej skuteczna broń. A on uprzedzał, że na miejscu stać nie należy. Nieraz mówił — trzeba przeprować się z marszu, a nie czepiać się tego martwego kamienia. Teraz wielu zrozumie, że kanarek na dachu — a tylko wróbel w garści.

Przez moment cieszyła go własna przenikliwość. Ale postarał się stłumić tę upokarzającą radość. Trzeba natychmiast dać sygnał i postawić dywizję w pełnej gotowości do przeprowy. Oczywiście, dopóki przez wyłom w zaporze rwie i bucha uwolniona woda, nie można się przeprować: to pewne, taka lawina zdolna jest zmyć każdą przeprowę. Lecz woda szybko spłynie, Dniepr poburzy się i uspokoi. W nocy można już będzie spuścić na wodę pierwsze pontony.

Szumakow zadzwonił do szefa sztabu i wezwał go do siebie. Dopóki woda buszuje, ma czas na przygotowania. Rozkaz podjęcia przeprowy nadejdzie ze sztabu armii, jak tylko otrzyma dokładne dane o skutkach wybuchu na zaporze i złoży meldunek.

Za parę minut odezwał się brzęczyk — dzwonił major Tereszczenko. Meldował, że na odcinku jego pułku nie ma żadnych zmian, spokojnie jak dawniej, i że wybuch miał miejsce nie na zaporze, lecz trochę niżej. Co tam konkretnie wysadzili, nie wiadomo, ale zapora stoi jak stała.

Szumakow mruknął krótko „dziękuję” i odłożył słuchawkę. Kamień spadł mu z serca. Siedział przy stole zmęczony, jakby przed chwilą zdjął ciężar, który zbyt długo dźwigał. To taka sztuka! Jak to się mówi, scena z dreszczykiem i szczęśliwym zakończeniem. Niewielki wstrząs nerwowy związany z fałszywą paniką. Na jego twarzy błąkał się nieokreślony uśmiezek, jak zwykle bywa, kiedy człowiek dozna ulgi i równocześnie sam z siebie kpi.

Oczywiście to był zupełny nonsens — uwierzyć, że Niemcom udało się wykraść swoje osiem dywizji pod baczny okiem obserwatorów, których na pewno natkano tam na każdym kroku. Jeszcze bardziej bezsensowne

było przypuszczenie, że nieprzyjaciel zdecyduje się za-
topić je bez żadnych powodów. Jak takie głupstwa mogły
mu przyjść do głowy?

Wstał zza stołu, podszedł do łóżka i zaczął je zaście-
lać. Nigdy sam tego nie robił, ale Prychodki, prawdo-
podobnie jeszcze dotychczas nie ma — wszedłby na
pewno, gdyby usłyszał, że dowódca dywizji już wstał.
Szumakow niezręcznie strzepywał swój przedwojenny
koc z wielbłądziej wełny w białe i żółte pasy i myślał
o tym, że mimo wszystko w ludziach siedzi jakiś zły
duch. Prawdę mówiąc, to właśnie ten duch w nim się
odezwał, kiedy usłyszał wybuch. Widocznie jednak w za-
kamarkach świadomości głęboko utkwilo pragnienie wy-
kazania, że trzeba się było przeprowadzić z marszu, a nie
łapać się za zapórę, jak wszyscy uważali.

Szumakow nareszcie jako tako uporał się z kocem i za-
czął strzepywać poduszkę. Zapukano do drzwi i, — jak
zawsze, nie czekając na odpowiedź — na progu zjawił się
Sztukarenko.

— Można?

— Naturalnie. Wejdz!

Sztukarenko zatrzymał się na środku pokoju, położył
na stole czapkę polową, w jakiej chodził dotychczas, nie
zważając na grudniowe chłody, przysunął spod ściany
krzesło i ciężko usiadł.

— Głowa mi pęka po tym twoim koniaku, niech go
diabli wezmą! Widocznie Francuzi jakiejś trucizny do
niego dodali, nic innego.

— Nie umiesz pić, dlatego ci pęka — wycedził Szu-
makow przez zęby.

— Marny ze mnie pijak, to prawda. — Sztukarenko
uśmiechnął się ironicznie; oczywiście Szumakow myśli
zupełnie nie o tym, co mówi.

Szumakow położył poduszkę na łóżku, ale od razu
znów wziął ją w ręce i zaczął strzepywać.

— Cóż to, sam? Już nie ma ci kto zasłać?

— Prychodko gdzieś się zawieruszył. I buty wyniósł,
diabeł przekłęty.

— Siedzi twój Prychodko na środku podwórza, odrywa
blaszki z czubów, mówi, że pięty nimi obdzierasz.

— Ja mu, zdaje się, głowę urwę! — burknął Szumakow.
— Rozbisurmanił się.

Sztukarenko znów się roześmiał, ale teraz już głośno.

— Wróci Hołoborodko, zaprowadzi porządek.

— Też mi się nazywa adiutant... Pęta się po zapleczu.

— Ileż on się tam pęta!

— Dałem mu zezwolenie na trzy dni.

— Wiesz przecież, pociągi pośpieszne nie chodzą.

— Ale lotnictwo istnieje.

— Kiedy samolot potrzebny, to wtedy go nie ma.

— To nie moja sprawa. Powinien znaleźć.

Co się z nim dzieje? To niepodobne do Szumakowa. RzUCA poduszką, plecie, czort wie co... „Trzy dni”. A przecież to dopiero dwa upłynęło, jak Hołoborodko pojechał!

— Nie wiem, Iwanie Siemionowiczu, co tam w Ufie. Telegram od żony był krótki... I przyszedł z czterodniowym opóźnieniem. Tak że Hołoborodko może nie ze swojej winy...

Szumakow obejrzał się i zerknął na Sztukarenkę. Zmęczony i zaniepokojony, prawdopodobnie źle spał albo i wcale się nie kładł. Pociągła szczupła twarz wydaje się jeszcze mizerniejsza niż zwykle. Gruba zmarszczka od nosa aż do podbródka głęboką bruzdą wryła się w pośliskłą skórę. Nie ogolił się nawet, a to mu się rzadko zdarza. Widocznie on też się zerwał, jak usłyszał wybuch, i dlatego tak rano przyszedł. Ale na zewnątrz spokojny: a więc też już wie, że na zaporze nic się nie stało...

Szumakowowi zrobiło się nieprzyjemnie — złość na Hołoborodkę wyglądała na zwykły nietakt. Przypomniał sobie, jak Sztukarenko ostrożnie rozmawiał z nim wczoraj, i poczuł się nieswojo.

— A ty się tak nie martw. Nie ma specjalnych powodów do niepokoju — odezwał się pojednawczo.

Sztukarenko nie zdążył odpowiedzieć, do drzwi zapukał szef sztabu, podpułkownik Lemieszko. Otrzymałszy zezwolenie, stanął na progu i zastygł w postawie na baczność:

— Podpułkownik Lemieszko melduje się na rozkaz!

Szumakow podszedł i podał mu rękę. Nie miał ochoty rozmawiać teraz z Lemieszką, tym bardziej że przyczyna, z powodu której go wezwał, sama przez się odpadła. A w ogóle Szumakow go nie znosił, szczególnie od tego czasu, kiedy kąpiąc się pewnego razu w stawku, zobaczył, z czego składa się staranna fryzura szefa sztabu.

Było to bardzo śmieszne — Lemieszko zanurzył się do wody z włosami, a wypłynął zupełnie łyсы, z długimi rzadziutkimi kosmykami z tyłu głowy. Patrząc na niego po tej kąpieli, Szumakow zawsze wyobrażał sobie, jak Lemieszko mizdrzy się przed lustrem, układając swoją pożałowania godną fryzurę. Było mu nawet przykro, że Lemieszko, jako szef sztabu, zupełnie nieźle pracował, gdyż miał wielką ochotę dopiec czymś temu dziobatemu wojakowi nie tylko za to, że się tak puszy i trzaska kopytami, ale i za inne, istotniejsze sprawy.

Mimo wszystko Szumakow go wezwał i musiał teraz jakoś wyjść z tej sytuacji, wynaleźć na poczekaniu byle jaką przyczynę.

— Trzeba podciągnąć batalion pontonowy — powiedziały, nie mając wcale pewności, że to rzeczywiście trzeba zrobić. — Na wszelki wypadek warto go mieć pod ręką.

— Tak jest! — wyprężył się Lemieszko.

— A co wy o tym myślicie? — zwrócił się do niego Sztukarenko.

— Szef sztabu powinien myśleć tak, jak myśli jego dowódca — odpowiedział Lemieszko.

— Uważacie, że batalion lepiej podciągnąć do brzegu? — zapytał zdziwiony Sztukarenko. Rozdrażniła go obłudna odpowiedź Lemieszki, i Sztukarenko żałował, że przestał być komisarzem i że nie ma prawa wygarnąć mu jak należy.

— Tak, towarzyszu pułkowniku, zgadzam się z dowódcą dywizji.

Sztukarenko ze zdziwieniem spojrział na Szumakowa. Dowódca dywizji odwrócił się, był wyraźnie zdenerwowany. Żuchwy drgały na jego smagłych policzkach, i Sztukarenko rozumiał, że to wszystko jest dla Szumakowa nieprzyjemne. Ale nie można było ruszać z miejsca batalionu pontonowego, Niemcy bacznie go obserwowali, gdyż był to dla nich najpewniejszy znak — zamierza się dywizja przeprować, czy nie zamierza.

— A może nie warto? — ostrożnie spróbował przeciwstawić się Sztukarenko, zwracając się do Szumakowa. — Niemcy zauważają, i jeszcze sprowokujemy ich niepotrzebnie...

Szumakow odwrócił się do niego twarzą. Nie lubił, kiedy przy podwładnych dyskutowano lub podawano

w wątpliwość jego rozkazy. Teraz jednak pomilczał chwilę i zgodził się.

— Rzeczywiście... Może i nie warto.

Lemieszko stał na baczność i czekał na wyraźny rozkaz. „Może i nie warto” było dla niego zbyt nieokreślone.

— Jesteście wolni! — rzucił gniewnie dowódca dywizji.

— Tak jest! — Lemieszko odwrócił się ostro, jeszcze raz przystawił nogę do nogi i wyszedł.

— Wkopie cię kiedyś ten twój szef sztabu — odezwał się cicho Sztukarenko po chwili milczenia.

— Zna się na rzeczy, nie wkopie.

Co za idiotyzm. Wezwał tego bałwana, wydał mu jakiś rozkaz i od razu własny rozkaz odwołał, a sam kontynuuje rozmowę ze Sztukarenką... Nie, pułkowniku, weź się w karby. Weź i się trzymaj.

11

Słup ognia, pyłu i dymu, co wzbił się nad budynkiem elektrowni, widziało tysiące ludzi w okopach po obu brzegach Dniepru i uważnie śledziło to, co się dokoła dzieje. Potężny wstrząs i przeciągły, grzmiący huk, który potoczył się w górę i w dół po głębokiej kotlinie dniewowego koryta, słyszeli nawet ci mieszkańcy miasta, którzy pochowali się po piwnicach w nadziei, że uda im się przeczekać i uniknąć przymusowej ewakuacji.

Tylko jeden człowiek nic nie słyszał i nie widział, zanurzony głęboko w wodzie, mocno zakuty w beton, w dodatku znacznie niżej od poziomu Dniepru — prawie u samych fundamentów ogromnej zapory. Był to Ołeksandr Mykytowicz Chochoł. Wolno posuwał się w swoim skafandrze lekkiego nurka w ciemnym wnętrzu dolnej sztolni i otoczony grubymi ścianami głuchego i nieprzenikliwego betonu nie mógł nic zobaczyć, ani usłyszeć.

Wprawdzie w chwili, gdy nastąpił wybuch, odczuł jakieś ledwo uchwytnie pchnięcie, jakby woda go raptem ścisnęła i od razu puściła. Nie zapomniał, że gdzieś w pobliżu, może nawet tuż obok, założone są potężne miny. Podobnie jak wszyscy, którzy z nim pracowali w tych dniach lub przebywali niedaleko zapory, Chochoł wiedział, że Niemcy mogą przekreślić wyłącznik, kiedy im się za-

marzy. Ale jako doświadczony nurek zdawał sobie sprawę, że gdyby to się stało, ciśnienie wody w zamkniętym tunelu, do którego raptownie wdarłaby się fala wybuchu, przez jakiś tysięczny ułamek sekundy byłoby takie, że nie poczułby nawet, jakby go zmiażdżyło. Nie przyszło mu więc na myśl, że to lekkie kołysanie wody jest skutkiem wybuchu, któremu on stara się zapobiec. Widocznie na zaporze rozerwał się jakiś cięższy pocisk, i nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

Po tym, co stało się z obu jego pomocnikami, postanowił spróbować sam zejść do sztolni. Zrozumiał teraz, że normalna taktyka podwodnego zwiadu nie da tu żadnych rezultatów. Jak widać, w tym zawalonym rupieciami i ciemnym tunelu nie można się posługiwać linką sygnalizacyjną. Bez niej oczywiście jest niebezpiecznie. Stanowi ona nie tylko jedyny sposób łączności z towarzyszami czekającymi na powierzchni, lecz jest też jedynym drogowskazem w drodze powrotnej na górę. Ale przez ten drut właśnie Bogatyriow o mało nie zginął. Pod wodą przez cały czas trzeba manewrować, omijać niezliczone przeszkody, rozsuwać deski i belki pływające po wodzie, a linka tylko się płącze i przeszkadza nurkowi.

Kiedy Warywoda i Bogatyriow doszli nareszcie do siebie po tym wszystkim, co się z nimi w przeddzień zdarzyło, radzili także obchodzić się bez linki sygnalizacyjnej. Była to więc, ryzykowna wprawdzie, ale jednogłośnie decyzja, i Chochoł odważył się pójść na ryzyko.

Postanowił przede wszystkim wyznaczyć, jaką odległość można przejść w tych niezwykłych warunkach z jedną butlą tlenu. Do prawego brzegu było około pół kilometra. Nie ulegało wątpliwości, że w takich okolicznościach przejść tyle z jedną butlą, i jeszcze wrócić z powrotem, jest absolutnie niemożliwe. Trzeba koniecznie gdzieś dalej od wejścia przygotować zapas butli z tlenem: podejdzie się do niego, zostawi pustą, weźmie się nową butlę i pójdzie się dalej. Ale jak zdjąć butlę pod wodą i jak założyć inną — oto pytanie, którego nie mógł rozwiązać.

Chochoł posuwał się z wolna do przodu, przez cały czas odpychając od siebie ciężkie, namoknięte belki. Linki sygnalizacyjnej nie było. Warywoda czekał na schodach — umówili się, że zejdzie do wody i zacznie

poszukiwać Chochoła, jeżeli on za pół godziny nie wróci. A Ołeksandr Mykytowicz miał liczyć kroki zrobione pod wodą i w ten sposób chociaż w przybliżeniu określić, kiedy trzeba wracać.

— Czterdzieści trzy... czterdzieści cztery... czterdzieści pięć... — Chochoł usiłuje się skupić, aby przypadkiem nie pomylić się w rachunku. Przez cały czas jednak musi walczyć z inną myślą, myślą o Ani, o Hołoborodce, o swoim liście. To jest niebezpiecznie, musi za wszelką cenę odpędzić tę myśl od siebie i nie myśleć już o niczym, innym... — Czterdzieści osiem... czterdzieści dziewięć... pięćdziesiąt...

Nie dziś, to jutro Hołoborodko wróci i wszystko się wyjaśni. A zresztą, może i nie wszystko. Jeżeli Ani nie ma w Ufie, to sprawa jeszcze bardziej się zawikła. Gdzie jej wtedy szukać, jak się dowiedzieć, o czym ona teraz myśli i czym żyje? A może w tej chwili i ona stawia sobie takie pytania? Jeżeli dawno już wybaczyła, to jak mu o tym powie, jeśli Hołoborodko nie znajdzie jej w Ufie, a ona nie zna jego adresu?

— Pięćdziesiąt sześć, pięćdziesiąt siedem...

Czyni rozpaczliwe wysiłki, ale nie może o tym nie myśleć. Uspokaja go tylko to, że mimo tych rozważań, rachunku nie zmylił. Każdy krok jakoś sam przez się dodaje się do poprzedniego i w mózgu powstaje nowa liczba, świadomość jakby się rozdważy i prowadzi podwójną buchalterię: w jednej rubryce notuje uboczne myśli, w drugiej podlicza zrobione kroki.

Nie, człowiek nie ma prawa brać z sobą na ciężką drogę zbędnego bagażu. Szczególnie nurek, dla którego każdy gram może się okazać zgubny. Chociaż żołnierz, siedzący w swoim okopie na pierwszej linii, myśli o tym, że w domu dach przecieka, a żona bez niego nie jest w stanie zmienić pokrycia, takie myśli mimo wszystko nie mogą odwrócić jego uwagi od nieprzyjacielskiego czołgu, który pełźnie na niego. W czołgu siedzi wróg, strzela i celuje, pełźnie i zbliża się, aby zgnieść jego okop. Tutaj już nie tylko poczucie obowiązku, lecz zwykły instynkt samoobrony przepędzi różne myśli i zmusi bronić się, a wraz z tym wypełniać do końca obowiązek.

Nurek natomiast nie widzi wroga. Posuwa się krok za

krokiem wśród martwej ciszy, gdzie wroga nie widać i myśli nic nie odwraca. Sam jest dla siebie wrogiem, jeżeli nie potrafi odrzucić precz wszystkiego, co uboczne. — Piećdziesiąt osiem... pięćdziesiąt dziewięć... sześćdziesiąt...

Lepiej było nie pisać żadnego listu. Nie wiedziałyby o niczym, czekałyby, łudziłyby się... Nieświadomość, choć ciężka, kryje w sobie mimo wszystko odrobinę nadziei. Poczekają i spróbował odszukać Anię, jak skończy się wojna. A do tego czasu żyłyby nadzieją i spełniał podstawowy obowiązek... A co będzie, jak wróci Hołoborodko i okaże się, że Ania nie chciała nawet przeczytać listu? Czy po tym starczy mu sił, aby być spokojnym i uważnym, kiedy wypadnie mu znów liczyć tak kroki pod wodą. Nie, lepiej było nie pisać i o niczym nie wiedzieć.

— Siedemdziesiąt dwa... siedemdziesiąt trzy... siedemdziesiąt cztery... — Ciekawe, ile już czasu minęło? Gdyby wlokła się za nim ta przeklęta linka sygnalizacyjna, Warywoda dałby mu znak, kiedy powinien wracać. Można zorientować się po manometrze — spojrzeć, ile tlenu zostało jeszcze w butli, ale czyż w takich ciemnościach zobaczy się cyfry na tarczy? Wracać? A co będzie, jeżeli tlenu została jeszcze więcej niż połowa? Zapasowe butle należy ustawić w maksymalnej odległości, aby tlen wykorzystać do końca — tylko tak można się dostać na prawy brzeg.

— Osiemdziesiąt... osiemdziesiąt jeden... — Trzeba dociągnąć do stu i potem wracać. Sto to okrągła liczba, łatwiej zapamiętać. No i odległość niemała — sto kroków.

Równy sto... Chochoł wraca z powrotem. Niepokoi się trochę, czy starczy tlenu. Ale przecież on po to wyruszył, aby zbadać — wystarczy czy nie? Trzeba za wszelką cenę opędzić się od tamtych myśli i nie pomylić rachunku. Płuca ma zdrowe, jeżeli zabraknie trochę powietrza, to żadne nieszczęście. Najważniejsze — liczyć kroki i nie ominąć wyjścia na górę.

— Pięćdziesiąt sześć... pięćdziesiąt siedem... pięćdziesiąt osiem...

Dobrze by było zatrzymywać się czasem i obmacywać ściany — może ten przeklęty kabel udałoby się gdzieś tutaj namacać? Ale zatrzymywać się nie można — butla już prawie pusta. Zresztą kabel i tak trzeba przeciąć tam,

gdzie wchodzi on do zapory, wtedy będzie pewność, że ładunek unieszkodliwiony. — Siedemdziesiąt jeden... siedemdziesiąt dwa... siedemdziesiąt trzy...

Przy osiemdziesiątym ósmym kroku reduktor jakby się zamknął. Chochoł spróbował odetchnąć, ale zachłysnął się tylko — powietrze nie wychodziło. Zdawał sobie sprawę, że to ani reduktor się nie zepsuł, ani rurka się nie zagięła — po prostu skończył się tlen, to wszystko. Wstrzymał oddech i z całej siły napał piersią na wodę. Zostało dziesięć kroków i można skrócić za róg. Najważniejsze — nie pomylić rachunku: ominiesz wyjście i zostanie po tobie wspomnienie.

W głowie zaszumiało, jakby raptem poruszył się w niej obudzony rój. Jeszcze trzy kroki, nie więcej. Oto i róg ściany, gdyby schodki wznosiły się pionowo, można by wypłynąć na górę, i po wszystkim. Serce zaczęło bić nierównomiernie, jak motor, który się nagle zachłysnął, bo zaciął się jakiś dopływowy zawór. Jeszcze ostatni wysięk, kilka stopni i można zerwać maskę...

Migoce blade, przyćmione światło szklanej lampy. Nie wiadomo tylko, czy światło przebija się do niego przez wodę, czy on już wyszedł z wody? Jeśliby wyszedł, Warywoda podbiegłby do niego. A więc jest jeszcze pod wodą i Warywoda go nie widzi. Dłużej jednak nie można tak cierpieć, świadomość blaknie i zaraz zupełnie się rozplynie. Zrywa maskę i czyni rozpaczliwy wysięk, aby chociaż jeszcze przez moment powstrzymać oddech i nie łyknąć wody. Ale wody nie ma, twarzą i rękami wyczuwa już, że dookoła — powietrze. Jak ryba wyrzucona na brzeg szeroko otwiera usta, lecz opanowuje się i cedzi je przez zęby.

Za moment już normalnie oddycha i rozgląda się wokół zdziwiony. Warywody nie ma. A więc on już w wodzie. Oczywiście minęło więcej niż trzydzieści minut, i tamten zszedł do sztolni ratować swego dowódcę.

Chochoł biegnie po nową butlę, zdejmując pustą i zamierza już włączyć inny przewód. On zanurzył się punktualnie o szóstej... Po półgodzinie wyruszył Warywoda... Teraz jest za osiemnaście siódma. Trzeba być w pogotowiu, jeżeli Warywoda za osiemnaście minut nie wyjdzie, trzeba zacząć go szukać.

Chochoł schodzi nad samą wodę i widzi: do żelaznej

armatury sterczącej ze ściany przywiązany jest sygnalizacyjny drut Warywody. Zuch chłopak! Przewidział to, że może rozminąć się ze swoim dowódcą, i poszedł z sygnałem, na wypadek gdyby Chochoł zmuszony był go szukać.

Chochoł szarpie linkę i zamiera, aby nie przepuścić odpowiedzi. Linka drgnęła trzy razy — Warywoda przyjął sygnał. Jeszcze kilka minut i on sam wyłania się spod wody i zdejmuje maskę.

Jest już siódma godzina rano. Wkrótce zjawi się Bogatyriow z kilkoma żołnierzami. Przytaszczą zapasowe butle. O ósmej znowu można się będzie zanurzyć — teraz już we dwóch — i zacząć gromadzić w dole zapasy tlenu na dalszą drogę.

12

Lejtenant Rud' miał niemało powodów do niezadowolenia. Zastanawiając się często nad swoim życiem, nie mógł zrozumieć, dlaczego okoliczności zawsze tak się składały, że prawie nigdy nie pozwalały mu w pełni rozwinąć skrzydeł i odegrać takiej roli, na jaką miał ochotę i z jaką, jak mu się zdawało, mógłby sobie dobrze poradzić.

Rud' urodził się niedaleko Dnieprogesu — w chutorze Tryricze, gdzie zlewały się niemal w jedno Kamianka, Sołona i Bazawłuk. Ojciec miał krowę i parę koni — gospodarstwo niewielkie, ale w styczniu 1930 roku szepnął mu ktoś na ucho, że nadciągają wielkie wydarzenia i ludzie z takim gospodarstwem mogą stracić. Stary postanowił nie czekać na te wypadki; na jarmarku w Apostołowie sprzedał krowę i konie, a sam z żoną i dwojgiem dzieci wyjechał do brata na Ural.

Za rok wrócił, ale już nie do rodzinnego Tryricza, lecz na Dnieprostroj. Postanowił wyrzec się ziemi — został murarzem, budował domy na prawym brzegu. „Jak jest dyktatura proletariatu, to nie ma po co grzebać się w ziemi”, żartował. Co miesiąc brał pensję i na ogół nie najgorzej się im wiodło — nie to, co drżeć o konie: zabiorą czy nie zabiorą?

Kiedy Serhij ukończył wydział budowlany w Jeka-

tery nosławiu, ojca już na Dnieprostroju nie było. Nie było zresztą i Dnieprostroju — stał się już Dnieprogessem. Ojciec dawno przeniósł się na nową budowę — w Saratowie stawiano wielką fabrykę.

Serhij był niezonały. Przed wojną skończył trzydzieści lat, ale w ciągu tego czasu nie udało mu się spotkać dziewczyny, która całkowicie odpowiadałaby jego wymaganiom. Zawsze jakoś tak się składało, że dziewczyna, która podobała mu się ze swojej powierzchowności, nie odpowiadała mu charakterem lub nie zadowalała jego pojęć o zasadach moralnych; kiedy znów mogła sprostać tym wymaganiom, to odpychała bezbarwną, nieciekawą twarzą albo sylwetką... Rud' nie chciał się wiązać, nie mając pewności, że będzie to trwały związek, gdyż gardził głęboko ludźmi, którzy lekkomyślnie odnosili się do takich problemów jak rodzina i kobieta. Dlatego zawsze był powściągliwy i podchodził ostrożnie do uczuć, które wydawały mu się przemijające.

Przerażały go i wywoływały oburzenie wypadki, kiedy dwoje młodych ludzi, którzy, jak mu się zdawało, znali się zbyt krótko, śpieszyło się do Urzędu Stanu Cywilnego. Takich ludzi podejrzewał zawsze o najgorsze — o całkowity brak odpowiedzialności i wszelkich zasad moralnych. Taki pośpiech uważał za zwykłą rozpustę i nieumiejętność kontrolowania samego siebie i dziwił się bardzo, kiedy takie małżeństwo nie rozpadało się tak samo szybko, jak się zawiązało, a małżonkowie żyli spokojnie i szczęśliwie.

Rud' nie wierzył w wewnętrzny poryw, który może zrodzić się u dwojga ludzi i zawładnąć nimi z taką siłą, że trudno go opanować, święcie był przekonany, że w takich wypadkach okazują oni po prostu swą słabość, gdyż pozbawieni są woli. Nie, każdą sprawę, która zanoszi się na długo, trzeba gruntownie rozważyć, na trzeźwo przemyśleć wszystkie możliwe niespodzianki i dopiero wówczas, kiedy nie ma się już czego obawiać, brać się do niej z całkowitą pewnością, że niczym się nie ryzykuje. Szczególnie jeśli chodzi o rodzinę, która ma istnieć przez całe ludzkie życie.

Raz w życiu zdawało mu się, że znalazł nareszcie tę, której szukał. Była to dziewczyna z robotniczej rodziny, ojciec jej pracował jako spawacz w centralnych warszta-

tach. Podobała mu się i jej uroda, i jej poważny stosunek do życia, i to, że miała robotnicze pochodzenie i wychowana była według surowych zasad prostej, niebogatej rodziny. Kilka razy poszedł z nią do kina, cieszył się, że z umiarem oceniała obejrzone filmy i, jak mu się zdawało, trafnie. Zaczął ją odwiedzać w domu i zaprzyjaźnił się z jej ojcem. Ale zupełnie niespodziewanie dziewczyna oznajmiła, że ma narzeczonego, który odbywa teraz służbę wojskową, a ona czeka na niego, aby wyjść za mąż.

Był to cios nie tylko dla jego osobistej godności, lecz także dla jego wyobrażeń o ludziach, a szczególnie o kobietach. A więc nie ma na świecie nieobłudnej dziewczyny, która pod zewnętrzną skromnością nie ukrywałaby wewnętrznej podłości! Milczała, nie mówiła ani słowa, dopóki chodził z nią tylko do kina, ale jak zobaczyła, że ma wobec niej poważne zamiary, otworzyła swoją niewierną duszę.

Po tym wypadku stał się jeszcze surowszy w swoich wymaganiach i nie mógł już znaleźć kobiety, która nie budziłaby w nim żadnych podejrzeń i okazała się godną dla niego żoną i towarzyszką życia.

Nie wiodło mu się również i w stosunkach służbowych — swego prawdziwego przeznaczenia nie mógł jednak znaleźć. Po ukończeniu instytutu budowlanego skierowano go na zaporę, gdzie już wszystko było dawno pobudowane bez niego, a on musiał tylko codziennie pobierać próbki betonu i wody. Marzył jedynie o tym, aby wyrwać się nareszcie z betonowych kazamat, po których musiał codziennie łązić, marnując kwalifikacje budowniczego i wiedzę inżyniera. Potem, kiedy udało mu się zająć miejsce w nastawni, gdzie stał się władcą wyłączników i kontaktów, władcą prądu o napięciu milionów woltów, okazało się, że brak mu specjalistycznej wiedzy, gdyż tutaj potrzebny był energetyk, a nie budowniczy. Potrafił się tak urządzić w nastawni, aby nie było podstaw do zwolnienia go stamtąd, ale sam czuł, że prawdziwym władcą serca elektrowni nigdy nie będzie.

Wojna też nie przerwała tego fatalnego łańcucha niepowodzeń prześladowających go od dawna. Wszyscy, którzy razem z nim zaczęli wojować, byli już kapitanami, a jeden nawet majorem, a on w ciągu dwóch i pół roku dosłużył się zaledwie lejtenanta. Rud' nie oskarżał nikogo o nie-

sprawiedliwy stosunek do siebie, po prostu przez cały czas tak się składało i nikt nie był w stanie zmienić okoliczności. Inni trafili na takie odcinki, gdzie łatwiej można było się odznaczyć, a on początkowo musiał się przez cały czas wycofywać, potem bronić, a kiedy dywizja ruszyła naprzód, wykonywać takie zadania, przy których w ogóle nie można się było odznaczyć. Najpierw przez długi czas był w odwodzie armii, później, ranny, tułał się po szpitalach.

Jeżeli nie urodziłeś się w czepku, to nic nie poradzisz!

Dopiero krótko przed tym, zanim dywizja podeszła do Dniepru, mianowano go szefem dywizyjnego zwiadu. Tutaj można już było rozwinąć szerszą inicjatywę, ale stało się to tak niedawno, a tymczasem dywizja zatrzymała się nad Dnieprem i aktywnych działań prawie nie prowadziła.

Rud' rozumiał — pluton zabezpieczenia bojowego to poważne zadanie. Wiedział, jaka odpowiedzialność na nim ciąży. Od jego umiejętności lub nieumiejętnych poczynań zależy powodzenie całej operacji. Miał on nie tylko ochraniać pierwszą trójkę, lecz idąc za grupą Charkewicza pozawieszać już nie po jednej, a tyle szturmowych drabinek na każdym filarze, aby w razie potrzeby zapórę mógł opanować nie tylko jego pluton, ale i inne, znacznie większe jednostki. Co prawda w tym celu wypadnie wykorzystać tę pierwszą drabinę, którą nie on zawiesi, to znaczy iść po ścieżce urotowanej dla niego przez Charkewicza. Było to nieprzyjemne nie tylko samo przez się, ale także upraszczało w ogóle zadanie jego plutonu. A mimo to Rud' usiłował otrząsnąć się z tych rozważań i stanąć ponad osobistą nieprzyjaźnią czy niezyczliwością do poszczególnych osób.

Kiedy Kowalczyk wrócił do sztolni i zameldował mu, że udało się sforsować pierwszy filar, Rud' zrozumiał, że nareszcie nadszedł i dla niego czas działania. Każdy żołnierz w plutonie od dawna znał swe obowiązki. Łącznościowcy wzięli na plecy aparaty telefoniczne i zwoje drutu, inni — skrzynki z nabojami i magazynkami do automatów oraz plecaki. Wszyscy zebrali się przy ścianie gotowi do wyjścia ze sztolni.

Należało zameldować, że pluton przystępuje do wykonania powierzonych mu zadań. Rud' podszedł do telefo-

nisty i zawahał się. Dawniej meldował zawsze o wszystkim bezpośrednio dowódcy dywizji, ale po tym, jak Sztukarenko osobiście tu przybył, mógł on, jak wydawało się Rudiowi, źle to zrozumieć. Nie, nie warto ściągać na siebie gniewu, lepiej okazać się taktownym niż jeszcze i tu ryzykować. Zameldował więc Sztukarence i odłożył słuchawkę.

Kowalczuk chciał poprowadzić oddział Rudia, ale lejtnant kazał mu zostać w sztolni, jeżeli na górze jest niepotrzebny. Wystarczy, że pozawieszali już dla jego plutonu drabinki i przygotowali mu drogę. Poza tym Rud' zna tu wszystkie wejścia i wyjścia lepiej od Kowalczuka. Były po temu poważne przyczyny — Kowalczuk ma zdarze paznokcie, powinien je trochę podleczyć.

Rud' pierwszy wdrapał się na górę. Za kilka minut był już na stoku. Niebo jeszcze nie pojaśniało, i chociaż zaczęła się już rozwidniać, można było bez specjalnego ryzyka wyprostować się na cały wzrost. Dopóki przez otwór jeden za drugim wyłazili żołnierze, Rud' stał na stoku i rozglądał się dookoła. Zdawał sobie sprawę, że kiedy wejdzie na filar, otworzy się przed nim szerszy widnokrąg i można będzie zobaczyć znacznie więcej niż stąd, a mimo to nie mógł się powstrzymać, aby nie spojrzeć chciwie na to wszystko, z czym tak wiele wiązało się w jego życiu.

To, że znalazł się właśnie obok rodzinnego miasta, nie było dla niego faktem drugorzędnym, tak jak wydawało się Charkewiczowi. Gdyby Rud' się dowiedział, że Ołeh Iwanowicz podejrzewa go o to, poczułby się głęboko dotknięty i nie przebaczyłby mu. Może tam w sztolni, dopóki zajęty był przygotowaniami do najważniejszego, na rozmyślania o tym nie starczało wolnego czasu, a zresztą i obecność Charkewicza nadawała myślom specyficzny kierunek, ale teraz, kiedy już oko w oko stał ze swym rodzinnym miastem, nie mogło go to nie wzruszyć.

Poprzez gęsty mrok niewiele mógł dojrzeć — na lewo, w dali, ciemne zarysy Chortycy, na prawo — zamulona wprawdzie, ale wciąż jeszcze szeroka tafla wody górnej. Prawego brzegu nie było widać, ale Rud' znał do najdrobniejszych szczegółów wszystko, co mógł tam zobaczyć, wyobrażał sobie dokładnie rodzinne miasto, nawet po straszliwych zmianach, jakie wprowadziła wojna. I mo-

że po raz pierwszy od tego wypadku, kiedy był już całkowiec zdecydowany i chciał się żenić, ogarnęło Rudia niezwykle uczucie, które można nazwać szczęściem.

Obejrzał się, żołnierze zebrali się już za nim.

— Wszyscy? — zapytał, ale szum wody zagłuszył jego głos.

Rud' poświecił kieszonkową latarką, starannie osłaniając szkiełko dłonią, i zobaczył sznurowe drabinki przerzuczone przez filar.

— Pojedynczo... za mną! — wydał komendę już głośno, tak że żołnierze stojący na przodzie mogli go usłyszeć.

I znowu pierwszy polazł na górę.

13

Żołnierze stali na dole i zadzierając głowy obserwowali lejtenanta. Rud' wchodził dość szybko, chociaż drabinka się kołysała i przez cały czas uderzała o ścianę. Trzeba się było śpieszyć, bo do świtu zostało niewiele czasu.

Po lewej stronie zwisała stalowa lina i Rud' domyślił się, że grupa Charkewicza pokonała dwudziestometrową wysokość przy pomocy tej właśnie liny. Lejtenant podszedł do ściany i dotknął stalowych skrętów. Jak im udało się wdrapać po niej? Ale udało się, to fakt.

Rud' złapał za drabinkę i wspiał się na filar. Za nim wspinało się jeszcze dwóch — Muchiddinow i Hołowczenko. Lejtenant kazał teraz podać na górę ręczny karabin maszynowy, a dopiero potem miała wejść reszta ludzi.

Muchiddinow spuścił w dół sznur, na stoku przywiązano erkaem, i obaj z Hołowczenką ciągnęli go w górę.

Doświadczenie mówiło mu, że przede wszystkim należy umieścić broń i dopiero potem ruszać dalej. Na szczycie filara było niebezpiecznie — gdyby z Chortycy zauważono karabin maszynowy, zniszczono by go bezpośrednim trafieniem, jednym pociskiem. Obejrzał się i zobaczył zwisające nad drugim filarem przęsło poddźwigowego mostu, zadecydował więc, że tam będzie bezpieczniej. Obaj z Hołowczenką zeszli na drugą stronę filara, a Muchiddinow, na tym samym sznurze, spuścił im karabin i kilka magazynków.

Okazało się jednak, że na drugi filar nie można się dostać, bo na most podźwigowy nie ma drabinki. Rud' zaniepokoił się, nie rozumiejąc, co to znaczy. Pobiegł na drugą stronę stoku, ale tam także nie było drabinki. Czyżby Charkewicz i Amiradze nie sforsowali drugiego filara? W takim razie powinni być po tej stronie. Jeszcze raz pobiegł po stoku, obejrzał i obmacał ścianę: drabinek nie było, żadnych śladów po Charkewiczu i Amiradze — także.

Rud' nie wiedział, co o tym myśleć. Stał niezdecydowany, usiłując zrozumieć, co to wszystko może oznaczać.

Raptem podbiegł Muchiddinow.

— Jest! Leżała w dole!

W rękę trzymał sznurową drabinę.

— Gdzie leżała?

— O tu, pod ścianą.

Ach, to tak! Wydostał się na most, a później zrzucił drabinę, abyśmy go nie mogli dopędzić, przemknęło Rudiowi przez myśl. A ja nieraz myślałem, że nie można mu ufać. Rud' nie wiedział, i nie mógł wiedzieć, że z godzinę temu pocisk strącił betonową bryłę wiszącą w górze pod kratownicą i zwałił ją na stok przelewu razem ze sznurową drabiną.

W pierwszej chwili postanowił spróbować wdrapać się na gołą ścianę filara. Nie było się jednak o co zaczepić, ale pochłonięty podejrzeniami nawet się nie zastanowił nad tym, czego Charkewicz mógł się uchwycić. Po krótkim namyśle zdecydował, że lepiej natychmiast zameldować Sztukarence o zniknięciu Charkewicza: po pierwsze — to nie jego obowiązek forsować filary, po drugie — jako starszy, on powinien zameldować, a nie ktoś inny.

Rud' kazał Muchiddinowowi i Hołowczence zostać przy karabinie maszynowym, a sam ruszył z powrotem, przez pierwszy filar. Rozwidniło się już zupełnie i mogli go zauważyć nieprzyjacielscy obserwatorzy, ale postępek Charkewicza wydawał się na tyle podejrzany, że nie chciał ani chwili zwlekać.

Kiedy ze sztolni zadzwonił do Sztukarenki, pułkownik zaniepokoił się.

— Gdzie znaleźliście drabinę?

— Na stoku, w dole.

— A gdzież oni sami się podziiali?

— Nigdzie ich nie ma!

— A nie zestrzelili ich Niemcy do wody?

— Jakież ślady na pewno by zostały, towarzyszu pułkowniku.

Tak, coś by na pewno zostało. Chociaż cokolwiek. To niemożliwe, aby wszystko poleciało do wody. Coś by zostało. Rud' ma rację.

— Poczekajcie na mnie, jadę do was.

Sztukarenko pobiegł do Szumakowa i zawiadomił go, że jedzie na zaporę. O zniknięciu Charkewicza nie wspomniał, choć nie miał prawa tego robić: jeżeli podejrzenia lejtenanta Rudia okażą się nie bezpodstawne, to stało się coś dziwnego... Nadzwyczajny wypadek, o którym natychmiast trzeba zameldować wyżej. Ale jemu przez cały czas nie dawała spokoju myśl — dlaczego drabinka znalazła się w dole? Kiedy człowiek ucieka, z jego strony znacznie rozsądniej jest wciągnąć drabinę, aby nikogo nie naprowadzać na myśl o ucieczce, i pozbawić prześladowców możliwości pogoni.

Czyż nie rozsądniej w takim wypadku zostawić nie drabinę, lecz jakieś inne ślady, które nasuwałyby przypuszczenie, że on zginął?

Czołgać się do śluzu za widna niebezpiecznie, ale to było tylko osobiste ryzyko, i Sztukarenko poczołgał się, spiesząc na zaporę.

Do sztolni nie musiał schodzić — Rud' wisiał już na żelaznych hakach i odsunawszy płachtę namiotową, którą zawieszony był otwór, czekał na niego. Chciał już nawet zupełnie ją zerwać, aby wpuścić Sztukarenkę na dół, ale pułkownik skinął ręką, dając znak, aby i on zszedł.

Śnieżek wesoło wicherzył się na stoku, kręcił się falami po gładkiej powierzchni betonu, zostawiając na niej wyraźne ślady. Śnieg sypał coraz gęściejszy i prawie zupełnie zakrył już Chortycę mleczną zasłoną, zostawiając jedynie niewyraźny zarys wyspy, który ledwo majaczył w oddali. Przyjemnie było wyczuwać dotyk kłujących igiełek, które niedostrzegalnie topniały na rozpalonej twarzy.

Jednakże Sztukarenko zajęty myślami o Charkewiczu, na nic nie zwracał uwagi.

Obaj skierowali się wprost do filara. Rud' znowu pierwszy wspinał się na górę. W tym samym czasie łączność

ciowcy na rozkaz Sztukarenki ciągnęli za nimi telefon. Sztukarenko chciał niezwłocznie zameldować Szumakowowi, jeżeli rzeczywiście stało się to, czego się Rud' obawiał.

Ale pierwszym, którego zobaczyli, jak zeszli na drugą stronę filara, był Charkewicz. Wraz z Hołowczenką i Muchiddinowem umocowywał sznury drabinki, która zwisała już teraz bezpośrednio z kratownicy, omijając resztki betonowej bryły rozbitej przez pocisk. Rud' przystanął zmieszany i bezradny, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Dzień dobry, towarzyszu Charkewicz! — Sztukarenko wyciągnął rękę do Ołeha Iwanowicza.

Charkewicz obejrzał się, oddał koniec sznura Muchiddinowowi i przelazł przez kawał bryły, który spadając zaczepił się o coś i został na górze. Charkewicz wyglądał na zmęczonego i prawie wyczerpanego, a uśmiech, jaki pojawił się na jego twarzy, kiedy zobaczył Sztukarenkę, był także wymęczony i słaby.

— Dalekoście doszli? — zapytał pułkownik, i nie wypuszczając ręki Charkewicza, prowadził go do przeciwległej ściany. Usiadł na stoku i wskazał mu miejsce obok siebie. — Proszę usiąść.

Charkewicz usiadł na chłodnym betonie i oparł się głową o mur. Dopiero teraz poczuł nieludzkie zmęczenie i ledwo poruszał językiem.

— Doszliśmy prawie do środka... Dalej nie mogliśmy.

— To świetnie! — Sztukarenko usiłował dodać mu otuchy. — Środek to połowa.

— Tak — westchnął Charkewicz. — Szkoda, że tylko połowa.

— A gdzie Amiradze?

— Został tam.

— Skoro udało się wam pokonać jedną połowę, to jest nadzieja, że pokonacie i drugą.

— Nie wiadomo, jak tam Kowalczyk? Gdybyśmy byli we trójkę, doszlibyśmy na pewno dalej. Tam jest otwór wentylacyjny. Jakbyśmy stanęli jeden drugiemu na ramiona, to podciągnęlibyśmy się i weszli do środka. — Wyczuwało się, że Charkewicz ledwo opanowuje zmęczenie i prawie zasypia.

— To już akrobatyka! — roześmiał się Sztukarenko. — Uczestniczył pan już kiedyś w takiej piramidzie?

— Nie, ale jakby Kowalczuk...

Sztukarenko chciał zapytać Rudia, co tam z Kowalczukiem, ale postanowił nie rozmawiać z nim teraz. Widział, jak on z ukosa spogląda na nich z daleka i stoi naburmuszony, przeklinając samego siebie.

— A co, Kowalczuk ranny?

— Pozdzierał paznokcie.

— To głupstwo. Do utrzymania piramidy paznokcie mu niepotrzebne. Przyślę go wam.

Sztukarenko wstał, ale Charkewicz został na miejscu. Dopóki działał, osłabienie nie dawało się jeszcze tak we znaki. Teraz zupełnie opadł z sił i nie był w stanie pokonać zmęczenia.

— Lejtenant Rud'! — krzyknął Sztukarenko, i chociaż szum wody dobiegający z dołu zagłuszył jego głos, Rud' wyczuł, że jego wołają.

Podbiegł i zaszutrowawszy w biegu, nachylił się.

— Przeprowadzajcie ludzi naprzód! — krzyknął mu Sztukarenko prawie do ucha. — Ustanówcie łączność ze sztolnią. Ja tam będę! — Sztukarenko usiłował nie patrzeć na Rudia.

— Tak jest! Można wykonywać?

— Idźcie.

Sztukarenko wrócił do ściany i nachylił się nad Charkewiczem. Ołeh Iwanowicz siedział z zamkniętymi oczyma, ale nie spał.

— Chodźmy do sztolni. Musi pan trochę odpocząć.

Charkewicz otworzył oczy i uśmiechnął się bezradnie.

— Ja chyba nie dojdę.

— Nic, nic, my pomożemy.

Charkewicz podniósł się z trudem i powlókł za Sztukarenką.

Po dwudziestu minutach leżał już na swojej belce i spał martwym snem.

14

Rud' gotów był zapaść się pod ziemię, kiedy zobaczył, że Charkewicz wrócił. Nie żałował, że się tak stało, ale sam znalazł się przez to w przykrew sytuacji. Gdyby Sztukarenki nie było albo gdyby Rud' nie zdążył mu

zameldować, sprawa przedstawiałaby się prosto. Ale on już zameldował, a Charkewicz powrócił i, jak widać, wcale nie miał zamiaru uciekać. Co po tym wszystkim mógł sobie pomyśleć o Rudiu Sztukarenko? W najlepszym wypadku uzna go za panikarza lub asekuranta, w gorszym — za oszczercę, który z jakichś tam powodów usiłował zhańbić człowieka.

A że Sztukarenko tak właśnie myślał, nie ulegało wątpliwości. Rud' nie wiedział tylko na pewno, który z dwóch możliwych poglądów na niego wybrał sobie Sztukarenko. Nie darmo tak serdecznie i po przyjacielsku przysiadł się do Charkewicza i ani razu nawet nie spojrzął w stronę Rudia, chociaż lejtenant przez cały czas stał na oczach i trzeba było się naumyślnie odwracać, aby go nie zauważyć.

Rud' czuł się tak, jakby go obwiniono o kradzież. Miał chęć wyjaśnić, że on nie winien, ale jak to zrobić, nie wiedział. Podejść do Charkewicza i podać mu rękę? To sprawiłoby na Sztukarence wrażenie, że on nie tylko rzucił na Charkewicza oszczerstwo, ale jeszcze mu się bezczelnie przypodchlebia. Stać na boku, udawać, że nie zważając na nic, pozostał przy swoim zdaniu? Takie zachowanie mogłoby wywołać u Sztukarenki, jeżeli nie oburzenie, to szereg pytań, i Rud' musiałby się tłumaczyć, dlaczego wciąż z nieufnością odnosi się do człowieka, chociaż nie ma do tego żadnych podstaw.

Postanowił nie podchodzić. Lepiej niech uważają go za asekuranta niż za lizusa i nikkzemnika. Tym bardziej że ostrożność na froncie, nawet i zbyt duża, nie może być karalna, i trudno znaleźć dowody, że jest ona bardziej szkodliwa od niefrasobliwej łatwowierności i mieszczańskiej ślepoty.

Stojąc samotnie na uboczu i zastanawiając się nad tym, co robić, Rud' coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że ma podstawy do takiego zachowania. I nie wyszukiwał ich specjalnie po to, aby się usprawiedliwić. Według niego takie podstawy istniały, niezależnie od tego, czy podejdzie on teraz do Ołeha Iwanowicza, czy nie podejdzie, i rozpatrując w myślach jedną po drugiej, coraz więcej ulegał wpływowi każdej z nich i wreszcie doszedł do wniosku, że ma nie tylko prawo, ale też obowiązek odnosić się do Charkewicza z wielką ostrożnością.

Przypomniało mu się tamto komsomolskie zebranie, na którym wystąpił przeciwko Charkewiczowi. Znał siebie dobrze i pamiętał, że występował wtedy uczciwie, zgodnie ze swoim przekonaniem. I czy w końcu nie okazało się, że miał rację? Do niewoli podczas kampanii fińskiej dostał się mimo wszystko nie ktoś inny, lecz właśnie Charkewicz. Czyż ten fakt nie pokazuje, że ówczesna jego nieufność nie była bezpodstawna? Czy można więc wymagać, aby jego nieufność zupełnie znikła tylko dlatego, że Charkewicz teraz wrócił? Nie, Rud' uważał, że ma rację, i coraz bardziej przekonywał się, że nie powinien się usprawiedliwiać czy też kajać z powodu nie istniejącego grzechu. Co do Sztukarenki, to jeśli zażąda wyjaśnień, można je będzie wyłożyć bez wahania i z czystym sumieniem.

Rud' prawdopodobnie niezmiernie by się zdziwił, gdyby mu powiedziano, że Charkewicz myśli o nim prawie tak samo i w jakimś stopniu i jemu nie dowierza. Nie, Ołeh Iwanowicz nie podejrzewał, że Rud' może zdradzić lub popełnić z góry obmyślony haniebnny czyn. Jego stosunek do Rudia był bardziej skomplikowany i jednym słowem lub jedną barwą nie potrafiłby go określić.

Gdyby tydzień temu w Moskwie zastępca ministra Odyncow okazał zbyt dużą ostrożność i skierował tu nie Charkewicza, lecz kogoś innego, dlatego tylko, że w jego osobistych sprawach nie wszystko jest w porządku, Ołeh Iwanowicz przeżyłby boleśnie ten niezastuzony brak zaufania, ale w końcu spróbowaliby go usprawiedliwić obiektywnymi warunkami. „Co zrobić, wojna”! Ale teraz na wojnie był on, a nie Odyncow. I gdyby zastępca ministra okazał brak zaufania teraz, oburzyłoby to Charkewicza. Nie żałował już, że nie powiedział Odyncowowi o Kseni i o tym wszystkim, co wiąże go z prawym brzegiem Dniepru; co to właściwie Odyncowa obchodzi? Charkewicz czuł się takim samym żołnierzem jak wszyscy, którzy go otaczali, i nikt nie miał prawa posądzać go o to, że na wojnie, którą prowadzi cały naród, on ma jakieś uboczne interesy.

Jeśli chodzi o Rudia, to sprawa wydawała się tym bardziej jasna. Gdyby Charkewiczowi zaproponował ktoś, aby zrozumiał Rudia, z oburzeniem odrzuciłby taką propozycję, gdyż uważał za niedopuszczalny kompromis już

samą próbę roztrząsania tego — czy Rud' ma słuszość, czy nie ma. Kto mógł lepiej znać Charkewicza, niż on sam znał siebie? Mógł za to ręczyć, że ani dzisiaj, ani sześć lat temu nie miał nie tylko nic złego na myśli, lecz nawet nic takiego, o czym nieprzyjemnie byłoby mu wspominać. Wystarczało to dla pełnej i bezwzględnej wiary we własną uczciwość. Może przemawia przez niego zbyt duża pewność siebie i przesadne poczucie osobistej godności albo mieszczańskie zaślepienie? Ależ z wyjątkiem nielicznych jednostek ludzie zawsze tak samo się do niego odnosili. I do niego osobiście, i do tego, co robił. Nawet do wierszy, których on sam się trochę wstydził i nigdy nikomu nie pokazywał. Jakim prawem Rud' wypaczał ich sens?

A jego pobyt w niewoli? Czy można obwiniać żołnierza, który uczciwie i śmiało wykonywał swoje zadanie bojowe, dlatego tylko, że nie został zabity, lecz schwytyany żywcem?

Gdyby Charkewiczowi powiedziano teraz, że to była omyłka, z oburzeniem odpowiedziałby, że tylko nikczemnik może się tak pomylić.

Charkewicz wiedział jedno: ten, kto go o coś podejrzewa, jest niesprawiedliwy i oskarżając go — niewinnego, z własnej czy z cudzej woli, wyrządza mu krzywdę. I chodzi tu nie o fatalne nieporozumienie, lecz o złą wolę poszczególnych osób, które w jednym wypadku kierują się własną nikczemnością, a w innym — świadomym dążeniem do wywoływania stałego zamętu w życiu i świadomości społeczeństwa.

Rudia zaliczał do tych, którzy wyrządzają szkodę ze względu na swój egoistyczny charakter. Charkewiczowi wystarczało przypomnieć sobie, jak Rud' posłużył się tym wierszem, aby zająć jego miejsce w nastawni. Gdyby ktoś zaczął twierdzić, że Rud', występując na komsomolskim zebraniu, nie miał najmniejszego zamiaru wysadzać go stamtąd, i stanowisko w nastawni objął tylko dlatego, że się po prostu zwolniło, Charkewicz mimo wszystko by go potępił, gdyż nie widział żadnej różnicy między wykorzystywaniem cudzego nieszczęścia a umyślnym przygotowywaniem przepaści, do której ma się zwalić ten, kto nam zawadza.

I dlatego to uważał Rudia za klasyczny przykład czło-

wieka, który za wszelką cenę pragnie uchodzić za zwycięzcę i wobec tego zmuszony jest wciąż fabrykować zwyciężonych, posługując się wszechmocną bronią demagogii i górnolotnych frazesów.

W ostatnich dniach Charkewicz rzadko myślał o Rudiu. Myśli zajęte były sprawą, jaką mu powierzono. Jednakże, spotykając Rudia, czuł jakąś złośliwą satysfakcję i uśmiechał się w duchu. To, że jemu właśnie powierzono teraz torować drogę przez zaporę, Charkewicz uważał za triumf sprawiedliwości i karę dla tego, który za wszelką cenę starał się popisywać przed ludźmi. Wierzył, że zło, chociażby nie wiadomo jak podstępne i chytre, koniec końców jednakże wystrychnie człowieka na dudka. Tak też się stało, jak sądził Charkewicz, z Rudiem. Gdyby on wówczas nie wypchnął go z nastawni i pracował dalej na zaporze, drogę teraz torowałyby nie Charkewicz, lecz właśnie on, Rud'. Ale postąpiłeś podle i oto masz skutki tego: idziesz z tyłu z automatem i ochraniasz mnie. Osobiście Charkewiczowi nie potrzebna była sława zbawcy Dnieprogesu, a jeżeli mimo wszystko cieszyła go, to tylko dlatego, że to nie Rud' będzie jej zażywał. Tak — rozważał — zawsze tak bywa: kopiesz dołek pod niewinnym, a sam do niego wpadasz, jak przyjdzie czas.

Może Charkewicz nie poświęcałby tyle uwagi takim rozmyśleniom, gdyby Rud' swoim obecnym zachowaniem nie zmuszał go do tego. Odnosił się on do Charkewicza to jakby z zażenowaniem, to znów przesadnie uprzejmie, czasem zwracał się do niego całkiem swobodnie, a niekiedy znów udawał, że go nie zauważa. Charkewicz był pewien: Rud' dlatego nie wie, na którym stołku usiąść, że się czuje winny, ale nie ma odwagi się do tego przyznać. Za każdym razem, kiedy znalazł się obok niego — czy to na stoku przelewu, czy w na pół ciemnej sztolni — Charkewicz mimo woli żywił odrazę do Rudia i obojętną pogardę.

15

Charkewicz nic nie wiedział, jak żyła Ksenia po tym wszystkim, co stało się z nim na fińskim froncie.

Kiedy niespodziewanie powrócił do mieszkania Kławdii Charytoniwny, zastał w swoim pokoju Petię Sławczuka.

W pierwszej chwili nie przypisywał temu żadnego znaczenia. Petro — jego przyjaciel, cóż więc dziwnego, że zastał go w swoim domu. Charkewicz rzucił się do niego i objął serdecznie, lecz Sławczuk stał jak skamieniały. Ale i w tym nic dziwnego nie było — przecież wrócił do domu tak niespodziewanie, nie miał pieniędzy nawet na telegram, aby uprzedzić o swoim przyjeździe. A więc jasne, że nikt na niego nie czekał, i Sławczuk jest oszołomiony.

Rzucił na krzesło swój podarty i brudny płaszcz wojskowy, który pozostał mu jeszcze z fińskiej wojny i przetrwał z nim wszystkie dalsze złe i dobre dni, i zapytał radośnie:

— Gdzie Ksenia?

— A gdzie może być? W pracy — szeptem niemal odpowiedział Sławczuk.

Charkewicz rzucił się do przedpokoju, do telefonu, i zaczął wywoływać wydział planowania. Sławczuk wciąż stał bez ruchu. Nie myślał o niczym, nawet nic nie widział. W oczach zastygły zdeптane żołnierskie trzewiki, obszarpane szare owijacze, wystrzępione po brzegach, spełznięta, przetarta na plecach stara bluza... Nawet nie twarz — wymizerowana, nie ogolona, aż poczerwiała — lecz właśnie ta nędzna, niemal żebracza odzież wstrząsnęła go i powiedziała mu więcej niż zmęczone oblicze przyjaciela.

Ogłuszyło go poczucie niewybaczalnej winy, ogarnął pałący wstyd. Sławczuk stał, pochyliwszy głowę, jak przywalony ciężarem, myśl miotłała się wśród czarnych fal rozpacz i przygnębienia.

Nie, po raz drugi nie ma siły spojrzeć w oczy przyjacielowi, jeszcze raz zobaczyć w nich blask szczęśliwej nieświadomości, radość powrotu z niebytu, którą on będzie zmuszony zabić!

W przedpokoju panowała cisza — Ołeh poprosił już, aby wezwano Ksenię do telefonu, i czekał. Czekał w milczeniu zataiwszy oddech. Sławczuk wciąż jeszcze stał pośrodku pokoju, nie widział Ołeha, ale wyczuwał niecierpliwe napięcie towarzysza, trzepot jego serca, zamierającego w trwożnym oczekiwaniu. Jak zareaguje Ksenia, kiedy dowie się nagle, że to Ołeh — Ołeh, który tak dawno zginął i nagle zmartwychwstał? Sławczuk gotów

był zapaść się pod ziemię ze wstydu przed przyjacielem, którego tak unieszczęśliwił, i z lęku przed tą przepaścią, jaka się przed nim nagle rozwarła — przepaścią, do której strach zajrzeć.

Rozejrzał się wokół w popłochu, jak gdyby czegoś szukał, chwycił marynarkę z krzesła i wybiegł z pokoju. W korytarzu omal nie zderzył się z Ołehem, ale Charkewicz odsunął się przerażony i Sławczuk przebiegł obok niego i wypadł na schody. Ołeh upuścił słuchawkę, która zawisała na sznurze, i zdumiony wyszedł na klatkę.

— Petro! Gdzie lecisz, Petro? — krzyknął zmieszany Ołeh. Ale Sławczuk nawet się nie obejrzał. Z ulicy słychać było stukot jego butów. Sławczuk biegł.

Charkewicz nie wiedział, co o tym myśleć. Pospiesznie wrócił do pokoju, ogarnięty jakimś złym przeczuciem. Podeszedł do stołu — obok stosu książek leżał list do Sławczuka. Na kopercie był adres tego mieszkania. Nie zdając sobie jeszcze sprawy, co to może oznaczać, Ołeh oddalił się od stołu i nagle usłyszał sła biutki szept w przedpokoju. Powoli podeszedł do telefonu. Słuchawka wisiała prawie nad samą podłogą, dobiegało z niej ledwo słyszalne: halo, halo!

Ołeh poznał głos Kseni i podniósł słuchawkę.

— To ja, Kseniu — powiedział cicho załamującym się głosem. — To ja, Ołeh...

Na drugim końcu przewodu zapadło milczenie, pełne niedowierzania i lęku. W końcu dało się słyszeć:

— Kto mówi, kto?

— Kseniu, to ja! — krzyknął Charkewicz i nagle usłyszał stuk — widocznie Ksenia upuściła słuchawkę.

I w tym właśnie momencie Ołeh wszystko zrozumiał. Ucieczka Sławczuka, adres na liście, wylekniiony okrzyk Kseni — wszystko to nagle powiązało się i zamknęło w jeden tragiczny łańcuch.

Tego dnia Ksenia nie wróciła do domu. Nie wrócił także Sławczuk. Ktoś widział go na dworcu, jak wsiadał do pociągu bez płaszcza i bez żadnych rzeczy.

Przez te wszystkie dni Charkewicz mieszkał na lewym brzegu u swoich znajomych. Nocami, leżąc na starej kanapie, usiłował zrozumieć, jak się to mogło stać. Wspominał wszystko, co mógł sobie przypomnieć, rozważał, starając się sobie coś wyjaśnić. Zaczął się czerwiec czter-

dziestego pierwszego roku, Charkewicz skończył dwadzieścia dziewięć lat i był już zdolny zrozumieć wiele takich spraw, których nie pojąłby, kiedy wyjeżdżał z domu. Teraz zdawał sobie sprawę, że za chłód, jaki zjawił się między nim i Ksenią przed wyjazdem na wojnę fińską, on ponosi odpowiedzialność. Stronił od niej i zamknął się w sobie. Wypływało to wprawdzie z ówczesnego jego samopoczucia, ale teraz wiedział, jakie to było okrutne, gdyż Ksenia mogła to sobie po swojemu wytłumaczyć i przyjąć wszystko na swój rachunek. Kochała go, a on obrażał ją swoją powściągliwością i sam od siebie oddalał...

Ale czyżby to mogło być przyczyną tego, co się później stało? Znał Ksenię, nie mógł uważać jej za małąstkową, jeśli idzie o wymagania w stosunku do ludzi; rozumiał, że jeżeli nawet zdolna była zrobić nieobliczalny krok, to niezdolna była postąpić podle. A więc coś innego się stało. Ale właściwie co? Co?

Przyszło mu na myśl, że okoliczności zmusiły ją zdecydować się na taki postępek. Przecież jego samego pociągnęli do odpowiedzialności za nie istniejące przestępstwo, to dlaczegoż by Kseni nie mogli obwiniać za związek z nim. Ale czy ona mogła zrobić podobny krok dlatego tylko, aby pokazać, że nic wspólnego z nim nie ma? Takie przypuszczenie nie licowało nie tylko z Ksenią, lecz i z jej czynem, na jaki zdecydowała się wówczas, kiedy Charkewicz pierwszy raz wpadł w tarapaty. Obojętnie, co było później, ale tego dnia sama zaproponowała, aby przeprowadził się do niej, chociaż nie mogła nie wiedzieć, co oznaczał dla niej osobiście taki demonstracyjny krok. I po tym przecież nikt jej nie prześladował, pracowała nadal na starym miejscu... Z jakiego więc powodu tak gwałtownie, tak nieoczekiwanie mogła zmienić się sytuacja, że ona raptem zmuszona była ratować siebie, składając jego w ofierze.

Te i dziesiątki innych domysłów rodziły mu się w głowie, odrzucał je, znowu do nich powracał i znów je odrzucał. I tylko najnaturalniejszy i najprostszy nie przyszedł mu na myśl, że uważano go za poległego w ciągu prawie dwóch lat, że ona straciła wszelką nadzieję, że Sławczuk mógł stać się jedyną podporą w niedoli. I jak

tylko rozumiał, że inaczej nie mogło być, postanowił pójść do Kseni.

Kiedy wszedł, Ksenia siedziała na fotelu. Aż strach było na nią spojrzeć — taka była zmizerowana. Obok na łóżku siedziała Lubow Stepaniwna, a profesor Storożenko przemierzał pokój z kąta w kąt. Charkewicz przestąpił próg i przystanął, wpatrując się w Ksenię. Ona również zdrętwiała, ale zdawało się, że zaraz poderwie się z miejsca i ucieknie.

Kuzma Iwanowicz wziął pod rękę Lubow Stepaniwnę, zapłakała cicho i wyszła razem z mężem. Ksenia została sama z Charkewiczem. Przez chwilę jeszcze spłoszona, niemal wylękniona, patrzyła na niego, potem ramiona jej zadrżały od głuchego łkania.

— Co z tobą, Kseniu... Co z tobą, kochana — powtarzał bezradnie, usiłując ją uspokoić.

Nareszcie Ksenia ucichła, zdruzgotana nieszczęściem, które zważyło się na nich oboje. Bezradni, nie mieli się odezwać.

— A mimo wszystko, Kseniu, trzeba żyć! — rzekł w końcu Ołeh.

— Nie, nie — zaprzeczyła gwałtownie, połykając łzy, jakby wiedziała, że on właśnie to powie, i z góry przygotowała odpowiedź. Trudno było zrozumieć, co ona miała na myśli: ich wspólne życie jest niemożliwe czy też, że w ogóle nie warto żyć?

— No powiedz, co z tobą... Ja przecież wszystko rozumiem — próbował skierować rozmowę na temat ich wzajemnych stosunków.

— Nie, nie — odpowiedziała tak samo szybko i tak samo nerwowo, i znowu nie było wiadomo, czy ona nie chce nic opowiadać, czy też nie wierzy, że on potrafi zrozumieć jej spowiedź.

— No cóż... Może potrzeba czasu... Ja zgodzę się czekać...

I znów szybkie niby jęk, niby przestрах:

— Nie, nie...

Co — nie? Dlaczego — nie? Czyż są uczynki, dla których nie można znaleźć wytłumaczenia? uczucia, które nie zmieniają się z biegiem czasu? myśli, którym dane jest zakuć człowieka na zawsze, w niewolę, pozbawić go

wyjścia na ten wielki i pełen życia świat, dla którego człowiek istnieje na ziemi? Czyż możliwa jest wokół człowieka taka żelazna obręcz, zamknięta na tysiące zamków, których nie zdoła otworzyć ani ludzki rozsądek, ani ludzka wola, ani prawo życia? Przecież ono otwiera wszystkie zamki, a jeśli nie ma kluczy — wyłamuje. Teraz Ołeh rozumiał Ksenię, wyobrażał sobie, co ona może odczuwać, znalazłszy się w sytuacji, gdzie sędzią jest jedynie własne sumienie, wiedział, że tylko czasu potrzeba, aby rozwiąła się czarna rozpacz, która skuła i jego, i ją.

Wyszedł. Ksenia siedziała, jakby była z kamienia. I kiedy już zamknął wyjściowe drzwi, rozległo się znowu głośnie, rozpaczliwe szlochanie.

Charkewicz powstał przez chwilę niezdecydowany i poszedł. Teraz, chociażby nawet wrócił, i tak nic nie zmienił. W przyrodzie nie ma lekarstw, które mogłyby ukoić ten ból — ani słów, ani czynów.

Ale on wierzył: trzeba żyć. I nie były to słowa samopocieszenia, lecz przekonanie po tym wszystkim, co przeżył. Życie przygotowało jeszcze jeden egzamin — trzeba go złożyć.

Na drugi dzień zgłosił się do wydziału kadr. W innych warunkach jego przyjęcie może i nie ucieszyłoby nikogo, ale w powietrzu czuło się już gorący powiew niedalekich wydarzeń, wielu mężczyzn zabrano do armii i trzeba ich było zastąpić. Charkewicza skierowano na stare miejsce — na tę samą zaporę, gdzie tak jak i dawniej musiał cały dzień łązić po jej wewnętrznych kanałach i przejściach. Praca nie interesowała go — szczególnie jako energetyka z zawodu, ale tutaj przynajmniej zawsze panowała cisza, miał możliwość rozmyślać, w oczekiwaniu, że wezwie go głos, który słyszał nawet we śnie.

Głos nie wzywał, miły i znajomy głos Kseni, który potrafił tak wesoło i wdzięcznie brzmieć, w zależności od nastroju. Wysoki, dźwięczny, a zarazem władczy głos!

Kiedy wybuchła wojna i trzeba było wywozić na wschód urządzenia Dnieprogesu, Charkewiczowi powierzono prowadzenie transportu. Postanowił pożegnać się z Ksenią, chociaż był pewien, że nie na długo wyjeżdża.

Widzenie ich było bardzo krótkie, gdyż Ksenia znowu nie była sama w domu. W pokoju siedzieli Lubow Stepaniwna i Kuźma Iwanowicz — nie zdecydowali się wró-

cić do Kijowa, zostawić Ksenię samą, i postanowili jeszcze trochę pobyc z nią w Nowym Zaporozu.

Charkewicz posiedział z piętnaście minut, rozmawiali o gwałtownym i groźnym natarciu Niemców pod Lwowem. Inne sprawy nie miały znaczenia, wszyscy tylko o tym myśleli.

Pożegnał się z Lubow Stepaniwną i profesorem Storożenką, a Ksenia wyszła z nim na korytarz. Jak tylko zamknęła za sobą drzwi, objęła go i pocałowała.

— Wracaj szczęśliwie! — powiedziała na pożegnanie, i znów nie było wiadomo, co ona miała na myśli: dawała nadzieję czy po prostu dobrze mu życzyła.

16

Charkewicz obudził się. Sztukarenki nie było już w sztolni. Zerwał się gwałtownie, czując na sobie czyjś wzrok, i omal nie zwałił z nóg Chochoła, który pochylał się nad nim.

— Podchodziłem już kilka razy, ale pan śpi jak zabity! — uśmiechnął się Chochoł.

— A która to godzina?

— Dochodzi trzecia.

— Czyżby? — wykrzyknął Charkewicz, jakby przestraszył się, że przespał coś ważnego. — Trzeba mnie było obudzić.

— A po co? Śnieg przestał padać, widoczność cudowna. Na górę i tak na razie nie można wychodzić. Zanim się ściemni, macie dwie godziny w zapasie.

Charkewicz usiadł na belce i przetarł twarz dłonią, usiłując uwolnić się od sennego zamroczenia. Z dalekiego kąta podszedł Kowalczyk, trzymając w ręku parę butów i komplet umundurowania.

— To dla pana. Wczoraj w nocy przynieśli.

— Tak? — radośnie zawołał Charkewicz. — Świetnie! Wziął odzież, położył na belce, obejrzał ze wszystkich stron kierzowe buty.

— Zdaje się, że trochę za wielkie.

— Nie ma kłopotu: but to nie czapka.

Charkewicz zdjął swoje chromowe, szybko zrzucił z siebie szare cywilne spodnie oraz flanelową koszulę i przebrał się w nowe.

Przyjemnie mu było w mundurze, i nie ukrywał tego.

— No, teraz to co innego! — zawołał z entuzjazmem. Pozostało tylko przełożyć z marynarki papiery i dokumenty. Kieszenie wojskowej bluzy okazały się za małe: nie mieściła się w nich fotografia Kseni i kartka z talonami na obiad, którą przywiózł tu z Moskwy. Talony na nic się nie zdadzą — wsunął je z powrotem do kieszeni marynarki. Fotografie wziął do ręki, nie wiedząc, co z nią zrobić.

— To ona? — zapytał Chochoł.

— Tak — odpowiedział Charkewicz.

— Można zobaczyć?

— Proszę bardzo.

Chochoł wziął fotografię. Nie miał zdjęcia Ani. Jeszcze podczas ewakuacji z Tallinna zmuszony był odbyć kilkugodzinną kąpiel w wodach Bałtyku, po tym, jak barkę, na której płynął, zatopił nieprzyjacielski niszczyciel. Fotografia rozmokła, emulsja zeszała i zdjęcie zniszczyło się...

— Ładna kobieta — powiedział Chochoł i oddał kartkę Charkewiczowi. Pamiętał, że ona jest gdzieś po tamtej stronie i obawiając się, że natarczywa ciekawość będzie nieprzyjemna dla Charkewicza, niespodziewanie zmienił temat. — Postanowiłem przygotować skład butli w dolnej sztolni. Bez takiego zapasu na drodze nie przedostaniemy się na prawy brzeg.

— A gdzie zamierzacie urządzić ten swój magazyn? — zapytał Charkewicz.

— W odległości, jaką uda się przejść z jedną butlą.

— Niezły pomysł!

— Nie wiem tylko, jak będziemy je zmieniać pod wodą.

— A ile tlenu macie w jednej butli?

— Myślę, że ze dwieście metrów można przejść.

— Nie więcej?

— Więcej trudno.

— A wie pan co? — Charkewiczowi przemknęła niespodziewana myśl, umilkł na chwilę, zastanawiając się nad nią.

— Co takiego?

— Czy nie można by przejść trochę więcej?

Charkewicz wyjął z kieszeni złożony w ośmioro schemat zapory, który przywiózł ze sobą z Moskwy.

— Nie zauważyliście nic, jak przechadzaliście się pod wodą? — zapytał.

— Nie, a o co chodzi?

— Do przodu idzie się trudniej, z powrotem łatwiej.

— Czyżby? Nie zauważyłem.

— Sztolnia nieznacznie wznosi się ku środkowi. Stamtąd zaczyna się stopniowy spadek. — Charkewicz rozłożył plan, na którym wyraźnie było widać, że dolny korytarz ku środkowi łagodnie podnosi się w górę, potem tak samo opada w dół.

— No i co z tego? — zapytał Chochoł.

— Na środku sztolnia jest wyższa od poziomu Dniepru. A więc powinna tam być nie zatopiona wysepka i powietrze.

— A niech to diabli... Wspaniale! — Chochoł już wszystko zrozumiał.

— Tam właśnie trzeba urządzić wasz skład.

Było to interesujące odkrycie. Jeżeli tam rzeczywiście jest nadające się do oddychania powietrze, można swobodnie zdjąć maskę i włączyć nową butlę. No i odpocząć na suchym przed dalszą drogą.

— Pan jest geniuszem! — wykrzyknął Chochoł.

— Podziękujcie budowniczym: przypadkowo okazali się przewidujący. — Charkewicz złożył plan i wsunął do kieszeni. — Wielu rzeczy jednak nie przewidzieli...

— Na przykład?

— Na przykład schodków na wszystkie filary. Ale wam się udało.

Chochoł usiadł obok Charkewicza.

— Na wojnie dobrze jest znaleźć choćby malutką szczelinę. Przeciśnie się jeden, otworzy drogę dla wszystkich. Jeśli na środku sztolni jest pagórek z powietrzem... Może i schodki na filary nie będą wam wtedy potrzebne? Co?

— Stamtąd do Niemców wszystko jedno jeszcze ćwierć kilometra.

— Dociągniemy! Jak będzie zapas butli, to ręcę.

— A z powrotem?

— Na wojnie nie myśli się o „z powrotem”.

— A mimo wszystko?

„A mimo wszystko” okazało się dla Chochoła nie tylko pustym frazesem. Sposepniał raptem i umilkł.

— Nie wie pan, czy Hołoborodko już wrócił? — zapytał nagle.

— Zdaje mi się, że jeszcze nie.

— Cóż, trzeba się szykować do drogi. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, przerysuję sobie ten plan.

— Oczywiście. Proszę bardzo.

Chochoł wstał i poszedł do przeciwległej ściany, gdzie Warywoda i Bogatyriow grzebali się przy swoim sprzęcie. Charkewicz odprowadzał go wzrokiem. Dziwny człowiek — nie wie, czy wróci żywy, a myśli o tym, co Hołoborodko przywiezie z Ufy. Czy to nie wszystko jedno, co będzie w liście, jeżeli ciebie już nie będzie? Okazuje się, że nie.

Charkewicz siedział, opierając się łokciami o kościste kolana i patrzył na kirzowe cholewy swoich nowych butów. Jak bardzo chciałoby się wiedzieć, o czym teraz myśli Ksenia. Przykro, podejść tak prawie pod jej drzwi i dostać w łeb jakąś idiotyczną kulką...

Wziął zdjęcie, które leżało na belce. Można je złożyć na pół i wtedy zmieści się do kieszeni bluzy. Ale zgiąć trzeba by je na środku — przełamie się twarz. Nie, nie robi tego, nie będzie niszczył fotografii. Lecz i w marynarce nie można zostawić — chciałoby się mieć ją przy sobie. Energicznie zagiął pasek u dołu i drugi — z boku, przełamał emulsję i oderwał. Zdeformował pocztówkę, ale twarz Kseni została cała. Na podłużnym pasku został warkocz, a na dolnym prawie cała bluzka. Szkoda — lubił ten gruby, jasny warkocz, przykro, że Ksenia została bez niego. Charkewicz położył oba paski na zdjęciu i wsunął do kieszeni: teraz Ksenia będzie z nim wszędzie wędrować. I warkocz także, chociaż nie razem z nią.

— Towarzyszu Kowalczuk! — zawołał Charkewicz. — Amiradze na zaporze. Jak myślicie, nie tęskni za nami?

— Tęskni — odpowiedział tamten — ucieszy się bardziej, kiedy wrócimy.

— Weźcie dla niego dodatkową puszkę konserw.

— To można. — Kowalczuk poszedł do dalekiego kąta, gdzie Petrenko krzątał się przy swoim kotle. Char-

kewicz widział, jak obaj wymachiwali rękami, dowodząc coś jeden drugiemu: widocznie targowali się. Nareszcie Kowalczuk wrócił z konserwą w rękę.

— Drugiej, dureń, nie daje. Norma, mówi.

— No cóż, prawo jest prawem.

— Możemy dostać jeszcze dwieście gram.

— A na konserwy wymienić nie można?

— Spróbuję — ucieszył się Kowalczuk i znów pobiegł do kąta.

Za parę minut wrócił i przyniósł jeszcze jedną puszkę z mięsem.

— A może lepiej by było zanieść mu te dwieście gram. Na górze zimno — zawahał się Charkewicz.

— Spadnie jeszcze z filara! — zastanowił się także Kowalczuk.

— To prawda, lepiej konserwy.

Kowalczuk wsunął obydwie puszki do kieszeni płaszcza, który leżał na dole, i zaczął znów grzebać się przy swoich sznurach. Trzeba związać jeszcze parę drabinek — na wszelki wypadek.

Cóż, jeśli trzem żołnierzom poszczęści się stanąć jeden drugiemu na ramiona, to może uda się także dosięgnąć do wentylacyjnego otworu. A kiedy wejdą do środka, można będzie posunąć się dosyć daleko. Oczywiście jeżeli Niemcy nie nastawiali i tam jakichś przeszkód. No i naturalnie, jeżeli nie zasiedli tam sami i nie czekają na takich mądrali, jak Charkewicz i jego chłopcy. Wszystko jednak wskazuje na to, że oni czekają na nich na brzegu, a nie na szlaku, gdyż inaczej musieliby zostawiać za sobą gotowe drabinki na wypadek, gdyby przyszło uciekać. A to niebezpieczna rzecz — można je przechwycić. Nie, tutaj Niemcy nie będą czekać, to pewne.

— Towarzyszu Kowalczuk! — woła Charkewicz.

— Słucham! — odpowiada żołnierz, nie odrywając się od swoich sznurów.

— Wiecie, teraz mogą się przydać wasze żelazne haki.

— Czyżby?

— Jak nasza piramida okaże się niedostatecznie wysoka, można ją będzie dosztukować hakami i podciągnąć się do otworu wentylacyjnego.

— A widzi pan! — radośnie wykrzykuje Kowalczuk i zaczyna znów wiązać swoje drabinki.

— Teraz już widzę — uśmiecha się Charkewicz.

Wyjmuje z kieszeni arkusz papieru i kopertę i sadowi się na belce do pisania. Trzeba wysłać list do ministerstwa. Niech oddadzą jego pokój w hotelu, bo, zdaje się, nieprędko będzie mu potrzebny. Rzeczy można przewieźć do któregoś ze współpracowników, obojętnie do kogo.

A zresztą jakie tam rzeczy — stary garnitur grosza niewart, parę koszul i koc.

Charkewicz przeczytał list, złożył go w trójkąt, jak to zwykle robiło się na froncie, napisał adres ministerstwa i oddał Petrence. Kucharz jest zawsze przy swoim kotle, odeśle, jeśli ktoś w nocy pójdzie na brzeg.

17

Smuga przeciwnego nurtu nie była szeroka — dwadzieścia, dwadzieścia pięć metrów; pośród wielkiej wody, która powoli płynęła w dół, odcinała się wyraźnie jak ślad okrętu, który dopiero co przeszedł z wielką szybkością. Wydawało się, że gdzieś na głębiny potężny i bystry strumień z rozpędu wpada na ścianę młyna, zawraca z trudem i wypływając na powierzchnię, ucieka co tchu z powrotem, pomyliwszy z przestrachu kierunek. I rzeczywiście tak było, tylko że woda uderzała nie o ścianę młyna, lecz o znacznie mocniejszą ścianę, ciągnącą się głęboko pod wodą. O ile Sołomija sobie przypomina, to nie opodal ludzie brali kamień z podłużnego kamieniołomu. Stopniowo kamieniołom pogłębiał się i coraz bardziej wydłużał, otoczony wysokimi, prostopadłymi skałami. Kiedy w trzydziestym drugim zatopiono okoliczne niziny, nad kamieniołomem zawirowała wzburzona smuga i pieniać się, skręciła pod prąd.

Jak się tylko ściemniło, mężczyźni przenieśli ciało Myronenki w dół, do wyłomu w ścianie, gdzie stały umocowane dwie tratwy — większa, na której on przeprowadził tu ludzi, i mała, ta, która przyniosła go martwego do młyna. Zwłoki ułożono na mniejszej i przywiązano do belek — Sołomija miała przeprowadzić się z nimi na lewy brzeg, aby je tam pochować. Zarazem miała się dowiedzieć, co zrobić z kobietami i dziećmi, które zostały w ruinach młyna, a po drodze wprowadzić do Diabel-

skiego Wiru i tę tratwę, na której umieścili się mężczyźni, aby już z bronią w ręku przedostać się do Nowego Zaporoża.

Było ich trzech — Jaroszenko, Kuźma Iwanowicz i dziadek Kował. Pawluka i Demydki nie puściła Lubow Stepaniwna. Obu Niemcy bezlitośnie zbili i Myronenko zabrał ich z ulicy na pół żywych. Pokaleczeni i słabi rwali się też z Jaroszenką, ale on wziął pod uwagę zalecenia lekarki, a zresztą i sam rozumiał, że nie będzie z nich wiele pożytku.

Od ubiegłej nocy, kiedy Jaroszenko zobaczył automaty i po swojemu wytłumaczył sobie i to, że zostały przysłane, i to, że było ich właśnie pięć, nie miał już także żadnych wątpliwości co do charakteru zadania, jakie zamierzali im powierzyć swoi przez Myronenkę. Odpowiednio do swoich domysłów nakreślił też plan działania. Sołomija miała wyprowadzić ich za Diabelski Wir, a stamtąd, przez zatokę, nietrudno już dostać się do łęgów. Zostawiają tam broń i ze swoimi zielonymi przepustkami pojedynczo wrócą do miasta. Broń podrzucają im swoi ludzie furmankami, które dowożą żywność Niemcom na Dnieproges, a kiedy zaczną się natarcie naszych wojsk, wiadomo będzie, co robić.

Kuźma Iwanowicz nie był pewien ani tego, czy domysły Jaroszenki są naprawdę słuszne, ani też tego, czy plan ten rzeczywiście będzie tak łatwo wykonać. Wprawdzie wychodząc z Myronenką z miasta, poznał magiczną moc zielonych przepustek, a przede wszystkim przekonał się, że nieprzyjaciel zajmuje linie obronne tylko tam, gdzie Dniepr jest węższy. W szerszych miejscach, a szczególnie w pasie bagnistych łęgów i zatok, wojska zupełnie nie było. Artyleria, prawdopodobnie na wszelki wypadek, czaiła się gdzieś wśród stepowych pagórków, ale do miasta, w dodatku z takimi przepustkami, nietrudno będzie przejść. Mimo iż był niespokojny, to wątpliwości swoje zachował dla siebie — i nie tylko dlatego, że obawiał się uchodzić za tchórza w oczach zdecydowanego i znacznie młodszego Jaroszenki; po tym, co Kuźma Iwanowicz przemyślał i przeżył, siedząc w swoim fotelu w ciągu dwóch dni, usiłował on zagłuszyć w sobie najmniejsze nawet objawy niezdecydowania oraz bez zastrzeżeń pod-

porządkować się ludziom męźniejszym, którzy umieli działać, a nie tylko rozmyślać.

Widział, jak męczy się Lubow Stepaniwna, która także rozumie, że rozłączają się być może na zawsze, wiedział, ile kosztuje ją ten łagodny uśmiech, którym stara się dodać mu otuchy... Ale ani on, ani ona nie zaczęli rozmowy o tym, co ich czeka: oboje stali na drodze, którą można przejść albo ze spuszczoną, albo z podniesioną głową. Wybór był dokonany, nie podlegał już dyskusji.

Trzej mężczyźni zeszli na tratwę, gotowi do niebezpiecznej drogi. Sołomija miała odbić pierwsza, a oni za nią. Pod tratwą wirowała woda, ciemna głębia burzyła się. Ci, co zostawali, zbili się w kupkę obok wyłomu w ścianie. Lubow Stepaniwna ukradkiem ocierała łyż i aby mąż tego nie zauważył, chowała się za plecami innych.

Sołomija puściła sznur i belki, z których była związana jej tratwa, porwała woda i rzuciła w ciemność. Za moment wypuścił także z rąk swoją linkę Jaroszenko, prąd pochwycił ich również i pomknęli za Sołomiją. Umówili się z nią wcześniej, że zwrócą ster na prawo, jak tylko przeskoczą Diabelski Wir, a ona da im znak, że wraca do lewego brzegu.

Tratwę niosło szybko, ale równo, drżała tylko nieznacznie, jakby obawiała się tajemniczej głębi i potęgi przeciwnego nurtu. Słysząc było jedynie ciężki oddech Jaroszenki, który z całej siły napierał na ster, aby przypadkiem nie wyrzuciło tratwy z prądu, i cichy szmer wody, która ją lekko opluskiwała, jakby tratwa w swym locie ścinała z niej srebrzyste wióry.

Raptem tratwą zakręciło i rzuciło ją w bok. Kuźmę Iwanowicza cisnęło na drugą stronę, tam gdzie sterował Jaroszenko. Jedna strona przeważała się i znikła w wodzie. Na szczęście Jaroszenko zdążył wyrzucić drążek i skoczyć na drugi koniec, który sterczał w powietrzu. Tratwa przeważała się z powrotem i wyrównała.

Kuźma Iwanowicz klęczał, kurczowo trzymając się desek.

— Kowala zmyło! — usłyszał strwożony głos Jaroszenki.

Zamigotało w oczach, zamroczyło się w głowie. Kowala na tratwie nie było. Sołomija rozplynęła się gdzieś z przo-

du. Teraz nawet nie można się było zorientować, z której strony jej szukać: dokoła czarną ścianą zawisnął mrok, płynęli jak po pustyni, nie mając żadnych drogowskazów. Tratwa jeszcze i teraz się wzdrygiwała, ale już nie tak wyczuwalnie jak dawniej, i obaj zrozumieli, że niesie ich już nie do Diabelskiego Wiru, lecz w dół, do zapory.

Jaroszenko ostrożnie przeczołgał się na drugi koniec, zamieniwszy się miejscami z Kuźmą Iwanowiczem. Bezmyślnie macał wokoło rękami, jakby miał jeszcze nadzieję odnaleźć dziadka Kowala. Starego na tratwie nie było, tak jak nie było ani worka z żywnością, ani skrzynki z magazynkami.

— Automatu pan nie zgubił? — zapytał cicho.

— Nie — odezwał się Kuźma Iwanowicz.

Jaroszenko obmacał dulkę, chociaż wiedział, że steru w niej już też nie ma, i w milczeniu zaczął mocować się z deskami, w nadziei, że jedną uda mu się oderwać. Rozumiał, że jeżeli teraz zdadzą się na wolę prądu, to niechybnie wciągnie on ich w przepusty denne, przemiele i przetrzuci przez zaporę do wody dolnej. Trzeba za wszelką cenę zawrócić z nurtu — jak najszybciej oderwać deskę, aby mieć ster.

Pod ręką było tylko jedno narzędzie — automat. Jaroszenko namacał odpowiednią szparę i wsunął w nią kolbę. Ostrożnie zaczął podważać — deska poddała się.

Zaświtała nadzieja uniknięcia chociaż tej katastrofy. Na lewo, do swoich wojsk, nie można się było skierować — właśnie z tej strony zapory czyhały przepusty denne. Pozostawało tylko jedno wyjście — na prawo, bliżej do wroga.

Uratować mógł ich jedynie mrok, ale czy na długo — nad tym nie zastanawiał się teraz ani Jaroszenko, ani Kuźma Iwanowicz.

18

Sztukarenko był jeszcze u Szumakowa, kiedy Prychodko wniósł buty; uśmiechał się w duchu, czekając na dialog z powodu butów. Ale Szumakow milczał. Milczał również Prychodko — przy obcych nigdy nie zaczynał pierwszy rozmowy z dowódcą dywizji.

— Zjesz ze mną śniadanie? — zapytał Szumakow.

— No cóż, we dwójkę weselej — odpowiedział Sztukarenko.

— Prychodko, podawaj!

— Tak jest. Podawać!

Szumakow zaproponował pośniadać we dwójkę, chociaż, szczerze mówiąc, chętnie zostałby teraz sam. Ordynans wrócił i zaczął nakrywać do stołu. Szumakow dawno już go nauczył, jak należy to robić — nie znosił żadnego niechlujstwa przy stole i wymagał, aby nie powoływać się na warunki wojenne. Kiedy widział, jak podpułkownik Lemieszko widelcem smarował masło na chleb, gotów był postawić go na baczność i publicznie zwrócić mu uwagę, że to nieestetycznie. Uważał, że ten, kto nie umie jeść, nie umie też żyć.

Cicho operowali widelcami i nożami i tylko z rzadka przerzucali się błahym słowem, myśląc każdy o swoim.

Po śniadaniu Sztukarenko wyszedł i Szumakow nareszcie został sam. Przeszedł się parę razy z kąta w kąt i zamyślił się. Na prawym brzegu wysadzili coś w siłowni... Dlaczego? Armia, która ma zamiar długo stać na miejscu, buduje, a nie wysadza. Widocznie wróg zdaje sobie sprawę z tego, że wkrótce tak czy inaczej zmuszony będzie pożegnać się z zagarniętymi terenami i zabierać się precz. Bez względu na to, czy wysadzą zaporę, czy uda się ją uratować — w najbliższych dniach trzeba będzie przeprowadzić dywizję przez Dniepr. Czy jest już do tego w pełni przygotowana? Czy uda się uniknąć zbędnych strat, które mogą wykrwawić ją jeszcze na wodzie i pozbawić możliwości nękania wroga na lądzie?

Dotychczas nigdy jeszcze nie kierował przeprawą na takich wielkich rzekach, gdyż na szlaku do Dniepru po prostu ich nie było. W czasie odwrotu przez Don przeprawą dowodził jego poprzednik, Szumakow przejął dywizję, jak była już na lewym brzegu rzeki. Później — Wołga, ale jego pułki przeszły na lewy brzeg jeszcze przed ofensywą niemiecką. Junkersy bombardowały wówczas przeprawy, ale bezpośrednio nieprzyjacieli nie mógł ich ostrzeliwać. Tutaj będzie inaczej: mosty trzeba będzie budować pod ogniem, przechodzić po nich pod cełnym i na pewno bardzo silnym ostrzałem z prawego brzegu.

Przypomniał sobie okolice Leridy na aragońskim froncie, most na Segre, po którym wycofywał się jego batalion. Ale Segre to nie Dniepr, tak jak batalion nie dywizja, a odwrót nie natarcie. Tam zasadnicza część pododdziału przeprawiła się wcześniej pod niewielką osłoną, prawie zupełnie spokojnie. Pluton cekaemistów, który osłaniał odwrót, znalazł się naturalnie w ciężkim położeniu, lecz główna masa ludzi przeprawiła się wcześniej i mogła już z drugiego brzegu przykryć swoim ogniem odwrót cekaemistów. Strat było mało, ale to był odwrót.

Tutaj ruszy natarcie, podobne raczej do szturm. Nieprzyjacielski ogień trzeba przyjąć od czoła i wróg będzie kosił ludzi, jak tylko ukażą się na przeprawach, nie pozwalając nikomu przejść przez most, jeżeli w ogóle uda się go pod takim ogniem postawić.

Nie, na batalion pontonowy niewiele tu można liczyć. Dobrze, że Sztukarenko namówił go, aby nie podciągał batalionu do brzegu. Tutaj potrzebne są inne środki. Ale jakie?

Szumakow spojrział na mapę — wisiała na ścianie — i powiódł nie zaostrzonym końcem ołówka po grubej linii, która wiła się i wyginała od samego Smoleńska aż do Morza Czarnego. I mimo woli pomyślał, że Dniepr jakoś dziwnie wtargnął w jego życie, powiązał dzień dzisiejszy z latami młodości. Z początku biegał z chłopcami kąpać się i łowić uklejkę, później, kiedy w czterdziestym pierwszym przedzierał się z okrażenia, kąpiel była już inna... I oto teraz — znów Dniepr, jeszcze raz te same wody...

I znów przypomniał mu się Kołomijec — nie to straszne, o czym mu opowiedział, ale ta ostatnia noc — noc przeprawy. Przed nimi leżał Dniepr — zupełnie inny niż tutaj, całkiem wąski, zarośnięty u brzegów wodnymi liliami i trzcina. Nie mieli żadnych środków do przeprawy — jedynie ciemna noc i odwaga, no i jeszcze po kilka naboju na żołnierza.

A mimo wszystko przeprawili się. Oczywiście, straty były niemałe. Ale większość jednak wyszła na lewy brzeg, bez żadnych batalionów pontonowych i mostów.

Gdyby nie Kołomijec, Niemcy wytłukliby wszystkich. To był wspaniały człowiek — Kołomijec! Głos miał taki,

że mógłby w operze śpiewać, ale diabła łysego zaśpiewasz, kiedy wróg dokoła. W przeddzień, leżąc w lesie, recytował Szumakowowi słowa jednej pieśni, o tym, jak to po sinym morzu czajki kozackie hulają. Raptem podniósł się i mówi:

„Na przełaj nie przejdziemy, trzeba ich przechytrzyć”.

„A jak ty ich przechytrzysz, kiedy masz po trzy naboje na żołnierza?” — ze smutkiem zapytał Szumakow.

„Dniepr trzeba brać po kozacku — powiedziało. — Inaczej nie da rady”.

Szumakow zdziwił się:

„Jak to po kozacku?”

„A tak. Nie włożyć na rożen, lecz rozproszyć się na drobne grupki i spróbować przeprawy od razu w wielu miejscach. Niemcy rozbiegną się, zdezorientują, zaczną rzucać się to w jedną, to w drugą stronę. Dla nas to z góry obmyślony plan, a dla nich — niespodzianka. Jednego utopia, a dziesięciu przepłynie!”

Oczy mu płonęły — Kołomijcowi. Głęboko siedziały w orbitach, ale błyskały niczym wystrzały w ambraturach.

„Stracimy kontrolę — zawahał się Szumakow. — Przeprawią się i rozejdą, nie zbierzesz później żołnierzy”.

Kołomijec umilkł, a po chwili powiedział:

„Człowiek powinien znać swój cel. Jak będzie dokładnie znał, to i dokładnie wykona. A cel mamy jeden — przerwać się do swoich. Wskaż każdemu punkt, a zbiorą się co do jednego”.

Szumakow zapamiętał te słowa. Było w nich coś takiego, czego się nie zapomina. I Kołomijec tak je wypowiedział — z naciskiem, z akcentem — że nie można zapomnieć. Poradził także, aby każdy miał przy sobie trzcinę. „Kozacy — mówił — kiedy, bywało, Tatarzy ich zauważyli, od razu zanurzali się z głową; trzcinę w zęby, i szukaj wiatru w polu. Idzie sobie po dnie i oddycha przez trzcinę jak nurek. W nocy — sprawa pewna, Niemiec i z reflektorem nie zauważy”.

Tutaj oczywiście nie jest to samo, co pod Smoleńskiem, głębina taka, że nie przespacerujesz się po dnie. Ale jeśli chodzi o przeprawę małymi grupami, Kołomijec słusznie mówił.

Szkoda, że w pokoju nie było nikogo i nikt nie widział,

jak Szumakow się do tego zapalił. Oczy błyszczały mu tak samo, jak wtedy Kołomijcowi, jak wystrzały w ambraturach. Tam wszystko odbyło się dokładnie tak, jak Kołomijec przewidział. Niemcy rzucali się z jednego miejsca na drugie, jak jeden pies za kilkoma zajęciami. A skąd wiadomo, że i tutaj się tak nie stanie? „Dla nas to z góry obmyślony plan, a dla nich — niespodzianka”, powtórzył na głos słowa Kołomijca.

Przemierzał glinianą polepę mocnymi nogami, nie zauważał, że jego kroki są coraz szybsze, zachwycony był obrazem, jaki malował się w wyobraźni. Ludzie płyną na łodziach, na belkach, na pniach powalonych drzew... Dniepr roi się, usiany drobnymi punktami, do których nie można się wstrzelać... Pociski padają beładnie, ogień miota się po wodzie... A żołnierze płyną i płyną, i nie można ich powstrzymać.

Odezwał się brzęczyk. Szumakow podszedł do stołu i podniósł słuchawkę.

— Melduje major Tereszczenko. — Membrana brzęczy i szumi, głos dowódcy pułku brzmi jak spod ziemi. — Dopiero co zameldowano mi: w nocy na moim lewym skrzydle przepłynęła rzekę jakaś kobieta.

— Co to za jedna?

— Przywiozła ze sobą ciało męża... Pamiętacie, z tego samego miejsca... Stary był tutaj... Ten, z którym rozmawialiście... W ziemiance plutonu sanitarnego.

— Tak, tak.

— Żołnierze go poznali: ten sam.

Szumakow na chwilę umilkł.

— Za pół godziny będę u was.

— Tak jest!

Szumakow odłożył słuchawkę. Z meldunku majora Tereszczenko trudno było zrozumieć, co się tam u nich stało. Przypomniał sobie rozmowę ze starym Myronenką, здавало się, że i teraz widzi ciemną twarz ślusarza, zżartą metalowym pyłem i pooraną głębokimi zmarszczkami. A więc zginął. Przypomniało mu się opowiadanie o ruinach wiejskiego młyna, w których ukrywa się osiemnaścioro radzieckich ludzi.

Wyszedł z za stołu i raptownie otworzył drzwi, chciał powiedzieć Hołoborodce, aby zbierał się, gdyż pojedą razem na prawe skrzydło. Dopiero na progu przypomniał

sobie, że Hołoborodki nie ma. Wyszedł na podwórko, spodziewając się, że tam jest Prychodko, ale ordynansa również nie było. Musiał więc krzyknąć do wartownika, który powoli przechadzał się przed furtką.

— Samochód!

— Tak jest! — zasalutował wartownik.

Szumakow szybko wrócił do izby, narzucił płaszcz i papachę i znów wyszedł na podwórko.

— Przekażecie pułkownikowi Sztukarence, że ja jestem na prawym skrzydle — rozkazał wartownikowi i usiadł obok Pokotyły w swojej emce.

— Tak jest! — odpowiedział głośno wartownik i długo jeszcze stał wyprężony, odprowadzając wzrokiem samochód pędzący po przyprószonej śnieżkiem długiej wiejskiej ulicy.

19

Szef plutonu zwiadowców, starszy sierżant Cygankow, był średniego wzrostu, wysmukły jak trzcina. Szczupła, śniada twarz z prostym nosem i wydętymi wargami wydawała się czasem dziecinna i gdyby nie czarne, bystre oczy i smolista czupryna, mogłaby uchodzić za twarz naiwnego i wstydliwego uczniaka. Właśnie w tych oczach płonęła wciąż iskra junackiego zuchwalstwa, świadcząca o jego nieprzeciętnej odwadze i zaciętości.

Słuszności znanego powiedzenia, które twierdzi, że każda ślicznotka jest głupiutka, a każdy przystojniak gałgan, można by było dowieść właśnie na przykładzie Cygankowa. Tak, ten przystojniak trafił na front prosto z więzienia. Jedyne syn wdowy po tokarzu z dziada pradziada, kobiety bezwolnej i o słabym charakterze, jeszcze w latach szkolnych wpadł w nieodpowiednie towarzystwo, które popchnęło go na śliską drogę. Kilka razy przyłapano go na drobnych kradzieżach, ale milicja wybaczała mu z szacunku dla nieboszczyka ojca, który zginął w pracy podczas przypadkowej awarii. Wybaczenie traktował on jednak nie jako ostrzeżenie, lecz jako pobłażliwość, i wkrótce ujęto go na sprawie, za którą trafił na pięć lat do więzienia.

Z czasem, kiedy jego ciemna przeszłość nie była już

tajemnicą, sam opowiedział majorowi Tereszczence, jak się to stało, i dowódca pułku pokładał się ze śmiechu — tak mu się ta historia spodobała. Co prawda początkowo major nie uwierzył Cygankowowi, był pewien, że zuchwalec wymyślił wszystko od początku do końca, ale później trzeba było mu uwierzyć, gdyż będąc już zwiadowcą przez cały czas potwierdzał, że zdolny jest zrobić wszystko, co wydaje się niemożliwe.

Kiedys Cygankow pętał się ze swoimi koleżkami po głównej ulicy Sarańska. Banda obiboków szukała jakiejś rozrywki, ale na razie nic im się nie trafiało. Nagle po drugiej stronie ulicy ukazała się dosyć ładna, młoda kobieta. Chłopcy wiedzieli, że zuchwały Cygankow traci swą zuchwałość wobec kobiet, i ktoś, zjadliwie się uśmiechając, powiedział:

— A tobie słabo by się zrobiło, jakbyś miał podejść i zapoznać się.

Cygankow zawrzał gniewem, spojrzął z pogardą na kolegów i przebiegł przez ulicę. Stanąwszy przed kobietą, odezwał się:

— Czy mogę pani towarzyszyć?

Kobieta spokojnie popatrzyła na niego i odpowiedziała:

— No cóż, kiedy z ciebie taki bohater — wzięła go pod rękę i uprowadziła ze sobą.

Cygankow strasznie się zmieszał. Gotów był rzucić się do ucieczki, ale wiedział, że z drugiej strony ulicy patrzą na niego chłopcy. Szedł więc pokornie obok niej jak cielę na rzeź. Mógł się wszystkiego spodziewać — głośnego policzka, który rozbawiłby i jego, i chłopców, krzyku i wzywania milicji — wszystkiego, tylko nie zgody na pójście z nim.

Kobieta przyprowadziła go do przedpokoju swojego obszernego mieszkania i głośno zawołała:

— Fedia, ktoś przyszedł do ciebie!

Cygankow całkiem zbaraniał. Kiedy zjawił się wreszcie ten „Fedia”, Cygankow zrozumiał, że kobieta dała mu jednak zdrową nauczkę: okazało się, że jej mąż to komendant milicji Woronow — Cygankow od razu go poznał.

Woronow poprosił chłopca do pokoju i zapytał, o co mu chodzi. Trzeba było wybrnąć jakoś z przykrew sytuacji i Cygankow na poczekaniu sklecił naiwną histo-

ryjkę. Opowiadał, że niedawno przyjechał do Sarańska, pracuje w warsztatach mechanicznych, ale milicja zwleka z jakiegoś powodu z zameldowaniem, i on przez to nie może dostać miejsca w hotelu robotniczym, a nie ma gdzie mieszkać. Kilka razy przychodził do niego do biura, ale tam zawsze kolejka, a w warsztatach krzyczą i nie chcą go więcej zwolnić. Woronow uwierzył i kazał mu przyjść jutro w czasie przerwy, to mu pomoże.

Cygankow skarżył się przed Woronowem, a sam aż kipiał ze złości. Za drzwiami zaskrzypiał parkiet i chłopiec zrozumiał, że to żona Woronowa podsłuchuje, jak on się wykręca. „Poczekaj — odgrażał się Cygankow — ty dałaś mi nauczkę, to i ja ci się odwdzięczę!”

Tej samej nocy Cygankow wybił szybę w kuchni i włamał się do mieszkania Woronowa. Chciał potłuc i zniszczyć wszystko, co się da, aby zemścić się na milicjantowej i uciec. Ale Woronow złapał go na miejscu.

Kiedy zaczęła się wojna, Cygankowowi niewiele już zostało do odsiedzenia. Poprosił o skierowanie na front i od razu trafił pod Moskwę. Toczyły się tam ciężkie, zaciekle boje, nikt nie interesował się przeszłością poszczególnych żołnierzy. Istniała tylko jedna miara — wytrzymałość, odwaga i upór w walce. A Cygankow od pierwszego dnia okazał się zwiadowcą, urodzonym do śmiałych, desperackich wyczynów.

Do pułku, którym dowodził major Tereszczenko, przydzielono go po czwartym zranieniu. Był już odznaczony Orderem Czerwonej Gwiazdy i dwoma medalami. Wkrótce Cygankow i tutaj pokazał, co umie, i bardzo szybko został starszym sierżantem i dowódcą plutonu zwiadowców.

W ciągu dwóch i pół roku wojny Cygankow bardzo się zmienił. Z żargonu dawnego zucha pozostały mu już tylko poszczególne, wyraziste słowa, które wyrwały się czasem, kiedy był podniecony i nie mógł się opanować. A mimo wszystko było to dziwne, że właśnie jego „omotała” niepokazna i nieciekawa sanitariuszka Frosia. Łagodna i uległa, zdawało się, nie miała żadnych szans, aby władać sercem zucha-sierżanta, w którym mogłaby się zakochać niejedna ślicznotka.

Cygankow ukrywał swoją miłość do Frosi, a kiedy zostawali sami, podśmiewał się z niej i dobrodusznie

pokpiwał. W rzeczywistości jednak był całkowicie w jej delikatnych rękach i pod zupełnym wpływem jej miękiego, kobiecego serca.

Odprowadziwszy starego Myronenkę, Cygankow wrócił do ziemianki plutonu sanitarnego, tak jak obiecał. Frosia dyżurowała tej nocy, chociaż w ziemiance nie było rannych. Cygankow usiadł, zamierzając zdjąć buty i położyć się na łóżku. Ale Frosia przysiadła się do niego i odezwała się cicho:

— Wiesz, Wasyłyku, będę miała synka.

Cygankow nie uwierzył.

— Co ty za głupstwa pleciesz?

— Oj, bieda w tym, że to nie głupstwa! — przytuliła się do niego.

— Czy ty jesteś niespełna rozumu?

— Oj, spełna, Wasyłyku, spełna...

Wciąż jeszcze był pewien, że Frosia żartuje albo go oszukuje, ostrożnie więc położył na jej brzuchu swoją szczupłą dłoń.

— Ach ty mój pączuszkule! A skąd to wiesz, że synek?

— Może i nie synek, może córeczka.

Frosia patrzyła na jego uśmiechniętą, ładną twarz pełnymi ufności, zakochanymi oczyma i Cygankow zrozumiał, że mówi prawdę. Usiłując opanować swoje zakłopotanie, zażartował:

— No cóż, tyle ludzi ginie, trzeba uzupełniać szeregi... Zuch jesteś, kwiatuśku! — Niedawne zakłopotanie znikło, ogarniała go radość. — A jednak lepiej synek! Postaraj się jakoś, aby był chłopiec!

Błękitne oczy sanitariuszki zamglily się nagle i po jej okrągłych pulchnych policzkach potoczyły się rzęsiste łzy.

— A co będzie ze służbą, Wasyłyku?

— Też zmartwienie! — roześmiał się Cygankow i zaczął wycierać jej twarz swoją chusteczką. — A wychowanie nowego żołnierza to nie służba? Oho, jeszcze jaka!

Ostrożnie zdjął jej rękę ze swego ramienia i wstał.

— Wyprawimy cię do mojej mamy, do Sarańska, ona pracuje w fabryce i dostaje za mnie przydział. Wyżywi jakoś i ciebie, i jego.

— A ty zostaniesz tutaj? — z lękiem wykrzyknęła Frosia.

— Coś ty, kwiatuszku, nie zostanę! Pojadę z tobą zamiast akuszerki. Pępowinę przetnę i wrócę na front.

Frosia zrozumiała, że on żartuje, i gorzko zapłakała. Cygankow odezwał się raptem poważnie:

— Wojna, nic nie poradzisz, trzeba wojować.

— A jak ciebie przypadkiem zabiją? — krzyknęła i pokornie podniosła na niego oczy...

— Jak urodzi się chłopczyk, nazwiesz go Wasylem, a jak dziewczynka, to Wasylisą. — Roześmiał się znowu i ona także uśmiechnęła się przez łzy.

Potem Cygankow położył się w ubraniu i zasnął, a Frosia prawie do świtu siedziała przy nim na łóżku, płakała i nie odrywając wzroku, patrzyła na jego kochaną twarz.

Rano Cygankow poszedł do dowódcy pułku i poprosił o zwolnienie sanitariuszki i odesłanie jej do Sarańska, do jego matki. Tereszczenko miał wybuchowy charakter i w pierwszej chwili rozgniewał się.

— Ty mi tu przestań pokazywać swoje sztuczki! Żołnierze żyją bez rodzin, a ty, sierżant, jaki przykład im dajesz? Zamelduję o tym dowódcy dywizji.

Tego Cygankow bał się najbardziej. Wszyscy w dywizji wiedzieli, że Szumakow w podobnych sprawach działa stanowczo i bezwzględnie.

Tereszczenko jednak pozłócił się i złagodniał.

— No dobrze, siadaj. — Poszarpał końce swoich jasnych wąsów i pochmurnie ciągnął dalej. — Ja nie będę ci sędzią. Wiem, jak to w życiu bywa, nie skrzywdzę.

Tereszczenko milczał przez chwilę.

— Kochasz?

— Kocham.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— No cóż, wysyłaj, niech ci urodzi synka. A jak okażesz się psem... ja go usynowię. Jasne?

— Nie, nie — Cygankowa wzruszyły słowa Tereszczenki.

— Idź już. I oddaj jej to. — Tereszczenko wyjął z kieszeni plik banknotów. — Ja nie mam komu posyłać, a jej przydadzą się na zapleczu.

Cygankow wziął pieniądze. Spojrzał na wzruszoną twarz Tereszczenki i nie mógł nie wziąć.

Emkę pułkownika Szumakowa dawno już czas byłoby odesłać do muzeum, ale kierowca Pokotyło w żaden sposób nie mógł go namówić, aby zamienił ją na zdobyczny samochód. Oplami i mercedesami jeździli już nawet niektórzy dowódcy pułków, a Pokotyło wciąż jeszcze musiał zapuszczać korbką przestarzały silnik i trząść się w kabinie terkoczącej jak furmanka na bruku. Ileż to razy zaczynał Pokotyło rozmowę o tym, ale Szumakow nawet nie chciał słuchać i zawsze odpowiadał tak samo:

— Wroga trzeba bić własną bronią. Nie wsiądę do ich mercedesów i nie waż się mi więcej o tym wspominać. — Z gospodarzami faszystowskich samochodów miał on swoje porachunki, bardziej skomplikowane niż Pokotyło, ale nie miał ochoty wyjaśniać tego swemu kierowcy.

Razem z Pokotyłą Szumakow zbliżał się do stanowiska dowodzenia. Szlaban był zamknięty. Dziewczyna regulująca ruch знаła tę emkę i ujrawszy ją z daleka, namyślnie się odwróciła, udając, że jej nie widzi. Wszystkie dziewczęta w dywizji wiedziały, że dowódca dywizji jest nieżonaty, i korzystały z okazji, aby się do niego trochę pozalecać.

Dziewczyna stała odwrócona do nich plecami, i to oburzyło Pokotyłę. Lubił wykorzystywać swoją przewagę, jaką dawała mu bliskość pierwszego człowieka w dywizji. Burknął coś niezadowolony, ale Szumakow mu przerwał, kazał zatrzymać samochód i dać sygnał. Naïwne wybiegi dywizyjnych dziewcząt dawno już rozgryzł i nie gniewał się na nie za to.

Usłyszawszy ochrypli sygnał, dziewczyna powoli zbliżyła się do samochodu i ze specjalnie podkreśloną obojętnością, przyłożywszy małą dłoń do zsuniętej na bakier uszanki, zasalutowała; uśmiechnięta kpiąco twarzyczka o czarnych mongolskich oczach zasępiła się chytrze.

— Wybaczcie, towarzyszu dowódcu dywizji, nie poznałam.

— Dowódcę dywizji trzeba poznawać! — Pokotyło ze złością błysnął na nią oczyma. Miał już pod pięćdziesiątkę i nienawidził jej za to, że zalecała się tylko do mło-

dych, a na osobistego kierowcę dowódcy dywizji nie zwracała żadnej uwagi.

— Myślałam, że to z zaopatrzenia, oni mają taki samiotki samochód. — Dziewczyna z trudem powstrzymywała śmiech, w czarnych oczach pląsały wesołe chochliki.

Szumakow wybuchnął śmiechem.

— Po cholewach ludzi poznajesz?

— Niedługo do Berlina dojdziemy, towarzyszu dowódcu dywizji — roześmiała się także dziewczyna. — Czas na ładniejszego konia się przesiąść! — Znowu dziarsko zasałutowała i otworzyła szlaban.

Szumakow wiedział, do czyjzego ogrodu rzuciła kamień zadziorna wiercipięta, spojrzął na Pokotyłę, którego aż korciło wypalić wszystko, co ma na języku... Zrobiło mu się żal wiernego kierowcy i zaczął o czym innym.

— A tam, koło ziemianki, to nie Cygankow?

— Tak, to on, towarzyszu dowódcu dywizji. Odprowadza żonę do szpitala położniczego. Nawojowała się! — informowała dziewczyna.

— To on się ożenił?

— Nie wiem, do urzędu stanu chyba nie chodził — mruknęła. — Zawołać go?

— Nie, nie trzeba.

— Zaraz pojedą ciężarówki do składu po amunicję, to podwiozą ją do samolotu.

— Szumakow zasałutował dziewczynie i rozkazał kierowcy:

— Jedziemy!

Wiedział, że Cygankow romansuje z sanitariuszką, i nie zdziwiło go to, że ona wyjeżdża. Dziwiło go co innego: z wysepki na Dnieprze przypłynęła kobieta, o której zameldował mu Tereszczenko, a Cygankow, zajęty osobistymi sprawami, jakby nic o niej nie wiedział. Nie uszło jego uwagi również i to, że dostrzegłszy samochód dowódcy dywizji, sierżant schował się za drzewo w nadziei, że on go nie zauważy. Cygankowowi nigdy nic podobnego się nie zdarzało. No cóż, sytuacja dość delikatna, nie warto go zaczepiać.

— Rozbisurmanili się — mamrotał Pokotyło, jadąc drogą. Wciąż jeszcze miał na myśli tamto zuchwałe dziewczynisko. — Silnej ręki na nich potrzeba...

Szumakow nie odpowiedział. Myślał o swoim. Intere-

sowała go kobieta, która przepawiła się ubiegłej nocy, a szczególnie to, że przywiozła ze sobą zwłoki męża, który w czasie spotkania nasunął mu tyle myśli. Co się z nim stało? Czy automaty, które kazał mu wydać ubiegłej nocy, trafiły tam, gdzie miały trafić?

Major Tereszczenko spotkał dowódcę dywizji przed swoją ziemianką. Zeszli w dół i Szumakow zapytał:

— Gdzie jest ta kobieta?

— W trzecim batalionie.

— Starego pochowaliście?

— Jeszcze nie.

— Rozkażcie, aby wyznaczono pluton. Staruszek zasłużył na to.

— Tak jest!

— Automaty zdążył dostarczyć, nie wiecie?

— Dostarczył.

Tereszczenko zameldował o swojej rozmowie telefonicznej z Sołomiją. Szumakow zaniepokoił się bardzo, usłyszawszy, że na wysepce przysłanie automatów wytłumaczono sobie jako rozkaz. Ale tych trzech, co wyruszyli na prawy brzeg, i tak nie można już było zawrócić. Teraz zostało jedno — postarać się wywieźć stamtąd chociaż kobiety i dzieci. Wprawdzie może to wywołać niepotrzebne zamieszanie przed linią obronną dywizji, ale zostawić cywilnych ludzi w tak niebezpiecznym miejscu Szumakow nie mógł.

Tereszczenko wyszedł, aby przekazać komu należy rozkaz dowódcy dywizji w sprawie pogrzebu Myronenki. Cygankowa nie było na miejscu, rozkazał więc, aby zaraz po powrocie z lotniska pochował Myronenkę z honorami wojskowymi.

Gdy Tereszczenko był na górze, Szumakow wyjął mapę z mapnika. Pierwsza linia pułku ciągnęła się po skalistym grzebieniu brzegu, nie zaznaczonym na mapie. Mapę drukowano, kiedy zapora była jeszcze cała, a brzeg zalany wodą. Teraz skalisty grzebień wynurzył się spod wody, podobnie jak ten stary młyn, o którym mu opowiadał Myronenko. Stworzyło to dogodne warunki dla jego dywizji, gdyż z wysokości wskrzeszonych głazów można osłaniać ogniem przyszlą przeprawę lepiej i bezpieczniej, niż gdyby skały były pod wodą. Przemknęła mu znowu ta sama myśl, która zrodziła się po raz pierw-

szy, kiedy stary ślusarz opowiadał mu o ruinach młyna: jego ściany ratują teraz ludzi na środku Dniepru; te skały także się wynurzyły, aby dopomóc jego żołnierzom swoją dawną wielkością i naturalną mocą.

Tereszczenko wrócił i stanął z tyłu za Szumakowem.

— Dlaczego nie zameldowaliście mi o sprawkach Cygankowa? — zapytał dowódca dywizji nie oglądając się.

— Właśnie zamierzałem, towarzyszu dowódcu dywizji — odpowiedział Tereszczenko, ale od razu wyczuł fałsz w swoich słowach.

Szumakow milczał. Zupełnie tak samo odpowiadał matce, kiedy nabroił, a ona się o tym od kogoś dowiedziała.

— Czekałem, aż dziewczyna odleci — cicho przyznał się Tereszczenko. — Przy okazji i jej się mogło oberwać.

— To inna sprawa. Trzeba tak było od razu.

— Nieporządek oczywiście. Ale i o przyszłość musi ktoś przecież zadbać — próbował zażartować Tereszczenko.

— Trzeba jeszcze dożyć do tej przyszłości. — Szumakow stał pochylony nad mapą.

— Nie dożyjemy my, to ono dożyje — powiedział Tereszczenko, mając na myśli dziecko Cygankowa.

I to prawda. Ono będzie. To dobrze, że Tereszczenko mówi tak po tym wszystkim, co przeżył.

— Chciałoby się tylko wiedzieć, co mu sądzone — westchnął znów major.

— To zależy od okoliczności — odpowiedział Szumakow.

— No, a jak według was?

Szumakow odszedł od stołu i wyprostował się.

— A cóż to, czy ja jestem prorok? — uśmiechnął się.

— Po prostu ciekawe. Chciałoby się wiedzieć, co z tego tańca wyniknie?

— Myślę, że to samo, co teraz u nas na zaporze — mruknął zagadkowo Szumakow. — Napoilibyście chociaż swojego dowódcę dywizji herbatą albo co!

— Można i czymś mocniejszym — zakrzętnął się Tereszczenko.

— Pociągasz sobie? — Szumakow badawczo zerknął na majora przymrużywszy jedno oko.

— Tylko dla gości.

— Ja wypiję herbaty. — Szumakow usiadł za stołem. Po tym, jak Sztukarenko odsunął Tereszczenkę od dowodzenia, kiedy zastał go pijanego, Szumakow przeprowadził z nim ostrą rozmowę. Od tego czasu nic podobnego się nie zdarzyło.

Tereszczenko postawił na stole wielki niemiecki termos. Usiedli i pili z blaszanych kubków, przegryzając herbatnikami.

— Dwa brzegi, a między nimi przepaść — zaczął Szumakow, jakby przedstawiał sytuację na Dnieprze. — Ani na jednym, ani na drugim nie strzelają, chyba tylko od czasu do czasu, z rzadka, aby ci po przeciwnej stronie przypadkiem nie zasnęli i pamiętali zawsze, że wisi nad nimi śmierć. Podoba się wam taka sytuacja?

— Nie bardzo.

— Obawiam się, że z tego tańca nic dobrego nie wyjdzie. I prorokiem nie trzeba być, aby to przewidzieć.

Na chwilę obaj umilkli. Tylko łyżeczka podzwaniała w kubku — Tereszczenko mieszał brązowy płyn i obserwował, jak rozpuszcza się w nim powoli wielki kawałek cukru.

— To znaczy, że tak było i tak będzie? — zapytał pośpnie.

— U nas na zaporze na razie tak! — uśmiechnął się Szumakow.

— A na cóż my czekamy, aż im nerwy nie dopiszą?

— Sytuacja tego wymaga. Ale trzeba być gotowym do skoku.

Szumakow zaczął wyklądać mu swój plan przeprawy małymi grupkami. Trzeba zebrać w pobliskich wsiach wszystkie łodzie rybackie, przygotować drzewo na tratwy, aby ustawić na nich karabiny maszynowe. Na łódź nie więcej jak trzech, czterech żołnierzy, na tratwę — także nie więcej. I pokryć Jezioro Lenina setkami punktów. Rozproszyć nieprzyjacielski ogień i przez to sprawdzić do minimum jego efektywność. Każdy żołnierz musi znać swoje zadanie i na wodzie, i na brzegu, jak wylądować. Będzie znał dobrze zadanie, to i dobrze wykona. Jak uchwycimy przyczółek, przejmujemy w swoje ręce inicjatywę i ruszymy naprzód.

Tereszczence podobał się plan Szumakowa. Powiedział, że już pod Kijowem zastosowano podobną taktykę

i że tam dobrze zdała ona egzamin. Wprawdzie pod Kijowem Dniepr węższy i na przeprawę trzeba mniej czasu, ale to nie zmienia sprawy — najważniejsze rozproszyć nieprzyjacielski ogień.

Tereszczenko poza tym wniósł także ważną poprawkę do planu Szumakowa. W takiej operacji lepiej posługiwać się tratwami, aniżeli sadzać żołnierzy do łodzi. Odłamek przebije łódź i już pełno w niej wody: w walce nie ma kiedy jej wylewać, i łódź tonie. A pociski będą się rozrywać w dole, pod wodą, i będą przebijać dna — tak było właśnie pod Kijowem. Tratwa jest bezpieczniejsza: nawet gdy ją przebije, woda nie ma się do czego nabierać. A więc trzeba się nastawić na tratwy, a nie na łodzie.

Rozmowa z Tereszczenką uradowała bardzo Szumakowa. To znaczy: żadnego pontonowego mostu. Przygotowywać tratwy. Jak najwięcej tratw. Pokryć nimi całe ogromne Jezioro Lenina!

Nareszcie zadzwonił Cygankow i zameldował, że pogrzeb się odbył. Szumakow chciał mu rozkazać, aby przywiózł żonę Myronenki — po to przecież przyjechał, aby z nią porozmawiać, ale rozumiał, w jakim stanie jest ona po pogrzebie, lepiej jej teraz nie męczyć. Oprzytomnieje, odpocznie, później pomówi z nią Tereszczenko i zamelduje mu. Tak będzie lepiej.

Rozmyślając o tej nie znanej mu kobiecie i o stracie, jaką poniosła, odczuł raptem szczególnie ostro swoją przynależność do tych wszystkich, którzy w piekle tej śmiertelnej walki tracą swoich bliskich i rodzonych. Nie tylko on sam... nie tylko Tereszczenko... nie tylko ta kobieta. Tysiąc, setki tysięcy takich, jak oni troje. Najpierw oni tracą, później ich tracą... I to nie jest fatalne koło, z którego nie ma wyjścia, ale ofiary w walce o nowy świat, za który warto zapłacić nawet taką cenę.

Siedząc już w swojej emce, Szumakow pomachał Tereszczence ręką. Tak się człowiek żegna nie z podwładnym, lecz z wiernym przyjacielem. A Tereszczenko zasalutował i mimo woli stanął na baczność. Szumakow uśmiechnął się, jakby chciał mu powiedzieć: „Cierp, bracie, synek sierżanta Cygankowa pokłada w nas wszystkie nadzieje!” A Tereszczenko stał nasępiony, odprowa-

dzając wzrokiem mizerniutką emkę dowódcy dywizji. Twarz jego zdawała się mówić: Cóż, ja jestem gotów, dla mnie to nie pierwszozna!

21

Hołoborodko lekko zeskoczył z samolotu i wyciągnął rękę, aby wziąć plecak od Ani. Podała mu też swoją walizkę, a sama postanowiła za przykładem Hołoborodki także zeskoczyć, ale tylko zakłopotana dreptała przy drzwiczkach i bezradnie się uśmiechała.

— Hej, Moskalenko! — krzyknął Hołoborodko do rudego podoficera — nie ma tu u was trapu, czy co?

— Jak to nie ma? Na naszym trapie paniusia siedzi — odpowiedział Moskalenko, wskazując skrzynię, na której siedziała Frosia. Podoficer stał na skrzydle, przy podniesionej masce silnika.

Hołoborodko obejrzał się i zobaczył Frosię — ciągnęła do drzwi samolotu wielką skrzynię, która zastępowała tu trap.

— A co ty tu robisz? — zdziwił się Hołoborodko.

Frosia w milczeniu podsuwała skrzynię.

— Czekaj na samolot. Do Moskwy — odpowiedział za nią podoficer.

— Do Moskwy? Po co?

— Na urlop. — Frosia mówiła cicho i niepewnie, wlepwszy oczy w zmarzniętą ziemię.

— A może na macierzyński? — zachichotał rudy podoficer na górze. Stał już na kadłubie, rozstawwszy szeroko krótkie nogi, w jednej ręce trzymał obcęgi, a w drugiej klucz.

Frosia zmieszała się jeszcze bardziej i zarumieniła, ale gwałtownie odwróciła twarz do podoficera i zadziornie odpowiedziała:

— A choćby na macierzyński. Nie twoja sprawa.

— A ja nie mówię, że moja. W pułku i beze mnie chłopców wystarczy! — odburknął podoficer.

— Ty, Moskalenko, nie paplaj tyle, rób swoje! — ofuknął go Hołoborodko. Rozmowa zaczynała przybierać niewłaściwy kierunek; nie chciał, aby toczyła się dalej w tym tonie, i dlatego, że był tu starszym, i ze względu

na to, że obok stała Ania Chochoł i wstyd mu było przed nią.

— To znaczy na urlop — podsumował Hołoborodko. — A kto zamiast ciebie został?

— Nie wiem, kogoś dadzą.

— Znajdzie się! — wtrącił znów Moskalenko. — Jedna paniusia na samolot, druga z samolotu: na froncie równowaga.

Hołoborodko spojrział surowo na Moskalenkę, ale nic nie powiedział.

— Wszystkiego dobrego, Frosiu. Wracaj prędzej z powrotem. — Uścisnął jej małą dłoń, zarzucił na ramię plecak, wziął walizkę i zwrócił się do Ani: — Idziemy?

Milcząc skierowali się przez pole startowe do poczerńskiego słupa, gdzie czekali na przygodne samochody wszyscy, którzy przylatywali na ten odcinek frontu.

Za godzinę byli już w Morgunach. Wsłuchując się w głucho dudnienie, dolatujące z rzadka znad Dniepru, Hołoborodko domyślił się, że podczas jego nieobecności na froncie nic się nie zmieniło. Tylko znajoma ulica wyglądała inaczej niż tydzień temu. Przyprószona śnieżkiem, wydawała się i szersza, i jakby zupełnie opustoszała.

Podniecony wrażeniami zdobytymi w podróży Hołoborodko żałował, że nie zastał na miejscu dowódcy dywizji. Miał wielką ochotę od razu zameldować swój powrót, podzielić się nowinami, opowiedzieć o Moskwie i o przygodach w drodze. Z własnego doświadczenia wiedział, jak interesują się na froncie każdym, kto powraca z zaplecza, i w wyobraźni widział już siebie w centrum ogólnej uwagi. Postawił walizkę w kącie, rzucił na łóżko plecak i chociaż wiedział, że dowódcy dywizji nie ma, mimo to otworzył drzwi do pokoju Szumakowa. Podszedł do stołu, przełożył z miejsca na miejsce jakiś papierek i wrócił znów do swojej izby przyjęć.

— No cóż, poszukamy pani męża — powiedział i pokręcił korbką telefonu polowego, który stał na jego stole.

Z zapytania odpowiedziano, że Chochoł wykonuje teraz zadanie i nie wiadomo, kiedy wróci.

— Proszę tutaj trochę odpocząć, ja pobiegnę do pułkownika Sztukarenki, a potem odprowadzę panią na kwatery, gdzie mieszka mąż.

Hołoborodko wybiegł i Ania została sama. Stała chwilę na środku izby i nie zdejmując płaszcza, usiadła na krześle przy stole. Droga i napięcie ostatnich dni zupełnie ją wyczerpały, teraz była bezradna i cicha.

To, co przeżyła po otrzymaniu listu od męża, prawie pozbawiło ją przytomności. Działała nie myśląc o następstwach swego działania, kierowały nią uczucia, których nie była w stanie opanować. Dopiero kiedy na lotnisku w Ufie wsiadła do samolotu, opamiętała się, znikło i rozwiało się podniecenie, które w połączeniu z jej nerwowością wydawało się niemalże chorobliwe, i nareszcie mogła prawie spokojnie spojrzeć na wszystko, co się z nią stało.

Zamęt, jaki ogarnął jej duszę, kiedy Hołoborodko zjawił się w szpitalu, nie był czymś zwykłym dla Ani w ciągu ostatnich lat. Od milczącego zerwania z mężem upłynęło już sporo czasu, Ania powoli uspokoiła się i wróciła do normy. Ale pracując w szpitalu na zapleczu i stykając się codziennie z dziesiątkami ciężko rannych frontowców, mimo woli coraz częściej wracała myślami do swego męża i im dalej, tym wyraźniej zdawała sobie sprawę, że w morzu łez i krwi, które gorzkimi falami zalało cały kraj, ma ona tylko jednego naprawdę bliskiego człowieka — jego.

Dopóki żyła matka, Ania nie odczuwała tak ostro swojej samotności. Z oblężonego Leningradu od czasu do czasu przychodziły listy — były one pełne optymizmu, chociaż Ania dobrze wiedziała, w jakich warunkach znaleźli się wszyscy, którzy tam zostali. Kiedy ewakuowano szpital, Ania mogła zabrać matkę ze sobą — dla jednej starej nauczycielki znalazłoby się miejsce w ciepłuszkach pociągu sanitarnego. Ale matka nie chciała wyjechać, w Leningradzie zostawała jej sparaliżowana siostra i chorej nie miał kto doglądać.

„A ty rzuciłabyś swoich chorych na pastwę losu?” — spytała matka, kiedy Ania zaproponowała jej wyjazd na wschód.

Po śmierci matki Ania znalazła się zupełnie sama na świecie. Pozostał tylko nabity rannymi szpital, praca w dzień i w nocy i trwożne myśli. Wtedy właśnie szczególnie ostro odczuła, że Chochoła z nią nie ma i że ona sama jest temu winna.

Gdzie on teraz jest, nie wiedziała. Wiedziała tylko, że jeśli żyje, to jest na wojnie. I powoli dojrzewiała w niej decyzja: postarać się o przeniesienie do walczącej armii. Było jej obojętne — do jakiej jednostki i na jaki front, byle tylko nie siedzieć w bezpiecznym miejscu i nie patrzeć bezradnie na krew i cierpienia żołnierzy. Zaczęła metodycznie i uparcie szturmować komendę miasta w osobie zastępcy komendanta, a tymczasem po trochu poduczała się chirurgii — więcej z praktyki niż z książek. A chirurgicznej praktyki nie brakowało.

Kiedy major zadzwonił, że przyjechał Hołoborodko, który nie tylko służy z jej mężem, ale i przywiózł list od niego, w duszy Ani z nową siłą rozpętała się niedawna burza. Dokumenty były już podpisane. Ania miała tylko pojechać do głównego zarządu sanitarnego, aby tam zaznaczono, w jakiej konkretnie jednostce sądzone jest jej wojować. Ale przyjazd Hołoborodki o wszystkim zdecydował inaczej. Czy lepiej — nie wiedziała, nawet nie zastanawiała się nad tym. Wypadek, który raczej można by nazwać ślepym trafem, zmusił ją znowu do zanurzenia się w burzliwy potok osobistych przeżyć, chociaż jeszcze na kilka minut przed telefonem z komendantury nie zamierzała się w nim zanurzać.

Ania przysunęła krzesło do okna i w zadumie patrzyła na ulicę. Sztab dywizji... W jej wyobrażeniach to już powinien być front... Ale dokoła cisza — na ulicy prawie nikogo nie widać. Wprawdzie czasem szybki w oknie zaczynają brzęczeć, coś podobnego do dalekiego wybuchu wstrząśnie polepą i odbije się słabiotkim dzwonieniem w stole... Gdzie jest teraz jej mąż? Co on tam robi? Cieszyć się czy żałować, że list od niego przyszedł właśnie w takim momencie? Czy to dobrze czy źle, że ten list skierował ją niespodziewanie na tę drogę? Przecież ona nie wie, jak żył jej mąż w ciągu ostatnich lat, tak jak i on nic nie wie o jej życiu i stosunku do niego... Jeszcze i teraz wahała się, chociaż nie mogła już nic zmienić. Chwilami, myśląc o tym, odczuwała obezwładniające zaniepokojenie i słabość w całym ciele. Ale przy całej tej wewnętrznej rozterce i zamęcie dochodził raz po raz do głosu zdrowy rozsądek, podpowiadał jej, że wszystko jest możliwe: przecież i on mógł przeżyć te lata rozłąki tak samo, jak ona!

... Hołoborodko w tym czasie bez przerwy trajkotał, opowiadając Sztukarence o swojej podróży. Przynależał Dokii Lwiwnie, że nie powie o jej wypadku w lesie, kiedy przygotowywała sobie opał. Co jej jest? Nic straszniego. Zaniemogła trochę. Zaziębiła się — chłody tam przecież nie takie, jak tutaj. Za tydzień będzie w domu. Dostał dla niej nakaz na dwa pokoiki i kartki żywnościowe, na które wraz z Wową będzie otrzymywać znacznie więcej niż na te, z których korzystała dotychczas.

Sztukarenko słuchał opowiadania lejtenanta o dalekim tyłowym mieście i równocześnie czytał list od żony. Dokija Lwiwna dziękowała mu i błagała, by był ostrożny. Czytając, Sztukarenko uśmiechnął się, pomyślawszy o tym, jak ludzie, którzy nigdy nie byli na froncie, nie zdają sobie sprawy, co to znaczy wojować i co to w ogóle jest wojna.

Najbardziej ucieszył go list od Wowy. Chłopiec miał dopiero sześć lat, ale już jako tako nauczył się pisać. Co prawda jego litery były ogromne, a alfabetem posługiwał się bardzo oryginalnie. Literę „Ja” pisał na przykład odwrotnie, jak łacińskie „R”. Często używał wyrazów wyczytanych w gazetach, i w ustach dziecka brzmiały one bardzo zabawnie. Nakaz Wowy dla ojca: „Bij faszystów ogniem niszczącym” rozśmieszył Sztukarenkę swą formą, ale zarazem głęboko rozczulił.

Cóż, w tej nieporadnej frazie sześciolatniego chłopca zamknięta była wzruszająca i wieloznaczna treść. Wowa przecież sam tego nie wymyślił, zapamiętał tylko to, co usłyszał od dorosłych. A jeżeli zapamiętał właśnie to, to było to czymś najważniejszym i najczęściej powtarzało się w rozmowach tych, którzy go otaczali, i tak utkwilo w dziecięcej pamięci, że stało się, jeśli nie świadomym, to w każdym razie rzeczywistym sensem życia tej naiwnej i czystej istoty.

Sztukarenko myślał o tym tak, jakby poprzez tysiące kilometrów chciał przeniknąć myśli i życie ludzi dalekiego zaplecza, a Hołoborodko tymczasem powtarzał zasłyszane w drodze pogłoski, stawiał własne prognozy, w które sam zdążył uwierzyć jak w coś niezbitie pewnego. Określał dokładne daty utworzenia drugiego frontu, malował ogólny obraz wspólnej ofensywy sił sojuszni-

czych. Z taką samą naiwną szczerością, z jaką wykladał swoje strategiczne plany w gabinecie przewodniczącego miejskiej rady w Ufie, mówił i tutaj. Ale Sztukarenko uśmiechał się i odrywając się czasem od swoich myśli, sceptycznie zapytywał:

— A skąd ty to wszystko wzięłeś?

— To zupełnie oczywiste! — odpowiadał Hołoborodko.

Prostoduszność frontowego adiutanta, którą na zapleczu przyjęto za wszechwiedzę, śmieszyła Sztukarenkę. Przez cały czas, niby między innymi, rzucał jakieś pytania i stopniowo wyciągał odpowiedzi, z których powstawał prawdziwy obraz życia na głębokim zapleczu. Zresztą on i bez tego zdawał sobie sprawę, co znaczy dla kraju dwa i pół roku takiej wojny, i opowiadanie Hołoborodki niewiele nowego wносиło do jego wyobrażeń.

Raptem Hołoborodko powiedział:

— Towarzyszu pułkowniku, nie wiem, czy dobrze zrobiłem... Ze mną przyleciała żona naszego nurka...

— Jak to przyleciała?

— Rozumiecie, nie mogłem nic zrobić. Pracowała w szpitalu w Ufie...

— Lekarka?

— Tak.

— I zwolnili ją ze szpitala?

— Ma skierowanie z komendy miasta.

— A co ma do tego komenda miasta? Lekarze podlegają zarządowi sanitarnemu.

— Wiem... Ale ona była w takim stanie... Tak nalegała.

— A Chochoł prosił, aby ją przywieźć?

— Nie...

— To i nie twoja sprawa! — rozgniewał się Sztukarenko. — On ma teraz odpowiedzialne zadanie. Po co mu zawracać głowę.

— W batalionie sanitarnym brakuje lekarzy... — próbował usprawiedliwiać się Hołoborodko.

— W innych dywizjach może jeszcze więcej brakuje! — Sztukarenko rozgniewany przeszedł się po izbie, potem usiadł i znów zaczął wypytywać o Dokiję Lwiwnę i Wowkę. Hołoborodko odpowiadał na pytania, ale nastrój zepsuł mu się zupełnie i zgąsło radosne podniecenie. Przez cały czas czuł, że postąpił nie tylko wbrew słuszności,

ale na dodatek jeszcze wmieszał się mimo woli w osobiste życie dwojga ludzi, o którym nic nie wiedział i do którego nie powinien był się wtrącać.

22

Była to prawdziwa piramida, jak w cyrku. Na dole stał, szeroko rozstawiwszy nogi, barczysty Kowalczyk, na nim, opierając się gołymi dłońmi o betonową ścianę, Muchiddinow, a jeszcze wyżej Amiradze. Charkewicza nie dopuszczono do udziału w tej akrobatycznej figurze — potrzebni byli zręczniejsi od niego, a przede wszystkim — mocniejsi!

Widzów znalazło się też dosyć dużo — cały pluton lejtenanta Rudia, który zdążył już się tu zebrać, czekał, aż otworzy się dalszą drogę. Dowodził sam Rud', z nieco przesadną aktywnością wykrzykiwał swoje uwagi, czasem w milczeniu, samym tylko wzrokiem, zwracał się o potwierdzenie do Charkewicza, który stał z boku i obserwował.

Noc była ciemna, w dole głucho szumiała woda, jakby spadając w głęboką przepaść, w górze czerniała bezdenna próżnia, podobna też do przepaści. Piramida wyraźnie rysowała się na tle prawie białej betonowej ściany. Od czasu do czasu z Chortycy uderzał w zaporę reflektor, piramida przywierała do filara, a żołnierze stojący na stoku przycichali i zamierali. Przez kilka minut promień myszkował po zaporze, trzeba było czekać, aż zgaśnie, a Kowalczyk tymczasem trzymał na sobie piramidę i Charkewicz obawiał się, że im tu lada moment upadnie.

Promień prześliznął się po powierzchni filara i oświetlił ciemny otwór okienka wentylacyjnego. Znajdowało się ono jeszcze dosyć wysoko, więcej niż metr nad głową Amiradzego, który stał na szczycie piramidy. Nie ulegało wątpliwości, że Amiradze nie dosięgnie, nawet jeśli podniesie rękę albo zaryzykuje podskoczyć na ramionach Muchiddinowa, tak jak podskoczył ubiegłej nocy Kowalczyk, kiedy pozdzierał sobie paznokcie na pierwszym filarze.

— Złaż! — krzyknął Rud' do Amiradzego. — Trzeba kogoś wyższego.

— Podajcie mi hak, podciągnę się.

Charkewicz wziął żelazny hak i podał Muchiddinowowi. Ulokowawszy się wygodniej na ramionach Kowalczuka, Muchiddinow podniósł hak w górę i podał go jeszcze wyżej.

Hak dostał do otworu i Amiradze zaczepił go wreszcie o betonową powierzchnię. Teraz można było spróbować wdrapać się po nim. Kowalczuk poczuł, że piramida nagle stała się lżejsza, lecz Amiradze krzyknął i spadł. Złapali go jak piłkę żołnierze stojący na dole w pogotowiu. Żelazo zgrzytnęło o stok i, hak podskakując sprężyste po pochyłym skłonie, poleciał w przepaść.

— Cały? — Charkewicz podbiegł do Amiradzego.

— Tfu! — z udaną beztróską westchnął Amiradze. — Tak to i guza można sobie nabić.

— To nic, aby kości były całe — uspokoił go Rud'. Uwierzył już, że można się zaczepić i że zręczny Amiradze potrafi to zrobić. — Próbuje jeszcze raz.

Na stoku leżał jeszcze jeden hak — można było spróbować zaczepić się powtórnie. Ale kiedy Amiradze zawołał, aby mu podano hak, Rud' nagle rozkazał: — Zos'awić! — I zanim Charkewicz zdążył zapytać, o co chodzi, Rud' krzyknął: — Ano, chłopcy, spróbujemy podnieść wszystkich trzech razem!

Dobry pomysł. Dziesięciu chłopca wspólnie uchwyciło Kowalczuka i ostrożnie, jak coś bardzo kruche, podniosło wszystkich trzech ustawionych w piramidę.

Amiradze złapał się za dolną krawędź otworu wentylacyjnego i wdrapał się na górę.

— No i po wszystkim! — zawołał zwycięsko Rud', dumny z tego, że to on właśnie wpadł na taki pomysł i skutek okazał się wspianiały.

Muchiddinow zeskoczył na dół. Kowalczuk usiadł na zimnym betonie, nie mógł utrzymać się na nogach. Charkewicz podszedł do niego i powiedział mu prawie do ucha:

— Ty masz zawsze za swoje.

— To nic. Numer się udał.

— Ależ siłacz z ciebie, mówię ci.

— Żeby nie tak długo, to nic by mi nie było.

Podszedł do nich Rud'.

— Ołeh Iwanowicz, nie pamiętasz, na ile filarów jest jeden otwór wentylacyjny?

— Zapomniałem już. Nie pamiętam...

— Ze cztery sztuki chyba. Zdaje się, że można kanałami przejść...

— Jeżeli tam nic nie nastawiali.

— No oczywiście.

Charkewicz nachylił się do Kowalczuka.

— Może wrócisz do sztolni?

— Nie, odsapnę tutaj.

— Trzeba odpocząć.

— Nic mi nie będzie. Posiedzę trochę i dojdę do siebie.

— Jak uważasz. My z Amiradzem i we dwóch damy sobie radę. W razie czego można wziąć kogoś od lejtenanta.

— Nie warto. Ze mnie twarda sztuka.

Amiradze wciągnął już na sznurku drabinkę. Nie było jej o co zaczepić, przypomniał więc sobie sposób, do jakiego uciekł się Kowalczuk ubiegłej nocy.

— Ołeh Iwanowicz, można wchodzić na górę! Ja trzymam.

Charkewicz zaczął się wspinać. Amiradze był szczupły — nie mógł równać się z Kowalczukiem. Leżał na brzuchu, trzymając się krawędzi wewnętrznej ścianki, a drabinkę przywiązał do pasa. Naprężył się ze wszystkich sił i obawiał się teraz, że pas zsunie mu się ze szczupłych bioder i Charkewicz polecą w dół. Rękami nie mógł się puścić, aby mocniej zacisnąć pas. To go trwożyło, ale Charkewicz był już wysoko — Amiradze to wyczuwał.

Nareszcie Charkewicz wdrapał się na górę. Amiradze odetchnął z ulgą.

— Przywiąż końce do żelaznego uchwytu, w kanale powinny one być — powiedział Ołeh Iwanowicz.

Za parę minut na górę wszedł Muchiddinow.

— Lejtenant Rud' pyta, czy mamy ruszać zaraz za wami?

— Najpierw sami rozpoznamy dalszą drogę.

— Tak zameldować?

— Powiedz, że damy znać.

Kanał wentylacyjny okazał się tak wąski, że trudno było się w nim poruszać. Ale na ścianach ocalały żelazne

kafląki, wmurowane kiedyś na wypadek, gdyby ktoś musiał się tędy przedostawać. Tutaj można zapalić latarkę — światła nikt nie zauważy. Charkewicz skierował promień na dół — bateryjka już się wyczerpywała, światło rozplywało się, mieszając się z mrokiem. Dna nie było widać. Schował latarkę do kieszeni i wymacując uchwyty opuszczał się w głąb.

Przypomniało mu się, jak jeszcze wtedy, w trzydziestym siódmym roku, gdy go usunięto z Komsomołu, musiał wejść w jeden z tych wentylacyjnych otworów. Chyba nawet w ten sam... a może w jakiś inny — teraz już trudno sobie przypomnieć. W przeddzień Ksenia podarowała mu nową koszulę — białą w niebieskie paseczki — mówiła, że kiedy człowiek chce się czuć pewniej, powinien być ładnie i czysto ubrany. Oczywiście, że to wszystko głupstwa, koszula była i nowa, i czysta, a na sercu nie bardzo wesoło — koszula nie pomogła. Ale jeżeli już kupiła, i to z zamiarem poprawienia nastroju, nic nie poradzisz — trzeba było ją włożyć. I jak na złość właśnie w ten dzień przyszło mu włączyć do tej przekłętej dziury; poprosił go o to główny inżynier, gdyż, jak mówił, tam nigdy nikt nie zagląda, a tunel połączony jest z dolną sztolnią, trzeba pobrać próbę do filtracji, w dole może się gromadzić woda. „Nikt nie zagląda”. Chyba, że nie. Rud’ akurat by łaził, znaleźli durnia! Boże, co to się wtedy zrobiło z prezentem Kseni! Kiedy Charkewicz wrócił do domu, Ksenia załamała ręce i wykrzyknęła: „Ależ ty jesteś świntuch! Ja ci ją przecież kupiłam dla poprawienia nastroju”. Potem jednak wybuchnęła głośnym śmiechem, gdyż wymazana była nie tylko koszula, ale i cała twarz.

Rano koszula już leżała na szafce, czysta i wyprasowana. Ksenia widocznie jednak wierzyła w magiczną siłę czystej odzieży, kłamała tylko mówiąc, że wszystko to sama wymyśliła, bo Charkewicz dobrze pamiętał, że coś podobnego przeczytał kiedyś u O’Hary. Wprawdzie ten humorysta pisał nie o ubraniu w ogóle, lecz tylko o butach, które, twierdził, wystarczy wyczyścić, aby poprawić nastrój. Och, Kseniu, Kseniu, nie pomogła wtedy twoja koszula, nastrój był taki, że należało raczej zamówić trumnę.

Tych czasów lepiej nie wspominać. Ojciec dostał za-

wału serca, po którym już się nie podniósł. Prawdopodobnie i z matką zaczęło się wtedy, jak umarł ojciec. Ale ostatecznie złamała ją wiadomość, że Ołeh zginął na fińskim froncie. Tak, to był przeklęty rok, nie ma co mówić. Jedna bieda po drugiej, nieszczęście za nieszczęściem.

Powietrze stawało się coraz wilgotniejsze i cięższe, trudno było oddychać. Może dlatego, że nad nim wisiał Amiradze — zatykał prawie całe wejście swym szczupłym ciałem. Charkewicz znowu poświecił w dół swoją latarką — na dnie błysnęła mętna woda. A więc to już dolna sztolnia. Trochę wyżej powinien zaczynać się kanał biegnący na lewo. Jest. Ale w tej norze można już tylko się czołgać. Dobrze, że nie ma teraz nowej koszuli, można sobie wyobrazić, jak by wyglądała, kiedy on wyjdzie na tamtą stronę!

Charkewicz zszedł jeszcze kilka stopni i wsunął głowę w kwadratowy właz. Otwór był taki sam szeroki, jak ten, przez który się spuszczały, tylko tutaj było zupełnie mokro — na dnie stała w wybojach woda. Za to powietrza więcej — widocznie ciągnie z przeciwnej strony, lżej oddychać. Znowu poświecił latarką — końca nie widać. Tutaj już nic człowiek nie poradzi, trzeba posuwać się naprzód, gdyby ktoś chciał nawet wycofać się z powrotem, nie odwróciłby się, musiałyby chyba iść rakiem.

Charkewicz krzyknął:

— Amiradze, słyszysz?

W odpowiedzi coś zahuczało.

— Poczekaj, ja poczołgam się pierwszy, potem krzyknę.

W odpowiedzi znowu coś zahuczało.

To nic, że nie można zrozumieć odpowiedzi. Amiradze usłyszał — to najważniejsze.

Nareszcie podłużny kanał się skończył — z przodu błysnął wilgotny beton przeciwległej ściany. Tutaj też były wmurowane uchwyty, po których można się dostać na górę. Charkewicz stanął nareszcie na haku i aż odetchnął z ulgą, jakby pod nogami poczuł twardy grunt.

— Amiradze! — huknął wprost do otworu, z którego dopiero co wylazł.

Stamtąd znów dobiegł głuchy huk. Stał jeszcze przez chwilę — chciało się odpocząć. Ciało aż obrzękło i stało się ciężkie jak worek z piaskiem. Nadsłuchiwał: z otwo-

ru dobiegało głośne sapanie Amiradzego — chłopak był jeszcze daleko, po tamtej stronie.

Charkewicz zaczął się wspinać do góry. Było tu znacznie przyjemniej; powietrze stawało się coraz suchsze i chłód przenikał głęboko do płuc, za to wchodzić pod górę było trudniej, musiał się kilka razy zatrzymać i odpoczywać. Nie, sześć lat temu droga ta wydawała mu się łatwiejsza!

Wreszcie stuknął głową o sufit. Kanał się skończył, na lewo siniało drugie okno wentylacyjne. Na dworze było jeszcze zupełnie ciemno, chociaż znowu spadł śnieżek i wszystko pobiełało. Puszysty, lekki jak piórka z niebiańskich poduszek, na których sypiają anioły i zorze. Usiadł na płaskim występie. Do powierzchni przelewu już niedaleko, dziesięć metrów, nie więcej. Ale trzeba poczekać, drabinki ciągnie za sobą Amiradze.

Za kilka minut z ciemnego otworu ukazała się jego głowa. A jeszcze za kwadrans obaj już stali na stoku i zadzierając głowy, patrzyli w górę na białą, betonową ścianę następnego filara, nad którym zwisał zburzony koniec poddźwigowego mostu.

Ściana była goła i gładka jak starannie wyheblowana deska. Zaczepić się nie było o co, choć usiądź i płacz. Zdawało się, że stanęli na dnie jeszcze jednej przepaści, głębokiej i ciemnej — przez którą nie sążone im przejść.

23

Charkewicz wrócił do Morgun z zamiarem zobaczenia się z Chochołem. Lejtenant Rud' powiedział, że Ołeksandr Mykytowicz został gdzieś nagle wezwany i widocznie jest jeszcze tam, bo Warywoda i Bogatyriow pracują we dwóch w dolnej sztolni, o czym dobrze wie.

Ołeh Iwanowicz ucieszył się, że nie trzeba będzie rozmawiać z Chochołem w sztolni. Tam w rozmowie uczestniczyliby na pewno i Rud', a propozycja, z jaką zamierzał zwrócić się do nurka Charkewicz, wydawała mu się drażliwa i nie chciałby wypowiadać jej w obecności Rudia.

Zdawał sobie sprawę, że jego grupa nie zdoła się teraz o własnych siłach przeprawić na zajęty przez wroga kraniec zapory. Pierwszy raz stanęła przed nimi zu-

pełnie goła, dwudziestometrowa ściana, i nie widział żadnej możliwości zaczepienia się o coś. Na górze ocalało przeszło poddźwigowego mostu — może nawet nie jedno, trudno powiedzieć, za ścianą filara nie widać. Nad szczytem sterczy nawet kawał kratownicy, ale ani liny nie da się na nią zarzucić, ani nie ma możliwości zaczepić się na niej jakimś innym sposobem.

Pomimo sukcesów w ostatnich dniach Charkewicz nie zapomniał rozmowy ze Sztukarenką w sztolni. Wtedy na bezpośrednie pytanie pułkownika Ołeh Iwanowicz odpowiedział: „Trzeba przejść”, chociaż nie było pewności, czy po natłuszczonej linie Kowalczukowi uda się wdrapać na filar. Ale wtedy przynajmniej była lina — rozkołysana, wymazana smarem, ale mimo wszystko była! Gdyby Sztukarenko postawił to pytanie teraz, odpowiedź byłaby taka sama: „Trzeba”, ale teraz zabrzmiałaby ona jak pusty frazes, nawet dla samego Charkewicza, bo jeśli wtedy nie było pewności, to teraz nie było nawet nadziei. Przed nimi stała naga, zupełnie naga i niedostępna ściana.

Istnieje tylko jedna możliwość — niepewna, bardzo niebezpieczna, a co najważniejsze, zupełnie od niego niezależna. Można było jeszcze spróbować odnaleźć wejście do kolejnego kanału wentylacyjnego w zatopionej dolnej sztolni, wydostać się tamtędy na górę, na jeden z dalszych filarów, a potem wrócić po kratownicach zburzonego poddźwigowego mostu do tej ściany i spuścić z góry sznurową drabinkę. O ile to w ogóle okaże się możliwe, to dokonać tego będzie mógł tylko nurek. Ale czy potrafi on w ciemnej, napełnionej wodą sztolni znaleźć wejście do tego niewidocznego prawie kanału? Czy zdoła potem z butlą na ramionach i w skafandrze nurka wspiąć się przez zatopioną część tego wąziutkiego kanału na taką wysokość, gdzie już nie ma wody i można odrzucić butlę? Czy nie utkwi tam, zatarasowawszy sobą wąskie przejście? — a przecież nikt nie będzie miał możliwości ani wyciągnąć go stamtąd, ani w ogóle w żaden sposób mu pomóc.

Ołeh Iwanowicz wiedział, że wystarczy tylko wyjawić swą myśl, a ochotnik natychmiast się znajdzie, albo jeżeli się nie znajdzie, któryś z nurków otrzyma rozkaz i wyruszy na ten niebezpieczny szlak. A więc faktycznie

musiał posłać kogoś na śmierć, dlatego tylko, że sam nie mógł wykonać swego zadania, i to go przygnębiało i smuciło. Nie miał możliwości zaryzykować sam i dlatego musiał posłać na ryzyko kogoś innego; nie zgadzało się to z jego życiowymi i moralnymi zasadami.

A mimo to innego wyjścia nie było. Jedno, na co mógł sobie pozwolić, to — nie przedstawiać od razu swojego planu Sztukarence, gdyż on po prostu rozkaże komuś zejść do sztolni i iść. Lepiej najpierw naradzić się z Chochołem, wyjaśnić i wtedy dopiero zameldować Sztukarence.

Charkewicz podszedł do domu i zobaczył, że drzwi są nie zamknięte.

Stąpając na palcach i usiłując nie skrzypnąć drzwiami, aby przypadkiem nie obudzić towarzysza, jeżeli akurat odpoczywa, Ołeh Iwanowicz wszedł do sieni. Drzwi do izby były uchylone, przez szparę przedzierała się blada smużka przyćmionego światła. Charkewicz wziął za klamkę, aby wejść, ale w tej właśnie chwili rozległ się za drzwiami kobiecy głos:

— Zmęczony jesteś, prześpij się.

— Kiedy mi się wcale nie chce spać — odpowiedział głos męski, i Charkewicz domyślił się, że to Chochoł.

— Ale ty powinienesz odpocząć — odezwał się znowu ten sam wysoki, prawie dziecinny głos.

— Ja jestem lejtenantem, a nie ty: a więc nie rozkazuj — żartobliwie obruszył się Chochoł.

Charkewicz zdjął rękę z klamki i zastygł. Niespodziewana obecność kobiety na ich kwaterze zdziwiła go. Kto to jest? To, że do Chochoła mogła przyjechać żona, nie przyszło mu nawet na myśl. I o liście, o którym Ołeksandr Mykytowicz mówił coś przy nim, kiedy Hołoborodko wybierał się do Ufy, także zapomniał. Nie przysłuchiwał się wtedy ich rozmowie. Pozostawało jedno — przygodny romans. Można w to było uwierzyć, znając beztroskie, a czasem i lekkomyślne usposobienie towarzysza z kwatery. I chociaż z Chochołem koniecznie musiał pomówić, gotów był już odejść, nie chcąc być przypadkowym świadkiem tego spotkania dwojga ludzi, w których sprawie nie miał zamiaru się mieszać. Ostrożnie cofnął się w stronę wyjścia, gdy nagle znów usłyszał głos Chochoła.

— Aniu...

— Słucham...

Chochół milczał, więc ona spytała:

— Chciałeś coś powiedzieć?

— Chciałem... Ale się rozmyśliłem...

— A jednak powiedz.

— Chciałem zapytać... jak ty żyłaś... przez te wszystkie lata...

— A dlaczego się rozmyśliłeś?

— Bo to nie ma sensu...

— Dlaczego nie ma sensu? Masz prawo. — Ania umilkła, a po chwili westchnęła: — Żyłam...

Znowu zapadła cisza. Wyczuwało się, że Chochół z zartym tchem czeka. Nie doczekawszy się, powiedział:

— Możesz nie odpowiadać. Uprzedzałem przecież: to nie ma teraz żadnego znaczenia.

Charkewicz nie wiedział, co robić. Znalazł się w bardzo niezręcznej sytuacji: jak gdyby podsłuchiwał rozmowę, która nie była przeznaczona dla postronnego słuchacza. Ale i wyjść było niebezpiecznie, bo gdyby się nieostrożnie poruszył, a w izbie by usłyszeli, że ktoś stoi pod drzwiami, mogłoby to postawić tych dwoje w bardzo niezręcznej sytuacji. Charkewicz zdecydował, że najlepiej stać na miejscu, czekać na odpowiednią chwilę, kiedy można będzie wejść, nie wywołując żadnych podejrzeń.

Przez pewien czas w izbie panowało milczenie, potem skrzypnęło łóżko w drugim końcu pokoju — widocznie kobieta się podniosła. Znowu zaczęła mówić:

— Żyłam, Saszka, niewesoło i... samotnie. O to możesz się nie martwić. Wszystko w porządku.

— Ale ja przecież nie miałem nic na myśli — próbował usprawiedliwiać się Chochół, ale w głosie jego dźwięczała radość, której nie potrafił ukryć.

— Aniu...

— Co?

— A czy ty mi... wybaczyłaś?

— A co tu wybaczać? Zrozumiałam... to najważniejsze. Szkoda tylko — zbyt późno.

— Widocznie wcześniej nie mogłaś...

— Nie umiałam, Saszka. Jeden od razu rodzi się sprawiedliwy, a drugiego czas uczy.

— No to chyba już wszystko — podsumował Chochoł.
— Śpijmy.

Charkewicz usłyszał, jak znowu zaskrzypiało łóżko w prawym kącie, a za chwilę skrzypnęło i dalsze łóżko — widocznie i kobieta się położyła.

Poczekawszy z minutę, Ołeh Iwanowicz cicho zapukał do drzwi. Nikt się nie odezwał. Zapukał mocniej, ale i teraz nikt nie odpowiedział. Za wszelką cenę musiał porozmawiać z Chochołem, sprawa nie cierpiała zwłoki. Zresztą Chochoł rozmawiał, jak widać, nie z przypadkową kobietą, lecz z dawną i bardzo bliską znajomą: przybycie Charkewicza na pewno nie mogło postawić go w niezręcznej sytuacji.

Charkewicz ostrożnie otworzył drzwi i wszedł. Od razu z łóżka, na którym dawniej spał Chochoł, podniosła się drobna kobieca postać.

— Przepraszam — mruknął zakłopotany Charkewicz.

Kobieta szybko odrzuciła koc i wyskoczyła z łóżka. Była ubrana. Na jej bladej twarzy, z szeroko otwartymi oczyma, pojawił się nieokreślony uśmiech.

— Pan chyba jest właścicielem tego łóżka? — powiedziała i zawołała: — Saszko!

— Niech śpi, proszę się nie martwić — powiedział Charkewicz.

— Nie, nie, ja go obudzę! — Podbiegła do Chochoła i szarpnęła go za ramię. — Dopiero co rozmawialiśmy — oznajmiła, jakby chcąc się usprawiedliwić.

Wszystko to stało się tak nagle, że Ołeh Iwanowicz nie zdążył jej powstrzymać. Kiedy się obejrzał, Chochoł już siedział na swoim łóżku i przecierał oczy.

— Moje uszanowanie, witam! — zawołał i uroczyście wyrecytował: — A do mnie żona przyjechała.

— Ach, to tak — odpowiedział zmieszany Charkewicz i odwróciwszy się do niej, jakoś nieśmiało się uśmiechnął.
— Dzień dobry. Witam panią.

Ania podała mu rękę i przedstawiła się:

— Anna Siemionowna.

Ołeksandr Mykytowicz spuścił nogi na polepę i siedział tak jeszcze przez chwilę, jakby pokonując senne zamroczenie.

— Jak to czasem bywa, Ołeh Iwanowicz. Całkowity przewrót w życiu i niespodziewana zmiana kursu w ka-

walerskim losie! — Chochoł radośnie, ale zarazem po dziecinnemu bezradnie się uśmiechał. Ubrany był w oślepiająco biały sweter — podarowała mu go pewna kobieta, u której mieszkał na kwaterze jeszcze w Tallinnie. Chochoł często ją wspominał: sweter należał kiedyś do jej syna, który zginął w pierwszym dniu wojny.

— Proszę usiąść! — Ania podsunęła krzesło Charkewiczowi.

— To nie wystarczy! — rzekł Chochoł i wstał. — Aniu, stawiaj na stole, co tam u nas jest! Pokaż, co to takiego kobieca ręka, no i w ogóle. — Chochoł wyglądał na szczęśliwego i beztroskiego, znowu wyraźnie się zmienił, znowu był taki, jakiego Charkewicz pierwszy raz spotkał.

— Tak to jest — podsumował Chochoł, kiedy Ania wyszła. — Ciekawa rzecz to życie! I wiesz, przez co właściwie? — Chochoł przymrużył oko, badawczo wpatrując się w Charkewicza. — Przez swoje niespodziewane wywijasy, gwałtowne zakręty, ja bym powiedział, przez wewnętrzną sprawiedliwość, niech je diabli wezmą! Na ogół dość równomiernie rozdziela ono swoje zasoby radości i smutków. Jeżeli zalało ci sadła za skórę, to kiedyś obowiązkowo położy i balsam na twoje rany. Tak że nigdy nie trzeba tracić nadziei. — Ostatnie słowa wypowiedział z osobliwym naciskiem, jakby adresował je nie do siebie.

Charkewicz zrozumiał: te słowa do niego się odnosiły. Chochoł przeprosza go za to, że los dzisiaj uśmiechnął się tylko do niego, i on go tłumaczy, powołując się na sprawiedliwość; w swoim czasie uśmiechnie się także i do Charkewicza.

— Jak powiedział Benio Krzyk ... życie to skomplikowany mechanizm — uśmiechnął się Ołeh Iwanowicz. — A jeśli chodzi o sprawiedliwość, to czy warto byłoby żyć na świecie, gdybyśmy nie wierzyli, że ona istnieje?

Po chwili wróciła Ania i bezradnie rozłożyła ręce.

— Nie wiem, gdzie są twoje zapasy. W kuchni nic nie znalazłam.

— W kuchni! — Chochoł wybuchnął głośnym śmiechem. — Żołnierskie produkty są w kieszeni albo w plecaku. W jakiej kuchni! — Podrzucił lekko swoją niedużą walizkę, postawił na łóżku i otworzył. — Oto moja kuchnia: byczki w pomidorach, kawał słoniny i cukier, a czekolada... dla ciebie — zwrócił się do żony. — W Mos-

kwie udało mi się dostać mój wodniacki przydział. Tu zamiast czekolady na pewno będą wydawać śledzie.

Poukładał swoje skarby na stole i porozumiewawczo mrugnął do żony:

— No, Aniu, przyznaj się: nie masz przypadkiem nic takiego? — Chochoł pstryknął się palcem pod brodą.

— Mam! — roześmiała się Ania. — Twoje upodobania jeszcze pamiętam. — Wyjęła ze swojej walizki butelkę spirytusu i także postawiła na stole.

— Oto ozdoba! — zawołał z zachwytem Chochoł, odkorkował butelkę, powąchał.

Charkewicz widział, że Ołeksandr Mykytowicz jest szczęśliwy. On i dawniej nie rozpaczał, i dawniej bywał wesoły i skłonny do żartów, ale wszystkie te rysy swego charakteru ujawniał teraz tak bezpośrednio, że nie tylko nie drażniły Charkewicza, lecz wręcz przeciwnie — wydawały mu się naturalne, właściwe temu człowiekowi, zgodne z jego nastrojem. Ania także się uśmiechała, lecz w porównaniu z mężem wydawała się cicha, gospodarowała przy stole nieumiejętnie — Chochoł przez cały czas ją poprawiał i podpowiadał jej, co trzeba nalać do kubków albo co jeszcze nałożyć na talerze. Ani on, ani tym bardziej Charkewicz nie zdawali sobie sprawy, że ona po prostu jest trochę speszona rolą, od jakiej dawno odwykła, zaniepokojona o przyszłość, na której spotkanie z taką determinacją i tak niespodziewanie rzuciła się sama. Ale jednego Charkewicz był pewien: przyleciała aż tutaj, a więc oboje są szczęśliwi, tak jak on byłby szczęśliwy, gdyby niespodziewanie zjawiła się obok niego Ksenia...

Nie, nie mógł powiedzieć Chochołowi tego, z czym tu przyszedł. Nie mógł wtargnąć ze swoją niebezpieczną propozycją w szczęście tych dwojga ludzi, którzy tyle przeżyli, zanim nadeszła chwila ich nowego i być może krótkiego pojednania. Charkewicz łyknął palącego płynu, którego Ania zbyt dużo nalała mu do blaszanego kubka, wziął kawałek słoniny i skibkę chleba i przegryzając, przez cały czas patrzył na Chochoła. Przed oczyma stał mu wąski, ciemny kanał wentylacyjny, w którym nawet on ledwo obróciłby swoje szczupłe, kościste ciało. Bzdura! Jak w ogóle mogło mu przyjść na myśl, aby zaproponować to Chochołowi?

Charkewicz wstał.

— No, na mnie już czas.

— Może pan chciałby odpocząć? — powiedziała Ania i zerwała się z krzesła. — My posiedzimy cichutko, a pan się prześpi.

— Dziękuję. Muszę iść.

Chochół postawił na stole nie dopity kubek. Nagle spochmurniał.

— Sprawy stoją kiepsko, co?

— Prawdę mówiąc, kiepsko.

— To znaczy, w nas cała nadzieja — powiedział Chochół, mając na myśli nurków.

— Nie, dlaczego cała. Ja jej jeszcze nie tracę.

— A Rud' mi mówił, że dalej po zaporze nie można przejść.

— Nie wiem. Będziemy próbować. Może coś wymyślimy i uda się...

— No cóż... — Chochół wyciągnął rękę na pożegnanie. Nie zatrzymał Charkewicza, ale spojrzał na niego tak, jakby znów poczuł się wobec niego winny: bo rzeczywiście — los uśmiechnął się nie do Charkewicza, tylko do niego.

24

Oleń Iwanowicz z daleka już zobaczył Sztukarenkę — pułkownik wyszedł właśnie od Szumakowa i skierował się do swego domu. Charkewicz przyspieszył kroku i dopędził go przed furtką.

— A ja właśnie wybierałem się do was — powiedział Sztukarenko i przepuścił Charkewicza przed sobą.

W pokoju było duszno. Sztukarenko milcząc podszedł do okna i wyjął poduszkę, która sterczała w ramach zamiast wybitej szybki. Do wnętrza wdarło się chłodne powietrze, rozrzucając papiery na stole.

— Słyszał pan, co Rud' proponuje? — zapytał zdejmując płaszcz.

— Nie, nie słyszałem.

— Usiądźmy — Sztukarenko zajął swoje miejsce przy stole. — Rud' twierdzi, że jest tylko jedno wyjście: wydostać się na górę z dolnej sztolni. A pan co o tym sądzi?

Ach tak! A więc jego pomysł przyszedł też na myśl Rudiowi. To nawet dobrze, nie trzeba będzie samemu go przedstawiać.

— Ja z tym samym tutaj przyszedłem.

— To Rud' podzielił się już i z panem?

— Nie, ja sam to wymyśliłem.

— Ciekawe. — Sztukarenko uśmiechnął się. Głębokie zmarszczki przecinające policzki stały się jeszcze głębsze. — Genialne idee jednocześnie przychodzą do głowy różnym ludziom.

— Zdaje się, że wręcz przeciwnie — uśmiechnął się także Charkewicz.

— A skąd by się wzięło powiedzenie: „Kiedy dwóch mówi, żeś pijany, najlepiej pójść spać”? — ironicznie przymrużył oczy Sztukarenko.

— To trochę z innej beczki. — Charkewicz widział, że Sztukarenko jest w niezłym humorze, i zupełnie się uspokoił.

Twarz pułkownika raptem spoważniała.

— Mimo wszystko trzeba spróbować. Niewielkie ryzyko.

— Dla nurka wielkie.

— Na wojnie, towarzyszu Charkewicz, wszędzie śmierć. — W głosie Sztukarenki zadźwięczały znów ostre nuty, które Charkewicz słyszał już kiedyś podczas narady w tej izbie. — Na wojnie strzelają, a więc mogą też zabić.

Charkewicz zrozumiał, że decyzja została podjęta. Prawdopodobnie o tym właśnie Sztukarenko dopiero co rozmawiał z Szumakowem, gdyż zdania jego były jakby z góry przygotowane — okrągłe, przemyślane już przedtem.

— To przykre, ale cała droga wojny usiana tym samym — kontynuował Sztukarenko już bardziej pojednawczo. — Śmierć, ofiary...

Sztukarenko wyszedł z za stołu i zrobił parę kroków wzdłuż izby.

— Czasem trzeba wysyłać ludzi, aby się tylko przekonać, że nie można przejść. Na tym właśnie polega szczególne okrucieństwo wojny, że nierzadko posyłasz ludzi na śmierć, aby się jedynie dowiedzieć, że nie należało posyłać. Ale to ratuje innych, często wielu.

Zatrzymał się obok Charkewicza.

— Trzeba spróbować. Musimy pukać do wszystkich drzwi... może przez któreś uda się przejść. — Sztukarenko patrzył na Charkewicza i mówił tak, jakby go o czymś przekonywał, chociaż tamten niczemu nie przeczył.

Charkewicz czuł na sobie to przenikliwe spojrzenie. Czyżby Sztukarenko domyślał się, co mu leży na sercu? Może wśród tych, którzy zakopali się teraz na pierwszej linii, nie ma ani jednego człowieka, który tak jak on pragnie za wszelką cenę przejść na prawy brzeg... Ale kogo powinien z tego powodu poświęcić? Chochoła? Bogatyriowa? Warywodę? I czy to sprawiedliwe — płacić z cudzej kieszeni?

— Nic nie poradysz, przepaść między brzegami głęboka, a mostu nie ma. I mimo wszystko trzeba przejść na tamten brzeg! — Sztukarenko westchnął, jakby mówił nie o rzeczywistej przepaści, która rozdzielała dneprowe brzegi, lecz o czymś ogólniejszym, o czymś szerszym.

Tak, przepaść. Ksenia na tamtym brzegu, a on tutaj. I między nimi przepaść. I trzeba przedrzeć się przez nią, pokonać ją. I dopiero pokonawszy, człowiek zrozumie, jaka ona była głęboka i straszna — ta przepaść.

— Dotyczy to wszystkich nas razem i każdego z osobna — cicho ciągnął Sztukarenko dalej. — Przypomina pan sobie, jak powiedziane jest w wierszu? „Na naszej planecie tak mało wesela, radość musimy wywalczyć”. Wywalczyć to znaczy zasypać tę przepaść, połączyć brzegi — i znowu w milczeniu przeszedł się wzdłuż izby i raptem zatrzymał się przy Charkewiczu, jak gdyby niespodziewanie coś sobie przypomniał. — Ale do rzeczy, a więc o wierszach. Może pan pamięta jakiś swój wiersz?

Charkewicz osłupiał. Skąd on wie? Rud' — przemknęło mu przez głowę. I o co Sztukarenko chodzi — czy to śledztwo? Interesuje się wierszami w ogóle, czy chce wiedzieć, o czym właściwie piszę?

— Ale ja prawie nic nie znam na pamięć — wymamrotał Charkewicz. Zdawał sobie jednak sprawę, że ani zaprzeczać, ani wymawiać się nie ma sensu.

— Prawie nie znaczy wcale — uśmiechnął się znów Sztukarenko.

Charkewicz milczał. Nie było wyjścia. A zresztą i nie chciał szukać wyjścia. Czuł, jak narasta w nim złość na Rudia, i nie mógł jej pohamować. Cóż, można coś zarecytować. I najlepiej coś z napisanych jeszcze wtedy, bezpośrednio po jego wystąpieniu na komsomolskim zebraniu.

— Mam taki wiersz pt. *Stenotypistka*. Spróbuję sobie przypomnieć.

Sztukarenko usiadł na łóżku, przygotowując się do słuchania. Charkewicz poczekał i zaczął mówić:

*Nie tylko w przestrzeń poleciał nasz wiek,
Nie tylko śmigło wynalazł i skrzydła,
Także telegraf — abyś nie czekał na list,
Także telefon — żeby kochana dzwoniła.*

*Stenotypistkę kreował ten wiek,
Choć o niej nie wspomina nasz orator,
Gdy przepowiada, że wszechmocny czas
Pochłonie jego dzieło
niby krater.*

*Stenografując potok cudzych słów,
Nie zdaje ona sobie z tego sprawy,
Ile pożytku można mieć z tych mów,
Próbując czas odtworzyć dla zabawy.
Na próżno w sobie zakochany snob,
Co to z trybuny chce uczynić rydwan,
Wciąż jeszcze gromi —
Słowo niby drozd —
Wypuścisz w świat — i już nie złapiesz nigdy.
Lecz, nie! Bo jeśli z barw naszych lat
Poeta nie ułoży wiernej pieśni,
Z pancernych wyjdzie kas zadziwić świat
Dziewczyzna —
czasów swych rówieśnik.*

*I jej poókle stenogramy,
Co przeleżały tyle lat na półkach,
Odtworzą czasów naszych dramata,
Przekazą całą prawdę wnukom.**

* Przełożył z ukraińskiego Kazimierz Cis—Hałny

Sztukarenko zamyślony posiedział jeszcze chwilę, potem wstał i znów zaczął przemierzać pokój swoimi bocianimi krokami.

— Ciekawe — uśmiechnął się i nareszcie przystanął. — Czy miał pan kogoś na myśli, pisząc ten wiersz?

Charkewicz też się uśmiechnął. A jednak dotarło!

— Nie. Po prostu tak napisałem.

Sztukarenko obrzucił go niedowierzającym spojrzeniem i znowu zaczął powolną przechadzkę.

— Niektórym warto wbijać pewne rzeczy pałką do głowy! — zawołał i roześmiał się już na głos. — Dobrze, że i mnie pan o tym przypomniał. Od dzisiaj będę przywiązywał większą wagę do swoich przemówień, biorąc pod uwagę sąd przyszłych pokoleń.

Był to żart, Charkewicz zdawał sobie z tego sprawę. Najważniejsze, że zrozumiał sens, to też było oczywiste. Cekał w napięciu, chciał, aby Sztukarenko coś jeszcze powiedział, ale on podszedł do stołu i twarz jego nagle spochmurniała.

— No, dosyć ogólnych rozważań — położył rękę na aparacie telefonicznym. — Z towarzyszem Chochołem rozmawialiście już?

— Nie.

— On pewnie na zaporze?

— Dopiero co widziałem go na kwaterze.

— Zaraz go wezwiemy. — Sztukarenko podniósł słuchawkę.

— Do niego żona przyjechała — pośpiesznie uprzedził Charkewicz.

— Tak, słyszałem. — Sztukarenko przez moment trzymał słuchawkę w ręku, potem położył ją na miejsce. — Obejdziemy się bez niego — rzucił po krótkim milczeniu i zaczął szybko wkładać płaszcz. — Jedziemy.

Samochód już czekał, prawdopodobnie kazał on kierowcy podjechać jeszcze wtedy, jak był u Szumakowa. Usiedli obok siebie na tylnym siedzeniu roztrzęsionego gazika, bardzo podobni jeden do drugiego — obaj wysocy i szczupli, tylko jeden trochę młodszy. Na pierwszy rzut oka różnica wieku wydawała się nieznaczną — przeżycia zostawiły na twarzy Charkewicza niezatarte ślady, i wyglądał on na starszego, niż był w rzeczywistości.

Sztukarenko podobał mu się. Miał szerokie horyzonty

myślowe, i Charkewicz był o to trochę zazdrosny. Na ludziach też znał się lepiej niż on, potrafił przenikać ich myśli i uczucia — Ołeh Iwanowicz nieraz już doświadczył tego na sobie. A nawet to, że powiedział: „Obejdziemy się bez Chochoła”, przyciągało do niego i budziło szacunek.

— Nie podziękowałem jeszcze dotychczas za płaszcz — odezwał się Charkewicz.

— Przydał się?

— Bardzo.

— To taki przechodni płaszcz. Z jednych ramion na drugie. Stale wypada komuś pożyczyc — uśmiechnął się Sztukarenko. — Podczas odwrotu niejeden zgubił płaszcz, a ja miałem szczęście, w żaden sposób nie mogłem go zgubić.

Na zachodzie głucho zadudniło. Raz... dwa... trzy... Na ich spotkanie, narastając wciąż, biegł charakterystyczny świst. Umilkli. Pociski przeleciały nad nimi wysoko, potem gdzieś z tyłu znowu głucho huknęło: raz... dwa... trzy...

— I gdzie on bije, dureń! — obejrzał się kierowca.

— Ty lepiej patrz się na drogę — powiedział Sztukarenko.

Droga była kiepska, jakby podziobana przez czas i wojnę. Kierowca milczał, nie bardzo zadowolony z uwagi.

Nagle przed nimi coś głucho zaturkotało. Rozległ się potężny, ciężki wybuch. Powietrze zakołysało się i huk przetoczył się górą. Sztukarenko szturchnął kierowcę w plecy, i samochód gwałtownie zahamował.

Stali w odkrytym gaziku i milcząc patrzyli przed siebie, w stronę Dniepru, do którego było już całkiem blisko. Nad budynkami wzbijał się w niebo słup kurzawy, kłębił się i przewalał. Za chwilę znów zadudniło, rozległ się jeszcze jeden wybuch, słabszy, i podrzucił chmurę, która jeszcze nie osiadła po pierwszym wybuchu, tak że podleciała gwałtownie jeszcze wyżej.

Charkewicz poznał te dźwięki. Domyślił się od razu, że to znowu gdzieś tam w siłowni albo obok niej. Zatrzepotało się coś w nim, później urwało się i opadło. Tak, to na pewno znów tam! Co oni wysadzają? Czyżby po pierwszym wybuchu coś tam jeszcze ocalało? Sztukarenko powoli odwrócił twarz do Charkewicza. Był błady.

— Znowu tam?

— Tam — odpowiedział Charkewicz prawie samymi tylko wargami.

— Chodźmy.

Zeskoczyli na drogę i zostawiwszy samochód przy osmalonym drzewie, pobiegli naprzód, do zapory.

Obaj rozumieli, że zbliża się na nią kolej.

25

Kiedy Sztukarenko i Charkewicz nareszcie dostali się do sztolni, okazało się, że nurkowie, a w tej liczbie i Chochoł, są już na dole, a Rud' nie tak dawno wrócił do swoich żołnierzy, których zostawił na środku zapory. Charkewicz zrozumiał od razu, że Rud' zdecydował się działać nie czekając na jego powrót. Niejasne było tylko, jak Chochoł zdążył tak szybko tutaj powrócić: kiedy Ołeh Iwanowicz pił z nim spirytus w towarzystwie Ani, on nie tylko się nie śpieszył, ale i nic nie wiedział o projekcie Charkewicza i Rudia.

Widocznie rozmowa ze Sztukarenką i recytowanie wierszy w Morgunach trwało jednak dość długo: Rud' zdążył zawiadomić Chochoła i wezwać go na zaporę.

Była to swego rodzaju samowola i ze strony Rudia, i ze strony Chochoła. Dlaczego nie zaczekali ani na niego, ani na Sztukarenkę, trudno było zrozumieć. Ale teraz nie czas zaczynać o tym rozmowę, trzeba śpieszyć na miejsce akcji: Sztukarenko — do filara, na którego szczycie miał się ukazać nurek, a on — do dolnej sztolni, skąd nurek powinien wyruszyć w swoją niebezpieczną podróż.

Jak tylko Charkewicz stanął na schodkach wiodących do dolnej sztolni, raptem sparzyła go niespodziewana myśl: podczas gdy on miał spotkanie z Ołeksandrem Mykutowiczem na kwaterze w Morgunach, Warywoda wykonywał swoje kolejne zadanie pod wodą. A więc jest zmęczony i nie będzie mógł od razu zejść znowu pod wodę. A właśnie Warywoda — szczupły i młodszy od Bogatyriowa i Chochoła — najlepiej nadawał się do tego, aby przecisnąć się przez szyb wentylacyjny. To znaczy, że zejść mogli tylko Chochoł lub Bogatyriow, a oni

obaj — barczyści i jednak dość korpulentni — mieli niewiele szans na powodzenie, szczególnie w swoich skafandrach...

Niepokoilo Charkewicza również i co innego: na planie zapory, który naprędcie przerysował sobie Chochoł, nie podawano żadnych wymiarów, a bez tego nurek nie mógł nawet w przybliżeniu wyobrazić sobie, w jakiej odległości od miejsca, gdzie on zanurzy się do wody, należy szukać wejścia do kanału wentylacyjnego. Jeżeli ktoś już się zanurzył, to pójdzie na oślep i na pewno nie znajdzie w zanieczyszczonej wodzie żadnego otworu!

Charkewicz czuł, że oblewa się zimnym potem. Nikt inny, tylko Serhij Rud' mógł dopingować do tego pośpiechu. Chciał się okazać aktywny i pomysłowy, przejawiać inicjatywę.

W dole nad samą wodą świecił się blady jęczyczek naftowej lampy. W wilgotnym mroku Charkewicz zobaczył dwie postacie. Kiedy się zbliżył, zrozumiał, że stało się to najgorsze: na ostatnim schodku, pochylony i jakby zasłuchany w oddech ciemnej wody, stał Bogatyriow, a nieco wyżej siedział przytulony do ściany Warywoda.

— Gdzie Ołeksandr Mykytowicz? — zapytał cicho Charkewicz.

— Pięć minut, jak zszedł — odpowiedział Bogatyriow.

To znaczy, że tak właśnie się stało — Warywody nie puścił, bo zmęczony, a Bogatyriow miał taką samą budowę jak on: lepiej pójść samemu niż narażać Bogatyriowa.

— Jakżeż on znajdzie wejście?

— A oni z lejtenantem Rudiem zmierzyli krokami odległość od filara do filara. Wejście przy czwartym, lejtenant mówił, że dokładnie pamięta.

Rzeczywiście, zdaje się, że przy czwartym. A może i przy piątym — trudno sobie teraz przypomnieć. Dobrze przynajmniej, że domyślili się chociaż, iż trzeba jakoś określić odległość. — Jeżeli nie zmyli rachunku, będzie choć w przybliżeniu wiedział, gdzie szukać tego wejścia.

Charkewicz jeszcze z minutę postął obok Bogatyriowa, tak jak i on wsłuchując się w ciche plusk wody, ale nie szczególnego nie usłyszał i postanowił iść na górę.

Na dworze był jeszcze dzień. Padał rzadki, drobny śnieg. Na samym stoku, gdzie dął wiatr znad wody

górną, śnieg się nie zatrzymywał, ale w zakątkach obok filarów leżał już grubą warstwą.

Złość na Serhija Rudia powoli przycichała. W końcu on sam powinien był też natychmiast działać, tak samo jak Rud'. Po co właściwie udał się do Morgun — narodzić się z Chochołem? Zameldować Sztukarence? Alboż nie zdawał sobie sprawy, że innego wyjścia nie ma? Co prawda do Morgun pojechał jeszcze przed tym, zanim rozległ się jeden, a później i drugi wybuch. Może to właśnie te wybuchy, które wskazywały na katastroficzne zbliżanie się ostatecznego rozwiązania, przyspieszyły decyzję Rudia i zdopingowały go do stanowczego działania?

Pierwszy raz od tego wieczoru na polu minowym pod Teriakami poczuł, że po plecach przebiegł mu dreszcz. Na ogół nigdy w życiu strach go nie oblatywał, i nawet tam, na tym polu minowym, także nie bardzo się bał. Ale wtedy znał dobrze plan pola — to pole, wreszcie, było swoje. Tutaj leżało pod nim obce pole minowe. Kiedy ono wybuchnie — za dzień czy za chwilę? Ale strach pojawił się i znikł, jakby pośpieszał gdzieś dalej i tylko przypadkowo w nim się zatrzymał, połaskotał chłodno pod sercem, jak prąd elektryczny. Tak, Rud' ma rację: nie ma sensu czekać na zezwolenie i uzgadnianie swoich poczynań, kiedy już, już może się stać to najstraszniejsze. W takich wypadkach ratuje jedynie stanowczość, której on niestety nie wykazał, ale wykazał ją Rud'.

Sztukarenko siedział pod ścianą, Rud' stał obok, także przy ścianie. Charkewicz zeskoczył z rozkołysanej drabinki i podszedł do nich. Wszyscy milczeli — nie dlatego, że w dole szumiała woda i trudno było rozmawiać, po prostu niepokoił się — nie do rozmów im było. Zauważyli jego przybycie, ale nikt się nie poruszył, w szarym mroku twarze wydawały się ogromnie napięte — każdy zamknął się w sobie i ponuro milczał.

Charkewicz podszedł do Rudia.

— Ileście tam namierzyli? — zapytał prawie nad samym uchem. — No, kroków, ileście namierzyli?

— A, kroków... Osiemdziesiąt cztery. Ty przecież masz plan, sprawdź.

Rzeczywiście ma plan. Charkewicz wyjął go z kieszeni bluzy, osłonił połą płaszczą promień latarki elektrycznej

i zaczął mu się przyglądać. Wiatr szeleścił rozwiniętym arkuszem papieru, usiłując zagiąć go właśnie w tym miejscu, którego Charkewicz szukał. Akurat osiemdziesiąt cztery. Możliwe, że i tak jest. W przybliżeniu oczywiście. Zuch ten Rud'.

Charkewicz spojrział na zegarek. Tam na dole zaznaczył sobie czas, kiedy Chochół zszedł pod wodę. Również Bogatyriow mówił, że w przybliżeniu pięć minut. To znaczy minęło trochę więcej niż pół godziny. Osiemdziesiąt cztery kroki Chochół mógł już przejść. A więc teraz jest gdzieś przy wejściu do kanału wentylacyjnego, a może nawet w samym szybie. Naturalnie jeśli udało mu się tam łatwo odnaleźć tę diabelską dziurę.

Charkewicz podszedł do ściany i usiadł obok Sztukarenki. Ciągnęło go coś do tego człowieka. Dlaczego? Może z tego względu, że jeśli jest w kimś chociażby najmniejsza bezbronna komórka, a jakiś człowiek świadomie czy mimo woli weźmie ją w obronę, to ten ktoś zaczyna Ignąć do tego człowieka jak do niewzruszonej ostoi.

— Kto poszedł? — Sztukarenko pochylił się do niego.

— Chochół.

— Tak przypuszczałem. Dawno?

— Trzydzieści pięć minut temu.

Sztukarenko zadowolili się tą odpowiedzią — wiadomo, on nie ma wyobrażenia o tym, co nurek musi tam pokonywać. Prawdopodobnie obliczał teraz w myśli, kiedy trzeba spojrzeć na górę, aby zobaczyć tam Chochoła. A on być może utknął w betonowym kanale i dusi się z braku tlenu, nadaremnie usiłując wyrwać się z kamiennych objęć i wrócić...

Śnieg przestał padać i wiatr jakby się trochę uciszył. Mrok szybko gęstniał, przesłaniał kontury przedmiotów i ludzkie twarze. Dziwne, że na Chortycy dotychczas ich nie zauważono — co prawda to dość daleko, ale jeśli uważnie obserwować i w dodatku przez dobrą lornetę... Zresztą bardzo możliwe, że tam już dawno o nich wiedzą i śledzą każdy ich krok. Czegoż się niepokoić, wyłącznik jest przecież w ich rękach i można go włączyć, kiedy się podoba.

Przed oczyma zjawiała się Ksenia — inna niż na zdjęciu, gdzie była z warkoczem, którego część musiał oderwać...

Blada, z ogromnymi cieniami pod oczyma, postarzała o dziesięć lat... Taka, jaką widział ostatni raz na korytarzu, kiedy odprowadzała go do drzwi, a potem objęła... Gdzie jesteś, Kseniu?... Chcę, abyś żyła. Abyś była tutaj, słyszysz?

Naraz Rud' krzyknął coś i machnął ręką. Potem podbiegł do Sztukarenki i znowu krzyknął, wskazując na górę.

— On!

Głos mu się załamywał, jak gdyby raptem zabrakło mu tchu. Prawdopodobnie nikt nie usłyszał jego okrzyku, ale wszyscy zerwali się i rzucili do przeciwległej ściany.

— Na miejsca — krzyknął znów Rud', i teraz już głos jego zabrzmiał władczo. — Nie odwracajcie uwagi!

Żołnierze przycichli pod ścianą i spojrzenia ich wpiły się w ciemne niebo. Na górze wysoko, wysoko stał Chochół. Że jest to właśnie on, można się było tylko domyślić, gdyż człowiek, który pojawił się na szczycie filara, nie był w skafandrze nurka, tak jak powinien być Chochół, lecz w czymś jaskrawobiałym, może nawet tylko w samej bieliźnie. Odzież jego wyraźnie odcinała się na tle ciemnego nieba, i wydawało się, że nie stoi on na filarze, lecz wisi w powietrzu.

Żołnierze, wstrzymawszy oddech, patrzyli w górę jak zaczarowani. Nikt nie zastanawiał się nad tym, dlaczego Chochół jest tak ubrany — wszystkich pochłonęło samo widowisko, to, że nurek nareszcie jest na filarze. I tylko dwóch rozumiało, co się odbyło — Charkewicz i Rud' — i jak tylko na szczycie filara ukazała się biała plamka, oni niemal dokładnie wyobrazili sobie całą drogę nurka i wszystko, co się z nim mogło stać.

Z dołu wydawało się, że Chochół się nie porusza; w rzeczywistości zaś on nie tylko nie stał w miejscu, ale nawet bardzo się śpieszył. Wiatr przenikał go na wskroś, a sweter i bielizna były na nim zupełnie mokre. I chociaż zdrętwiałe ciało dawno już przestało cokolwiek odczuwać, mózg ponaglał. Nie dlatego, że uświadamiał sobie: każda zmarnowana minuta na takim zimnie to śmierć; mózg jeszcze myślał, ale już też drętwiał. Na dole w ciemnej otchłani, na stoku, na niego czekali — Chochół nie mógł tam nikogo zobaczyć, ale wiedział, że na dole czekają. I jakaś żywa komórka w mózgu popychała i zmuszała

skostniałe ręce do rozplątywania sznura, aby jak najprędzej, póki starcza sił, spuścić go tym, co czekają, i wciągnąć drabinę, która otworzy wszystkim drogę na górę.

Skafander nurka trzeba było zdjąć dwadzieścia minut temu — jeszcze przedtem, zanim Chochół wszedł do szybu wentylacyjnego, który zaczynał się w dolnej sztolni. Wejście udało mu się odnaleźć prawie od razu, ale otwór okazał się węższy, niż nurek przypuszczał. Wypadało więc albo wrócić z niczym, albo jeszcze w wodzie pozbyć się ekwipunku nurka i spróbować jakoś się przecisnąć. Myśl o powrocie natychmiast odrzucił i zaczął odpinąć sprzączki, aby jak najszybciej uwolnić się od skafandra. Szyb wznosi się pionowo i Chochół domyślił się, że teraz już woda nie sięga tutaj bardzo wysoko: jeżeli uda mu się wcisnąć do otworu, wypłynie, płuca pomogą.

Przedtem, zanim zdjął maskę tlenową i odpiął pas z ołowianymi ciężarkami, Chochół zrobił głęboki wdech i nabrał pełne płuca powietrza. Odpiął pas, zrzucił skafander i został tylko w swoim białym swetrze. Oparł się nogami o ściany wąskiego otworu, odbił się od nich i poszedł w górę, powoli wydychając powietrze.

Nie myślał teraz o niczym innym, pochłonięty tylko jednym wysiłkiem: wytrwać jak najdłużej i nie napić się wody. Płuca swoje znał — od dzieciństwa umiał nurkować. W chutorze Szczuczym pod Penzą u Saliwona Kuca żaden z pastuchów nie mógł tak długo przebywać pod wodą jak on, kiedy, bywało, w tajemnicy przed gospodarzem, wybrali się łapać okonie na Wytusi. Nie darmo chłopcy przewali go „nurkiem”, szczycił się tym przewiskiem i nurkiem jednak został.

Chochół sącył powietrze przez zaciśnięte zęby i unosił się wciąż wyżej i wyżej. Czuł, że nie ma już czym oddychać, a nad głową stoi woda i nie wiadomo, ile jej jeszcze nad nim. W rzecze można by już było wypłynąć z dużo większej głębiny, ale tutaj unosił się wolno — ściany utrudniały ruchy, nie pozwalały odpychać się nogami. Wreszcie powietrze zupełnie się skończyło, płuca zachłysnęły się i usta mimo woli nabrały wody. Pierwszy raz w życiu Chochół panicznie się zląkł. Nie dlatego, że dokoła była ta martwa, chłodna, betonowa masa, która otaczała go szczelnie i zmuszała do walki z nią sam na

sam... Nie wiedział, czego się zląkł i dlaczego raptem opadła go panika, strach, jakiego nigdy dawniej nie doznawał. I usta same otwały się znowu, napełniając się zimną, brudną wodą.

Prawdopodobnie trwało to tylko przez moment. Bezwiednie zrobiwszy ruch ręką, Chochół uderzył się o żelazny kabłąk wmurowany w ścianę. Uchwycił się go i poczuł, że nad nim jest powietrze.

Spróbował odetchnąć, ale zakrztusił się i zaniósł się głębokim kaszlem. Mdiło go, ciało raptem zupełnie osłabło. Nareszcie udało mu się odsapnąć. Przez chwilę jeszcze wisiał na jednej ręce, w końcu zaczął się wspinać w górę. Po wyjściu z wody poczuł, że przejmuje go chłód. Uchwycił się obiema rękami za kabłąki i zmusił się do jeszcze szybszego wspinania, zdając sobie sprawę, że zamarznie, jeśli zatrzyma się choć na chwilę.

Niebo świeciło się już w górze malutkim, bladym kwadratem, zostało jeszcze z dziesięć metrów, ale nogi odmawiały mu już posłuszeństwa, zmęczenie i zimno przenikały go do szpiku kości. Palce nie odczuwały palącego mroźnego dotyku żelaznych kabłąków, za które się łąpał, aby podciągnąć się bodaj jeszcze na jeden szczebel. W głowie mu szumiało, jakby echo wąskiego betonowego szybu odbijało się w mózgu i świdrowało uszy przenikliwym bólem niby ostry świder.

Wydostawszy się na most poddźwigowy, Chochół długo nie mógł się podnieść na nogi. Nareszcie wstał. Stał chwilę, jakby ostatkiem sił starał się przypomnieć sobie, co ma jeszcze zrobić. Naraz przypomniało mu się, że teraz powinien iść z powrotem do lewego brzegu — do filara, przy którym na niego czekają. Szedł chwiejnym krokiem. Skostniałymi palcami przytrzymał sznur owinięty wokół ciała jeszcze na lądzie. Kolana drżały, a w mózgu wisiała mgła, gęsta i nieprzenikliwa, jak ten mrok, który zalegał dokoła. Dowłókł się tak do ostatniego filara i zatrzymał się nad przepaścią.

Milczący żołnierze stłoczyli się pod przeciwległą ścianą jeden przy drugim. Tylko Sztukarenko stał na środku stoku — nikt nie ośmielił się mu powiedzieć, że w ten sposób demaskuje wszystkich. Byłoby to naprawdę niebezpieczne, gdyby ożył nieprzyjacielski reflektor. Drabinka zwisała już z góry. Chochół na chwilę zniknął,

widocznie przywiązywał końce do armatury. Niebawem ukazał się znowu i zaczął schodzić.

— No i po co on... Odpocząłby trochę... — powiedział zaniepokojony tym Rud' i rzucił się w kierunku Sztukarenki. Pułkownik nic nie usłyszał i tylko ostrzegawczo podniósł rękę, jak gdyby chodziło o lunatyka, któremu nie wolno przeszkadzać. Rud' zrozumiał, że i tak nie jest już w stanie powstrzymać Chochoła, podbiegł z powrotem do ściany, chwycił koniec drabinki, naciągnął, żeby wiatr nią nie kołysał, chcąc przynajmniej w ten sposób pomóc Chochołowi.

Ołeksandr Mykytowicz namacał nogą sznurkowy szczebel i wsparł się na nim. Rud' poczuł, jak drabinka zakołysała się i zadrgała. Potem Chochoł zaczął wymacywać drugą poprzeczkę, drabinka jeszcze raz się zakołysała i znieruchomiała. Rud' spojrzał w górę i zobaczył, że Chochoł przechylił się głową do ściany i zamarł. Za chwilę znów zaczął namacywać poprzeczkę, drabinka gwałtownie szarpnęła się do ściany... Chochoł osunął się z dwudziestometrowej wysokości i głucho upadł na stok.

Leżał z podkurczoną prawą ręką, ciężko przyciskając ją do betonu swoim nieruchomym ciałem. Sztukarenko podbiegł pierwszy, nachylił się nad nim, przylgnął do piersi: serce jeszcze biło.

— Do batalionu sanitarnego! — krzyknął, nie zwracając się bezpośrednio do nikogo. — Prędeż!

Kilku żołnierzy, oniemiałych pod ścianą, rzuciło się do nurka.

Charkewicz zdrewniał. Chochoł leżał przed nim nieruchomo. W swoim białym swetrze, który jaskrawo odcinał się na ciemnym tle betonowego stoku. Pierwsza śmierć, jaką Charkewicz zobaczył na tej wojnie. Śmierć pierwszego człowieka, z którym na tej wojnie się spotkał.

26

Schodząc do wody, aby przedostać się do kanału wentylacyjnego, Chochoł nie miał pewności, czy mu się to uda. Dlatego też rozkazał swoim nurkom na wszelki wypadek nie przerywać pracy i stworzyć zapas butli

z tlenem na nie zatopionej wysepce, pośrodku dolnej sztolni.

Wyjście Chochoła na most poddźwigowy zdecydowanie zmieniało sytuację, ale jego rozkazu nikt już nie mógł cofnąć i nurkowie wciąż jeszcze pracowali pod wodą. Odcięci od świata wielometrową masą betonu, nie wiedzieli nic o wydarzeniach na górze i wierzyli, że właśnie im, a nie grupie Charkewicza, uda się wyjść na prawy brzeg. Teraz znów przygotowywali się do zanurzenia pod wodę, tak jak godzinę temu, jak wczoraj, jak w ciągu tych wszystkich dni.

Bogatyriow ostatni raz posłuchał leniwego pluskania wody, wszedł kilka stopni wyżej i włożył brezentowy pas z ołowianymi ciężarkami. Warywoda już odsapnął, podniósł się i pomógł towarzyszowi założyć butlę z tlenem i pochłaniaczem chemicznym, a drugi komplet, który Bogatyriow miał przeprowadzić na suchy skrawek w sztolni, przywiązał mu rzemykiem do pasa, aby włókł się na holu.

— To ja już idę — oznajmił spokojnie Bogatyriow. W wąziutkim, wilgotnym korytarzu jego słowa odbiły się echem. — Za kwadrans i ty ruszaj.

Dokładnie za piętnaście minut zanurzył się też Warywoda. Robił to nie pierwszy raz i dobrze znał drogę. Na wyższym, nie zatopionym punkcie sztolni leżało już sześć butli z tlenem i pochłaniaczami chemicznymi, teraz mieli tam dostarczyć jeszcze po dwie, odpocząć na suchym bez masek, o ile nad nie zatopionym wzniesieniem rzeczywiście znajdzie się chociażby zatęchłe, ale zdatne do oddychania powietrze, i ruszyć dalej do brzegu zajętego przez wroga.

Tlenu nie trzeba było oszczędzać. Ze swoją butlą należało dojść tylko do miejsca, gdzie można ją wymienić. Warywoda oddychał głęboko i równomiernie — nie tak jak wówczas, kiedy pierwszy raz szedł do tej suchej wysepki. Wtedy musiał strzec powietrza, aby wystarczyło i na drogę powrotną, wyliczał każdy oddech, a i to ledwo dociągnął do wyjścia ze sztolni. Dzisiaj, kiedy wyruszy dalej z tamtego suchego miejsca, trzeba będzie znowu oszczędzać, znowu sączyć przez zęby, aby wystarczyło na powrót do wzgórką, a butla nie z gumy, nie da się rozciągnąć. Ale dla Warywody to nie pierwszozna, nieraz

już cierpiał głód tlenu i nic — na razie żyje, płuca, dzięki Bogu i mamie, zdrowe, przyzwyczajone do pracy na głodowych porcjach.

Warywoda zawsze tak mówił — dzięki Bogu i mamie. Kiedy jechali tutaj i na kilka godzin zatrzymali się w Moskwie, Bogatyriow zaproponował, aby choć na chwilę wstąpić do niego do domu. Z dworca Kijowskiego do Smoleńskiego bulwaru — tylko rękę podać, czasu było dosyć i Warywoda zapoznał się z ojcem Bogatyriowa.

— Figurę masz nie podwodną — żartował stary. — Za to mój synek udał się, jakby specjalnie na nurka stworzony! — Uśmiechnął się pod sumiastym wąsem, aż pozołkłym od fajki, której nigdy z ust nie wypuszczał.

— To nic, dzięki Bogu i mamie dam sobie radę — roześmiał się w odpowiedzi Warywoda.

— A mój Kiriusza nie ma matki — zasmucił się stary, i wąsy mu raptem obwisły, jakby naraz zmokły.

Warywodzie zrobiło się przykro, nie wiedział, że jego towarzysz wyrósł bez matki.

Sam Warywoda wyrósł bez ojca, ale matkę miał. Przyjaźnił się z nią i ona go też omal nie nosiła na rękach. Pieściła, ale nie rozpuszczała — była dla niego równocześnie i ojcem. Kochał ją za tkliwość, jaką okazywała, choć powściągliwie, ale szczerze, i za twardego charakter również, i ze wszystkich swoich intymnych przeżyć przede wszystkim jej się zwierzał. A miał takich spraw niemało, lubił dziewczętom zawracać w głowie. Po każdym nowym wyznaniu syna matka z udawaną surowością groziła mu pięścią i mówiła:

— Ależ ja mam warywodę!* Znęcaj się nad nimi, znęcaj...

— Nie martw się, mamo. Wrócę z wojny, ożenicie mnie.

Teraz przypomniał sobie to nie dlatego, że raptem postanowił pójść po rozum do głowy, ale dlatego, że pomyślał o mamie. Szło mu się łatwo, chociaż dziś już dwa razy schodził pod wodę, a raz był nawet na tej

* Nieprzetłumaczalna gra słów; warty wodu z koho — znęcać się nad kimś

wysepcie. Ale — dzięki Bogu i mamie! — płuca zdrowe. Poleżał na kamiennych schodkach, odsapnął — i mógłby iść nawet na tańce do Morskiego Klubu. Dojdzie do pięciometrowego placyku, zdejmie pas z ołowiem, posiedzi z piętnaście minut z Bogatyriowem bez maski-
hełmu i ruszy dalej. Gdyby obowiązywały go przedwojenne normy, to prawdopodobnie już by się wyspał i chyba rzeczywiście kropnąłby się na tańce, ale tutaj nie liczy się czasu — wojna.

Teraz nie przeszkadzało mu to, że dno zawalone rupieciami. Najważniejsze znać drogę, w morzu też nie układano parkietu. Czasem tak zawadzi się o kamień, że aż przewodę się pozrywa. Ale jak pozna się dno, to wszystko nic, można pracować. Tak samo i tutaj — na początku było ciężko, a teraz idzie się jak na wycieczkę. Szkoda, że kiedy człowiek już całkiem się przyzwyczai, trzeba przerzucać się na nowe miejsce i znowu poznawać jakieś nowe dno. I to tak zawsze, ledwo ktoś przywyknie, a robota już skończona, trzeba związać manatki i jazda na nowe miejsce.

Nawet króków nie liczył — po co liczyć, jak tlenu nie trzeba oszczędzać? A kierunku też nie pomyli — tutaj nie ma gdzie zboczyć ani na prawo, ani na lewo. Dziwaczne miejsce, nigdy jeszcze w takim nie pracował. Jedno tylko męczy — cały czas idzie się pod górę. Ale za to z wysepki będzie lżej — cały czas w dół.

Oto i wzgórek. Opór wody słabnie i nareszcie zupełnie ustaje, a pas z ołowianymi kulami diabelnie cięży; to jedyne, po czym w tych ciemnościach można się zorientować, że pierwszy etap skończony. Warywoda odpina sprzączkę i zdejmuje hełm-maszkę.

— Czołem, wodniaku! — woła.

Nikt nie odpowiada.

— Kirusza, słyszysz?

I znowu nic.

— Bogatyriow, coś ty...

Warywoda jest pewien, że towarzysz po prostu żartuje, ale w sercu mimo woli drży lękliwa struna.

— Bogatyriow!

Znowu nikt nie odpowiada. Czyżby on jeszcze dotychczas nie doszedł? Nurek nie pozwala sobie oszukiwać towarzysza i nie naraża go na niepotrzebne zdenerwo-

wanie. W dodatku Bogatyriow — „specjalnie na nurka stworzony”.

Warywoda wyjmuje latarkę z wewnętrznej kieszeni. Różnie się zdarza: kiedy pierwszy raz doszli tutaj, on sam omal nie zemdłał. Może i towarzysza na chwilę stracił przytomność? Promień ślizga się dookoła. Bogatyriowa nie ma!

Warywoda szybko zakłada hełm-maszkę, włącza tlen i rusza z powrotem. Dalej Bogatyriow nie mógł pójść — powinien by poczekać. Ale jeżeli się zatrzymał, to jakże on szedł, że go ominął? Zwykle tak bywa, kiedy się myśli nie wiadomo o czym podczas wykonywania zadania!

Warywoda szedł teraz zygzakami — od ściany do ściany. Choć bardzo droga jest każda sekunda, trzeba iść zygzakami, aby znów czegoś nie przegapić. No i tak właśnie jest. Bogatyriow spłynął pod sufit!

Warywoda chwytą towarzysza i ciągnie w dół. Obmacuje maskę: jest na twarzy i tlen nie zamknięty. Ale pasa z ciężarkami nie ma, dlatego towarzysza spłynął...

Co to się stało? Warywoda taszczy Bogatyriowa z powrotem na suche. W głowie mu szumi, krew łomocze w skroniach. Kładzie towarzysza na wzniesieniu obok zapasowych butli i zrywa mu maskę. Rozwiera Bogatyriowowi zęby, wciska ustnik od swojej butli, otwiera tlen. Bogatyriow nie oddycha, powietrze ze świstem wylatuje z powrotem.

Ogarnia go przerażenie. Dziesiątki razy Warywoda ratował kolegów i jego także dziesiątki razy ratowano. Ale kiedy się pracuje w morzu i ma się linkę sygnalizacyjną, można wezwać pomocy albo przynajmniej zawiadomić kogoś, że się stało nieszczęście. Tutaj nawet tego nie można zrobić: jesteś tylko ty i nieszczęście, jakie przydarzyło się towarzyszowi walki, i dwieście pięćdziesiąt metrów ciemności — otchłań, z której trzeba wyciągnąć i siebie, i towarzysza, i swoją trwogę.

Usiłuje opanować się, zakłada znów maskę na twarz Bogatyriowa, podłącza nowe butle — i jemu, i sobie. Ręce drżą, nogi się uginają. Dwieście pięćdziesiąt metrów powrotnej drogi: ciemność i przerażenie, i najważniejsze — na górze nikt nie czeka.

Jak tylko Charkewicz wszedł na górę, zrozumiał, że to most poddźwigowy, być może cały aż do samego końca. Zresztą po co Niemcy mieliby go burzyć — trudno było uwierzyć, że z lewego brzegu ktoś może się tutaj przedostać.

Dopóki Kowalczyk i Amiradze wciągali dobytek, Charkewicz stał na filarze i patrzył na prawy brzeg. Śnieg znowu sypał — teraz już gęściejszy. Wiatr hulał zupełnie swobodnie, delikatne płatki śniegu przylepiały się do twarzy i zamieniając się od razu w krople, spływały po policzkach.

Przed nim leżał prawie zupełnie cały most, koniec jego ginął w oddali, zasłonięty lekkim śnieżnym woalem. Pod nogami wyczuwało się drewnianą nawierzchnię — nie tylko resztki kratownic, i nawet cienkie, żelazne poręcze ocalały po bokach. Charkewicz przechylił się lekko przez poręcz i spojrział w dół. Było tam zupełnie ciemno, z przepaści dobiegał monotony szum wody, tłumiony przez odległość. Można po prostu zawołać chłopców, zarzucić na ramię plecak i iść do domu, tak jak tysiące razy chodził po tym moście, po tych gładkich deskach...

Ale wszystko to byłoby zbyt proste — wziąć rzeczy i iść do domu. Najprostsze na wojnie jest zarazem najniebezpieczniejsze. Most jest prawdopodobnie zaminowany. Trzeba się ostrożnie posuwać — posuwać się właśnie, a nie iść.

Kowalczyk odwiązał sznurek od plecaka. Charkewicz wziął do ręki automat i usiadł przy Kowalczyku. Trzeba zdecydować, jak działać — iść pojedynczo czy razem ruszyć naprzód. W ciemnościach łatwo wpaść na minę; latarki nie można zapalić — brzeg blisko, a z Chortycy też mogą zauważyć. Obojętne, czy Niemcy wiedzą, że tutaj ktoś jest, czy nawet im to na myśl nie przyjdzie, trzeba działać ostrożnie — to najważniejsze.

— Słuchaj, Amiradze, my tutaj zaczekamy, a ty spróbuj rozpoznać, co tam przed nami.

— A czego się bać? — obruszył się Sandro. — Ołeksandr Mykytowicz przyszedł aż stamtąd! — Amiradze wskazał ręką w kierunku prawego brzegu.

Rzeczywiście, Chochoł wy dostał się na most daleko

stąd i nie wpadł na minę. Ale to jeszcze o niczym nie świadczy, tam, gdzie jednemu udało się przejść, drugiemu może się nie udać.

— Rób, co ci każe — łagodnie ofuknął go Charkewicz. Było mu nieprzyjemnie, że Amiradze powiedział: „bać się”, chociaż on tylko nie chciał po prostu ryzykować. — Idź i pamiętaj: ostrożnie!

— Tak jest! — podporządkował się Sandro. Wziął automat i poczołgał się naprzód.

Kowalczuk i Charkewicz w milczeniu śledzili drobną postać rozplaszczoną na skraju mostu, prawie na ostatniej desce po lewej stronie. Amiradze czołgał się szybko i bezgłośnie, jakby płynął po wodzie — za chwilę już zniknął, połknięty przez ciemność. Przesuwał się cicho i prawie bezszelestnie, przynajmniej Charkewicz nic nie słyszał. Dobrze zrobił, że wysłał naprzód właśnie tego tancerza. Kowalczuk nie potrafiłby się czołgać tak cicho i zręcznie.

Przy trzecim filarze Amiradze zatrzymał się: musiał odsapnąć. Nadśluchiwał — nic nie słysząc. Tam, jak byli we trójkę, mówił, że nie ma co się bać. Ale kiedy człowiek sam znajdzie się w takim miejscu, w piersiach zaczyna coś ssać i drzeć trwożliwie.

Przycichł i nadśluchiwał, opierając się na rękach i wyciągając do przodu cienką szyję z wystającą grdyką. Potem poczołgał się dalej, ostrożnie przebierając rękami i usiłując nie stuknąć butem o drewnianą nawierzchnię.

Naraz dał się słyszeć jakiś dźwięk — cichy i głuchy, że trudno go było uchwycić. Amiradze zatrzymał się i zamarł. Dźwięk zbliżał się i powtarzał rytmicznie, jakby ktoś szedł miarowym krokiem. Sandro przyłgnął uchem do nawierzchni — żadnej wątpliwości, zbliżały się kroki.

Amiradze domyślił się, że to wartownik. A więc most jest cały aż do samego brzegu, albo jeśli nawet zburzony, to są jakieś schodki, po których wchodzi tu wartownicy.

Obejrzał się: wycofywać się za daleko. I kroki rozlegają się coraz bliżej — niebezpiecznie się wycofywać. Obmacał ręką nawierzchnię i zsunął się na prawo na kratownicę. Leżał teraz z boku, trochę poniżej nawierzchni, i nawet w dzień trudno byłoby go zauważyć.

Kroki zbliżały się, stukały równomiernie i głośno. Wartownik idzie powoli, ale ciężko stawia nogi, jakby specjal-

nie uderzając podszewkami o deski — grzeje się albo dodaje sobie odwagi.

Amiradze wyteżył wzrok, aby zobaczyć go możliwie jak najszybciej. Nareszcie zamajaczyła przed nim niewyraźna sylwetka — na tle ciemnego nieba kołysała się jak cień. Początkowo wydawało się, że wartownik idzie po przeciwnej stronie mostu, i Amiradze ucieszył się. Ale było to tylko złudzenie, gdyż most, tak jak i cała zaporą, miał kształt podkowy, i minąwszy zaokrąglenie, wartownik znalazł się na jego boku.

W pierwszej chwili Amiradze nie wiedział, co robić. Jeśli wartownik go zauważy, trzeba będzie strzelać. Ale strzelać za nic w świecie nie wolno. Amiradze przypomniał sobie o swojej fince, która wisiała u pasa, i odłożył automat.

Raptem znów ogarnął go lęk: jeżeli wartownik go nie dostrzeże i pójdzie dalej, to zjawi się na drugim końcu mostu, a tam wcale się go nie spodziewają. Charkewicz i Kowalczyk mogą pomyśleć, że to on, Amiradze. Wartownik zacznie strzelać, i jeśli im nawet uda się z nim uporać, podniesie się alarm i wszystko skończone.

Podjął decyzję, i to go uspokoiło. Myśl, która gorączkowo kłębiła się w mózgu, niespodziewanie przycichła. Wartownik był tuż obok — wyciągnąć rękę i można złapać za płaszcz. Amiradze pozwolił mu zrobić jeszcze jeden krok i skoczył na nogi. Jednym zamachem uderzył go finką w plecy; wartownik jęknął cicho i zawisnął mu na rękach.

Oglądając się trwożliwie, Amiradze porozpinał na nim guziki i zdjął płaszcz. Furażerka z opuszczonymi nausznikami leżała z boku, schwycił ją także. Chciał już zepchnąć zabitego do przepaści, ale raptem przypomniał sobie o dokumentach. Był to nawyk zwiadowcy — zabierać zabitym dokumenty: nawet tym, co zostawiali na polu walki, trzeba było dokumenty zabierać. Przeciągnął zwłoki na drugą stronę mostu i strącił w dół — z tej strony szumiała woda i Sandro nie usłyszał, jak Niemiec wpadł w spienione fale.

Amiradze nie wiedział, co dalej robić. Podniósł swój automat, wziął płaszcz i furażerkę i pobiegł z powrotem. Już po dziesięciu krokach przypomniał sobie o automacie wartownika, wrócił się i również go zabrał.

Kowalczuk pierwszy zrozumiał, co zaszło. Jeżeli most jest cały lub istnieje jakieś wyjście na brzeg, wartownik nie mógł być sam; w tym czasie, kiedy zabity przebywał na tym końcu, na drugim na pewno ktoś jeszcze był. Prawdopodobnie obchodzili most od końca do końca i gdzieś na środku się spotykali. A więc ten drugi powinien już iść na spotkanie, i trzeba obowiązkowo wyjść mu naprzeciw.

Nie było kiedy wyjaśniać tego Charkewiczowi. Kowalczuk szybko zdjął swój płaszcz i włożył niemiecki. Potem wciągnął na głowę furazerkę i wziął niemiecki automat.

— Ja pójdę pierwszy, a ty idź za mną — rzucił Amirademu. — Jak uda mi się zdjąć drugiego, podbiegnij do mnie. Zrozumiałeś? — Postąpił krok i przystanął. — A pan zaczeka tu na nas — szepnął Charkewiczowi.

Kowalczuk poszedł naprzód, usiłując nie stukać butami. Amiradze poczekał, aż się oddalił, i ruszył za towarzyszem. Charkewicz o nic się nie dopytywał, podporządkował się woli Kowalczuka, jakby naraz uświadomił sobie, że na wojnie ten staje się starszym, kto w odpowiedniej chwili wykaże większą stanowczość.

Obaj zniknęli w ciemnościach. Kowalczuk szedł z przodu — i raptem zatrzymał się. Amiradze nie tracił go z oczu i kiedy zobaczył, że tamten przystanął, przycisnął się także i przypadł do nawierzchni. Kowalczuk nadśluuchiwał — zdawało mu się, że słyszy niegłośnie gwizdanie. Poczekał jeszcze chwilę i przekonał się, że się nie pomylił: w dali rzeczywiście ktoś gwizdał, zbliżając się do nich.

Kowalczuk ruszył naprzód, twardo stawiając nogi na drewnianej nawierzchni — tak jak powinien kroczyć pewny siebie wartownik, który spokojnie obchodzi powierzony mu odcinek mostu. Gwizd zbliżał się, teraz Kowalczuk słyszał już i miarowe stukanie kroków, podchwycił więc rytm tego, co szedł mu na spotkanie.

Wkrótce z ciemności wyłoniła się postać nieprzyjacielskiego wartownika. Szedł on po lewej stronie i głośno gwizdał melodię *Katiuszy*. Kowalczuk uśmiechnął się z tego i kroczył naprzód prawie zupełnie spokojnie.

Dwaj wartownicy powoli zbliżali się jeden do drugiego. Kiedy byli już całkiem blisko — ze dwadzieścia kroków, Niemiec potarł rękami uszy i krzyknął:

— Hans! Es ist schon Winter!

Kowalczuk nie znał niemieckiego, ale z ruchów wartownika domyślił się, że tamten zmarł.

— Ho, ho! — odpowiedział bezsensownym okrzykiem i zaczął także rozcierać uszy. Naraz ogarnął go niepokój, serce tłukło się w piersiach i nie można go było powstrzymać.

Niemiec kroczył już obok, tylko po przeciwnej stronie. Trzeba się było odważyć i podejść do niego.

Kowalczuk wyjął papierośnicę i naumyślnie głośno zaczął gwizdać *Katuszę*. Wtórując mu, wartownik szedł na zbliżenie, widocznie miał chęć zapalić. Kowalczuk lewą ręką podsunął mu papierośnicę, a prawą z całej siły uderzył go w twarz. Wartownik zatoczył się, ale nie zdążył krzyknąć. Finka Kowalczuka uderzyła go prosto w pierś.

Kiedy Amiradze także się przebrał, zdecydowali, że Kowalczuk pójdzie naprzód, grając dalej rolę wartownika, a Amiradze wróci po Charkewicza. Głośno stukając po drewnianej nawierzchni, Kowalczuk doszedł do samego końca zapory, a potem, wciąż jeszcze pogwizdując, ruszył z powrotem. Na moście nikogo więcej nie spotkał i zdał sobie z tego sprawę, że do zmiany warty oni będą gospodarzami mostu.

Zostało im niewiele czasu: może godzina, może trochę więcej. Przez ten czas trzeba było odnaleźć i przeciąć kabel.

28

Niemiecki płaszcz był za długi dla Amiradzego i w ogóle za wielki, zalatywało od niego obcą, nieprzyjemną wonią — mieszaniną taniej wody kolońskiej i lichego tytoniu. Amiradze nie palił ani nie używał perfum i mdliło go; myślał, że to od tego zapachu, a nie z lęku. Ale nogi miał zupełnie jak z waty, co nie zdarzało się nawet po występach w klubie Szóstego Osiedla, kiedy całą godzinę tańczył na wieczorze amatorskich zespołów tanecznych. I w piersiach również coś drżało, ale to nie miało już chyba nic wspólnego z zapachem — zdawał sobie z tego sprawę.

Charkewicz został o dziesięć kroków z tyłu. Nie można się było śpieszyć; Amiradze powinien iść wolno, pewnie stawiać nogi, jak przystoi wartownikowi. Kto wie, może w tym czasie, zanim on dojdzie do końca, zjawi się tam jeszcze ktoś, kogo trzeba będzie usunąć po cichu, tak jak usunęli tych dwóch.

Kowalczyk był już daleko w tyle. Kiedy się spotkali, Charkewicz kazał mu biec do swoich i przekazać Rudiowi, aby podciągnął swój pluton na górę. Nareszcie potrzebne było już prawdziwe zabezpieczenie bojowe, gdyż im we trzech wypadnie zejść na dół, i z zapory powinien ich ktoś osłaniać.

Amiradze pogwizduje głośno *Katiuszę* i z powagą kroczy naprzód. Z powagą i rytmicznie stawia nogi — oto na razie wszystko, na co go stać. Po krótkim starciu z tym wartownikiem, co pływa teraz w Dnieprze do góry brzuchem, dotychczas jeszcze drżą łydki. Mimo wszystko nieprzyjemna to rzecz — posługiwać się nożem. W ciągu całej wojny raz tylko miał taki wypadek na rozpoznaniu z Cygankowem. Trzeba było też puścić w ruch finkę, ale wtedy Niemiec napadł na niego i w gorączce walki Amiradze nie zauważył nawet, jak go uderzył. Tutaj inaczej — tutaj sam musiał zaatakować, to znaczy działać z rozmysłem i świadomie, a to wymaga napięcia zupełnie innych sprężyn.

Most dudni pod butami Amiradzego: raz, dwa, trzy. Charkewicz słucha uważnie, aby przypadkiem nie przepuścić najmniejszej zmiany rytmu: to jedyny sposób, w jaki się można dowiedzieć, czy Amiradze nie zauważył kogoś przed sobą. W mroku Charkewicz widzi jego niewyraźną sylwetkę, ale dalej już nic nie widać, dalej może zobaczyć tylko Sandra. Rytm jego kroków nie zmienia się, a więc na razie nikogo nie ma...

Najważniejsze — zdążyć odnaleźć ten przeklęty kabel przed zmianą warty. Ale kiedy oni ją zmieniają, diabli ich wiedzą. Mimo wszystko trzeba było to najpierw wyjaśnić i zacząć działać od razu po nowej zmianie. Mieliby wtedy więcej czasu w zapasie. Ale mało to rzeczy trzeba: jakby człowiek wiedział, gdzie upadnie, toby sobie poduszkę podłożył! Gdyby działano „jak trzeba”, to Rud’ nie powinien był się wtrącać i posyłać Chochoła do kanału wentylacyjnego. A do czego by to doprowadziło? Straciłby

kilka godzin, a Niemcy w tym czasie pociągnęliby być może za wyłącznik.

Charkewicz przysuwa się bliżej poręczy i idzie, pochylając się... Jeśli nawet zauważą Amiradzego, nie ma strachu, wiedzą, że na zaporze są wartownicy. Ale jak dostrzegą Charkewicza, wtedy nieszczęście. Wysoki jak tyka i idzie w jednym kierunku z wartownikiem. A wartownicy chodzą w przeciwnych kierunkach, to każdy wie.

Charkewicz przygnał uchem do pomostu i nasłuchuje... Oprócz kroków Amiradzego słyhać jeszcze jakieś dźwięki, a potem głuchy stuk. Widocznie żołnierze Rudia wnieśli na górę karabin maszynowy. Mimo wszystko można by go trochę ciszej postawić na moście. Wałą nogami jak konie, kolka im w bok! Wprawdzie to tylko on słyszy, bo jest jeszcze niedaleko od nich, a w dodatku ucho przyłożył do desek. Niemcy na brzegu nie nasłuchują, to sprawa wartowników, którzy już dzięki Bogu pływają w Dnieprze i nic nie słyszą...

Nareszcie Amiradze dociera do samego końca. Z wysokości ostatniego filara prowadzą w dół drewniane schodki. Zwyczajne schodki, takie jakie stawia się na budowach do podawania cegły na ściany.

Trzeba będzie schodzić po nich. Deski uginają się i kołyszą, rytm jego kroków staje się szybszy. Charkewicz nasłuchuje i serce zamiera z trwogi — przysłyszało mu się, że Amiradze pobiegł.

Stoi, pochyliwszy się, i czeka. Minęła dopiero minuta, lecz jemu się zdaje, że upłynęło znacznie więcej czasu. Nareszcie w oddali znów majaczy niewyraźny cień, kroki stają się rytmiczne i twarde jak dawniej. Amiradze zbliża się: to znaczy wszystko w porządku, przed nimi nie ma nikogo.

Charkewicz czeka, aż Amiradze się zbliży, a potem cicho rozkazuje:

— Przyrowadź wszystkich tutaj... Tylko bez hałasu. Ja będę tutaj czekał.

Amiradze odchodzi, kroki jego oddalają się. Charkewicz zostaje sam. Kładzie się na kratownicy i zastyga bez ruchu. Tutaj trudno go zauważyć, nawet gdyby ktoś przeszedł obok. Ma przed sobą automat, ale cokolwiek by się stało, nie będzie strzelał.

Charkewicz leży sam — teraz on jest na czele całej

dywizji. Tam w górze, ze sto kilometrów stąd, nasze oddziały są już na prawym brzegu, lecz niżej nikt jeszcze nie sforsował Dniepru. A on sforsował, jest już niemal na prawej stronie. Pierwszy żołnierz ze wszystkich armii, co stoją nad Dnieprem, od Dniepropietrowska do Morza Czarnego.... Żaden człowiek nie znajduje się tak blisko wrażeń gniazd, żaden żołnierz. On jeden przeciwko setkom tysięcy bestialskich grabieżców, jeden przeciwko całym armiom.

Dziwne uczucie. Mieszanina dumy i lęku, tak — i lęku. Nie o siebie, o swoje małe życie. Lęku o tę właśnie dumę, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie odczuwał z taką siłą. Pierwszy żołnierz! Nie na odcinku jakiejś kompanii czy nawet batalionu. Setki kilometrów powyginanego jak żelazo po wybuchu zamarłego frontu i tylko on, Charkewicz, na przodzie! Tego trudno było dokonać.

O tym trudno nawet będzie opowiedzieć. Szczególnie jemu — znanemu milczkowi! Nigdy nie potrafił jak należy opowiadać o dużo prostszych rzeczach, a cóż dopiero o takich. Kto to powiedział? Małomówność wypływa z ubóstwa myśli albo też z tego, że słowa są bezsilne, aby wyrazić uczucie lub myśl.

Gdzieś daleko za prawobrzeżnymi wzgórzami wzbija się płomień i ciężko dudni armata. Pocisk gwizdże wysoko nad głową, potem świst ucicha, a za moment głuchy wybuch na prawo od Morgun. Jeszcze moment — i z przodu znów błyska wystrzał, a potem kilka wystrzałów naraz, i wszystko znowu ucicha.

Z tyłu zbliża się Kowalczyk i głośno pogwizduje *Katiuszę*. Niepokoi to Charkewicza — Amirałdze też pogwizdywał ten sam motyw. Lepiej byłoby jakiś niemiecki, jeżeli potrzebne im to dla uspokojenia nerwów. Niemiecki wartownik, a pogwizduje nie wiadomo dlaczego obcy motyw.

Kowalczyk przechodzi obok tym samym miarowym krokiem wartownika. Boże, ile ta ostrożność zabiera czasu! Trzy razy już przeszli, przekonali się, że nikogo nie ma, czego się jeszcze obawiać, gdy tu w każdej chwili może się zjawić rozprowadzający ze zmianą wartowników.

— Szybciej! — rozkazuje Charkewicz, gotowy już do biegu.

— Trzeba zaczekać na chłopców — powstrzymuje go Kowalczuk. — Są już niedaleko. — Ma na myśli żołnierzy Rudia.

— No dobrze — zgadza się Charkewicz. — Idź!

Kowalczuk znów kroczy naprzód. Naturalnie, trzeba zaczekać. Co oni tam we dwóch z Kowalczukiem mogą zrobić? W razie alarmu po prostu zastrzelą ich, i będzie po wszystkim.

Za kilka minut zjawia się Rud' ze swoimi żołnierzami.

— Szybciej! Szybciej! — rzuca Charkewicz i biegnie naprzód.

Słyszy, jak z tyłu ciężko sapie Rud'. Potem zatrzymuje się, gdyż jego żołnierze nie nadążają. Niosą ręczny karabin maszynowy, skrzynki z taśmami i granaty. Rud' coraz przystaje, wymachuje ręką do swoich, dając im znak, aby się nie zatrzymywali, ale oni i tak idą dość wolno.

Kowalczuk jest już przy schodkach. Charkewicz milcząc staje obok niego. Obaj zaglądają przez wyrwę w ścianie ostatniego filara, podobną do drzwi bez listew i framug. Przed nimi tylko ruiny komory wstępnej, za nią mającą wysadzone pomieszczenia siłowni — w mroku przypominają one spalony parostatek oceaniczny.

Nareszcie i Rud' jest już przy ostatnim filarze. Odbiera karabin maszynowy, który ostrożnie podają mu żołnierze z rąk do rąk. Rud' ustawia go na betonowym progu tych pustych drzwi jak w ambraturze fortecy. Żołnierze dobiegają pojedynczo i zajmują dogodne pozycje.

— Wszyscy? — pyta Charkewicz.

— Zdaje się, że wszyscy — odpowiada Rud'.

— A gdzie Sandro?

— Jestem tutaj — prawie nad uchem Charkewicza odzywa się Amiradze.

— No, idziemy! — mówi Charkewicz.

— Nie stukajcie tylko butami po schodach — przypomina Rud'.

Charkewicz nie odpowiada. Nie ma kiedy odpowiadać.

— Chodźmy! — Trąca Kowalczuka w ramię i pierwszy wchodzi na schodki. Ostrożnie wymacuje poprzeczki nabite na deski, aby się nogi nie obsunęły. Wszystko w porządku, schodki skręcają na lewo, tak jak powinno być.

Teraz Rud' staje przy wyrwie w ścianie, gdzie dopiero co stał Charkewicz, i obserwuje. Ci dwaj, co są z Charkewiczem, ostrożnie, ale szybko schodzą. Za chwilę biegną już po betonowej ścianie komory wstępnej. Rud' dobrze ich widzi — na przodzie Charkewicz, za nim Amiradze. Kowalczuka zostawili przy schodkach, aby na wszelki wypadek ich ubezpieczał.

Za prawobrzeżnymi wzgórzami znów odzywa się działo. Dobrze, że strzelają, mimo wszystko zagłusza to kroki, trudniej usłyszeć, że biegną. W świetle krótkich błysków wyłaniają się dziwaczne kontury budynków na prawym brzegu. Rud' nie zauważa, jak wszystko się w nim burzy — ze zmęczenia, ze zdenerwowania, diabli wiedzą z czego. Pochłonięty obserwacją nie interesuje się tym, co dzieje się w nim samym.

Przed nim rodzinne miasto i tych trzech, co już zeszli na jego betonowy grunt.

29

To, co w ciągu ostatnich dni działa się na zaporze, nieuchronnie powinno się było zakończyć przeprowadzą siedemdziesiątej ósmej i kilku sąsiadujących z nią dywizji — niezależnie od tego, czy uda się unieszkodliwić niemieckie miny czy nie. Dotychczas prowadzono tu tylko wojnę nerwów, wojnę ludzkiej wytrzymałości i pomysowości; wszyscy zdawali sobie sprawę, że napięcie to koniec końców skończy się otwartym starciem wielkich żołnierskich mas, i ci, co nie brali bezpośredniego udziału w rozpoznaniu na zaporze, przygotowywali się do skoku przez Dniepr, jak tylko będzie wiadomo: udało się ją uratować, czy się nie udało.

Nie spodziewano się tylko jednego — tego, że wypadki potoczą się z taką gwałtowną szybkością.

Z Charkewiczem i jego towarzyszami wszystko mogło się zdarzyć. Ich osobisty los, jak i skutki ich działalności zależały nie tylko od nich, lecz i od wielu innych okoliczności. W każdej chwili mógł zjawić się na zaporze rozprawdzający z nową zmianą wartowników i wykryć, że poprzednia zmiana znikła bez śladu. Charkewicz lub Amiradze mogli się nieostrożnie poruszyć, zdradzić się

i wywołać alarm w nieprzyjacielskim obozie. Wreszcie, gdyby się nawet nic takiego nie stało, mogli oni po prostu nie znaleźć kabla prowadzącego do min — przecież trzeba go było szukać w nocy, w dodatku jeszcze w pośpiechu... Teraz, kiedy decydowały już nie godziny, lecz każdy poszczególny moment, i wszystko zależało nie tylko od słusznego czy niesłusznego pomysłu, lecz od każdego ostrożnego czy nieostrożnego kroku, dywizja powinna być w pełni gotowa, aby zacząć aktywne działania, jak tylko nadejdzie rozkaz.

Co prawda okoliczności tak się złożyły, że Szumakow miał jeszcze trochę dodatkowego czasu. Gdyby na zaporze wybuchnął ładunek, z przeprawą trzeba by wszystko jedno poczekać, dopóki nie opadnie wzburzona woda, co runie z góry przez nową wyrwę. A gdyby nawet do nieszczęścia nie doszło, mimo to nie wolno na ślepo puszczać ludzi na wodę: Niemcy mogą celowo zatrzymać rękę na wyłączniku, aby włączyć go wtedy, jak oddziały dywizji zaczną się już przeprawiać, i zniszczyć je łatwo przy pomocy tej samej wody, co runie z góry.

Ale i w jednym, i w drugim wypadku czekanie nie pójdzie na marne. W tym czasie należy unieszkodliwić stanowiska ogniowe na pierwszej linii i na najbliższych tyłach nieprzyjaciela. W ciągu ostatnich dni Niemcy nieczęsto strzelali, ale każdy wystrzał był bacznie śledzony przez naszych obserwatorów, starano się możliwie jak najdokładniej określić, skąd pada. Zdobyte w ten sposób wiadomości nanoszono na zbiorczą mapę umocnień bojowych na prawym brzegu, która leży na stole przed Szumakowem.

Kiedy Sztukarenko zapukał do drzwi, Szumakow siedział właśnie nad tą mapą. Za nim stał podpułkownik Lemieszko i spoglądał przez ramię dowódcy dywizji na stół. Zobaczywszy na progu Sztukarenkę, Lemieszko stanął na baczność. Nie przywitawszy się, Sztukarenko przestąpił próg i krótko powiedział:

— No, już po wszystkim. Charkewicz na prawym brzegu.

Szumakow był zdumiony tą wieścią.

— Siadaj. Słucham cię.

— Jak się to mówi, szczegóły w liście — uśmiechnął się Sztukarenko. — Nie mamy czasu.

Oczywiście, jeżeli tak, to teraz nie czas na epizody bojowe. Z kilku zdań Szumakow zrozumiał najważniejsze. Nie odwracając twarzy do szefa sztabu, który stał za jego plecami, Szumakow rozkazał:

— Wszystko zgodnie z poprzednim planem. — I nie czekając na regulaminowe pytanie, dorzucił: — Wykonujcie.

Jak tylko podpułkownik wyszedł, Szumakow podniósł słuchawkę i poprosił, aby natychmiast obudzić dowódcę armii. Trzeba było poczekać. Szumakow zakrył słuchawkę dłonią i cicho zapytał Sztukarenki:

— Jak też im się udało tak szybko?

Sztukarenko rozumiał, że wyjście Charkewicza na prawy brzeg nie daje jeszcze całkowitej pewności, że miny unieszkodliwione. Ale sam fakt przeprowadzenia się przez zaporę, w co, jak się domyślał, Szumakow nie wierzył, cieszył go jak osobiste zwycięstwo. Sztukarenko uśmiechnął się wieloznacznie.

— Udało się. A ty jak myślałeś?

Ledwo dostrzegalny ironiczny uśmiezek Sztukarenki powiedział Szumakowowi więcej, niż można było przypuszczać. To jego naiwne szyderstwo tak go rozbawiło, że nie domagał się szczegółów.

Obaj — i Sztukarenko, i Szumakow — dalecy byli od tego, aby na progu nadciągających wydarzeń chociażby w myślach robić jeden drugiemu wyrzuty za to, że w starciu, w którym dążyli do tego samego celu, jeden miał rację, a drugi się pomylił. Zresztą czy któryś z nich miał rację, teraz jeszcze nie można było na pewno powiedzieć, bo to zależało tylko od sukcesu lub niepowodzenia grupy Charkewicza. A mimo to, choć bez złośliwości, obu im przemknęła przez głowę myśl o tym, i dwa ledwo dostrzegalne uśmiechy, które przedarły się przez napięcie tej decydującej chwili, były dowodem tego, że ludzie zawsze są skłonni do jakiejś dziecinnej gry, która wynika z samolubstwa — nawet wówczas, gdy wydarzenia mają ich pochłonąć całkowicie i postawić przed wyborem, który będzie wymagał nie tylko całkowitej jedności, ale i wspólnych ofiar.

W słuchawce zachrypiał głos dowódcy armii. Wyciągnięto go z łóżka, a że był człowiekiem starszym i niezdrowym, niezupełnie ocknął się jeszcze ze snu. W głosie

wyczuwało się niezadowolenie, a nawet rozdrażnienie. Ale już po pierwszym zdaniu Szumakowa chryпка znikła, a głos zabrzmiał metalicznie.

Dowódca armii również się nie spodziewał, że na zaporze sprawa tak szybko się posunie naprzód, rozumiał jednak, że jeśli nie dziś, to jutro nadejdzie moment, kiedy trzeba będzie rozpocząć działania. Armia była już do tego całkowicie przygotowana i wysłuchawszy meldunku dowódcy dywizji, generał pułkownik powiedział prawie to samo, co Szumakow swojemu szefowi sztabu:

— Wszystko zgodnie z projektem rozkazu. — I dodał: — O wydarzeniach na zaporze meldujcie co piętnaście minut.

Sztukarenko siedział w napięciu i usiłował dosłyszeć, co odpowiada na słowa Szumakowa generał pułkownik. Nie zważając na to, że w ostatnich dniach musiał głównie śledzić grupę zwiadowców, która działała na zaporze, orientował się we wszystkich przygotowaniach dywizji, którymi kierował Szumakow, i podczas gdy dowódca dywizji rozmawiał z dowódcą armii, wyobraźnia jego zapełniła się widokiem znajomych pułków i pododdziałów. W głębi zatrzepotał się nerw, który zawsze odżywał w chwilach poprzedzających ważne wydarzenia. Ani lata, ani niemałe już doświadczenie zdobyte na wojnie nie przytępiło tego czułego nerwu, który zawsze w decydujących momentach wywoływał krótkotrwałe wprawdzie, ale gwałtowne wzburzenie.

Szumakow odłożył słuchawkę, ale ręki z niej nie zdjął. Milczał, widocznie usiłował pohamować trzepotanie takiego samego nerwu także u siebie i równocześnie uporządkować myśli.

— No tak — podsumował to, co zdążył przemyśleć, i wstał. — Ty prowadź już do końca sprawę na zaporze.

— Tak jest, Iwanie Siemionowiczu.

— Nie zapominaj: ja co piętnaście minut powinienem składać meldunek.

— Rozumiem. Jak tylko dotrę na miejsce, natychmiast zadzwonię.

— Czekam.

Sztukarenko wyszedł. Nadeszła chwila, kiedy ich nic nie dzieliło i obu można było nazwać dwoma częściami jednej istoty.

Szumakow otworzył drzwi. Hołoborodko siedział za stołem i z głową na papierach spał. Dowódca dywizji podszedł do adiutanta, ale ten się nie ocknął. Szkoda go było budzić — okrągła twarz, usiana miedzianymi piegami, rozplywała się w błogosławionym spokoju, ledwo widoczne, niczym wypłowiałe na słońcu brwi opuściły się, twarz zdawała się smutna jak u dziecka, które już, już gotowe jest zapłakać.

Szumakow dotknął ramienia lejtenanta. Hołoborodko nieprzytomnie zamrugał oczyma i raptem podskoczył.

— Wybaczcie, towarzyszu pułkowniku.

— Połączcie się z majorem Tereszczenką i przekazcie mu, że nabiera mocy rozkaz numer sto dziewięćdziesiąt trzy.

— Tak jest!

— Później połączycie się z samodzielnym dywizjonem artylerii i powiecie, że wszystko gotowe. Obudziliście się?

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku!

— Ja jestem u szefa sztabu.

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku!

— Wykonujcie.

Szumakow wrócił do swego pokoju, narzucił płaszcz na ramiona i wyszedł na podwórze. Na dworze był mróz, wiał ostry zachodni wiatr. Szumakow otulił się szczelniej i przytrzymując od wewnątrz poły płaszcza, poszedł ulicą do budynku szefa sztabu. Wokół panowała cisza. Przystanął na chwilę i nasłuchiwał. Od strony zapory też nie było nic słyhać — żadnego wystrzału. Tak bywa przed burzą, kiedy przyroda przycicha w oczekiwaniu na wewnętrzny wstrząs, który obudzi jej pierwotną, nieujarzmioną siłę i gniew.

30

W dole, pod górą gruzu, jaka została po ścianach hali turbin, wiatr nie dokuczał tak jak na górze — śnieg zatrzymywał się i pokrywał ziemię szczelną warstwą. Z ogromnej wysokości, z jakiej Rud' prowadził obserwację, widać było dobrze dwie malutkie postacie. Trzeciej — Kowalczuka — nie widział, ale domyślał się, że przyczał się on w dole, za ścianą komory wstępnej, przy

wielkim stosie drzewa. Dwaj pierwsi biegli przez kwadratowy placyk, zlewając się z szarym tłem zburzonej ściany siłowni. Teraz już z góry prawie nie można ich było zobaczyć, ale Rud' z takim napięciem wpatrywał się w ciemność, że mimo to ani na moment nie tracił ich z pola widzenia.

Kabla można było szukać i bliżej — tam, gdzie został Kowalczyk, ale przed wejściem do zapory drut bezsprzecznie powinien być zakopany i aby go znaleźć, trzeba byłoby przynajmniej poświecić latarką. I Rud' rozumiał, dlaczego Charkewicz odważył się na największe ryzyko i udał się z Amiradem aż do na pół zrujnowanej ściany, za którą w podziemiach mogli być Niemcy: wyłącznik, na którym spoczywała nieprzyjacielska ręka, najprawdopodobniej znajduje się w podziemnych pomieszczeniach siłowni, a więc kabel może wychodzić na powierzchnię właśnie stamtąd.

Rud' usiłował śledzić każdy ruch zwiadowców, ale na pewno nie wiedział, czy widzi ich naprawdę, czy tylko mu się tak zdaje. Od ogromnego napięcia zatrzymały się i zastygły myśli, jak gdyby cały obrócił się we wzrok, i jedyne, czego się obawiał, było to, żeby nie stracić z pola widzenia tych dwu cieni.

Pierwszy cień pełzał wolno po szarym tle — był to Charkewicz. Powoli przesuwał się on do końca ściany, aby wyrzeć za róg. Tam były drzwi do piwnicy: pamiętał, że były umieszczone głęboko w dole, a więc mogły ocaleć; to było to samo wejście, przez które kiedyś wchodził do hali turbin, jak trzeba było przejść tam z zapory.

Człowiek, który działa w niebezpiecznych okolicznościach, nie przeżywa swych czynów tak głęboko i trwożnie jak ten, co obserwuje z boku jego działanie. Może dlatego, że nie ma czasu zastanawiać się i w ten sposób pozbawiony jest możliwości oceny rozmiarów niebezpieczeństwa, a może dlatego, że pierwszy krok jest już zrobiony i wahania już są poza nim — teraz zostaje jedno. — naprzód.

Wygładając zza rogu, gdzie nieprzyjaciel mógł go łatwiej zauważyć, Charkewicz wcale nie zmienił się w kłębek nerwów; zwykła ocena sytuacji, na tyle trzeźwa, że mogłaby wydać się dziwna każdemu postronnemu obserwatorowi, nakazywała mu działać właśnie tak, a nie

inaczej, działać dokładnie i bezbłędnie, gdyż najmniejsza omyłka w tych okolicznościach oznaczałaby śmierć.

Nie pomyślał on ani o tym, że zupełnie blisko, po prostu po drugiej stronie ulicy, powinna być Ksenia, ani nawet o tym, że zaraz może się spełnić albo zginąć to wszystko, dla czego on żył w ciągu tych wszystkich dni; róg ściany, a za rogiem oświetlona mdłym blaskiem księżycy ta sama ściana, i kilka kroków dalej — drzwi, przez które łatwo można usłyszeć, co się dzieje tam wewnątrz... Był to taki stan ludzkiej duszy, kiedy jeden staje się bohaterem, a drugi tchórzem, jeden rycerzem, a drugi nikczemnikiem, zależnie od tego, co w nim zostaje, kiedy szaty konwenansu opadają i odsłania się naga jaźń.

Charkewicz przemknął za róg, gdzie księżyc, chociaż zamglony, mimo wszystko świecił — ze szczytu zapory widać go było zupełnie wyraźnie. Rudiowi aż dech zaparło, ręką mimo woli sięgnął po granat, wiszący mu u pasa z lewej strony i ścisnął go tak, jakby usiłował zmiażdżyć chropowatą stal zdrętwiałymi palcami.

Charkewicz zamarł przy drzwiach. Pamiętał, że otwierają się one w jego stronę, i gdyby ktoś wyszedł z pomieszczenia, zasłoniłyby go. Co tam jest wewnątrz, za drzwiami, i czy można przejść jeszcze trochę wzdłuż ściany, do miejsca oświetlonego mlecznymi promieniami księżycy? Jeśli kabel jest na tej ścianie, tam łatwiej można go zauważyć.

Za drzwiami rozległ się stłumiony głos i Charkewicz usłyszał:

— Feuer!

Natychmiast po tym zagrzmiał armatni wystrzał — strzelano prawdopodobnie z prawobrzeżnych pagórków. Komenda powtórzyła się, za chwilę zabrzmiał jeszcze jeden wystrzał, i Charkewicz domyślił się, że w pomieszczeniu siedzi Niemiec korygujący ogień i przez telefon przekazuje poprawki obsłudze baterii.

To go nie interesowało. Jemu potrzebny był kabel i tylko kabel. Na piersiach wisiał automat — na wszelki wypadek, gdyż strzelać i tak nie mógł w żadnym razie. Główną bronią były wielkie stalowe nożyce, można nimi przeciąć nie tylko gruby kabel, lecz nawet stalowy drut.

Ściana okazała się zupełnie pusta, kabla na niej nie było. Wprawdzie w górze kołysał się jakiś przewód,

ale ten, który potrzebny był Charkewiczowi, powinien schodzić w dół, pod ziemię, a nie wisieć w górze. Postanowił więc wrócić za róg i szukać po nie oświetlonej stronie — bliżej zapory. Lecz jak tylko odwrócił się od drzwi, z pomieszczenia dobiegł tupot podkutych butów po kamiennych schodkach. Tupot szybko się zbliżał, po chwili stało się oczywiste, że z podziemi wychodzi na górę nie jeden człowiek, lecz kilku ludzi. Posuwali się biegiem, przeskakując po parę stopni.

Charkewicz rzucił się z powrotem do drzwi — wiedział, że drzwi go zasłonią. Za moment szeroko się otworzyły i na placyk wysypało się pięciu chłopca. Niemcy zajęci byli jakąś rozmową, głośno się śmiali i przeszli obok, nie spojrzawszy nawet w stronę Charkewicza, który przyczaił się za drzwiami.

Domyślił się, że to nie nowy skład wartowników idących zmienić tych, których już nie ma na zaporze. Gdyby to byli wartownicy, to szliby we trzech — dowódca warty i dwaj żołnierze — i nie śmialiby się, lecz przeszli w milczeniu marszowym krokiem.

Żołnierze wesołą hurmą ruszyli w kierunku zapory i Charkewicz zląkł się nie o siebie, lecz o Kowalczuka, który tam został. Niemcy tylko jego mogli zauważyć, gdyż Charkewiczowi nietrudno było wycofać się pod osłoną cienia, gdzie za rogiem stał Amiradze, i tam przeczekać, aż oni wrócą z powrotem do pomieszczenia lub wejdą na zaporę, gdzie po cichu załatwią się z nimi żołnierze Rudia.

Śmiech szybko się oddalał. Charkewicz przemknął pod ścianą i zatrzymał się za rogiem. Dał znak Amiradzemu — Sandro odszedł jeszcze dalej, schował się za drewnianą szopę. Za chwilę Charkewicz także już był za szopą; przystanął ciężko dysząc i zaczął obserwować.

Rud' zobaczył Niemców, kiedy otworzyły się drzwi i uderzyło stamtąd w ciemność sine światło zamaskowanej lampy. Przedtem wyraźnie rozróżnił sylwetkę Charkewicza przy wejściu, i kiedy Niemcy wysypali się na ulicę, zląkł się o niego.

Ale Niemcy wciąż szli wesołą hurmą i zbliżali się do schodków, które prowadziły tam, gdzie stał Rud'. Niepokój ogarnął go z taką siłą, że raptem zupełnie stra-

cił nad sobą władzę. Nie przyszło mu nawet na myśl to, co Charkewicz od razu zrozumiał, i Rud' był przekonany, że na zaporę idzie właśnie nowa zmiana warty. To znaczy, że nie uda się przeciąć kabla i odejść cicho, tak jak najpierw przewidywano, i trzeba będzie albo podjąć walkę, albo odejść nie wykonawszy zadania, zostawiając na prawym brzegu Charkewicza i jego towarzyszy.

Rud' był zupełnie zdezorientowany. Z takiej odległości nie mógł dokładnie określić, ilu żołnierzy zbliża się do niego; hałas, jaki wszczynali, sprawiał wrażenie, że jest ich więcej, niż było w rzeczywistości, i nie wątpił już, że rachuby na to, że wartowników będzie tylko trzech i że uda ich się zlikwidować po cichu, zawiodły.

Niemcy podeszli do sągu, za którym przyczał się Kowalczyk. Jeden z nich opowiadał coś głośno i po każdym jego zdaniu śmiech wybuchał z nową siłą. Ktoś zapalił zapalniczkę i nad malutkim płomykiem pochyliło się kilka twarzy z papierosami w zębach. Rud' wyciągnął stąd wniosek, że zatrzymali się, aby zapalić nim wejść na zaporę.

Trzeba natychmiast podjąć decyzję. To, że Niemcy zatrzymali się przy sągu, nie naprowadziło go na myśl, że może właśnie przyszli po drzewo, a nie po to wcale, aby całą watahą wchodzić na zaporę. Ale Rud' nie był w stanie zastanawiać się — przed nim byli Niemcy, którzy, jak był przekonany, wejść zaraz na zaporę, zmuszą go do podjęcia walki i odetną grupę Charkewicza, od której wszystko zależało. Strach i zaskoczenie pozbawiły go przytomności. I jak tylko zgasł płomyk zapalniczki i w ciemnościach zamigotało kilka papierosów, rzucił w dół granat, zapominając nawet o tym, że gdzieś obok Niemców przyczał się również Kowalczyk.

Jak tylko przebrzmiał wybuch, Charkewicz zrozumiał, że stało się nieszczęście. Nie wiedział, że to Rud' rzucił granat i że to w ogóle rzucił ktoś ze swoich, ale przecież sam wybuch niemal tuż przy wejściu do pomieszczenia będzie sygnałem alarmu dla załogi ochraniającej siłownię. Za moment z pomieszczenia wysypią się wszyscy, którzy tam są... Operacja spalona raz na zawsze.

Szarpnął Amiradzego za rękaw i wybiegł ze swego ukrycia. Pod zaporą jęczeli ranni. Dwóch mignęło na tle ściany, usiłując przeskoczyć do pomieszczenia siłowni. Amiradze ściał obu. Teraz należało jak najprędzej przebiec placyk i dostać się na schodki, zanim Niemcy po alarmie wyskoczą z podziemi siłowni.

Kowalczuk leżał na śniegu, trudno było powiedzieć — ranny czy martwy. Chwycili go za ręce i powlekli. Dopiero na schodkach zajęczał cicho i próbował stanąć na własnych nogach. W tej chwili z dołu gwizdnęła seria i Kowalczuk raptem znów się pochylił i ciężko zawisnął na rękach Charkewicza i Amiradzego.

Z dołu bił karabin maszynowy i kilka automatów. Obejrzawszy się, Charkewicz zobaczył, jak na jednym z parapetów w na pół zburzonej ścianie siłowni błyska płomynek karabinu maszynowego. Z góry sypały się drobne kamyki, Niemcy bili po wierzchołku filara, usiłując odciąć im drogę. Zawrócić nie można; przystanąwszy za zakrętem na schodkach, Charkewicz nie wiedział, dokąd się udać. Trzymał jedną ręką teraz już martwego Kowalczuka. Amiradze chwycił automat, zamierzając puścić serię w ten karabin maszynowy. Ale od razu zrozumiał, że tylko się zdradzi, i postanowił nie strzelać.

Naraz Charkewicz przypomniał sobie, że gdzieś tutaj powinien być też otwór wentylacyjny.

— Za mną! — krzyknął i pociągnął za sobą ciało Kowalczuka.

Ciężko dysząc, powlekli towarzysza wyżej. Teraz już i na zaporze zaterkotał karabin maszynowy: bili stamtąd żołnierze Rudia, próbując zdławić niemiecki ogień i umożliwić grupie Charkewicza przedostanie się na zaporę. Ale za późno się ocknęli, Niemcy już nie tylko wybiegli z pomieszczenia, lecz i zajęli dogodne pozycje, i Rud' nie mógł nic zdziałać. Odezwały się także inne karabiny maszynowe już z samego osiedla. Ogień wciąż się wzmagał i Charkewicz zrozumiał, że nie ma możliwości przedarcia się na górę.

Namacał niewielką wyrwę w ścianie — był to otwór wentylacyjny. Pozostawało jedno — wejść do środka: przeczekać albo i na wieki tam zostać.

Cały dzień minął od czasu, jak Jaroszenko i Kuźma Iwanowicz przybili do zapory. Teraz już znów była noc, a oni wciąż jeszcze siedzieli na swojej wątlej tratwce, osłonięci przed okiem wroga grubymi betonowymi występami, które zaczynały się gdzieś w górze i znikały pod wodą. Tutaj było bezpiecznie — zauważyć ich można chyba tylko ze środka Dniepru.

Po ciężkiej całonocnej walce z prądem, który niósł ich wprost na zaporę i groził wciągnięciem w przepusty denne, obaj czuli się tak wyczerpani, że gotowi byli ze wszystkim się zgodzić. Ale ocalenie przyszło niespodziewanie: tak samo jak przedtem nad zatopionym kamieniołomem, kiedy to wir odrzucił ich w bok na jakimś zakręcie, teraz również ich odrzuciło i znaleźli się na spokojnej wodzie, która wprawdzie znosiła ich w dół, ale z mniejszą szybkością. Łatwo się było domyślić, że zaporą już blisko i że to ona wstrzymuje prąd.

Teraz mogli trochę odpocząć. Dokoła pływało mnóstwo różnych rupieci, naniesionych tutaj przez prąd. Bliżej zapory woda była prawie zupełnie pokryta belkami i deskami. Trzeba je było rozsuwać, aby utorować sobie drogę. Zatrzymywało to tratwę na widoku, ale oni nie narzekali, gdyż rozumieli, że właśnie to rupiecie w dzień ratuje ich przed okiem wroga — zauważyć ich pośród tego wszystkiego, co pływa dokoła, było bardzo trudno.

Cały dzień przeleźli przytuleni do mokrych desek tratwy. Nad Jeziorem Lenina wisiała mglista zasłona. Nieprzyjacielski brzeg był blisko, chciało się wstać i rozejrzeć dokoła, ale nie można się było poruszyć, aby przypadkiem nie zauważono ich z zapory.

Obaj zdawali sobie sprawę z tego, że nie ma żadnej możliwości wydostania się stąd, i uratować ich może chyba tylko cud. Ale ustosunkowali się różnie do sytuacji, w jakiej się niespodziewanie znaleźli. Jaroszenko nieraz już bywał w położeniu bez wyjścia. W jesieni czterdziestego pierwszego roku, kiedy usunięto straż z siłowni i on wraz z dziesięcioma towarzyszami trafił do niewoli, na wyrwanie się z tamtego piekła także nie było nadziei.

Ale tam była przestrzeń — było się gdzie ukryć, było u kogo wyprosić kawałek chleba. A co będą jeść tutaj, jeżeli długo wypadnie czekać?

Kuźma Iwanowicz znalazł się pierwszy raz w życiu w takiej sytuacji. Cud, na który liczył Jaroszenko, chociażby tylko dlatego, że już kiedyś się tak uratował, wydawał się profesorowi literatury zachodniej iluzją, na której on nie mógł polegać. Podupadł zupełnie na duchu, chociaż nie skarżył się i nie robił Jaroszence wyrzutów.

Po prostu leżał bez słowa i rozmyślał, udając, że drzemie.

Za to, co się stało, obwinał właściwie tylko siebie. Od razu przecież miał wątpliwości, kiedy po otrzymaniu broni Jaroszenko wytłumaczył to jako rozkaz dowództwa. Lecz nie odważył się wyrazić swych wątpliwości, aby Jaroszenko przypadkiem nie pomyślał, że profesor jest tchórzem. O dwadzieścia lat starszy, obowiązany był przestrzec młodszego, ale Kuźma Iwanowicz strofował siebie teraz bez specjalnej złości — nie lubił się popisywać mądrością po szkodzie, zresztą nie miał nawet sił, aby się naprawdę gniewać.

Nadeszła znów noc. W ciągu dnia ubrania trochę podeschły i zrobiło się nieco cieplej. Bez strachu można się było poruszyć i rozprostować zdrętwiałe ciało. Jaroszenko usiadł, zdjął buty i zaczął przewijać onuce.

Wokoło była cisza. Szum wody przedzierającej się przez przepusty daleko z boku prawie zupełnie tłumiała betonowa ściana zapory. Gdzieś z lewa odzywały się z rzadka krótkie serie lub pojedynczy wystrzał, i znów wszystko się uciszało, jakby w pobliżu nie było żadnej wojny.

— No nic, jakoś to będzie! — podsumował swoje rozmyślenia Jaroszenko.

Dopiero teraz Kuźma Iwanowicz naprawdę się rozgniewał: w słowach Jaroszenki wyczuwało się nadzieję właśnie na ten cud. Gotów był wygarnąć Jaroszence wszystko, co nagromadziło się w sercu, ale w tej chwili na górze rozległ się ciężki tupot: ktoś biegł po drewnianej nawierzchni poddźwigowego mostu. Nawet z takiej odległości można było rozpoznać, że biegnie nie jeden człowiek, lecz kilku.

Obaj zastygli i zaczęli nadśluchiwać. Jaroszenko odruchowo chwycił automat zawieszony na szyi, chociaż nie miał zamiaru strzelać. Nie przyszło mu na myśl, że na moście są swoi, był przekonany, że na górze Niemcy. Ale dlaczego oni pobiegli? Co ich tak spłoszyło? Gdyby się wycofywali, to tylko pod naciskiem, to znaczy pod ogniem z lewego brzegu... Dokoła jednakże była cisza, nikt nie strzelał. Zastanowiwszy się, Jaroszenko doszedł do wniosku, że bieganina ta nic specjalnego nie oznacza. Zwyczajna zmiana pododdziału i dowódca widocznie wydał komendę „biegiem”. Spieszą na odpoczynek, a może dowódca obawia się, że jeśli żołnierze będą iść wolno, to mogą usnąć.

Ale właśnie ten wypadek na górze nasunął mu niespodziewaną myśl. Przypomniał sobie raptem o otworze wentylacyjnym, który w dzień widział prawie nad swoją głową. Jakoś wtedy nie wpadł na pomysł, że można spróbować ukryć się tam. Jak się rozwidni, trzeba się koniecznie rozejrzeć, czy nie ma jakiegoś sposobu, aby się dostać do niego, a następnej nocy spróbować: może się uda.

Myśl ta dodała Jaroszence otuchy, ale na razie nic o tym nie mówił. Obaj wciąż jeszcze słuchali w napięciu. Kroki na górze przebrzmiały i znów zaległa cisza.

— W dzień popatrzymy, to może i coś zobaczymy — szepnął Kuźmie Iwanowiczowi prawie to samo, co mówił przedtem.

Kuźma Iwanowicz teraz już się nie rozgniewał. Na górze coś się działo, a więc i ich położenie mogło się także zmienić. Na gorsze czy na lepsze — nie wiedział, zresztą nawet o tym nie myślał.

I naraz po drugiej stronie zapory rozerwał się granat. Po tej stronie wybuch brzmiał głucho, ale Jaroszenko poznał ten dźwięk i zrozumiał, że tupot na górze nie był przypadkowy, gdyż, jak wiedział z własnego doświadczenia, granatów nie rzuca się bez powodu.

Nad Jeziorem Lenina przetoczył się grzmiący odgłos, jakby noc niespodziewanie ożyła i ciemność zakołysała się, szarpnięta odbłyskiem niewidzialnego wybuchu.

Granat jeszcze nie doleciał do ziemi, a Rud' już zrozumiał, co narobił. W oślepiającym błysku wybuchu wyraźnie zarysowały się kontury ruin siłowni, a potem usłyszał krzyki rannych i tupot butów tych dwu Niemców, co próbowali uciekać. Trzasnęła seria spod ściany siłowni, i znów wszystko ucichło. Za chwilę z pomieszczenia zaczęli wybiegać Niemcy, a jeszcze za chwilę z dachu jakiegoś budynku zaterkotał karabin maszynowy.

Usłyszawszy to terkotanie, Rud' dopiero teraz się opamiętał. To, że granat rzucił właśnie on sam, boleśnie go zdumiało, jakby mózg dopiero teraz to sobie uświadomił. Po co on go rzucił? Dlaczego? Teraz nie miał czasu zastanawiać się i szukać przyczyn, oszałamiało go jedynie to, że on właśnie rzucił granat i że z tego powodu gdzieś tam został Charkewicz... Właśnie Charkewicz!

Obok, nie czekając na rozkaz, Muchiddinow zaterkotał z erkaemu. A więc żołnierze wiedzą, co narobił, skoro nie czekają, aż da rozkaz, i działają sami. Momentalnie znikło otępienie, jakby seria Muchiddinowa plunęła mu prosto w twarz.

Niemcy ostrzeliwali górną część schodów. Rud' od razu zrozumiał, na czym polega ich przewaga — oni biją po niewielkim szczycie zapory, ześrodkowują się tylko na niej, a sami rozrzucony są na dużej przestrzeni i nie widać ich w mroku.

Trzeba było przede wszystkim zatkać gardziele nieprzyjacielskim karabinom maszynowym.

— Bij po oknie! — krzyknął. — Po oknie!

W mroku trzepotał się płomyk i Muchiddinow skierował tam swój ogień. Lecz w tym momencie uderzył z góry wielkokalibrowy karabin maszynowy, o kilku sprzężonych lufach — widocznie Niemcy skierowali w dół jakiś karabin przeciwlotniczy, umieszczony w pobliżu na dachu. Cztery smugi jaskrawoczerwonego płomienia wyznaczały wyraźne trasy. Ktoś krzyknął i zwałił się obok Rudia — jeden automat umilkł. Podbiegł inny żołnierz — w ciemnościach nie widać który, ale i jego ścięło, po tym jak posłał w odpowiedzi pierwszą serię.

— Wycofuj się! — zawołał Rud' do Muchiddinowa i wybiegł na most.

Dwaj żołnierze, pochyliwszy się, podbiegli i razem z Muchiddinowem wynieśli erkaem. Inni nie przestawali strzelać z automatów, ale ich krótkie serie tonęły w jazgocie niemieckiego karabinu przeciwlotniczego, który bił niemal bezustannie.

Z dołu dobiegło szybkie tupotanie butów po schodkach. Rudiowi przemknęła myśl, że to Charkewicz i jego towarzysze. Trzeba poczekać, aby przypadkiem nie postrzelić ich, kiedy pojawią się na szczycie.

— Nie strzelać po schodach — zakomenderował Rud'.

Ale ciemne postacie, ledwie zjawiły się na górze, bluznęły w nich ogniem. Niemcy, a nie Charkewicz, przemknęło Rudiowi przez głowę. Na zaporę spadł granat i głośno wybuchnął na tym samym miejscu, gdzie dopiero co stał Rud'. Z żołnierzy tylko jeden nie zdążył się wycofać. Upadł. Rud' stał już za ścianą i nie dosięgnęło go.

Teraz było na pewno wiadomo, że grupa Charkewicza albo zginęła, albo jeśli się nawet gdzieś przyczaiła, nie uda się jej wyjść. Trzeba ratować resztę ludzi, wyprowadzić ich na drugi koniec mostu i, dopóki nie za późno, przeprowadzić w dół.

Łączności z brzegiem nie było. Rud' nie mógł się zwrócić o pozwolenie na odwrót. Przypomniał sobie jednak, że nie miał również rozkazu bronić się na zaporze, powinien był tylko osłaniać działania Charkewicza i potem, jak on wykona zadanie, razem z nim odejść. I oto trzeba odchodzić, a Charkewicza nie ma, a winien jest on, Rud' — i za ten przedwczesny odwrót, i za to, że Charkewicza trzeba było porzucić na nieprzyjacielskim brzegu...

Z Chortycy uderzyło oślepiające światło reflektora. Promień myszkował po zaporze, potem wymacał most poddźwigowy i pełznął po nim powoli. Za chwilę na wyspie zagrała bateria. Jeden pocisk trafił w korpus zapory i rozerwał się w dole, kilka innych przeleciało nad mostem i wpadło do wody górnej.

Pocisków można się było nie obawiać. Chociaż miejsce wstrzelane, wątpliwe, czy uda się im przez cały czas trafić w sam most. Ale niemieccy fizylierzy, którzy opanowali już pierwszy filar, mogli stamtąd ostrzeliwać zaporę aż do połowy. Reflektor zalewał swoim upiornym światłem całą drogę odwrotu, przestwór nad zaporą stał

się podobny do białego ekranu, na którym miotają się bezradni ludzie.

Rud' przypadł do wilgotnych desek nawierzchni i zaczął bez przerwy bić po szczycie pierwszego filara.

— Wycofywać się! — krzyknął. — Ja będę osłaniał!

Jeszcze dwóch żołnierzy zostało z tyłu; przyczaili się za stalowymi belkami kratownicy. Słysząc było, jak inni po jednym wyskakiwali na most i po kilku krokach padali. Rud' nie wiedział — żywi czy martwi.

Chciał już wydać rozkaz odwrotu i tym dwóm, co zostali z nim, gdy naraz błysnęła mu myśl: Nie, tak szybko nie można odchodzić, trzeba powoli odstępować wzdłuż kratownicy, oszczędzać naboji i wycofywać się jak najdłużej. Da im to szansę, bo zmusi Niemców do ściągnięcia na zaporę jak największej liczby ludzi, a dopóki na górze będzie dużo niemieckich żołnierzy, nie odważą się wysadzić zapory.

Nie mógł już myśleć ani o odpowiedzialności, jaką będzie musiał ponieść za przedwczesne rzucenie granatu, ani nawet o tym, aby wyjść stąd żywym. Przejęty nową ideą Rud' święcie w nią uwierzył. Za wszelką cenę wciągnąć jak największą liczbę Niemców na most, nie porzucać dogodnej pozycji, utrzymać się jak najdłużej.

Z tyłu, nad głową Rudia, zaterkotał znajomy erkaem Muchiddinowa. Dobrze, że chociaż karabin wyciągnęli spod ognia, chociaż broń uratowali. Widocznie teraz stoi on na szczycie filara przy pierwszej drabince. Jak tu przekazać Muchiddinowowi, aby się tak nie starał i jak najdłużej ciągnął? Bije jak opętany i nie pozwala Niemcom skupić się na zaporze.

Rud' cofnął się nieco. Leżał teraz obok jednego z tych dwu, co zostali z nim, aby osłaniać odwrot.

— Jesteście ranni? — usłyszał.

— Nie. A bo co?

— O tu, na policzku. — W świetle reflektora żołnierz wyraźnie widział cieniutką czerwoną strużkę spływającą po policzku lejtenanta.

Rud' podniósł rękę do twarzy i poczuł, że po palcach cieknie coś ciepłego i lepkiego. Ciężką falą rozpełzła się po ciele nudność i mdłość, w piersiach coś osłabło i rozluźniło się.

Automat leżał przed nim, ale trudno go było podnieść. Żołnierz dał krótką serię i przyczołgał się bliżej Rudia.

— Drobnostka. Malutki odłamek. Jak igiełką ukłuło. — Żołnierz znów zaczął strzelać, zupełnie uspokojony.

Ale Rud' już nie miał sił się poruszyć. Żołnierz zauważył, że z lejtenantem niedobrze.

— Co wam jest?

— Nie wiem. Pomóż mi wstać, Tołstikow.

Objął żołnierza za szyję jedną ręką i zawisnął na nim. Nie przerywając ognia, podczołgał się do nich i drugi strzelec. Rud' wisiał na szyi żołnierza ciężki i bezwładny. Oświetleni reflektorem, wyprostowani na cały wzrost, posuwali się wolno wzdłuż żelaznych poręczy. Z prawego brzegu prawdopodobnie było ich dobrze widać, dwa karabiny maszynowe były tuż po ich śladach, ale zapora tutaj lekko wyginała się w prawo i pociski przelatowały bokiem, nie dosięgając ich.

Raptem przed nimi wybuchnął pocisk i Rud' na moment przystanął. Coś ciężko uderzyło go w brzuch, ale bólu nie poczuł. Żołnierz, który ostrzeliwał się z lewej strony, przestał strzelać. Obejrząwszy się szybko, Rud' zobaczył go na środku pomostu skulonego i nieruchomego.

— Szybciej! — krzyknął Rud' na swego ratownika. — Zaraz uderzy jeszcze raz. — Pobiegł naprzód, trzymając się lewą ręką za brzuch, jakby się bał, że mu coś z niego wypadnie.

Ta rana była śmiertelna, nie taka jak tamto draśnięcie na policzku, ale bezwolne osłabienie, jakiego doznał, kiedy poczuł swoją krew na twarzy, raptem rozwiało się. W głowie się rozjaśniło, czuł się nadzwyczaj lekko, jakby zrzucił z siebie nadmierny ciężar i nareszcie może się swobodnie i szybko poruszać. Żołnierz biegł z tyłu i ledwo za nim nadażał, widział, że lejtenant jest ranny w brzuch, ale nie mógł zrozumieć, co się z nim stało.

Drabinka była już blisko — dziesięć kroków, nie więcej. Teraz już łatwo dobiec. Dobiec i zejść na dół, a po drugiej drabince wspiąć się na następny filar na górę. I raptem przemknęło mu przez głowę: drabinki nie można zostawić, ktoś powinien ją odciąć i zrzucić w dół, inaczej skorzystają z niej Niemcy i mogą przeprowadzić się przez

przepaść. Mózg pracował z chorobliwą precyzją, myśli były jasne i pewne, jakby owiane dziwną świeżością.

— Dalej, Tołstikow, złaź!

— A wy?

— Złaź, mówię! — krzyknął z taką siłą, że żołnierz musiał się podporządkować.

Rud' stał nad przepaścią odwrócony do niej plecami, ale wyczuwał, jak żołnierz szybko schodzi. Wciąż jeszcze przyciskał brzuch lewą ręką, a prawą wysyłał jedną po drugiej krótkie serie.

Nareszcie rozległo się ciężkie tupotanie butów w oddali — Niemcy byli już blisko. Rud' schylił się, położył automat i wciąż jeszcze przyciskając lewą ręką brzuch, prawą szarpnął drabinkę do góry. Zwisła luźno, Tołstikow już zszedł na dół.

Rud' szybko wyrwał zza pasa finkę i przeciął najpierw jeden sznur, a potem drugi. Zdawało mu się, że usłyszał, jak drabinka, ocierając się o ścianę filara, spadła na stok.

Teraz zrobił już wszystko. Wszystko, co do niego należało. Niemcy nie przejdą dalej, przynajmniej dopóki nie zawieszą nowej drabinki pod silnym ogniem karabinu maszynowego. Chciał się schylić, aby podnieść automat, ale nieznośny ból przeszył go na wskroś, i gwałtownie się wyprężył. Mimo woli odjął też lewą rękę od brzucha i zamarłszy na moment, krzyknął i runął w dwudziestometrową otchłań.

Część trzecia

OSTATNIA NOC

1

Na pierwszą w nocy Szumakow wezwał do siebie dowódców pułków i podporządkowanych mu samodzielnych oddziałów. Do rozpoczęcia narady zostało jeszcze sporo czasu — Hołoborodce kazał się przespać, a Prychodce podać herbatę.

On sam postanowił się nie kłaść, bo wiedział, że nie zaśnie, a jeśli nawet się zdrzemnie, to i tak obudzi go Sztukarenko, jak tylko wyjaśni się sytuacja na zaporze.

Prychodko milcząc podał herbatę i herbatniki. Na froncie takich herbatników nie było — chrupkie, kruche, oblane czekoladą.

— Skąd wytrzasnąłeś takie? — zdziwił się Szumakow.

— To nie ja — wymamrotał sennie stary — lejtenant gdzieś zdobył, jak wracał z zaplecza.

— Ach tak? — Chciał powiedzieć: „ten wszystko potrafi”, ale powstrzymał się. — Ty, Prychodko, kładź się. Po naradzie będziemy się przeprowadzać na nowe miejsce.

— Tak jest! — tak samo sennie burknął ordynans. — Mogę odejść?

— Idź. Po naradzie cię zawołam.

Szumakow wypił dwie szlanki herbaty, przegryzając chrupkami herbatnikami, potem wyniósł naczynia i postawił na przypiecku. Lejtenant spał na leżance i Szumakow starał się nie brzęknąć, aby go nie obudzić. Miał wielką chęć wyjść na podwórko, odetchnąć świeżym powietrzem, ale w każdej chwili mógł zatelefonować Sztukarenko i Szumakow bał się, że nie usłyszy dzwonka. Wrócił więc do swego pokoju i mimo wszystko położył się na zaścielone łóżko.

W izbie prawie nie było słyhać salw karabinów maszynowych, jakie od czasu do czasu zaczęły się odzywać na prawym brzegu. Tylko niekiedy, jak uderzyły niemieckie armaty, w oknach z cicha brzęczały szybki. Szumakow mimo woli zamknął oczy i czując, że zaraz się zdrzemnie, przemógł się i wstał. W tej chwili zaterkotał brzęczyk — dzwonił Sztukarenko.

Szumakow wysłuchał go w milczeniu i zrozumiał, że stało się to, czego się najbardziej obawiał. Teraz Niemcy na pewno przekręcą wyłącznik i zapora wyleci w powietrze.

— Natychmiast ściągnąć wszystkich ludzi na brzeg — powiedział, kiedy Sztukarenko umilkł. — A ty sam zejdź w pierwszej kolejności. Jasne?

Sztukarenko nie odpowiedział.

— Słyszysz mnie, Stepan?

— Tak, towarzyszu pułkowniku.

— Należało się tego spodziewać — rzucił Szumakow i od razu tego pożałował. Zdał sobie sprawę, że Sztukarenko może wyczuć w jego słowach docinek, chociaż Szumakow nie chciał mu sprawiać przykrości. — Spotkamy się na nowym miejscu za półtorej godziny. Słyszysz?

— Słyszę.

Szumakow odłożył słuchawkę i odszedł od stołu.

A więc stało się. Teraz należy czekać na wybuch. Po-

tem pozwolić, aby woda się przewaliła. Przed świtem można zaczynać.

Piskliwie jęknęły wejściowe drzwi, potem rozległo się ciężkie tupanie — Hołoborodko zeskoczył na ziemię. Szumakow spojrzął na zegarek: dwunasta pięćdziesiąt siedem. Otworzył drzwi — kuchnię zapełniali oficerowie wezwani na naradę.

— Proszę — powiedział Szumakow, stanąwszy na progu.

Wszedł podpułkownik Krawiec — dowódca trzysty czwartego pułku, potężny mężczyzna, o smolistej czuprynie zaczesanej na bok, za nim majorzy Anikin i Tereszczenko. Potem kapitanowie — Gołubowicz i Rojzman — dowódcy dywizjonów artylerii.

Wszyscy usiedli i Szumakow miał już zaczynać, gdy raptem w sieni znów zaskrzyphiały drzwi, po czym w kuchni rozległy się ciężkie kroki i do izby, z głośnym sapaniem, wszedł generał Zotow, którego Szumakow wcale nie oczekiwał. Przybycie generała nie wróżyło nic dobrego, Szumakow od razu domyślił się, co go tu sprowadza. Szef służby inżynierskiej armii nigdy nie przyjeżdżał bez uprzedzenia, a to, że zjawił się wśród nocy i właśnie przed ważnymi wydarzeniami, było nieprzypadkowe.

Na widok generała wszyscy się podnieśli, ale Zotow, nie przywitawszy się nawet, zawołał:

— A wy co, pułkowniku, zwariowaliście?

— Nie rozumiem, towarzyszu generale lejtenancie — odpowiedział Szumakow. Doskonale wiedział, co Zotow ma na myśli, ale ton, jakim szef służby inżynierskiej zwrócił się do niego w obecności podwładnych, uważał za niedopuszczalny.

— Nie rozumiecie... To ja wam wytłumaczę. — Zaczął się rozbierać; ciężko sapiąc, zdjął płaszcz ze swoich okrągłych ramion. Tereszczenko pomógł mu i powiesił płaszcz na gwoździu wbitym w futrynę.

— Ano, dawać mi tu kapitana Soma!

Szumakow wyszedł zza stołu i otworzywszy drzwi zawołał:

— Kapitan Som, jest?

— Melduję się na wasze wezwanie — zameldował Som, który tylko co przyszedł — spóźnił się o parę minut — i w tej chwili miał właśnie zapukać do drzwi i zapytać, czy może wejść.

— Do generała — powiedział Szumakow, nie podnosząc na niego oczu. Wiedział, co się kapitanowi dostanie, i uważał się winnym tego, co się ma stać.

Kapitan Som — dowódca batalionu pontonowego — nie podlegał bezpośrednio Szumakowowi. Jego pododdział wchodził w skład odwodu dowódcy armii, a tylko tymczasowo przydzielony był dowódcy siedemdziesiątej ósmej — jeszcze w czasie, kiedy dywizja zbliżała się do Dniepru, i tak już został w jego dyspozycji.

Wysmukły, szczupły kapitan odruchowo poprawił bluzę i w ślad za Szumakowem przestąpił próg.

— Czy mogę wejść, towarzyszu generale?

— Som — krzyknął Zotow — dlaczego nie zameldowaliście o tym nonsensie z trawerkami? — Generał zaciął się, czując na sobie ostrzegawcze spojrzenie Szumakowa. Z obrzękłej twarzy w stronę pułkownika błysnęły wielkie, nieco wytrzeszczone oczy.

— Pozwólcie zameldować, towarzyszu generale: ja nie mam prawa przeciwstawiać się decyzjom dowódcy dywizji.

— A moim decyzjom macie prawo się przeciwstawiać? — wybuchnął Zotow.

Kapitan Som wiedział, dlaczego generał się złości. Zotowowi, jako szefowi służby inżynieryjnej armii, Szumakow nie zameldował o swoim planie przeprawy rozdrobnionymi grupami przy pomocy własnego wyrobu trawek, gdyż nie był to sprzęt inżynieryjny i Zotow nie miał z tym nic wspólnego. Usłyszawszy skądś o tych zamiarach dowódcy dywizji, generał uznał, że to awantura, za którą nie chciał odpowiadać.

— Toż to partyzantka... jakies' czółna Steńki Razina. W którym wieku wy wojujecie, w siedemnastym czy w dwudziestym? — krzyknął generał.

— Mam odpowiedzieć na to pytanie? — W oczach Szumakowa błysnęła źle ukrywana złość.

Zotow znów zmierzył pułkownika miążdżącym spojrzeniem. Słowa Szumakowa zabrzmiały jak otwarte wyzwanie, i on to doskonale rozumiał.

— Krótko mówiąc, zabraniam — powiedział Zotow cicho, ale stanowczo. I zwracając się do kapitana Soma: — Za godzinę stawicie się u mnie w sztabie armii.

— Czy mogę odejść? — zapytał Som.

— Idźcie — z cichą złością spojrzął na niego Zotow. Kapitan przyłożył rękę do uszanki, odwrócił się i wyszedł.

Zotow usiadł, z trudem opanowując astmatyczną zadyškę. Był chory na serce i nie miał prawa się denerwować. Ale opanowywać się nie potrafił i teraz czuł się niezbyt dobrze.

— Chcieliście im wydać jakieś rozkazy? Proszę bardzo. — Zotow nieznacznie wskazał ręką w stronę oficerów, którzy stali na baczność pod ścianą.

Szumakow rzeczywiście chciał porozmawiać ze swoimi dowódcami przed rozpoczęciem operacji. Ale zdawał sobie sprawę, że w obecności Zotowa nie będzie mógł z nimi rozmawiać tak jak zawsze. Nie miał zamiaru rezygnować ze swego planu przeprawy, a zresztą teraz było to już właściwie niemożliwe. Gdyby więc w obecności generała zaczęło się omawianie szczegółów tego, czego Zotow tak kategorycznie zabraniał, wywołałoby to z jego strony tylko nowe wybuchy gniewu.

— Pozwólcie mi zwolnić oficerów — zwrócił się Szumakow do Zotowa.

— Jak chcecie — burknął generał.

— Możecie się rozejść — powiedział Szumakow zebrany. — Jeśli nastąpią zmiany w poprzednim rozkazie, zostaniecie powiadomieni o tym w odpowiednim czasie.

Zotow nie zareagował na te słowa Szumakowa. Oficerowie po kolei pożegnali się i wyszli.

Szumakow jednak mylnie wytłumaczył sobie obojętność, z jaką zachowywał się Zotow, kiedy on napomknął swoim oficerom, że zmiany w rozkazie są tylko możliwe. I rozkaz wydany kapitanowi Somowi, aby za godzinę się stawił, też niewłaściwie ocenił. Zdawało mu się, że taki rozkaz już sam przez się eliminuje batalion pontonowy z aktywnych działań w przyszłej przeprawie, jeżeli bowiem odwołuje się dowódcę, to i jego pododdział zostaje na uboczu.

— Zdziwiacie mnie, pułkowniku — nieoczekiwanie przyjaźnie, niemal po ojcowsku, odezwał się Zotow. — Słyszałem, że jesteście dobrym kadrowym oficerem. Jakżeż wy nie rozumiecie, że przez swój pomysł wypuszczacie z rąk dowódcze cugle? Ale nie tylko wy — nawet do-

wódcy batalionów pozostaną bez związku ze swoimi ludźmi.

— Czy mogę usiąść? — zapytał Szumakow. Generał skinął i Szumakow usiadł na swoim miejscu. — Aby tylko ludzie byli, towarzyszu generale, to cugle znajdziemy. — Szumakow uśmiechnął się. Przez cały czas stawiał sobie pytanie: „Czego ty, generale, bardziej się boisz — samodzielnego myślenia czy odpowiedzialności za swoje myśli?”

— Jak to rozumiecie?

— Przede wszystkim mój plan pozwoli ocalić wielu ludzi.

— No i jak wy zamierzacie nimi kierować, dacie radiostację na każdą belkę? — uśmiechnął się Zotow.

— Niestety, towarzyszu generale, tego nie mogę zrobić.

— Ach tak! nie możecie! — roześmiał się triumfalnie generał.

— Ale ja myślę, że to nawet niepotrzebne — zauważył Szumakow.

— Widocznie wynaleźliście coś nowego! — schrypniętym głosem podsumował generał, nie przestając się śmiać.

— Nic nowego. Już pod Kijowem, chociaż nie na taką skalę, zastosowano tratwy...

— Nie gorzej od was wiem, co i gdzie stosowano — przerwał mu Zotow. — Ale, po pierwsze, sami mówicie, że nie na taką skalę, a po drugie Dniepr tam węższy od Jeziora Lenina i przeprawa trwała dużo krócej, niż będzie trwać tutaj. To zupełnie co innego zostawić żołnierzy bez dowodzenia na pół godziny, a co innego... — znowu zasał się, jakby wchodził na stromą górę, i umilkł.

— Ja jestem pewien, że jeśli żołnierz zrozumiał sens zadania i uwierzył w powodzenie operacji — kontynuował Szumakow — będzie działał sam w interesie wspólnej sprawy. — Szumakow raptem przypomniał sobie Kołomijca i z przyjemnością stwierdził, że niemal dokładnie powtórzył jego słowa.

— A po co my tu jesteśmy? — mruknął Zotow.

— W tym wypadku po to, aby wyjaśnić każdemu żołnierzowi sens przyszłego manewru... zmusić go, aby uwierzył w słuszność wspólnego działania. Z góry, na długo przed rozpoczęciem operacji — sprecyzował Szumakow.

Zotow pomilczał, potem wstał.

— No, gołąbeczku, coś wam powiem! A więc w trze-

cim roku wojny doszłście do całkowitego zaprzeczenia decydującej roli dowódcy!

— Wy mnie niewłaściwie zrozumieliście, towarzyszu generale. — Szumakow również się podniósł.

Zotow przenikliwie wpatrywał się w Szumakowa, jakby usiłując zgłębić, co się w nim kryje.

— Czytaliście Clausewitza? — zapytał w końcu.

— Pozwólcie zameldować, towarzyszu generale: studiowałem nawet.

— Słabo studiowaliście — odciął się Zotow, gotów już, już wybuchnąć.

— Możliwe.

— To ja przypomnę wam jego słowa: armia to ilość bagnetów pomnożona przez jakość oficerów.

— Czas wnosi niekiedy poprawki i do mądrości geniuszów, towarzyszu generale — uśmiechnął się Szumakow.

— A okoliczności też różne bywają.

To brzmiało jak otwarte wyzwanie, ale Zotow udał, że nie zrozumiał. Wstał i wziął swoją papachę.

— Słyszeliście moją decyzję. Ja nie pozwolę wam zerwać dzisiejszej przeprawy. Musi ona przebiegać sprawnie, obojętnie jakim kosztem.

— Całkowicie zgadzam się z wami. Ja staram się tylko, aby te koszty były jak najmniejsze.

W wypukłych oczach Zotowa błysnął gniew. Wbił wzrok w Szumakowa i akcentując każde słowo, oznajmił:

— Ja nie mam zamiaru odpowiadać za was. Jak nie podporządkujecie się rozkazowi, oddam pod sąd.

Jeden stawia mnie już za coś przed sądem, stawiaj jeszcze i ty, pomyślał Szumakow, ale na głos powiedział:

— Za dywizję ja odpowiadam, towarzyszu generale, i za swoje czyny, i za wykonanie rozkazu sztabu armii również.

Zotow chwycił czapkę i rzucił się do futryny, na której wisiał jego płaszcz. Szumakow podszedł do niego i chciał mu pomóc się ubrać, ale generał wyrwał mu płaszcz z rąk — aż dziwne, jak przy swojej tuszy tak łatwo trafił rękami w rękawy i nie pożegnawszy się, wybiegł. Za chwilę rozległ się warkot jego samochodu.

Szumakow wyszedł do Hołoborodki. W kącie stał jeszcze wyprężony na baczność kapitan Som. Na jego szczy-

plej, opalonej twarzy malowało się napięcie. Zuchwy powoli drgały na policzkach.

Szumakow zatrzymał się przy nim.

— Jedźcie do generała, rozkazy trzeba wykonywać — powiedział, jakby odpowiadając na nieme pytanie i ledwo dostrzegalnie uśmiechając się do kapitana.

— Rozumiem, towarzyszu pułkowniku. — Som miał ochotę zapytać: „Trzeba wykonywać — odnosi się tylko do mnie czy i do was także?” ale nie odważył się.

Szumakow pochwycił wyraz wahania na twarzy kapitana i podał mu rękę.

— Stawcie się, tak jak generał polecił. I nie przejmujcie się, ja wam pomogę.

— Rozkaz, towarzyszu pułkowniku!

Słowa dowódcy dywizji uradowały kapitana, on również uważał, że przerzucanie mostu pontonowego — nawet przez jedną odnogę, do Chortycy — na oczach nieprzyjaciela, nie ma żadnego sensu. Miał gorzkie doświadczenie i nie chciał go powtarzać bez specjalnej potrzeby.

Kapitan wyszedł. Szumakow pozostał jeszcze przez chwilę i zwrócił się do Hołoborodki:

— No, już czas.

— Samochód czeka przed furtką — zameldował adiutant.

— Wy na razie zostańcie tutaj. Dowódca armii będzie dzwonił. — Szumakow wiedział, że Zotow nie uspokoi się i natychmiast o wszystkim zamelduje. — Powiecie, że ja jestem na nowym miejscu.

— Rozumiem, towarzyszu pułkowniku. — Hołoborodko wyszedł do drugiej izby, zdjął płaszcz dowódcy z drewnianego wieszaka i pomógł mu się ubrać.

Szumakow skierował się do drzwi, ale przystanął przed progiem.

— Uważajcie, dzwonka nie przegapcie.

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku. Powodzenia.

Jak tylko Szumakow wyszedł, adiutant zaczął składać papiery i rzeczy, jak zwykle przed przeprowadzką na nowe miejsce. Nie wiadomo dlaczego czuł jakiś niepokój w sercu, widocznie udzieliło mu się zdenerwowanie dowódcy, chociaż Szumakow potrafił nie okazywać swych uczuć. Ale on dwa razy powtórzył Hołoborodce rozkaz o możliwym telefonie od dowódcy armii i to wystarczyło,

aby adiutant zrozumiał, w jakim jest nastroju. Szumakow nigdy nie powtarzał swoich rozkazów, zresztą Hołoborodce nie trzeba było powtarzać.

2

Bój na zaporze przycichł. W dole, na stoku, oprócz martwego lejtenanta Rudia został tylko jeden żołnierz, Tołstikow. Zakłopotany stał chwilę nad ciałem dowódcy, nie wiedząc, co robić. Niemcy mogli w każdej chwili zjawić się na szczycie filara. Trzeba było jak najprędzej wdrapać się na górę do swoich po drabinie, którą wiatr kołysał na przeciwległej ścianie, ale zostawić ciało dowódcy — wiedział, że to hańba.

Raptem przyszło mu na myśl: A co będzie, jak Niemcy podejda i zrzucą w dół sznur — spuszcza się i przechwycą drabinkę, która czeka na niego na drugim filarze? Tołstikow szybko rozpiął płaszcz lejtenanta, wyjął wszystko, co było w kieszeniach munduru, i rzucił się do przeciwległej ściany. Za chwilę był już na górze. Czekał tu na niego tylko jeden żołnierz — Muchiddinow. Został on, aby przeciąć sznury, jak tylko wejdą Tołstikow i Rud'.

— A gdzie lejtenant? — zapytał.

— Leży na dole. — Tołstikow zadyszał się mocno, wchodząc na górę, i trudno było zrozumieć, co mówi.

— Ranny?

— Zabity...

— Wszystko jedno, trzeba go zabrać. — Muchiddinow chwycił zwój drutu i rzucił na dół. — Obwiąż go dobrze, a ja pociągnę na górę.

Tołstikow pobiegł do drabinki i zaczął schodzić z powrotem na stok. W tej chwili na szczycie przeciwległego filara zjawily się ciemne postacie. Tołstikow zdążył zaledwie oprzeć się na drabinie jedną nogą — trzasnęła krótka seria z automatu, i żołnierz poleciał na stok, tam gdzie leżał Rud'.

Muchiddinow przyczaił się. Przywarł do betonowej powierzchni filara i nie ruszał się. W zamglonym półmroku widać było, jak po tamtej stronie Niemiec podszedł do samego brzegu i zajrzał do przepaści. Jeden strzał i polecł w dół... Ale Muchiddinow powstrzymał się: nie miał

prawa ryzykować, dopóki nie odetnie drabinki. Niemiec powstał chwilę i poszedł.

Teraz Muchiddinow ostrożnie się podczołgał i wyjął finkę. Przyciągnął do siebie sznury i przeciął.

Sztukarenko wciąż jeszcze przebywał w sztolni. Po krachu na górze napięcie zmieniło się w przytłaczającą pustkę i w osłabienie całego ciała. Siedział na belce obok telefonisty i milczał. Płaszcz zsunął mu się z jednego ramienia, od ściany ciągnęło wilgocią i chłodem, który przenikał kościste ciało. Był to krach nie tylko ciężkich kilkudniowych wysiłków, ale i krach nadziei, że zaporę uda się uratować.

Z góry wionął ostry chłód. Sztukarenko mimo woli oderwał wzrok od wilgotnej betonowej podłogi i spojrział w górę na kwadratowy otwór. Płachta namiotowa odsunęła się, jakaś niezgrabna postać w gumowym skafandrze szukała nogą żelaznego haka, usiłując wejść do sztolni.

Warywoda powoli zszedł na dół, przystanął na chwilę, opierając się ciężko o ścianę, i powlókł się do belki, na której siedział Sztukarenko. Nurek ledwo się trzymał na nogach, nie próbował nawet składać przepisowego meldunku i Sztukarenko zrozumiał, że stało się z nim coś, czego się nie da naprawić.

— Gdzie nasz dowódca? — ledwo dosłyszalnie zapytał Warywoda i ciężko usiadł na kłodzie obok Sztukarenki.

Pułkownik nie odpowiedział.

— Sam jesteś? — zapytał.

— Sam.

— A Bogatyriow?

— Leży... na dole.

Sztukarenko milcząc odpiął manierkę wiszącą mu z tyłu u pasa, potrząsnął nią lekko i przekonał się, że na dnie jeszcze coś jest.

— Wypij.

Warywoda niechętnie wziął manierkę i pociągnął z niej kilka łyków. Potem zakręcił ją starannie i oddał Sztukarence.

— Nie wiecie, gdzie nasz dowódca? — zapytał po raz drugi.

Sztukarenko znowu nie odpowiedział.

— Ty wiesz co — odezwał się ledwo dosłyszalnie —

wynieś Bogatyriowa na brzeg... Potem dostań się jakoś do Morgun. Tam, rozumiesz, żona Chochoła...

Warywoda zrozumiał. To znaczy i Chochoł także... Jak to się złożyło — i Chochoła nie ma...

Warywoda wstał, postął przez chwilę, potem odwrócił się i poszedł do przeciwległej ściany.

— Zaczekaj! — zatrzymał go Sztukarenko. — Zabierz rzeczyc Charkewicza, został tu płaszcz i marynarka.

Tykowaty kucharz Petrenko stał obok swojego wyiębnętego kotła i słyszał ich rozmowę. Podał Warywodzie płaszcz i marynarkę Charkewicza. Warywoda zdjął gumowy skafander i przez chwilę stał niezdecydowany. Później włożył na swoją bluzę palto, marynarkę potrzymał w rękę i rzucił do kąta. Energicznie uchwycił się za pierwszy hak na ścianie i wydostał się ze sztolni.

— No, zwijaj manatki! — zwrócił się Sztukarenko do telefonisty. — A ty, Petrenko, staniesz na dole obok wejścia, będziesz wszystkich kierował na brzeg. — I cicho dodał: — Jeżeli na górze ktoś jeszcze został.

Petrenko zaczął szybko pakować swój kucharski dobytek, ale Sztukarenko powstrzymał go:

— Zostaw to. Nic nie trzeba zabierać.

Sztukarenko szybko wspiął się na górę i zeskoczył na gzyms. Rakiety bez przerwy wlatywały skądś z prawego brzegu i zalewały noc białym, tajemniczym blaskiem. Kiedy rozbłyskiwały, w dali na śniegu ciemniała samotna postać Warywody, który dźwigał na plecach towarzysza. Sztukarenko oparł się o chłodną ścianę i nasłuchiwał. Na górze na prawo od niego terkotały niemieckie automaty, dawno już nauczył się rozpoznawać po głosach — gdzie niemieckie, a gdzie swoje. Niemcom nikt nie odpowiadał.

Z dołu, ze stoku, wdrapywało się dwóch. Sztukarenko postanowił poczekać na nich. Trzeba się dowiedzieć, kto tam jeszcze został. Za chwilę zbliżyli się, przydźwigali ze sobą z dziesięć automatów — wszystko, co zostało po plutonie — i zwój drabinek sznurowych, które pozdejmowali z filarów...

— Kto tam jeszcze jest? — zapytał pułkownik.

— My ostatni. Więcej nikogo nie ma — odpowiedział starszy wiekiem, szczupły, z rzadziutkimi wąsami.

— A lejtenant Rud'?

— Lejtenant zginął. Chcieliśmy go wynieść, ale nie można było — z poczuciem winy odpowiedział ten sam. Sztukarenko przez chwilę milczał.

— No, chodźmy.

— A co ze mną? — zaniepokoił się szczupły.

— Skąd ty jesteś?

— Zwiadowca. Od Cygankowa.

— A-a-a. — Sztukarenko przyjrzał mu się uważnie, usiłując go sobie przypomnieć. — Wal z powrotem do Cygankowa — powiedział Muchiddinowowi i zwrócił się do kucharza: — Chodźmy, Petrenko, nie ma na kogo czekać.

Sztukarenko posuwał się powoli po gzymsie, później ostrożnie zszedł na drewniane schodki. Było to zupełnie odsłonięte miejsce, z Chortycy widać było wszystko jak na dłoni — szczególnie przy błyskach rakiet. Przypadł do ziemi i czołgał się, oglądając się czasem na zapórę, jakby się z nią na zawsze żegnał.

Dziwne, że Niemcy dotychczas nie wysadzili zapory! Wyobrażał sobie, jak oni teraz po tamtej stronie rozpaczliwie usiłują połączyć się z dywizjami, które ugrzęzły w lewobrzeżnych bagnach, aby uprzedzić o katastrofie, jaka je czeka. Coś niecoś może i zdążą wyprowadzić z błot, ale zasadnicza masa zginie. A ile sprzętu porzuca! Wśród tych ośmiu dywizji dwie są pancerne, to nie żarty!

Wydawało mu się, że słyszy nawet, jak stukają klawisze aparatów telegraficznych w niemieckich węzłach łączności, jak ochryple głosy wrzeszczą w słuchawki telefonów, uprzedzając, zanim będzie za późno. Wyobraźnia intensywnie pracowała, widział niemal na jawie, jaka panika ich tam ogarnęła. Cieszyło go to, a mimo wszystko gorzko było czołgać się na brzuchu po świeżym śniegu, wycofując się po tyłu brawurowych natarciach. Gorzko i jakoś nieswojo, bo do sukcesów łatwiej się przyzwyczaić niż do porażek i niepowodzeń.

Z mroku wyłoniło się ciemne urwisko śluzy — przeskoczyć tylko przez betonową ścianę i na dół. Serie stukały po niej, dziobały ją z lewej i z prawej strony, ale wyczuwało się, że siły mają niewiele — pociski ledwo tutaj dolatywały. Sztukarenko poleżał pod ścianą, aby trochę odsapnąć. Przepuścił tych czterech, którzy czołgali się za nim, przez ściankę przeciągnął swoje długie

nogi Petrenko, potem telefonista ze swoim aparatem, potem ci dwaj, co ocalili w walce na górze. Z tyłu znów sypnęło pociskami, padały jak niespodziewany grad pośród zimowej nocy. Sztukarenko przeczekał jeszcze moment i w przerwie między dwoma seriami przerzucił i swoje ciało przez ścianę.

Schodził powoli na dół, wymacując nogami niewidoczne haki, na które trzeba było stawać, potem zmęczony ruszył po dnie śluzy do przeciwległej ściany. Tutaj kopał kiedyś z ojcem ziemię. Tych ścian wtedy nie było, zionęła tylko głęboka wyrwa, wykopana łopatami i jakąś przedpotopową koparką. Tam na prawo, przy samym wyjściu ze śluzy, zaczynał się akurat zjazd wiodący na wysoki brzeg — wywozili tamtędy ziemię na górę, pokrzykując na swoje koniki.

Sztukarenko próbował opędzić się od tych wspomnień. Nie cieszyły go teraz, a zresztą i czasu na to nie było. Na niebie znów rozbłysła niemiecka rakietka, przecinając cieniem na dwoje całą śluzę. Rakietka nie zdążyła jeszcze zgasnąć, kiedy z Chortycy uderzyła armata. Teraz Niemcy bili już nie po samej zaporze, widocznie obawiali się ostrzelać swoich. Trzy pociski przeszumiały nad głową i wybuchły jeden po drugim na lewym brzegu, gdzieś na Zaporozstali, a może nawet w samych Morgunach.

3

Schron, który Szumakow wybrał na stanowisko dowodzenia, należał dawniej do straży pełniącej wartę na zaporze i został zupełnie cały, kiedy jednostka wartownicza uciekła. Składał się on z dwóch niewielkich pomieszczeń, i to właśnie odpowiadało Szumakowowi: w pierwszym mógł się umieścić Hołoborodko i łącznościowcy, a w drugim Lemieszko i on sam. Trzy warstwy grubych osikowych belek pokrywały go z wierzchu, takiego pokrycia nawet przy bezpośrednim trafieniu nie przebije żaden pocisk. Nie wiadomo, po co Niemcom na głębokim zapleczeniu potrzebną była taka forteca — artyleria nie mogła ich ostrzeliwać, a obawiać się, że radzieckie lotnictwo będzie bombardować Dnieproges, nie było sensu...

Szumakowowi ten schron bardzo się teraz przydał. Nie zamierzał wprawdzie zatrzymywać się tutaj i dlatego

osobiste rzeczy kazał Hołoborodce zostawić w Morgunach, ale lepszego miejsca dla dowodzenia walką w bezpośredniej bliskości wydarzeń, którymi on miał kierować, nie znajdziesz... Dwa rowy łączące, głębokie prawie na wzrost człowieka, umożliwiły wyjście na prawą i lewą stronę szerokiej ulicy, gdzie za wysokimi ścianami budynków tuliły się samochody i oficerowie łącznościowi z pułków. Saperzy budowali według wszelkich zasad fortyfikacji: w tych sprawach, jak wiadomo, Niemcy są mistrzami. Wchodząc tu, Szumakow nie bez ironii pomyślał, że nawet taki pedant jak generał Zotow nie miałby się tu do czego przyczepić.

Kilka aparatów telefonicznych łączyło już schron ze wszystkimi dowódcami pułków i ze sztabem armii. W drugim pomieszczeniu siedział Lemieszko nad swoimi papierami i jak tylko usłyszał ruch za plecami, domyślił się, że witają dowódcę dywizji, i sam też podskoczył.

— Pozwólcie zameldować, towarzyszu pułkowniku. Dzwonił dowódca armii, prosił, aby natychmiast się z nim połączyć.

Oczywiście Zotow się nie uspokoił. Dowódca armii to człowiek łagodny — całe życie był profesorem w akademii wojskowej, przyzwyczał się wyjaśniać i przekonywać, a nie narzucać swoją wolę, bez czego, jak wiadomo, na wojnie trudno się obejść. W dodatku, jeśli ma się do czynienia z Zotowem albo z takimi jak Zotow...

— Siadajcie! — mruknął Szumakow do szefa sztabu. Położył płaszcz na pokrytej dermatyną kanapie — ją też przywlekli tutaj skądś jeszcze Niemcy — i otworzywszy drzwi, polecił telefonistom:

— Połączcie mnie z dowódcą armii!

Za chwilę dowódca armii był już na linii.

— Co wy się tam tak samowolnie rządzicie? — usłyszał Szumakow ochrypły głos, który tylko pozornie wydawał się surowy. Domyślił się, że Zotow też stoi obok generała pułkownika. — Działać tak, jak rozkazał starszy rangą przełożony.

Szumakow się przeraził. Słowa dowódcy armii oznaczały, że trzeba zmieniać cały plan — na dwie godziny przed rozpoczęciem operacji było to niemożliwe. Czubek lewego buta zaczął swoją zwykłą robotę: obdzierał za piętek prawego.

— Pozwólcie zapytać, czy to, co ja z wami uzgodniłem, kasuje się? — Szumakow miał na myśli swój plan przewazy drobnymi grupami, opracowany we wszystkich szczegółach i uzgodniony z dowódcą armii jeszcze dwa dni temu.

— Nie, dlaczego? — W głosie zabrzmiały profesorskie nutki. — Ja nie kasuję tego, cośmy uzgodnili. Ta strona zagadnienia zostaje po staremu, ale druga strona ma ją ubezpieczać i gwarantować powodzenie.

Szumakow milczał i generał domyślił się widocznie, co oznacza to ponure milczenie.

— To, oprócz wszystkiego, odwróci uwagę — dodał. — Zrozumieliście mnie? Skorzystajcie z tego.

Tak, rzeczywiście, pontony mogą odwrócić uwagę Niemców i osłabić ich czujność na innym odcinku — tam gdzie będzie się odbywać najważniejsze. Nie zastanowił się nad tym wcześniej, oburzony natarczywością Zotowa, który o tym na pewno także nie myślał.

— Pozwólcie zwrócić się do was, towarzyszu dowódcu armii. — Szumakow wymienił pełne brzmienie tytułu, gdyż Niemcy nie mogli ich podsłuchiwać.

— O co chodzi? — odezwał się w słuchawce niezadowolony głos.

— Generał Zotow wezwał do siebie kapitana Soma. On jest mi teraz koniecznie potrzebny.

Dowódca milczał, pytał widocznie Zotowa.

— Som zaraz będzie u was — rozległ się znowu głos profesora. — No więc wilk syty i owca cała.

— Dziękuję. — Szumakow usłyszał, jak na drugim końcu słuchawka opadła na widełki. Nie śpiesząc się, położył i swoją.

Na progu ukazał się Sztukarenko.

— Można?

— Wejść.

Sztukarenko wszedł. Schron okazał się za niski — pułkownik musiał się schylić i przez to wydał się jeszcze bardziej zgarbiony, niż był naprawdę. Poza tym i zmęczenie dawało się we znaki; ledwo się trzymał na nogach.

— Odpocznij chwilę i jedź do Tereszczenki. Ja będę z batalionem pontonowym — powiedział Szumakow.

— Z pontonowym? — Sztukarenko nie wiedział nic ani o sprzeczce Szumakowa z Zotowem, ani o rozkazie

dowódcy armii, i zdziwiła go wzmianka o batalionie pontonowym, który według poprzedniego planu miał zostać na miejscu aż do momentu, kiedy uchwyci się przyczółek na prawym brzegu.

— Nie będziemy tego omawiać — przerwał mu Szumakow, nie mając czasu ani ochoty wyjaśniać, w czym rzecz. — Tereszczenko działa tak, jak było ustalone. Zrozumiałeś?

Sztukarenko wciąż jeszcze stał.

— Odpocznij godzinę i jedź. — Szumakow zerknął na zegarek i narzucił płaszcz.

— Nie ma co odpoczywać — burknął Sztukarenko i poszedł do drzwi.

Szumakow zatrzymał się jeszcze na parę minut, aby wydać pewne rozporządzenia szefowi sztabu. Potem i on wyszedł i rowem łączącym podążył szybko do swojej emki.

— Jedziemy, Pokotyło, do Soma.

O tym, że trzeba się śpieszyć, nie mówiło się w takich wypadkach. Pokotyło rzadko o coś pytał: jak każdy osobisty kierowca „gospodarza” na froncie sam dużo wiedział.

Jechali bez świateł. Samochód podrzucało na wybojach. Rozklekotana karoseria pobrzękiwała jak stara barka podczas dziewięciofalonego sztormu.

Kapitan Som. Mówią, że skończył architekturę w Kijowie. Po wojnie zamierza walczyć z przestarzałymi formami budownictwa mieszkaniowego i stylizacją fasad na starożytność. Oczywiście trzeba będzie ściągnąć na siebie ogień krytyki. Cóż, jeśli ktoś chce powiedzieć nowe słowo, to musi mieć odwagę przyjąć na siebie ogień. Jak tam z architekturą wyjdzie, nie wiadomo, ale przyjąć na siebie ogień wypadnie Somowi nie kiedyś, lecz dzisiaj, to fakt. I to nie w zagadnieniach modernizacji budownictwa mieszkaniowego, ale na innym, można powiedzieć: przeciwnym terenie. Ale czy człowiek wie z góry na pewno, gdzie mu sądzone powiedzieć swoje słowo? Wszyscy jesteśmy ogniwami w ogromnym łańcuchu ludzkim i nie my decydujemy, kiedy przyjąć na siebie ciężar. Ileż to każdy z nas ma różnych pragnień — jeśli każde ogniwo będzie pragnęło tylko czegoś dla siebie, to jakież, do diabła, z nas łańcuch.

Z lewej strony zbliżał się samochód z zapalonymi światłami. Pędził na pełnym gazie, usiłując przeciąć im drogę. Pokotyło zahamował gwałtownie i wyskoczył na szosę.

— Co tak błyskasz tymi ślepiami? — rzucił się na kierowcę, kiedy i on się zatrzymał. — Chcesz, żebym ci je potłukł i tobie przy okazji wlepił?

Z wozu wyskoczył kapitan Som.

— Czy dowódca dywizji jest tutaj? — zapytał, poznawszy emkę Szumakowa, jeszcze zanim jego kierowca zgasił światła.

— Co wy, towarzyszu kapitanie, zapomnieliście, że wojna? — Pokotyło pohamował się, jak zobaczył dowódcę batalionu, i opuścił nogę, którą już zamachnął się, aby kopnąć butem w latarnię.

— Uspokój się, Pokotyło — usłyszał głos dowódcy dywizji, który zbliżał się do nich. — Wiecie już, kapitanie, wszystko?

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku — zasalutował Som. — Ja już dzwoniłem, batalion zapuszcza silniki.

— Za dziesięć minut otrzymacie rozkaz. Wykonujcie, a ja tymczasem wpadnę do Anikina. Dopędzę was za pół godziny.

— Tak jest!

Som pobiegł do samochodu i za chwilę skręcił w lewo, na boczną drogę. Światła znów się paliły na cały regulator i dwa jaskrawe promienie skakały, to pełzając pod przednimi kołami po ziemi, to wzbijając się w górę — w szare chłodne niebo.

Szumakow wracał do emki i nadśluchiwał. Na zachodzie znów było cicho. Z rzadka zza Dniepru odzywały się serie karabinu maszynowego. Strzelają od czasu do czasu, tak jak w ciągu tych wszystkich dni.... Wróg nic nie wie, nie przewiduje, że to właśnie ta noc będzie inna od wielu poprzednich. Zdaje się, że tak.

Do świtu zostało jeszcze trzy i pół godziny.

4

Warywodzie pierwszy raz w życiu wypadło spełniać takie straszne polecenie. W ciągu trzech lat wojny nie raz już zetknął się oko w oko ze śmiercią, widział, jak giną

i umierają, ale nigdy jeszcze nie był zmuszony mówić o tym ludziom, których czyjaś śmierć dotyczyła tak bezpośrednio, jak dotyczyła Anię śmierć Chochoła.

Nie miał o tym pojęcia, że żona jego byłego dowódcy jest tutaj, a nawet nie wiedział, że Ołeksandr Mykytowicz w ogóle ma żonę. Usłyszawszy o tym od Sztukarenki, Warywoda nie od razu zdał sobie sprawę, co on mu właściwie poleca. Ledwie stał na nogach, wysiłki włożone najpierw w ratowanie, a później w to, aby choć wynieść ciało swego towarzysza, wyczerpały go na tyle, że wiadomość o śmierci Chochoła była tylko ostatnim ciosem, który miał jedynie zakończyć to, czego w trzech czwartych dokonał już pierwszy cios. Wesoły gawędziarz i bałamut załamał się zupełnie pod niespodziewanym nieszczęściem, jak to zwykle bywa z ludźmi, których ono jeszcze nigdy osobiście nie dotknęło. I chociaż śmierć Bogatyriowa i Ołeksandra Mykytowicza była dla niego osobistym nieszczęściem, prawdziwie przeżył ją dopiero wtedy, jak podszedł do domu, gdzie czekała nie znana mu kobieta, której musiał wszystko powiedzieć.

Ale zabrakło mu odwagi. Spotkawszy się oko w oko ze szczupłą kobietą, która rzuciła mu się na spotkanie, kiedy wszedł do domu, i wyczytawszy w jej wzroku prawie zupełne zrozumienie tego, czego on jej jeszcze nie powiedział, Warywoda odwrócił się w milczeniu. Zdjął cywilny płaszcz Charkewicza i położył go na drugim łóżku. Ania nie widziała nigdy Warywody, ale od razu poznała w nim nurka. I to, jak on wszedł i jak się odwrócił, kiedy ją zobaczył, mówiło jej więcej niż jakiegokolwiek słowa.

— Gdzie on jest? — wyszeptały jej wargi.

Warywoda nie wiedział, gdzie jest ciało Chochoła, a zresztą gdyby nawet wiedział, wątpliwe, czyby jej powiedział prawdę. I tak samo cicho, jak ona spytała, wymówił pierwsze lepsze słowa:

— W batalionie sanitarnym.

Ania odetchnęła z ulgą, po swojemu tłumacząc sobie jego słowa. Ranny. Ale jednak żyje. Chwyciła płaszcz przewieszony przez krawędź łóżka i wybiegła tak szybko, że Warywoda nie zdążył jej zatrzymać.

Dopiero za furtką Ania przystanęła. Nie wiedziała, gdzie się ma udać. Na dworze było jeszcze zupełnie ciemno, chmury wisiały nisko nad ziemią, droga ledwo

majaczyła pokryta świeżym śnieżkiem, daleko bębnił karabin maszynowy, to milknąc, to znów zaczynając dudnić.

Ania pamiętała, że kiedy Hołoborodko przyprowadził ją na kwatere męża, przyszli jakby z prawej strony. Dopiero teraz narzuciła płaszcz, który dotychczas trzymała w rękę, i z trudem trafiając w rękawy, pobiegła. Hołoborodko był jedynym człowiekiem, którego znała i który mógł jej pomóc, trzeba go odszukać i już razem z nim zdecydować, co robić.

Sama nie zastanawiała się nad tym, podniecona wyobraźnia pracowała sama przez się i zmuszała do biegu, chociaż żadnej nadziei, że w nocy odnajdzie potrzebny jej budynek, nie było.

— Stój! — krzyknął ktoś z przodu i Ania usłyszała, jak tuż obok niej dźwięcznie szczękął zamek. — Kto idzie?

Zatrzymała się, ale odpowiedzieć nie mogła. Od niespodzianki zabrakło jej tchu.

— Trzy kroki do mnie! — groźnie komenderował wartownik, ale Ania i teraz nie ruszyła się z miejsca.

Wartownik wysunął się spod ciemnego parkanu i zbliżał się do niej, trzymając automat w pogotowiu. Podszedł zupełnie blisko i uważnie spojrzął na Anię.

— Coś ty za jedna?

Ania poruszała wargami, ale nie mogła wymówić ani słowa.

— Naprzód! — rozkazał wartownik i lekko szturchnął ją automatem w plecy.

Dopiero teraz zrozumiała, co może się stać. Wartownik poprowadzi ją gdzieś na komendę, będą ją tam trzymać do rana, a ona nie może tracić czasu.

— Szukam lejtenanta Hołoborodki — odezwała się wreszcie, odwracając twarz do wartownika. — Proszę was... w batalionie sanitarnym mój mąż. — Jej wysoki dziecienny głos dźwięczał żałośnie i bezradnie.

— Lejtenanta Hołoborodki? — zapytał wartownik. — A hasło jakie?

— Ja dopiero wczoraj przyjechałam... nic jeszcze nie wiem...

— To nie trzeba się pętać, jak się nic nie wie — burknął wartownik, ale w jego głosie zabrzmiała przyjazna nutka.

— No, dalej, dalej — znów szturchnął ją w plecy, i Ania poszła.

Za chwilę zobaczyła ciemne sylwetki koni przywiązanych do pnia drzewa i usłyszała męskie głosy. Trochę dalej, pod samym parkanem, stał samochód. Nie czekając na rozkaz, Ania skręciła do tego budynku, i wartownik nie sprzeciwił się temu, poszedł za nią. Przy płocie siedziało kilku żołnierzy, palili papierosy. Przed furtką w milczeniu przechadzał się jeszcze jeden wartownik z automatem na piersiach.

— Popilnuj, ja niedługo — burknął ten, który ją przyprowadził, i zniknął za furtką.

Ania oparła się o parkan, dopiero teraz poczuła, że przejmuje ją chłód. Strzelanina powoli przycichała, odzywał się jeszcze tylko karabin maszynowy, który swoim basowym tonem zagłuszał inne wystrzały. Ale i on odzywał się rzadko, jak rozespany pies, któremu raptem przywidzi się coś w ciemnościach zimowej nocy, więc szczerze nie parę razy — tak dla ludzkiego oka — i znowu uspokaja się i ucisza.

— Ale walił! — dało się słyszeć spod płotu. Potem jaskrawo zamigotał papieros, i ten, co to powiedział, zaciągnął się.

— T-a-a-ak — powiedział ktoś przeciągle po pewnym czasie. — Z tydzień takiego nie słyszałem, już prawie odwykłem. — Zaśmiał się z cicha, przysunął się bliżej do swego sąsiada i zaczął mówić zupełnie cicho, jakby obawiając się nieznanym kobiecie, która mogła go usłyszeć.

Ale Ania nie przysłuchiwała się. Ona słyszała tylko wewnętrzny głos swego bezustannego niepokoju, którego nie była w stanie i nie usiłowała nawet opanować.

W głębi ciemnego podwórza błysnęło światło, które wyrwało się z domu. Za chwilę przy furtce zjawił się znajomy wartownik.

— Wyjdzie. Proszę poczekać — rzucił krótko.

— Ale ja się bardzo śpieszę...

— On nie takie sprawy ma teraz na głowie. Trzeba poczekać. — Wartownik skrzywnął furtką i poszedł powoli wzdłuż ulicy.

Za Dnieprem znów odezwał się karabin maszynowy, a potem dwa razy beknęła armata. Nad głową rozległ się groźny szelest, a za moment dwukrotny wybuch gdzieś

daleko na wschodzie. Żaden z żołnierzy siedzących pod płotem nie odezwał się, jakby się nic nie stało.

Hołoborodko długo nie wychodził. Ania to opierała się o płot, to odchodziła na krok, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Kilka razy chciała już prosić wartownika, aby przypomniał o niej adiutantowi, ale znów opierała się o parkan, zdając sobie sprawę, że nic nie może zmienić.

Nareszcie w ciemnej głębi podwórza oświetliły się drzwi i Ania usłyszała rozdrażniony głos Hołoborodki:

— No, kto tam na mnie czeka?

— To ja, towarzyszu lejtenancie — krzyknęła Ania.

— Kto to?

Rozległy się szybkie kroki — Hołoborodko biegiem pośpieszał do furtki.

Żołnierze pozrywali się na nogi. Przy furtce zjawił się Hołoborodko.

— Siedźcie, siedźcie — skinął ręką adiutant i stanął przy bramce.

Żołnierze zaczęli powoli siadać, a lejtenant zaśwycił latarką i ostry promień uderzył Ani prosto w twarz.

— Aha, to pani...

Ania zaczęła mu beładnie opowiadać, żenowało ją to, że Hołoborodko, jak widać, śpieszy się i trzeba mówić piąte przez dziesiąte, aby jak najprędzej wyjaśnić, w czym rzecz.

— Widzi pani, my przeprowadzamy się teraz na nowe miejsce. — Głos jego złagodniał, brzmiał już współczująco, niemal z poczuciem winy.

— Przeprowadzacie się? Dokąd?

Hołoborodko nie odpowiedział, ale Ania wyczuła, że on nagle zaniepokoił się, i zrozumiała, że rzeczywiście coś się stało i że on wie o czymś ważnym i decydującym dla niej, o czym ona jeszcze nic nie wie.

— Proszę mi powiedzieć...

— Coś pani poradzę... — nie dokończył i raptem krzyknął do kogoś w ciemność: — Krywenko tutaj?

— Tak jest! — odpowiedział ktoś pod parkanem i szybko się podniósł.

— Podrzuc towarzyszkę lekarkę do batalionu sanitarnego i natychmiast tu wracaj.

— Tak jest!

— Niech pani tam jedzie. — Hołoborodko zwrócił się

znów do Ani takim samym współczującym tonem. — Wydaje mi się, że tak będzie najlepiej.

Ania słuchała z zapartym tchem. Do batalionu sanitarnego. A więc nic strasznego się nie stało. Jeżeli rannego zatrzymują w batalionie sanitarnym na pierwszej linii, to rana nie jest ciężka.

— Ja zaraz zadzwonię, proszę, niech pani tam pojedzie — mówił Hołoborodko. — Później się zobaczymy. — Ania wciąż jeszcze stała nieruchomo niby martwa. — Przepraszam panią, ja muszę już iść.

Hołoborodko postać jeszcze chwilę i poszedł z powrotem do budynku. Szedł teraz wolno, jakby mu się nigdzie nie śpieszyło.

5

Cygankow zmienił się bardzo od czasu, jak w ziemiance punktu medyczno-sanitarnego zabrakło Frosi. Nie miał on zwyczaju grzebać się w sobie, studiować swoich stanów duchowych czy analizować uczuć, które władają nim w tym lub innym momencie, ale teraz nie tylko zauważył w sobie coś nowego, lecz i pierwszy raz w życiu mógł dokładnie określić, kiedy zaszła w nim ta uderzająca zmiana.

Jak tylko Frosia weszła na skrzynię z dykty, aby z niej wspiąć się do samolotu, w sercu Cygankowa coś się ścisnęło. To „coś” odezwało się w nim po raz pierwszy, o jego istnieniu nic dawniej nie wiedział i prawdopodobnie zdziwiłby się bardzo, a może nawet po chłopięcemu obraził, gdyby mu przedtem powiedziano, że ono w nim istnieje. Cygankow nie mógł określić, co to takiego, ale miał wrażenie, jakby serce raptem znalazło się nie na swoim miejscu i boleśnie się ścisnęło. W pierwszej chwili udało mu się od razu opanować ten chwilowy ucisk, ale wkrótce przerodził się on w stałe niepokojące uczucie, jakby serce przez cały czas wisiało na włosku nad próżnią.

Usiłował wyjść z nowego dla siebie stanu przy pomocy udawanej wesołości, lecz szybko przekonał się, że nie może się okłamywać, i przez cały czas przyłapywał się na tym, że myśli o Frosi.

Dawniej, kiedy dziewczyna była tutaj, Cygankow nigdy

specjalnie o niej nie myślał. Co prawda zawsze chętnie wstępował na punkt medyczny. Ale na ogół robił to wówczas, kiedy miał wolną chwilę, albo z jakichś tam powodów znalazł się naraz gdzieś w pobliżu. Z przyjemnością patrzył, jak na jego widok krew uderzała jej do twarzy i płochliwe zakłopotanie zjawiało się w okrągłych oczach, a jego żartobliwe docinki i pobłażliwa dobroć zmuszały dziewczynę do bezradnego szamotania się. Nie umiała ukrywać swej ślepej miłości i to go zawsze cieszyło.

Od dnia, kiedy Frosia odleciała, minęła już doba, a nastrój jego się nie zmieniał. W kieszeni leżał złożony we czworo telegram: Frosia przybyła szczęśliwie. I teraz siedząc za wzgórkami prawie nad samym Dnieprem, który dotychczas nie zamarzył i majaczył w ciemnościach niczym tajemnicza przepaść pełna wody i zimowej nocy, Cygankow raptem zrozumiał, że oprócz matki w Sarańsku ma jeszcze kogoś bliskiego, i odważnie przyznał się sam przed sobą, że to Frosia i jej przyszłe dziecko.

Ludziom takim jak Cygankow nie przychodzi to łatwo. Przyzwyczajenie do kawalerskiej swobody, pewność, że odpowiada się tylko przed samym sobą i przed nikim więcej, pozbawia człowieka wszelkiej chęci do opanowywania własnych zachcianek i obarczania się obowiązkami. Ale teraz jakoś nie żałował ani siebie, ani swoich wolnych rąk, ani swojej zuchwałej natury. Dotychczas dziewczyna z perkatym noskiem tylko mu się podobała i przyjemnie mu było z nią przebywać; od dziś stała się ona jego żoną i Cygankow nie żałował tego.

Z brzegu dobiegł przeraźliwy gwizd — to Razin go wzywał. — Diabeł przeklęty, hałasuje, jakbym ja o kilometr siedział. Ogień jeszcze ściągnie na siebie, dureń — zaklął z cicha Cygankow i pochyliwszy się na wszelki wypadek, bo może Niemcy usłyszeli ten gwizd i zawieszają nad Dnieprem rakietę, pobiegł w dół do brzegu. Ten Razin to Sybirak, a podrabia się pod innego Razina: pod Steńkę — wąsy zapuścił takie, a z twarzy też trochę podobny. Cygankow polecił mu obserwować i dać znak, jak tylko ukaże się tratwa Sołomii. Razin miał po prostu koci wzrok, w nocy widział tak samo jak w dzień, i ani przedwczorajszej, ani wczorajszej nocy nie przeoczył tej małej tratwki, na której Sołomija przeprowiała ludzi ze swojej małej wysepki na Wielką Ziemię.

— Pomyliła się widocznie — westchnął Razin, wpijając się wzrokiem w ciemną przepaść Dniepru. — Żeby ich na zapórę nie zniosło.

Cygankow również się przypatrywał, ale tratwy nie widział. W dali płynęły dwie kopki siana czy słomy, trochę wyżej pełznął jeszcze jakiś wielki, ciemny cień... Nareszcie oczy przyzwyczyły się i dostrzegł jeszcze coś płaskiego i prawie zanurzonego w wodzie około pięćdziesiąt metrów od brzegu. Była to tratwa.

— Ano, dalej w dół! Trzeba ją przyjąć.

Cygankow pobiegł brzegiem, Razin pośpieszał za nim. Sołomija mogła się zatrzymać dopiero ze trzysta metrów niżej, a tam mogą ją nawet swoi ostrzelać; tratwa Sołomii już trzy razy przybijała do brzegu dokładnie w tym samym miejscu, a niżej nie uprzedzono nawet ubezpieczenia bojowego, że ona może tam przypłynąć.

Bliżej zapory nurt stawał się szybszy i trzeba się było pośpieszyć, aby dobiec na miejsce wcześniej, zanim znacznie zbliżyć się do brzegu tratwa z ludźmi. Buty głośno dudniły po zamarzniętej ziemi, jakby kilka cepów młóciło na klepisku. Pusta przestrzeń podchwytывała głuche dźwięki i trwożnie powtarzała gdzieś bardzo daleko.

Raptem w niebo wzbijała się rakietą i z prawego brzegu zajazgotał karabin maszynowy. Strzelano do Cygankowa i Razina — biegli nie pochylając się, i od razu ich zauważono. Ale na maskowanie się czy przypadanie do ziemi nie było już czasu, biegli więc dalej w dół nad samą wodą, tuż przed swoimi okopami. Serie przelatowały, gwizdały wysoko nad nimi — cekaemiści z prawego brzegu robili zbyt wielką poprawkę na odległość. Za chwilę odezwały się jeszcze dwa karabiny maszynowe, a potem jeszcze... Głucho westchnął armatni wystrzał, ale pocisk, zagwizdawszy zbyt wysoko, gdzieś za daleko zaleciał. Za moment uderzyła cała bateria — pociski rozrywały się już bliżej, ale wciąż jeszcze gdzieś za piaszczystymi wzgórzami, daleko od przybrzeżnego pasa, po którym biegli Cygankow i Razin.

W świetle nowej rakiety Cygankow zobaczył na wodzie tratwę Sołomii. Została już z tyłu, to znaczy, że ją wyprzedzili, może zatem zdąży ją przyjąć. Z okopu wyskoczył ktoś z pistoletem w rękę i klnąc głośno, krzyknął:

— Gdzie cię niesie, draniu!

Poznawszy jednak Cygankowa, zeskoczył znów do okopu.

Do miejsca, gdzie mogła przybić tratwa, było już blisko. Z prawego brzegu bili bez przerwy, nad Dnieprem gwizdały nie tylko pojedyncze serie — przestrzeń wypełniał głuchy i groźny zgiełk wojny. Obok ktoś się odezwał, z lewego brzegu zagadał karabin maszynowy, przecinając biegnącym drogę. Cygankow podbiegł do okopu i krzyknął ze złością:

— Zatkaj się, jolopie!

Karabin przestał bić i Cygankow pobiegł dalej. W mroku raptem zarysowała się przed nimi ciemna smuga — rów łączący; przecinał on brzeg na przestrzeni pięćdziesięciu metrów i schodził niemal do samej rzeki. Cygankow zeskoczył do ciemnego, wąskiego rowu, do połowy wypełnionego wodą. Z tyłu upadł na ziemię i stoczył się do rowu Razin, chlupnął całym ciałem do wody i oblał Cygankowa od stóp do głów.

Sołomija pierwsza wyszła na brzeg, za nią do rowu łączącego przecisnęły się jeszcze dwie kobiety z dziećmi na rękach. Wylęknione i na wskroś przemoczone kobiety drżały, a dzieci żałośnie pochlipowały.

— Razin, do schronu dowódcy kompanii!

Kobiety posłusznie poszły za Razinem. Cygankow zatrzymał Sołomiję. W swoim mocnym brezentowym kostiumie przypominała murarza w roboczym kombinezonie.

— Dlaczego was tak daleko zniosło? — zapytał surowo Cygankow. — Widzicie, jaki szum przez was powstał?

— Nie wiem. Widocznie nurt się zmienił. Na drugi raz trzeba będzie choć trochę pomóc sobie wiosłami.

— Nie, na drugi raz chyba nie będzie trzeba — burknął Cygankow, ale Sołomija nie zrozumiała, co miał na myśli, albo po prostu nie usłyszała, co powiedział: dwa pociski rozerwały się w pobliżu.

— Samochód daleko? — spytała. — Trzeba szybciej w górę. Żeby tak do świtu jeszcze raz zdążyć!

— Dzisiaj więcej nie można.

— Tam jeszcze siedmioro zostało. — Cygankow milczał. — Na jutro nie mają już jedzenia.

— Na jutro im nie potrzeba. — Cygankow obejrzał się. Oboje brnęli po kolana w wodzie rowem łączącym w kierunku schronu dowódcy kompanii.

— Nie potrzeba? — przeraziła się Sołomija, wyczuwając jakiś szczególny sens w jego słowach. — Jak to nie potrzeba?

— Do jutra jeszcze dużo wody upłynie — powiedział Cygankow. — Przewiduje się pewne wydarzenia.

Sołomija zrozumiała, co on chciał powiedzieć, ale tym bardziej się zaniepokoiła.

— Jakżeż oni tam zostaną?

— Może ich nie zaczepi...

— I chłopiec mój tam — głucho dodała Sołomija drewnianym głosem.

Teraz odeszli już dość daleko od wody. Strzelanina przycichała powoli.

Z mroku wyłonił się Muchiddinow. Cygankow zdziwił się, jak go zobaczył.

— Skąd się tu wziąłeś?

— No cóż... wróciłem — z poczuciem winy rozłożył ręce.

Cygankow chciał się zapytać, co tam na zaporze, ale nie było czasu.

— Zaprowadź ją do dowódcy kompanii — wskazał na Sołomiję, i zwracając się do niej dodał: — Ja zaraz przyjdę.

Wyskoczył z rowu łączącego i poszedł w głąb ciemnego ładu na stanowisko dowodzenia pułku.

6

Kiedy Ania jak nieprzytomna uciekła na ulicę i Warywoda został sam w domu, chciał rzucić się za nią i dopędzić ją, ale poczuł raptem, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa i że nie ma sił. Przestraszył się, że zaraz upadnie, uchwycił się za oparcie krzesła i usiadł na łóżku. Ale posiedziawszy z minutę, Warywoda nie doznał żadnej ulgi, w głowie mu szumiało, przed oczyma wszystko pływało, mózg spowijała jakaś nieprzejrzysta mgła. Padł na poduszkę, nie będąc w stanie ani myśleć, ani się poruszyć, i zwałił się w ciemne urwisko snu.

Warywoda obudził się dlatego, że łóżko pod nim podskakiwało, usiłując zrzucić go z siebie. Wstał i zobaczył, że płomyk w lampie podryguje, jakby łapiąc powietrze,

którego mu nie wystarcza. Szybki bezradnie brzęczały za płachtami namiotowymi, którymi pozasłaniane były okna, i z dworu dolatywał ciężki bezustanny huk.

Szybko oprzytomniawszy, Warywoda wyskoczył na podwórze. Ciemne przedświtowe niebo ciężko kłębiło się nad głową, chmury raz po raz rozbłyskiwały złowieszczym odbłaskiem purpurowego światła, jak od dalekiej pożogi, której płomień kołysał się gdzieś nad Dnieprem. Tam na lewo wisiała ogromna łuna, ona też raz po raz migotała jak jutrzienka, ale nie czerwonym płomieniem, jak zwykle bywa, kiedy coś mocno się pali, lecz białym i oślepiającym, podobnym do blasku rakiet, kiedy przez cały czas wzlatają w niebo.

Warywoda wiedział, co się stało na zaporze, kiedy on dźwigał ciało Bogatyriowa w martwej ciszy dolnej sztolni. Jadąc w skrzyni przypadkowej ciężarówce, która szła do Morgun, dowiedział się od żołnierzy siedzących pod kabiną o zagładzie plutonu lejtenanta Rudia prawie ze wszystkimi szczegółami. Ale co się tam odbywało teraz? Gdyby Niemcy wysadzili zaporę, czego wszyscy się obawiali i na co z drżeniem czekali z minuty na minutę, wybuch byłby stokrotnie silniejszy, ale nie trwałby tak długo.

Spoza budynku przedzierał się ostry i przenikliwy wiatr, lecz Warywoda nie odczuwał chłodu, pochłonięty trwożnymi myślami.

Raptem rozmyślenia jego urwały się, szybko wrócił do izby, mając zamiar włożyć płaszcz i gdzieś pobiec, ale zobaczył, że wojskowego płaszcza nie ma, a zamiast niego na krześle obok stołu leży palto Charkewicza. Bezradnie usiadł na łóżku, na którym dopiero co spał. Palto przypomniało mu o wszystkim, co się stało z jego towarzyszami i z nim samym. Z żalem uświadomił sobie, że teraz nie jest już nikomu w ogóle potrzebny, że cokolwiek by się działo tam na zaporze, udział nurka w tych wydarzeniach skończył się wraz ze śmiercią Bogatyriowa i Chochoła, skończył się niestety bez rezultatów.

Ale przygnębienie nie trwało długo. Warywoda energicznie wstał z łóżka, szybko narzucił na ramiona palto Charkewicza i wyszedł. Na ulicy, tak jak przedtem, nikt go nie było, wieś jakby wymarła. Zatrzymał się na moment przy furtce, znów spojrzął na oślepiającą łunę roz-

błyskującą i kołyszącą się nad Dnieprem, szybko wyszedł na drogę i ruszył w stronę frontu.

Teraz łuna przez cały czas wisiała mu przed oczyma i on kierował się wprost na nią. Znikło niedawne przygnębienie, zamiast niego zjawił się jakiś podświadomy entuzjazm. Nie myślał już ani o tym, co przeżył na początku tej nocy, ani o tym, co go dziś jeszcze czeka.

Z przodu coś błysnęło na drodze, w mroku, jaki spowijał ziemię w dole, załśnił bruk przyprószoney śniegiem. Warywoda obejrzał się i zobaczył, że dogania go samochód. Wóz mknął na pełnym gazie, z zapalonymi światłami, jakby pędził nie w stronę frontu, lecz na głębokie zaplecze. Zszedł na bok i podniósł rękę, mając nadzieję, że samochód się zatrzyma. Ale on przeskoczył obok niego i dopiero pięćdziesiąt metrów dalej zapiszczał raptem nie naoliwionymi hamulcami.

— Dokąd? — zapytał ktoś niecierpliwie, wysuwając głowę przez uchylone drzwiczki, i Warywoda od razu poznał głos Hołoborodki.

— Tam! — machnął ręką przed siebie i pobiegł co, tchu.

— Prędejj, prędejj! — krzyknął Hołoborodko i nieufnie przyglądając się człowiekowi w cywilnym płaszczu, poznał w nim nagle nurka. — Cóż to tak... wystroiliście się?

Warywoda usiadł na tylnym siedzeniu i samochód ruszył. Opowiedział lejtenantowi, dlaczego to „się wystroił” w palto Charkewicza, ale Hołoborodko nic nie odpowiedział. Zdawało się, że już nie interesuje go to, co teraz znów wzburzyło nurka. Przejęty mającymi nastąpić wydarzeniami, których założenia znał, Hołoborodko zwrócił się do kierowcy, chełpiąc się w duchu swoim poinformowaniem, chociaż usiłował powstrzymać się od jawnego popisywania się przed obcym człowiekiem.

— Jak myślisz, Krywenko, dołożymy im dzisiaj?

— Przydałoby się — mruknął niepewnie kierowca. Wiedział on, że bije nie swoja artyleria, lecz niemiecka, i nie rozumiał, z czego właściwie adiutant tak się cieszy.

— No ale mimo wszystko jak ty myślisz? — nalegał Hołoborodko, jakby pokpiwając sobie z ostrożnej rozwagi tego małomównego człowieka.

— Na Chortycę trudno się przedrzeć — już bardziej otwarcie wyjaśnił Krywenko przyczynę swego niezdecydowania.

— Dziwak jesteś! — uśmiechnął się Hołoborodko. — Myślisz, że tylko ty wiesz, który orzech najtwardszy?

— Pewnie, że dowództwo wie lepiej — niechętnie przyznał kierowca.

— A właśnie, otóż to, że lepiej wie — podsumował adiutant wieloznacznie.

Warywoda chciwie się przysłuchiwał i zdał sobie nagle sprawę, że jego niedawne obawy nie mają specjalnych podstaw. Nie wiedział, że bije właściwie niemiecka artyleria, ale nastrój Hołoborodki i tajemnicze niedomówienia, jakie przewijały się w tym, co on mówił, wyglądały zarazem na poufne aluzje i na wymuszoną ostrożność, wskazywały na to, że wydarzenia na zaporze nie są przypadkowe i że one nikogo nie zaskoczyły zniemacka. Teraz już martwiło go tylko jedno — co on będzie robił i do kogo ma się przyłączyć.

Jechali główną ulicą Nowego Zaporozża, do zapory było jeszcze z kilometr. Warywodzie i dawniej wypadało nieraz przyjeżdżać tutaj, ale samochód zatrzymywał się zawsze za pierwszymi budynkami, i on szedł dalej pieszo. Teraz ani Hołoborodko, ani kierowca nie myślał nawet zostawić wozu. Krywenko zgasił tylko światła drogowe i zapalił bliskie. Oczywiście Niemcom teraz nie oni w głowie, cała ich uwaga skupiona jest na czymś ważniejszym. Zrozumiawszy to, Warywoda poczuł się jeszcze pewniej, nieświadomione zaniepokojenie znikło zupełnie.

Kiedy samochód skręcił w lewo, Warywoda zwrócił się do Hołoborodki:

— Towarzyszu lejtenancie, ja wysiądę. — Przypomniał sobie, że w schronie, z którego przenosili do sztolni butle z tlenem, zostały jeszcze dwa zapasowe skafandry. Cokolwiek dzieje się na Dnieprze, dokoła jest woda, a kiedy jest woda, to nurek może się przydać. — U dowódcy trzeciej kompanii jest nasz magazyn — dodał i wyskoczył z samochodu.

Ziemia drżała pod nogami, zdawało się, że oślepienie budynki zawała się zaraz i swoimi ruinami przetną mu drogę. Wybuchy zlewały się w ogłuszający, bezustanny ryk, niebo przed nim płonęło, raz po raz pojawiały się na nim błyski jeszcze jaskrawszego światła, kiedy rozlegał się szczególnie silny wybuch. Ulica była zupełnie opu-

stoszała, jakby z miasta uciekło wszystko, co żywe. Warywoda pobiegł na prawo, w kierunku znajomego schronu. Zza rogu wyłoniły się wielkie, ciemne samochody z wygaszonymi światłami. Zbliżywszy się do nich, zobaczył, że to pontony. Sunęły wolno, jakby wymacując drogę, i skręcały w ten sam zaułek, gdzie pojechał Hołoborodko.

Zrozumiał teraz, dlaczego cały ogień ześrodkował się właśnie naprzeciw Chortycy. Widocznie nie są to pierwsze pontony, na pewno w dole usiłują już przerzucić most...

Warywoda przebiegł główną magistralę miasta, przez którą dawniej zawsze musiał się czołgać, gdyż była pod ciągłym ostrzałem karabinów maszynowych, które stały za Dnieprem. Teraz tutaj było zupełnie cicho — ulicy nie ostrzeliwano. Wydawało się to dziwne, gdyż ulica wychodziła wprost na zaporę, a ta jeszcze nawet tej nocy była głównym miejscem działań wojennych. Doszedł do wniosku, że to nie jest przypadkowe — prawdopodobnie wojska odeszły stąd w obawie, że zapora w każdej chwili może wylecieć w powietrze, a Niemcy przestali ją ostrzeliwać, zdając sobie sprawę, że tutaj nikogo nie ma. Na moment ogarnął go strach, zatrzymał się na środku ulicy i spojrzał na lewo. Zapora wyraźnie odcinała się na tle białawych błysków, kontury jej rysowały się jasno i dokładnie. Zapora stała tak samo zamarła jak on, jakby i ona wstrzymała oddech w oczekiwaniu swojej zagłady.

Trzeba było przebiec jeszcze sto kroków. Za ścianami budynku, co ciemniał po drugiej stronie ulicy, stał jeszcze jeden budynek, a przy najdalszym rogu — schron. Warywoda pobiegł tam. Kiedy zatrzymał się przy schronie, zobaczył, że i tutaj nie ma nikogo.

W całkowitych ciemnościach, jak ślepiec obmacując wilgotną ściankę, wszedł do schronu. Tutaj już można było zaświecić latarkę. Promień popęłznął po ścianach. W kącie leżały nikomu już, oprócz niego, niepotrzebne lekkie skafandry i butle z tlenem. Warywoda załadował sobie na ramiona dwie butle, przerzucił przez rękę jeden skafander i pas z ołowianymi ciężarkami i poszedł z powrotem do zaułka, w który skręciły pontony.

Teraz wiedział już, gdzie powinien pójść, rozumiał, że przy przeprawie może się przydać.

Wysyłając Anię do batalionu sanitarnego, Hołoborodko wcale nie myślał, że zobaczy ona tam swego męża. Wiedział, że Chochoł się zabił. Chciał po prostu urządzić Anię, aby w czasie walk, kiedy nie będzie komu się nią opiekować, mogła się czymś zająć, a nie być zdana na samotność. Ale, jak zresztą wszyscy ludzie w takiej sytuacji, Ania rozumiała to po swojemu, bo nie chciała myśleć o najgorszym.

W drodze prawie zupełnie się uspokoiła. W końcu na wojnie strzelają, więc nic dziwnego, że są ranni. Od razu jednak przypomniała sobie, ile przerażających ran, które pociągały za sobą nieodwracalne kalectwo, sama widziała w tyłowym szpitalu w Ufie. Wspomnienie to znów ją spłoszyło: a może jej mąż przebywa teraz w batalionie sanitarnym tylko dlatego, że przywieźli go tam na pierwszy opatrunek przed ewakuacją na głębokie zaplecze? Przecież ciężko rannych nie wiozą od razu do pociągu sanitarnego, najpierw przywożą ich do batalionu sanitarnego.

Przypomniała sobie nagle zmieszane i bezradne oczy Warywody, z których mogła wyczytać coś najstraszniejszego; przypomniało się jej dziwne zachowanie Hołoborodki. Ogarnęło ją przerażenie. Oczywiście rana może być ciężka, a nawet śmiertelna, i to, że Hołoborodko posłał ją do batalionu sanitarnego, niepotrzebnie przyjęła za pewną oznakę tego, że nic strasznego się nie stało. Obawiała się jeszcze i czegoś innego: wiedziała, że istnieje instrukcja, która zabrania zatrzymywać ciężko rannych w przyfrontowych punktach medycznych i nakazuje ewakuować ich na zaplecze od razu po udzieleniu im pierwszej pomocy. A więc możliwe, że nie zastanie już męża w batalionie sanitarnym i nie wiadomo będzie, gdzie go szukać!

Ania z trwogą spojrzała na kierowcę, zamierzając poprosić go, aby jechał szybciej. W tej samej chwili jednak samochód wpadł w niewielką wyrwę i gwałtownie podskoczył. Ania zrozumiała, że nie wypada w takiej sytuacji prosić kierowcy o zwiększenie szybkości. Czuła, że opanowuje ją niepokohamowane podniecenie i że zaczyna już tracić władzę nad sobą.

Nareszcie samochód podjechał do dużego piętrowego budynku dawnej szkoły. Kierowca raptem zapalił światła i dwa jaskrawe promienie wyrwały z mroku kilku ludzi w białych fartuchach, którzy stali na ganku i w napięciu przysłuchiwali się temu, co działo się nad Dnieprem. Dopiero teraz przypomniała sobie, że i ona słyszała huk, ale zajęta własnymi myślami nie zwracała na to uwagi, chociaż huk przez cały czas przybierał na sile.

— To ty, Pokotyło? — krzyknął ktoś wysokim chłopięcym głosem, kiedy samochód przystanął.

— Nie, towarzyszu doktorze, to nie Pokotyło — odpowiedział kierowca.

— Aha, to Krywenko! Co się tam zaczęło?

— Zaczęło się, tylko nie z tego końca — burknął Krywenko, pochylając się do drzwiczek, przy których siedziała Ania, aby wypuścić ją z samochodu.

— Jak to nie z tego? — rozległ się wylężniony męski głos.

— To nie widzicie, skąd biją? — zapytał Krywenko.

— A mówiłam, że to Niemcy! — omal że radośnie wykrzyknęła jakaś kobieta, jakby ją bardziej cieszyła własna przenikliwość, niż przerażał nieprzyjacielski ogień.

— Jakoś odwykliśmy już od tego, że oni zaczynają — zauważył lekarz.

— Nie zawsze ten górą, kto zaczyna — dorzucił któryś z mężczyzn stojących na ganku, lecz nikt jakoś nie podzielał jego optymizmu.

— Przyjmujcie uzupełnienie! — zawołał Krywenko. — Przywiozłem wam nową lekarkę. — Ania wyszła już z samochodu, ale wszyscy tak byli zajęci wydarzeniami na Dnieprze, że nawet jej nie zauważyli.

Krywenko ostro zakręcił i z miejsca pomknął na pełnym gazie. Za moment samochód już zniknął, zanurzony w mroku niczym w głębokiej wodzie.

Po jaskrawym blasku samochodowych świateł zrobiło się jeszcze ciemniej. Ania ostrożnie wymacywała nogą drogę, idąc tam, gdzie powinien być ganek, i raptem wpadła na kogoś, kto szedł jej naprzeciw, także jak ślepiec.

— Oj, przepraszam! — odezwał się ten sam wysoki chłopięcy głos. — Tutaj łatwo się nawet przewrócić. Przeprowadzę panią.

Wszedłszy na ganek, lekarz przedstawił się:

— Szef dywizyjnego medyczno-sanitarnego batalionu, kapitan Wasadze. Cieszę się bardzo z uzupełnienia. Hołoborodko dzwonił do mnie.

Ania niecierpliwiła się i nawet nie wymieniła swego nazwiska.

— Jak on się czuje? — spytała.

Wasadze myślał, że ona pyta o Hołoborodkę i był tym zdziwiony.

— Kto?

— Mój mąż. Czy jest ciężko ranny?

Kapitan Wasadze zdumiał się jeszcze bardziej. Hołoborodko nie mówił mu nic o jej mężu, powiedział tylko, że przysła lekarkę, którą można wykorzystać jako uzupełnienie, z tym że formalności załatwi się później, w dogodniejszym czasie.

— To jakieś nieporozumienie — zmieszał się Wasadze. — My jeszcze przedwczoraj odesłaliśmy ostatniego rannego, gdyż przygotowywaliśmy się na przyjęcie nowych. Teraz wszystkie miejsca są wolne — nie ma ani jednego człowieka.

Twarz nowej lekarki zasępiła się nagle. Jej wielkie oczy stały się prawie okrągłe.

Wasadze próbował ją uspokoić:

— Zaraz to wyjaśnimy, zadzwonię, gdzie trzeba.

Poszedł szybko szkolnym korytarzem.

Ania przysiadła na parapecie i ukryła twarz w dłoniach. Teraz już nie pocieszała się, nie usiłowała przyjmować pragnień za rzeczywistość. Lekko ranny — już dawno byłby tutaj, z ciężką raną — tym bardziej. Nie przywieźli — to znaczy, że nie było po co przywozić. Ania poczuła na swoich wątych, szczupłych ramionach cały ciężar swej samotności i swej straty, jakby właśnie w tej chwili wszystkie bóle minionych lat zlały się w jeden, aby ją zdusić. Siedziała skulona, jakby ugiwała się pod nadmiernym ciężarem, i twarz zakryła rękami w oczekiwaniu owej strasznej chwili, kiedy ten ciężar ją zmiążdży.

Oto tak kończy się wszystko. Nagle. Niespodziewanie. Przed oczyma stanęła twarz Warywody — bezradna, zmieszana, z której można było wszystko wyczytać, i Hołoborodko — z jakim lękiem on ją przyjął, jakby

nie był przygotowany na to spotkanie, i złościł się za to na siebie. Jak mogła się tego nie domyślić? Nie chciała. Bała się...

Z tyłu rozległy się ciche, powolne kroki. Ania wiedziała, że to wraca ten młodzieniec z dziewczęcą twarzą i chłopięcym głosem, kapitan Wasadze. Kroki jego, ostrożne i niezdecydowane, mówiły jej to, co ona teraz już sama wiedziała. Tak stąpa człowiek, który nie może powiedzieć prawdy, gdyż obawia się, że prawda może kogoś zabić. Ten chłopiec, który prawdopodobnie ledwo zdążył ukończyć instytut, a może nawet z przedostatniego kursu poszedł na wojnę, widział już wiele śmierci, lecz nigdy nie spełniał najtrudniejszego obowiązku — nie powiedział kobiecie, że jest wdową. Stąpał powoli nie dlatego, że szukał odpowiednich słów, po prostu usiłował odwlec ten moment, kiedy będzie musiał powiedzieć.

Wasadze przystanął z tyłu. Przez chwilę milczał.

— Przepraszam — zaczął — bardzo mi przykro... ale powinienem...

Ania nie poruszyła się.

— Nie wiem, jak pani powiedzieć...

— Może pan nie mówić — wyszeptała nareszcie i odjęła ręce od twarzy.

— Widzi pani, ciąca nie można teraz przywieźć — odezwał się znowu, jakby doznał ulgi, że nie musi powiedzieć najważniejszego. — Tam dużo rannych, ich trzeba przywieźć.

— Rozumiem. — Ania nareszcie podniosła głowę i spojrzała na kapitana.

— Pochowają go przy zaporze. Razem z innymi. — Wasadze spojrzał na Anię, tak jakby w tej chwili jemu było ciężiej niż jej. — Pani powinna odpocząć — powiedział i ostrożnie dotknął jej ręki. Ania nic nie odpowiedziała, posłusznie poszła z nim w głąb korytarza.

— To będzie pani pokój. I przepraszam, ale muszę już iść. Wkrótce zaczną przybywać ranni.

Drzwi się zamknęły i Ania została sama. Usiadła na łóżku i ciężko zwiesiła głowę. No i nie zdążyła porozmawiać z mężem o niczym. Dzisiaj podczas pierwszego i ostatniego spotkania chciała mu tak wiele powiedzieć, ale nie zdążyła. Wezwali go na zaporę i poszedł. Nie wyznane

uczucia zostały z nią, stokroć cięższe dlatego, że on nie dowiedział się o nich.

Na żelaznym stoliku pobrzękiwała szklanka, podskakując z lekka na spodku. Lampa ledwo dostrzegalnie migotała, zdawało się, że na jej żółty płomycek ktoś od czasu do czasu lekko dmucha. Z daleka dolatywał niespokojny turkot, jakby po ziemi powoli toczyło się coś wielkiego i próżnego, obijało się swoimi krawędziami o zamrażnięte grudy i zmuszało ziemię do dygotania i niespokojnego dudnienia.

Ania miała wrażenie, że nie tylko odczuwa te dalekie wstrząsy, ale i drży razem z nie znanym jej skrawkiem ziemi, gdzie hula szaleństwo, któremu na imię wojna; utrzęsają się powoli, układają trwożliwe wspomnienia i bezładnie rozsypane uczucia, jakby trzeba było nimi tak bezustannie potrząsać, aby każde mogło znaleźć swoje miejsce.

Tak zwykle bywa — grom uderza znienacka, kiedy się go człowiek nie spodziewa. I nie zdąży się zrobić najważniejszego, nawet powiedzieć się nie zdąży, nawet pomyśleć. Dobrze, że chociaż o tym, że przebaczyła, powiedziała. Chociaż to, ale i to szczęście. I jak on się ucieszył, kiedy usłyszał! Przykro, gorzko, że dowiedział się o tym dopiero dzisiaj.

Za oknem rozległ się warkot silników, po ścianach przemknęły jaskrawe błyski samochodowych świateł. Wkrótce trzasnęły drzwi na ganku i w korytarzu zadudniły ciężkie kroki. Odezwały się głosy sanitariuszek, które przebiegły obok drzwi do jej pokoju, spiesząc się dokądś.

Ania posiedziała jeszcze chwilę i wstała. Wyszła z pokoju i szła wzdłuż korytarza. Sanitariuszki wnosili rannych, pod narzuconymi na nosze płaszcami ciężko dyszeli ludzie. Czasem wyrwał się im jęk i słyszało się oddzielne słowa.

Stała i patrzyła, jak troskliwie krzątają się inni, potem lekko dotknęła ramienia sanitariuszki, która zatrzymała się nie wiadomo dlaczego obok niej, i powiedziała:

— Proszę mi podać fartuch.

Charkewicz mógł sobie tylko wyobrażać, co odbywa się na zaporze, ale nic pewnego nie wiedział. Stał na żelaznym haku w szybie wentylacyjnym, opuściwszy się w dół tylko na tyle, aby nie można go było zauważyć z zewnątrz, kiedy rakiety rozbłyskiwały na górze, i usiłował zobaczyć, albo przynajmniej usłyszeć, co się tam dzieje. Ale otwór wychodził na wodę dolną i widniał w nim jedynie kwadratowy skrawek ciemnego nieba i oślepiające odbłyski śniegowych chmur, gdy zapalały się rakiety.

Żadne dźwięki tutaj prawie nie dochodziły. Nawet kiedy z Chortycy biła na wprost armata i pocisk wybuchał na zaporze, chłodna masa betonu nie odzywała się w odpowiedzi. I tylko po tym niewielkim kwadracie nieba, który migotał i płonął, kiedy wzlatywała w górę rakietka, i znów rozpływał się i zlewał z mrokiem panującym w szybie, gdy światło rakiety gasło, można się było domyślić, że na górze toczy się bój i że na zaporze są Niemcy.

Amiradze stał jeszcze niżej i nawet tego nie widział. Nie mógł zobaczyć nawet Charkewicza, gdyż zawisnąwszy nad nim Ołeh Iwanowicz zasłaniał mu te skąpe błyski raketowego światła. Amiradze stał nieruchomo, oparł się obiema nogami na jednym haku, a za drugi uchwycił się ręką i w milczeniu czekał, co powie Charkewicz, gdyż był pewien, że on widzi i wie, co się odbywa na górze.

Wisieli nad wąską bezdenną studnią długo i sami nie mogliby określić — pół godziny czy znacznie więcej. Ścierpły im ręce zaciśnięte na zimnych, żelaznych hakach, których trzeba się było mocno trzymać, ciała stały się ciężkie jak ołów i zdrętwiałe, ponieważ nie można było zmienić pozycji, ale ani Charkewicz, ani Amiradze nie odczuwali tego. Myśląc jedynie o tym, co mogło odbywać się teraz na górze, obaj zdawali sobie sprawę: cokolwiek by się tam działo, oni odcięci są od swoich i nie mogą wrócić z powrotem, tak jak nie może już nigdy wrócić ich trzeci towarzysz, Kowalczyk, który leżał w dole za tym kwadratowym otworem.

Nareszcie niebo na górze uspokoiło się i przestało błyskać. Bój skończył się, nietrudno się było domyślić, kto

w tym boju zwyciężył. Chciało się tylko przekonać siebie, że to jeszcze nie koniec, uwierzyć, że pluton lejtenanta Rudia odszedł tylko i wkrótce powróci znowu. Trzeba w to było uwierzyć, gdyż inaczej zostawało tylko pogodzić się ze swoją nieuniknioną zagładą.

Charkewicz postanowił wejść trochę wyżej i wyrzeć przez otwór — teraz już rakiety nie wlatywały w górę i nie można go było zauważyć.

Ogromny betonowy łuk wyginał się daleko w lewo. Charkewicz wyrzwał i zobaczył błyski krótkich serii na środku zapory. Ktoś ostrzeliwał się jeszcze na drugim końcu poddźwigowego mostu, przy filarze, na który otworzył drogę Chochoł.

Amiradze czekał w dole. Trzeba mu powiedzieć, że wyjścia stąd nie ma. Ale tak trudno zmusić się do zejścia niżej, do tej betonowej trumny. Za chwilę czy za godzinę, a może dopiero jutro Niemcy na pewno wysadzą zapórę, która zmiażdży ich obu swoimi ciężkimi ruinami. Charkewicz czuł, że ogarnia go rozpacz, i nie tylko z tego powodu, że obaj są skazani na śmierć i niechybnie zginą, ale i dlatego, że są tu jak w wilczej jamie i żadnej nadziei na wydostanie się nie ma. Ta bezradność przygnębiała i obrażała, bo nic nie może tak upokarzać jak brak nadziei.

Nie myślał teraz o niczym z oddzielną — ani o tym, że pół godziny temu stał już obiema nogami na prawym brzegu, a oto teraz trafił do tego lochu, ani o tym, że od tego miejsca, gdzie on tak niedawno stał pod ścianą siłowni, było tylko kilkadziesiąt kroków do budynku, gdzie mogła być Ksenia... Powodowało tę upokarzającą rozpacz wszystko razem, a głównie — brak możliwości, aby coś poprawić, coś zmienić.

Z dołu Amiradze szarpnął go za poję, pytając w milczeniu, co tam się dzieje na górze. Ołeh Iwanowicz zszedł, ale Amiradze nie usunął się z drogi i został na miejscu. Trzeba było precyzyjnie się pomiędzy nim a ścianą. Stali teraz obaj na jednym haku, ale trzymali się za różne, gdyż Charkewicz był dużo wyższy. We dwóch tak szczelnie zatkali wentylacyjny otwór, iż wydawało się, że nie uda się im już rozejść.

— Źle — cicho powiedział Charkewicz.

Głos jego odbił się gdzieś głęboko we wnętrzu zapory, jakby stamtąd odzywał się ktoś przez rurę.

Amiradze nie odpowiedział i Charkewiczowi wydawało się, że pochlipuje. Cóż dziwnego, Kowalczuk był przecież jego przyjacielem.

— Poszukamy kabla — po chwili milczenia rzucił obojętnie Ołeh Iwanowicz, po prostu tak, nie przywiązując do tych słów żadnego znaczenia. Aby się zupełnie nie załamać, trzeba coś robić.

— Diabła łysego znajdziesz — mruknął Amiradze i Charkewiczowi znowu wydawało się, że on załkał.

Ołeh Iwanowicz stał jeszcze chwilę na miejscu, wzruszony tym ochrypłym głosem, ale poczuł naraz, że przyściśnięty do niego Amiradze schodzi w dół.

A właściwie dlaczego to zdecydował, że nic nie można zrobić? Przecież odnalezienie kabla było ich głównym zadaniem...

Charkewicz przysłuchiwał się głośnym szmerom w dole i zrozumiał, że Amiradze nie czeka na niego. I on też zaczął szybko schodzić w huczącą ciemną otchłań, jakby usiłując dopędzić towarzysza.

Teraz już Charkewicz nie myślał ani o tym, że w każdej chwili może nastąpić wybuch, który zmiażdży go w tej ponurej studni, ani o tym, że jeśli nawet wybuch się nie rozlegnie, to wyjścia stąd i tak nie ma. Opanowała go raptem niepohamowana złość nie wiadomo na kogo, i szybko przebierał rękami zimne, żelazne haki, jakby wszystko zależało od tego, czy uda mu się Amiradzego dopędzić. Ale Charkewicz nie mógł go dopędzić i wciąż jak nieprzytomny przebierał rękami, dopóki buty nie chlupnęły w wodę. Nawet i wtedy się nie zatrzymał, zrobił jeszcze jeden ruch w dół i poczuł, że nogi oparły się na czymś twardym i pewnym.

Woda była tutaj płytka. Przeszedł ze trzy kroki naprzód z podniesionymi do góry rękami, ale do sufitu nigdzie nie dostał. Tak, to była górna sztolnia. Amiradze chlupał gdzieś z przodu i Charkewiczowi przemknęła myśl, że tą drogą można by się przedostać do swoich — przecież sztolnia przecina cały korpus zapory od brzegu do brzegu. Od razu jednak przypomniał sobie, że dalej sztolnia zatopiona jest po sufit, poza tym przegrodzona betonową ścianą. Nie, nic z tego nie będzie, nie ma się co łudzić.

— Ma pan latarkę ? — usłyszał głos Amiradzego.

— Zgubiłem — odpowiedział Charkewicz. Mimo woli sięgnął ręką do kieszeni, chociaż wiedział, że latarki tam nie ma.

— Żeby tak chociaż zapałka — mamrotał Amiradze. Charkewicz domyślił się, że obmacuje lewą ścianę.

— Tam powinna być gruba rura — powiedział Charkewicz.

— A po diabła nam ona potrzebna?

— Można się na nią wdrapać, aby sięgnąć wyżej...

— A to co? — zapytał Amiradze. — Wyżej, na ścianie. Charkewicz poczłapał do niego. Amiradze milcząco wziął jego rękę i przytknął do czegoś chłodnego.

— To wodociąg. Jeszcze wyżej przechodzi przewód niskiego napięcia na lewy brzeg.

— Proszę mnie trochę potrzymać, stanę na tej rurze.

Charkewicz pochylił się i Amiradze wdrapał mu się na plecy, a potem przestąpił na grubą rurę centralnego ogrzewania.

— Właż wyżej, na wodociąg — powiedział Charkewicz. Objął obiema rękami nogi Amiradzego i lekko podniósł go na wysokość swych piersi. Od niemieckiego płaszcza, w który ubrany był Amiradze, zalaływało nieznamy zapach. Na rurę wodociągową Amiradze nie mógł się dostać, była dla niego za wysoko.

— Utrzyma pan?

— Spróbuję.

Amiradze stanął jedną nogą na ramieniu Charkewicza, potem ostrożnie oparł się drugą. Kiedy przestępował na rurę, Ołeh Iwanowicz czuł, jak drży i chwieje się postać małego tancerza. Tam na dwudziestometrowej wysokości filara prawdopodobnie czuł się pewniej — może dlatego, że wtedy uskrzydlała go nadzieja, a może dlatego, że pod nim stał Kowalczyk.

— Nie bój się, utrzymam — odezwał się cicho Charkewicz, chcąc mu dodać odwagi.

Amiradze milczał. Charkewicz czuł, że szpera ręką po ścianie.

Stopniowo ciało Charkewicza zupełnie zeszywniało od wysiłku. Amiradze nie stał na miejscu i trzeba było pod nim balansować. Najpierw Sandro ostrożnie odepchnął się jedną ręką od ściany, potem znów oparł się o nią. Char-

kewicz domyślił się, że Amiradze zdejmuje automat z ramienia. Rozległy się głucho uderzenia — zgodnie z ich rytmem kołysał się Amiradze.

— Co ty tam robisz? — zapytał Charkewicz.

— Tutaj jest kabel. Trzeba przeciąć.

Charkewicz usiłował sobie przypomnieć — po ścianie powinien przebiegać przewód niskiego napięcia, służący do oświetlania lewego brzegu. Ale bo to wiadomo, do czego Niemcy mogli go podłączyć?

— Lepiej przetnij. Na wszelki wypadek.

— Musi pan jeszcze trochę pocierpieć. Przystawię finkę i uderzę kolbą.

Amiradze jeszcze chwilę podreptał na jego ramionach i zaczął stukać. Nagle krzyknął i omal nie zleciał w dół.

— Walnąłeś się po palcach, co? — domyślił się Charkewicz.

Sandro coś wymamrotał, ale trudno go było zrozumieć. Zaczął znów stukać, uderzał kolbą po tępej krawędzi noża.

Naraz wszystko zadygotało pod nogami. Charkewicz wyraźnie wyczuwał drżenie betonu nawet przez grubość swoich podeszew. Amiradze przestał stukać — pewnie też nadśluchiwał.

— Co to? — zapytał z lękiem.

— Złaź — odpowiedział Charkewicz i Amiradze posłusznie zeskoczył, ciężko chlupnąwszy butami w wodę. — Wracamy na górę.

Charkewicz wyciągnął przed siebie ręce i szedł wzdłuż ściany. Amiradze człapał za nim. Charkewicz namacał róg, za którym powinno być wejście do wentylacyjnej studni, i zaczął się szybko wspinać na górę po żelaznych hakach. Teraz już wyraźnie wyczuwał bezustanne drgania całego betonowego masywu. Przyszło mu na myśl, że Niemcy wysadzili część zapory gdzieś w pobliżu lewego brzegu, bo zapora drżała przez cały czas jak w febrze. Charkewicz z trudem drapał się wciąż wyżej i wyżej, a zapora nie przestawała dygotać, i on przez cały czas usiłował zrozumieć, co to może oznaczać. Nareszcie domyślił się i spojrzał w górę: zobaczył, że otwór jaskrawo się świeci i błyska — znacznie jaskrawiej niż wtedy, kiedy Rud' wycofywał się z zapory.

Wyczerpała go zupełnie szybka wspinaczka, ale nie

zatrzymywał się, aby odpocząć, i ostatnimi siłami pięł się na górę.

Nareszcie owionęło go mroźne powietrze, i nie zastanowiwszy się nawet nad tym, że w takim jaskrawym oświetleniu można go zauważyć, Charkewicz wysunął głowę z otworu i w jednej chwili miał uszy pełne huk. Na lewym brzegu, naprzeciw północnego krańca Chortycy, płonęła ziemia, coś tam przez cały czas wybuchało, niemal w tym samym miejscu. Rakiety wlatywały w białawe niebo jedna po drugiej i zalewały wszystko dokoła teatralnym, zielonkawym światłem. Ogłuszający łoskot rozdił się gdzieś na prawobrzeżnych wzgórzach i przewalając się wysoko nad Dnieprem, ciężko opadał na stoki lewego brzegu: oczywiście biła niemiecka artyleria.

Zachwycony groźnym i wspaniałym widokiem, Charkewicz patrzył na morze ognia, które odbijało się i hasało w wodach Dniepru, i nic nie mógł zrozumieć. Zresztą w pierwszym momencie nie usiłował dociekać sensu i znaczenia tego, co się działo — urzekło go samo widowisko, niepojęte piękno buchających płomieni, przypominających równocześnie wybuch potężnego wulkanu i popis fajerwerków przygotowanych przez szalonego mistrza.

Patrzył z podziwem, jakby był postronnym obserwatorem i jego życie nie zależało od tego, co się przed nim dzieje. Zdawało mu się, że w tym momencie nie tylko patrzy, ale również oddycha, myśli i odczuwa oczyma. Zachwycony dziwnym widowiskiem nie zauważył nawet, że z dołu przecisnął się Amiradze i stojąc obok niego, przygląda się także szeroko otwartymi oczyma.

— No, zaczęło się — odezwał się Sandro po długim i pełnym napięcia milczeniu.

Słów jego nie można było usłyszeć poprzez głuche wybuchy i ciężki huk, ale Charkewiczowi wydawało się, że je usłyszał. I raptem dziwnie wzruszył ramionami, jakby usiłował strząsnąć z siebie czarowne odrętwienie.

Tak, zaczęło się, ale co właściwie — nie wiedział.

9

Niemcy uważnie śledzili batalion pontonowy kapita-
na Soma z powietrza; inne sposoby obserwacji uniemożliwiał Dniepr. Codziennie, jak tylko zaczynało się rozwi-

dniać, na niebie pojawiał się dwukadłubowy focke-wulf i z głuchym warkotem, jakby mu w brzuchu burczało, krążył wysoko nad lewym brzegiem. Interesował się tylko jednym: czy pontony stoją na terenie dawnego ośrodka maszynowo-tractorowego na miejscu swego rozlokowania. Gdyby raptem zniknęły, Niemcy zaczęliby natychmiast ich szukać, gdyż miejsce pobytu pontonów było wyraźną wskazówką, gdzie nasze wojska zamierzają przerzucić most.

W przeddzień — i o świcie, i w dzień, i kiedy już prawie zmierzchało — w przerwach między chmurami przez cały czas ukazywał się niemiecki zwiadowca. W batalionie panował spokój. Niemiec nie zauważył nic podejrzanego. Pontony były załadowane na swoje wozy, ale to nie miało specjalnego znaczenia. Nie podciągano ich do brzegu, a to najważniejsze, pozostawało więc tylko dalej obserwować.

Niemcom nietrudno było wyobrazić sobie, gdzie radzieckie dowództwo może je spuścić na wodę, gdyby zdecydowało się przerzucić most pontonowy właśnie na tym odcinku Dniepru. Na pewno nie zamierza przerzucać go powyżej zapory, gdzie Dniepr rozlewa się jak morze! A więc tylko w rejonie Chortycy. Tutaj co prawda trzeba by forsować dwie odnogi, gdyż wyspa swoim obszarem rozdważy rzekę, ale każda z nich jest dużo węższa od basenu wody górnej. A zresztą uchwycenie Chortycy też się opłaca: wyspa góruje nad Dnieprem i z tej wysokości można kontrolować wszystkie okoliczne obszary. Przewidując zamiary radzieckiego dowództwa, Niemcy wcześniej wstrzelali się w skrawek lewego brzegu, w pobliżu najwęższego miejsca na rzece, i wszystkie ich baterie, które się ujawniły, mogły za pierwszym strzałem trafiać w to niebezpieczne miejsce.

Była jeszcze głucha noc, kiedy batalion Soma wyruszył z podwórza ośrodka do Nowego Zaporozża. Pojazdy sunęły bez świateł, w dużych odstępach, i Niemcy na lewym brzegu nie mogli usłyszeć, że do Dniepru zbliża się znaczny pododdział. W dodatku w tym czasie wybuchła strzelanina w rejonie Zaporozżstali, kiedy Cygankow i Razin biegli, aby przyjąć tratwę Sołomii. Pomogło to batalionowi pontonowemu niepostrzeżenie przedostać się do pierwszych zabudowań w mieście i zgrupować się

na oznaczonej ulicy, gdzie czekał już ze swoją emką pułkownik Szumakow.

Punktualnie o piątej miało się zacząć przygotowanie artyleryjskie i trwać dwadzieścia minut. Szumakow wiedział, że na mapach zwiadowców, jakie otrzymały w przeddzień dywizjony artyleryjskie, naniesione są tylko niektóre nieprzyjacielskie baterie i stanowiska karabinów maszynowych, gdyż nieprzebyta naturalna przeszkoda, jaką stanowił Dniepr, uniemożliwiła zwiadowcom prowadzenie normalnych obserwacji. Udało się zaznaczyć jedynie te punkty ogniowe, które zdradziły się same, ale jasne, że podczas pozycyjnej ciszy przy zaporze większość z nich milczała. Szumakow nie pokładał więc zbyt wielkich nadziei w działaniach swojej artylerii. Mogła ona okazać skuteczną pomoc dopiero wówczas, kiedy Niemcy zauważą, że na brzegu pojawiły się pontony, wtedy zmuszeni będą uderzyć ze wszystkich swoich stanowisk ogniowych, które artylerzyści powinni natychmiast nanieść. W ten sposób batalion Soma w pierwszym etapie miał, być może nawet za cenę całkowitej zagłady, wyjaśnić to, czego nie zdołali wykryć zwiadowcy.

Walczące strony rzadko kiedy bywają poinformowane w jednakowym stopniu. Bardzo często jest to przyczyną ciężkich i tragicznych niespodzianek, gdyż jednej ze stron, właśnie tej, która posiada dokładniejsze dane, udaje się drugą wyprowadzić w pole, uderzyć przez zaskoczenie lub zastosować nieoczekiwany manewr. Ale zdarzają się i takie wypadki, że ze względu na brak dostatecznych informacji jedna ze stron wychodzi niejako naprzeciw pragnieniom drugiej i sama zaczyna działać w jej interesie, i wbrew własnym chęciom ułatwia wrogowi zadanie.

Tak właśnie stało się i tutaj. Trudno zrozumieć, dlaczego Niemcy w tym czasie zaczęli z taką siłą ostrzeliwać miejsce możliwej przeprawy. Może przyczyną stały się wydarzenia na zaporze, a może coś jednak usłyszeli, kiedy na przedmieściu grupował się batalion pontonowy. Całkiem możliwe, że ktoś mógł im dać sygnał o zbliżaniu się pontonów do Dniepru i zmuszeni byli rozpocząć ostrzał, aby ubiec wypadki. Obojętnie, jak to się stało, ale ostrzał zaczęli oni, i to nie stanowisk ogniowych na lewym brzegu, lecz właśnie zjazdu, po którym miały się spuszczać pontony do Dniepru. I bili z taką siłą, skierowali tam

tyle środków ogniowych, nie rozpoznanych przez naszych zwiadowców dawniej, jakby świadomie usiłowali ujawnić to, co tak długo i starannie ukrywali.

Niedaleko od tego miejsca, gdzie zgrupowały się samochody kapitana Soma, w piwnicy jednego z ocalałych budynków mieścił się skład amunicji dywizjonu artylerii. Szumakow pobiegł tam. Kazał telefoniście, aby połączył go z szefem sztabu dywizji.

— Co tam u was? — zapytał Szumakow.

— Silny ogień na lewym skrzydle — odpowiedział Lemieszko.

— Słyszę, że silny, nie jestem głuchy. Ale dlaczego?

— Trudno powiedzieć, towarzyszu dowódco dywizji — zawahał się szef sztabu. — Biją po prostu po brzegu.

— Co oni, zwariowali?

— Nie wiem, towarzyszu dowódco dywizji.

Szumakowa drażniły te jałowe odpowiedzi. Zaczął się denerwować i jak zwykle, gdy rozmawiał przez telefon, machinalnie zaczepiał czubkiem lewej nogi o obcas prawego buta, to wyciągał z niego nogę, to wsuwał z powrotem. Teraz te jego odruchy były nawet bardzo sensowne, gdyż nogi mu zmarzły w chromowych butach, a więc rozgrzewał je i rozprostowywał zdrętwiałe palce. Szumakow odłożył słuchawkę i połączył się kolejno z obydwoma dywizjonami artylerii.

— Motajcie sobie na wąż! — rzekł do Gołubowicza.

— Motam, towarzyszu dowódco dywizji — odpowiedział Gołubowicz, miał on rzeczywiście miękkie, jedwabiste wąsy. — Szkoda tylko, że krótki — zażartował.

Rojtman odpowiedział zagadkowo, ale poważniej:

— Wykorzystujemy sytuację!

Szumakow szybko wybiegł z piwnicy i skierował się z powrotem do pontonów. Niebo płonęło nad ciemnymi budynkami, Niemcy nie przerywali huraganowego ognia. Szumakow szedł szybko, gorączkowo rozmyślając i usiłując zrozumieć to, co Rojtman nazwał „sytuacją”. Słowo to, może nawet przypadkowo tylko użyte przez kapitana, zaniepokoiło Szumakowa. Niemcy, którzy niespodziewanie stworzyli taką sytuację, mogą ją również niespodziewanie zmienić, przerywając ogień, jak przekonają się, że podnieśli wrzawę bez żadnych powodów. Artylerzyści więc mogą nie zdążyć nanieść wszystkiego, co im potrze-

bane. Trzeba temu koniecznie zapobiec, dać Niemcom powody, aby jak najdłużej bili po zjeździe, i jeśli to możliwe, włączyli jeszcze więcej środków ogniowych do tej przedwczesnej kanonady.

— Ruszajcie naprzód ze swoimi pontonami — rozkazał Somowi, siadając na przednim siedzeniu w swej emce.

Pokotyło nacisnął gaz i pomknął ulicą. Szumakow obejrzał się i przez tylne okienko zobaczył, że kolumna posuwa się za nim. Dojechawszy prawie do końca długiej ulicy, skreślił w zaułek, który wychodził na zjazd, i zatrzymał się. Za chwilę dopędził go kapitan Som i wyskoczywszy z kabiny pierwszego pojazdu, podbiegł do dowódcy dywizji.

— Spuścić pierwszy ponton na wodę! — rozkazał Szumakow.

Kapitan zasalutował, skierował się do wozu, którym dopiero co podjechał, ale zatrzymał się:

— Z ludźmi czy bez ludzi?

Szumakow zrozumiał go. Wóz z pontonem, który spróbuje pod takim huraganowym ogniem spuścić się na brzeg, zostanie natychmiast zatopiony albo spalony.

— Spuszczaj bez ludzi! — zawołał, usiłując przekrzywić panujący dokoła huk. — Zawróć i puść na wstecznym biegu.

W zaułku nie można było zawrócić. Musieli cofnąć całą kolumnę i wyjechać na ulicę, dopiero tam zawrócili. Szumakowowi zdawało się, że ogień niemieckich baterii słabnie, pobiegł więc do pierwszego samochodu.

— Szybciej, szybciej! — krzyknął. Som, chociaż nic nie usłyszał, wiedział, czego żąda dowódca dywizji.

Kierowca włączył wsteczny bieg i dojechał do końca zaułka. Potem ustawił tak kierownicę, aby samochód posuwał się prosto w dół, i w biegu wyskoczył z kabiny. Wóz mógł kawałek przejechać, sam skreślić i wywrócić się. Ale to już nie miało specjalnego znaczenia: chodziło jedynie o to, aby Niemcy zauważyli, że do wody spuszcza się ponton.

Szumakow stał za rogiem budynku i obserwował pojazd. Pełznął on powoli w dół. Ponton był już prawie nad samą wodą, jak został trafiony pociskiem. Wóz nie zatrzymał się jednak, włączony motor pchał coraz bliżej wody kupę potrzaskanego żelaza, podobnie jak spychacz, który

z całej siły napiera na zwał ziemi. Drugi pocisk trafił w sam silnik i wóz stanął. Wyrwał się z niego wysoki słup ognia, widocznie wybuchnął zbiornik z benzyną.

Kanonada gwałtownie się wzmogła. Szumakow odczuł radosne podniecenie, jak gdyby to właśnie był jego cel — rzucić na pastwę nieprzyjacielskiego ognia ten nieszczęsny ponton, i udało mu się go zniszczyć. Niemcy bili jak opętani. Ziemia drżała od nieustannych wybuchów, i Szumakow obawiał się tylko, aby ogień znowu nie osłabł. Za kilka minut rozkazał Somowi spuścić w dół jeszcze jeden samochód. Podczas kiedy wóz odwracał się i pełznął do wody, Szumakow spojrzął na zegarek. Za pięć minut powinny uderzyć obie baterie i artyleria ze wszystkich pułków. Ogień niemiecki nie słabnął, teraz można było spodziewać się, że do rozpoczęcia przygotowania artyleryjskiego nieprzyjacielska kanonada nie ucichnie, i Szumakow doszedł do wniosku, że może już wrócić na swoje stanowisko dowodzenia.

— Jak będzie trzeba, spuścisz jeszcze jeden — rozkazał Somowi, wsiadając do swojej emki. — Nie żałuj!

— Rozkaz, towarzyszu dowódcu dywizji! — zawołał Som. Żał mu było sprzętu, ale zdawał sobie z tego sprawę, że cel osiągnięto bez wielkich strat w ludziach, i wdzięczny był za to Szumakowowi, ledwo powstrzymywał się, aby mu tego nie powiedzieć.

10

Sztukarenko nie miał pojęcia o tym, co się dzieje na lewym skrzydle. Kiedy dobiegł stamtąd łoskot niespodziewanego ostrzału, wyskoczył ze schronu dowódcy pułku.

Tereszczenko wybiegł za nim. Ściany fabrycznych zabudowań zasłaniały jednak miejsce, gdzie rozrywały się pociski, i trzeba było wejść na dach, a raczej na resztki konstrukcji, które go kiedyś podtrzymywały. Stąd otwierał się rozległy widok i wszystko, co się działo, leżało przed nimi jak na dłoni.

Tak, Niemcy młócili właśnie to miejsce, gdzie Szumakow zamierzał budować most pontonowy. To znaczy, że most zaczęto już stawiać, kiedy Niemcy biją po nim z taką wściekłością, pomyślał Sztukarenko. Ale jak zdążył

dotrzeć tak szybko do brzegu batalion Soma? I dlaczego most zaczęli budować, nie czekając na przygotowanie artyleryjskie, wyznaczone dopiero na godzinę piątą? Trzeba było najpierw przydusić niemieckie gniazda ogniowe, a potem puszczać pontony na wodę!

Rażąca sprzeczność tego, co się działo, w zestawieniu z tym, czego wymagał zdrowy rozsądek, a także plan operacji zatwierdzony przez dowództwo, znany mu we wszystkich najdrobniejszych szczegółach, zaniepokoiły go, a nawet wzburzyły. Nie mógł sobie wyobrazić, żeby Niemcy zdolni byli otworzyć taki silny ogień na pusty brzeg, bez żadnej przyczyny, nie tacy oni teraz bogaci, aby sypać setkami pocisków z głupoty lub przez sen. Dlaczego batalion Soma naruszył plan — z takim nieprawdopodobnym pośpiechem zjawił się na miejscu i wystawił się na niszczycielski cios, którego w znacznej mierze mógłby uniknąć, gdyby przygotowanie artyleryjskie się odbyło?

Widział z góry to, co tam się działo, ale dlaczego się to działo, nie rozumiał.

Sztukarenko postanowił zejść i zadzwonić na stanowisko dowodzenia. Okazało się jednak, że to nie taka prosta sprawa. Żelazne schodki, po których i w czasie pokoju nie każdy łatwo mógł wdrapać się na wysoki dach, były poskręcane przez pociski i pokryte cienką warstwą lodu: pod górę szło się jeszcze jako tako, ale z powrotem nie wiadomo było, jak schodzić. Obawiając się, aby Sztukarenko przypadkiem się nie pośliznął i nie spadł, Tereszczenko kazał obserwatorom, którzy dyżurowali na dachu przy przeciwlotniczych karabinach maszynowych, obwiązać go na wszelki wypadek sznurem, aby jeśli się obsunie, móc go przytrzymać. Sztukarenko zaczął się wzbraniać, ale Tereszczenko surowo mu przerwał:

— Nie udawajcie bohatera, towarzyszu pułkowniku. — Odsunął lekko Sztukarenkę od schodów i kazał najpierw obwiązać sznurem siebie.

Po tym już i Sztukarenko się nie sprzeciwiał i schodził ostrożnie po obludzonym żelastwie podtrzymywany mocnym sznurem, którego koniec trzymano na górze.

Zajął to wszystko nie mniej niż dziesięć minut i Sztukarenko przez cały czas denerwował się i złościł nie wiadomo na kogo. Kiedy wszedł do schronu, Tereszczenko

rozmawiał już z Lemieszką, ale dowódca pułku mówił z pozycji podwładnego, który powinien wykonywać rozkazy, a nie wypytywać się o wydarzenia rozgrywające się w innych pułkach. Zdając sobie z tego sprawę, Sztukarenko wziął od niego słuchawkę.

— Co tam u was? — zapytał niecierpliwie.

— Nic specjalnego, towarzyszu pułkowniku.

— Zaszły jakieś zmiany?

— Nie, towarzyszu pułkowniku, wszystko po staremu.

Sztukarenko umilkł. Lemieszko też milczał. Nieprzyjaciel na tym brzegu nie mógł ich podsłuchiwać, ale mimo wszystko Sztukarenko nie odważył się na bardziej szczegółowe pytania.

— Dziękuję wam! — mruknął, nic nie rozumiejąc.

— Proszę bardzo, towarzyszu pułkowniku — wyraźnie wyskandował Lemieszko.

„Nic specjalnego”. No cóż, może i tak. Szumakow jest z batalionem pontonowym, a więc można się nie obawiać.

— Przejdźmy się jeszcze raz po brzegu — zwrócił się do Tereszczenki.

— Chodźmy — odpowiedział major. — Chociaż tam wszystko w porządku.

Przejsć się po brzegu — nie oznaczało zejść nad samą wodę. Chociaż Jezioro Lenina szeroko się rozlewało, niebezpiecznie było chodzić po samym brzegu. Szczególnie teraz, kiedy na niebie buszuje i przelewa się taki artyleryjski fajerwerk, oświetlając wszystko dokoła jak na jakiejś paradzie. Przeszli wzdłuż betonowego fabrycznego ogrodzenia, przypadając do ziemi w miejscach, gdzie ogrodzenie było zburzone przez niemieckie pociski. Przez wyłomy pobłyskiwało jezioro w całej szerokości, w migotliwym świetle wybuchów i rakiet rysowała się dosyć wyraźnie nawet smuga prawego brzegu. Dniepr odbijał jaskrawe, migotliwe światło, które z kolei odbijało się od niskich chmur, w ciemnych wodach mieniło się i drgało, tworząc niezwykłą grę barw. Żółte zlewało się z czerwonym, białe z jasnoniebieskim... Rakiety zataczały wyraźne, powolne łuki, na moment zatrzymywały się i zawisały w zenicie, potem, jakby przewracając się na drugi bok, szybko spadały i gasły przeważnie jeszcze w powietrzu. Jeśli którejs udało się nie zgasnąć i dolecieć do wody, wbijała się

w ciemną głębię oślepiającym żądłem i od razu również ciemniała.

Sztukarenko nigdy nie miał skłonności do chorobliwych refleksji i wysubtelnionej samoanalizy, nie lubił doszukiwać się w sobie przyczyn udanych lub nieudanych czynów. Czyn uważał za ukoronowanie wszystkich uczuć i myśli, i jeśli zdarzenie już zaszło, to nie ma po co grzebać się w tym, co do niego doprowadziło. Przeszłość uważał za minioną, i jeśli nawet wracał do niej, to tylko po to, aby z niej czerpać doświadczenie na przyszłość, a nie po to, aby zachwycać się nią dla niej samej i zapisywać na konto swoich osiągnięć czy niepowodzeń.

A jednak, chociaż porażka na zaporze już się stała faktem i w ciągu najbliższych trzydziestu minut czekały go nowe ważne wydarzenia, w żaden sposób nie mógł się zmusić, aby nie myśleć o tym, dlaczego tak się stało. Teraz już nie warto było robić sobie wyrzutów, chociaż faktycznie on sam kierował rozpoznaniem na zaporze: na wojnie zdarzają się gorzkie pomyłki, a nierzadko i zupełnie prawidłowe posunięcia nie przynoszą oczekiwanych skutków. Gdyby nie było przed nami wroga, moglibyśmy polegać na swojej decyzji jak na opoce kamiennej, ale jeśli naprzeciw jest siła, która decyduje i działa zupełnie samodzielnie, słuszne okazuje się nie to, co najlepiej obmyśliliśmy, lecz to, co trafiło do celu i doprowadziło do spodziewanych rezultatów. W tym wypadku Sztukarenko doznał niepowodzenia, chociaż może jako dowódca osobiście nie popełnił żadnej omyłki: po prostu wróg miał więcej szczęścia i dlatego został zwycięzca.

A mimo wszystko porażka dręczyła Sztukarenkę, gdyż tutaj za fatalnymi skutkami niepowodzenia w walce kryła się taka strata, z jakiej nie można jeszcze było nawet zdać sobie sprawy: na zaporze została zerwana nie tylko nieudana operacja zwiadowcza, lecz ginęła sama zaporą. „Bij faszystów ogniem niszczącym”, przypomniał sobie surowy nakaz synka. Sztukarenko machinalnie namacał w kieszeni bluzy list od Wowy. — Pobiłem, nie ma co mówić — westchnął ze smutkiem.

Zastanawiając się nad słowami Lemieszki o tym, że nic specjalnego się nie stało, Sztukarenko dochodził do wniosku, że artyleryjska kanonada niemiecka, która teraz wstrząsała ziemią, ma tylko jeden cel — przestrzec woj-

ska radzieckie przed próbą przeprawy. Niemcy hukiem swych dział oznajmiają: nie próbujcie się nawet przeprawiać, bo my zmuszeni będziemy pociągnąć za wyłącznik i wysadzić zaporę, chociaż nie chcielibyśmy tego robić, póki nasze dywizje nie wydostaną się z tych przeklętych bagien.

Teraz jednak to ostrzeżenie nie miało już żadnego znaczenia, nie było w stanie odwrócić wydarzeń, jakie powinny się zacząć w najbliższym czasie, zgodnie z rozkazem. I Sztukarenko wiedział, że zapory nic już nie może uratować; ciężko i gorzko było o tym pomyśleć.

Zatrzymał się obok wielkiego wyłomu w kamiennym ogrodzeniu, gdzie kiedyś prawdopodobnie była szeroka brama, i wyrzwał na brzeg. W dole leżały niewielkie tratwy — zdążono ściągnąć je tutaj przed rozpoczęciem ostrzału, kiedy jeszcze było ciemno.

Po tej stronie parkanu porozkładali się grupami żołnierze. Ci sami ludzie, którzy mają się dziś przeprawiać. Niektórzy leżeli na śniegu, udając, że śpią, większość siedziała, opierając się plecami o parkan i paląc papierosy.

— Ale wali! — zawołał ktoś w pobliżu, i pewnie dlatego, że strach go obleciał, powiedział to niemal z zachwytem.

— A nasi ani dudzi! — zauważył inny żołnierz.

— Zadudnią — ciągnął dalej pierwszy, ale trudno było zrozumieć, co miał na myśli: „Zadudnią jak w bęben”, czyli za późno, czy też „uderzą, jak będzie potrzeba, nie martw się”.

Sztukarenko poszedł dalej. Tak, życie straci wiele ze swego sensu, jeżeli to się stanie. Nie dlatego, że to się po prostu stało, lecz dlatego, że ty byłeś tutaj i miałeś z tym bezpośredni związek. Strasznie przeczytać w gazecie, że zaporę wysadzono, że Dnieprogesu nie ma... Ale jeśli ty osobiście przy tym byłeś i w dodatku miałeś z tym bezpośredni związek, to stokroć ciężiej.

Żołnierze przyczaili się pod parkanem prawie na całej jego długości. Sztukarenko przeszedł jeszcze ze dwadzieścia kroków i znów zatrzymał się przy jakimś wyłomie — zobaczyć, czy i tutaj tratwy są już na miejscu. I znowu to samo, prawie taki sam jak przedtem zachwycony głos:

— Ale wali!

Sztukarenko rozumiał, z czego wypływa ten rzekomy zachwyty, przypominający równocześnie i lęk, i zdumienie. Nic nie poradzimy, strach, kiedy obok nas dzieje się coś takiego i w każdej chwili może coś się zwalić na głowę! Strach, że wkrótce trzeba będzie wejść do tej zimnej i ciemnej wody... i w ogóle strach, nawet jeśli to nie dotyczy człowieka osobiście. Strach, bo ślepa siła żelaza i ognia wypełnia lukę, jaka istnieje między życiem i śmiercią, niszczy i gwałci prawa natury. Człowiek jeszcze żyje, ale życia swego nie jest już pewien...

— Dobrze, że wcześniej przerwaliście na brzeg swoją flotę! — Sztukarenko przystaje i czeka, aż Tereszczenko go dopędzi. — Mówię: dobrze, że za ciemna przerwaliście flotę, przy takiej iluminacji byłoby trudno.

— Dobrze, żeśmy zdążyli, prawda? — Huk taki, że nic nie słyhać, nawet krzyku. — A mój szef sztabu nie radził, mówił, że lepiej, jak skończy się przygotowanie artyleryjskie: chwyci się środki przeprawy — i na wodę.

— A jednak, dobiec do wody to jedna sprawa, a taszczyć ze sobą cały sprzęt to zupełnie co innego.

— Powiemy hop, jak będziemy na tamtym brzegu.

— To prawda.

Szli obok siebie, potykając się czasem o powywracane sztachety i szczątki parkanu. Tereszczenko chciał coś jeszcze powiedzieć, nawet już usta otworzył, i tak zastygł. Z tyłu coś zadudniło, powietrze zakołysało się z nową siłą, jakby spoza budynków fabrycznych przez luki między ścianami przedarł się poryw gwałtownego huraganu. Nad głową zasyczało w sto głosów, zazgrzytało i ze świstem wzbilo się coś ogromnego, jakby stado, które nie ma ni początku, ni końca. Świst i groźne syczenie nie ustawało, stado leciało zwartą falą, i w dzikiej wrzawie, jaką wzniecało, tonał nawet huk niemieckich wybuchów za zaporą. Ziemia jeszcze drżała od tych wybuchów, ale w jej dygotaniu wyczuwało się już jakieś nowe i odmienne ruchy, które wyraźnie różniły się od poprzednich.

Sztukarenko spojrział na zegarek. No oczywiście. To znaczy, że Lemieszko miał rację, kiedy twierdził, że nic specjalnego się nie stało. Jeśliby zaszły zmiany, przygotowanie artyleryjskie nie zaczęłoby się punktualnie o piątej, tak jak przewidywano.

Nie umawiając się wcale, obaj pobiegli z powrotem na stanowisko dowodzenia pułku.

Żołnierze pod parkanem również się poruszyli, pozrywali się z miejsc. Wyglądając przez wyłomy w parkanie widzieli, jak na prawobrzeżnych wzniesieniach zabłyśły, jakby wyrwały się spod ziemi, wysokie języki płomienia i rozległy się pierwsze wybuchy. Pociski rozrywały się nie po całym terenie, lecz tam, gdzie powinny stać niemieckie baterie. Wydawało się, że ciemne pole na przeciwległym brzegu porosło raptem pojedynczymi kępami czerwonej łożyny, która połyskuje w promieniach wiosennego, zachodzącego słońca.

Nieprzyjacielski ogień od razu stał się bezładny, jakby ktoś potrząsnął i szturchnął w plecy strzelca, a on, z lęku, nie zdając sobie sprawy, o co chodzi, wciąż naciska na spust. Pociski leciały jeszcze z setek nieprzyjacielskich dział, ale rozrywały się już nie na zjeździe, lecz gdzie popadło, jakby wyliczenia raptem się poplątały, a prawa balistyki niespodziewanie zmieniły się i stały się nie takie, jakimi były od wieków. Zdawało się, że każdy niemiecki pocisk oddzielnie poszukuje w panice swojego celu, nie znajdując go na swoim miejscu.

W miarę tego, jak narastał i przybierał na sile ogień z lewego brzegu, wciąż dokładniej wymacując swe cele, coraz częściej zachłystywały się nieprzyjacielskie baterie, głosy ich słabły, a gdzieniegdzie zupełnie milkły. Oślepiająca łuna nad zaporą zgasła i rozpląnęła się, natomiast zjawiała się inna, z dużą domieszką czerwonych barw, ale już nie nad lewym brzegiem, lecz nad prawym. I dziwne było, że o świcie niebo poczerwieniało na zachodzie, jakby ranek też coś poplątał, trafił nie na swoją odwieczną drogę i dlatego wynurza się z przeciwnej strony...

11

Profesor akademii wojskowej, którego wojna zmusiła dowodzić armią i na którego potrafił wywrzeć nacisk natarczywy i uparty generał Zotow, wyciągnął słuszny wniosek z sytuacji, w jakiej postawił go ten generał. Od razu przyszło mu na myśl, że batalion pontonowy ka-

pitana Soma, stanąwszy na wodzie, skupi na sobie całą uwagę niemieckiej artylerii i w ten sposób ułatwi sytuację dywizji Szumakowa, która będzie się przeprawiać przez Dniepr w innym miejscu. Tak samo Szumakow, który wbrew własnej woli zmuszony był działać zgodnie z tym rozkazem dowódcy armii, ze swej strony trzeźwo ocenił położenie — poświęcił tylko kilka pontonów, na których nie było ani jednego żołnierza, ale dopomógł, za cenę takiej niewielkiej ofiary, zaznaczyć nieprzyjacielskie baterie, które dotychczas ukrywały się i milczały. Obaj wykazali tylko zmysł praktyczny, działali tak, jak mógłby działać każdy rozsądny człowiek, gdyby okoliczności zmusiły go stanąć na ich miejscu.

I tylko jednemu nie mogła zapobiec ani dobroduszną mądrość dowódcy armii, ani rozważne męstwo dowódcy dywizji. Nie zważając na nic, nieprzyjacielska ręka mimo wszystko wisiła wciąż nad wyłącznikiem, który otwierał prąd do piekielnego ładunku, wystarczyło tylko lekkie dotknięcie, aby wszystko wyleciało w powietrze. I obaj — jeden, nasłuchując z daleka, a drugi z bliska — myśleli już nie tyle o nieuniknionej stracie materialnej, ile o losie swoich jednostek i pododdziałów, które pochłonełaby rozszalała woda, gdyby się to stało właśnie teraz. Nie porozumiewając się, w duchu liczyli na te osiem niemieckich dywizji, które ugrzęzły w bagnach i których, być może, nieprzyjaciel nie odważy się zatopić własną ręką. W takich warunkach zdecydować o losie całej operacji faktycznie mógł tylko mały tancerz, który jeszcze parę minut temu, stojąc na ramionach Charkewicza, bił kolbą swego automatu po tępych brzegu finki i usiłował przeciąć kabel, nie bardzo wierząc, że pod jego grubą izolacją kryje się także ów przewód, którego oni obaj szukali. Nie bardzo na to liczył, ale przeciął ten kabel, jak powiedział Charkewicz — na wszelki wypadek, i nie dowiedział się, że ten fatalny drut był właśnie tam. Przeciął i zmienił bieg wojennych wydarzeń, i to jest jeszcze jeden dowód na to, że o kierunku ich nie decyduje jedynie geniusz dowódcy, lecz także splot skomplikowanych warunków, w których głównym bohaterem może okazać się pierwszy lepszy szeregowiec.

Tylko dziesięć minut artyleria z lewego brzegu biła po

nieprzyjacielskich bateriach i zmusiła je prawie zupełnie do umilknięcia, przynajmniej na pewien czas. Potem ogień przeniósł się bliżej, wybuchy gęsto pokrywały pas nad Dnieprem, gdzie przebiegała pierwsza linia niemiecka. Pociski padały gęsto jeden przy drugim, zakopywały się głęboko w przybrzeżny piasek, przewracały go i wzbijały wysoko w niebo.

Szumakow stał obok swego schronu, drzwi naumyślnie zostawił otwarte, aby widzieć, co się tam dzieje. W dole Lemieszko rozmawiał z Zotowem. Podpułkownik stał na baczność, jakby Zotow był przed nim, i odpowiadał krótko i ściśle. Na dworze nieustannie dudniło i ziemia dygotała pod nogami Szumakowa. Z urywanych zdań szefa sztabu, które mimo wszystko dolatywały tutaj, domyślił się, że Zotow chce wiedzieć, czy batalion pontonowy zajął pozycje wyjściowe. Lemieszko przez cały czas zerkał z ukosa na Szumakowa, lampa zawieszona pod niskim sufitem migotała, ale w jej bladym świetle Szumakow widział twarz Lemieszki, na której służalczość i strach przed Zotowem walczyły z pragnieniem, aby ich nie okazać.

— Co chce generał? — zapytał Szumakow, kiedy Lemieszko wyszedł na górę.

— Nie powiedziałem mu, że trzy pontony zniszczone — odpowiedział Lemieszko, nie dosłyszawszy, o co Szumakow pytał.

— To dobrze, żeście nie powiedzieli — prawie krzyknął Szumakow. — A o co mu chodzi?

— Zostało jeszcze pięć minut — znów nie dosłyszał Lemieszko. Miał on na myśli to, że za pięć minut skończy się przygotowanie artyleryjskie i tratwy ruszą na wodę.

Szumakow zszedł w dół i rozkazał połączyć się z Tereszczenką. Słuchawkę podniósł Sztukarenko — jeszcze ciężko dyszał, bo dopiero co przybiegł z Tereszczenką ze swojej „wycieczki” na brzeg.

— To ty, Stepan? Czemu tak dyszysz jak ryba bez wody?

Sztukarenko nie odpowiedział — teraz nie czas na rozmowy o samopoczuciu.

— U nas wszystko w porządku — stwierdził.

— No, za trzy minuty — z Bogiem!

- Może i bez Boga, ale za trzy minuty.
- Trzymaj się! Wszystkiego dobrego.
- Do widzenia. — Sztukarenko odłożył słuchawkę.

Na sygnał rozpoczęcia przeprawy nie trzeba było czekać. W rozkazie wyraźnie zaznaczono, że należy się spuścić na wodę jeszcze przed zakończeniem przygotowania artyleryjskiego — dwie, trzy minuty przedtem, zanim umilkną działa. Niemcom, którzy wyszli cało spod artyleryjskiego huraganu, potrzebny będzie czas, aby mogli przyjść do siebie, wymienić uszkodzoną broń i przygotować się do prowadzenia ostrzału, i pułk Tereszczenki może z tego skorzystać. Wiedzieli o tym nie tylko dowódcy kompanii i plutonów, wiedział to każdy żołnierz, gdyż Szumakow wymagał, uważając to za główny warunek powodzenia, aby wszyscy, którzy mają brać udział w przeprawie, byli dokładnie poinformowani.

Artyleria młóciła jeszcze niemieckie okopy, gdy po tej stronie parkanu zaroił się już szeroki, żywy pas. Dopóki żołnierze siedzieli grupkami lub stali ciasno przytuleni jeden do drugiego przy wyrwach w parkanie i obserwowali, co się dzieje po drugiej stronie Dniepru, nie było ich prawie widać i wydawało się, że jest ich mało. Teraz, kiedy żołnierze rzucili się do ręcznych i ciężkich karabinów maszynowych, do skrzyń z nabojami i granatami, okazało się, że żołnierzy jest bardzo dużo. Każdy chwycił swą broń i śpieszył do swojego wyłomu w parkanie, skąd miał wybiec na brzeg. Teraz byli oni ukryci, gdyż parkan bezpiecznie zasłaniał przed okiem wroga wszystko, co działo się po tej stronie. Zauważyć ich Niemcy mogą trochę później, kiedy pododdziały zaczną wybiegać na brzeg, ale i tego można się było nie obawiać, gdyż wątpliwe, czy podczas takiego ostrzału będą mieli w ogóle możliwość prowadzenia obserwacji. A mimo wszystko żołnierze poruszali się w milczeniu, nikt o nic nie pytał, i to nie tylko dlatego, że każdy wszystko rozumiał. Nie, wyczuwało się osobliwe napięcie — jakby milczące odretwienie ludzkiej istoty wobec uroczystej niewiadomej, wobec tajemniczej i niejasnej przyszłości następnej chwili, której już nic nie zdoła zatrzymać i która nieodwracalnie i nieuchronnie nadciąga ze wszystkim, co się w niej kryje.

Tutaj nie było tchórzyc i żaden żołnierz się nie wahał.

Tych, dla których najdroższe jest własne życie, dawno już wojna połknęła, gdyż strach i przezorna ostrożność to powszedni chleb wojennego piekła; nikogo tak kula nie lubi jak tchórza, który ma jeden cel — ocaleć. Ludzie, którzy doszli tutaj, dźwigając na swoich strudzonych barkach ciężar prawie trzech lat wojny, nie myśleli o tym, aby wyżyć, ale im także było strasznie, bo nie ma człowieka, którego by w takiej chwili lęk nie ogarnął, są tylko tacy ludzie, którzy mają wolę silniejszą lub słabszą od strachu.

Zwiadowcy Cygankowa mieli pierwsi wybiegnąć zza parkanu. Piechota zawsze posuwa się pewniej, jeżeli z przodu idą zwiadowcy. Kto, jeśli nie oni wytyczyli tę drogę? A więc idą po niej już nie pierwszy raz! Nieważne, że tutaj wiedzą jedynie tyle, co każdy szeregowiec, gdyż cały czas prowadzili obserwację tylko przez lornety, i nawet sam Cygankow ani razu nie przepłynął Dniepru. Ważne, że są zwiadowcami, a już sama ta nazwa zobowiązuje.

Zza parkanu wybiegł, pochylając się nisko, Cygankow. Za nim ogromny Razin i drobny Muchiddinow. W jaskrawym świetle, które padało zza Dniepru, na przybrzeżnym piasku zamajaczyło kilka wysokich cieni. Zwiadowcy schwycili swoją niewielką tratwę, plusnęli ją na wodę i ustawivszy na niej karabin maszynowy, odepchnęli się od brzegu. I natychmiast z wyłomów w parkanie wysypały się na brzeg dziesiątki innych cieni, i na wodę opadało z cichym pluskiem mnóstwo małych tratwek, które tak samo pośpiesznie odpychano drągami od brzegu.

Sztukarenko stał na wielkiej skrzyni tuż przy parkanie i obserwował. Zdawał sobie sprawę — jakiegokolwiek silne byłoby przygotowanie artyleryjskie, nie zniszczy ono wszystkich stanowisk ogniowych wroga, i jak tylko skończy się ostrzał, wróg zacznie ożywać. Ale teraz myślał nie o tym — przeprawa przez taką rzekę nigdy nie bywa łatwa i bezkrwawa — to oczywiste. Niepokoiło co innego, i gdyby Sztukarenko w tej chwili mógł posłuchać tego, co się w nim działo, to stwierdziłby, że całe jego jestwo przeistoczyło się w oczekiwanie. Czekał na wybuch na zaporze — nie zastanawiał się: dojdzie do tego wybuchu czy nie dojdzie, i jeżeli zaporę wysadzą, to kiedy

— czekał, jakby stał z zamkniętymi oczyma, wiedząc, że już się na niego zamachnięto i cios go zaraz powali.

I naraz, jak uciął, urwał się ogień lewobrzeżnych baterii, a nad Dnieprem zawisła ciemność i dziwna cisza. Stało się to zupełnie niespodziewanie, huk wybuchów, które wstrząsały ziemią bezpośrednio przed tym, ustał tak gwałtownie, że ludziom, którzy już przywykli do niego, zdawało się, że znaleźli się nagle na morskim dnie, gdzie nic nie słychać i nic nie widać. Na prawym brzegu paliło się kilka budynków, w różnych miejscach, ale płomienie, które błyskały w oddali, nie były w stanie przebić gęstego mroku, jaki otulił wszystko dokoła, i z lewego brzegu pożary wyglądały jak malutkie kaganki w oceanie czarnej i nieprzeniknionej stepowej nocy.

Raptowna cisza i mrok uderzyły i Sztukarenkę. Pełne napięcia oczekiwanie, które jeszcze przed chwilą pochłaniało wszystkie jego uczucia, znikło. Żółty jęczyczek jednego z dalekich pożarów błysnął, odbił się w wodzie i liznął jakąś pojedynczą tratwę — już daleko od brzegu. Obok — i z prawej, i z lewej strony — płynęło ich dużo, wiedział, że w dole, po tamtej stronie parkanu, odbijają wciąż nowe i nowe grupy. Ale zobaczyć można było tylko pojedyncze z nich, kiedy do którejś dotknął się ten daleki żółty jęczyczek płomienia, i tylko po tym można było określić, gdzie się znajdują inne.

Niema, przytłaczająca cisza trwała przez parę minut. I naraz dobiegł z daleka armatni wystrzał. Za moment dołączyło się do niego jeszcze kilka i pociski znów wybuchwały na tym samym zjeździe naprzeciw Chortycy, co i dawniej. Ocalałe niemieckie baterie zaczęły ożywać. Obserwatorzy nie zdążyli jeszcze wysledzić pododdziałów, które już zbliżały się do środka Dniepru, i nie podejrzewali, skąd zakrada się do nich prawdziwe niebezpieczeństwo. Ale oto minęło jeszcze parę minut i z brzegu odezwał się niemiecki karabin maszynowy. Bił na razie na oślep, też jeszcze nie dostrzegł tratw na Dnieprze, ale na jednej z nich ktoś nie wytrzymał i odpowiedział krótką serią. I w tym momencie w niebo wzleciała zielona rakietka i w jej chłodnym blasku Sztukarenko zobaczył cały obszar Jeziora Lenina aż do środka pokryty mnóstwem malutkich punkcików.

Ale Sztukarenko zrozumiał, że obszar ten zobaczyli już

także Niemcy. Pojedynczy karabin maszynowy umilkł, jakby zachłysnął się ze zdziwienia. Cisza zawisła znów nad Dnieprem, zalana światłem samotnej rakiety, która powoli spadała i przygasiała. A za chwilę prawy brzeg zaczął najpierw niezdecydowanie, a później coraz szybciej i zjadliwiej odgryzać się, wreszcie zupełnie ożył.

12

Blżej zapory nurt prawdopodobnie silniej znosił, ale tutaj prawie się go nie odczuwało i tratwa na razie szła prosto do celu. Cygankow już dawno wyznaczył pagórkowaty półwysepek na krańcach prawobrzeżnej części miasta, który dosyć głęboko wcinał się w rzekę — można było na niego wyskoczyć i z prawej, i z lewej strony, zależnie od tego, gdzie był ulokowany najbliższy nieprzyjacielski karabin maszynowy. Obserwując przez lornetę ten piaszczysty cypel, Cygankow jeszcze dwa dni temu zdecydował, że tu właśnie spróbuje dobić do brzegu.

Po wściekłym huk i zwariowanym migotaniu artyleryjskiego przygotowania martwa cisza sprawiała przygnębiające wrażenie. Malutka tratwka, z której człowiek nie zeskoczy do wody, aby się ukryć, kiedy uderzy po niej nieprzyjacielski karabin maszynowy, także wydawała się bezradna na ciemnym morzu raptownej nocy. Spryt i pomysłowość, które zawsze ratowały Cygankowa w jego ryzykownych wypadach na lądzie, tutaj nie miały żadnego znaczenia, i czuł się tak, jakby związane mu ręce i nogi i przykuto go do tej tratwki.

Razin wiosłował wąską deską. Zanurzywszy w wodzie jej szerszy koniec, z lekka obracał ją w rękach i coraz podrywał do góry, utrzymując tratwę dokładnie w poprzek rzeki. Deska, byle jak obciosana siekierą, obdzierała wielkie stwardniałe dłonie żołnierza, ale on nie czuł bólu i naciskał na nią z całej siły.

Kiedy zabłysła niemiecka rakietka, Cygankow obejrzał się i zobaczył, że zbyt daleko wyrwali się naprzód.

— Wolniej, wolniej! — huknął Cygankow. — I pochyl się!

— Do diabła! — z cicha zaklął Razin. Usiadł ciężko na tratwę i przeważył ją w swoją stronę na tyle, że omal nie

spadł do wody. Cygankow obrzucił go pogardliwym spojrzeniem, ale zmilczał.

Rakieta płonęła na tle pochmurnego nieba, iskry niby bryzgi rozlatywały się od niej, jak gdyby kipiała i war jej groźnie syczała. Cały obszar Dniepru lśnił w oślepiającym świetle, ale Cygankow jakoś nie pomyślał o tym, że teraz i wróg wszystko widzi i na pewno już ich wykrył. Myśli nie wiadomo dlaczego zajęte były zupełnie czym innym. Poprzez wewnętrzne napięcie uparcie przebijała się złość na Muchiddinowa, chociaż drażnił go więcej Razin — ten niezdarny niedźwiedź. A cóż Muchiddinow! Cygankow raptem doszedł do wniosku, że mają z nim nawet wiele wspólnego. Stary przez cały czas myśli o swoich trzech córkach, a jemu Frosia nie może zejść z myśli, jakby tu w tym piekle nie było o czym myśleć. Niech to diabli wezmą! Dobrze, że dotychczas nie wynaleziono sposobu na odczytywanie ludzkich myśli, bo Razin już postarałby się nadać mu jakieś śmieszne przydomkiem, coś w rodzaju „damskiego krawca”, jak to ochrzcił Muchiddinowa, i pułkowi plotkarze wzięliby go na języki!

Rakieta spadła do wody. Dokoła znów zapanowały ciemności.

— No, Muchiddinow, pomachaj trochę! — rozkazał Cygankow i dodał surowo: — Razin, do karabinu maszynowego!

Muchiddinow przesunął się na prawy brzeg tratwy i ostrożnie wziął wiosło. Razin znowu się potknął i o mało nie wypadł za burtę drugi raz!

— Tfu! — splunął ze złością Cygankow. — Z tobą to i Niemców nie trzeba, sam nas potopisz. — I dorzucił z pogardą: — Steńka...

Razin milczał. Mógłby wprawdzie powiedzieć, że gdyby posłuchał Cygankowa i nie zmaistrował burty dokoła tratwy, to nie tylko on, ale i skrzynka z granatami dawno by już chlupnęła do wody. On chyba jakoś by się wykaraskał z powrotem, ale granaty poszłyby na dno. Niechby wtedy Cygankow spróbował wyskoczyć na brzeg z tymi dwoma „cytrynkami”, co wiszą mu u pasa. A Cygankow tak się z nim sprzeczał. Burta, mówił, będzie tylko zatrzymywać wodę na tratwie, kiedy przechyli się i zaczerpnie. Ale Razin już dobrze wiedział, jak to jest, kiedy na tratwie nie ma się o co zaczepić nogą. Pły-

wał już przez trzy doby na krze po Amurze — i żywność zgubił, i odzież, a sam ile się nakapał! Wydawało mu się, że Cygankow dlatego się złości, bo okazało się, że nie miał racji.

Raptem w niebo wzleciały od razu cztery rakiety, i w tejże samej chwili kilka min z jednostajnym niskim świstem plusnęło do wody. Nie słyhać ich było dość długo, potem wybuchły gdzieś na głębinię i wzbily w górę wysokie fontanny. Aha, ocknęli się, pomyślał Cygankow bez specjalnego lęku — przedtem już wiedział, że nie dopłyną tak do nieprzyjacielskiego brzegu i nie wysiądą jak na wycieczce, czyści i w suchych ubraniach. Cygankow obejrzał się i zobaczył za sobą setki ciemnych cętek na jaskrawo oświetlonej, oślepiającej wodzie — posuwały się powoli naprzód, i pierwsze miały już bliżej do prawego brzegu niż do lewego.

— Naciskaj mocniej! — krzyknął, zerwał się na nogi i zaczął pomagać Muchiddinowowi drugim wiosłem, również wyciosanym siekierą z deski.

Miny rozrywały się coraz częściej i coraz bliżej. Bryzgi i fontanny, jakie wyrzucały w górę, sięgały do pierwszych tratw. Teraz już nie było sensu się kryć, rakiety oświetlały Dniepr od brzegu do brzegu, należało tylko mocniej napierać na wiosła, dopóki Niemcy jeszcze naprawdę nie odgradzili się ścianą ogniową.

Chociaż artyleria, jak widać, dała się Niemcom dobrze we znaki, oni jednak dość szybko się opamiętali, a co dziwniejsze, ocalałe niemieckie baterie nie zachowywały się tak, jak przypuszczał Szumakow. Przyjeżdżając prawie codziennie do pułku, dowódca dywizji mówił żołnierzom, że zasadnicza korzyść z przeprawy małymi grupami polega na tym, że wróg będzie się musiał rozproszyć — setki tratwek rozrzuconych po całym Jeziorze Lenina to nie to, co most pontonowy, po którym można bić jak na poligonie w czasie strzelania ćwiczebno-szkoleniowego.

Cygankow widział teraz, że nadzieje Szumakowa nie sprawdziły się. Niemcy zupełnie nie zamierzali ostrzeliwać tratw, tworzyli zaporę ogniową, wyrównując ogień na jednej linii wzdłuż całego jeziora, gdyż wiedzieli, że tratwy chcąc nie chcąc muszą przejść przez tę strefę ich ognia i mimo woli same wystawią się pod uderzenie.

Linia nieprzyjacielskiego ognia stawała się coraz dok-

ładniejsza, coraz bardziej wyraźna i pewna. Teraz były już tutaj nie tylko pojedyncze miotacze min, ale i działa z ocalałych baterii. Było ich jeszcze niezbyt wiele, ale z każdą chwilą dział tych przybywało. Łatwo sobie wyobrazić, z jakim gorączkowym pośpiechem Niemcy wyciągali spod zwałów ziemi i poburzonych schronów wszystko, co można było szybko zmusić do strzelania.

Tratwa była już niedaleko od strefy nieprzyjacielskiego ognia, kiedy Cygankow spostrzegł, że w pobliżu nie ma nikogo. Te, co były za nimi, zostały daleko w tyle, a na przodzie też nie ma tratew... A niemiecka zasłona stawała się coraz gęstsza, pociski, rozrywając się na głębinie, wzbijały coraz więcej potężnych fontann, ustawiały się one coraz bardziej zwarcie jedna obok drugiej, tworząc swoistą wodną ścianę.

Woda spadała w dół z niesamowitym hukiem, rozrywające się pod wodą pociski wściekle wyły. Tutaj nie można było usłyszeć ani jęku, ani krzyku. Kilka małych radiostacji — u dwóch dowódców batalionów i u kilku dowódców kompanii oraz jedna na brzegu u szefa sztabu pułku — to cała łączność tej pływającej flotyli, ale zgiełk był taki, że w słuchawkach nic się nie słyszało.

W miarę jak zbliżali się do ściany ognia, Cygankow coraz bardziej się niepokoił. Zbijała go z tropu zupełna niemożliwość wykonania jakiegoś manewru, ograniczone do tej mizernej tratewki pole działania; nie można się ani uchylić przed ciosem, ani zalec; nakryje ogniem, kiedy zechce, a ty pływaj i czekaj na swój los.

Trzeba się było odważyć. Rzucić się narzód i przebić łbem tę ścianę. Zatrzymać się po tamtej stronie, jeżeli oczywiście uda się wydrzeć z tego piekła...

Cygankow postanowił się przebić. Przywiązał koniec sznura do pasa i rzucił go Muchiddinowowi. Żołnierz szybko okręcił się nim dokoła i cisnął koniec Razinowi; jeśli powali któregoś odłamek, nie pójdzie na dno, pociągną go za sobą na holu.

Sznur mówił wszystkim trzem więcej niż rozkaz dowódcy. Jak się przebijać, to się przebijać, każdy to rozumie. Razin wstał szybko, ujął swój drażek i też nacisnął z całej siły, pomagając Muchiddinowowi i Cygankowowi. Tutaj nie było po co przychyłać się lub przypadać do tratwy —

pociski rozrywają się na głębinie i niebezpieczeństwo groziło nie z góry, lecz z dołu.

Tony lodowatej wody zmieszanej z żelazem i ogniem zwały się na ich głowy. Cygankow spróbował odetchnąć, ale czuł, że się zachłystuje, jakby dał nurka w głębinę, i od razu wstrzymał oddech. Naciskał na wiosło, a myśli mknęły bezładnie i błyskawicznie. Telegram od Frosi trzeba było schować do kieszeni bluzy... w płaszczu jeszcze rozmoknie... A skrzynki z granatami nie przywiązali... Nie szkodzi, zatrzyma się o burtę, nie wpadnie do wody... A jednak Razin miał rację z tą listwą...

Raptem szarpnęło go silnie do tyłu. Dobrze, że się akurat wychylił całym ciałem, naciskając na wiosło, i to go utrzymało na nogach, nie wpadł do wody. Sznur nie zerwał się, ale był mocno napięty — któregoś jednak zważyło do Dniepru, płynie na holu. Nacisnął jeszcze mocniej na wiosło i raptem złapał powietrze. Pierwsze, co zobaczył: Muchiddinowa nie ma, Razin też się obejrzał, bo sznurek i jego ciągnął. Zrobił nieznaczny ruch, jakby chciał się cofnąć, lecz poczuł na sobie wzrok Cygankowa i zrozumiał, że nie wolno się zatrzymywać. Z minutę jeszcze wiosłowali we dwójkę i nareszcie zobaczyli, że ogień został z tyłu.

Nie umawiając się, obaj razem odłożyli wiosła i zaczęli wyciągać Muchiddinowa. Stary wynurzył się z wody i jedną ręką uczeplił się tratwy. A więc żyje „damski krawiec”! To znaczy, że długo będziesz żył, stary diable! Chwycili go i wyciągnęli na mokre deski. Muchiddinow zajęczał z cicha i złapał się ręką za but.

Razin pomógł mu rozzuć się i wyjął z kieszeni opatrunek osobisty.

— Zabandażuj! — krzyknął nad samym uchem, ale usłyszeć i tak nic nie było można.

Kołysali się spokojnie na ciemnej wodzie, a dokoła wszystko wyło i woda wzbijała się wysoką ścianą już w tyle. I dopiero teraz Cygankow dostrzegł kilka punkci-ków wyżej i daleko w dole. Były to tratwy innych zwiadowców, którzy wcześniej od niego przebili się przez nieprzyjacielską zaporę ogniową.

Ze schronu wybiegł Lemieszko.

— Towarzyszu dowódco dywizji, major Tereszczenko na linii.

— Czego chce? — zapytał zmęczony Szumakow.

Bezsensowne pytanie. Czego może chcieć dowódca pułku, kiedy jego pododdziały zbliżają się do niebezpiecznej strefy.

— Prosi, aby odciągnąć ogień.

Oczywiście. Przez taką zaporę przedrze się najwyżej połowa, a potem Niemcy przeniosą ogień bliżej siebie i ci, co ocaleją, będą musieli jeszcze raz się przedzierać.

Szumakow szybko zszedł do schronu i wziął słuchawkę.

— Co, zbliżacie się? — powiedział, uprzedzając Tereszczenkę.

— Za gęste sito... Ze trzy razy precedzi — westchnął major — zostanie sama piana.

— Tak... To niewesołe — westchnął także Szumakow i pomyślał o tym, że nie udało się jednak do końca rozproszyć niemieckiego ognia.

— A gdyby tak jeszcze raz ich stuknąć, co? — Tereszczenko nie nalegał i raczej prosił, niż doradzał.

— Teraz to nic nie da. Pozmieniali pozycje, chyba sami słyszycie?

— Smutno jakoś, jak wsparcia nie ma...

— Smutno? — zapytał Szumakow. — Zrobi się wam weselej, nie martwcie się.

— Straty będą wielkie.

Ostatniego zdania Szumakow już nie usłyszał. Myślał o batalionie Soma. Teraz rzeczywiście na niego kolej. Kiedy kot rzuca się od razu na dwie myszy, na ogół zostaje bez śniadania.

— Dobrze. Wymyślimy coś.

— Dziękuję.

Myśłami Szumakow był już przy batalionie pontonowym i wydawał Somowi rozkazy.

— Nie ma tam Sztukarenki w pobliżu?

— Jest tutaj.

Sztukarenko wziął słuchawkę.

— Słuchaj, Stepan — zaczął od razu Szumakow. — Wracaj tutaj, tam nie masz już nic do roboty. Ja zaraz

skoczę do Soma. Jasne? Do So-ma. — Nazwisko dowódcy batalionu pontonowego powtórzył z naciskiem na każdej sylabie, aby Sztukarenko wiedział nie tylko to, gdzie on będzie, ale i jakie działania zamierza podjąć.

— A co to, sezon na sumy?* — zapytał Sztukarenko.

— Najlepsza pora! — ucieszył się Szumakow, że on domyślił się, o co chodzi.

— Rozumiem — odpowiedział Sztukarenko.

— No to cześć! — słuchawka od razu opadła na miejsce.

Z Somem nie było jeszcze połączenia — dotychczas stał on ze swoimi pontonami w zaułku. Trzeba było wysłać oficera łącznikowego z rozkazem, aby natychmiast zaczął budować przeprawę. Teraz pozostało tylko wydać rozporządzenia Lemieszce, aby pułk stojący na lewym skrzydle przetrzucił do rejonu przyszłej przeprawy na Chortycę.

Gdy Szumakow rozmiawiał z Lemieszką, do schronu wpadł Hołoborodko.

— Towarzyszu dowódcu dywizji, generał lejtenant Zotow przy przeprawie.

Oho! Co to, nie mógł stary zasnąć z wieczora czy przyzwyczajony jest budzić się rano?

— Jedziemy, Hołoborodko. Zabierzcie termos.

— Jest w samochodzie, towarzyszu dowódcu dywizji.

Szli szybko rowem łączącym — Szumakow z przodu, Hołoborodko za nim. Odłamki nawet tutaj dolatywały. Zanim dobiegli do samochodu, Szumakow rozważył w myślach co najmniej z dziesięć przyczyn, dla których Zotow osobiście zjawił się na przeprawie. Pierwsza — ambicja: Nalegałem na to, aby pobudować przeprawę, to kości swoje przy niej położę. Druga — wyrachowanie: Cały ogień skupia się powyżej zapory, a więc most można przetrzucić z łatwością, okaże się, że miałem rację, wtedy niech osądzą.

Diabli by wzięli twój most, gdyby nie te antynaukowe tratewki na środku Dniepru! Rację miał świętej pamięci Kołomijec — oto, kto naprawdę miał rację! Dwa lata minęły, jak leży w ziemi pod Smoleńskiem, ale po jego stronie słuszność, nie po twojej.

Pokotyło gnał jak szalony, emka gwałtownie przechy-

* Nieprzetłumaczalna gra słów: som (ukr.) — sum

łała się na każdym zakręcie i podskakiwała wysoko, kiedy wpadała jej coś pod koła. W błyskach wybuchów widać było naprężony kark kierowcy i zakłopotaną twarz Hołoborodki, który wykonywał zabawne ruchy, usiłując uchronić termos z herbatą, kiedy emka wykonywała kolejny skok. Szumakow nie kazał tak pędzić, ale Pokotyło sam wiedział. Pociski znów rozrywały się w dole, a więc Som spuszcza pontony na wodę. No, należy się spodziewać, że sito na górze przerzedzi się teraz, Tere-szczenko odetchnie z ulgą.

Samochód Zotowa stał w zaułku, ale generała nie było. Szumakow zszedł w dół i zobaczył go na skrajnym pontonie nad samą wodą. Niebo było jasne jak w dzień. Obok generała stał nurek w lekkim gumowym skafandrze. Zanim Szumakow dobiegł do Zotowa, nurek zdążył już zejść do wody.

Pociski wybuchały z przodu i z tyłu — w sam most na razie żaden jeszcze nie trafił. Nic dziwnego. Niemcy zmuszeni byli zmienić pozycje, teraz trzeba się było na nowo wstrzeliwać, a to wymaga czasu. Z Chortycy uderzyła na wprost jedna armata, ale od razu została zniszczona; jak na pojedynku — niemiecka bije na wprost po przeprawie, a nasza na wprost po niej. Zdążyła wyrzucić zaledwie dwa pociski, i to jak kulą w płot.

Zotow stał tuż nad wodą i krzyczał coś Somowi do ucha. Kapitan odbiegł i skoczył na ponton, który dopiero co podano z brzegu i właśnie łączono go z tym, na którym stał generał. Kilku żołnierzy przywiązywało do niego linę, aby koniec podać nurkowi; prąd znosił pontony i trzeba je było przymocowywać do skał na dnie.

Raptem z przodu rozerwał się pocisk. Som zatoczył się i omal nie wpadł do wody. Żołnierz przytrzymał go i wyciągnął z powrotem. Lina wysliznęła się żołnierzowi z rąk i powoli rozwijała się, a ponton zaczęło znosić na lewo.

Zotow podbiegł i złapał za linę, która już rozkręciła się prawie do końca, i zaczął ciągnąć do siebie. Szumakow był obok i też chwycił za linę. Pocisk uderzył z tyłu, trochę poniżej mostu — oblało ich wodą, jakby stali na dziobie statku, a za burtą szalał sztorm.

— To nie dla was miejsce! — huknął Szumakow nad samym uchem Zotowa. — Proszę do schronu.

Generał nie odpowiedział — może nie słyszał, a może udawał, że nie słyszy... Wciąż jeszcze z całej siły naciągał linę, drugi jej koniec nurek już umocował na dnie, okręciwszy nią granitową bryłę. Ponton był już prawie na miejscu — trzeba go było tylko jeszcze troszkę doposażać.

— Przedstawcie nurka do odznaczenia! — krzyknął Zotow zwracając się twarzą do Szumakowa. — To bohater!

— Tak jest! Proszę do schronu! — jeszcze raz powtórzył Szumakow.

Teraz już ponton stał na miejscu i z góry podawano nowy. Trzeba go było tylko przymocować, ale z tym mogli poradzić sobie i bez generała.

— Chodźmy — odpowiedział Zotow i oddał koniec liny jednemu z przebiegających żołnierzy.

Ogień niemiecki wzmagał się. Pociski już gęsto kładły się dokoła, w sam most jeszcze żaden nie trafił, ale odłamki z groźnym świstem przecinały powietrze. Zotow pobiegł pierwszy. Szumakow pośpieszał za nim. Światło rakiet padało na przygarbione masywne plecy generała. Do diabła, uśmiechnął się sam do siebie Szumakow, mimo wszystko stary nie należy do tchórzliwych. Pobiegli do ukrycia, które wykopali kiedyś jeszcze Niemcy. Z wąskiej szczeliny wyskoczył na górę Som. Głowę miał na przedce owiniętą czymś białym. Szczupły, o smagłej twarzy przypominał Hindusa w turbanie.

— Dokąd? — zawołał Zotow.

— Tam — wskazał ręką Som.

— Dasz radę?

— Dam!

— No to idź — skinął mu na pożegnanie Zotow. — Z tarczą albo na tarczy! — Z trudem przetaszczył swoje otyłe ciało przez przedpiersie okopu i zniknął w głębi wąskiej szczeliny.

Pociski wybuchały jeden za drugim. Wszystko dokoła huczało i dygotało, brzeg lekko drżał i zdawało się, że coraz niżej osiada w Dnieprze. Prawdopodobnie zaczęło się już rozwidniać, ale dokładnie trudno było powiedzieć, gdyż niebo jaśniało i migotało, i świt rozplýwał się, nie miał sił przedrzeć się przez gęstą zasłonę boju, która kołysała się ponad wszystkim.

— Ja będę wyżej! — krzyknął Szumakow Zotowowi. — Może już łączność podciągnęli.

— Rób swoje — odpowiedział Zotow. — Nie zapomnij przedstawić nurka. I Soma także.

Aha, i Soma. Szumakow przypomniał sobie, jak Zotow dzisiaj złościł się i groził Somowi. No cóż, człowiek to skomplikowany mechanizm. Widocznie taki jest Zotow również.

Szumakow drapał się na górę. Z przodu dwaj sanitariusze prowadzili pod rękę rannego, trochę dalej na prawo jeden szedł sam, opierając się na kijku jak biblijny pasterz. Trzeci siedział w leju, na pewno postanowił odpocząć. Sanitariusze na moment zatrzymali się przy tym, co siedział, i jeden z nich krzyknął:

— Uciekaj stąd, bracie! Dobiją cię, gady!

Ranny podniósł się z trudem i powłókł dalej.

Kanonada stawała się huraganowa, ogień z wody górnej przenosił się tutaj. Szumakow obejrzał się i zobaczył, że wokół mostu rozrywa się już teraz znacznie więcej pocisków. Cóż, Tereszczence rzeczywiście ulżyło, to fakt. Pomyślał znów o Zotowie, ale już teraz bez złości. Dziwna rzecz! Nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. Gdyby nie Zotow, Tereszczenko straciłby tej nocy trzy czwarte swoich żołnierzy.

Naprzeciw biegł Hołoborodko.

— Towarzyszu dowódco dywizji, jest łączność z pułkami!

— Gdzie macie termos?

— W samochodzie. Zaraz przyniosę.

Krzyczeli obaj z całej siły, ale huk był taki, że trudno było cokolwiek zrozumieć. Hołoborodko pobiegł zaułkiem tam, gdzie czekał Pokotyło z samochodem. Szumakow skręcił za róg. Pod ścianą, wprost na ulicy, siedziało kilku łącznościowców nad swoimi aparatami. Jeden z nich podał mu słuchawkę. Szumakow zatkał dłonią lewe ucho, a w prawym usłyszał głos Lemieszki.

— Zaczepili się! Przekażcie dowódcy dywizji, że się zaczepili!

— To ja, Lemieszko. Mówcie wyraźniej.

— Wybaczcie, towarzyszu dowódco dywizji. Pozwólcie zameldować.

— Meldujcie szybciej, do wszystkich diabłów!

— Kompania czołowa trzysta osiemdziesiątego czwartego pułku wylądowała na północnym przedmieściu.

— To znaczy, że zaczepili się! — wykrzyknął radośnie Szumakow.

— Tak jest, towarzyszu dowódcu dywizji!

— Ja zaraz będę — rzucił Szumakow i oddał słuchawkę telefoniście. Przepelniony uniesieniem, lubił teraz nawet podpułkownika Lemieszkę.

Szumakow szybko poszedł zaułkiem. Naprzeciw biegł Hołoborodko, trzymając przed sobą termos.

— Nie ma czasu, pędzej na stanowisko dowodzenia!

— Ja już nalałem, wypijcie — Hołoborodko podał mu nieduży plastikowy kubeczek.

Szumakow przystanął na moment i wziął herbatę z rąk adiutanta. Nie można było pić — taka gorąca. Szumakow zamachnął się, aby ją wylać, ale Hołoborodko złapał go za rękę. Musiał się poddać. Stał pośrodku zaułka i niecierpliwie dmuchał do kubka zeschniętymi wargami.

Naraz zza rogu wybiegł ktoś z zabandażowaną głową — Szumakow od razu poznał Soma. Kapitan coś krzyczał, ale nie można go było usłyszeć. Nareszcie podbiegł.

— Generał zabity — krzyknął. — Bezpośrednie trafienie w schron.

Szumakow machinalnie oddał kubek Hołoborodce.

— Tak. — Szumakow pobiegł z powrotem do zjazdu. Som i Hołoborodko biegli za nim.

Kiedy Szumakow wychylił się zza rogu, na samym szczycie zjazdu błysnął wybuch. Coś mocno uderzyło go w nogę — na moment przystanął, ciężko przyklękając na lewe kolano. Z rozdartej cholewy spływała krew.

— Samochód! Szybko samochód! — usłyszał głos Soma i zobaczył, jak Hołoborodko rzucił na ziemię otwarty termos i pobiegł.

14

Karabin maszynowy przeraźliwie jazgotał u szczytu tego półwyspu, do którego Razin kierował tratwę, ale pociski przelatywały nad głową, gdyż tratwa była już zbyt blisko brzegu. Razin niesamowicie wiosłował, zostało jeszcze dziesięć metrów wody, trzeba jak najprędzej zagarnąć ją pod siebie, dopóki Niemcy nie przeciągną karabinu maszynowego w takie miejsce, skąd można

będzie ostrzeliwać tratwę. Artyleria nieprzyjacielska tutaj już prawie zupełnie nie biła — desant zbliżał się do brzegu, Niemcy widocznie obawiali się, że pociski wpadną do okopów i porażą swoich.

Kilka metrów od brzegu Cygankow i Razin zeskoczyli do wody. Muchiddinow został przy karabinie maszynowym — z dołu nie można było strzelać, ale ranny nie mógł także wyjść razem ze wszystkimi na brzeg. Widział, jak z prawej i z lewej strony żołnierze ześlakują z tratew i z trudem wdzierają się na górę za Cygankowem i Razinem.

Niebo już zupełnie poszarzało, płomienie buchające z naróżnego budynku wydawały się nie takie jaskrawe i złowieszczo poczerwieniały. Dobrze, że właśnie ten budynek się pali, gdyż z jego okien byłoby najwygodniej ostrzeliwać żołnierzy, którzy czołgali się z dołu do nieprzyjacielskich okopów i czekali tylko na sygnał, aby rzucić się do walki wręcz.

Niemcy przyczaili się, jakby w okopach nie było ani jednego żołnierza. Ale raptem, jak na komendę, wybuchło przed okopami kilka granatów. Muchiddinow usłyszał głuchy jęk kilku rannych. Potem zobaczył, jak Razin szybko poderwał się i z zadziwiającą przy swojej masywnej postaci zręcznością skoczył do okopu.

Z rozpędu upadł ciężko na coś miękkiego i poczuł od razu, że ktoś się na niego zwałił. Cygankow właśnie się podniósł, aby też skoczyć do okopu, i zobaczył, jak Niemiec, który zawisnął na plecach Razina, zamachnął się finką. Cygankow nacisnął spust swego automatu, ale rozległa się nie cała seria, lecz tylko pojedynczy wystrzał. Niemiec, do którego strzelał, wypuścił z rąk finkę i ciężko przygnoił Razina.

Widocznie ten drugi, który zaszył się w kącie, kiedy na Razina napadł jego towarzysz, pomyślał, że Cygankowowi zaciął się automat. Wyskoczył ze swego ukrycia i złapał sierżanta za nogi, Cygankow stracił równowagę i spadł w dół.

Rowem łączącym biegło jeszcze dwóch Niemców. Wychylił się zza rogu piaszczystej ściany z automatami w pogotowiu, ale ten, co chwycił Cygankowa za nogi, był na górze, więc nie mogli strzelać.

Ściśnięty z obu stron ścianami wąskiego rowu Razin

zrzucił z siebie trupa pierwszego Niemca, wygramolił się spod niego właśnie wtedy, kiedy z rowu łączącego wyłoniło się tych dwu. Obserwując towarzysza szamoczącego się z Cygankowem, Niemcy nie zauważyli Razina, tak że ten krótką serią ściał ich obu. Jeden od razu zwałił się martwy, a drugi, widocznie raniony w brzuch, krzyknął głośno, zatoczył się do tyłu i wypuściwszy z rąk automat, oparł się plecami o ścianę, stał i krzyczał nieprzytomnie i dziko. Krzyk ten nawet Razina napełniał grozą, a Niemiec, który powalił Cygankowa, puścił go raptem i odwrócił się — może właśnie przez ten krzyk.

Razin i jego ściał krótką serią.

Cygankow podniósł się z trudem. Bardzo bolała go głowa, Niemiec zdążył dwa razy uderzyć go kolbą. W tym samym czasie, gdy sierżant, oparłszy się o ścianę, wracał do przytomności, Razin skoczył do rowu łączącego i wyjrzał za róg. Głęboki, zrujnowany w kilku miejscach przez pociski rów był zupełnie pusty. Razin wyjrzał z okopu i zobaczył dwóch żołnierzy ze swego plutonu, którzy leżeli za sąsiednim okopem i strzelali w stronę płonącego budynku.

Wrócił do Cygankowa, aby mu pomóc, ale ten stał już na przedpiersiu okopu i dawał jakieś znaki Muchiddinowowi.

— Przecież on ranny, nie da rady sam przyciągnąć — powiedział Razin, domyślając się, że Cygankowowi potrzebny jest karabin maszynowy.

— Skocz ty! — krzyknął Cygankow.

Razin stoczył się z przedpiersia i pochylając się, biegł brzegiem. Rozwidniło się już zupełnie, obejrawszy się, zobaczył, że bój toczy się już za pierwszą linią nieprzyjacielskich okopów.

— Żyjesz? — zapytał Razin Muchiddinowa, chociaż dorzeczniej by było, gdyby Muchiddinow zapytał o to Razina, który dopiero co wyrwał się z piekła.

— Żyję.

— Pomóż mi. — Razin z ogromnym wysiłkiem władował sobie na ramiona karabin maszynowy, nie czekając, aż Muchiddinow mu pomoże, i przytrzymując go jedną ręką, drugą chwycił żelazną skrzynkę z taśmami.

Muchiddinow wstał również, ale od razu zajęczał.

— Obejdziemy się bez ciebie! — krzyknął Razin, stojąc już na lądzie. — Czekaj na sanitariusza.

Z trudem pobiegł brzegiem, uginając się pod ciężarem karabinu. Potem postawił go na kółkach i pociągnął na górę, wdrapując się po stromym stoku tam, gdzie miał czekać Cygankow.

Cygankow jeszcze tam był. Wychyliwszy się lekko z okopu, z daleka wybierał miejsce dla karabinu maszynowego. Kiedy z tyłu zjawił się Razin, wiedział już, że najlepiej będzie przedostać się jakoś do budynku sąsiadującego z tym, który się palił, i z okien pierwszego piętra ostrzeliwać dużą przestrzeń na tyłach niemieckich okopów, gdzie hitlerowcy, którzy ocaleli w czasie walki wręcz, usiłowali się umocnić.

— Biegiem pod szopami! — powiedział Cygankow, wziął od Razina skrzynkę z taśmami i pobiegł.

Ciężko dysząc, Razin też pobiegł. W tej chwili Cygankow zobaczył, że w oknie, które wybrał dla swojego karabinu maszynowego, błysnął biały płomyk, i niemal że w tym samym momencie rozprysła mu się pod nogami seria z karabinu maszynowego. Cygankow cofnął się gwałtownie i omal nie zbił z nóg Razina, który szedł za nim, ciągnąc za sobą karabin maszynowy.

Przywarli do ściany i stali, zastanawiając się, co robić. Raptem z przodu dało się słyszeć czyjeś ochryple sapanie i nierównomierne kroki, jakby ktoś szedł utykając na nogę. Razin wyjrzał ostrożnie za róg i zobaczył Muchiddinowa. Podpierając się automatem i utykając mocno na lewą nogę, ukazał się on po tamtej stronie szopy i szedł, nie kryjąc się wcale.

— Gdzie leziesz? — krzyknął Razin. — Padnij!

Muchiddinow przypadł do ziemi i leżał właśnie w tym miejscu, gdzie przedtem uderzył z okna niemiecki cekaemista. Ale teraz karabin milczał.

Muchiddinow poleżał z minutę i odczołgał się z powrotem. Cygankow uważnie obserwował okno, lecz płomyk więcej się w nim nie ukazał. Raptem w oknie mignęła kobieca twarz — Cygankow wyraźnie ją widział — kobieta o siwych włosach, pod pięćdziesiątkę.

Pierwsze, co przyszło mu na myśl: Widzisz, kto strzelał? Żmija! Ale od razu coś mu podpowiedziało: To nie-

możliwe! Nie, kobieta o takiej twarzy nie mogła strzelać do swoich.

Cygankow dał ręką znak Razinowi, nakazując mu czekać, a sam pobiegł przez ulicę do bramy. Okno milczało. Na lewo w zaułku kilku żołnierzy leżało za dużym kamieniem i ostrzeliwali wzdłuż lewą stronę ulicy, którą on biegł. Szarpnąwszy drzwi, Cygankow puścił długą serię w bramę, potem zajrzał tam — wewnątrz nikogo nie było.

Skinieniem ręki przywołał swoich. Przez ulicę przebiegł Razin. Karabin na górze milczał. Teraz spod szopy wysunął się Muchiddinow. Szedł wolno, coraz bardziej utykając na zranioną nogę. Razin stał w pogotowiu ze swoim automatem. Cygankow nie spuszczał oka z okna na górze. Ale nieprzyjaciel nie odezwał się nawet wtedy, kiedy stary, kuśtykając, powoli przechodził przez ulicę.

Pojedynczo, w takiej samej kolejności jak poprzednio, weszli po schodach na piętro. Cygankow otworzył drzwi, gdzie według jego obliczeń powinno być właśnie to okno. Na parapecie zobaczył karabin maszynowy, a dalej martwego Niemca. Kobieta stała pod ścianą naprzeciw.

— Razin! — krzyknął Cygankow, nie zauważywszy, że Razin stoi obok niego. — Sprawdź pomieszczenia na dole. Szybciej!

Razin pobiegł w dół, kroki jego głośno dudniły na drewnianych schodach. Cygankow został na górze i nie odrywając wzroku, przez na wpół otwarte drzwi przyglądał się kobiecie.

Stała w jakimś dziwnym odrętwieniu, nieruchoma, i przez cały czas patrzyła ponad martwym Niemcem w okno. Twarz jej jak gdyby skamieniała, nie drgnął na niej ani jeden nerw. I tylko łyzy ciekły po policzkach i wielkimi kroplami padały na podłogę.

Przyglądając się jej, Cygankow usiłował zrozumieć, co jej się stało — opłakiwała zabitego czy też były to łyzy radości, wywołane tym, że on nareszcie nie żyje? Wiedziała przecież, że w budynku są swoi: ciężki tupot butów na skrzypiących, drewnianych schodach, rozkaz wydany Razinowi, aby obejrzał budynek w dole — nie mogła nie wiedzieć, że w budynku ktoś jest!

Z dołu zawołał Razin:

— Nie ma nikogo!

— Chodź tutaj! — odpowiedział mu Cygankow i rozkazał Muchiddinowowi: — Patrz uważnie na drzwi.

Razin wbiegł na górę i razem z Cygankowem weszli do pokoju. Odepchnęli martwego Niemca od okna, zdjęli na podłogę jego karabin maszynowy i ustawili swój na parapecie. Cygankow ostrożnie wyjrzał na ulicę. Widać stąd było błękitny skrawek Dniepru, który przeświecał między narożnymi budynkami.

— Obserwuj ten zaułek. Oni się tam będą wycofywać!

Razin już przygotowywał karabin, zamierzając ostrzeliwać zakręt. Cygankow odwrócił się do kobiety — stała nieruchomo, tak jak przedtem, i łzy wciąż płynęły jej po policzkach. Ale twarz nie wydawała się już taka skamieniała. Policzki drgały, a usta trzęsły się nerwowo, jakby zaraz miała wybuchnąć głośnym szlochem.

Cygankow spojrział na nią, a potem popatrzył na ścianę naprzeciw okna: nie widać było na niej śladów pocisków. Nawet oszklone fotografie nie były rozbite.

— Skąd do niego strzelano? — zapytał zdziwiony Cygankow.

Kobieta odpowiedziała tylko ruchem głowy, jakby nie mogła wydobyć głosu. Ale Cygankow raptem zrozumiał, że nikt do Niemca nie strzelał, i to go zdumiało.

— To pani go tak ukołysała?

Kobieta znowu lekko skinęła, usta jej zaczęły drżeć jeszcze bardziej.

— W jaki sposób?

— Posłał mnie na dół... po wino... Ale kiedy wróciłam, zaczął celować do was — ledwo dosłyszalnie powiedziała kobieta.

Cygankow spojrział na zabitego — obok niego leżała na pół odkorkowana butelka.

— Nawet się nie rozbiła! — mruknął Razin. — Słabe teraz mają kości.

Na twarzy kobiety zjawił się jakby uśmiech, choć łzy popłynęły jeszcze obficie, kapiąc na zdeptane trzewiki.

— Jak się pani nazywa? — zapytał Cygankow. Chciał zapamiętać sobie jej imię, zdając sobie sprawę, że ta kobieta ich uratowała.

— Kławdija Charytoniwna — odpowiedziała cicho.

— Ale nazwisko — dopytywał się Cygankow.

— Kławdija Charytoniwna — powiedziała jeszcze ciszzej, jakby nie rozumiała, o co mu chodzi.

— Towarzyszu starszy sierżancie! — zawołał Razin.
— Niemcy!

Cygankow podbiegł do okna i na zakręcie zobaczył czterech Niemców. Ustawiali ciężki karabin maszynowy, kierując go w stronę Dniepru.

— Proszę zejść na dół — powiedział do Kławdii Charytoniwny. — Tu niebezpiecznie.

Nie odrywał wzroku od ulicy, ale wiedział, że kobieta nie poszła.

— Bij! — krzyknął do Razina, i ten nacisnął spust. Długa seria napełniła pokój ogłuszającym łoskotem.

— Gotowi! — radośnie wykrzyknął Razin. — Wszyscy czterej, jak jeden!

Cygankow znów wyjrzał. Niemcy leżeli pokotem na swoim karabinie. Prawdopodobnie nie zdążyli nawet zrozumieć, skąd podkradła się do nich śmierć.

— Spisałeś się, Razin! — Cygankow klepnął go po ramieniu. — Przyglądaj się uważnie! — Odszedł od okna i wziął pod rękę Kławdiję Charytoniwnę. — Chodźmy stąd. Tu niebezpiecznie.

Dopiero teraz rozpląkała się na głos. I zdawało się, że płacz ten nie był ani wyrazem radości, ani głosem rozpacz, lecz tylko skutkiem rozładowanego, nadzwyczajnego napięcia, które kobieta powstrzymywała przez dwa długie lata i dłużej już powstrzymać nie mogła. Szczupłe ramiona spazmatycznie drżały i przez głuche pochlipywanie ledwie można było zrozumieć: — Swoi... Swoi...

15

Szumakow na wpół leżał na tylnym siedzeniu swej emki, którą podrzucało i kołysało na drodze. Pokotyło mknął przez ciemne zaułki, i koła z rozpędem wpadały na kawałki cegieł i krawężniki chodników, kiedy trzeba było ominąć lej lub niewielki zwał gruzu. Każdy wstrząs boleśnie odbijał się w zranionej nodze, ból ostro uderzał do mózgu, i Szumakow co chwila przygryzał wargi, aby nie jęknąć.

Głowa dowódcy dywizji leżała nisko, tak że przez okna samochodu nic nie mógł zobaczyć. Naraz wydało mu

się, że jadą powoli, gdyż schron jest niedaleko, a jego tak długo wiozą.

— Stój! — krzyknął Szumakow. — Gdzie wy jedziecie?

— Do batalionu sanitarnego, towarzyszu dowódcu dywizji — powiedział przechylając się z przedniego siedzenia Hołoborodko.

— Zatrzymać wóz! — Szumakow spróbował wstać. Krzyknął tak niesamowicie, że Pokotyło gwałtownie zahamował. — Zawracaj na stanowisko dowodzenia!

— Towarzyszu dowódcu — próbował przeciwstawić się Hołoborodko, ale zaciął się, nawet w mroku dojrzał w oczach Szumakowa taki gniew, że nie ośmielił mu się przeciwstawić.

Hołoborodko dotknął ręki Pokotyły, jakby sankcjonując wykonanie rozkazu dowódcy dywizji. Od czasu jak Szumakowa raniło, Pokotyło zerkał już tylko na adiutanta, jak gdyby tkwiący w nodze niemiecki odłamek pozbawił dowódcę dywizji prawa rozporządzania samym sobą.

— Ech, wy ośle głowy! Szumakow próbował się uśmiechnąć. Myślicie, że dowódca dywizji na jednej nodze to już nie dowódca?

Pokotyło szybko zawrócił samochód i dojechał do rowu łączącego wiodącego na stanowisko dowodzenia. Do samego schronu nie odważył się jednak podjechać, a poza tym przeciwstawiać się Szumakowowi nie miał już ochoty.

Nie, nie trzeba było dzisiaj pchać się w to piekło! Zadaniem dowódcy jest kierować dywizją, a nie budować przeprawy i świadomie pchać głowę pod ogień. Pod Huescą — co innego, tam dowodził batalionem i wszystko zależało od tego, kto pierwszy poderwie się i krzyknie: „Naprzód!” I gdyby on nie wstał, batalion leżałby nadal w tej przeklętej dolinie, faszyści wystrzelaliby ich z góry co do jednego, jak kaczkę. Tam miał obowiązek podnieść się pierwszy, chociażby dlatego, aby pokazać tym przeklętym anarchistom, jacy są komuniści i ludzie radzieccy.

Ale po co było leżeć tutaj? Aby w gorączce walki zostawić dywizję bez dowódcy? A może po to, aby trafić do szpitala na tyłach, a potem do wydziału kadr, skąd już do swojej dywizji w ogóle człowiek nie wróci?

Od czasu jak przeszedł z nią od Rostowa do Stalingradu, a później cały szlak od Wołgi do Dniepru, nie chciał się z nią rozstawać. Zbyt wiele wiązało go z jej sprawami, z jej ludźmi.

Tylko nie do batalionu sanitarnego! Stamtąd jest jedna droga — na zaplecze i do wydziału kadr.

Upierać się przy tym do końca. Wykorzystać nawet swoje stanowisko dowódcy dywizji. Wszędzie, gdzie im się podoba, aby tylko nie do batalionu sanitarnego.

Kiedy wniesiono go do schronu, Sztukarenko rzucił się na Hołoborodkę.

— Czyście zwariowali? Po coście tu przywieźli rannego?

Hołoborodko wyprężył się na baczność i bezradnie zamrugał oczyma.

— Towarzyszu pułkowniku, proszę nie krzyżeć — spokojnie upomniał go Szumakow. — Meldujcie sytuację.

— Posłuchaj, Iwanie Siemionowiczu — zaczął Sztukarenko, ale Szumakow nie pozwolił mu skończyć.

— Hołoborodko, wezwijcie lekarza.

— Rozkaz! — adiutant trzasnął obcasami i wybiegł.

— Sytuację! — cicho powtórzył Szumakow, zwracając się do podpułkownika Lemieszki. Położył się na kanapie. Sztukarenko wsunął mu pod głowę swoją podpinkę z króliczego futerka. — Dziękuję — powiedział Szumakow.

Lemieszko wziął mapę i pochylił się, aby rozłożyć ją na kanapie przed dowódcą dywizji. Szumakow zobaczył jego rzadziutkie kosmyki, podobne do wyschniętej trawy; skrócone w spiralki zakrywały jako tako łysinę szefa sztabu. Aha, to on w ten sposób osiąga taki wspaniały efekt, uśmiechnął się sam do siebie Szumakow. Uśmiechu nikt nie zauważył, przypominał on raczej grymas. Noga zaczęła boleć aż do samego uda, napiął się jakiś nerw i przez cały czas drżał, jakby bezustannie przypominał o swoim istnieniu.

Spojrząwszy na mapę Szumakow zapomniał o swojej nodze i o Lemieszce. Czort z nim — z jego wstrętnymi kędziorkami; działania jednostek śledzi z pełną znajomością sprawy, a to najważniejsze. Szumakow wydał parę aktualnych rozporządzeń i rozkazał przeprowadzić na prawy brzeg jeszcze jeden batalion Tereszczutki. Ważne jest, aby zgromadzić tam jak najwięcej środków przeciwpancernych w budynkach, które udało się już zdobyć.

Lemieszko wyszedł do ciasnej komórki, gdzie czekali oficerowie łącznikowi.

— No, teraz trochę odpocznij — powiedział Sztukarenko.

— I trzebaż było złapać odłamek w takim momencie! — wymamrotał smutnie Szumakow, uśmiechając się z poczuciem winy.

— Odłamek jest głupi — powiedział Sztukarenko i przysiadł się do niego. — Pcha się w nie swoje sprawy, a najważniejsze, że zawsze w nieodpowiednim czasie.

— Ale ty mnie przypadkiem nie zdradź. — Szumakow położył mu rękę na kolanie. — Wytną go jakoś na miejscu, zaszyją i koniec. — Szumakow żartował, ale w rzeczywistości prośba ta nie była żartem. Zdawał sobie sprawę, że teraz jego los w ręku Sztukarenki: wszystko zależy od tego, jak on zamelduje dowódcy armii o jego zranieniu.

— Możesz na mnie polegać — uspokoił go Sztukarenko — ale głupstw ode mnie mimo wszystko nie żądaj.

Rozmawiali przyjaźnie, ale myśleli o czym innym. Pojawienie się czołgów na prawym brzegu, jak zdawało się Sztukarence, w jakiejś mierze wyjaśniało, dlaczego Niemcy jeszcze dotychczas nie wysadzili zapory. Nieprzyjaciel nie tracił nadziei, że uda mu się zlikwidować przyczółek. Mimo wszystko te osiem dywizji, które okopały się w bagnach, dla Niemców teraz wiele znaczy.

Hołoborodko przyprowadził lekarza znacznie szybciej, niż Szumakow przewidywał. Adiutant nie pojechał do batalionu sanitarnego, lecz udał się do sztabu batalionu, który właśnie podciągnięto do przeprawy.

Rana okazała się groźniejsza, niż Szumakow przypuszczał. Odłamek nie naruszył kości, ale utkwiał bezpośrednio przy niej i trzeba go było jak najszybciej usunąć, aby nie narobił biedy.

Lekarz poruszył jak mors swymi wąsami i pocmokał ze smutkiem grubymi, sinymi wargami.

— No to jedziemy. — Mówił on niskim basem i usiłował trzymać się z dala, aby Szumakow nie domyślił się, że popija spirytus.

— Gdzie jedziemy?

— Jak to? Do batalionu sanitarnego.

— Nigdzie nie pojedę.

— Pojedziecie — surowo powiedział lekarz i zaczął składać swoje instrumenty.

— A wiecie co? — powiedział Szumakow. — Wytnijcie ze mnie kotlet na miejscu, i po wszystkim.

— Ja nie jestem rzeźnik — obraził się lekarz i koniuszki jego wąsów groźnie się poruszyły.

— To rozkaz! — zaczął się złościć Szumakow.

— Rannym ja rozkazuję! — krzyknął lekarz.

— Czy wyście oszaleli? — cicho zapytał Szumakow.

— Pomóżcie pułkownikowi się ubrać — rozkazał lekarz Hołoborodce.

— Słuchajcie, róbcie, co do was należy, a ja będę robił swoje. — W głosie Szumakowa zabrzmiały pojednawcze nuty.

Ale lekarz rozgniewał się nie na żarty.

— Komu ja rozkazałem? — krzyknął na Hołoborodkę, ze złością chwycił swą torbę i wybiegł, trzasnąwszy drzwiami.

— Wariat! — zajęczał Szumakow.

Sztukarenko wyszedł i dopędził lekarza.

— Według was to naprawdę coś poważnego? — zapytał.

— A według was kawał żelaza w ciele to żarty? — odciął się lekarz.

— Ja nie pytam w ogóle — powtórzył Sztukarenko.

— A skąd ja mam wiedzieć? Gdyby był szeregowcem, dawno by już leżał na stole operacyjnym. Miałby lekarz czas, pogrzebałby się, a nie miałby — odciąłby nogę aż do kolana, aby uratować życie. Ale wyższe dowództwo samo decyduje. Opiera się, wydziwia, dopóki nie przyplącze się tęzec...

Cóż, lekarz ma rację. Mówi prawie brutalnie i spirytusem od niego zalatuje, ale zna się na rzeczy.

Dlatego też złości się, nieraz już widział, jak ludzie giną czasem przez swoją głupotę.

Sztukarenko wrócił do schronu.

— No i co, sprzedałeś mnie temu eskulapowi? — Szumakow spojrział na niego spode łba.

— Trzeba jechać. — Sztukarenko wziął płaszcz z rąk Hołoborodki. — Nic nie poradysz. Jeśli on zamelduje dowódcy armii, to gorzej będzie, niż gdybym ja zameldował.

Szumakow podniósł się i usiadł. To, co mówił Sztukarenko, brzmiało przekonująco, chociaż w rzeczywistości było katastrofą.

— No, to daj łapę! — Szumakow uściskał mu rękę, usiadł na desce oderwanej od skrzyni po pociskach, którą z obu stron trzymali żołnierze, i objął ich za szyję. Kiedyś, jeszcze w dzieciństwie, lubił, gdy nosiła go tak matka i starsza siostra. Przypomniał to sobie teraz i uśmiechnął się do wszystkich na pożegnanie.

— Jak będziecie się przeprowadzać, niech Prychodko przewiezie i moje rzeczy na nowe miejsce.

— Wszystko będzie w porządku — uspokoił go Sztukarenko.

W wąskim rowie łączącym nie mogli się zmieścić we trójkę, więc Szumakowa musieli nieść bokiem. Jeden z żołnierzy szedł tyłem i dlatego posuwali się dosyć wolno. Siedząc na desce i trzymając się żołnierzy za szyję, Szumakow myślał o Sztukarence. Instytucję komisarzy można było znieść — rozkaz jest rozkazem. Ale przyjaźń dwu ludzi, którzy potrafią dzielić odpowiedzialność w boju — zostaje.

16

Trzeba było podjąć jakąś decyzję. Ludzkie siły mają swoją granicę. Charkewicz wiedział, że jeśli jeszcze trochę powisi tak na ścianie, opierając się na jednym haku nogą, a za drugi trzymając się rękami, zubożętnieje na wszystko i wtedy — koniec. Spadnie w dół albo nieświadomie uczyni coś takiego, czego nie można robić. Zmęczenie łamie nawet metal — wiedział o tym.

Tego, co odbywało się dokoła zapory, nie mógł zrozumieć. Niemcy bili gdzieś po tamtej stronie Chortycy, później przenieśli ogień powyżej zapory. Z otworu, przy którym stali razem z Amiradzem, nie widać, dokąd. Działo się coś ważnego — to oczywiste, ale czekać na rozwiązanie tego, co się tam działo, nie było sił.

Amiradze wisiał obok, przyciśnięty do Charkewicza. Na dworze zaczynało się już rozwidniać i w bladym świetle świtu majaczyła jego twarz — ciemna, chuderława. Sandro miał zawsze głęboko osadzone oczy, ale teraz bly-

skały one jak z głębi tej przepaści, nad którą wisiał, policzki zapadły mu jeszcze bardziej i w twarzy został tylko nos. Cienki, spiczasty jak dziób, z garbkiem pośrodku, jak gdyby ugiął się pod ciężarem okularów, chociaż Amiradze okularów nigdy nie nosił. Wytrzymałość ludzka ma swoje granice, pomyślał Charkewicz, spojrzawszy na niego. Przeciagniesz strunę, i po wszystkim.

Teraz, kiedy cały ogień przerzucił się na drugą stronę zapory, tutaj zrobiło się ciszej. Tylko wstrząsy były silniejsze, jakby woda górna stanowiła jedną całość z zaporą, i każdy wybuch pocisku w Jeziorze Lenina odbijał się bezpośrednio i w niej.

— Trzeba coś robić — odezwał się w końcu Charkewicz.

— Wyjdę na górę — odpowiedział natychmiast Amiradze, jakby już dawno czekał na te słowa i zawczasu je przemyślał.

— Tutaj i tak koniec — dodał Charkewicz, chociaż wiedział, że Amiradze rozumie to nie gorzej od niego. — Wyłaź! — Amiradze przesunął automat na piersi, szykując się do wyjścia z otworu. — Tylko rozejrzyj się, nie strzelaj.

Amiradze skinął głową i wspiął się na górę. Stanął na skraju grubej ściany i wyrżał. Charkewicz widział, z jakim napięciem rozgląda się wokoło; potem zsunął się na gzyms i zniknął.

Co będzie, jeżeli Niemcy dostrzegą, że na zaporze ktoś został? Wysadzą ją bezzwłocznie czy też jeszcze raz spróbują zlikwidować niebezpieczeństwo, tak jak wówczas, kiedy wykryli żołnierzy Rudia?

Gdyby ktoś z zapory nie rzucił granatu, wszystko być może potoczyłoby się inaczej. Niemcy, którzy wyszli po drzewo, nikogo by nie zauważyli, widać to było z ich zachowania, z tego, jak beztrąsko wyjmowali papierosy z kieszeni i śmiali się głośno, jak gdzieś u siebie w Bawarii po trzech kuflach piwa. Kto rzucił z góry ten przeklęty granat, a przede wszystkim po co?

Charkewicz czuł, że mać mu się w głowie. Wiedział, że jeśli zaśnie wisząc nad przepaścią, to śmierć, a jednak nie mógł z sobą nic zrobić. Jak kierowca, który całą dobę siedzi za kierownicą i wie, że jeśli się zdrzemnie, to spowoduje katastrofę, lecz ze zmęczeniem nie ma już sił walczyć. Charkewicz odpiął pas, przerzucił sprzączkę

przez hak i mocno przyciągnąwszy drugi koniec, zawisnął na rzemieniu. Boże, dlaczego on wcześniej tego nie zrobił? Ileż razy widział, jak elektromonterzy wiszą na słupach przywiązani do nich pasami!

Ciało rozluźniło się, rozplynęło się po nim słodkie omdlenie. Ogarnęła go nieprzewyciężona senność. Widocznie coś podobnego przytrafiło się wówczas, w trzydziestym ósmym, kierowcy autobusu, którym jechali z Ksenią do Gurzufu. Szczęście, że autobus wpadł w gąszcz i sam się zatrzymał. Kierowca i tak się nie obudził, a kiedy pasażerowie powyskakiwali, on błogo pochylił się nad kierownicą i słodko chrapał.

Tego lata w ogóle szczęście dopisywało. Matce zrobiło się lepiej po tym wszystkim, co przeżyła, straciwszy męża. Ksenia czuła się prawie jak w siódmym niebie. Podanie do Komitetu Centralnego Komsomołu, które właściwie ona sama napisała, zrobiło swoje; zaproponowano mu nawet, aby wydrukował jakiś wiersz. Ale on pisał wiersze zupełnie nie po to, aby je drukować. A jednak szkoda, że odmówił — chociażby na złość Rudiowi warto było wydrukować.

Tak, tego lata szczęście dopisywało! Okna z pokoju wychodziły prosto na morze, Ksenia od rana do wieczora siedziała w wodzie, warkocz zupełnie jej wyblakł i wyglądał jak siwy, a opaliła się tak, że trudno było ją poznać. Tylko oczy błyszczały, takie same błękitne i odrobinę ironiczne — figlarne oczy!

Amiradze przeląkł się, kiedy zobaczył, że Charkewicz zwisa nad lochem jak nieżywy, przytrzymując się jedną ręką za hak; drugą zaś zwiesił jak martwą wzdłuż ciała. Nie wiedział, że on jest przywiązany pasem i obawiał się, że zaraz obsunie się i spadnie w dół. Amiradze ostrożnie zszedł i stanął tak, aby w razie potrzeby przycisnąć Charkewicza do ściany i nie pozwolić mu się obsunąć.

— Co się stało? — zapytał zaniepokojony Sandro, kiedy Charkewicz odwrócił się do niego twarzą.

— No, jak tam? — Charkewicz od razu się ocknął.

— Niemcy na drugim końcu, dziesięciu żołnierzy.

— A na brzegu?

— W dole dużo. Obok siłowni, tam gdzieś stali, bije teraz miotacz min.

— A na Dnieprze?

— Nasi widocznie jednak wylądowali. Na dalekim przedmieściu toczy się bój.

— Co robić?

— A może by tak uderzyć w plecy tej dziesiątce? Nie spodziewają się niczego, zaczną uciekać, gdzie kto może.

Charkewicz milczał. Co to da, jeżeli nawet tych, co są na zaporze, uda się rozbić? My uderzymy im w plecy, a oni z brzegu uderzą nas — też w plecy. A najważniejsze: może oni dotychczas dlatego tylko nie przekroczyli kontaktu, że swoi są na zaporze?

— Ci i tak się nigdzie nie podzieją — odpowiedział Charkewicz. — Lepiej zaczekać i zobaczyć, jaki obrót wezmą sprawy na brzegu. Będą uciekać z zapory, wtedy można na nich uderzyć. A co tam jeszcze? — zapytał.

— Kowalczuk leży...

Tak, Kowalczuk leży. Jemu już nic nie zagraża. Charkewicz wolną ręką dotknął ramienia Amiradzego, rozumiejąc, czym jest dla niego śmierć Kowalczuka. Chciał zapytać jeszcze o innych, prawdopodobnie na moście został niejeden z plutonu Rudia, ale to przecież oczywiste.

Poczuł się teraz dużo raźniej. Parę minut dziwnego snu nad wąską, ciemną studnią zrobiło swoje. Dziwne, jak niewiele potrzeba człowiekowi, aby go wskrzesić! Amiradze też lepiej wygląda niż przedtem, zanim wyszedł na górę; wprawdzie oczy i teraz świeciły niespokojnym, wewnętrznym ogniem, ale policzki wydawały się nie takie zapadnięte, a nawet zarumieniły się: widocznie z podniecenia i od mroźnego wiatru.

— Aby tylko nie przegapić momentu...

— Urządzimy się na górze, za kratownicami nikt nas nie zobaczy.

Charkewicz zawahał się, ale doszedł do wniosku, że Amiradzemu można zaufać: wychodził przecież za widna i wrócił.

— No to chodźmy! — powiedział stanowczo Charkewicz i ruszył za Sandrem na górę.

Rozwidniło się już zupełnie. Pociski kładły się znowu gdzieś na wschód od Chortycy. Płomienie wydawały się teraz już nie czerwone, jak w nocy, lecz błękitno-zielone, i huk rozlegał się w porannym powietrzu, toczył się w dół nad wzburzonymi wodami, z każdą chwilą narastając i zlewając się w bezustanny potężny ryk.

Gdyby Cygankow i Razin wiedzieli, kim jest dla Kławdii Charytoniwny Sołomija Myronenko, żałowałyby bardzo, że nie powiedzieli jej o tym, że widzieli ją dzisiaj w nocy. Tak samo i Muchiddinow, który w ciągu tych wszystkich dni przebywał razem z Charkewiczem, żałowałyby, że nie opowiedział jej o Ołehu Iwanowiczu, gdyby się domyślał, że oni znają się od dawna i mieszkali pod jednym dachem. Uderzywszy niemieckiego cekaemistę butelką po głowie, Kławdija Charytoniwna uratowała życie jeśli nie wszystkim trzem, to Cygankowowi i Razinowi na pewno. Spoglądając na nią ukradkiem, zdawali sobie sprawę, że ta kobieta w swoim życiu prawdopodobnie nawet muchy nie skrzywdziła i jeśli odważyła się na taki stanowczy uczynek, to wyjaśnić go można chyba tylko gniewem udręczonego serca, którego cierpienie przelało się już poza brzegi. Jak dobrze byłoby, gdyby w tej radosnej chwili spotkania z wyzwolicielami dowiedziała się, że żyją i ci, których kochała i o których przez te wszystkie dni bezustannie myślała. Ale żołnierze nie mogli wiedzieć o tym, co łączy tę kobietę z Sołomiją i Charkewiczem, a ona też nie mogła sobie wyobrazić, że spośród tysięcy ludzi, którzy forsowali Dniepr, przypadek sprowadził do niej właśnie tych trzech, którzy mogli jej o tym opowiedzieć. Stała więc i cicho płakała, wyczerpana i szczęśliwa, że wreszcie widzi swoich.

Cygankow wziął ją delikatnie za rękę i odprowadził do drzwi. W pokoju, gdzie stał karabin maszynowy, było naprawdę niebezpiecznie. Kławdija Charytoniwna posłusznie szła za Cygankowem. Kiedy znaleźli się już za drzwiami, rozległy się trzy wybuchy i budynek się zatrzęsł.

— Proszę zejść na dół! — krzyknął do niej Cygankow, a sam pobiegł z powrotem do okna, przy którym stał Razin.

Widać stąd było tylko część ulicy i zakręt zaułka. Wielki na pół zburzony budynek stał naprzeciwko — zasłaniał on miejsce, skąd dobiegały wybuchy. Cygankow wybiegł z powrotem na klatkę schodową. Kławdija Charytoniwna była już na dole. Z prawej strony stała wysoka drabina

przystawiona do kwadratowego otworu wiodącego na strych. Cygankow szybko wspiał się na górę.

Strych tonął w niebieskawym zimowym mroku. Z okrągłego okienka w dachu rozciągał się widok na dużą przestrzeń — była widoczna zapora podobna do potężnych pleców olbrzyma i płaska powierzchnia Chortycy, która wyzierała spoza zapory — okrągła i ciemna, jak pochylona do przodu głowa. Zdawało się, że olbrzym oparł się nogami o brzegi i powstrzymuje na swoich potężnych plecach napór całego Jeziora Lenina; daje on sobie z tym radę, gdyż woda nie zbija go z nóg i tylko pieni się przy brzegu. Z lewej strony, gdzieś z dołu, unosiły się ciemne obłoki dymu i kurzu, i gdyby czas pozwolił, aby na chwilę puścić wodze dziwacznej wyobraźni, można by pomyśleć, że powstrzymując napór, ten olbrzym pyka sobie jeszcze niewidoczną fajkę pod wąsem, którego końce zwisają prawdopodobnie aż do wody.

Na niebie kręciło się kilka samolotów, ale działa przeciwlotnicze im przeszkadzały, i samoloty były w rozsypce i pikowały pojedynczo, pośpiesznie zrzucając swój ładunek.

To znaczy, że przeprawa ruszyła, jeśli zjawily się samoloty, pomyślał Cygankow. Jak nasi dostaną się na Chortycę, trzeba będzie szybko przesuwać się do zapory. Niemiec nie lubi, kiedy łaskoczą go z tyłu. W ciągu trzech lat wojny nauczył się szybko orientować na polu walki, szczególnie gdy je widział tak jak teraz w całości.

Cygankow ruszył z powrotem. Okienko teraz świeciło z tyłu i strych wydawał się całkiem ciemny. Cygankow raptem wpadł na coś i boleśnie uderzył się w udo. Przyjrząwszy się, zobaczył wielki stół, a na nim kupkę cieniutkich sosnowych trzasek i jakieś szklane naczynie. Przypomniał mu się gabinet fizyczny w sarańskiej dziesięciolatce, gdzie również było sporo różnych słoików — wtedy mało się nimi interesował. Nie zatrzymując się, Cygankow wziął kilka szczap — nie wiadomo po co, po prostu tak sobie — i zszedł na dół.

Muchiddinow stał przy drzwiach i wyglądał przez szparę. Kławdija Charytoniwna siedziała w najdalszym kącie. Gdzieś daleko terkotał karabin maszynowy.

— Co tam? — zapytał Cygankow Muchiddinowa.

— Naciskają na Kulijewa.

— A jak twoja noga?

— Co tam noga! — burknął Muchiddinow. Spróbował stanąć pewniej na poranionej nodze, lecz zmarszczył się z bólu.

— Musisz pocierpieć, kiedy nasi posuną się trochę, to wyprawimy cię do batalionu sanitarnego — powiedział Cygankow, zdając sobie sprawę, że jego uspokajanie na nic się nie zda.

— Obejdzie się — burknął znów stary i pokuśtykał do okna, skąd wygodniej było prowadzić obserwację.

Cygankow wszedł kilka stopni wyżej, przechylił się przez poręcz i zobaczył Kławdiję Charytoniwnę.

— Na co te kołki? Szaszłyki piec? — zażartował, pokazując jej szczapy.

— Skądże! To zapałki — uśmiechnęła się Kławdija Charytoniwna.

Cygankow potarł jedną o ścianę, ale zapałka nie chciała się zapalić.

— Z początku trochę śmierdzi, ale potem się pali — zauważył Muchiddinow. Był on znacznie starszy od Cygankowa i pamiętał takie zapałki jeszcze z dawniejszych czasów.

— To pewien profesor robił — wyjaśniła Kławdija Charytoniwna.

— Dlatego się nie palą — roześmiał się Cygankow. — Jakby to był akademik, na pewno by się paliły. — Ucieszył się, że udało mu się ją rozweselić. — A pani jednak powinna zejść do piwnicy.

— Wystarczy — odpowiedziała — nasiedziałam się.

— A mimo wszystko, proszę zejść.

Kławdija Charytoniwna milczała. Cygankow postać jeszcze trochę i poszedł na górę.

W tej właśnie chwili Razin zawołał: „Czołg!”, i po oknie uderzył karabin maszynowy. Czołg sunął prawą stroną ulicy i serie odłupywały drzazgi z ramy okiennej, ale do okna pociski nie wlatywały. Cygankow podbiegł do drzwi i krzyknął w dół: „Czołg!”, a sam skoczył do kąta i chwycił granat.

Na ulicy rozległ się wybuch. Cygankow podbiegł do okna i zobaczył, że czołg zakręcił się na jednej gąsienicy, a druga leżała strzaskana na bruku. Muchiddinow jednak poczęstował go z drzwi wiązką granatów. Teraz

nieprzyjacielscy czołgiści spróbują się zatrzymać, jeśli tylko działa uda im się odwrócić w stronę budynku, i będą mogli się ostrzeliwać. Za chwilę, kiedy działa sterowało jeszcze w kierunku Dniepru, Cygankow cisnął swoją wiązkę z trzech granatów na korpus czołgu. Wybuch nastąpił w tylnej części. Cygankow widział, jak wieża z działem lekko podskoczyła i obsunęła się z miejsca. Czołg zatrzymał się i zadymił. Rozległ się jeszcze jeden wybuch — czołgiem szarpnęło od wewnątrz. Jakos bezwolnie przechylił się, i wieża obsunęła się na bok.

Cygankow wyskoczył na schody i zobaczył, że wyrwane z ramy drzwi wejściowe leżą na środku izby, a Muchiddinow czołga się od nich cały we krwi. Kławdija Charytoniwna wcisnęła się w kąt i pochlipywała bezgłośnie. Przez wyrwę w ścianie widać było jedną stronę czołgu, z którego buchał płomień i ciemny, tłusty dym.

— Trzeba go zabrać! Nie ma się co przyglądać! — krzyknął Cygankow, i ten stanowczy, a nawet trochę brutalny okrzyk zmusił Kławdiję Charytoniwnę do opamiętania; podbiegła do Muchiddinowa, i w ciszy rozległ się jęk rannego.

Przez wyłom widać było całą lewą stronę ulicy — daleko, przy samym jej końcu, pojedynczo przemykali się Niemcy wycofujący się znad Dniepru. Za rogiem zaułka, gdzie wciąż jeszcze stał niemiecki karabin maszynowy, leżeli zabici przez Razina cekaemiści. Z prawej strony, aż do miejsca, gdzie ulica skręcała w lewo, nikogo nie było widać i Cygankow zdał sobie sprawę, że w tym kierunku nietrudno się przesunąć. Ale rozsądniej było poczekać na tych Niemców, co bronili się w zaułku, aby uderzyć w nich, jak tylko się wychyła, otworzyć swoim drogę i ruszyć dalej razem z nimi. Żałował, że nie przystaszczył tu z piętra niemieckiego karabinu maszynowego: gdyby ustawić go na ganku, można by kontrolować całą ulicę.

Od drzwi ciągnęła się krwawa smuga do drugiego pokoju. Cygankow postanowił tam zajrzeć. Muchiddinow leżał na kanapie i cicho jęczał. Kławdija Charytoniwna krzątała się przy nim. Rozcięła nożycami skrwawiony rękaw bluzy powyżej łokcia. Na plecach bluza też była mokra; widocznie dostał dwoma odłamkami z własnej wiązki granatów.

— Co z tobą, bracie? — pochylił się nad nim Cygankow. Muchiddinow nie odpowiedział, z lekko otwartych ust wyrwał się tylko cichy jęk.

— Porządnie dostał, biedaczysko — westchnęła Kławdija Charytoniwna.

— Odesłać nie ma gdzie, to największa bieda — powiedział Cygankow. — My zaraz musimy stąd odejść.

Kławdija Charytoniwna z lękiem spojrzała na niego, ale zaraz spuściła wzrok. To jasne, że nie zostaną tutaj, nie po to przyszli, aby zatrzymać się w tym domu.

— Nie martwcie się. Ja się nim zajmę — powiedziała.

— Naprawdę?

— Mówię przecież, nie martwcie się.

— A to zabrać? — Dwa ordery i dwa medale Muchiddinowa leżały na stoliku. Kławdija Charytoniwna odpięła je, zanim jeszcze rozcięła mu bluzę.

— Zgubicie jeszcze. Ja schowam jak należy.

— No dobrze. — Cygankow pochylił się nad rannym. — Coś ty, Muchiddinow? Ech, damski krawiec!

Na piętrze zaterkotał karabin maszynowy i Cygankow jednym tchem znalazł się na ganku.

Na ulicy wciąż jeszcze nikogo nie było widać. Pobiegł na górę. Okazało się, że Razin obok swojego karabinu ustawił na parapecie także niemiecki i po prostu z ciekawości postanowił wypróbować, jak bije.

— Zwariowałeś?

— Sprawnie bije! — wykrzyknął Razin. Dopiero teraz Cygankow zobaczył na podłodze odkorkowaną butelkę, którą Kławdija Charytoniwna stuknęła tego Niemca — była już do połowy opróżniona.

Prawdę mówiąc, Cygankow zazdrościł Razinowi, gdyż sam nie był od tego, aby nie pociągnąć parę łyków, ale nie mógł sobie na to pozwolić.

— Ech, ty świnió! — obrugał Razina i z całej siły kopnął butelkę. Potoczyła się po podłodze i zatrzymała w kącie przy trupie Niemca.

Razin chciał coś odpowiedzieć, ale nie zdążył, bo właśnie w tej chwili w zaułku pojawiło się kilka zielonych postaci — Niemcy odstępowali i w biegu ostrzeliwali tych, co na nich nacierali. Równocześnie Cygankow zobaczył jeszcze kilku przy szopie, pod którą stali, kiedy posłał im serię ten, co leżał pod ścianą. Oba karabiny

maszynowe stały na parapecie, i Razin z Cygankowem uderzyli od razu z dwu luf. Serie krzyżowały się, jak tylko wrywały się z luf, i płomyczki też dotykały jeden drugiego. Ci Niemcy, do których bił Razin, nie wiadomo dlaczego wszyscy padali na wznak, jakby rzucali się, aby pływać po bruku na grzbiecie. Zza rogu ukazywali się wciąż nowi i nowi, chociaż nie mogli nie wiedzieć, że biją im w plecy. Ale widocznie i z przodu dobrze dostawali — innego wyjścia nie było.

— Uważaj, nie kropnij po swoich! — krzyknął Cygankow, obawiając się, że oni już lada moment ukażą się w zaułku.

Razin terkotał bez przerwy, twarz mu płonęła, przypadł i z taką furią naciskał na spust, jakby wrogiem był właśnie jego karabin maszynowy.

Pod szopą udało się położyć tylko czterech, reszta rzuciła się w tył i prawdopodobnie tam trafiła pod inne serie. Cygankow chciał i swój karabin skierować w zaułek, ale przeszkadzał mu Razin. Trzeba było uwolnić spust.

Za kilka minut zjawili się swoi. Byli to żołnierze z trzeciego batalionu, tak jak Cygankow przypuszczał.

— No, zabieramy się — powiedział Cygankow.

— A Muchiddinow? — zatrwożył się Razin.

— Trzeba go zostawić, dopóki batalion sanitarny się nie przeprawi.

Razin na moment zastygł. Przypomniawszy sobie, jak w czterdziestym pierwszym zostawiono go rannego u leśnika pod Charkowem, a później on prawie przez miesiąc przedzierał się do swoich, a i tak już nie trafił do macierzystego pułku, gdzie miał tyłu przyjaciół. Żał mu było starego Uzbeka, z którym zjedli niejedną beczkę soli. Pocieszał się tylko, że teraz już nie te czasy. Z okrażenia nie trzeba się przedzierać i swój pułk znajdzie, aby tylko wyzdrowiał i wrócił do sił.

We dwóch z Cygankowem zabrali oba karabiny maszynowe i szybko zeszli na dół. Mieli jeszcze dziesięć, piętnaście minut czasu, dopóki nie dołączą żołnierze, którzy nacierali.

— Wstąpię jeszcze do Muchiddinowa — powiedział Cygankow, stawiając na podłodze zdobyczny karabin. Dopiero teraz przypomniał sobie, że Muchiddinow ma

przy sobie legitymację partyjną, więc lepiej ją zabrać ze sobą. — A ty uważaj. W razie czego zawołaj.

Razin niechętnie skierował się do wyrwy w ścianie. Chciałby też spojrzeć na towarzysza, ale nie mógł się sprzeciwić — ktoś rzeczywiście musi obserwować.

Muchiddinow już oprzytomniał, ale oczy spoglądały lękliwie. Twarz bardzo pobladła i wydawała się bezradna. Zrobił ledwo dostrzegalny ruch, usiłując się podnieść, ale Kławdija Charytoniwna powstrzymała go.

— Widzisz, Muchiddinow, my z Razinem będziemy się przesuwali, a ty poleżysz tutaj. — Muchiddinow jeszcze raz się poruszył, nie godząc się na to. — Dziwaku, jakżeż ty z nami pójdiesz? Nie bój się, dziś jeszcze cię zabierzemy. Powiedz, gdzie jest twoja legitymacja partyjna?

Muchiddinow wskazał oczyma na bluzę. Cygankow ostrożnie rozpiął kieszeń i wyjął z niej małą paczuszkę, starannie owiniętą w papier i obwiązaną czarną nitką.

— Nie dowierzacie mi? — uśmiechnęła się Kławdija Charytoniwna.

— Taki rozkaz, wybaczenie.

— A ja swoją ustrzegłam przy Niemcach. A więc — i urwała w pół słowa.

— Proszę się na nas nie gniewać.

— Ależ nie. Bierzcie. Myślę, że ordery też lepiej zabrać. Nie wiadomo jeszcze, jak się to może odwrócić. — Teraz już nie czuła się urażona: mimo wszystko na wojnie różnie bywa.

Cygankow zgarnął na dłoń ordery Muchiddinowa i razem z dokumentami schował do mapnika.

— No, do widzenia. Dzisiaj go zabierzemy, choćby się nie wiem co stało! — Trudno było powiedzieć, komu on to obiecał — Muchiddinowowi czy Kławdii Charytoniwnie?

Cygankow chwilę jeszcze postać, następnie gwałtownie odwrócił się i wyszedł.

18

Lemieszko nie znosił Szumakowa tak samo jak Szumakow jego. Ani jeden, ani drugi nie miał ku temu żadnych konkretnych podstaw, gdyż obaj uczciwie i rze-

telnie wykonywali swe obowiązki i w duchu przyznawali to jeden drugiemu. O ile jednak Szumakow odnosił się do Lemieszki z niezłśliwą wyniosłością, tak jak każdy człowiek o bujnej naturze odnosi się do ograniczonego słuźbisty, o tyle Lemieszko nienawidził dowódcy dywizji tępo i zawzięcie, tak jak każdy ograniczony człowiek nienawidzi ludzi o szerokich horyzontach myślowych. To, na co mógł sobie pozwolić dowódca dywizji, nie było dostępne dla podwładnego, i znosząc ironiczne, a czasem i uszczypliwe uwagi na pozór spokojnie, Lemieszko żadnej z nich nie zapominał. Zazdrość i nienawiść, które Szumakow jakby naumyślnie podsycał swoimi żartami, gromadziły się i narastały, gotowe wybuchnąć przy pierwszej nadarżającej się okazji.

Teraz, jak mu się zdawało, nadeszła odpowiednia chwila — dowódca dywizji jest ranny i musi ustąpić. I Lemieszko zdecydował, że nadszedł czas jego działania.

Miał formalne prawo nie odprowadzać nawet dowódcy dywizji do samochodu, gdyż kierował bojowymi działaniami i był naprawdę zajęty. Szumakow rozumiał to i przy wyjściu ze schronu podał mu rękę.

— No, wszystkiego dobrego, Wiktorze Piotrowiczu — powiedział. — Liczę na was. Ja nie na długi.

— Bądźcie spokojni, towarzyszu dowódco dywizji. — Lemieszko trzasnął obcasami. — Wracajcie szybko do zdrowia.

Żołnierze ponieśli Szumakowa rowem łączącym. Szedł za nim ów surowy lekarz i Sztukarenko.

Za moment Lemieszkę trudno już było poznać. Stukając głośno swoimi wyglansowanymi butami, wrócił do schronu i przede wszystkim rozkazał telefoniście połączyć się z dowódcą armii. Wiedział, że dotychczas nikt jeszcze nie zameldował o tym, że dowódca dywizji jest ranny, ale on również nie mógł tego zrobić, dopóki Szumakow był tutaj. Teraz dowódcy dywizji nie było i Lemieszko bez wahania postanowił to zrobić. Przed nimi walki, a dywizja nie może zostać bez dowódcy, czekać, aż on wyzdrowieje.

Podczas gdy telefonista wywoływał sztab armii, Lemieszko połączył się z szefem wydziału operacyjnego, określił ściśle miejsca pobytu pododdziałów na wypadek, gdyby dowódca armii zainteresował się tym i trzeba było

składać meldunek. Stawiał krótkie, energiczne pytania, nie dosłuchiwał zdań do końca, gdyż rozumiał wszystko zaraz od pierwszego słowa. Potem zadzwonił do sztabu batalionu pontonowego. Kapitan Som był na przeprawie, ale szef sztabu batalionu zameldował mu, że przeprawa działa, chociaż nieprzyjacielskie lotnictwo przez cały czas próbuje ją zbombardować. O tym i on sam wiedział, głuche wybuchy bomb słychać było co chwila w schronie, ich dudnienie ani na moment prawie nie ustawało, i już samo to świadczyło o tym, że przeprawa się odbywa i że Niemcom nie udaje się jej zniszczyć. Obiecał wysłać dla obrony przeprawy jeszcze jedną baterię dział przeciwlotniczych i wezwać samoloty myśliwskie, aby patrolowały strefę nad Dnieprem. Lemieszko nie skończył jeszcze rozmowy, jak telefonista wręczył mu drugą słuchawkę — na linii był dowódca armii.

— Słucham — rozległ się łagodny, nieco ochryply głos. Lemieszko przedstawił się regulaminowo i zaczął meldować o zranieniu Szumakowa.

— Wiem! — przerwał dowódca armii, a w jego łagodnym głosie zadźwięczały metaliczne nuty. — Wszystko, o czym wy meldujecie, wiem. Ale niestety nie od was. Dlaczego nie zameldowaliście od razu?

— Ja — próbował wyjaśnić Lemieszko. Chciał powiedzieć, że nie miał prawa do tego, dopóki dowódca dywizji był na miejscu.

— Rozumiem, dlaczego nie zadzwonił Szumakow, chciał pewnie zostać w szeregach pomimo rany. I to jest godne pochwały. Ale dlaczego wy nie zameldowaliście?

— Towarzyszu dowódco, ja...

— W porządku... Meldujcie sytuację.

Lemieszko nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Okazuje się, że jest winien, mimo że winny nie był. Chociaż gdyby bez uprzedzeń odnosił się do dowódcy dywizji i nie czekał na moment, kiedy zostanie na gospodarstwie sam, to mógłby albo nakłonić Szumakowa, żeby on złożył meldunek wcześniej, albo to zrobić sam. Ale on wiązał z tym meldunkiem swoje tajemne nadzieje i nie mógł meldować przy wszystkich. Teraz widział, że się omylił.

A mimo wszystko niespodziewany wybuch niezadowolenia dowódcy armii nie zbił Lemieszki z tropu, szybko

się opanował i spokojnie mówił do końca. Dowódca armii słuchał w milczeniu, ale i w tym milczeniu wyczuwało się rozdrażnienie. Wydał kilka zarządzeń i spytał:

— Czy rana Szumakowa to coś poważnego?

Lemieszko jeszcze raz odważył się zaryzykować.

— Wydaje mi się, że tak, towarzyszu dowódcu.

— A cóż to, jesteście lekarzem?

— Pozwólcie zameldować: to jest orzeczenie lekarza, który go badał.

— Tak. — Dowódca armii zamilkł na chwilę. — Na razie ja sam będę śledził działania na waszym odcinku. A gdzie Sztukarenko?

— Poszedł odprowadzić pułkownika do samochodu, towarzyszu dowódcu.

Słuchawka na drugim końcu szcęknęła, ale Lemieszko swojej wciąż jeszcze nie odkładał. Po drugim niepowodzeniu czuł się zmiażdżony. Nadzieje nie spełniły się, i teraz jego zachowanie nawet jemu samemu zaczęło się wydawać haniebne. Obawa, że dowódca armii przejrzał jego zamiary, pozbawiła go zupełnie niedawnego zdecydowania, z pewnością siebie, z jaką zachowywał się jeszcze przed paru minutami, nie zostało ani śladu.

Kiedy Sztukarenko wrócił do schronu, Lemieszko siedział jeszcze na kanapie, trzymając w ręce oniemiałą słuchawkę. Nie zwrócił uwagi na to, w jakim stanie znajduje się Lemieszko, i rzeczowo rzucił telefoniście:

— Połączcie mnie z dowódcą armii.

Dopiero teraz podpułkownik Lemieszko się ocknął.

— Ja już zameldowałem.

— O czym?

— O tym, że dowódca dywizji...

— Ach tak! Coście się tak pośpieszyli? — Sztukarenko podejrzliwie spojrzął na szefa sztabu.

Na pociągłej twarzy Lemieszki nerwowo zadrgały zuchwy. Chciał odpowiedzieć ostro, tak jak miał prawo to zrobić. Ostatecznie, on jest szefem sztabu i wcale nie jest obowiązany składać sprawozdania przed zastępcą dowódcy do spraw politycznych. Ale nie odważył się osadzić Sztukarenki. Po rozmowie z dowódcą armii nie czuł się zbyt pewnie, więc tylko zapytał:

— A czy to nie mój obowiązek?

— To dobrze... tak znać swoje obowiązki — mruknął Sztukarenko.

Lemieszko wstał i dopiero teraz odłożył słuchawkę. Zmusił się i wrócił do swoich spraw, zrobił to ze specjalnie podkreślaną na zewnątrz godnością, z jaką zachowywał się zawsze, jeśli w pobliżu nie było Szumakowa.

Sztukarenko przysunął do siebie mapę i pochyliwszy się nad stołem, zaczął przyglądać się sytuacji na Chortycy i na prawym brzegu. Na wyspie pierwsza linia przebiegała już przez wzgórza, które panowały nad całą miejscowością, ale mimo wszystko nie można było jeszcze bezpośrednio ostrzeliwać nieprzyjacielskich przepraw na zachodniej odnodze Dniepru. Biła po niej artyleria z lewego brzegu mniej więcej z takim samym skutkiem, z jakim Niemcy ostrzeliwali batalion Soma. Dwa razy bombardowało ją nasze lotnictwo, ale Niemcy mieli mocną obronę przeciwlotniczą. Na prawym brzegu trzeba było koniecznie przesunąć się bliżej zapory i zmusić Niemców, aby sami wycofali się z Chortycy. Ale zbliżanie się do zapory przerażało Sztukarenkę: mógł to być jej koniec.

Ogromny ciężar wewnętrznej odpowiedzialności przytłaczał teraz jego kościste ramiona jeszcze bardziej niż dawniej. Nieobecność dowódcy dywizji nakładała na niego jeszcze i te obowiązki, które poprzednio wykonywał Szumakow. Z chwilą kiedy się pożegnali, on dzielił z Lemieszką całą odpowiedzialność za przebieg operacji bojowych, od których zależał los zapory. Teraz katastrofa, którą uważał za nieuniknioną, przygnębiała go nie tylko dlatego, że miał być przy niej obecny, lecz i ze względu na to, że osobiście kierując wydarzeniami, nie mógł jej odwrócić. Nie mógł, bo choć przesuwanie się wojsk na prawym brzegu przybliżało katastrofę na zaporze, on te przesunięcia musiał jeszcze przyśpieszać, ponieważ dywizja prowadziła działania bojowe i teraz już nie można było jej działań zatrzymać.

I mimo woli pomyślał o Szumakowie, przypomniał sobie, jak oburzał się na niego, kiedy ten miał zamiar z marszu wejść na zaporę. Teraz zrozumiał, że łatwiej jest sądzić, gdy w pewnej mierze stoi się na uboczu i obserwuje z daleka. Wszystkie zarzuty, jakie stawiał kiedyś dowódcy dywizji, sądząc, że dba on tylko o operacyjne sukcesy dywizji i nie myśli o ogromnych stratach, jakimi

za te sukcesy trzeba będzie zapłacić, wydały mu się teraz nie takie prawomocne i słuszne, jak dawniej. Teraz on sam był na miejscu Szumakowa, ale wraz z tym nie mógł się wyrzec i swego, i chociaż równoczesne przebywanie w dwóch miejscach pozwalało dokładniej wszystkiemu się przyjrzeć, to obraz jednak nie stawał się przez to weselszy i na duszy nie robiło się lżej.

Pomyślał o tym, jak odpowiedzialność radykalnie zmienia człowieka. Wszystko, co przedtem wydawało mu się jedynie słuszne, w świetle surowej konieczności zaczęło wyglądać inaczej. Postronnemu obserwatorowi zmiana taka mogłaby się wydać nieprzyjemnym przeobrażeniem, ale w rzeczywistości jest się zmuszonym działać nawet wbrew samemu sobie: przyjąwszy na siebie taki ciężar, nie ma się już prawa dbać o własne pragnienia.

Sztukarenko czuł, że osobiście nic nie może zmienić. Musiał robić nie to, czego pragnął, trzeba było sprostać uporczywym wymaganiom, jakie stawiały przed nim okoliczności operacyjne. Trzeba przesuwać się do zapory, aby zmusić wroga do opuszczenia Chortycy i opanować wyspę bez wielkich strat.

Zadzwoił Tereszczenko i zameldował, że z trzech czołgów, które powstrzymywały jego pododdziały na prawym brzegu, dwa zostały zniszczone. Trzeci zmuszony był wycofać się, i to, zdaje się, nie bez uszkodzenia.

— Proszę o zezwolenie przeprawienia się na tamten brzeg — zakończył tymi słowami rozmowę.

— Poczekajcie chwilę — powiedział Sztukarenko. Nie chciał podejmować decyzji bez Lemieszki, aby go nie urazić.

— Zezwalamy, towarzyszu majorze — oświadczył Sztukarenko po naradzeniu się z szefem sztabu. — Zaczekajcie tylko na mnie.

— Rozkaz!

— Gdzie stoi wasza łódź?

— Przy stanowisku dowodzenia. Tam, gdzie chodziliśmy w nocy.

— Za dwadzieścia minut będę.

— Tak jest!

Sztukarenko odłożył słuchawkę.

Cóż, wkrótce się wszystko wyjaśni. Na miejscu wszyst-

ko będzie jaśniejsze. Ale trzeci batalion tak czy inaczej trzeba przesunąć do przodu.

Sztukarenko zapiął płaszcz i wyszedł do malutkiego przedsionka. Lemieszko rozmawiał przez telefon z majorem Anikinem, dowódcą trzysta czwartego pułku. Anikin przerzucił już na Chortycę niemal cały batalion, ale na przeprawie miał znaczne straty. Teraz zamierza przeprowadzić tam jeszcze dwie kompanie i prosi o osłonę przeprawy z powietrza. Lemieszko wydawał rozkazy i obietnice stanowczym tonem, wysławiał się krótko i jasno. Stał bokiem do Sztukarenki i na pewno dobrze widział, że ten czeka, ale udawał, że go nie zauważa.

Wreszcie odłożył słuchawkę.

— Ja będę z Tereszczenką na prawym brzegu. W trzecim batalionie będą wiedzieli, gdzie mnie szukać.

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

Sztukarenko wyszedł ze schronu i szybko posuwał się rowem łączącym, nawet się nie schylając. Nad przeprawą nurkował bombowiec, ale działa przeciwlotnicze nie pozwalały mu zrzucić bomb tam, gdzie on chciał. Samolot wył, wychodząc z nurkowania ze swoim ładunkiem, i kiedy się już oddalił, aby zaatakować powtórnie, trafił go pocisk przeciwlotniczy. Bombowiec wzdrygnął się nagle, zastygł na moment w powietrzu i na złamanie karku poleciał w dół, wlokąc za sobą ciemny ogon dymu. Zniknął gdzieś za Chortycą, a po chwili doleciał stamtąd ciężki odgłos wybuchu.

19

Samochody z rannymi podjeżdżały jeden za drugim, w korytarzu wiejskiej siedmiolatki leżeli stłoczeni żołnierze, było ich bardzo dużo, i w trzech klasach, które zamieniono na sale operacyjne, chirurdzy nie nadawali usuwać niemieckiego żelaza z bezsilnych żołnierskich ciał. Większość złapała swoje odłamki i kule na pontonowej przeprawie, resztę rannych wyłowiono z mętnych fal wody górnej: wszyscy prawie mieli zupełnie mokre płaszcze, bo i jedni, i drudzy musieli długo pływać, zanim wyciągnięto ich z Dniepru. Na ogół tutaj trafiali lekko ranni, gdyż ci, których ciężiej raniło, tonęli od razu: nikt nie mógł ich już wyratować.

Lecz nawet ci, którym sądzone było szybko wyzdrowieć i znów wojować, sprawiali teraz przykre wrażenie. Leżeli pokotem w swoich ciemnych przemokłych płaszczach, milczący i nieruchomi, podobni do powalonych równo przez burzę drzew. I po ich zapadniętych policzkach, i po sinych od dniewowego chłodu twarzach można się było domyślić, jaka to była burza. Z rzadka tylko ktoś krzyknął lub cicho zajęczał, nie mając sił cierpieć dłużej bólu, i wtedy stawało się oczywiste, że w tych powalonych drzewach pulsują jeszcze soki żywotne.

Ania szła wzdłuż korytarza; wezwał ją Wasadze, aby osłuchiwała serce rannego, którego mieli zaraz operować. W Ufie dokonała już wprawdzie niejednej operacji, ale przede wszystkim była internistką z wykształcenia. Patrzyła na powalone szeregi i łapała się na tym, że idzie powoli i uważnie przygląda się, jakby szukając kogoś wśród rannych żołnierzy.

I rzeczywiście, czyż nie mógł stać się cud? Chochoł miał czarny marynarski płaszcz, a tutaj same szare... Ale różnie bywa — mógł swój zgubić i ubrano go w cudzy... Wiedziała, że szuka daremnie, a mimo to posuwała się wolno i uważnie się przyglądała.

Raptem ktoś cicho zawołał:

— Towarzyszko doktorze...

Zatrzymała się. Serce zatrzepotało boleśnie. Bała się obejrzeć. Przystanąła na moment i znów usłyszała słabutki nieznamy głos:

— To ja, towarzyszko doktorze...

Obejrawszy się, zobaczyła żołnierza o bujnych, zmierzwionych włosach. Próbował uśmiechnąć się do niej, ale zamiast uśmiechu na twarzy zjawił się jakiś niepewny grymas.

Ania nachyliła się. Twarz wydawała się jej znajoma, ale kto to był, nie mogła sobie przypomnieć.

— To ja... Warywoda.

Nie, nie poznała go. I nazwiska takiego też nigdy nie słyszała.

— Zaraz przyjdę. Czeka na mnie chory. — Ania uśmiechnęła się i odeszła. Potem znowu się oglądnęła, usiłując zapamiętać miejsce, gdzie leżał ten ranny, i jeszcze raz zawołała: — Proszę chwilkę poczekać, ja zaraz wrócę.

Szybkim krokiem ruszyła wzdłuż korytarza. Nie przy-

szo jej na myśl, że to ten sam nurek, który przyniósł jej dzisiaj ostatnią wiadomość o mężu. Gdzie ona widziała tego człowieka? A może tylko tak się jej zdaje, że widziała go kiedyś?

Na stole operacyjnym leżał niemłody już żołnierz. Zawadiacko podkreśnione wąsy wydawały się nedorzeczne i obce na martwo-bładej twarzy. Wasadze przerwał operację i liczył puls. Ania zrozumiała, po co ją tu wezwano — rannemu zrobiło się słabo i trzeba zdecydować, czy serce wytrzyma dalszy ciąg operacji.

Tony były słabe i rzadkie, ale serce biło rytmicznie. Ania słyszała równomierne uderzenia, wyczulone ucho łowiło każdy wewnętrzny ruch, tak że nie musiała się wysilać, aby wyobrazić sobie, co się dzieje w piersiach, do których przytknęła ucho.

W ciągu ośmiu lat lekarskiej praktyki nauczyła się natychmiast zapominać o osobistych zmartwieniach, gdy w rękę pojawiał się stetoskop, a przed oczyma chory człowiek. I jakiegokolwiek miałyby własne zmartwienia, i jakkolwiek niespokojnie biłoby jej serce, umiała je opanować, jeśli chodziło o cudze.

Wyrobiło się to w niej, czy raczej ona sama to w sobie wyrobiła, znając swoją pobudliwą naturę, którą koniecznie trzeba było pohamować, chociażby w tych momentach, kiedy od jej niepokoju lub wzburzenia mogła zależeć diagnoza, a więc i ludzkie życie. Teraz również przemogła się jak zwykle — twarz na korytarzu, która wydawała się jej znajoma, znikła, długi powalony szereg przestał niepokoić. Słyszała, jak z każdą chwilą tony stają się dźwięczniejsze, a oddech coraz bardziej równomierny, i oderwawszy nareszcie ucho od zapadniętej piersi żołnierza, zwróciła się do Wasadzego:

— Można zaczynać.

Chłopięce oczy kapitana błysnęły wdzięcznością, powiedział coś cicho do stojącej obok sanitariuszki, i chociaż maska, która osłaniała mu dolną część twarzy, tłumiała słowa, sanitariuszka go zrozumiała.

Wasadze wziął skalpel i pochylił się nad chorym. Ania nie miała tu nic więcej do roboty, wyszła na korytarz z zamiarem odszukania rannego, który na nią czekał. Ledwo jednak postąpiła krok od drzwi sali operacyjnej, zobaczyła inną znajomą twarz i zaskoczona tym, gwał-

townie się zatrzymała. Przy oknie siedział pułkownik Szumakow. Poznała go od razu — ten sam pułkownik, którego widziała, kiedy po przyjeździe z Ufy czekała u Hołoborodki.

Twarz mu bardzo pobladła. Spod odrzuconej poły sterczała noga owinięta w króliczą podpinkę, owiązana cienkim rzemiennym paskiem. Widocznie noga bardzo bolała, gdyż Szumakow siedział z zamkniętymi oczyma, opierając się głową o ścianę.

Ania stała niezdecydowana, nie wiedziała: podejść czy dać mu spokój. Wreszcie, mimo wszystko, odważyła się: Szumakow widocznie bardzo źle się czuł.

— Co panu jest? — dotknęła jego ramienia. Szumakow otworzył oczy i gwałtownie odwrócił do niej głowę.

— Źle się pan czuje? — znowu spytała Ania.

— Przepraszam. — Szumakow chciał się uśmiechnąć, ale mu się to nie udało. Gwałtowny ruch, jaki wykonał, kiedy ją zobaczył, ostrym bólem przeniknął nogę, i nie mógł tego ukryć.

— Proszę mi pozwolić obejrzeć. — Nie czekając na odpowiedź, zaczęła rozwiązywać pasek. Potem ostrożnie zdjęła futrzaną podpinkę. Bielał pod nią naprędcie założony opatrunek.

Szumakow milczał. Przypomniał sobie od razu, gdzie widział tę kobietę i jakie wrażenie wywarła na nim wtedy swoim uderzającym podobieństwem do Sabiny. Teraz siedziała przed nim w kucki i wskrzeszała w pamięci inny szpital i inną ranę...

Ania obejrzała nogę — odłamek głęboko tkwił w mięśniach. Ciało dokoła pożółkło, a tam, gdzie kończyła się żółtość, zaczynało sinieć.

— Trzeba natychmiast operować — powiedziała i wstała.

— Natychmiast chyba się nie uda. Widzi pani, ile tu ludzi czeka — przemógł się i mimo wszystko się uśmiechnął.

— Myślę, że dla dowódcy dywizji...

— Nie, nie! — zaprzeczył Szumakow. — Wielu z nich jest na pewno poważniej rannych niż ja. — Nieznacznie skinął głową w stronę żołnierzy, których jeszcze przybyło w czasie jej nieobecności.

Zbliżał się do nich Hołoborodko. Ogromnie zakłopotany, na Anię prawie nie zwracał uwagi.

— Gdzie kapitan Wasadze? Nigdzie go znaleźć nie można — oburzał się adiutant.

— Nie krzyczcie, Hołoborodko. Nie widzicie, ile on ma roboty? — Szumakow znów skinął głową w stronę rannych, którzy swoimi nieruchomymi ciałami wymościł cały korytarz.

— Porozmawiam z nim sama. Jest w sali operacyjnej — powiedziała Ania i wstała. — Proszę zaopiekować się pułkownikiem.

Wasadze kończył operację. Ania włożyła maskę na twarz i podeszła do niego. Usłyszawszy, że w korytarzu leży dowódca dywizji, Wasadze zaniepokoił się bardzo. Ania żałowała nawet, że nie poczekała, aż Wasadze zaszyje ranę. Oddał igłę swojemu asystentowi i kazał mu kończyć, a sam szybko odszedł od stołu i przystanął niezdecydowany.

— Chodźmy, popatrzmy — powiedziała Ania, czując, że potrzebna mu teraz pomoc. Rozumiała, czego przede wszystkim obawiał się Wasadze: los dowódcy dywizji znalazł się raptem w jego rękach i Wasadze zląkł się odpowiedzialności — jak na jego wiek, była ona rzeczywiście zbyt wielka.

Aby ułatwić mu zadanie, Ania szła pierwsza. Musiał iść za nią — szybciej i energiczniej, niż mógłby iść, gdyby Ani nie było.

— Przyjmujcie gościa, towarzyszu kapitanie — już z daleka zwrócił się do niego Szumakow.

Ania znowu odwinęła ranę i delikatnie obmacywała ciało dokoła niej.

— Rano ewakuujemy was, towarzyszu pułkowniku — wymamrotał Wasadze.

— W żadnym wypadku. Operujcie tutaj — zaniepokoił się Szumakow, ale głos jego brzmiał twardo, jakby i tutaj wydawał rozkazy.

— Ale taką operację...

— Żołnierzom robicie trudniejsze.

— Żołnierzom... tak — Wasadze był bardzo zmieszany.

— To i mnie zrobicie.

Szumakow mówił tak, że Wasadze nie ośmielił się przeciwstawić. Ale tak po prostu wyciąć odłamek też nie mógł. Od czasu, jak Szumakow został ranny, upłynęło parę godzin, na nodze pojawiły się już pewne oznaki poprze-

dzające gangrenę. Aby zabezpieczyć siebie i zagwarantować życie rannemu, amputowano na ogół w takich wypadkach nogę aż do kolana. Ale Wasadzemu zabrakło śmiałości, aby powiedzieć to Szumakowowi.

— Pozwólcie mi naradzić się z kolegami — poprosił Wasadze.

— Proszę bardzo. Tylko bez żadnych ewakuacji — dorzucił Szumakow.

Wasadze poszedł z powrotem do sali operacyjnej. Ania została przy Szumakowie. Wiedziała, czego Wasadze się boi, zdawała sobie sprawę i z tego, że nie bezpodstawnie obawia się gangreny. Ale amputować nogę — z tym nie mogła się zgodzić.

Ania podeszła bliżej i zniżając głos tak, aby Hołoborodko nie słyszał, powiedziała:

— Proszę za nic w świecie nie pozwolić amputować sobie nogi.

Szumakow spojrział na nią i jeszcze bardziej pobladł.

— A czy może dojść aż do tego?

Ania zauważyła, jakie wrażenie wywarły na nim jej słowa, i pożałowała, że była tak nieostrożna.

— Myślę, że nie dojdzie, ale są podstawy do obaw...

— Tak... tak — westchnął Szumakow. Rana wydawała mu się niegroźna i nawet przez myśl mu nie przeszło, że może zostać bez nogi.

— Proszę się uspokoić, denerwować się jest jeszcze za wcześnie. Ale lekarze mogą i tak zdecydować. Stanowczo proszę się na to nie godzić, lepiej poczekać do rana. W najgorszym razie ryzykuje pan jeszcze kilkoma centymetrami. A to, jak mi się wydaje, nie ma już chyba specjalnego znaczenia. Ale może się i tak zdarzyć, że gangrena się nie rozwinie.

Szumakow z wdzięcznością spojrział na tę nieznaną lekarzkę i nieznacznie kiwnął głową na znak zgody. Oczywiście, jakaż to różnica — dziesięć centymetrów wyżej czy niżej. I tak bez nogi. Nie lubił działać na oślep, ale kiedy można wygrać cały świat, warto zaryzykować.

— Jeśli pan nie ma nic przeciwko temu — ciągnęła dalej Ania — ja sama usunę odłamek. I aby nie zajmować stołu poza kolejką, zrobię to tutaj na korytarzu.

Spojrział na nią jeszcze raz i teraz już uśmiechnął się z wdzięcznością. Podobała mu się jej stanowczość. A tak-

że to, że rozumiała jego stan psychiczny i okazała się nie tylko stanowcza, ale i taktowna wobec niego jako dowódcy tych wszystkich rannych, co leżą tu i czekają. Sabina prawdopodobnie zachowałaby się tak samo. Tylko ona.

— A kapitan zezwoli? — zapytał Szumakow.

— Taką operację każdy lekarz na froncie potrafi zrobić.

— Ja nie o tym mówię — Szumakow poczuł się nieswojo, chociaż rzeczywiście miał zupełnie co innego na myśli. — Czy pozwoli zrobić operację tutaj?

— Na wojnie operują nawet w lesie.

To prawda, nawet w lesie. Pod gołym niebem i podczas deszczu. Tak przecież operowano go ubiegłej jesieni na Woldze.

— Zresztą można i na operacyjnej — powiedziała i ukradkiem zerknęła na rannych, którzy leżeli i w korytarzu. — To od pana zależy.

W korytarzu znów pojawił się Wasadze. Kapitan niósł swój wyrok, ale Szumakow już się go nie obawiał. Postanowił uprzedzić kapitana i zwolnić go od przykrego obowiązku ogłoszenia swojej decyzji.

— Ja chcę, aby mnie operowała — Szumakow spojrzał na Anię. — Jak się pani nazywa?

— Chochoł.

— Będzie mnie operować doktor Chochoł — powiedział Szumakow.

— Wybaczcie, ale... — zaczął coś Wasadze.

— Proszę zaczynać! — zwrócił się Szumakow do Ani. Odwróciła się gwałtownie i szybko poszła do sali operacyjnej.

— Wybaczcie — znów wybełkotał Wasadze. — Ja nie mogę brać na siebie odpowiedzialności...

— Nie przejmujcie się! Ja będę odpowiadał — przerwał mu Szumakow.

Wasadze niezdecydowany przestępował z nogi na nogę.

— Jesteście na pewno bardzo zajęci — powiedział Szumakow, spojrzawszy na niego — możecie odejść.

Kapitan zasalutował niezręcznie i poszedł do sali operacyjnej. Hołoborodko zmieszany stał pod ścianą i odprowadzał go wzrokiem. Sanitariusze nieśli rannego — zmierzwione, mokre włosy opadły mu na twarz. Warywoda. Hołoborodko poznał go, ale nic nie powiedział.

Szumakow siedział z głową opartą o chłodną ścianę.

Niczego tak nie żałował teraz, jak tego, że został ranny. Aby tylko uratować nogę i wrócić do szeregu. Chociażby na drugi brzeg Dniepru, jeśli już tak się złożyło, że nie może kierować przeprawą. Aby mu tylko nogi nie amputowano — przecież bez nogi człowiek już nie jest żołnierzem.

W kilka minut później zaczęła się operacja. Ania umieściła na taborecie białą miednicę, podstawiając ją pod zranioną nogę Szumakowa. Zrobiła dwa zastrzyki i wzięła lancet z rąk sanitariuszki.

Szumakow siedział na parapecie, głowę wsparł na ramieniu Hołoborodki. Zakłopotany, niemal przerażony, usiłował nie patrzeć na swoją nogę, zdrętwiałą od narkozy.

— Może pan schować na pamiątkę — Ania podała Szumakowowi odłamek.

— Nie warto — uśmiechnął się nienaturalnie. — Nie jestem sentymentalny.

Ania spojrzała na niego z dołu i też lekko się uśmiechnęła. Chciała już rzucić odłamek do miski, ale Hołoborodko uprzedził jej ruch.

— Proszę mi to dać!

— Ech, ty dziwaku. — Szumakow położył mu rękę na ramieniu. — Do Berlina można będzie jeszcze ładniejszy wybrać...

20

Rana Jaroszenki była niegroźna, ale kiedy trafią człowieka w głowę, zawsze oblatuje go strach. Odłamek był swój, posłali go radzieccy artylerzyści — zupełnie tak jak w czterdziestym pierwszym, kiedy przedzierał się z okrażenia i przypadkowo znalazł się w lasku, który ostrzeliwały katusze.

Kuźma Iwanowicz po omacku obwiązał mu głowę kawałkiem własnej koszuli. Ręce mu drżały i było strasznie, ponieważ po palcach płynęło coś ciepłego i gęstego — krew. W dali nad Dnieprem wisały zielonkawe słupy wody, oświetlane szybkimi krótkimi błyskami, głuchy huk wstrząsał powietrzem. Piekielny fajerwerk migotał w górze nad środkiem Jeziora Lenina, samej zapory

nie ostrzeliwali ani Niemcy, ani swoi, ale odłamki i tutaj gwizdały nad głową, przecinając nocny przestwór.

Aż do ostatniej chwili, dopóki nie zaczęło się przygotowanie artyleryjskie, Jaroszenko nie tracił nadziei, że tak czy inaczej wydostaną się stąd i mimo wszystko spróbują zrealizować swój plan. Dopiero jak zaczęły się przeprawiać wojska, zrozumiał, że nie napadnie już z tyłu na niemieckich wartowników w siłowni i razem z innymi nie narobi hałasu. To, co się działo, cieszyło go oczywiście, ale to jasne uczucie radości mąciła mu złość na samego siebie.

Mimo woli znalazł się na uboczu wydarzeń, które rozgrywały się teraz na oczach. Choćby nie wiadomo jak człowiek się starał, tratwy nie można poprowadzić pod prąd, aby dołączyć się do desantu. Zresztą kto wie, czy nie ostrzelaliby ich swoi żołnierze, gdyby zobaczyli, że zbliżają się jacyś nieznani ludzie. I oto on, Jaroszenko, który miał tyle śmiałych pomysłów i zamierzał je tak łatwo urzeczywistnić, siedzi na uboczu walki, która toczy się tak blisko... Każdy odłamek mógł go trafić, a jemu nic innego nie pozostawało, jak pochylić się i kryć głowę za betonowe występy i obserwować wszystko z daleka.

Kiedy się rozwidniło, strzelanina oddaliła się, jakby odpełzła w głąb prawego brzegu. Miasto grzmiało seriami karabinów maszynowych, otulone rozkołysaną zasłoną utkaną z dymu i kurzu. Nad samą wodą czerniały kupy osmalonego wybuchami piasku, w jakie ogień artyleryjski zmienił nieprzyjacielskie umocnienia. Tam już nikogo nie było.

— No, profesorze, bierz się za ster — westchnął Jaroszenko. Czapkę zgubił jeszcze w nocy, a przesiąknięta krwią szmata nadawała jego dziobatej twarzy wyraz surowej powagi. — Powojowaliśmy sobie obaj, szkoda mówić!

Kuźma Iwanowicz nie odpowiedział i ostrożnie przeczołgał się do steru. Ucieszyła go szczerłość Jaroszenki, chociaż nie mogła nic zmienić: nonsens nie staje się przez to mniejszym nonsensem, że ktoś sam jest temu winien. Trudno, stało się, nic na to nie poradzisz.

Tratwą właściwie nie było jak kierować, gdyż posuwali się bardzo wolno. Wyjął deskę z dulki i zaczął odpychać się od ściany. Jaroszenko chwycił rękami za kłody,

które zbiły się wokół tratwy, i z trudem je odsuwał, torując sobie drogę. Ręce osłabły od głodu i wysiłku, drzewo namokło i stało się ciężkie, trudno było odpychać kłody, ale tratwa, mimo wszystko, pomалу posuwała się w stronę brzegu.

Byli już prawie przy ostatnim filarze, kiedy na zaporze zerwała się znów strzelanina. Biły dwa automaty — słychać było przy tym wyraźnie, jak jeden na chwilę przycichiał. A więc tam jeszcze zostali Niemcy... Jaroszenko uchwycił się rękami za betonowy występ i podciągnął tratwę bliżej ściany, potem wziął w ręce automat i nasłuchiwał.

Strzelanina na górze urwała się tak samo niespodziewanie, jak się zaczęła. Spod wysokiej ściany nic nie można było zobaczyć, ale i Jaroszenko, i Kuźma Iwanowicz zdawali sobie sprawę, że tam się wszystko skończyło. Zwyciężyć mogli tylko sami, przed nimi już Niemców nie było, widzieli to. Przeczekawszy parę minut, Jaroszenko na wszelki wypadek znowu odepchnął się od betonowego występu i tratwa zaczęła powoli przesuwając się dalej, wzdłuż zapory, do prawego brzegu.

Bój toczył się za przybrzeżnymi skwerami, gdzieś w głębi miasta. Nad wodą nikogo nie było widać, pod ostatnim filarem i pod ścianą komory wstępnej kołysały się na cichej toni rozbite tratwy i ciała żołnierzy z nocnego desantu.

Jaroszenko stał z przodu z automatem gotowym do strzału. Kuźma Iwanowicz powoli poruszał sterem i w skupieniu wpatrywał się w brzeg. Skomplikowane uczucia wypełniały jego duszę, splątały się dziwnie w jeden kłębek, i trudno byłoby zgłębić, które z nich jest najważniejsze. Wszystko jeszcze mogło się zdarzyć — przed nimi wrzał bój, niebezpieczeństwo jeszcze i teraz czyhało za każdym rogiem. Ale gdyby już nawet nic się nie stało, czyż mógł sobie coś zarzucić? Przeszłość, jakakolwiek by była, ważna jest tylko o tyle, o ile do czegoś prowadzi. Choćby nawet nie wypadło wystrzelić z tego automatu, to jednak to, że broń wisiała na piersiach, było najważniejsze.

Tratwa nie wysunęła się jeszcze z za ostatniego filara, gdy z przodu zaterkotał raptem karabin maszynowy. Jaroszenko zrobił szybki, ostrzegawczy ruch ręką i gwał-

townie przysiadł. Kuźma Iwanowicz także pochylił się mimo woli i znów zaczął szybko wiosłować do zapory. Wodził oczyma za wzrokiem Jaroszenki, usiłując domyślić się, czy on już widzi cekaemistę. Wreszcie udało się zaczepić za jakieś żelazo sterczące zza ściany. Tratwa stanęła.

Kuźma Iwanowicz zdjął z szyi swój automat, odbezpieczył i zamarł w niemym oczekiwaniu. Jaroszenko wciąż jeszcze obserwował brzeg, ale nie dawał żadnego znaku.

Minęło jeszcze kilka minut i Kuźma Iwanowicz zobaczył na brzegu niemieckich cekaemistów.

21

Niemcy zerwali się niespodziewanie. Zawsze się tak wydaje, jeśli zbyt długo się czeka. A Charkewicz czekał długo, ścierpł cały z napięcia i stał nieruchomo, jakby przymarzył do stalowej kratownicy. Na moment tylko odwróciło jego uwagę zamieszanie na brzegu, obejrzał się, aby tam spojrzeć, i w tej chwili rozległo się ciężkie tupanie butów na poddźwigowym moście.

Ze strony tych Niemców byłoby znacznie rozsądniej, gdyby wcześniej uciekli z zapory. Dopóki w dole panował spokój, Charkewicz i Amiradze obawialiby się do nich strzelać, gdyż usłyszano by to na brzegu. Ale Niemcy z jakiegoś powodu zatrzymali się na zaporze i rzucili się do ucieczki dopiero wówczas, kiedy wyparto już ich z budynku administracji.

Amiradze zaczął strzelać pierwszy. Niemcy biegli po wewnętrznym półkolu zapory i Sandro zobaczył ich wcześniej. Ale jak tylko puścił w nich serię, hitlerowcy rzucili się na drugą stronę i zjawili się przed oczyma Charkewicza. Na moment osłupiał i ze zdziwieniem wytrzeszczał oczy, ale właśnie ta chwila wyszła mu na dobre, gdyż wydostawszy się spod ognia Amiradzego, Niemcy przypuszczali widocznie, że w ogóle już uniknęli niebezpieczeństwa, i biegli, nie pochylając się nawet, prosto na Charkewicza.

Zobaczył przed sobą chuderławą twarz z okularami na nosie i nareszcie nacisnął spust. Ci, co biegli z tyłu, rzucili się w lewo i znów natknęli się na automat Amiradzego; Charkewicz widział, jak dwóch upadło, a jeden przewalił się przez poręcz i zleciał do Dniepru.

Dziwne, dlaczego Niemcy nie pobiegli z powrotem — na środek zapory. Tam mogli się uratować, gdyż Charkewicz i Amiradze nie odważyliby się ich ścigać. Ale widocznie nie przyszło im na myśl, że tylko dwu ich ostrzeliwuje, i w ogóle wątpliwe, czy oni o czymś myśleli, gdyż jak wpadli pod automaty bijące od prawego brzegu, stracili głowę i zachowywali się jak owce.

Charkewicza trzęsło — do ludzi strzelał pierwszy raz w życiu. Na wojnie fińskiej zakładał miny, a wczoraj w nocy posłał kilka serii do tych, co brali drzewo w dole, ale było zupełnie ciemno i wątpliwe, aby któregoś trafił. Teraz Niemcy byli tuż obok, biegli prosto na niego. Palec przylgnął do spustu, jakby zmartwiały lub przymarzył do żelaza, i nie można go było oderwać. Charkewicz oprzytomniał dopiero wtedy, gdy automat umilkł — w magazynku zabrakło naboju. Ale on nie domyślił się od razu, w czym rzecz, i wciąż jeszcze naciskał na spust. Automat milczał.

Charkewiczowi zdawało się, że automat się zaciął, i ogarnął go strach. Amiradze również się przeląkł — pomyślał, że Charkewicz jest ranny albo zabity, chociaż za wysoką kratownicą Niemcy nie mogli go dosięgnąć. Amiradze nie odważył się przerwać ognia i przebiec na drugą stronę, aby spojrzeć, co się z nim dzieje. Ale wkrótce Charkewicz zrozumiał, że w magazynku po prostu nie ma naboju, wymienił magazynek i automat znów się odezwał. Amiradze uspokoił się.

Tupot na moście ucichł — widocznie tam już nikt nie został. Amiradze poczekał chwilę i ostrożnie wysunął głowę zza kratownicy. Z przodu nikogo nie było widać.

Amiradze uchwycił się za krawędź kratownicy i przrzucił swoje lekkie ciało na most. Na razie jednak nie ośmielił się wstać. Przypadł do drewnianej nawierzchni, przeczołgał się na drugą stronę i zobaczył Charkewicza. Leżał bez ruchu, zdawało się, że nawet nie oddycha, ale głowę trzymał wysoko, jakby wciąż obserwował.

— No jak tam? — zawołał Amiradze. — Żyje pan?

— Żyje. Oczywiście, że żyje. Trzęsie mnie tylko i mdli ze zmęczenia i wstrętu.

— Zdrowośmy im dołożyli! — zachichotał Sandro.

Dopiero teraz Charkewicz odwrócił do niego swoją bladą jak płótno twarz i zobaczył, że Amiradze też jest

bardzo błądy i palce mu drżą. To znaczy, że chociaż nie pierwszy raz jest w takiej kaszy, trzęsie go tak samo.

— Podaj mi rękę — powiedział cicho Charkewicz i podniósł się. Kolana ugięły się pod nim, jakby pierwszy raz w życiu stanął na nogi i zamierzał uczyć się chodzić.

— No, chodźmy.

Charkewicz czuł się zupełnie wyczerpany. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa — jakby nie były jego.

Nie kryjąc się wcale, doszli obaj do ostatniego filara i zatrzymali się przy otworze, z którego ubiegłej nocy schodzili na brzeg. W dole, wprost pod nimi, terkotał karabin maszynowy. Amiradze oddał Charkewiczowi swój automat i wspiął się na szczyt filara. W dole leżeli Niemieccy cekaemiści i strzelali gdzieś na brzeg. Charkewicz widział, jak Amiradze odpiął od pasa granat i uchwycił już palcami zawleczkę, aby ją wyrwać, ale raptem rozmyślił się i znów przyczepił granat do pasa. Potem odczołgał się z powrotem i wyciągnął rękę do Charkewicza — żądał swojego automatu.

— Dlaczego nie rzucił? — zapytał Charkewicz.

Amiradze podczołgał się trochę bliżej i powiedział:

— Tam leży Kowalczuk.

Rzeczywiście, tam powinien leżeć Kowalczuk. Ale chociaż jest martwy, Amiradze nie rzuci tam granatu. Może i lepiej byłoby rzucić, a nie tracić czas i pozwalać Niemcom, aby do żywych posyłali swoje serie? Martwy Kowalczuk na pewno by mu wybaczył.

Sandro znów odczołgał się na skraj filara i szykował się już do strzału, ale karabin nieprzyjacielski niespodziewanie zamilkł, a żołnierz, który go obsługiwał, zabawnie podskoczył i padł martwy na swoją broń. Dwaj inni rzucili się każdy w swoją stronę, ale i oni od razu popadali nie opodal. Ktoś bił do nich spod zapory z dwóch automatów. Amiradze przesunął się w bok i spojrzał w dół: u podnóża filaru kołysała się na wodzie tratwka, a na niej dwóch ludzi w cywilu.

Odczołgał się z powrotem i ciężko zeskoczył na drewnianą nawierzchnię. Zawiesił automat na szyi i oparł się plecami o ścianę zupełnie bezsilny.

I raptem Charkewicz zrozumiał, że przed nimi nikogo nie ma i że teraz można spróbować dokonać tego, czego

nie udało im się zrobić wcześniej. Natychmiast zejść z zapory, przedostać się do pomieszczeń siłowni, odnaleźć tego ostatniego Niemca, co trzyma rękę na wyłączniku, aby w odpowiedniej chwili włączyć prąd.

Nie czekając, aż zejdzie Amiradze, Charkewicz skoczył w dół i głośno stukając butami pobiegł po drewnianych schodkach. Nie oglądał się, więc nie wiedział, czy Sandro biegnie za nim, widział tylko, że przed nim nikogo nie ma i można biec, nie zatrzymując się, aż do na pół zrujnowanej ściany siłowni. Nawet nie spojrzał w to miejsce, gdzie powinien był leżeć Kowalczyk, biegł wzdłuż wyszczerbionej pociskami komory wstępnej, po kolana brnąc w wodzie, i zatrzymał się dopiero przy drzwiczkach wiodących do dolnych pomieszczeń hali turbin.

Tutaj Charkewicz zatrzymał się na chwilę, aby odsapnąć. Dokoła nikogo nie było. Trzymając automat w pogotowiu, ostrożnie otworzył niewysokie drzwi. Wewnątrz też było pusto. Charkewicz pobiegł po kamiennych schodkach w dół. Znał tutaj wszystkie przejścia i wyobrażał sobie, gdzie Niemcy mogli umieścić swój wyłącznik, aby nawet podczas niedawnych wybuchów w siłowni nie został uszkodzony kabel.

Wilgotna cisza głośnym echem odpowiadała na jego ciężkie kroki. Przystanął nieufnie — to niemożliwe, aby wszyscy puciekali, nie włączwszy prądu. To niemożliwe! Gdzieś przyczał się ten ostatni i trzyma rękę na wyłączniku. Skazany jest na śmierć, to oczywiste, ale zostawili go gdzieś tutaj, on nie mógł uciec!

Będąc pewnym tego, Charkewicz postanowił go wywołać, zmusić, aby się odezwał. Może gdy zrozumie, że go wykryto, złęknie się o własną skórę i nie odważy się włączyć prądu? Prawdopodobnie on też chce żyć, chociaż został tutaj bez żadnej nadziei.

— Jest tu kto? — krzyknął Charkewicz z całej siły. — He-e-j!

Ponure pomieszczenie zabrzmiało gromkim echem. Potem echo ucichło, wyrwawszy się na wolność, zamiast sufitu świeciło niebo, niebieszcząc się w górze. Nikt nie odpowiadał. Ze wszystkich stron zalegała chłodna, wilgotna cisza.

Ale Charkewicz nie dowierzał tej ciszy. Był przeko-

nany, że ten ostatni jest gdzieś tutaj. Oczywiście przy-
czaił się tylko i bacznie śledzi każdy jego krok. To
niemożliwe, aby Niemcy nikogo nie zostawili, gdyż zaporę
dotychczas jest cała, a oni nie mogą jej nie wysadzić.

Przyciskając się do ściany, Charkewicz ostrożnie posu-
wał się dalej. Teraz stąpał prawie zupełnie niedosłyszal-
nie, skradając się do wąziutkich schodków, które prowa-
dziły jeszcze niżej, w głąb. Przeszedł przez jedną klatkę
schodową, przystanął na platformie i zajrzał do drugiej.

I od razu zobaczył otwarte na oścież wąskie drzwiczki
i tuż obok nich stół z dwoma telefonami. Naprzeciw na
ścianie wisiała wielka marmurowa tablica z kilkoma
wyłącznikami. Znał dobrze tę komórkę podobną do ka-
zamaty, dawniej nieraz tu bywał, ale tej tablicy nie
pamiętał. Co to za wyłączniki? Do czego są podłączone?

Dał krótką serię wprost w drzwi. Ogłuszający łoskot
wyrztałów odbił się gdzieś w górze. Nikt się nie odez-
wał ani z komórki, ani z innego miejsca. Charkewicz
ostrożnie zbliżył się do drzwi i jednym susem skoczył
do wewnątrz.

W komórcie było prawie zupełnie ciemno, światło prze-
dzierało się tu tylko z góry — przez wąski, wysoki kory-
tarz. Charkewicz dał jeszcze jedną serię w kąt, za drzwi,
gdzie mógł się ktoś przyczaić, ale tam też nikogo nie było.

Rzucił się do wyłączników i zaczął ostrożnie wrywać
druty podłączone do kontaktów po drugiej stronie ta-
blicy. Nie miał przy sobie żadnych narzędzi — ani śrubo-
kręta, ani obcęgow. Może to i dobrze, gdyż w tych prze-
kletych ciemnościach można by jeszcze przypadkiem za-
mknąć jakąś linię i dopiero narobić biedy. Ostrożnie
wrywał druty z kontaktów gołymi rękami, gruby mie-
dziany drut, mocno przykręcony nakrętkami, z trudem
się poddawał.

Kiedy ostatni drut zawisnął w powietrzu, Charkewicz
znów poczuł się bardzo zmęczony. Owładnęło nim nie-
dawne uczucie pustki, ręce drżały mu tak samo, jak tam
na górze, nim jeszcze na zaporze padł ostatni Niemiec.

Charkewicz usiadł na drewnianej ławce i całym ciałem
zwałił się na stół. Nie miał już siły wstać na nogi. Siedział,
opierając ciężką głowę na rękach, dopóki wszystko nie
zasnuło się mgłą, i zasnął martwym snem.

W dzień Szumakow poczuł się lepiej. Ból trochę ustał, a nerw, który przez cały czas szarpał w nodze, powoli się uspokoił i wreszcie całkiem przestał alarmować.

Przysłuchując się samemu sobie, jakby usiłując wniknąć w tajemnice mechanizmu własnego ciała, Szumakow niemal fizycznie odczuwał, jak skóra na ranie się ściąga, opuchlizna i gorączka stopniowo się zmniejsza.

„W najgorszym wypadku ryzykuje pan jeszcze kilkoma centymetrami nogi... Jeżeli gangrena się rozwinie”, przypomniał sobie słowa lekarki. Nie, widocznie się nie rozwinęła. Zdaje się, że go ominęło.

Kim ona jest? Skąd się tu wzięła? I jak ona mimo wszystko przypomina Sabine, ta kobieta o dziwnym nazwisku Chochoł! Zupełnie nie wiązał jej z nurkiem, którego tylko raz widział u siebie na naradzie, zapomniał, jak on się nazywał, i nie wiedział, że już go nie ma. Nic dziwnego — o każdym poległym na froncie nie meldują dowódcy dywizji.

Zastanawiał się nad tym, jak mało mówi o człowieku jego zewnętrzny wygląd.

Pozornie nieprzystępna, a nawet surowa, spojrzenie ma nieuważne i roztargnione, wydaje się, że patrzy mimo człowieka, zajęta czymś swoim. A jednak przed niczym się nie cofnęła, z poświęceniem i odważnie wzięła na siebie odpowiedzialność — nie za siebie, za cudze życie. Uratowała go, teraz dokładnie zdaje sobie z tego sprawę — uratowała.

Pragnął, aby tu weszła, obejrzała ranę i przekonała się sama, że niebezpieczeństwo minęło. Prawdopodobnie denerwuje się tym nie mniej, niż on się denerwował. I nie tylko dlatego, że omyłkę uważałaby za upokorzenie, ale i dlatego, że ciąży na niej konkretna odpowiedzialność za życie dowódcy dywizji, od której chciałby ją jak najszybciej uwolnić.

I jakby w odpowiedzi na milczące wezwanie rzeczywiście zjawiła się w drzwiach i nie spytawszy o pozwolenie, weszła. Dlaczego ona właśnie teraz przyszła? Skąd dowiedziała się, że on o niej myślał? Jest już obok łóżka. Twarz skupiona, zakłopotana i niespokojna. Zu-

pełnie na niego nie patrzy — po prostu przyszła odwiedzić kolejnego chorego, to wszystko. Energicznie podniosła koc i milcząc zaczęła rozwijać bandaż. Nie, ona przyszła zupełnie nie z tego powodu, że on tak chciał. Po prostu wstąpiła, bo czas już było obejrzeć ranę.

Sabina przychodziła inaczej. Ciągnęło ją do sali, w której on leżał, i nie potrafiła tego ukrywać. Początkowo próbowała robić obojętną minę, tak jakby przyszła do kolejnego chorego, ale z czasem przestało się jej to udawać i wchodziła z gotowym uśmiechem, bo wiedziała, że on ją kocha.

— Czuję się znacznie lepiej — powiedział Szumakow, usiłując nie okazywać uczuć, jakie nim owładnęły.

— Widzę — sucho odpowiedziała Ania.

— A więc... ominęło mnie?

— Co to za terminologia: „ominęło” — zapytała Ania prawie surowo.

— Pani uratowała mi nogę. — Szumakow jednak nie mógł się powstrzymać.

— To obowiązek lekarza. — Ania mocno owijała bandaż, jakby nie interesowała się wcale tym, czy go boli, chociaż teraz nawet bardzo bolało.

— A mimo wszystko jestem pani ogromnie wdzięczny. Noga dla żołnierza... nie ostatnia rzecz.

— Jakbym myślała, że ostatnia, odciąłabym ją jeszcze wczoraj. — Skończyła bandażować i wyprostowała się. — Gdyby czegoś było potrzeba, proszę zawołać.

I tak jak weszła, tak też wyszła.

O czym ona myśli? Co leży jej na sercu? Może rzeczywiście spełniła tylko swój obowiązek? Ale dlaczego nie zrobił tego Wasadze, on przecież też jest lekarzem i obowiązki mają jednakowe. Jak by żył dalej, gdyby w korytarzu przypadkowo nie zjawiała się ona?

— Hołoborodko! — krzyknął Szumakow. Adiutant przez cały czas siedział w korytarzu, przy drzwiach.

Że jest mu rzeczywiście lepiej, Szumakow poznał to nawet po wyrazie twarzy Hołoborodki. Usiana cała piegami, promieniała, chociaż adiutant usiłował ukryć swoje radosne podniecenie.

— Rozkaz! — zasalutował wesoło.

— A cóż wy tak promieniejecie jak wyglansowany but?

— Ja? — zdziwił się adiutant. Twarz jego stała się zu-

pełnie dziecinna, naiwna, jakby stłukł szklanke i matka chce go zbić, a on uśmiechnął się głupkowato, twierdząc, że to absolutnie nie on stłukł.

— Skąd przywożą rannych? — zapytał Szumakow.

— Prawie wszyscy od Tereszczenki. Z trzeciego batalionu.

— Co opowiadają?

— Trudno się od nich czegoś dowiedzieć. Jeden mówi tak, a drugi całkiem inaczej.

— Tak, ranni to wielcy kłamcy. Przerażeni, nic nie poradzisz. Ja się wczoraj też przeraziłem.

I nagle, bez żadnego przejścia, Szumakow zapytał:

— A co ona tam powiedziała?

— Kto? — Hołoborodko doskonale wiedział, o kogo chodzi, ale na jego piegowatej twarzy znów pojawiła się naiwna mina.

— Kto, kto? — przedrzeźniał go Szumakow z udawaną złością. — Jacyś niedomyślni zrobiliście się, Hołoborodko.

Adiutant zmieszał się.

— Powiedziała, że wszystko w porządku.

— Dlaczego tak ze mną chytrzycie? — roześmiał się Szumakow. — Boicie się coś przegapić?

Adiutant był speszony, ale każdy pieg na jego puciołowanej twarzy uśmiechał się.

— Myślicie, że kiedy będę wiedział, to ucieknę?

— Właśnie tak, towarzyszu pułkowniku. Zgadliście.

— Dzisiaj nie. Jutro ucieknę.

— Nie wolno, towarzyszu pułkowniku. Powinno się za-goić.

— To wy tak myślicie czy ona?

— Cóż ja... Ja nie jestem lekarzem.

A więc to tak! Hołoborodko widocznie poprosił ją, aby była dla niego surowa i stanowcza, a przede wszystkim — nie powiedziała, że niebezpieczeństwo minęło. Boi się, że ucieknę, i ją też uprzedził. Oboje jesteście bardzo mili, chociaż z was wielcy dziwacy.

— A ja się tu głowię, dlaczego ona dla mnie taka surowa? — roześmiał się Szumakow w odpowiedzi na własne przypuszczenie. — A to wyście ją tak nastawili.

— Wczoraj w nocy zginął jej mąż.

Szumakow osłupiał. Omal nie krzyknął, że to niemoż-

liwe. Ale dlaczego niemożliwe? Możliwe. Wczoraj w nocy zginął mąż...

Raptem ogarnął go wstyd za wszystko, co dzisiaj myślał. Mąż zginął — i to jej leży na sercu. A jednak ratowała mu nogę, całą przyszłość mu ratowała.

— Pokotyło jest tutaj? — zapytał po długim milczeniu głuchym, drewnianym głosem.

— Jest, towarzyszu pułkownika.

— Podskoczycie z nim razem na stanowisko dowodzenia do pułkownika Sztukarenki. Jeżeli go tam nie ma, poszukajcie. Dowiedzcie się, jaka jest sytuacja, i wracajcie.

Hołoborodko nie zasalutował jak zwykle. Stał niezdecydowany.

— Mówiłem przecież... dzisiaj nie ucieknę.

— Rozkaz! — Hołoborodko przyłożył rękę do daszka, odwrócił się energicznie i poszedł, ale znów się zatrzymał. — W sąsiedniej sali leży ten nurek, co w nocy był na przeprawie. Amputowano mu rękę.

Jaki nurek? Aha, ten, o którym mówił mu generał Zotow. Przypomniał sobie, jak nieznajomy mu nurek umocowywał pontony pod huraganowym ogniem. Przeprawę uratował, ale rękę stracił.

— Wstąpcie do wydziału politycznego, powiedzcie, aby przedstawiono go do tytułu Bohatera Związku Radzieckiego. Przywieźcie formularz, podpiszę.

— Rozkaz, towarzyszu pułkownika!

— Wykonujcie!

Hołoborodko zniknął. Za chwilę rozległ się zgrzyt korby — Pokotyło zapuszczał swoją wysłużoną emkę. Czas by już było przesiąść się do jakiegoś zdobycznego horcha, a ją skierować do samochodowego szpitala, aby podkuto jej utrudzone nogi. Ale on tego nie robi — nie przesiądzie się do niemieckiego wozu, postanowił to raz na zawsze. Będzie ich pędził na swojej emce, czort z nimi!

Znowu skrzypnęły drzwi. Wszedł Wasadze. Za nim ta sama lekarka — Chochoł. Teraz już nie zapomni jej nazwiska. I wcale nie dlatego, że go uratowała, lecz dlatego, że ona to ona.

Wasadze milcząc zbliżył się do łóżka, wziął rękę, namacał puls. Kapitan poczuwał się wobec niego do winy.

Ale do jakiej? Na delikatnej chłopięcej twarzy malowało się napięcie, a dziecinne oczy trwoźnie biegały i zdawały się być przerażone na całe życie. Naturalnie wstyd mu, oczywiście rozumie, że Szumakow omal nie został kaleką przez jego zbytnią ostrożność... Ależ ty jesteś zupełny chłopczyk, ja nie wymagam od ciebie takiego zdecydowania, na jakie stać ją i mnie. Obawiałeś się odpowiedzialności za życie dowódcy dywizji, i chociaż to przykre, ja cię rozumiem. Najsmutniejsze jest to, że gdybym nie był dowódcą dywizji, leżałbym już bez jednej nogi, która człowiekowi jest tak potrzebna.

— Leży tutaj nurek, kto go operował? — zapytał Szumakow.

— Nurek? — Wasadze zwrócił się do lekarki. — Który to?

— Warywoda. W sąsiedniej sali.

— Aha, ten. Czuje się normalnie. — Wasadze pośpieszył uspokoić dowódcę dywizji.

— Bez prawej ręki? Normalnie? — Szumakow obrzucił go surowym spojrzeniem.

— To było konieczne. — Ania pierwszy raz zwróciła się do Szumakowa. — Nie było innego wyjścia. — Mówiła tak, jakby rozumiała wątpliwości dowódcy dywizji i jednocześnie chciała i jego przekonać, i kapitana obronić, i usprawiedliwić medycynę, która jeszcze nie jest w stanie dziać cudów.

Szumakow nieznacznie skinął. Tak, to było konieczne. To znaczy, że rzeczywiście nie było innego wyjścia, jeżeli ona tak mówi.

— Przekażcie mu, że przedstawiam go do tytułu Bohatera Związku Radzieckiego.

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku, przekażę. — Wasadze rad był, że rozmowa nie toczy się dalej w tym kierunku, którego tak się obawiał.

Szumakow widział, jak Ania raptem się odwróciła, łązy trysnęły jej z oczu. Potem głośno zaszlochała i wybiegła z sali.

Wasadze zmieszany odprowadził ją wzrokiem, później odezwał się z poczuciem winy, jakby usiłował usprawiedliwić lub wyjaśnić jej dziwne zachowanie.

— Wczoraj w nocy zginął jej mąż. Też nurek.

Szumakow znów skinął.

Tak, wiem. Wiem, że nurek, wiem, że zginął. Zbyt dużo wiem — i dlatego serce tak boli.

23

W piwnicy, gdzie mieściło się stanowisko dowodzenia pułku, Hołoborodko zastał tylko Tereszczenkę. Sztukarenko kwadrans temu poszedł do trzeciego batalionu i Hołoborodko rozminął się z nim.

Tereszczenko zapytał o zdrowie Szumakowa, potem pokazał adiutantowi na mapie, którędy przebiega pierwsza linia pododdziałów pułku. Ale Hołoborodkę interesowała sytuacja również w innych pułkach — Szumakow chciał mieć pełny obraz frontu dywizji. Takich informacji na prawym brzegu mógł mu udzielić jedynie Sztukarenko. Trzeba go było odszukać, tym bardziej że Szumakow kazał Hołoborodce odnaleźć pułkownika, gdziekolwiek by był.

Obaj z Tereszczenką wyruszyli do trzeciego batalionu konno. Trzeba było przejechać około półtora kilometra. Chociaż hala turbin i cała część miasta poniżej zapory znajdowała się jeszcze w nieprzyjacielskich rękach, pozycje trzeciego batalionu ciągnęły się już na zachód od miasta, faktycznie na tyłach Niemców.

Dobrze utrzymane zdobyczne koniki, schwytane bez jeźdźców przy budynku administracji, niosły ich lekko, to idąc stępa, to z rzadka puszczając się drobnym kłusem. Ziemia już dobrze podmarzła, w koleinach chrzęściła ściana lodem woda po późnych jesiennych deszczach. Aż do wąwozu, co czerniał na prawo za zagajnikiem, nieprzyjaciela już nie było, jechali wolno, z rozkoszą wdychając rześkie, mroźne powietrze.

Raptem za zagajnikiem rozległ się warkot silnika i Tereszczenko zatrzymał konia. Że to nie czołg, lecz samochód, domyślił się od razu. Ale skąd on mógł się tu wziąć? Jego samochodów nie było jeszcze na prawym brzegu, a sąsiedni pułk walczył dopiero na Chortycy... Mógł to być zdobyczny samochód, ale o zdobyciu samochodu na Niemcach nikt mu nie meldował. Tereszczenko

zasepiony zeskoczył z konia, od razu zeskoczył też Hołoborodko. Za chwilę obaj byli już w zagajniku.

Samochód zbliżał się szybko. Był to pomalowany w białe pasy sztabowy niemiecki mercedes. Za przednią szybą wyraźnie widać było dwie twarze — kierowcy i kogoś, kto siedział obok niego. Kierowca był w furazerce, a ten drugi w oficerskiej czapce: Niemcy!

Tereszczenko dał znak Hołoborodce, aby nie strzelał, a sam poczekał jeszcze z pół minuty i kiedy samochód się zbliżył, uderzył po nim krótką serią. Z chłodnicy buchnęła para, a silnik jakoś nienaturalnie głośno zażgrzytał i samochód stanął.

Ten, co siedział obok kierowcy, od razu wyskoczył z wozu i czmychnął do rowu. Za nim wyskoczyło jeszcze dwóch. Kierowca został w samochodzie i Tereszczenko dostrzegł, jak pochylił głowę na kierownicę — widocznie ranny albo zabity.

Ani Tereszczenko, ani Hołoborodko nie strzelali więcej, aby się nie zdemaskować. Nie widząc ich, Niemcy siali z dwóch automatów po całym zagajniku. Ale stojący przed nimi samochód ograniczał pole ostrzału i tam, gdzie zasiedli Tereszczenko i Hołoborodko, nie dolatywał żaden pocisk.

Hołoborodko odpiął od pasa granat.

— Szkoda samochodu — szepnął Tereszczenko. — Dorzucisz na tamtą stronę?

Hołoborodko nie odpowiedział i podniósłszy się na nogi, cisnął granat. Wybuchnął za samochodem, ale z zagajnika nie widać było, co się tam dzieje. Poczekali z minutę — więcej do nich nie strzelano.

— Hände hoch! — krzyknął Hołoborodko, lecz z rowu nikt się nie odezwał. — Co tam, wszyscy pogłuchli? — Twarz mu płonęła z podniecenia, a równocześnie uśmiechał się niepewnie do Tereszczenki. — Czyżby kaput?

Tereszczenko wziął do ręki drugi granat. Żał mu było samochodu, ale dłużej nie można było zwlekać. Zamachnął się już, aby rzucić, gdy z prawej strony ukazał się Niemiec i wyszedł na drogę.

— Hände hoch! — krzyknął Hołoborodko, lecz Niemiec nie podniósł rąk. Stał, chwiejąc się z lekka na swoich długich nogach, i ni to pochlipywał, ni to mrużył oczy jak człowiek, który zostanie raptem bez okularów.

— Podejź do niego. Ja cię osłonię — rozkazał Tereszczenko i skierował automat na Niemca.

Hołoborodko przeszedł ze dwadzieścia kroków wzdłuż zagajnika, chcąc zobaczyć, czy za samochodem został ktoś jeszcze żywy. Nikogo nie było widać, poszedł więc prosto do Niemca.

On wciąż jeszcze włókł się powoli, ale rąk nie podnosił. Hołoborodko ominął go bokiem i zajrzał do rowu. Dwóch leżało, ale trudno było określić — udają martwych czy też rzeczywiście są martwi. Na wszelki wypadek uderzył w nich krótką serią, Niemcy nie poruszyli się jednak, a ten, co stał przy samochodzie, jakoś zabawnie się wzdrygnął i niespodziewanie podniósł do góry obie ręce. Ledwie się trzymał na nogach — może z przestachu, a może dlatego, że był podпиты.

Teraz i Tereszczenko wyskoczył z zagajnika i podbiegł do samochodu. Szybko obszukał jeńca — broni przy nim nie znalazł. Hołoborodko tymczasem zaglądnął do wozu — kierowca już nie żył.

— Prowadź go do koni, a ja trochę poszperam w samochodzie — spokojnie rzekł Tereszczenko. — To sztabowy samochód.

— Kapitan? — zapytał Hołoborodko jeńca.

Niemiec wyprężył się na baczność i urażony wybełkotał płaczącym się językiem:

— Major.

— Słyszeliście!? — zawołał uradowany Hołoborodko.

— Prowadź! Ja zaraz wrócę.

Hołoborodko poprowadził jeńca do zagajnika. Niemiec szedł pokornie, coraz się oglądając. Tereszczenko wszedł do samochodu, popchnął martwego kierowcę; przechyliwszy się ciężko na lewy bok, kierowca wypadł przez otwarte drzwiczki.

Tak, to był sztabowy samochód. Przy przednim siedzeniu na drzwiczkach wisiała wielka skórzana teczka. Z tyłu na specjalnym stoliku stała walizkowa maszyna do pisania. Na podłodze leżał automat majora, a obok — dwie próżne butelki.

Tereszczenko wziął automat i teczkę, potem wszedł do rowu i podniósł jeszcze dwa automaty. Wyszedł już na drogę, ale przypomniał sobie, że nie zabrał dokumentów

tym, co leżeli w rowie. Wrócił się, dokładnie obszukał zabitych i ruszył w stronę zagajnika do Hołoborodki.

Lejtenant uspokoił się już i mocno krępował swoim paskiem ręce jeńców.

— On i tak nigdzie nie ucieknie — powiedział Tereszczenko. — A ty, jeszcze by tego brakowało, spodnie zgubisz bez paska.

Hołoborodko obraził się, wydawało mu się, że Tereszczenko kpi sobie z niego. Milcząc, rozwiązał Niemcowi ręce i podpasał się.

W tej chwili w dali zamajaczyła wysoka sylwetka — ktoś szedł w ich stronę wzdłuż zagajnika. Tereszczenko przyjrzał się, ale nie poznał od razu.

— Pułkownik! — wykrzyknął Hołoborodko.

Tak, to szedł Sztukarenko. Wracał z trzeciego batalionu do pułku. Zobaczywszy trzech ludzi przy koniach, zatrzymał się, ale Hołoborodko, wymachując rękami, zawołał: — Swoi!

Widocznie Sztukarenko poznał głos adiutanta, gdyż od razu zdecydowanie skierował się do nich.

Jak tylko podszedł, Tereszczenko zawołał:

— Pozwólcie zameldować, towarzyszu pułkowniku: złapaliśmy ptaszka, i to, zdaje się, nie byle jakiego! — Teraz już i w jego głosie dźwięczało podniecenie, tak jak poprzednio w głosie Hołoborodki. Długo powstrzymane napięcie odezwało się u Tereszczenki dopiero teraz.

— Skąd on się tu wziął? — zdziwił się Sztukarenko.

— Diabli go wiedzą! Nie w tę stronę uciekał czy co? Tam w rowie jeszcze trzech leży.

— Zuchy! — uśmiechnął się Sztukarenko, i wszedłszy do zagajnika, wyrzwał na drogę. — Pijani czy co?

Podszedł do jeńca — ten już jakby wytrzeźwiał i tylko cały dygotał. Sztukarenko znał niemiecki, chociaż niezbyt dobrze — lepiej umiał czytać niż rozmawiać.

— Kim pan jest? — zapytał.

Niemiec nie odpowiedział.

— No, ty, rozmawia z tobą Herr Oberst! — przysunął się do niego Hołoborodko. Gniewny okrzyk nie zabrzmiał zbyt przekonująco w ustach puciołowatego i perkatonosego lejtenant, ale usłyszawszy słowo „oberst”, Niemiec wyprężył się na baczność.

— Dowódca drugiego batalionu sześćset czterdziestego trzeciego pułku! — zameldował wyraźnie.

Sztukarenko uśmiechnął się do Tereszczenki samymi oczyma: był to ten niemiecki pułk, który bronił zapory.

— Gdzie go odprowadzimy? — zapytał Tereszczenko.

— Myślę, że do was. A wy biegnijcie do trzeciego batalionu, niech się nie przesuwają, dopóki go nie przesłucham.

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

Tereszczenko skoczył na konia i kłusem pomknął w kierunku stanowiska dowodzenia trzeciego batalionu.

Sztukarenko szedł obok jeńca. Hołoborodko został kilka kroków w tyle. Prowadząc konia za uzdę, na wszelki wypadek skierował automat w plecy jeńca.

Teraz już i Sztukarenko był radośnie podniecony. Dowódca batalionu ochrony powinien wiedzieć to wszystko, co go tak interesuje. Dlaczego Niemcy dotychczas nie wysadzili zapory? Kiedy zamierzają to zrobić? Gdzie znajduje się ten przekłety wyłącznik, który oni mają włączyć? Gdyby wiedzieć to wszystko dokładnie, może udałoby się jeszcze jakoś zapobiec katastrofie...

Lepiej byłoby spokojnie odprowadzić jeńca na stanowisko dowodzenia i tam przesłuchać. Ale radosna niecierpliwość nie pozwalała Sztukarence zwlekać. I już tutaj, na drodze, zaczął przesłuchanie.

Niemca nie trzeba było zmuszać. Odpowiadał wyraźnie i prosto. To właśnie jego podwładny, oberleutnant Müller, miał włączyć prąd. Długo czekali na zezwolenie, gdyż w dole wciąż jeszcze tkwi w bagnach osiem dywizji, i bez specjalnej sankcji nie mogli ich zatopić. Wreszcie zezwolenie nadeszło. Oberleutnant przekreślił wyłącznik, lecz wybuch nie nastąpił. Dlaczego? Trudno powiedzieć? Kiedy zameldował o tym dowódcy swojego pułku, ten we własnej osobie przybył do wyłącznika i osobiście go przekreślił. Ale wybuch i tak się nie rozległ, chociaż prąd włączał sam dowódca pułku, a nie jakiś tam oberleutnant. Musiało się coś stać na linii, ale co konkretnie — nie wiadomo.

— Teraz jest mi już wszystko jedno. Jakbym nie dostał się do niewoli, gestapo i tak by mnie rozstrzelało — zakończył major. — Wieziono mnie właśnie do trybunału — wskazał w stronę samochodu.

Sztukarenko już tego nie słyszał. Myślał teraz o Char-kewiczu. Może jednak udało mu się wykonać to najważ-niejsze. Zresztą jak było, tak było, teraz nie ma się już czego obawiać: zapora ocalała!

Zatrzymał się gwałtownie. A więc można od razu za-wrócić trzeci batalion Tereszczenki w kierunku Dniepru — obejść przez południowe przedmieścia tych, co zostali w rejonie zapory, i zniszczyć ich albo wziąć do niewoli. Pozwoli to kapitanowi Somowi szybko zbudować przepra-wę przez drugą odnogę Dniepru i cała dywizja bez przeszkód przejdzie na prawy brzeg. Następnie można wykonywać drugi etap zadania — zawrócić na południe wzdłuż Dniepru i odciąć te osiem dywizji, które ugrzęzły w bagnach na lewym brzegu.

— Hołoborodko, pędźcie do Tereszczenki i powiedzcie mu, aby nie zatrzymywał trzeciego batalionu. Niech na-tychmiast zaczyna działać zgodnie z planem.

— Towarzyszu pułkowniku, a co z tym? — Hołoborodko wskazał w stronę jeńca. Wyraźnie nie miał ochoty zosta-wiać swojej wojennej zdobyczy.

— Doprowadzę go sam. Wykonujcie!

— Tak jest! — Hołoborodko skoczył na siodło i z miej-sca pomknął galopem.

Sztukarenko obejrzał się za nim i ruszył dalej. Jeniec szedł obok niego. Obaj milczeli. Sztukarenko w napięciu przysłuchiwał się pojedynczym seriom, które z rzadka odzywały się z tyłu.

Nogi same go niosły. Potrzebny mu był telefon albo samolot, aby polecieć do Szumakowa. Ale w polu nie było ani telefonu, ani samolotu. Była tylko ogromna, nieprzejrzana i niepojęta radość, którą musiał nieść w sobie, nie mając się nią z kim podzielić. Nigdy się chyba nie dowie, kto mu ją podarował — ślepy przy-padek czy bohaterski czyn. Ale od kiedyż to właściwie przypadek stał się ślepy? Czyż nie jest on uwarunkowany prawidłowością ludzkich czynów? Sztukarenko uśmiech-nął się sam do siebie — niespodziewanie odezwał się w nim dawny wykładowca.

Zbliżali się już do przedmieścia, kiedy na odcinku trzeciego batalionu uderzyła bateria. Niech będzie przy-padek. Niech będzie ślepy. Przez te wszystkie dni ludzie nie spali, aby zdarzył się taki przypadek. Krew przele-

wali, dużo ludzkiej krwi, po której w dodatku wyleje się jeszcze morze kobiecych łez.

Z tyłu odezwały się karabiny maszynowe. Odległość tłumiała i ściszała ich głosy, lecz Sztukarenko swobodnie władał językiem boju i doskonale rozumiał, co one mu opowiadają.

Alē nie powiedziały mu one tylko jednego — że właśnie w tej chwili zginął Hołoborodko. Adiutant przekazał Tereszczence wszystko, co mu pułkownik zlecił, skoczył znów na konia i puścił się cwałem z powrotem w nadziei, że uda mu się jeszcze dopędzić go. Granat rozerwał się z przodu. Koń stanął dęba, ale ciało lejtenanta dziwnym trafem zatrzymało się w siodle. Za chwilę oszalały z bólu koń zawrócił i poniósł swój bezwładny ciężar przez step, przesadzając okopy pierwszej linii — ponad głowami żołnierzy, którzy ze zdumieniem go obserwowali. Koń nie cwałował długo, wyskoczywszy na pas neutralny, znów stanął dęba, zamarł, jakby zastanawiając się nad czymś, i runął na wznak na swego martwego jeźdźca.

Za godzinę, kiedy batalion przesunął się i zajął tę połąć stepu, ciało Hołoborodki wyniesiono spod ostrzału i zawieszono na Dnieproges.

24

Charkewicz obudził się i długo wpatrywał się osowiałym wzrokiem w szary mrok na pół ciemnej kazamaty. Oczy już się otwały, ale mózg był jeszcze w niewoli ciężkiego snu.

Naraz zdał sobie sprawę, że przed nim ktoś stoi. Zerwał się z miejsca — snu jakby nie było.

— Kto to? — zapytał.

Nieznajomy podniósł rękę do obwiązanej głowy, jakby chciał poprawić przesiąknięty krwią opatrunek. Był w cywilnym ubraniu, ale miał przy sobie automat.

— Ja z ochrony siłowni. Sierżant Jaroszenko.

Charkewicz nie wiedział, co odpowiedzieć, ale raptem przypomniał sobie, że powinien biec.

— Dokumenty macie? — zapytał i spojrział na wyłącznik.

— To mój dokument! — Jaroszenko wskazał na zabandażowaną głowę.

Charkewicz milczał.

— No to ja pójdę.

Nie wiedział, co się dzieje na górze — można już przejść do budynku, w którym niegdyś mieszkała Ksenia, czy nie można? Chwyił automat i pobiegł. Schody głośno dudniły pod jego butami, wypełniając głuchym łoskotem pusty korytarz. Na placyku przed halą turbin przystanął na moment, zastanawiając się, którądy dalej bieć. Można tą samą drogą, którą dostał się tutaj, ale musiały się wdrapać na stromą, niedostępną ścianę, spoza której nie widać, co dzieje się w mieście. Najlepiej przez halę turbin, na wielkie podwórze przed nastawnią, a stamtąd po schodach do bramy, przy której mieści się właśnie nastawnia. Przez bramę można wyrzucić wprost na ulicę, a nawet zobaczyć budynek, o który mu teraz chodziło.

Skoczył na schody, szybko wbiegł na sam szczyt i gwałtownie przystanął, jakby go coś uderzyło w piersi. To, co zobaczył, zdziwiło go i przeraziło. Ogromne gniazda, w których kiedyś cicho szumiały turbiny, ziały jak złowieszcze przepaści — puste i czarne jak leje po gigantycznych pociskach. Miejsce, gdzie kiedyś stała hala turbin, zawalone było zupełnie szczątkami żelaznych konstrukcji — delikatną i ażurową plecionką metalowych belek, które niegdyś podtrzymywały lekki dach. Ścian prawie nie było, czerwieniły się tylko ciężkie bryły zlepionej cementem cegły i tufu przemieszane z resztkami żelaznych kratownic.

Charkewicz z trudem przedarł się na lewą stronę, gdzie wznosiła się niegdyś ściana ze szkła, przez którą tyle razy spoglądał na wspaniałe krajobrazy wody dolnej, na strome, grzebieniaste stoki zapory, po których miękko i wolno przewalały się szerokie strumienie oleistej wody. Na wiosnę, kiedy zbierało jej się zbyt wiele, zachowywała się zupełnie inaczej. Zdawało się, że wraz z przebudzeniem się całej przyrody w niej również wyzwalały się ukryte pierwotne siły i powolne strumienie zmieniały się w burzliwe lawiny, które z niesłychaną siłą rwały przez wszystkie otwory i rozbijając się o skały, wywoływały niesamowite wrażenie.

Tutaj za szklaną ścianą nie było słyszeć huku wody nawet w czasie wiosennych przypiływów. Widziało się stąd tylko, jak szalała i srożyła się, przekształcając się w mi-

liardy bryzgów, które kłębiły się nad skałami u kamiennego podnóża zapory, i można się było jedynie domyślać, jaki tam panuje huk. Ucho łowiło stłumiony, melodyjny szum dziesięciu potężnych turbin, który napełniał serce spokojem i jakimś szczególnym poczuciem pewności.

Teraz była zima, ale woda jak oszalała rwała przez wyłomy i było w tym coś nienaturalnie zatrważającego. Biła z dziką siłą, ale nie po całym przelewie, jak dawniej, lecz tylko w niektórych miejscach — tam, gdzie wojna otworzyła potworne wyrwy. I w jej niesamowitym ryku i dzikim pędzie do swobody nie wyczuwało się już tej spokojnej równowagi, jaką narzucił żywiołowi ludzki rozum. I to było najstraszniejsze, gdyż zdawało się, że pierwotne siły przyrody kpią i znęcają się nad tymi, którzy je kiedyś ujarzmili, i usiłują naocznie wykazać, że żywioł i dzikość silniejsze są od ludzkiej woli i rozsądku.

Serce się ścisnęło. Kiedy pierwszy raz z lewego brzegu Charkewicz obserwował w nocy to miejsce, nie mógł wszystkiego zobaczyć. Potem, przedzierając się przez zaporę, również nie miał możliwości w pełni wszystkiego objąć. Dopiero tutaj ukazała mu się cała straszliwa prawda — pełny sens tego szaleństwa, jakie przyniosła tu wojna.

Trzeba było iść jak najszybciej, ale Charkewicz nie mógł oderwać oczu od tego straszego widoku. Chwilę jeszcze stał jak przykuty do kamiennej bryły. Wreszcie poszedł powoli dalej, z trudem przedzierając się przez zwały żelastwa i gruzu i nie oglądając się więcej na to, co nim tak wstrząsnęło.

Nie myślał już teraz ani o Kseni, ani o jej rodzicach, ani o Kławdii Charytoniwnie. Struna napięta przez cały czas w jego duszy pękła. Po tym, co tutaj zobaczył, lepiej było nie myśleć, co go jeszcze czeka. Jeżeli wróg zdołał zmienić w chaos pół świata, to czy można się było po nim spodziewać, że użalił się i ulitował nad jednym życiem? Charkewicz brnął przez ogromny wyasfaltowany dziedziniec, który wydawał się zupełnie pusty po zawalonej i zatłoczonej hali turbin, brnął tak samo pusty, jak ten dziedziniec, i zdruzgotany, jak wszystko wokół niego. Dokoła nikogo nie było. Z daleka dobiegały odgłosy wybuchów i serii karabinów maszynowych. Gdzieś za południowymi

przedmieściami toczył się bój. Charkewicz nie zastanowił się nawet nad tym, że strzelają już bardzo daleko. Szedł przed siebie, nie myśląc o niczym, i tylko jakiś podświadomy instynkt wyprowadził go przez szeroko otwartą bramę na ulicę.

Dom, w którym Charkewicz kiedyś mieszkał, stał w zaułku za rogiem, i nawet z daleka było widać, że tam również wszystko doszczętnie zburzone. Poprzez nagie drzewa na znajomym skwerze prześwitywały ruiny. Samotna bezlistna topola górowała nad nimi, jak niemy świadek tego, co przeżyło miasto.

Tutaj także nie było nikogo. Zresztą co by to dało, choćby się nawet ktoś zjawił? Pytać i tak by się nie odważył, bo bałby się, że się dowie o tym, czego się najbardziej lękał. Przeszedł na drugą stronę ulicy i powlókł się do budynku. Ruiny były już zastarzałe, wśród nich sterczały nawet ciemne, zeschnięte łodygi zeszłorocznych burzanów. A więc to stało się dawno. Nikt nie został przy życiu, a jeśli ktoś został, to uciekł na pewno gdzie go oczy poniosły z tego piekła. Przez jakie rzeki trzeba będzie jeszcze przejść, aby ich odnaleźć? I czy starczy sił, aby tę drogę pokonać?

Charkewicz podszedł do topoli i pogładził jej chropowatą korę. Wyrosła wysoko w ciągu tych pięciu lat. Nie, to nieprawda, że rzeczy martwe są trwalsze od żywych. To drzewko przeżyło i żelazo, i kamień. Wpiło się chwytliwymi korzeniami w ziemię i stoi. A może ono ma szczęście, bo ci troje, co je sadzili, włożyli w grunt jakieś bardzo żywotne uczucia? Ale czy to byłoby sprawiedliwe, aby i ono zginęło i pociągnęło za sobą w przepaść niebytu wszystko to nieśmiertelne, co oni we trójkę w nie włożyli?

Nie, kamień nie przeżyje człowieka, a jeśli zdarza się taki cud, to tylko wtedy, kiedy człowiek daruje mu część siebie. Ale to już nie jest martwy kamień, ożywia go rozum i żar ludzkiego ducha. Tak jak zaporę, co widnieje w dali, jak wszystkie wspaniałe pomniki, którymi ludzkość ozdobiła swą drogę.

Charkewicz stał nad ruinami swojego domu jak nad świeżą mogiłą — z odkrytą głową. Nie zauważył nawet, kiedy zdjął czapkę. Potem poszedł zaułkiem z powrotem, wciąż jeszcze trzymając ją w ręce. Nie wiedział, gdzie

ić, po prostu szedł, aby nie stać na miejscu. Przy budynku administracji przystanął — tutaj skrzyżowanie i trzeba gdzieś zawrócić.

Na schodach skrzywnęły ciężkie dębowe drzwi, Charkewicz nie obejrzał się. Za chwilę usłyszał głos Sztukarenki:

— Charkewicz, to pan?

Nie czekając na odpowiedź, Sztukarenko szybko zbiegł ze schodów. — Żyje pan! Och, jak to dobrze!

Charkewicz uśmiechnął się lekko, i Sztukarenko objął go swoimi długimi rękami.

— Jak to dobrze! Jak dobrze! — powtarzał zachwycony i po chłopięcemu poklepywał Charkewicza po ramionach, jak gdyby spotkał starego szkolnego kolecę, którego dawno nie widział. — Nie dajcie im jednak wysadzić zapory, co? Diabła łysego!

Charkewicz nic nie wiedział ani o zeznaniach wziętego do niewoli majora, ani o tym, że pośród przewodów, które przeciął swym nożem Amiradze, był także ten, którego on tak długo szukał. Sztukarenko natomiast był pewien, że o przewodzie Charkewicz nie może nie wiedzieć, nic mu więc nie wyjaśniał i tylko głośno wyrażał swą radość, oceniając milczenie Charkewicza jako oznakę skromności prawdziwego bohatera.

— Wybieram się zaraz na lewy brzeg, chcę odwiedzić dowódcę dywizji. Może i pan pojedzie? Pułkownik rad będzie pana zobaczyć.

— Dziękuję.

Dopiero teraz Sztukarenko przypomniał sobie, że Charkewicz jest tutejszy. Uważnie spojrzął na niego i raptem spochmurniał.

— Szukał pan swoich?

Charkewicz nie odpowiedział i tylko odwrócił się w kierunku zrujnowanego budynku. Sztukarenko go zrozumiał.

— To jeszcze o niczym nie świadczy, proszę mi wierzyć. Stali w milczeniu: pocieszać się nie było sensu.

— Pójdę, może kogoś spotkam — odezwał się wreszcie Charkewicz. Sztukarenko położył mu rękę na ramieniu. — Życzę powodzenia — powiedział, wzruszony cudzym nieszczęściem. — Nie trzeba tracić nadziei, może jeszcze wszystko będzie dobrze.

Charkewicz z wdzięcznością uściśnił szczupłą, ciepłą

dłoń Sztukarenki i skręcił w ulicę na lewo. Minał budynek administracji, gdzie kiedyś zapoznał się z Ksenią i gdzie często bywali we dwóch z Petią Sławczukiem. Ale budynek ten nie wywołał w nim żadnych wspomnień, które w tej chwili mogły tylko zwiększyć jego cierpienie. Szedł wciąż nie wiedząc, gdzie idzie i dlaczego właśnie wybrał ten kierunek. Równie dobrze mógłby iść w przeciwną stronę, obok innych domów i parkanów, i prawdopodobnie odczuwałby taką samą rozpacz i beznadziejność, jaką odczuwał idąc tędy.

— Wieczorem wracam! — zawołał za nim Sztukarenko.
— Proszę przyjść do mnie, koniecznie!

Charkewicz obejrzał się, skinął na znak zgody i poszedł dalej. Sztukarenko stał jeszcze przez chwilę, odprowadzając go wzrokiem, jakby sylwetka Charkewicza, zgarbiona i postarzała raptem, opowiadała mu o tym, co czuje ten człowiek i co przeżył w swym krótkim życiu.

25

Sztukarenko wioził dla Szumakowa wiele przyjemnych nowin, i tylko jedna była smutna — śmierć Hołoborodki. Wiedział, że Szumakow więcej niż przychylnie odnosił się do tego roztropnego i oddanego mu chłopca, zdecydował więc, że lepiej teraz nic nie mówić. Dowie się później — nie należy zasmucać chorego. Hołoborodce już nic nie pomoże, a Szumakowa trzeba oszczędzać.

Podszedł do sali dowódcy dywizji, przy której, rozparłszy się na krześle i opuściwszy ręce prawie do samej podłogi, chrapał Prychodko. Sztukarenko spojrzał na bezradną w śnie i szczęśliwą twarz starego szewca, na jego rzadziutkie rude wąsy, które poruszały się jak żywe w takt głośnego sapania, i uśmiechnął się. Położył Prychodce rękę na ramieniu, ale on się nie obudził, i Sztukarenko postanowił go nie trwożyć. Uchyliwszy lekko drzwi, wszedł bezszelestnie. Szumakow leżał na wznak, jakby wpatrywał się w sufit zamkniętymi oczyma — spał także i oddychał równo i cicho.

Sztukarenko zdjął płaszcz i usiadł na parapecie. Przez chwilę przyglądał się bladej twarzy towarzysza, potem

wyjął z kieszeni bluzy list od żony, który otrzymał dzisiaj już na prawym brzegu, i dopiero teraz miał możliwość uważnie go przeczytać. Żona dziękowała za to, że przysłał Hołoborodkę: wprost ze szpitala pojedzie na nowe mieszkanie. Teraz będzie jej znacznie lepiej, otrzyma coś niecoś na nowe kartki, o które także postarał się Hołoborodko. Od jutra Wowa znów zacznie chodzić do szkoły — krótko mówiąc, wszystko w porządku, aby tylko on wrócił z wojny cały i zdrowy, to można by zacząć spokojne, powojenne życie. Na końcu Dokija Lwiwna jeszcze raz dziękowała Hołoborodce i przesyłała pozdrowienia dla Szumakowa, o którym Sztukarenko często jej pisał.

— Hołoborodko wrócił z tobą? — usłyszał głos dowódcy dywizji.

— Do diabła! Obudziłem cię jednak! — z przykrością zaklął Sztukarenko.

— A ja wcale nie spałem — roześmiał się Szumakow. — Widziałem, jak wszedłeś. Chciałem zobaczyć, co robi człowiek, kiedy myśli, że nikt go nie obserwuje.

— To zależy od charakteru. — Sztukarenko odszedł od okna i zbliżył się do łóżka.

— A ty co robiłeś?

— Czytałem list.

— Od kogo?

— Od kogóż by! Od żony. — Chciał powiedzieć: „Dziękuję, że przysłałem Hołoborodkę”, ale w porę się powstrzymał. — Prosi, aby ci przekazać pozdrowienia.

— A co tam u niej?

— U niej nic specjalnego. — Sztukarenko bał się, że rozmowa o żonie mimo wszystko nasunie Szumakowowi myśl o Hołoborodce, i szybko przysiadł na brzegu łóżka. — Powiedz lepiej, co z tobą?

— Będę znów skakał na dwóch.

— To najważniejsze. Wasadze mi zameldował.

— Wasadze! — W głosie Szumakowa zabrzmiała ni to ironia, ni to współczucie. — A co dowódca armii?

— Dzwonił dzisiaj — wyjaśnił pośpiesznie Sztukarenko, aby uniknąć opowiadania o Lemieszce. — Gratulował sukcesów, kazał przekazać ci gratulacje. Zameldowałem mu, że za tydzień będziesz w szeregach.

— Jutro, a nie za tydzień.

— Nie pleć głupstw!

— Nie warto się sprzeczać. Opowiadaj, co tam u nas.

Sztukarenko wyjął z teczki mapę i rozłożył na łóżku przed Szumakowem. Tereszczenko walczył już około sześciu kilometrów od miasta. Mapa upstrzona gęsto czerwonymi strzałkami wskazywała kierunek natarcia dywizji wzdłuż Dniepru. Sąsiad z lewego skrzydła podciągnął się też do mostu pontonowego i w nocy miał się przeprawić na prawy brzeg. Jeżeli natarcie w takim tempie będzie się rozwijać i jutro, to osiem niemieckich dywizji pozostanie na zawsze w lewobrzeżnych bagnach.

Opowiedział Szumakowowi o sytuacji na zaporze, starając się mówić o tym jak najspokojniej. Nie chciał okazywać szczególnej radości, która go przepełniała — Szumakow mógłby to przyjąć jako przytyk do dawnych nieporozumień. Daleki był od tego, aby robić wyrzuty Szumakowowi. Zaporę uratowali, i to nie mogło go nie cieszyć, bo to było coś, co cieszyło wszystkich.

I raptem Sztukarenko wyczuł, że z Szumakowem coś dziwnego się dzieje, że i pyta, i odpowiada jak z musu, jakby przez cały czas myślał o czymś zupełnie innym i usiłował to ukryć. Co to mogło być? Z nogą przecież wszystko się dobrze skończyło — Wasadze zapewniał go o tym. Co prawda na kilka dni Szumakow został zepchnięty na ubocze wydarzeń, ale na wojnie to zwykła sprawa. Coś go dręczyło — Sztukarenko widział. Nawet wygląd zewnętrzny — nieruchoma twarz z wyrazem uroczystego spokoju, takim niezwykłym u tego człowieka — wszystko to odbijało nurtujący go, ale głęboko ukrywany wewnętrzny niepokój. Mogło to być oczywiście coś zupełnie osobistego — coś, co nie ma żadnego związku ani z raną, ani ze sprawami dywizji. Przypomniał sobie fotografię, która przypadkowo wypadła z książki, kiedy zastał dowódcę dywizji samego z tomikiem Tolstoja w ręku... Ale czy podobna, aby to mogło go teraz niepokoić?

Najlepiej otwarcie zapytać. Milczeć wstydliwie albo udawać, że się nic nie dostrzega, to po prostu okazać obojętność, a to straszne, szczególnie jeśli ma się przed sobą przyjaciela.

— Co się z tobą dzieje, Iwanie? — Sztukarenko pochylił się nad łóżkiem.

Szumakow spojrzał na niego, jakby zdziwiony tym

niespodziewanym pytaniem. Potem znów się odwrócił i przez pewien czas wpatrywał się w sufit.

Co się ze mną dzieje! Powiedzieć, że nic, to skłamać. Komu jak komu, ale Sztukarence dawno już powinien być o tym wszystkim opowiedzieć. Co będzie, to będzie, dłużej nie jest w stanie tego ukrywać. Niech robią, co chcą...

— Wybacz, że mieszam się może w nie swoje sprawy. Ale widzę, żeś ty... — ciągnął Sztukarenko. A jak zaczął, nie mógł się już wycofać. — Widzisz? Co ty możesz wiedzieć? Na czole mam napisane czy jak?

Szumakow znów spojrzał na Sztukarenkę i uśmiechnął się.

— Ależ ty jesteś chytry!

— Nic nie poradzisz. Chłopska natura.

— Ty i pod ziemią widzisz.

— Na metr i dziesięć centymetrów w głąb.

— Pop. Prawdziwy pop.

— Bo komisarz to właściwie też pop. Były komisarz — tak samo — roześmiał się Sztukarenko. — No cóż, spowiadaj się.

Masz ci los: spowiadaj się! Sam nasunął myśl o spowiedzi, nazywając go popem. Szumakow znów wpatrywał się w sufit. Twarz miał spokojną, uroczystą.

— Wypadek jeden, rozumiesz, niepokoi mnie... — westchnął Szumakow. — Spotkałem tutaj człowieka... Obaj w korytarzu czekaliśmy na lekarza... Także walczyliśmy w Hiszpanii. Tak się złożyło, że tam nie zetknęliśmy się ze sobą. Okazuje się, że służy w naszej dywizji.

— U kogo?

Szumakow uśmiechnął się chytrze i zajrzał Sztukarence wprost w oczy.

— Tego to ci nie powiem. (Nie umie kłamać. Jak tylko spróbuje, od razu płoną mu uszy niczym dwa święteczne proporczyki i płomień, co odbija się od nich, łagodnie rozlewa się po całej twarzy).

— Ja się nawet nie dopytuję. Co za różnica.

— Oczywiście, co za różnica. Sprawa nie polega na nazwiskach. Jest taki człowiek na świecie, i w tym całe nieszczęście. Walczył w Hiszpanii, walczy teraz, a tymczasem wie, że go poszukują, aby go wsadzić za kratki. Nieprawdopodobna historia, ale nic nie poradzisz — to fakt. Może to fatalna omyłka, ale raczej złośliwe oszczer-

stwo. I co gorsze, wie, że go od dawna poszukują, i dowodzi sobie, powiedzmy, pododdziałem. Mógłby nawarzyć takiego piwa... Wiadomo, co można narobić, jeśli się jest przestępcą i w dodatku oficerem?

— A czy on jest naprawdę przestępcą?

— Bzdura.

— To on tak uważa?

— A któż by inny? On.

— I ty mu wierzysz?

Szumakow uważnie przyjrzał się Sztukarence. W oczach nagle zabłysnął gniew — prawie złość.

— Jakbym nie wierzył, to nie rozmawiałbym z tobą, kazałbym go natychmiast zaarrestować!

Sztukarenko milczał.

— Ciekawe, o co go oskarżają?

— A diabli wiedzą o co! Pójść i powiedzieć: pokażcie akt oskarżenia? — Szumakow gorączkował się, twarz mu płonęła jakimś nie wiadomo do kogo adresowanym gniewem. Naraz jednak się uspokoił, jakby zupełnie osłabł. — A może tak właśnie trzeba zrobić...

— A on sam co o tym myśli?

— Prosi mnie o radę.

— To znaczy, że nie jest pewien. — Sztukarenko wstał.

— A jak mu poradzisz — zgłosi się, gdzie należy?

— Zgłosi się — odpowiedział stanowczo Szumakow, patrząc Sztukarence wprost w oczy.

— Jeżeli tak, to nie jest przestępcą.

— A widzisz! — ucieszył się Szumakow. I raptem ledwie dosłyszalnie dodał: — Żeby tak można było wiedzieć, że oszczercę się zdemaskuje, a samemu nadal można będzie walczyć...

Sztukarenko zaczął przechadzać się wolno wzdłuż sali z rękami splecionymi na plecach. Szumakow śledził go baczny, pytającym spojrzeniem. Wreszcie Sztukarenko przystanął przy łóżku.

— A warto to los kusić? — zapytał Sztukarenko. — Przecież najważniejsze to pobić Hitlera, a z jakimś tam malutkim podlecem można się i później rozprawić.

Szumakow milczał. A więc i Sztukarenko nie radzi. Nie wierzy, że można łatwo unicestwić łajdaka i pójść swoją drogą, wypełniać swój żołnierski obowiązek. Zupełnie tak samo mówił i Kołomijec. Słowa jego wbiły

mu się w pamięć, jakby je rylcem wykuto. Nie porozumiewali się przecież ze sobą, a mówią to samo!

Nie znałeś ty przypadkiem podpułkownika Kołomijca? — zapytał Szumakow, wciąż jeszcze zdumiony zbieżnością słów Sztukarenki z tym, co usłyszał pod Smoleńskiem.

— Nie. A dlaczego pytasz?

— Tak sobie. Nie myśl tylko, że to jest to nazwisko, którego ci nie powiedziałem — uśmiechnął się Szumakow. — W naszej dywizji, zdaje się, nie ma Kołomijca.

— Boisz się, że będę szukał?

Szumakow wsparł się na łokciu, jakby chciał wstać.

— Pamiętaj, Stepan, ja się niczego i nikogo nie boję!

Szumakow wypowiedział te słowa z jakąś bolesną determinacją.

Sztukarenko mimo woli zerknął na niego i naraz wszystko zrozumiał. I ten niespodziewany domysł tak go oszołomił i wzburzył, jakby go coś mocno uderzyło w serce. Odwrócił się w obawie, aby się nie zdradzić, i odszedł do okna. Nad ziemią wisiała przezroczysta, śnieżna zasłona, lekka jak mgła i niebieskawa jak dym.

Sztukarenko stał i przyglądał się, jak spokojnie spadają na ziemię śnieżynki, płynnie osiadając w powietrzu niczym w gęstej cieczy. Przyroda żyła swoim życiem, nie interesowało jej to, co myślą i robią na ziemi ludzie. Zdawało się, że odwróciła się od nich, przekonana, że jej rozsądne zrównoważenie jest dla nich niedostępne.

Ale ta obca cisza za oknami uspokoiła Sztukarenkę.

Podszedł do Szumakowa:

— Na mnie już czas.

— Jedź, Stepan.

— A ty nie myśl o tym. Nasza sprawa to walka. Dopóki nieprzyjacieli przed nami, nie myśl o niczym innym.

— To brzmi jak kazanie — roześmiał się Szumakow. — Ale na ogół masz rację. — Uścisnął dłoń Sztukarence.

— Zaufaj mi, to najważniejsze.

Sztukarenko włożył już płaszcz i dopiero teraz przypomniał sobie o dokumentach, które przywiózł do podpisania dowódcy dywizji. Dwa akty o nadaniu tytułu Bohatera Związku Radzieckiego nurkom: Warywodzie i pośmiertnie — Chochołowi.

Szumakow podpisał pierwszy i na moment zatrzymał się, zanim podpisał drugi.

— Chochoł — przeczytał na głos.

Sztukarenko włożył papiery do swojej brązowej teczki i jeszcze raz spojrzął na Szumakowa.

— No to do widzenia.

— Do widzenia, ojciec duchowny.

Sztukarenko wyszedł. Słysząc było, jak przemierza korytarz swoimi metrowymi krokami. Szumakow zamknął oczy, jakby się czuł bardzo zmęczony. Dobrze, że opowiedział. Człowiek nie jest Syzyfem, nie może wiecznie dźwigać swego kamienia.

Sięgnął ręką pod łóżko i namacał teczkę. Odpiął zamek i wyjął arkusz papieru. Pomyślał przez chwilę i zamazzyście napisał czytelnymi, okrągłymi literami: „Komitet Centralny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego — Wydział Spraw Wojskowych. Proszę wezwać mnie niezwłocznie w pilnej sprawie. Dowódca 78 Dywizji Piechoty, pułkownik Szumakow”. Potem przeczytał pismo i złożył arkusz we czworo.

Niech wzywają. Tak powinno być. Jeżeli wiedzą coś takiego, o czym on sam nie wie, niech zrywają dystynkcje i zabierają ordery. Ale jeżeli nie...

Szumakow jak zawsze zawołał stanowczym, rozkazującym tonem:

— Prychodko!

Ordynans zjawił się w drzwiach i zasalutował, ale tak, jakby odpędzał muchę.

— Hołoborodki jeszcze nie ma?

— Nie ma.

— Gdzie go diabli ponieśli?

— Wojna, towarzyszu pułkowniku. — Stary smutnie pokiwał głową.

— Patrzcie go, jaki mądrała? Ja też wiem, że wojna, nie gorzej od ciebie. Wojna powiadasz?

— Na froncie różnie bywa.

— To prawda — uśmiechnął się Szumakow.

— Czy to żołnierz wie, gdzie jego kula. Chociażby wy...

— A ty, Prychodko, przyznaj się. Ucieszyłeś się, że zostanę bez nogi? Jeden but zawsze przecież łatwiej wy-czyścić...

— Co wy mówicie! — obraził się Prychodko.

I rzeczywiście, co za nonsens sprawiać przykrości tym, którzy nas lubią. Jak domowy despota, który swą złość wyładowuje na bliskich.

— Nie gniewaj się, Prychodko. Ja tak sobie...

Stary nie odpowiedział i tylko z żalem spojrzął na Szumakowa.

— No dobrze już, idź. Jak wróci Hołoborodko, przyślij go do mnie.

— Tak jest! — wymamrotał stary i powoli wyszedł.

26

Za rozwalonym parkanem, w podwórku, stało dwóch mężczyzn, jeden wysmukły, w krótkiej czarnej skórzanej kurtce, a drugi niski, w wojskowym płaszczu. Za rogiem nie widać było tego, z kim rozmawiali, i здавало się, że zwracają się do ściany budynku, usiłując jej coś wytłumaczyć.

Charkewicz szedł wolno ulicą i zupełnie nie zamierzał zatrzymać się tutaj, ale raptem spoza budynku dobiegł go kobiecy głos i nogi same stanęły, jakby się w czymś zaplątały. Głos był znajomy. Bardzo znajomy. Ale do kogo należał, nie mógł sobie przypomnieć!

Zaskoczony, stał parę minut i słuchał w napięciu. Z ulicy trudno było zrozumieć poszczególne słowa, dolatywały tu tylko pojedyncze radosne okrzyki — widocznie kobieta zapraszała żołnierzy do siebie. Charkewicz zląkł się, że oni zaraz tam wejdą, i on nie dowie się, czyj to jest głos, a później będzie się męczył i nie potrafi sobie przypomnieć.

Stał na zawalonym parkanie i omal się nie przewrócił, zaczepiwszy nogą o gąsienicę rozbitego niemieckiego czołgu, który stał przy samym budynku. Szybko wszedł na podwórko i od razu poznał Amiradzego. W tej chwili znów rozległ się kobiecy głos, i raptem przypomniał sobie: Kławdija Charytoniwna!

Ołeh Iwanowicz pobiegł jeszcze dalej, ten w skórzanej kurtce obejrzał się, ale nie przerywał rozmowy, dopóki Charkewicz nie przystanął.

Kławdija Charytoniwna też chciała coś powiedzieć i na-

raz zastygła. Widocznie Charkewicza niełatwo było poznać, gdyż długo patrzyła na niego, a potem szepnęła, ledwo poruszając wargami.

— Boże... Ołeh... Boże.

W oczach jej mignęło coś jakby uśmiech, lecz kąciki ust od razu żałośnie opadły i na twarzy zjawił się równocześnie wyraz radosnego zdziwienia i bezradności. Zrobiła ruch, jak gdyby chciała się rzucić do niego, ale coś sobie przypomniała, zawróciła do drzwi i zniknęła we wnętrzu domu.

Amiradze odprowadził ją zdumionym wzrokiem i kiedy zostali we trzech, radośnie wykrzyknął:

— Gdzie pan był? Szukałem pana, myślałem, że zabiło.

— Czołem, Sandro! — odezwał się Charkewicz ochrypłym głosem i podał mu rękę. Dopiero teraz, ściskając ciepłą dłoń Amiradzego, poczuł, że cały drży.

— To starszy sierżant Cygankow. Dowódca naszego plutonu zwiadowczego. — Amiradze wskazał na tego w skórzanej kurtce.

Charkewicz i jemu podał rękę, ale nie dosłyszał, co Sandro mówił, nie mógł opanować nerwowych dreszczy i zimna, które go raptem przejęło.

I Cygankow, i Amiradze rozumieli widocznie, w jakim on jest stanie — mimo że nie wiedzieli, kim jest dla niego ta kobieta. Milczeli, jakby nie mieli o czym rozmawiać, i czuli się przy nim niepotrzebni.

— Przyszliśmy odwiedzić Muchiddinowa. Widział pan ten czołg na ulicy? To on go wysadził. — Amiradze ni to się usprawiedliwiał, ni to się chwalił, jak gdyby rozbity czołg był jego dziełem.

— Naprawdę? — zdziwił się Charkewicz. Nie mógł sobie teraz przypomnieć Muchiddinowa, chociaż nazwisko wydawało mu się znajome.

— Nie zastaliśmy go. Przewieźli go na tamten brzeg — dodał Cygankow. — Widocznie stary skończył swoją wojaczkę.

W tej chwili w drzwiach ukazała się Lubow Stepaniwna. Przystanąła zmieszana, wodząc wzrokiem kolejno po każdym, jakby usiłując znaleźć wśród nich tego, o kogo jej chodziło i kogo od razu nie mogła poznać.

— Ołeh... Toż to on... Boże! — powtarzała stojąc za

nią nieprzytomna z radości Kławdija Charytoniwna. — To przecież on... Nie poznaje pani?

Lubow Stepaniwna krzyknęła i rzuciła się do Charkewicza. Przytuliła się do niego i głośno zaszlochała. Charkewicz nigdy nie umiał spokojnie znosić kobiecych łez, ale teraz sam gotów był się rozplakać. Bezradnie głaskał ją po plecach i prawie niedosłyszalnie powtarzał przez cały czas:

— Nie trzeba... Nie wypada...

— My już chyba pójdziemy — odezwał się Cygankow do Kławdii Charytoniwny.

— Za nic w świecie was nie puszcę. Nie ma mowy! — klasnęła w dłonie i stanowczo chwyciła go za rękaw. — Chociaż szklankę herbaty wypijecie. Cukru nie ma, ale znajdzie się coś, w czym można by zagotować.

Pociągnęła Cygankowa do domu. Amiradze poszedł za nimi. Dopiero teraz Charkewicz zobaczył, że Lubow Stepaniwna jest w lekkiej starej sukience, i przypomniał sobie, że na dworze zima.

— Chodźmy stąd lepiej, można się przeziębć.

— Ołeh... Boże! — gładziła go po nie ogolonych policzkach i wpatrywała się w jego twarz wielkimi smutnymi oczyma, jakby go wciąż jeszcze nie poznawała.

Nie myślała, że pierwszy zjawi się ten, kogo ona najmniej się spodziewała. Nie była nawet pewna, czy on w ogóle się zjawi, i to w dodatku w wojskowym płaszczu i z automatem na piersiach.

— Pani jest tutaj sama? — ostrożnie zapytał Charkewicz. Chciał po prostu zapytać, gdzie Ksenia, ale nie miał odwagi. Upłynęły przecież dwa długie lata, po tamtych dwu pierwszych — może takie pytanie w ogóle nie ma sensu, tak jak i jego przybycie?

— Ojciec wyszedł na strych, ogląda swoje laboratorium — uśmiechnęła się Lubow Stepaniwna. Nie przyszło jej nawet na myśl, że Charkewicz nic nie wie o osiągnięciach profesora literatury zachodniej w dziedzinie chemii nieorganicznej. — Boże, jak on się ucieszy, gdy cię zobaczy!

— Chodźmy, tu zimno.

— To nic, Ołeh. Ja jestem przyzwyczajona.

Dlaczego ona ani słowem nie wspomni o Kseni? Gdyby się z nią coś złego stało, nie byłaby taka rozpromieniona.

A więc stało się, ale jak jej się zdaje, nic takiego strasznego, a dla niego — najstraszniejsze.

Charkewiczowi zdawało się, że już wszystko zrozumiał — nie ma już teraz tutaj co robić. Po co mówił, że zimno i że trzeba wejść do domu. Przyzwyczajona, teraz wszyscy przyzwyczajeni, postaliby chwilę na dworze i on by sobie poszedł.

— No chodźmy, uradujemy ojca.

A więc ucieszy się tylko profesor. Czy warto tylko dlatego tam iść, aby postawić ją w niezręcznej sytuacji?

A zresztą to wszystko głupstwo! Czyż w ciągu tych wszystkich lat nie myślał tylko o tym, żeby zobaczyć Ksenię? Chociaż zobaczyć, jeśli jest w domu; zobaczyć to także szczęście.

— Chodźmy, Lubow Stepaniwno.

Na parterze przy stole siedzą Cygankow i Amiradze, obok Kławdija Charytoniwna rozpala pogięty prymus, aby zagrzać herbatę.

— Zawołam was, jak zakipi. — Kławdija Charytoniwna rozumie, że Lubow Stepaniwna i Charkewicz woła teraz wejść na górę.

— Dziękuję, kochana, my troszkę pobędziemy u siebie — z wdzięcznością uśmiecha się Lubow Stepaniwna, jak gdyby się usprawiedliwiała.

W kwadratowym otworze ukazuje się noga profesora Storożenki. Ostrożnie wymacuje on szczeble na drabinie i powoli schodzi ze strychu.

— Cicho! — Lubow Stepaniwna umownym gestem kładzie palec na ustach jakby mówiła: nie odzywaj się, niech sam pozna.

Stoją na schodach i czekają. Storożenko schodzi z drabiny i odwraca się do nich. Przez pewien czas patrzy na Charkewicza w milczeniu, a potem podbiega do niego i obejmuje; Lubow Stepaniwna znów pochlipuje, a mężczyźni długo stoją bez ruchu, przytuleni jeden do drugiego.

Wreszcie Storożenko go puszcza i mówi:

— Chodźmy, niech ci się przyjrzę. Tutaj ciemno.

Pokój jest prawie pusty. Okno zatkane dyktą. Na stole tli się kaganek.

Kseni nie ma i tutaj. Nie ma Kseni!

— Nie warto pytać, co tam u ciebie, najważniejsze,

że żyjesz — mówi profesor, krocząc wzdłuż pokoju, jakby zaczynał wykład na uniwersytecie. — Teraz u wszystkich to samo, u ciebie i u nas. Może i Ksenia niedługo wróci, będzie nam wtedy lepiej.

Nareszcie. Wróci. A więc żyje.

Lubow Stepaniwna opowiada mu o posłańcu, który przyszedł od Kseni, pokazuje kartkę, ale z niej nie można się zorientować, gdzie Ksenia teraz przebywa. Wiadomo tylko, że żyje. Lubow Stepaniwna skrętnie wyjmuje z szafy gruby zeszyt — napisała taki list, chciała przez tego posłańca przekazać. To nic, że on nie przyszedł, sytuacja w mieście tak się nagle skomplikowała, że nie mógł przyjść. Teraz na pewno się zjawi i dowiedzą się dokładnie, gdzie jest Ksenia. Co prawda listu już teraz nie będzie mógł przekazać, bo między nimi front. Ale najważniejsze — wiedzieć, gdzie ona jest, a front na pewno szybko już potoczy się na zachód, wtedy odnajdą Ksenię i wszystko będzie dobrze...

Front potoczy się szybko... Ale czy wy wiecie, co to jest front? Szczególnie kiedy się toczy jak okrutna, krwawa fala... Co dzieje się z kamykami, które bezlitośnie miażdży, napierając i znowu ustępując?

— Na nic się nie zda teraz twój list, Lubo — wzdycha profesor. On widocznie też myśli o tym samym, co Charkewicz, gdyż mężczyźni w takich sprawach jak wojna są bardziej praktyczni: to oni przecież wymyślili wojnę, a nie córki i matki...

— Nie szkodzi, kiedyś go sobie przeczyta. — Lubow Stepaniwna jest pełna nadziei i dlatego jej lekko na sercu, gdyż matka powinna wierzyć, że wszystko będzie dobrze.

— Lubow Stepaniwno, herbata gotowa! — woła z dołu Kławdija Charytoniwna.

— A ci tam, Ołeh, to twoi towarzysze? — pyta Storożenko, mając na myśli tych dwóch, co siedzą na dole.

— Tak, towarzysze.

— No to chodźmy. Zdażymy się jeszcze nagadać. — I profesor pierwszy wychodzi na schody.

Cygankow otworzył już puszkę byczków w pomidorach, a teraz odbija finką blaszankę wieprzowiny. I w tym momencie na progu zjawia się Sołomija i radośnie klaszcze w dłonie.

— Cygankow!

— Co za szczęśliwe spotkanie! — wykrzykuje Cygankow i podnosi do góry blaszankę konserw: — Byczki w pomidorach!

Sołomija podchodzi do niego, w oczach ma łzy.

— Cygankow...

Lubow Stepaniwna przypomina sobie to nazwisko. Słyszała je nieraz od Sołomii. To ten sam starszy sierżant, co dowodził kompanią, która miała dać salwę nad mogiłą Myronenki. Powiedział do Sołomii: „Proszę się nie gniewać, my nie będziemy strzelać w powietrze. Zachowamy pociski na wroga — mąż na pewno nam to wybaczy”.

Cygankow. Ten sam Cygankow.

27

Mózg długo nie mógł się ocknąć, cienki jak igła promyk kłuł w oczy, przenikając swym ostrzem przez zamknięte powieki, i łaskotał jakiś jeden nerw... Niektóre komórki już się zbudziły i lekkomyślnie się borykały, ale mimo to większość odpoczywała i mózg spał. Charkewicz wciąż jeszcze śpieszył do pracy w ministerstwie, naczelnik wydziału, Kozłow, sam się nigdy nie spóźniał i nie znosił, kiedy spóźniali się jego podwładni. A Charkewicz nie znosił Kozłowa, biegł w dół ulicą Gorkiego, aby uniknąć rozmowy z nim i nie widzieć jego niezadowolonej miny.

Promyk łaskotał powieki, wdzierał się coraz głębiej, i wciąż nowe i nowe komórki budziły się w mózgu, i narreszcie zebrało się ich tak dużo, że przesłoniły zupełnie Kozłowa i Charkewicz już go nie widział. Otworzył oczy i przez pewien czas nie mógł zrozumieć, gdzie się znajduje. Wreszcie prześliznął się wzrokiem po wążutkim oślepiającym promyku, zobaczył okno zabite dyktą i poczuł, że w pokoju jest zimno. Widocznie w piecu dawno wygasło, gdyż Lubow Stepaniwna nie dokładała w nocy, obawiając się, że go obudzi. A może po wczorajszych przeżyciach sama spała jak zabita i marzła przez całą noc, gdyż jednak zmusiła go, aby

wziął jej materac, a sama przytuliła się do męża, na żelaznym łóżku.

Charkewicz naciągnął płaszcz aż pod brodę. Nie ma się gdzie śpieszyć. Kozłów go tu nie dosięgnie, a zaporą też już poza nim — strzelaniny prawie nie słychać, widocznie front w ciągu nocy przesunął się daleko.

Naraz od serca zaczęła wznosić się jakaś niepowstrzymana fala, posuwała się szybko i zalewała świadomość, rozpryskując się na tysiące bryzgów, które mieniły się i lśniły, jakby i na nie padał ten ostry promyk. Charke-wicz nie wiedział jeszcze, co to za fala, ale widział już dawno, że ona błyszczy i mieni się wszystkimi barwami życia, i rozumiał, że to radość.

Poczucie czynu dokonanego osobiście napełniało go niepojętą lekkością, i zdawało się, że zaraz się zerwie i gdzieś pobiegnie. I tego uczucia nic nie zatruwało — ani to upokarzające i ciężkie, co było w przeszłości, ani gorycz samego wspomnienia o tym, że to było; tylko ta dziwna lekkość, podświadoma radość, jakiej już dawno nie doznawał — chyba od tego czasu, jak był jeszcze zupełnie młody i we dwójkę, z Ksenią, spacerował po zaporze.

Zapora poza nim... łatwo to powiedzieć! Teraz w pamięci nie powtarzały się poszczególne minuty, przeżyte podczas przeprawy przez nią, nie, wszystkie razem splątały się chimerycznie w zwartą plecionkę minut, pełną dziwów, i ta plecionka wyglądała fantastycznie, gdyż nie można w niej było wyróżnić oddzielnych nitek. Uczucie bezmiernego szczęścia i pewność, że ono przepełnia nie tylko jego, lecz wszystkich, przelewało się przez brzegi. Z półmroku wyłaniało się żelazne łóżko, na którym spali Lubow Stepaniwna i Kuźma Iwanowicz. Charkewicz wziął swój płaszcz i stąpając na palcach, ostrożnie wyszedł na schody.

Na dole nie było nikogo. Drzwi wyrwane wczoraj przez wybuch stały oparte o ramę. Przez wytłuczone powietrzną falą szybki wdierało się do izby jaskrawe zimowe słońce i wlatywały pojedyncze śnieżynki.

Charkewicz zapukał do Kławdii Charytoniwny, ale ona nie odpowiedziała. Widocznie dawno już gdzieś poszła, w taki dzień człowiek nie usiedzi w domu.

Wszedł do zrujnowanej łazienki. Na oknie w wiadrze

woda pokryła się lodem. Charkewicz wziął brzytwę Storożenki i ogolił się jako tako. Lodowata woda orzeźwiała, policzki zarumieniły się i piekły, lekkość nie zniknęła, chciało się gdzieś iść — obojętnie gdzie. Czołg, co martwo tkwił przed budynkiem, przyprószył świeży, puszysty śnieżek, wydawało się, że stoi on tu tak od wieków. Charkewicz przeskoczył przez powalone sztachety i spojrzął w głąb ulicy.

Z prawej strony szybko zbliżał się Amiradze. Zobaczywszy Charkewicza, puścił się biegiem i zawołał:

— Ołehu Iwanowiczu, wzywa pana Sztukarenko. — Podbiegł i dodał: — Tam przyleciał ktoś z Moskwy i czeka na pana.

Charkewicz niezdecydowany obejrzał się na dom. Trzeba by powiedzieć Storożenkom, ale szkoda budzić staruszków. Zresztą on jeszcze i tak do nich wstąpi, a oni z domu dzisiaj na pewno nigdzie nie wyjdą — będą czekać na tego posłańca od Kseni, który obowiązkowo ma przyjść.

— Chodźmy — powiedział.

Niespodziewane wezwanie rozwiało niedawne uczucie szczęśliwej lekkości, w piersiach natomiast załaskotało niepokojące przecucie nowych trosk. Spod serca znów wypłynęła fala, ale posuwała się wolno i nie było już nad nią kryształowych bryzgów.

Nie zdążyli jeszcze dojść do zakrętu, jak usłyszeli stłumiony hałas i pojedyncze, niespokojne okrzyki. W głosach wyczuwało się trwożliwe oburzenie. Charkewicz przystanął i nasłuchiwał.

Za rogiem, naprzeciw skweru, tam gdzie ulica rozszerzała się i tworzyła niewielki plac, zebrał się tłum. Z poczerniałej belki umocowanej na dwóch słupach zwiślały obcięte sznury, i Charkewicz domyślił się: szubienica. Stał jak zahipnotyzowany, nie odrywając wzroku. Amiradze po chwili milczenia zapytał niepewnie:

— Podejdziemy?

Charkewicz nie odpowiedział, ale od razu ruszył z miejsca. Z daleka już dostrzegł Kławdiję Charytoniwnę — stała z boku, ubrana w krótką watówkę, i jak się Charkewiczowi wydawało, płakała.

Zatrzymał się za jej plecami, wspiął się na palce i patrzył ponad głowami ludzi. Kilku żołnierzy niosło spod szubienicy ciało starego człowieka, również w waciaku.

Z przodu sterczały skostniałe bosc nogi, a kiedy żołnierze pochyliłi się, aby położyć zwłoki obok innych, wcześniej już zdjętych z szubienicy, zobaczył posiniałą niemłodą twarz, z bujną ciemną brodą — osiadał na niej, nie topniejąc, puszysty śnieżek.

Charkewicz dotknął lekko ramienia Kławdii Charytoniwny; obejrzała się z lękiem. Zobaczywszy go, raptem zapłakała cicho i pochyliła głowę na jego piersi.

— To on... Poznałam go — usłyszał Charkewicz poprzez głośnie pochlipywanie. — To on!

— Kto — zapytał, nic nie rozumiejąc.

— Ten, co przyniósł kartkę od Kseni, ten sam człowiek...

Tak, tak... On. Ołeh Iwanowicz i przedtem nie bardzo wierzył, że posłaniec przyjdzie; teraz w sercu coś pękło, jak gdyby z tym przyjściem wiązały się wszystkie jego nadzieje, i oto — nie ma nadziei.

Przez kilka minut bezmyślnie gładził siwą głowę Kławdii Charytoniwny i nareszcie odezwał się:

— Nie trzeba im nic mówić. Lepiej niech czekają.

Dopiero teraz Kławdija Charytoniwna podniosła zapłakaną twarz i szybko pokiwała głową, jakby mówiła: Tak, tak. Niech nie tracą nadziei, niech czekają.

Stali przez chwilę w milczeniu, potem Charkewicz powiedział:

— Proszę już iść do domu.

Kławdija Charytoniwna znów szybko skinęła głową, odwróciła się bez słowa i poszła. Dopiero teraz Charkewicz zobaczył, jak bardzo się przygarbiła.

Ech, Kseniu, Kseniu! Czy ty wypłyniesz z tej okrutnej fali, jaka się toczy na ciebie.

Prawie całą dzielnicę przemierzili w milczeniu. W końcu Amiradze zapytał:

— Znajomy?

Charkewicz nie odpowiedział i tylko pokiwał głową — tak samo szybko i rozpaczliwie, jak przedtem Kławdija Charytoniwna. Amiradze westchnął i z gniewem wycedził:

— Bestie!

Bestie. To jeszcze nie to słowo. Krew, pot, łzy — straszliwa i okrutna produkcja wojny. Ale te dranie się-

gają w przyszłość, aby i tam były łyzy. Aby przez pokolenia odbijały się echa zmarnowanych losów.

Ponuro wlepiając oczy w przyprószony asfalt, doszli do budynku administracji. Amiradze wbiegł już na górę po schodach, kiedy z daleka rozległo się wołanie:

— Towarzyszu Charkewicz!

Na skrzyżowaniu, przy zakręcie na zaporę, stała grupa ludzi — wojskowych i cywilów. Sztukarenko machał ręką i wołał. Obok, wsparty na kuli, przyglądał się Charkewiczowi Szumakow. Noga zawinięta w podpinkę z króliczego futerka z daleka wyglądała na odrąbaną brzoźową kłodę, na której bielą srebrna kora.

Charkewicz skierował się do nich, czując na sobie ich spojrzenia.

— No i co, znalazł pan? — niecierpliwie zapytał Sztukarenko, podając mu pierwszy rękę.

— Znalazłem.

— Żyją?

Charkewicz skinął w milczeniu głową: Tak.

— No i co! Nie mówiłem!? — wykrzyknął Sztukarenko.
— Miałem rację!

— Ty zawsze masz rację! — nie bez ironii zauważył Szumakow. Wziął rękę Charkewicza i zatrzymał ją w swojej. — A więc pan już doszedł? — Uważnie i z zaciekawieniem spojrzał na Ołeha Iwanowicza.

Charkewicz nieznacznie wzruszył ramionami, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Doszedł do świętych ruin — i to szczęście.

— A nam jeszcze daleko — westchnął Szumakow. — Ale to nic...

Wydawało się, że mówi do siebie samego, odpowiadając sobie na jakieś tajemne myśli...

Z tyłu na ramieniu Charkewicza spoczęła ciężka dłoń i obejrzwawszy się Ołeh Iwanowicz zobaczył Odyncowa. Wykapany Kotowski — tylko jeszcze wyższy i potężniejszy. Takiemu trzeba mocnego ogiera!

— Gratuluję, gratuluję! Witam! — Odyncow potrząsnął Charkewicza za szczupłe ramiona i skinął ręką w stronę zapory. — Będziemy odbudowywać, co?

Charkewicz uśmiechnął się niezdecydowanie.

— Ja się pracy nie boję.

Słowa brzmiały swobodnie, ale ogólnikowo. Oczywiście

trzeba będzie odbudowywać, jakże inaczej? O to przecież walczyliśmy, aby kiedyś odbudować.

— No, Stepan, na nas już czas — powiedział Szumakow i zaczął się żegnać.

Charkewicz wiedział: żegnają się z nim na zawsze. Zrobili tu, co do nich należało, a teraz będą robić to samo dalej. Na całym szlaku, co się przed nimi rozciąga, na całej nie kończącej się drodze, po której będą pędzić tę mętną falę aż tam, skąd wypływała.

Emka ruszyła z miejsca, a Charkewicz długo jeszcze czuł niezgrabny uścisk ramion Sztukarenki. A może się kiedyś spotkamy? Dlaczego nie? I porozmawiamy o wierzeniach. Z wami można.

Ucichł warkot motoru, samochód zniknął w dali i zdało się, że wraz z nim rozplywa się i topnieje coś niepojętego i drogiego, do czego serce już się przyzwyczyło i z czym się niemal zrosło. Dokoła panowała cisza, tylko znad Dniepru dobiegał ledwo dosłyszalny monotony szum wody, brzmiał on jakoś niezwykle spokojnie i pokojowo po tym wszystkim, co się tutaj odbyło.

Odynców powoli wracał do budynku administracji. Rozmawiał o czymś rzeczowo z dwoma cywilami, którzy szli obok niego. Charkewicz zatrzymał się na chwilę. Został teraz sam. Patrzył w mroźną dal długiej ulicy i myślał o tych, którzy rozplynęli się w śnieżnej mgiele wraz ze swą starą emką.

Odynców wchodził na schody, trzeba było już iść. Charkewicz odwrócił się w stronę budynku, i przed oczyma jego ukazał się zaułek, a na końcu — zwał ciemnych ruin, lekko przyprószonych śniegiem.

Nad nimi wznosiła się samotna, bezlistna topola — jego drzewo. Żywy świadek, co przypominał o czymś najdroższym i kazał żyć*.

1963—1964

* W tym utworze autor nie miał na celu dokładnego wojskowo-taktycznego opisu operacji, przeprowadzonej w celu uratowania Dnieprogesu; ukazuje jedynie sens tego historycznego wydarzenia, na którego tle działają jego bohaterowie.

SPIS TREŚCI

Część pierwsza

OBOOK RODZINNEGO DOMU 5

Część druga

DROGA NAD PRZEPAŚCIĄ 173

Część trzecia

OSTATNIA NOC 346

*Cztery tysiące dwieście trzydziesta czwarta
publikacja Wydawnictwa MON*

Printed in Poland

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej
Warszawa 1969 r. Wydanie I

Nakład 7.000+307 egz. Objętość 27,2 ark wyd.,
30,75 ark. druk. Papier druk. mat. V kl. 65 g
82×104 cm z Zakładów Celulozowo-Papierni-
czych im. J. Marchlewskiego we Włocławku.
Druk ukończono w 1969 r. Wojskowa Drukar-
nia w Gdyni. Zam. nr 1828. E-3 Cena zł 38

Cena zł 38.-